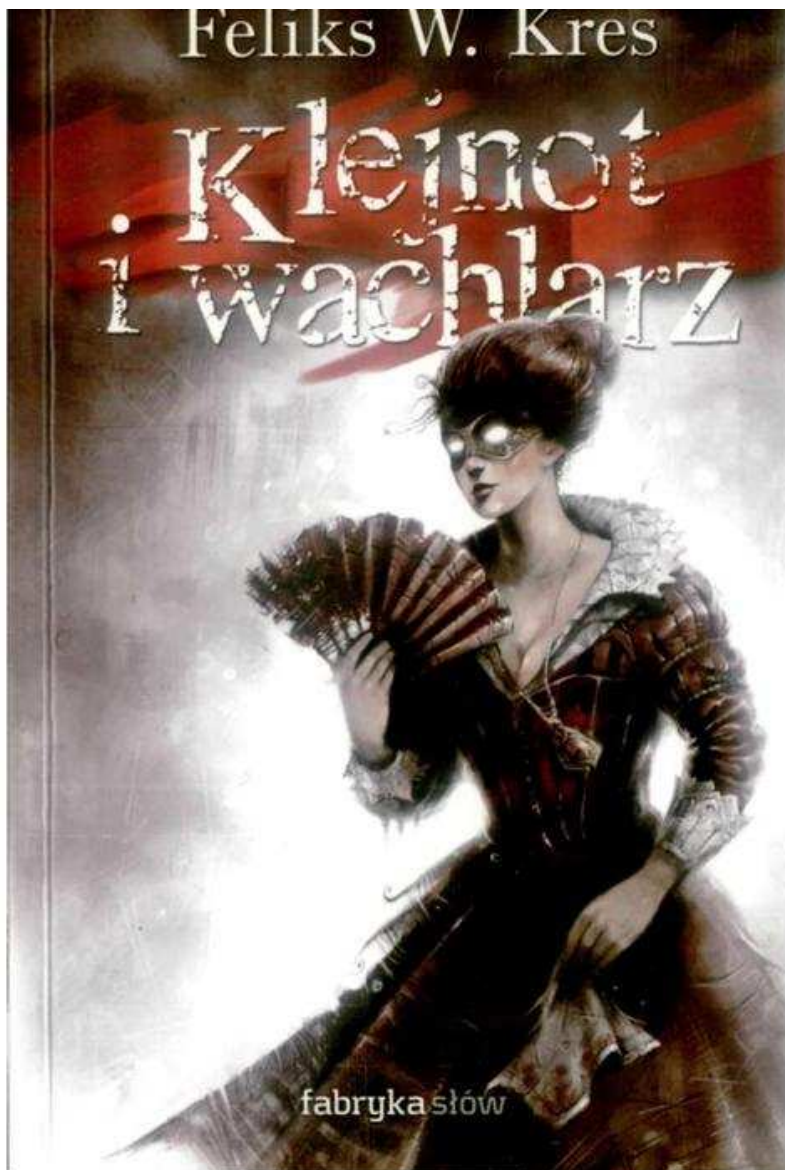


Feliks W. Kres

Kleynot i wachlarz



fabryka słów



Feliks W. Kres

Klejnót i wachlarz

W Valaquet trwa wojna dwóch władczyń – matki i córki. Wojna, która zmieniła niegdyś piękną i dumną prowincję, najbogatszą i najbardziej niezależną krainę Zjednoczonych Królestw w bagno, z którego uciekła arystokracja, a pozostała tylko drobna szlachta. Nie ma już tego splendoru, dworu nie da się porównać do dawnego – wszystko pochłonęła wojna, której nikt nie chce... może poza królem. I w to wszystko miesza się Egahéer i jej agenci, poszukując diamentowej kolistki, związanej ze starożytną zimową magią Valaquet.

Ziemowit Żwirbliński
Inny Świat

Feliks Kres to pierwszy polski fantasta, który stworzył spójną wizję świata. Świata rządzącego się co prawda regułami magii, ale pozbawionego magicznych stworzeń. Nie znajdziemy w żadnej jego książce krasnoludów, elfów czy smoków. Znajdziemy za to ułomnych bogów czy demiurgów, potężnych magów, obdarzone rozumem koty czy sępy.

Monika Frenkiel
Czytelnia Onet

Ta powieść jest cudowym wytchnieniem w świecie banalnej fantastyki, gdzie questy są oczywiste, akcja linearna, rzucanie zaklęć nie wymaga wysiłku. Tu akcja jest bardzo skomplikowana, polityka na sporą skalę, ale nie ma nic wspólnego ze strajkami lekarzy, kolejarzy i taksówkarzy. Wielkie damy nie pozwalają sobie na małostkowość i brzydkie słowa, są władczyniami w każdym calu i każdym szeleście swoich wachlarzy.

Dorota Szeliga
BiblioNETka

www.fabryka.pl

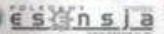
ISBN 10: 83-89011-90-5
ISBN 13: 978-83-89011-90-9



9 788389 011909

34,99 zł*
* cena sugerowana

Patroni medialni



Feliks W. Kres

Klejnot i wachlarz

Ilustracje

Jarosław Musiał

Fabryka słów

Lublin 2006

Copyright © by Feliks W. Kres. Lublin 2006

Copyright © by Fabryka Stów sp. z o.o., Lublin 2006

Wydanie II zmienione, poprawione

ISBN-10: 83-89011-90-5
ISBN-13: 978-83-89011-90-9

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

KLEJNOT I WACHLARZ

czyli

*zdumiewająca i niezwykła historia
dotycząca przekłętej przez Boga
i ludzi, ogarniętej wojną prowincji
Valaquet w roku Pańskim
1630, specjalnie zaś opowieść
o losach dwojga ludzi, których czyny
odcisnęły swe piętno w historii
Zjednoczonych Królestw.*

Wstęp

Ponoć w zamierzchłej przeszłości zwano nas Niszczycielami. Służyliśmy pradawnej mrocznej potędze, noszącej imię Egaheer. Choć wcielała się w różne kształty, to jednak nie była istotą - ani żywą z kości i krwi, ani nadprzyrodzoną. Była zjawiskiem, życie. Mogła je zastępować. We wszystkich krajach, które widziałem - a doprawdy widziałem ich wiele - znajdowałem ślady jej obecności. W Valaquet bawiła się starymi kultami, w Saywanee nie pozwoliła umrzeć ostatnim kotom-Mordercom, w Starej Ziemi Heastseg drwiła z samego Boga Ojca. Mogła się nazywać Semena Sa Veres, równie dobrze jak Elena Bon-Arpat albo Elżbieta Molley. Przyjąłem służbę u niej, nie wiedząc, po co właściwie to czynię. Bom był młody. Bo wojna, w której brałem udział, nie miała wcale sensu - książę Harold nie miał słuszności, nie miał jej także król, widziałem to bardzo wyraźnie. Aż przyszła piękna, tajemnicza kobieta i rzekła: „Mości poruczniku, czyżbyś nie chciał służyć jakiejś innej sprawie niżli ta tutaj żalosna awantura?”

Zyskasz sławę, władzę, bogactwo i zaszczyty, staniesz ponad książętami krwi, będziesz zawierał sojusze z samym Bogiem albo z samym diabłem, przeciw Bogu albo przeciw diabłu. Będziesz wspierał stare kulty i magię bądź tępił je do szczytu na mój rozkaz. Czy przyjmiesz u mnie służbę?"

Przyjąłem

Nie odbyło się to przecież tak szybko i prosto, jakem pokazał wyżej. Ale wszystkie powody, dla których uczyniłem to, co uczyniłem, zaklęto w owej pokusie: zyskasz sławę, bogactwo, zaszczyty, staniesz ponad książętami krwi.

Tak się stało. Przywołując moją panią, sprowadzałem potęgę, z której nie chciał walczyć nawet Bóg. Nie rozumiałem dlaczego. Czy dlatego, że - podobnie jak Mordercy z Saywanee - nie należała do świata, który stworzył? Przybyła skądś, może uciekła spod władzy innego stwórcy, władcy innej ziemi i innego nieba... Wypędzony demon, straszny i potężny, lecz poniekąd chyba użyteczny. Bo żywiła się walkę z każdą magią, umiała stawić czoło nawet piekłu i zdawało mi się, że Bóg może takiego żywiołu potrzebować. Choć zapewne tylko do czasu, gdy ów żywioł nabierze zbytnej mocy... Co wtedy? Czy przeznaczeniem Egaheer była wieczna tułaczka od jednego świata do drugiego? Zresztą nie pojmowałem jej istoty i praw, jakim podlegała; wszelkie domysły bardziej były jałowe spekulacje niżli rozumowaniem opartym na mocnych podstawach. Wyraźnie widziałem to tylko, że najbardziej Egaheer stanowiła ucieleśniony kaprys, zachciankę. Nie bez kozery zaiste zawsze kryła się w kobiecej, albo chociaż samiczej postaci, gdy - choć rzadko - uciekała w skórę zwierzęcia.

„Nigdy dotąd - rzekła, gdym porzucił u niej służbę - nikt ode mnie nie odszedł. To nowe, ciekawe i podniecające. Niemniej jednak zuchwałe i myślę, że powinnam cię zabić. Ale tego nie zrobię, bo nie” - wytłumaczyła leniwie, a było to najobszerniejsze ze wszystkich jej tłumaczeń. „Jesteś wolny. A teraz dobre rady. Jesteś tylko człowiekiem. Doskonale władasz pistoletem i szpadą, zebrałeś niemało doświadczeń, jesteś odważny i rozumny, masz pieniądze, masz wreszcie znane nazwisko. Możesz nie obawiać się bliźnich. Ale ja już nie przybędę na twoje wezwanie. Zostałeś sam, pamiętaj. Czy na pewno chcesz odejść?”

Odszedłem.

W Lazenne, stolicy Zjednoczonych Królestw, znany byłem pod prawdziwym nazwiskiem kawalera Del Wares. Nie zagrzałem tam miejsca; zrazu, nieprzywykły do bezczynności, odbywałem liczne podróże - ałem przestał, ujrawszy wojnę w Werwalu, a potem drugą, domową, w oddzielonej od korony prowincji Valaquet. Dość miałem wojen i rzezi, obrzydły mi intrygi, rapier i żołnierskie życie w drodze. Może być, że porzuciłem swą służbę tak samo, jak wcześniej na nią wstąpiłem: powodowany impulsem, albo może zwykłym kaprysem. Czyż nie byłem podobny do tej, której służyłem i od której na koniec uciekłem? Tak jak niegdyś łaknąłem przygody, wielkich czynów i sławy - teraz życzyłem sobie dostatniego, spokojnego życia, najlepiej w majątku na wsi. Najbardziej zaś pragnąłem samotności. Bóg zaś, chcąc mnie pokarać za to, że po wielokroć butnie stawiałem przeciw Niemu, spełnił moje życzenia. Wkrótce gotów byłem diabłu duszę zaprzedać, byle wyrwać się z przykrej bezczynności. Tak, zaprzedać duszę...

Szatana ani żadnych demonów, żadnej magii. Nie bałem się nawet Boga. Czulem natomiast trwogę, wspomniawszy swą dawną panią.

I jakże szybko przyszło mi żałować, że nie posłuchałem owej zastarzałej trwogi! Było mi uciekać na kraj świata, gdzie psy zadkami szczekają, miast biernie czekać na tyleż dającą się przewidzieć, co nieuniknioną katastrofę. Zażądano mojego powrotu na niechcianą służbę, a były po temu powody. Jakem to już rzekł wyżej, w Valaquet trwała właśnie wojna domowa, obmierzła i przewlekła, rozpętana przez matkę przeciw córce, może zresztą przez córkę przeciw matce, sam czart nie doszedłby prawdy. Przekłętę spadkobierczynię Świeckiego Zakonu Rycerskiego, który przed wiekami mieczem i do cna splugawionym krzyżem zniszczył połowę świata, szarpały na strzepy schedę po swych dziadach, nieszczęsną prowincję stu tysięcy zbrodni i miliona grobów. Ale nie koniec na tym, bo po władzę sięgnął tam ktoś jeszcze, a mianowicie dziwna i straszna królowa wiecznego mrozu, pani śniegu, czerpiąca swą moc z prastarej potęgi, którą jakże mylnie wzięto za zwykłą magię, pisaną węglem i kredą...

Opowieść tę trzeba jednak zacząć od historii jedyne go sprawiedliwego w całej prowincji Valaquet: od dostojnego Roberta hrabiego Se Rhame Sar, człowieka tak niezwykłego, że nie spotkałem w życiu nikogo, kto byłby doń jakkolwiek podobny, choć przeżyłem lat dziewięćdziesiąt i siedem, a nie były to puste lata. Człowiekowi temu winien jestem hołd i dobrą pamięć, a dlaczego, to się wkrótce pokaże. Matką hrabiego Roberta była pani z rodu Ayhoe, dostojna Weronika Teresa Del Valaquet hrabina Se

Alide Sar, Pierwsza Dama Bractwa Rycerskiego, z woli króla (czy też lepiej: za niechętnym króla przyzwoleniem) namiestniczka Prowincji Valaquet, starszymi siostrami zaś dostojne panie Wanesa i Ranela. Miał hrabia jeszcze dwie młodsze siostry, Annę Jasenę oraz Annę Luizę - przepiękne bliźniaczki, niewiele ustępujące mu w latach. Ojca hrabia nie znał, lub raczej nie pamiętał; niezwykle ten człowiek (zasługujący na osobną opowieść, lecz pozostający bez żadnego wpływu na opisywane tutaj wydarzenia) zginął nieszczęśliwą a tragiczną śmiercią, ledwie zdołał ujrzeć najmłodsze swoje córki - upatrywano w tym nawet zapowiedź nieszczęść, co ziściło się, niestety, najzupełniej. Dorastający Robert żywił szczególną słabość do jednej z młodszych swoich sióstr; wreszcie wyznać trzeba bez ogródek, wbrew prawu naturalnemu durzył się w pięknej Annie Luizie, najpierw jako chłopiec, potem zaś młody mężczyzna - i była to skłonność chętnie odwzajemniania. Lecz usatkwawszy się, postawił tamę swojej namiętności, wkrótce zaś ożenił się szczęśliwie, bo z wybranką serca, a to przecież jest warunek najzupełniej do szczęścia niezbędny. Niestety! Wyszło niebawem na jaw, że za sprawą rodzinnego klejnotu jego żony została wskrzeszona stara klątwa, przed którą widocznie nie mógł uciec żaden spadkobierca tradycji Świeckiego Zakonu. Artefakt z zamierzchłej przeszłości, diamentowa kolia od dawna będąca w posiadaniu jej rodziny, ale pochodząca nie wiadomo skąd (bo dzikie, pogańskie plemiona Valaquet na pewno nie umiały wytwarzać takich rzeczy) przeobrażała hrabinę w śnieżne monstrum, królową lodu i śniegu, niszczącą wszystko wokół niebывалым mrozem. Odkrywszy to, hrabia uciekł od żony i odnowił tajemny romans z dostojną

swoja siostrą; lecz gdy ta zaszła w ciążę - o czym nieszczęsny sprawca nie wiedział - oddalono go z Valaquet. Na rozkaz matki wyjechał do Lazenne, by w stolicy u boku króla spędzić bez mała trzy lata. W tym czasie pani Anna Luiza poroniła owoc swojej zakazanej miłości, a wolno sądzić, że obyło się to nie bez pomocy... O porzuconej hrabinie Helenie, wciąż przecież pełnoprawnej małżonce pana Se Rhame Sar, zapomniano, albo raczej nie chciano pamiętać; zresztą słuch o niej przepadł, mieszkała w swoim hrabstwie niczym na wyspie bezludnej, nigdzie nie bywając i nikogo do siebie nie prosząc. Po powrocie z wygnania jedyny syn wicekrólowej niczego już nie znalazł takim, jakie zapamiętał. Księżna Se Potres, najstarsza jego siostra, ambitna po matce, a porywczą po ojcu, wypowiedziała posłuszeństwo dostojnej swej rodzicielce, czarę zaś przepelniły miłości tej ostatniej; miłości, dodajmy koniecznie, którym oddawała się z własnym swoim zięciem, Bernardem księciem Se Potres. Wojna domowa, wojna o władzę i mężczyznę, wisiła na cienkim włosku. Hrabia Robert próbował jej zapobiec, nadaremnie. W spiskach i knowaniach wszystkich przeciw wszystkim postradała życie nieszczęśliwa Anna Luiza, wciąż skrycie kochana przez Roberta. Niezasłużenie, bezwinnie przeklęty i odrzucony przez tych, których kochał, hrabia Se Rhame Sar wrócił do swej groźnej małżonki, która jako jedyna wciąż miała dla niego tkliwe ciepło. Lecz, niestety, dla innych miała tylko mróz. Zrodzone z prastarej potęgi zawieje śnieżne i wichry jeły niszczyć całe wioski i miasta, jakby nie dość było wojny domowej i nieszczęść, które ze sobą niosła. Sprawczyni tych kataklizmów nie umiała pomimo starań zapanować nad swymi mocami.

Szlachetny hrabia Robert, odzyskawszy żonę, zdołał pokochać ją na nowo, nadto dobrze rozumiał jej mękę i starania, doceniał neutralność, którą zachowała w toczącej się obok wojnie - bo nie chciała władzy dla siebie - lecz nie umiał patrzeć na zagładę setek domów i tysięcy istnień. Wyczerpawszy wszystkie możliwości, półośzały od wyrzutów sumienia i zgryzoty, uczynił rzecz ostateczną, a mianowicie otruł jedyną istotę, którą jeszcze kochał poranionym przez najbliższych sercem. Wreszcie - doświadczony przez życie tułacz, posiwiaty na skroniach w wieku lat dwudziestu i ośmiu - przyjął nominację na wodza wojsk swej siostry toczącej zmagania z matką, a uczynił to z wyrachowania, obsesyjnie bowiem uwierzył w klątwę ciężącą nad Rycerskim Bractwem. Uroiwszy sobie, że doprowadzi do jego upadku - więc upadku własnej rodziny - a tym samym do wyzwolenia nieszczęsnego kraju, sprzymierzył się z tajną emisariuszką wysłaną do prowincji Valaquet przez młodego króla Karola. Była to pani Dorota Atheves, w Lazenne królewska powiernica i faworyta, która przybyła do Valaquet, by knuć intrygi i spiski; w interesie królestwa leżało, by wojna domowa nie zgasała, by dwie armie wykrwawiły się nawzajem do szczętu, dając pole pułkom prawowitego monarchy. Przecież najbogatsza w królestwie prowincja była od półtora wieku z okładem trzymana przez spadkobierców i spadkobierczynie Bractwa tylko prawem kaduka, a raczej na mocy prastarego traktatu, który w nowych czasach winien zostać zrewidowany. I być może pani Atheves (po cichu posądzana o paranie się najmroczniejszą magią) przy pomocy generała Roberta dopięłaby swego celu. Lecz zażądała lodowej kolidii

zamordowanej hrabiny; może bała się, że ktoś zdoła użyć jej prastarych mocy jako potężnej broni? Może chciała użyć ich sama?... Hrabia odnalazł kocię, lecz nie ufając Dorocie Atheves, postanowił ją ukryć albo zniszczyć, wybornie rozumiejąc, jaką klątwę ściąga ten klejnot. Tropiony jak zwierzę, dokazywał istnych cudów przebiegłości i męstwa, lecz na koniec znalazł się w potrzasku. Próbowala mu wtedy dopomóc druga z młodszych sióstr, dostojna Anna Jasena, która odstała od boku zbrodniczej matki i prosiła go o przebaczenie. Wyszło na jaw, że biedne bliźniaczki takie same miały nie tylko twarze. Skrycie zakochana w swoim bracie, pani Anna Jasena przez całe młode życie cierpiała niewymowną udrękę, odtrącona i niedostrzegana przez najdroższego jej człowieka. Poznawszy tę tajemnicę, Robert Se Rhame Sar oddalił siostrę od swego boku, bo nie śmiał wrócić na drogę kazirodczego występku, który widział mu się przyczyną wszystkich nieszczęść. Nie wiedział jednak, że w ten sposób prowokuje nieszczęście kolejne: zrozpaczona młoda kobieta, gdy zabrano jej ostatnią nadzieję, poniosła śmierć z własnej ręki. Ujrawszy swą siostrę powieszoną, dostojny Robert, osaczony przez prześladowców, nie mający już nadziei na ucieczkę, dał upust najgorętszym pragnieniom i pozwolił, by straszny klejnot na powrót tchnął życie w ciało nieszczęśnicy. Pani Anna Jasena została więc wskrzeszona, lecz dostała się zarazem we władzę mrocznej potęgi, jej brat zaś zniknął i nikt nie wiedział, co się z nim stało. Domniemywano powszechnie, że umarł, że odebrał sobie życie, nie mogąc dłużej dźwigać przekleństwa będącego ponad siły człowieka. I tak oto przedstawiały się sprawy, gdy

wrócił na służbę u swej pani. „Mój Del Wares - kazała mi przekazać - oto wrócisz do mnie na służbę, a wróciwszy, wybierzesz się do Valaquet. Sprawdzisz, czy hrabia Se Rhame Sar nie żyje. Jeśli jest inaczej, wykorzystasz go, a mianowicie skłonisz, by wrócił do swej siostry Jaseny, dał jej to, czego ona przez całe życie pragnęła, w zamian zaś zażądał, by trzymała na wodzy swą lodową magię, gdy wojska króla Karola przekroczą granice prowincji”.

Uznałem to za intrygę szaleńca. Lecz nieprawda! To ja sam byłem szalony. Zdało mi się bowiem, że wystarczy odmówić... I odmówiłem, a jakże. Odmówiłem powrotu na służbę. Co zdarzyło się wówczas, przedstawiłem już w osobnej kronice, niecelowe jest więc tutaj powtarzanie tego. Dość powiedzieć, że odmowa zdała się na nic, bom pół roku później stał na granicy Valaquet z zamiarem odszukania kości hrabiego, odszukania lodowych upiorów, a wreszcie odszukania swego miejsca na świecie, bom wyraźnie dotąd go nie miał...

„Pamiętniki kawalera Del Wares, a później hrabiego Se Quet i markiza Del Welysar, obejmujące lat dziewięćdziesiąt i siedem życia spędzonego na licznych wojnach, w ogólności w służbie Ich Królewskich Mości Karola XVII, a potem Ludwika Heveta III i Karola XVIII, specjalnie zaś tajnego emisariusza stowarzyszenia... spisane przez niego samego”

część pierwsza

Czerwona kareta

I

Domy Reus - tak nazywano tajemnicze i dziwne miejsce leżące przy Szlaku Krzyża Świętego. Szlakiem Krzyża wyruszyli przed wiekami chrześcijańscy rycerze, by pogańskim ludom na wschodzie zanieść światło wiary. Nikt nie wie na pewno, co znaleźli w miejscu znanym jako Domy Reus. Krążą opowieści, że stała tam wioska, której mieszkańcy wiedli żywot niestychanie plugawy, obcując cieleśnie z własnymi córkami i matkami. Ale równie często mówi się o żeńskim klasztorze - mniszki miały sprzedawać swe ciała podróżnym bądź też mordować ich; nie wiadomo, co bliższe prawdy. Poszukawszy, można by pewnie znaleźć dziesięć innych bajan i legend dotyczących tego miejsca. Dość, że rycerze krzyżowi, ujrzawszy ohydę, wytępilli zło mieczem i ogniem. Nie do końca... Oto bowiem w każdą rocznicę zagłady Domów Reus w miejscu, gdzie stały, pojawiają się ich widma. Lecz znów - nikt nie potrafi powiedzieć, co za budynki mającą pośród zimowego zmięzchu. Czy to mogą być zarysy klasztoru? A może jednak zaniedbane

wiejskie chaty? Spośród tych, którzy widzieli zjawisko, każdy opowiada co innego.

Tyle właśnie - i zupełnie nic więcej - zdołał się dowiedzieć postawny trzydziestoletni szlachcic od dwóch dni bawiący w Moun. Odwiedził wszystkie gospody i karczmy w mieście, pytał przypadkowych ludzi na rynku, ba! złożył nawet wizytę proboszczowi miejscowej parafii i był w klasztorze bertystów, wychodząc z założenia, iż osoby duchowne winny mieć dokładne wiadomości o nieczystych siłach w okolicy (czyżby nigdy nie próbowano egzorcyzmów?). Pytał i nagabywał, częstował winem, prawił grzeczności - wszystko na nic. Garść ogólnych i mglistych informacji, tyle właśnie otrzymał w zamian. Ktoś coś widział, inny kiedyś słyszał... Przed wszystkim mało kto prawdziwie wierzył w Domy Reus. To nie było mroczne księstwo Saywanee ani przeklęta przez Stwórcę prowincja Valaquet, gdzie na każdym kroku straszyły upiory przeszłości, a stara magia wielokrotnie odżywała wobec licznych świadków. Na ziemiach Zjednoczonych Królestw - a już zwłaszcza w samej Nolandii - opowieści o demonach i piekielnych zaprzedańcach miano za bajania. Chal-Chenet - bo tak nazywał się przybyły do Moun szlachcic - najpierw nie potrafił tego pojąć. W swym niezbyt długim, lecz nader barwnym życiu zobaczył dość dziwów i był świadkiem wystarczająco wielu wydarzeń, by nie wątpić nawet w istnienie starożytnej krainy Heastseg, którą przed wiekami pochłonęło

Lecz cóż? Tutaj wszystko miano za legendę, zabobon... Owszem, ludzie z gminu powtarzali różne opowieści, ale - jako

się rzekło - sami nie do końca w nie wierzyli. A już człowiek stanu szlacheckiego, pragnący uchodzić za świątłego i rozumnego, musiał wręcz kwitować śmiechem wszelkie tajemnicze historie. Ostatecznie mogło coś niedobrego wyniknąć z poduszczenia Szatana... Ale stare magie? Pogańscy bogowie,

Chal-Chenet nie mógł się nadziwić takiemu ślepemu światu. Ach, więc nie istnieje żadna magia? Proszę, zatem nie ma demonów? W takim razie kimże ja jestem - chciał pytać - skoro własną szpadą wspierałem człowieka, który by odkupić winy swego rodu, usiłował zniszczyć zmartwychwstałą lodową magię Valaquet? Kim był ów człowiek, jeśli nie przekleńnikiem dziedziczącym wszystkie grzechy Kawalerów Świeckiego Zakonu Rycerskiego? Czy nikt tutaj nie odbywał podróży, jeśli nawet nie do dalekiej ziemi Saywanee, to chociaż właśnie do Valaquet, prowincji leżącej przecież w obrębie państwa? A ohydna nieczysta siła nazywana Klątwą Arelay? To ościenny kraj - blisko, tuż za miedzą!

Takie i podobne myśli nurtowały Chal-Cheneta, gdy po raz ostatni kładł się na spoczynek w niezbyt drogim zajeździe, gdzie wynajął był pokój, płacąc za kilka dni z góry. Nie potrafił powiedzieć, co uczyni dnia następnego; dalszy pobyt w Moun mijał się chyba z celem. Wszakże kawaler Chal-Chenet dość miał na razie podróży. Prawdę rzekłszy, dość miał wszystkiego.

W Valaquet, skąd przybywał, dopalała się wojna domowa. W przeklętej prowincji z woli i za przyzwoleniem króla wciąż sprawowali władzę spadkobiercy tradycji Bractwa Rycerskiego. Przed wiekami kawalerowie zakonu ponieśli pogańskim ludom krzyż, razem z krzyżem zaś ogień i miecz.

Nawrócili - jak powiadano - cztery miliony dusz, kierując je prosto do Stwórcy, On zaś chyba przyjął te dusze, lecz w zamian nie zechciał przyjąć czarnych dusz misjonarzy. Wytępiwszy całe narody, przekłęci przez Boga i ludzi, mieli po wiek wieków zarządzać upiorną prowincją, gdzie wciąż powstawały z martwych widma pradawnych wierzeń, w imię Zbawiciela utopionych we krwi. I oto teraz właśnie wojna domowa, rozpętana przez wicekrólową przeciwko własnej córce, rozbudziła potęgi, o których nic dotąd nie wiadomo, lub raczej o których zapomniano. Chal-Chenet był wpierw żołnierzem wicekrólowej, Pierwszej Damy Bractwa Rycerskiego, Dostojnej Weroniki Teresy Se Alide Sar, potem zaś własną piersią osłaniał jej syna toczącego beznadziejną walkę z magią lodu i śniegu. Odprawiony przez swego wodza porzucił następnie służbę i przybył do Nolandii, bo dość miał chwały i walecznych czynów, teraz pragnął tylko odpocząć.

Lecz widocznie pragnął zbyt wiele. Przemierzając kraj, jechał tym samym szlakiem, który przed wiekami przemierzyli rycerze krzyżowi, bo innego szlaku z owego końca świata nie było - tyle tylko, że zamiast bezdroży miał pod końskimi kopytami bity trakt. Rychło jął dostrzegać liczne uroczyska, kurhany, zagrzebane w ziemi obeliski wytyczające kręgi. Ileż takich miejsc oglądał w kraju, z którego właśnie wyjechał! Zdjął go lęk. Łatwo było się dziwić mieszkańcom prześwieanego królestwa Nolandii, że nie wiedzieli o demonach Valaquet... A przecież podobnie on sam nie wiedział, że szczątki starych wierzeń rozrzucone są wszędzie, bo chyba po całym świecie. Więc różne magie istniały

nie tylko w Valaquet; nie tylko w odległych księstwach Hostenne i Saywane. Czy te stare magie mogły ożyć? W Valaquet wojna domowa zdarła śmiertelny całun z pogrzebanych przed wiekami kultów, bo w setkach miejsc, gdzie zgodnie z gminną wieścią widywano zjawy unicestwionych domów, świątyń, cmentarzy - nieomal z dnia na dzień zaczęły dziać się groźne i ponure rzeczy. Lecz i tutaj, w kolebce chrześcijaństwa? W Nolandii, zwanej czasami najstarszą córą Kościoła? Domy Reus! Było to pierwsze takie miejsce, położone tuż obok ludzkich sadyb, niemal pod samym miastem... Dlatego Chal-Chenet nie spoczął, dopóki nie powiedział dowiedział się o nim wszystkiego.

Czyli właściwie niczego.

Jakąś wiedzę jednak mu dano, mianowicie ujrzał, że na próżno szuka spokoju. Widać człowiek, który raz zetknął się z mrocznymi potęgami, musiał walczyć stale i wszędzie, w każdym miejscu i czasie, do końca swoich dni. Ale dawny gwardzista wicekrólowej, potem zaś strażnik życia i zdrowia generała Roberta Se Rhame Sar, był właśnie tylko żołnierzem. Dzielnym i wybornie znającym swe rzemiosło, które przecież tak niewiele miało wspólnego z bożkami, demonami i wszelkim zabobonem...

Poranna wizyta zakonnika była dla Chal-Cheneta nie lada niespodzianką. Nie znał w Nolandii nikogo; nie Posyłał też po spowiednika, a już zwłaszcza z zakonu protazytów (ani myślał o umieraniu, zaś cotygodniowa spowiedź nie leżała w jego

nawykach). A mnich z owego wielce pobożnego i szczególnie przez Boga doświadczonego zakonu, powołanego najbardziej do niesienia pociechy konającym, przedstawił się oberżyscie właśnie jako spowiednik; tak przynajmniej powiedział gospodarz, zaciekawiony do tego stopnia, że sam pospieszył z wiadomością, zamiast wyręczyć się służbą.

- Spowiednik, o którego prosiłem?

- Czy Wasza Wielmożność nie prosił o spowiednika?

Chal-Chenet uznał, że nawet jeśli zaszła jakaś pomyłka (a zaszła z całą pewnością), to ciekawski gospodarz jest ostatnią osobą, która powinna się o tym dowiedzieć. Świątobliwy ojczulek, zbłądziwszy, winien raczej pomówić ze szlachcicem, niżli być zmuszonym do przykrych tłumaczeń przed byle groszorem.

- Pokaż drogę - rzekł krótko, nie chcąc zniżać się do kłamstwa w tak błahej sprawie.

- Więc to na pewno do pana?

- Gospodarzu... A czy do ciebie?

Karczmarz podrapał się za uchem i uśmiechnął krzywo, ale oceniwszy postawę, minę, a najbardziej spoczywający w poprzek stołu potężny rapier swego gościa, uznał, iż nie warto przesadzać ze wścibstwem.

- Więc pan życzy, bym pokazał drogę?

- Nie inaczej.

Gospodarz wyszedł. Wkrótce Chal-Chenet posłyszał za drzwiami stukot drewnianych chodaków, które zawsze, bez względu na porę roku, nosili zakonnicy w granatowo-białych habitach. Kołatanie do drzwi było ciche, nieledwie pokorne i lęklive.

- Proszę wejść.

Drzwi otwarły się, przepuszczając niewysoką zakapturzoną postać oraz - jakże by inaczej - oberżystę.

- Wasza Wielmożność, oto...

- Wynoś się pan, z łaski swojej - rzekł Chal-Chenet głosem cichym, ale tak szczególnym, że gospodarz zniknął, jakby go nigdy nie było.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - rzekł zakonnik.

- Na wieki wieków. Rad będę, jeśli dalsze słowa ojca będą równie ciche, jak pozdrowienie. Gospodarz to nicpoń; mogą ręczyć, że podsłuchuje pod drzwiami, a jeśli jeszcze tego nie czyni, to lada chwila zacznie.

- Nie będziemy krzyczeć. Czy jest pan kawalerem Chal-Chenet?

- Nie inaczej. Lecz skąd ojciec zna moje nazwisko? Zdaje mi się, że zaszła przykra pomyłka. Nie prosiłem o spowiednika, niemniej chciałbym...

- Krąży wokół ciebie śmierć, synu. Spowiednik jest ci bardzo potrzebny.

Szlachcic zamilkł.

- Doprawdy, co ojciec może o tym wiedzieć? - zapytał po krótkiej chwili. - Z całym szacunkiem dla zakonnej sukni, takie rzeczy wie tylko Bóg. Proszę mi powiedzieć, skąd jest znane ojcu moje nazwisko?

- Był pan w klasztorze ojców bertystów i się przedstawił.

- Ale ojciec jest przecież protazytą, a w Moun nawet nie ma klasztoru protazytów. Proszę mnie poprawić, jeśli pomyliłem zgromadzenia, bo... doprawdy nie jestem biegły...

- Klasztoru nie ma. Wędrując, znalazłem gošcinę pod dachem ojców bertystów. Odwiedziłem teŝ proboszcza miejscowej parafii i znowuŝ zetknąłem się z pańskim nazwiskiem. Kawalerze, proszę, byś powierzył mi swoje sekrety. Pod tajemnicą spowiedzi.

Przybysz z Valaquet milczał, coraz bardziej zdziwiony nieoczekiwanym przebiegiem rozmowy. Wstał, wziął ze stołu tkwiący w pochwie rapier, otworzył drzwi i podetknął rękojęść pod nos przygarbionemu oberŝyście.

- Podziwiał głowicę, nicponiu, boś ostrza na pewno niewart. Ale oto mam na nogach mocne buty, przy butach zaś twarde obcasy. I co mi na to odpowiesz?

Oberŝysta przepadł. Szlachcic jednak nie zamknął drzwi na powrót; owszem, uchylił je szerzej, by dostrzec kaŝdego, kto podejdzie. Wróciwszy do stołu, odłożył rapier tam, gdzie leżał wcześniej.

- Czy na pewno nie chce pan pomówić z kimś, kto da wiarę wszystkim jego słowom? Kogo nie zdziwią pańskie wątpliwości i pytania?

- A czy ojciec będzie umiał na te pytania odpowiedzieć?

Mnich zsunął z głowy kaptur, pokazując twarz zaskakująco młodą i szlachetną; ten człowiek nie zetknął się ze swym powołaniem, wędrując z wiejskiej chaty na pastwisko. Zdziwiony Chal-Chenet przyjrzał się arystokratycznej, delikatnej dłoni wysuniętej z obszernego rękawa.

- W imię czego - zapytał protazyta, czytając chyba w myślach - dwudziestoletni szlachcic składa śluby zakonne w zgromadzeniu, które z woli Pana Boga utraciło wszelkie znaczenie, podtrzymując ostatnie płomyki wiary tam, gdzie nikt nie chciał

już światła? W Arelay zwrócono się ku piekłu, nie chcąc dojrzeć dalekosiężnych skutków takiego przymierza. Protazytów wypędzono i prześladowano, a oto stoi przed waszmością ktoś, kto świadomie wybrał może najbardziej ciernistą ze wszystkich człowieczych dróg: drogę nauczyciela niechcianego, wzgardzonego i lekceważonego.

- Pozwól powiedzieć sobie, ojcze, że nie wiesz, co to ciernista droga.

- Czy naprawdę?

- Widywałem już takie drogi. Ale niech ojcu będzie, że droga nauczyciela, który został nim z własnej woli, wiedzie przez najbardziej zadzierzyste kolce... Nie o tym chyba chcemy rozmawiać.

Zakonnik milczał przez chwilę, bo zaczęło mu świtać, że mówi z człowiekiem bywałym i rozumnym. Reputacja hałaśliwego żołnierza-awanturnika nie chciała tutaj pasować.

- Może masz pan słusność, kawalerze. Chyba nie poznałem się na panu.

- Przejdźmy do sedna, ojcze. Co ojca do mnie sprowadza? Widziałem w życiu niejedno i wiem dobrze, ile warte są pochopne decyzje, dlatego wciąż rozmawiamy... Przecież w każdej chwili możemy się pożegnać... Czy wie ojciec coś, co wiąże się z moją osobą? Jeśli tak, to bardzo proszę mówić.

Protazyta skinął głową i usiadł.

- Ktoś był tutaj niedawno, w tym mieście, i pytał o to samo, co pan. Był w klasztorze, był u proboszcza... A wydaje mi się, że wystarczy zapytać właściciela tej oberży, by uzyskać kolejne potwierdzenie. W samej rzeczy, oberżysta coś mi wspominał,

choć bardzo niejasno. Zaraz poszedł, zapomniałem dopytać...
Zajmowały kogoś bajania o Domach Reus, startych z ziemi
przez rycerzy krzyżowych?

- Właśnie tak.

- W klasztorze nic mi o tym nie mówiono.

- Rzeczywiście. A dlatego, panie kawalerze, że pytającym
była osoba... był to człowiek straszny, właśnie tak.

- Straszny? Jak mam to rozumieć?

- Przeróżający, bezwzględny, okrutny. Nie dowiedziałeś się
pan niczego, bo zarówno braciszki zakonni, jak i proboszcz
miejscowej parani drżeli na samą myśl o przywołaniu
wspomnienia tej osoby.

- Ciągłe nie rozumiem. Cóż takiego uczynił ten człowiek, że
zasłużył sobie na podobnie... hm, podobnie wyszukaną opinię?

- Właśnie nic. Tylko pytał.

- Tylko pytał?

- Nic więcej.

Szlachcic pomilczał chwilę, potem westchnął.

- Otóż, ojcie, przez całe życie będąc żołnierzem,
przywykłem lękać się czegoś gorszego niż pytań... Gdy ktoś
pyta, choćby nawet o Domy Reus, nie staje się dla mnie przez to
kimś przerażającym.

- Zapewne. A jednak, panie kawalerze, zarówno proboszcz,
jak i bracia bertyści są przekonani, że przybył do nich sam
diabeł, albo może diabelski zaufany sługa. Ja zaś nawet sądzę,
że przybył ktoś jeszcze gorszy.

- Kto może być gorszy od diabła w oczach sługi bożego?

- Ktoś, kto wcale nie podlega władzy Stwórcy, bo nie jest z tego świata, albo raczej służy istocie nie pochodzącej stąd.

- Są więc takie istoty?

- Obaj wiemy, że są.

- I ktoś taki przeraził zakonników?

Protazyta potwierdził.

- Bać się mordercy, rzeźmieszka bądź rabusia, o, to potrafi każdy... - wyjaśnił ze spokojem. - Widzę, co chce pan powiedzieć, kawalerze, więc uprzedzę pańskie zastrzeżenia: otóż zakonnicy i księża na pewno nie są żołnierzami ani w ogóle żadnymi bohaterami. Niemniej żyją między ludźmi i nie zwykli umierać ze strachu przed każdym, kto zapyta o drogę do gospody, a niechby i Domów Reus.

- Skoro jednak umierają...

- Są pytania i pytania, kawalerze. Można pytać o Domy Reus jak o każdą inną ciekawostkę, ale można też pytać jak o własny stracony dom, rodzinę, miejsce, z którego się pochodzi. Pytając, można spoglądać z uwagą albo namysłem, ale można też z groźbą i zapowiedzią wszelkich nieszczęść, z zimną drwiną w nieludzkich oczach mordercy. Dziękując za odpowiedzi, można skłonić głowę, dać ofiarę na kościół lub klasztor, ale można też roześmiać się nikczemnie, takim śmiechem, w którym zdaje się pobrzmiwać: „Nieszczęśni durnie! Sami nie wiecie, coście powiedzieli i komu”.

Chal-Chenet otworzył usta, ale zamknął je po chwili i tylko zmarszczył brwi. Rozum podpowiadał, by nie pokpiwać pochopnie z bojaźni świątobliwych braciszków. Czyżby naprawdę nie było na świecie ludzi o niemiłej powierzchowności i

okropnym sposobie bycia? Każdy przecież spotkał w życiu kogoś, do kogo poczuł nagłą, choć bezzasadną odrazę, niechęć, czasem pogardę. I na pewno istnieli także ludzie wzbudzający strach samą postawą.

- Dobrze, ojczy, niech będzie. Ale teraz muszę prosić o dalsze wyjaśnienia. Dlaczego ojciec namawia mnie do spowiedzi, wróżąc śmierć, co nikomu nie jest miłe?

I jaki związek ma to wszystko ze mną?

- Ów przybysz pytał nie tylko o Domy Reus.

- A o co jeszcze pytał?

- Raczej: o kogo. O pana.

- Pytał o mnie?

- Nie o kawalera Chal-Chenet, mówiąc ściśle. Pytał, czy nikt inny nie przybył do klasztoru w tej samej sprawie co on. Powiedziano, że nie, bo wtedy jeszcze było to prawdą. Dzisiaj jednak... Myślę, kawalerze, że dzisiaj by skłamano. Gdyby braciom bertystom wystarczyło odwagi, ukryliby fakt, że odwiedził ich kawaler Chal-Chenet. Nie znając pana, nie dostrzegli w nim jednak tego, co ujrzeli w oczach tamtego przybysza. Baliby się wydać na pana wyrok śmierci.

- Nic mi jednak nie powiedzieli.

- I niezmiernie tego żałują, podobnie jak zacny ksiądz proboszcz. Uspokoilem ich sumienia, obiecując, że rozmówię się dzisiaj z panem.

Szlachcic znowu zmarszczył lekko brwi, lecz po chwili potrząsnął głową.

- To przypadek. Kogokolwiek ten okropny przybysz miał na myśli, na pewno nie chodziło mu o mnie. Nie znam tego człowieka, nie znam w ogóle nikogo takiego.

Ba, pytanie, czy w ogóle znam kogokolwiek w całej wielkiej Nolandii. Całe życie spędziłem w Valaquet, na krótko tylko jako żołnierz napędziłem się do Nordii i Arelay, posłuszny rozkazom przełożonych... trudno jednak powiedzieć, że te kraje znam, bo usłane trupami błonia wszędzie są takie same. Ale mniejsza o to. Ojciec mi mówi, że jutro będę nieżywy? Za sprawą kogoś, kogo wcale nie znam, a kto groźnie wyglądał i pytał o miejscowe legendy?

- Tak, bo dużo wiem o twoim życiu, synu, a najbardziej znam najnowsze twoje dzieje. Nie minęły nawet trzy miesiące, odkąd przybył z Valaquet posłaniec wiozący specjalne pismo, w tym piśmie zaś obok nazwiska generała Roberta hrabiego Se Rhame Sar aż dwukrotnie wymieniono i pańskie. Wiem o klejnocie nieszczęsnej hrabiny Se Rhame Sar; znam losy samego hrabiego, a nawet los jego przybocznego gwardzisty, męznego kawalera Chal-Chenet; znam całą historię aż do chwili, gdy gwardzista ów wyjechał z miasta Lens-Re-Toy, a potem wrócił, wioząc ciało niejakiego Benochta, wiernego sługi hrabiego, któremu to słudze pocziwy ksiądz Welanese urządził piękny pochówek. Czy nie tak właśnie było, kawalerze? Szczycisz się pan swym doświadczeniem, mówisz, żeś wiele w życiu widział, pozwól więc sobie powiedzieć, że nawet nie wiesz, kim jesteś, a raczej kim się stałeś przez sam udział w jednym tylko epizodzie z życia hrabiego Se Rhame Sar. Ktoś, kto uwikłał się w taką historię, nie jest już panem swego losu, nigdy już nie będzie osobą prywatną, zawsze znajdzie się ktoś, kto zażąda odeń pomocy, wyjaśnień, zdania sprawy z takich albo innych czynów, a wreszcie zdradzenia tajemnic. I najbardziej zdradzenia tajemnic!

Nie wiesz, w jakiej grze bierzesz udział, a jest to gra nieobojętna dla monarchów rządzących państwami, mało tego: nieobojętna nawet dla Władcy wszystkich władców, dla samego Pana w Niebiosach, by nie wspomnieć o Jego nikczemnych adwersarzach... Waszmość chcesz mi teraz dalej opowiadać, że nic cię nie może dotyczyć, a podróżujesz po świecie ot tak sobie? I liczysz na święty spokój?

Odchylony na oparcie krzesła Chal-Chenet milczał z przymkniętymi oczami, słuchał jednak bardzo uważnie. Gdy zakonnik skończył, ostatnie jego pytanie długo wisiało w powietrzu, nim nadeszła ostrożna odpowiedź:

- Nie wiem, dla kogo mógłbym przedstawiać jakąś wartość. Tajemnic nie mam, proszę mi wierzyć. Skoro ojciec tak dobrze zna me losy, to powinien wiedzieć i o tym, że przy rozstaniu mój wódz zwolnił mnie z obowiązku bycia dyskretnym. Pamiętam jego słowa jak dziś, bo był człowiekiem godnym najwyższego szacunku, którego podziwiałem i po żołniersku kochałem. Powiedział mi: „Od tej chwili nie mam już tajemnic poza jedną: nie powiem ci, dokąd teraz pojedę. Lecz gdy ktoś cię zapyta, powiesz tak: hrabia Se Rhame Sar obiecuje, że już wkrótce będzie głośno o tym, gdzie pojechał i co uczynił”. Oto własne jego słowa, zacny ojciec. I w samej rzeczy, nie jest już tajemnicą w Valaquet, dokąd jechał; wiadomo też, co uczynił. A ostatnie słowa generała przekazałem pani Se Potres, dostojnej jego siostrze, ta zaś pozwoliła mi czynić, co zechcę. Nie wróciłem jednak do regimentu, pod którego sztandarem dostałem się do

niewoli, bo z końcem roku wygasł mój kontrakt i już go nie przedłużyłem.

- I nie spotkał się pan więcej z generałem?

- W jaki sposób? Nie zabrał mnie ze sobą, bom był ranny i bezużyteczny. Potem wyszło na jaw, że generał nie żyje, odebrał żołnierską śmierć od kuli... choć prawda, że z własnej ręki.

- Jest pan tego pewien, kawalerze?

- Czy ojciec oszalał? Czego miałbym być pewien?

- Że generał hrabia Se Rhame Sar nie żyje.

- Uroczystego pogrzebu nie było, bo chrześcijański pochówek samobójcy nie przysługuje - odrzekł sucho Chal-Chenet. - Nikt nie zabiegał o wystawny pogrzeb, albowiem potężna matka wyrzekła się swojego syna, starsza siostra zaś, niemal wszechwładna w Valaquet, widziała w bratu tylko przydatne wojenne narzędzie. Pozostała pani Anna Jasena, która przywłaszczyła sobie jego hrabstwo i jest teraz lodowym upiorem, o czym ojciec doskonale wie.

- Byłeś pan na pogrzebie?

- Nie, nie byłem, lecz wyznaję, że rozmowa zaczyna mnie nużyć, a mógłbym powiedzieć, że i drażnić... Czy ojciec powie mi wreszcie, kim naprawdę jest i czemu ma służyć to badanie? Kto posyła ojcu listy z Valaquet i z jakiego powodu to czyni?

- Panie kawalerze - rzekł powoli i trochę uroczyście zakonnik - wymordowane przed wiekami kulty nie wracają do świata ot tak sobie. Wszystko to dzieje się za przyzwoleniem Opatrzności. Pohańbiono naszego Stwórcę, z imieniem Jego Syna na ustach mordując bliźnich tylko za to, że nie zetknęli się ze światłem jedynej prawdziwej wiary. Pan Bóg daje nam oto szansę

odkupienia grzechów naszych ojców. To, co przed wiekami wypalono ogniem, winniśmy dziś poskromić, głosząc Słowo Boże z miłością w sercach i Ewangelią w rękę.

- Daruje ojciec, ale w jaki sposób dotyczy to mojej osoby? Ciężko to wyznaczyć wobec duchownego, lecz moja religijność... jakkolwiek szczerą, daję słowo... jest jednak religijnością żołnierską. Ojciec chce, bym głosił Ewangelię?

- Proszę pana o pomoc w rozpoczynającej się właśnie bitwie.

- Wyśmienicie, oto w samej rzeczy zadanie dla żołnierza. Ale w jakiej bitwie, proszę ojca?

- Przeciwno tym, którzy pragną dzisiaj uśpić przywrócone do życia kulty, by następnie rozpętać nową wojnę, taką samą, jaką przed wiekami toczyli przeklętnicy z Bractwa Rycerskiego.

- Bardzo to zagmatwane, przyzna ojciec.

- Co jest dla pana niejasne, kawalerze?

- Prawdę mówiąc, wszystko. Nic nie rozumiem, a jestem już bardzo zmęczony. Proszę spojrzeć: nachodzi ojciec obcego człowieka w wynajętym przez niego pokoju, mówi „niech będzie pochwalony”, a poza tym nic więcej, na co ów człowiek mógłby odpowiedzieć. Kreśli ojciec wizję jakichś tajemnych zmagania, knoń kogoś przeciw czemuś... może zresztą czegoś przeciw komuś... Czego ojciec ode mnie chce? Proszę to wreszcie powiedzieć.

- Spotkania... albo nawet nie spotkania, bo tylko powiadomienia o czymś pańskiego generała.

- Czy ojciec dobrze się czuje?

- Dostojny Robert Se Rhame Sar żyje, pan zaś jesteś jedynym człowiekiem, który wie, gdzie on się ukrywa - odparł zakonnik równie surowo i sucho, jak przed chwilą Chal-Chenet.

- Zaufany sługa, ale bardziej przyjaciel i żołnierz. Oto jaka jest prawda. I wszystko, co zawiera się w tej prawdzie, zechcą z pana wydobyć wrogowie hrabiego, kawalerze.

- Ojciec rzeczywiście oszalał. Widzę, że tracę tu czas.

- Zaprzecza pan temu, kawalerze?

- Czy zaprzeczam oczywistym bredniom?

- Temu, co powiedziałem.

- Ojciec... o ile w ogóle jest pan zakonnikiem, w co zaczynam wątpić... Przecież nawet gdyby te rojenia miały być prawdziwe, to nie przyznałbym tego przed rodzoną matką, cóż dopiero przed kimś, kogo nie znam. Jakiej odpowiedzi ojciec oczekuje? To naprawdę zakrawa na szaleństwo.

- Jestem pańskim sprzymierzeńcem, kawalerze. Zginiesz pozbawiony pomocy, a twoja tajemnica zostanie ci wydartą. Ja zaś nawet nie żądam, byś mi ją powierzył. Oferuję pomoc, ocalenie, ty zaś przekaz tylko wiadomość, nie proszę o nic więc- Mam przekazać wiadomość?

- Tylko tyle.

- Ale komu?

- Panu hrabiemu.

- Więc nieboszczykowi?

- Wiem, że hrabia Se Rhame Sar...

W Chal-Chenecie naprawdę obudził się żołnierz.

- No nie, przebrała się miarka. Idź już, klecho - rzekł, wstając - bo dostarczę argumentu takiego, jaki przedstawiłem oberżyscie.

- Nierozsądnie odrzuca pan pomoc.

- Przeciwnie, bardzo rozsądnie mówię wariatowi: fora! Oberżysto - huknął w głąb gospody, by pokazać, że rozmowa naprawdę dobiegła kresu - wino i posiłek do pokoju, już! Zgłodniałem po długiej spowiedzi!

Protazyta bezradnie pokręcił głową i rad nierad ruszył ku drzwiom. Zatrzymał się jeszcze na chwilę.

- Muszę się z kimś porozumieć... i przyjdę znowu, kawalerze. Powiem wtedy, kim jestem, i przedstawię dowody, dzięki którym będziesz mógł mi zaufać. A tymczasem proszę, strzeż się pan. Teraz mogę tylko... - Pokręciwszy głową raz jeszcze, nakreślił palcami krzyż w powietrzu, zostawiając szlachcicowi błogosławieństwo.

II

Bezimienny zakonnik - kimkolwiek naprawdę był, bo czy rzeczywiście zakonnikiem? - pozostawił Chal-Cheneta zamyślonym, poirytowanym, a najbardziej niepewnym, co winien robić dalej. Wyjechać z Moun, jak planował wcześniej? A może raczej zostać i dowiedzieć się więcej o niemiłym przybyszu, tajemniczym protazycie, a zresztą o wszystkim innym? Oto rozterki człowieka, który nie wie, co ze sobą począć. Bo tak przecież było w istocie: Chal-Chenet jechał donikąd, nie mając do roboty całkiem nic, uciekając tylko od przeszłości, bo wszystko, czemu służył, zostało za jego plecami. Zaszczytna służba u boku Weroniki Teresy Ayhoe przestała być taką, gdy wyszły na jaw jej niegodziwości i zbrodnie. Lecz związany żołnierskim słowem szlachcic nie mógł zdezerterować, bił się więc o sprawę, której nie popierał, służąc pani, którą skrycie gardził... Wreszcie ranny trafił do niewoli, a w lazarecie wroga zawdzięczał należyłą opiekę (więc zapewne i życie) wstawiennictwu ge-

nerała Se Rhame Sar, znającego niemal wszystkich żołnierzy z regimentu gwardii swej matki, bo był to jego ulubiony regiment za starych, dobrych czasów. Generał jednak służył teraz dostojnej swojej siostrze, może gorszej nawet od matki - i Chal-Chenet po raz drugi wojował pod sztandarem, którym prawdziwie się brzydził, był to bowiem sztandar już nie tylko zbrodniarki, ale jeszcze uzurpatorki. Na szczęście owa wojaczka miała teraz charakter cokolwiek symboliczny, jako że żołnierz wzięty do osobistej eskorty generała wypełniał tylko jedno zadanie: w razie potrzeby miał osłaniać go własną piersią - co czynił tak długo, jak mógł. Gdy już nie mógł, nie znalazł powodu, dla którego chciałby służyć dalej jakiegokolwiek sprawie i pod jakimkolwiek sztandarem, szczególnie w prowincji Valaquet. W ten oto sposób niestary, lecz samotny człowiek, którego całym życiem było wojsko i służba, kapitałem zaś muszkiet i rapier, odnalazł się bez celu, bez pieniędzy, bez widoków na przyszłość, w podróży skądś dokądś... Pyszny los i

Przysłany przez oberżystę posiłek smakował nie najlepiej; może to kwaśny humor biesiadnika zatruł pieczeń, a może - co bardziej do prawdy podobne - wszystko w tej gospodzie było paskudne i pod psem. Zjadłszy, Chal-Chenet pozbiierał swój dobytek (a miał raptem jedną sakwę podrózną), po czym wiedziony nawykiem opatrzył broń i odszukał gospodarza, by mu podziękować za gościnę.

- Ach, więc Wasza Wielmożność już wyjeżdża?

W głównej izbie gospody nie siedział zupełnie nikt, pora była zbyt późna na śniadanie i zbyt wczesna na obiad, a już

zwłaszcza na wieczorną popijawę, gdy złąziło się tu chyba pół miasta.

- Nadmiar bezczelności, oberżysto. Tak, opuszczam twój znakomity dom, w którym podsłuchuje się gości, a posiłki smakują jak nie przymierzając... - przypomniawszy sobie, że już nie jest żołnierzem, ale w zamian pozostał szlachcicem, Chal-Chenet nie dokończył rozpoczętej myśli. - Należność za noclegi uregulowana, czy winien coś jestem za posiłki?

Spożył tylko dwa, bo oszczędzał, a bułki kupowane na straganach wychodziły taniej niż śniadania i obiady w gospodzie. Ale jeśli liczył, że przyłapany na podsłuchiwanie oberżysta spuści z tonu i machnie ręką na drobne, to się srodze

- Jeszcze talar i siedem kwartyneków, jeśli Wasza Wielmożność łaskaw.

Chal-Chenetem zatrzęsło, bo był to istny rozbój w biały dzień.

- Oto talar i kwartyn, hultaju, bo tyle w kieszeni mam drobnych... Jeśli chcesz całej sumy, to będziesz musiał mi zmienić dublona.

- Da się zrobić, Wasza Wielmożność, zaraz wydam resztę. I, za przeproszeniem pana, żaden ze mnie hultaj. Nigdy nikogo nie skrzywdził ani nie oszukał.

- Ale masz długie ucho, czy nie tak?

- No, Wasza Wielmożność... No tak, trochę mam długie ucho. Lecz to jeszcze przecież nie hultajstwo. A ten dublon, za pańskim pozwoleniem...?

Wojenne fortele wdrażało się znacznie łatwiej.

- Jeszcze chwilkę, łaskawco... Czemuś mi nie powiedział, że pytano tu o mnie?

- Ale... kiedy, Wasza Wielmożność?

- Był u ciebie ktoś, kto zasięgał wieści o człowieku rozpytującym o Domy Reus. Było to jeszcze przed moim prz- Ależ mówiłem o tym wielmożnemu panu!

- Uciekłeś, nim zdążyłem dopytać.

- Skoro pan tak mówi, to musi być prawda. Ale, proszę czcigodnego pana, nie powstało w mojej pustej głowie, że to jest coś więcej jak tylko zbieg okoliczności. Tamten człowiek na pewno nie mógłby być pańskim towarzyszem.

- Może sam to ocenię, jeśli łaska. Jak wyglądał?

- Źle mu z oczu patrzyło, Wasza Wielmożność rozumie. Bardzo źle. Widywałem tu już takich... chociaż nie, takich żem nie widywał. Bywali tu i tacy, co na pewno uciekli katu, ale gdzie im do tego tutaj... Aż ciarki chodziły po grzbiecie.

Oberżysta przełknął ślinę i dotknął czoła.

- Lecz to nie był pański towarzysz? Bo pan mnie tu zagadał i za język ciągnie... Wasza Wielmożność zachowa swojego dublona, nie będziemy już go zmieniać, moja strata. Tylko, proszę wielmożnego pana, gdyby zetknął się pan z onym podróżnym, to nie trzeba mu mówić, żem o nim w ogóle wsj- Długo tutaj zagościł?

- Nie, na szczęście krótko. Tylko zapytał, co wiem o Domach Reus i czy nikt inny o to nie wypytywał. Rzekłem, że wielu o to pytało, bo w gospodzie, wiadomo, pyta się o różne takie bajki i o wszystko, co komu Wpadnie w ucho.

- I co on na to?

Chciał wiedzieć, czy ostatnio też ktoś pytał. No tom odrzekł, że nie, że najprędzej będzie jakieś dwa miesiące nazad. Wtedy machnął ręką, wykrzywił się jakoś tak dziwnie i trochę strasznie... Zrozumiałem, że dwa miesiące to chyba nazbyt dawno. Poszedł, nawet kwartynka nie podsunął za wieści, co wszędzie jest powszechnym zwyczajem.

- Opisz mi dokładniej tego podróżnego. Że źle mu z oczu patrzyło i że krzywi się jakoś strasznie, to już wiem... Ale: szlachcic? Wysoki, niski, z brodą albo bez?

Oberżysta wyraźnie pragnął zakończyć niemiłą rozmowę. Znów dotknął ręką czoła i zagapił się gdzieś na ścianę.

- Żeby tak rzec prawdę, to... nie wiem, Wasza Wielmożność. Szpadę albo pałasz chyba miał, ale to nosi byle zbój, za przeproszeniem pana, bo nic złego na myśli nie mam. Nie potrafię powiedzieć, jak wyglądał, aż dziwne. Zapamiętałem tylko, że był jakiś niesamowity.

- No dobrze, gospodarzu, zostawimy to. Kwartyna za wieści nie podsunę, choć jest to powszechnym zwyczajem, w zamian puszcę w niepamięć, żeś mnie podsłuchiwał we własnym moim pokoju, uczciwie zapłaconym. A „hultaja” nie miej mi za złe, co powiadam ci, bo przykro zostawiać za sobą kogoś niepotrzebnie urażonego.

Oberżysta uśmiechnął się półgębkiem, ale chyba szczerze.

- Dobre słowo warte więcej niż kwartyn, proszę wielmożności. Z Bogiem, panie... bo to chyba wolno powiedzieć każdemu, bez uwagi na urodzenie.

Tak oto rozstawszy się z oberżystą w miłej zgodzie - pobłogosławiony tego dnia po raz drugi - Chal-Chenet

poszedł po konia. Uprzedzony pacholek migiem sprowadził zwierzę, poczekał, aż właściciel własnoręcznie je osiodła, po czym podał sakwę podróżną, trochę dziwiąc się wystającemu z niej długiemu pakunkowi. Nie śmiał pytać, choć ciekawość wyłaziła mu ze ślepiów (wart pryncypała pracownik...), ale nawet gdyby zapytał, Chal-Chenet nie przyznałby przed nim, że jeden raz w życiu coś ukradł. Miał przy sakwie podróżnej swój muszkiet. Wykonano takich tylko cztery setki, specjalnie dla regimentu muszkieterów-halabardników w Re Alide, stolicy Valaquet. Żołnierze tego regimentu, będącego elitą elit, wszystko mieli najlepsze i specjalnie dla nich zrobione, od halabard począwszy, na ognistej broni do polowej służby kończąc. Na okuciu muszkietu wytrawiono herb Rodu Ayhoe, na kolbie zaś wyryto zwieńczone proporcami krzyże Bractwa Rycerskiego. Zwolniony ze służby żołnierz winien był zdać swoją broń. Ale Chal-Chenet nie pojechał do dostojnej Weroniki Teresy, księżna Se Potres zaś o nic nie pytała... Ciężka strzelba bez postradanego w przegranej bitwie forkietu była mało przydatna, ale odchodzący ze służby gwardzista nie umiał wyrzec się wiernego - albo zgoła najwierniejszego - przyjaciela, który mało sto razy go osłonił swym smoczym, ognistym od. Wkrótce przemierzał konno wąskie uliczki Moun.

Tego samego dnia, jakieś cztery godziny od chwili, gdy Chal-Chenet skończył rozmowę z zakonikiem, na przedmieściu Moun turkotały koła olbrzymiej czerwonej karety migoczącej

złożonymi okuciami. Sześć dużych koni zaprzęgowych, ustrojonych w trzęsące się nad łbami kity, starannie dobrano maścią; były to same deresze, co zresztą nie dziwi, jeśli zważyć, że należały do rasy dolnowerskiej, a takie umaszczenie dla dolnowera jest czymś całkiem zwyczajnym. Każdy znawca koni musiał się zachwycić, widząc tę szóstkę zwierząt, równie dobrze sprawdzających się w zaprzęgu, jak pod siodłem. Kimkolwiek był właściciel karety, lubił się pokazać, to pewna; taki pojazd, i tak ciągniony, mógłby należeć i do księcia krwi. Tym bardziej dziwił brak herbu na drzwiczkach. A może właśnie dziwić nie powinien... Wydawało się bardzo możliwe, że w ogromnej karecie pyszni się jakiś rumiany nuworysz, dodający sobie splendoru migotaniem mamony, skoro urodzeniem niczego dodać nie mógł. Konie prowadzone przez stangreta, obok którego siedział sługa z muszkietem opartym o udo, kłusem szły przez uliczkę; przechodnie spiesznie uciekali z drogi. Ten i ów złorzeczył pod nosem, bo jawnie złorzeczyć nie śmiał wobec tak widomego bogactwa, a co za tym idzie, z pewnością i potęgi

Moun było raczej miasteczkiem niżli miastem - kilkanaście lub dwadzieścia parę ulic, trzy karczmy i trzy zajazdy, poczta, rynek, a przy rynku ratusz, remiza straży ogniowej i obok koszary wojska (jeśli aż „koszarami” nazwać wartownię i blokhauz dla dwudziestu żołnierzy), jeszcze cmentarz, trzy kościoły i klasztor bertystów - ten ostatni wszakże już za miastem - oto było wszystko. Miasteczko leżało wprawdzie przy bardzo ważnym gościńcu, ale otoczone przez mokradła, wtłoczone w widły

dwóch rzek, nie mogło się rozwijać. Było to kiedyś - i właściwie zostało nadal - wyborne miejsce obronne, odkąd jednak państwo okrzepło, a granice pomknęły w dal, błogosławione rzeki i bagna stały się dla miasta przekleństwem. Zyski z handlu - bo gdzie ważny gościniec, tam i handel - czerpała Augenea, położona zaledwie parę mil dalej, piękna, młoda stolica departamentu.

Obronne miasteczko; no tak, bo był przecież jeszcze zamek. Stary, lecz wciąż krzepki i zadbany, a nawet poprawiony nie tak dawno podług reguł wojskowej inżynierii, która dla armat musiała mieć nie baszty, lecz bastiony, lub chociaż basteje, panował nad mostami i traktem. Królestwo nie skąpiło na przebudowę; właściciele fortecy otrzymali z państwowej szkatuły bardzo znaczne subsydia, bo chyłca się ku upadkowi ościenna Arelay, niegdyś drugie mocarstwo świata, była teraz krajem całkiem nieobliczalnym, ze słabą i stale słabnącą władzą monarszą i rozpanoszoną sobiepaństwem. Pustoszący to państwo kataklizm skłaniał różnych awanturników do myśli, by poszukać domu gdzie indziej. A tak się składało, że szukający nowych domów albo szukający czegokolwiek zgoła Arelowie zawsze najpierw łypali ku Nolandii...

Kareta jechała do zamku.

Przy otwartej bramie straż pełnili dwaj halabardnicy w czarno-białych pasiastych pludrach, w półzbrojach i z grzebieniastymi szturmakami na głowach. Stangret zatrzymał karocę, towarzyszący mu zbrojny sługa pochylił się ku strażnikom i wymienił jakieś nazwisko. Pokazano, że można jechać.

Kareta zajechała na dziedziniec zamku. Zaraz wypadła skądś służba, lecz siedzący na koźle drab z muszkietem nie pozwolił nikomu się ubiec, oddał swą broń stangretowi, sam zaś zeskoczył na ziemię i przystawił do drzwiczek wygodne, wyjęte z kufra pojazdu schodki, wybornie pasujące rozmiarami do stopnia przytwierdzonego na stałe. Drzwi otwarły się, zaszeleściła zielono-czarna suknia i obitego czerwonym aksamitem schodka dotknęła drobna jak u dziecka stopa obuta w zgrabny trzewik. Młoda kobieta, korzystając z pomocy sługi, zeszła na dziedziniec. Liczyła lat nie więcej niż dwadzieścia trzy, była niskiego wzrostu - zwłaszcza gdyby odjąć obcasik trzewiczka - lecz tak kształtnie i proporcjonalnie zbudowana, że zachwycić mogła każde oko. Z dołeczkami w policzkach wyglądała na osobę wesołą i figlarną, a wrażenie pogłębiały jeszcze niesforne rude włosy, zebrane z tyłu i przewiązane czarną kokardą. Dziwna to była osóbką... Kosztująca fortunę suknia zaspokoilaaby gust każdej damy, a kształt ucha wymykającego się spod rudych pukli, linia szyi czy wreszcie nieskazitelny zarys smukłych dłoni zdawały się potwierdzać przynależność właścicielki owej sukni do świetnej arystokracji, zachowanie jednak z tym nie licowało. Dziewczyna zamieniła bowiem kilka zdań ze służącym i zwróciła się z pytaniem do stangreta, a z tych konwersacji zdawało się wynikać, że i ona jest zaledwie czyjąś służką. Rzecz niezwykła... Miejsce pokojówki było chyba na schodku karety, nie w jej wnętrzu. A wreszcie - jakaż pani chciałaby mieć służkę przyodzianą w suknię i strojną w klejnoty godne damy z fraucymeru królowej? Taka pokojówka zbyt wiele ujęłaby swej chlebo-

dawczyni splendoru; czyż warto rywalizować ze służącą, gdy w grę wchodzi strój i uroda?

Odpowiedź nadeszła szybko. Rudowłosa ślicznotka żwawo jak płomyk skoczyła ku drzwiom karocy i z widocznym respektem pomogła wysiąść kobiecie starszej od niej, lecz najwyżej trzydziestoletniej, przyodzianej w błękit i czerwień. Osoba ta stanęła na zamkowym bruku i zwróciła spojrzenie ku wejściu, od którego pospieszał właśnie wysoki mężczyzna w czarnych szatach. Zastrzeżenia wobec stroju służki, domysły o jakiejś rywalizacji zasługiwały już tylko na wzruszenie ramion. Piękna blondynka, do której należała karetka - bo to do niej należała bez dwóch zdań - na miłą dawała się poznać jako wielka pani, przedstawicielka rodu, którego genealogiczne korzenie sięgały starożytności. Urodziwa w całkiem inny sposób, lecz nie mniej niż pokojówka, biła ją na głowę pod każdym innym względem tak dalece, że wszelkie odniesienia jednej do drugiej musiały się wydać aż niestosowne. I zresztą były takimi... Gdzież ta biedna ruda wiewiórka miałaby sprostać swojej złotowłosej żywicielce, która samym postawieniem stopy, poruszeniem głowy i ramion, każdym gestem, jeśli nie oddechem, dawała się poznać jako osoba wyjątkowego formatu.

Mężczyzna w czerni zatrzymał się o dwa kroki i skłonił z wielką godnością, pod którą dało się wszakże dostrzec odcień niepokoju. Pięćdziesięcioletni albo trochę młodszy, ubierał się z cudzoziemska, ze staromodną kryzą wokół szyi wyglądał nieco jak arelski grand sprzed półwiecza, nim do Arelay na dobre zawitały moda i tytuły z Nolandii.

Pani baronowo.

- Ależ siostrze, braciszku, siostrze albo Renato! Jaki chłodny, jaki godny, jaki dystyngowany! - odrzekła strofująco, ale i ze śmiechem, rozwijając wachlarz ruchem, którego niepodobna było podpatrzeć u nikogo innego. - I wobec kogo? A wstydz się!

Po czym dorzuciła:

- Okropnie długo to trwało! Nie uwierzysz, drogi kuzynie, jak bardzo stęskniłam się za tobą!

Właściciel zamku nie rozpogodził się ani nie odpowiedział uśmiechem.

- Czy naprawdę, kuzynko?

- Ależ tak - zapewniła, dając mu policzek do pocałowania i żartobliwie uderzając w ramię znów zwiniętym wachlarzem. - Tyle wspomnień... - dorzuciła nagle, rozglądając się wokół. - Zdają się do mnie wychodzić z każdego załamania tych murów.

- Trochę się boję tych wspomnień, kuzyneczko - rzekł gospodarz nieodmiennie chmurny, podając jej ramię, na którym zaraz się oparła.

- Rzeczywiście? Dlaczego? Co strasznego w takich wspomnieniach?

- Nic... To tylko, że są. Widok twojej osoby, Renato, zawsze sprawia mi prawdziwą radość, ale myśli o sprawach, którymi się otaczasz, niedobrze tej radości towarzyszą.

- Oho... Sprawy, którymi się otaczam.

Wybornie udało jej się oddać ton mówiącego.

Lecz i tym razem się nie uśmiechnął.

- Owszem, sprawy. Właśnie one, moja droga Sa Tuel.

- A jakie? Nie mam żadnych spraw. Albo raczej: żadnymi się nie otaczam.

- Gdyby tak było rzeczywiście, to nie witałbym cię dzisiaj w moich progach.

- Przyjechałam, żeby cię zobaczyć.

- To miłe, lecz nieprawdziwe.

- W takim razie jeszcze po wieści. Jednakże wieści to chyba nie są sprawy?

- Skoro tak to ujmujesz. Ja nie dokonuję podobnego, bardzo subtelnego, przyznasz, rozróżnienia. - Po raz drugi skłonił się lekko, stając tuż przy drzwiach swego domu i puszczając przodem towarzyszkę.

Drzwi były wąskie, zamkowe, forteczne. Tak ciasne, że przejść mogła przez nie tylko jedna osoba.

Przy bramie wszczął się ruch. Jeszcze jeden powóz zajechał na dziedziniec - mała czarna karoca, bardzo skromna i niezbyt wygodna, zaprzężona tylko w dwa konie; taki pojazd można nająć na niemal każdej poczcie, ale ten był chyba własnością prywatną, bo na drzwiczkach nie wymalowano zielonych pocztowych proporczyków. Baronowa Sa Tuel obejrzała się przez ramię.

- Melanio - powiedziała - poleć Katarzynie, by zajęła się bagażami.

Po czym dorzuciła bezgłośnie: „Zostaniemy dłużej!”.

Więcej niż średnia w latach, zażywna służąca właśnie wygramoliła się z małej karety wspomagana przez syna - bystrego chłopca, czternastoletniego lub niewiele starszego, który wdrażał się do służby masztalerza. Rudowłosa Melania przekazała Katarzynie rozkaz baronowej, po czym szeleszcząc koronkami

sukni, pobiegła za swoją panią.

W korytarzu czekała cała służba ustawiona w szpaler. Piękna blondynka nie uznała widać tego za objaw szczególnej atencji; ściśle mówiąc, chyba nawet nikogo nie zauważyła - a być może powinna dostrzec choć niektórych, bo stary lokaj i ochmistrz znali ją bez mała od dziecka i zapewne liczyli na łaskawy gest, albo chociaż przelotne spojrzenie.

Wciąż wiodąc lekką, choć nabrzmiałą podtekstami rozmowę z krewniakiem, pozwoliła poprowadzić się w głąb domu. Melania podążała pięć czy sześć kroków za plecami swej pani. Gospodarz chciał wiedzieć, kiedy prosić do stołu. Przypomniał, o której godzinie spożywane są posiłki w jego domu, lecz dodał zaraz, że dla ważkich powodów pory te można zmienić; było oczywiste, że ważkim powodem jest dlań przybycie gościa (choć, rzecz jasna, nie każdego). Ustaliwszy, ile czasu zajmie pięknej krewniaczce toaleta po męczącej podróży, wskazał przygotowane dla niej pokoje, oddał do dyspozycji część służby i pożegnał się na krótko, obiecując wrócić o właściwej porze.

Baronowa chciała zostać sama, ale nie musiała mówić ani słowa, bo wyręczyła ją uważna pokojówka. Uczyniwszy gest, który bez wątpienia podpatrzyła u swojej pani, oddała garderobianą i towarzyszącą jej dziewczynę, po czym sama sprawdziła, czy drzwi są dokładnie zamknięte.

Baronowa poszła prosto do szezlongu, najwyraźniej nie zamierzając na razie odświeżać się po podróży. Legła nań w pozycji, którą można by oględnie nazwać swobodną, ale jednak

lepiej- niedbałą. Oparła podbródek na dłoni, łokieć zaś na czerwonej poduszeczce.

- No i co mi na to powiesz, Melanio? - zapytała, ale tak, jakby odpowiedź nie bardzo ją obchodziła.

- Powiem, że miała pani rację - odparła pokojówka, nie mając zgoła pojęcia, o co chodzi.

- Ale czy nie jest wyjątkowy, sama powiedz? „Sprawy, którymi się otaczasz...” Ja! Ja się otaczam. A on nie, skąd, bynajmniej.

- Ale pani sama mówiła, że pan Se Reus...

- Dokończ, co zaczęłaś.

- Przepraszam.

- Masz dokończyć, nie powtórzę po raz trzeci.

- Mówiła pani, że jej dostojny kuzyn do niczego się nie nadaje.

Baronowa parsknęła śmiechem i zamilkła, z zaciekawieniem przyglądając się Melanii.

- Ależ ty jesteś głupia - rzekła z niedowierzaniem i odrobiną podziwu.

Służąca nie chciała i nie mogła wyrażać opinii o krewniakowi swej chlebodawczyni, powtórzyła tylko jej własne słowa.

- Czy teraz zechce pani zmienić suknię? Odszukam Katarzynę, bo skoro postanowiła pani, że zostaniemy tu dłużej...

- Zmienić suknię? Nie. A po co? Jeszcze sobie pomyśli, że chcę mu się podobać.

Pokojówka uśmiechnęła się trochę figlarnie, a trochę złośliwie, dokładając jednak starań, by jej na tym nie prz- Ale pod różną suknią...

- Cóż takiego podróżna suknia?

Cokolwiek miała na sobie baronowa, nie wyglądało na podróżną suknię.

- Skoro jednak tak nalegasz, moja droga, to poproszę, byś ty się przebrała. Tak, Melanio, ty właśnie. Czy jest ktoś jeszcze w tym pokoju, do kogo mogłabym mówić?

- Ale pani powiedziała...

- Znowu? Nie pouczaj mnie, wiem, co powiedziałam. Jednak twoja misja skończyła się z chwilą, gdy wysiadłyśmy z karety, już nie musisz udawać kogoś, kim nie jesteś. Chociaż... Nie, poczekaj.

Baronowa Sa Tuel dotknęła palcem górnej wargi i przez długą chwilę w zamyśleniu patrzyła przed siebie.

- Ty tam pójdziesz - powiedziała wreszcie, przygryzając lekko paznokiec. - Podasz umówione nazwisko i zażądasz informacji.

- Przecież mogę to zrobić jako pani służąca - odparła rezolutnie dziewczyna.

- Do służącej nikt nie strzeli z pistoletu, jeśli jest tam jakaś zasadzka - wyjaśniła spokojnie baronowa. - A jeśli nikt nie strzeli, to tym samym się nie zdemaskuje. W ogóle nie znam tego człowieka. Oberżysta - powiedziała z nieudawanym wstrętem i czymś w rodzaju niedowierzania. - Nie sądzisz chyba, że pójde z nim rozmawiać... Pójdziesz ty. I podasz się za mnie, co tak wybornie potrafisz.

- Czy pani obawia się czegoś? Pytam, bo chcę jak najlepiej wywiązać się z zadania - powiedziała pokojówka, widząc, jak pani unosi piękne brwi.

- Nie, dziecko, nie obawiam się niczego konkretnego. Po prostu nie znam naszego informatora, a w zamian pamiętam, jaką grę prowadzę, i... dobrze znam to miasteczko. Nigdy nic dobrego mnie tutaj nie spotkało. No, wyjąwszy może zażyłość... rodzinną zażyłość, uważasz... z naszym gospodarzem.

Nie wiadomo, gdzie leżała granica oddzielająca służkę od przyjaciółki; baronowa przekraczała ją w tę i z powrotem, jak chciała i kiedy chciała - oto bowiem posłała Melanii porozumiewawcze, niemal jawnie bezwstydne spojrzenie, które jasno określiło naturę „rodzinnej zażyłości”, po czym znowu popadła w zadumę.

- No tak, właśnie... Bo co też ty mówiłaś? Że powinnam się tutaj podobać.

Rudowłosa śliczność stała w miejscu, zerkając na zmarszczone w głębokim namyśle czoło swojej pani, cisza zaś trwała i trwała.

- Mówisz: nawiązać romans z kuzynem?

Pokojówka nie tylko nic nie mówiła, ale i nie myślała o żadnym romansie, a o minionych zakusach swej pani względem gospodarza dowiedziała się dopiero przed minutą.

Baronowa myślała.

- Więc chcesz, bym zawróciła mu w głowie? Cisza, cisza i cisza.

- Znowu każesz mi być zwykłą ladacznicą.

Nikt niczego baronowej nie kazał; niemniej przyznać trzeba, że ruda głowa służącej drgnęła lekko, niemal niedostrzegalnie, ale za to twierdząco, a dołek w jednym z policzków pogłębił się na sekundę, czego jednak zamysłona pani zauważyć nie mogła.

- Ale po co? Biedny Normen jest na pewno godny zaufania... oczywiście w granicach rozsądku. Boi się mnie na tyle, że nie musi już pożądać, by zrobić, co mu każe... zwłaszcza że niczego nie każe. Ale romans nigdy nie zaszkodzi, prawda; puste łóżka są takie zimne... - rozważała z jawnym bezwstydem.
- Mówisz więc, że powinnam zaprosić szlachetnego kuzyna na wieczorną partyjkę fryza... Grywają tu w karty, jak uważasz?

- Przecież grywają wszędzie.

- Moun to nie jest wszędzie, to jest nigdzie. Mówisz mi jednak, że grywają? Dobrze, więc chyba cię posłucham. Ale strzeż się, jeśli wyniknie z tego coś niepożądanego - powiedziała baronowa Sa Tuel. - Zapamiętaj sobie, że cię ostrzegałam.

- Tak, proszę pani.

- Teraz idź. Weźmiesz moją karetę, gospodarz zechce rozkazać, by wprzężono ci świeże konie... bo mają tu chyba konie do zaprzęgu, jak uważasz? - Westchnęła. - Nim jednak odjedziesz, odszukaj Katarzynę i jeszcze tę garderobianą uprzejmie przysłaną przez mojego kuzyna.

- Tak, proszę pani.

- Przyślij mi tu obie.

- Przyślę zaraz.

- Zajedziesz przed gospodę z odpowiednim wzięciem, żeby nie przynieść mi wstydu; liczę, że potrafisz?

- Oczywiście, pani przecież wie.

- Dowiesz się wszystkiego i wrócisz. Czasem myślę, że pan Del Wares naraił mi cię na złość - rzekła baronowa ni przypiął, ni przyłatał. - Idź już sobie, chcę być wreszcie sama.

Na dźwięk nazwiska pana Del Wares pokojówka znowu uśmiechnęła się złośliwie, choć ukradkiem. Ukłoniła się nisko, po czym wyszła, ale jeszcze przez chwilę migotała w jej oczach wyjątkowo szelmowska iskierka.

Gospoda „Pod Jarzębiną”, którą ledwie parę godzin wcześniej opuścił młody gwardzista z Valaquet, nie leżała daleko od zamku; w Moun nic zresztą od niczego nie leżało daleko... Złożyło się jednak tak, że rudowłosa służka pani Sa Tuel musiała przejechać niemal przez całe miasteczko, pokazując wspaniały pojazd wszystkim jego mieszkańcom. Nie tylko zresztą mieszkańcom, ale i przybyszom; Chal-Chenet, który koniec końców nie wyjechał z Moun, a tylko przeprowadził się do drugiej gospody, dostrzegł ogromną karetę przez okno i nie zdołał powstrzymać odruchu zdziwienia. Kilku gości wybiegło aż na próg, kilku innych skoczyło do okien, by oglądać baśniowy powóz; jeszcze nie zmierzchało i pomimo wczesnowiosennych chmur było dosyć widno, by można było obejrzeć każdy pyszny szczegół. Chal-Cheneta uderzyło tak wielkie zainteresowanie zacnych mieszczan, bo zdawało się dowodzić, iż karoca nie należy do nikogo stąd. Nie zamierzał przepychać się i tłoczyć z okupującym gospodę pospólstwem, został więc na swoim miejscu za stołem - bo nie mógł przecież wiedzieć, że poniekąd on sam jest przyczyną całego zamieszania. Czerwona kareta na pewno nie zjawiłaby się w Moun, gdyby nie kawaler Chal-Chenet.

Pojazd skręcił w ulicę Czterech Braci, ominął rynek, pojechał dalej ulicą Świętej Teodory, wreszcie zajechał przed gospodę „Pod Jarzębiną”, wzbudzając nowe poruszenie i podziw. Gospodarz, powiadomiony o przybyciu tak świetnego gościa, skwapliwie wybiegł przed próg domu, zrywając w biegu niezbyt czysty fartuch, którym był okryty od pasa po kolana.

- Pan jesteś właścicielem tej oberży? - zapytano z koźła karety.

- We własnej osobie... do usług.

Siedzący na koźle obok stangreta zbrojny sługa nie pytał o nic więcej, wskazał tylko okienko w drzwiach pojazdu. Oberżysta zbliżył się niepewnie i z szacunkiem. Firanek odsunięto; ponaglony gestem pacholka gospodarz wspiął się na wysoki stopień i zajrzał do środka.

- To gospoda „Pod Jarzębiną”, chyba się nie mylę? - zapytano.

Gospodarz przełknął ślinę. Siedząca w karecie dama nie patrzyła nań; spoglądała na zewnątrz przez drugie okienko, od niechcenia bawiąc się wachlarzem.

- Mój poczciwce, czy to tak trudno odpowiedzieć na pytanie?

- Jaśnie Pani przebaczy... Tak, to ta gospoda, chyba ta, proszę łaski... - wybełkotał oberżysta, uczepiony drzwiczek niczym leśna małpa.

Zwinąwszy wachlarz ruchem, który wydał się oberżystyce gestem zgoła królewskim (a w istocie był dobrze podpatrzony u baronowej Sa Tuel), dama z karety spoglądała przez chwilę na pierścionek zdobiący jej palec, jakby szukając w nim odpowiedzi na pytanie, co począć z człowiekiem, który nie wie, jak

nazywa się jego gospoda.

- Czy to pan posłałeś niedawno wiadomość do... pewnej osoby w Loen?

Zmieszanie i przestrach gospodarza stały się widoczne jeszcze bardziej. Od chwili gdy ujrzał, że w pojeździe siedzi pasażerka, nie pasażer, spodziewał się podobnego pytania.

- Czy posłałem wiadomość?...

- Tak właśnie, wiadomość - powiedziała właścicielka wachlarza tonem po równo niecierpliwym i znudzonym. - Czy przestaniesz pan wreszcie się trząść?

To powiedziawszy, powoli zwróciła twarz ku rozmówcy i spojrzała prosto na niego.

Wielkie nieba!

Nieszczęsny donosiciel nie mógł wiedzieć, że każdy gest, każde słowo, a nawet ton głosu siedzącej w karecie wielkiej pani ukradziono komuś innemu... może zresztą raczej pożyczono, bo piękna złotowłosa baronowa o wszystkim przecież wiedziała. Ale oberżysta nie mógł tego zgadnąć, zresztą było mu wszystko jedno, otworzył więc tylko usta, bo spojrzenie, które go przewierciło, wydawało się aż nieludzkie. Nieszczęśnikowi stanęło przed oczami wspomnienie strasznego gościa, który jakiś czas temu podobnym spojrzeniem skłonił go do przyjęcia zlecenia. Lecz wtedy przynajmniej patrzył nań mężczyzna.

Piękność o rudych włosach miała twarz jakby stworzoną do uśmiechu, gospodarz jednak nie miał wątpliwości, że zawsze jest to uśmiech złowieszczy. Czasem jeszcze, być może, zimny i szydyczny.

- Posłałeś mi pan kartkę z umówionym hasłem, wnoszę więc, że spotkałeś kogoś, kto mnie interesuje. - Piękna i straszna pani z powrotem zwróciła spojrzenie ku okienku w drugich drzwiach karety i oberżysta natychmiast odczuł ulgę. - Czy nie taka była umowa? Rozumiem, że pojawił się u ciebie szlachcic z Valaquet pytający o Domy Reus?

- Ale... Proszę przebaczenia Jaśnie Pani... Kazano mi zapytać o godność... Proszę przebaczenia za zuchwalstwo, lecz... ten człowiek bardzo nalegał... obstawał... - Oberżysta gotów był się tłumaczyć, dlaczego spłodził czworo, nie zaś dwoje lub siedmioro dzieci.

- O mój Boże, ależ pan jesteś głupi - rzekła z niedowierzaniem i czymś w rodzaju podziwu.

Nieszczęśnik poczuł na plecach nowe zastępy mrówek.

- Kazano ci rozmawiać z panią Sa Veres albo kimś, kto wymieni to nazwisko. Zgadza się? Skoro więc wszystko się zgadza, to mów pan wreszcie, co masz do powiedzenia.

Udająca wielką damę trzpiotka nie mogła spokojnie wysiedzieć w cudzej skórze; odwracała się od oberżysty najbardziej dlatego, by nie dostrzegł jej roześmianych oczu. Przytupywanie drobnej stopy, które wystraszony rozmówca poczytywał za objaw zniecierpliwienia, brało się zaś z wewnętrznej szelmowskiej radości. Choć śliczna Mel swoją panią potrafiła udawać wybornie, to w głowie miała jednak przede wszystkim siano wymieszane ze skłonnością do psich

Odetchnąwszy głęboko, oberżysta najpierw chaotycznie, a potem trochę konkretniej, jął opowiadać o gościu, który przed

niespełna ośmioma godzinami opuścił progi jego gospody. Kobieta słuchała uważnie, bawiąc się wachlarzem i dopytując o niektóre szczegóły.

- A ten zakonnik - rzekła na sam koniec. - Mówisz więc, że nie był umówiony?

- Nie, proszę Wielmożnej Pani, na pewno nie był.

- Powiedziałaś, że to protazyta.

- Tak, pani.

- Szczególny jakiś?...

- Bardzo młody.

- I nie był umówiony?

- Nie, ale mimo tego pan Chal-Chenet zgodził się go przyjąć.

- Pan Chal-Chenet! - przerwała z ożywieniem. -

Powiedziałaś: pan Chal-Chenet, dobrze usłyszałam?

- Właśnie tak, proszę Jaśnie...

- Więc przedstawił ci się?

- Nie, pani. Ale usłyszałem to nazwisko... przypadkiem.

- A od kogo?

- Z ust zakonnika, o którym...

- I na pewno należało do twojego gościa?

- Bez wątpienia.

- Opowiedz mi o tym dokładnie.

Oberżysta poszedł za wezwaniem.

Zdarzyło się trochę za dużo. Ten zakonnik; co go przyniosło?... Melania nie bardzo wiedziała, o co jeszcze powinna pytać szpiega. Inteligencji baronowej Sa Tuel nie dało się naśladować równie łatwo, jak wielkopańskiego poruszenia wachlarza. Mel co prawda była przeświadczona, że jest równie mądra jak jej

pani, ale trochę mijało się to z prawdą.

- I mówisz, że pan Chal-Chenet już u ciebie nie mieszka? -
indagowała po krótkim namyśle.

- Pojechał jakieś... osiem godzin temu, nie dłużej.

- Powiedziałeś mu, że o niego pytano?

Po raz drugi kobieta popatrzyła wprost na rozmówcę, ten zaś
pojął, że nie warto zaprzeczać. Widziała wszystko na wylot.

- Zagadał mnie... Wygadałem, proszę przebaczenia Jaśnie
Pani - rzekł z rozpaczą.

- I o mnie też powiedziałeś?

- Nie! Ale... pani mi przecież wierzy? Mówiłem, że pytano,
ale nie powiedziałem... Pani mi musi uwierzyć, o słodki Boże, ja
nic więcej...

Roześmiała się nagle, odrzucając głowę do tyłu, mrużąc
oczy i dotykając policzka wachlarzem. Oberżyscie włosy
zjeżyły się na głowie.

- Ach, idiota... - powiedziała z westchnieniem. - Dobrze,
biedny głupcze. Koń zgubił podkowę, stangret wskaże ci który.
Przyślij pachotka z narzędziami. A oto twoja zapłata. Jeśli
będziesz mi jeszcze potrzebny, przyślę kogoś z rozkazem.

Miętosząc w rękę aksamitny woreczek i dziękując, spocony
oberżysta zsunął się ze stopnia, po czym kłaniając się, tyłem jął
zdążać ku gospodzie, aż wreszcie pokazał karcie plecy i uciekł.
Zaraz przybiegł pachotek; powszechnym w Nolandii zwyczajem
w każdym dającym noclegi zajeździe można było zastąpić
zgubioną podkowę, a jedno z prowadzących zwierząt w samej
rzeczy postradało żelazo.

Ściśle biorąc, zdjęto je na zamku.

Zgromadzeni gapie oglądali z podziwem królewski powóz. Gospodarz doszedł do siebie na tyle, że robiąc tajemnicze miny, jął dawać do zrozumienia, iż zatrzymała się przed jego domem prawdziwa księżna krwi. To na pewno nie mogło zaszkodzić interesom.

Jedna tylko myśl nie dawała mu spokoju. „Jeśli będę cię potrzebować - rzekła dama z karety - przyślę kogoś z rozkazem”. Ciężar aksamitnej sakiewki nie łagodził wymowy tych słów. Nieszczęsny oberżysta zaczynał z wolna pojmować, że czasami wkracza się na ścieżkę bez powrotu.

III

Wtym samym czasie, gdy zręczna i sprytna pokojówka odgrywała znaną sobie do znudzenia rolę pani, jej chlebodawczyni rozmawiała z dostojnym kuzynem, którego gościnność - choć nieco wymuszona - była jednak zupełnie bez zarzutu. Melania pomyliła się wprawdzie, bo o kartach nie było mowy; jeśli nawet grywano w Moun, to nie na zamku pana Se Reus. Ale też nie o towarzystwo przy kartach poprosiła baronowa dostojnego krewniaka, gdy po smacznie przyrządzonym i wytwornie podanym obiedzie odprowadził ją do komnat gościnnych.

- Wszystko to, co powiedziałeś mi przy powitaniu - tłumaczyła pospiesznie i zniżonym głosem - stokroć bardziej jest prawdą, niż myślisz. Nie otaczam się sprawami, Normenie; to one mnie otaczają i nie tylko otaczają, bo duszą, nie dają żyć. Szpieguje mnie nawet własna służba. Ta wstrętne lisica, którą posłałam po wieści, miała czelność namawiać mnie dzisiaj, bym próbowała cię omotać.

Omotać? Co masz na myśli?

- Nie rozumiesz?

- Nie, kuzynko...

- Więc naprawdę nie rozumiesz! - zawołała, oglądając się bezradnie, jakby chciała wziąć ścianę na świadka.

- Ale... twoja pokojówka? Namawiała cię do czegoś? Nie, wyznam, Renato, że naprawdę nic nie rozumiem.

- Bo mówisz: pokojówka, a ja ci powiem: strażniczka. Bo myślisz: służąca, a trzeba myśleć: szpieg. To mój zły duch, mój cień, moja kara.

Pan Se Reus był cokolwiek oszołomiony. Wszystko to zbyt daleko wykraczało poza sprawy, do których przywykł. Piękna krewniaczka wprawdzie już przy posiłku dawała mu do zrozumienia, że potrzebna jej jakaś pomoc, ale w ogóle nie umiał się domyślić, o co chodzi.

- Czemuż się jej nie pozbędziesz?

- Bo czy to zależy ode mnie, Normenie? Przydano mi tę wstrętą małą jędzę wbrew mej woli; zresztą popatrz tylko, jak odnosi się do mnie; spójrz, jak się ubiera. Czy tak wygląda służąca, kuzynie? Trudno zgadnąć doprawdy, która z nas jest panią, a która sługą. Mówię ci, że jestem osaczona. Nie posłuchałam kiedyś twoich mądrych rad i oto właśnie

Choć ostrożny i rozumny, Normen Se Reus nie był jednak intrygantem; nigdy zresztą nie twierdził, że nim jest. Na dziedzińcu, przy powitaniu, powiedział szczerą prawdę: lubił swoją młodą kuzynkę, czy też raczej żywił do niej wynikający z bliskiego pokrewieństwa sentyment, ale bał się wszystkiego, czym się zajmowała. Nie potrafił nawet spamiętać intryg i skandali, w które była zamieszana.

Najdonioślejsze w skutkach okazały się jej miłostki z pewnością... bardzo, bardzo wysoko postawioną osobą (zaczynając od szlachcica, który nawet bał się pomyśleć to, co inni - wprawdzie cicho i między sobą - mówili: z królem, miłostki z królem), czy też raczej: brzemienne w skutki było tylko zerwanie, jako że zaowocowało wypędzeniem baronowej ze stolicy, a nawet czymś więcej, bo zesłaniem do Tuel, którego nie wolno jej było opuszczać. Uchylono ten zakaz po roku i głowy cięższe niż głowa pana Se Reus próżno łamały się nad rozwiązaniem zagadki, dlaczego tak się stało, jakim to szantażem posłużyła się baronowa, że pozwolono jej wyjść z aresztu domowego (choć nadal nie miała prawa pojawiać się w stolicy). Wreszcie zapomniano o niej trochę - na szczęście albo niestety. Biedny pan Se Reus, jako że stanowił całą rodzinę baronowej, miał pojęcie o paru jej sprawkach i przeklinał los, który jego uczciwemu i wielce czci-godnemu ojcu kazał mieć brata warchoła. Wydawało się bowiem pewne, że piękna Renata odziedziczyła po swym rodzicu nie tylko majątek i tytuł, ale zgoła wszystko oprócz płci. Może jeszcze koniec pisany był jej inny, trudno bowiem przypuścić, by pijana dała się zabić w pojedynku.

- Ale kto za tym stoi, kuzynko? Komu wolno wybrać dla ciebie służącą? Mówisz więc, że to małe stworzenie cię szpieguje? Dobry Boże... Ale dla kogo?

- Nie domyślasz się?

- Na litość boską, Renato, całe życie przesiedziałem w tym zameczku, a ty pytasz, czy się domyślam? Ja, prowincjusz! Ty bywałaś wszędzie, znasz wszystkich i wszyscy znają ciebie, ale wymień gdzieś nazwisko pana Se Reus.

Zna mnie chyba tylko pan królewski generalny intendent, który przed kilku laty kazał mi zatrudnić wojskowych inżynierów i nie skąpił państwowego grosza, a potem własną osobą pojawił się tutaj, by skontrolować rzetelność ukończonych prac i zażądać drobiazgowych rozliczeń. On jeden wie, że żyję i służę królowi. Czegóż ja się mogę domyślać?

- Nie powiesz mi przecież, mój bracie, że i tutaj, w Moun, jesteś nikim? Któż tu może stanąć obok ciebie jak równy?

- W Moun, mój Boże... Sa Tuel, czyś obejrzała tę tu metropolię? Zresztą nawet tutaj jestem tylko bibelotem, artefaktem z przeszłości, chodzącą na dwóch nogach tradycją, jak twój stryj, a wcześniej nasz dziadek i pradziadek... Pan burmistrz przybiega czasem, prosząc, bym zechciał trzymać do chrztu dziecko zacnego obywatela zasłużonego dla miasta. Oto kim tutaj jestem. Więc cię znowu zapytam, kuzynko: czegóż ja się mogę domyślać? Wiem tylko, że zawsze otaczają cię kłopoty. I być może moja w tym wina, bo z racji starszeństwa powinienem był zastąpić ci przedwcześnie zmarłego ojca, albo chociaż stryja... być opiekunem, rodziną... Próbowałem! - powiedział z żalem i bezradnie. - Lecz ty, mając lat piętnaście, najpierw chciałaś mię uwieść, potem zaś uciekłaś do Tuel, tak przynajmniej, jakbym myślał położyć rękę na twojej schedzie po ojcu - rzekł z wyrzutem, a na koniec jeszcze dodał surowo: - Ale każdy sądzi po sobie... Jesteś nieznośna, zawsze zresztą byłaś i chyba zasługujesz na wszystko, co cię dziś spotyka.

Odsunęła się.

- Morały zamiast pomocy - oceniła z pełną rezygnacji wzdgarą. - Mogłam się przecież spodziewać.
- Czy naprawdę mogłaś?
- Zdaje się, że nie chcesz mi pomóc?
- Ależ nie powiedziałem, że ci nie pomogę - zmitygował ją.
- Morały... No tak, prawda. Przebac mi, kuzynko. Żyję tu jak dzikus, to już wiesz, a poza tym mam swoje lata, czego na pewno nie można rzec o tobie. Pięćdziesięcioletni mężczyzna gotów w każdej dwudziestolatce dostrzegać córkę albo choć siostrzenicę - orzekł z ogromną naiwnością, jako że dojrzały mężczyźni wręcz odwrotnie, bodaj w siostrzenicach i córkach byli gotowi dostrzegać tylko dwudziestolatki.
- Dwudziestolatce... - powtórzyła z rozczeniem. - Mój drogi, straciłeś rachubę lat. Ja! Dwudziestolatka, ja!... Przecież jest dokładnie na odwrót: mężczyzna w sile wieku i starzejąca się kobieta.
- Że co proszę? Starzejąca się? Ty?
- Pięćdziesiąt lat u mężczyzny, kuzynie, to nie tyle, co trzydzieści dwa u kobiety. Samotna wdowa, bezdzietna...
- Nic nie słyszę, co pani mówisz.
- Ale wcześniej słuchałeś, mój dworny starszy braciszku?
- Wcześniej... Tak.
- Więc raz jeszcze proszę cię o pomoc.
- Pomogę, wiesz przecież o tym. Ale co miałbym zrobić?
- Zatrzymać u siebie tę... tego szpiega, kontrolera i zdrajcę, którego mi przydano. Muszę koniecznie załatwić pewną

sprawę... bardzo poufną... ale jeśli za żądasz...

- Nie zażądam, lepiej mi nie mów, boję się twoich spraw. Ale to nic niegodnego, mam nadzieję?

Odsunęła się po raz drugi.

- Jak możesz?

- Dobrze, dobrze, już dobrze... Mam więc ją zatrzymać? Twoją pokojówkę?

- Zrobiłbyś to?

- Ale w jaki sposób?

- Ona niczego ode mnie nie przyjmie, ma się na baczności. Ale ty przeciwnie, łatwo znajdziesz sposobność, przecież jesteś tu gospodarzem.

- Sposobność do czego?

- Och, niczego wielkiego, trzeba tylko...

- Powiedźże wreszcie.

Pokazała małą buteleczkę.

- Co to jest? Co mi dajesz, siostrze?

- To tylko proszek.

- Trucizna?

- Bądźże cicho! Trucizna? Czyś oszalał?

- Ale co to jest w takim razie?

- Proszek na wymioty i... biegunkę. - Zarumieniła się lekko.

- Właściwie to trucizna, ale tak łagodna, że nikt po niej nie umrze, nawet dziecko. Co ja mówię, trucizna! - rzekła pospiesznie, widząc, jak jej kuzyn marszczy brwi i już, już otwiera usta, by palnąć nowe kazanie. - Właściwie to jest lek - Lekarstwo?

- A tak, zna je każdy doktor... Co prawda żaden by nikomu nie przepisał takiej dawki.

- I do czego to ma się przydać?
- Melania zachoruje.
- Pięknie. I co wówczas?
- Wówczas wezwiesz medyka.
- A jeżeli medyk postawi ją na nogi? Niczego wtedy nie osiągniesz.
- Medyk puści jej krew, a to razem z efektami działania proszku powaliłoby nawet konia... Proszę tylko, żebyś ty właśnie posłał po lekarza. Ja nie mogę, ta mała żmija mi nie zaufa. Gotowa raczej sama powlec się do miasta.
- Skąd wiesz, że lekarz, po którego pośle...
- Bo oto jego nazwisko i adres - powiedziała pani Sa Tuel, wyjmując zza stanika złożoną na pół karteczkę. - Zaraz jeszcze napiszę krótki list, żeby wiedział, czego oczekuję. Zyskam dwa lub trzy dni, ty zaś zechcesz powierzyć moją służkę troskliwej opiece pani ochmistrzowej, by nie zbywało jej na niczym. Bądź naprawdę zmartwiony dolegliwościami rezolutnej i miłej pokojówki swojej siostry... to nietrudne.
- Znasz więc w Moun jakiegoś lekarza?
- Lekarza czy nie lekarza... Kogoś znam. Kogoś, kto potrafi dobrze puścić krew, zgodnie ze wszystkimi zasadami sztuki.
- Wyznam ci, kuzynko, że brzydzą mnie podobne machinacje - powiedział pan Se Reus po długiej chwili, z niesmakiem obracając w dłoniach ciepłą jeszcze od ciała baronowej karteczkę. - Ale cóż ona sobie pomyśli o posiłkach w mo - Zaprzęta cię, co sobie pomyśli służąca?
- Służąca czy nie, przyjąłem ją pod swój dach.

Pomyśli, że ją otrułam. I rzeczywiście, gdybym tylko mogła, sama bym wsypała ten proszek do jej szklanki.

- Jednak wyręczasz się mną.

- Bo nie mogę inaczej. Kochany, drogi mój, czasem podstępny są konieczne.

- Wszakże czy na pewno mogę ci zaufać? Jeśli obciążysz moje sumienie czymś więcej niżli... żołądkowymi dolegliwościami tej panny...

- Klnę się na Boga, że nie. Nikt nas nie słyszy, więc gotowa jestem przyznać w cztery oczy: tak, to prawda, mam trudny charakter, kuzynie, i mówię to tylko tobie... Zresztą sam wiesz najlepiej, łatwo mi więc przyszło to wyznanie. Ale nikogo nie uczynię mordercą; jak możesz pomyśleć coś takiego? Intrygantka, awanturnica... dobrze, wiem, co o mnie sądzisz, nie zaprzeczaj. Ale morderczyni?

- Prawda, wybacz.

- Zatem umówione?

- Dobrze. Jutro rano.

- Wracasz mi życie... Dziękuję.

- Lepiej jednak nie dziękuj. Spełniam twoją prośbę, Renato, bo winien ci to jestem jako nieudolny opiekun, który zawiódł. Na kogokolwiek się wykierowałaś, ponoszę za to część odpowiedzialności. Niemniej chcę, żebyś wiedziała, co myślę. A więc myślę, że to, co właśnie robimy, jest niegodne.

Gospodarz wyszedł z kartką i buteleczką proszku, nie wiedząc zupełnie nic: ani z czyjego rozkazu szpiegowana jest baronowa, ani po co ktoś wydał taki rozkaz... Gorzej, bo nie wiedział nawet tego, że nic nie wie.

Lecz narzędzia nader rzadko coś wiedzą...

...choć, biorąc rzecz z drugiej strony, bywają narzędzia i narzędzia.

Rudowłosa Mel nie była wybornym narzędziem - bo narzędzia wszechstronne prawie nigdy takie nie bywają. Nadawała się właśnie do wszystkiego po trosze i w każdej roli wypadła znośnie, co czyniło ją nieocenioną. Pochodziła z zacnego mieszczańskiego domu, ale w dziwny sposób nie pasowała do swoich braci i sióstr, rodzeństwo miała bowiem niezbyt urodziwe, przy tym rosłe, łykowate, czarnowłose i czarnookie - a wszystko to wzięte razem sprawiało, że pan ojciec Melanii, wracając z kolejnych podróży w interesach (albowiem był to wspólnik niebogatego kupca), łoił żonie skórę, ilekroć przyjrzał się bacznie małej, rudej i zielonookiej szelmie o nóżkach i dłoniach arystokratki - choć skądinąd szczerze dziewczynkę pokochał, była to bowiem przylepa i pieszczocha. Okazało się zresztą w miarę upływu lat, że jako jedyna z domu na pewno zrobi karierę i zejść może bardzo wysoko, bo wyrosła na pannę ponętą, rezolutną i sprytną, a przy tym śmiałą i wygadaną co się zowie. Te zaś cechy z kolei sprawiły, że trafiła na służbę do dobrego szlacheckiego domu jako pokojowa, a bardziej jeszcze opiekunka starej i schorowanej pani Del Wares. Gdy pani zmarła, młody syn, oficer w królewskim regimencie piechoty, nie odprawił wiernej służącej, posłuszny woli matki, która w testamencie nakazała mu zatroszczyć się o przyszłość dziewczęcia będącego podporą jej starości.

Pan porucznik Del Wares w domu bywał gościem, jako że służba żołnierska rzadko idzie w parze z osiadłym trybem życia, obyło się więc bez dwuznaczności, jaką by niechybnie dostrzeżono w zatrudnianiu przez mężczyznę ładniutkiej służącej. Wreszcie jednak wojskową służbę porzucił, a Melania za jego poręczeniem trafiła do domu jeszcze znakomitszego i mogła odtąd posyłać rodzicom okrągłe sumki co kwartał, bo baronowa Sa Tuel, choć miała mnóstwo wad, przejawiała też pewne zalety. Była szczodra, albo nawet wręcz hojna (może zresztą cokolwiek rozrzutna). Dość powiedzieć, że rodzona matka nie od razu rozpoznała córkę w znakomitej damie, która szeleszcząc arelskimi koronkami sukni, z wachlarzem w dłoni i brylantem przy agrafie kapelusza, padła jej do nóg w rodzinnym domu, który dobra pani łaskawie pozwoliła swojej służce odwiedzić, udzielając nie tylko czterech dni wolnego, ale jeszcze użyczając własnego powozu, dyskretnie ozdobionego małą mitrą na drzwiczkach. Nie trzeba chyba dodawać, co sobie pomyśleli sąsiedzi i o czym przez dwa tygodnie mówiła cała ulica - dość wspomnieć, że w niedzielę sam proboszcz poprosił rodziców Melanii do ławki blisko ołtarza.

I oto ta właśnie dziewczyna szpiegowwała i zdradzała swoją panią - do czego była zdolna zupełnie tak samo, jak wół do fruwania w przestworzach.

Wróciwszy do zamku, Melania zastała baronową w łóżku; Renata Sa Tuel lubiła kłaść się wcześniej, biorąc jakąś lekturę do poduszki. Pokojówka chciała zdać sprawę ze swej misji, ale pani dała znak, że przyjdzie na to czas później, i tak samo

dyskretnie pokazała, że trzeba sprawdzić drzwi. Pokojówka spełniła polecenie, po czym nastąpiło zupełne odwrócenie ról - Sa Tuel zdała jej raport z tego, co uznała za ważne, a nawet najważniejsze, mianowicie z rozmowy z kuzynem.

- Wysypałam więcej niż połowę proszku i dopełniłam buteleczkę zwykłą mąką - rzekła na sam koniec - więc nie pochorujesz się zbytnio, trochę jednak nudności mieć musisz. Bardziej jednak będziesz udawała chorobę, niż chorowała naprawdę; liczę, że potrafiysz.

- Tak, przecież pani wie.

- Nie pytasz, po co to wszystko?

- Przecież pani sama mi powie - odparła pokojówka z uśmiechem.

- O, naprawdę?

- Tak, bo w przeciwnym wypadku nie będę mogła dobrze wywiązać się z zadania.

- Rzeczywiście, mądralo. No to posłuchaj: mój szlachetny kuzyn nie jest kimś, kogo mogłabym ogłupić i uwieść przy grze w karty...

Zdziwienie Melanii mogłoby być obraźliwe dla niemal każdej kobiety, ale pani Sa Tuel widocznie rozumowała inaczej, bo wytłumaczyła trochę gniewnie, rozkładając ręce:

- Czego chcesz! A tak, istnieją na tym świecie mężczyźni, których trzeba by bałamucić chyba ze dwa tygodnie, nim znaleźliby drogę do mojej alkowy. Co ty sobie myślisz, moja mała, że ze wszystkimi jest tak samo łatwo?

- Ale pani powiedziała dzisiaj, że jej kuzyn... to znaczy, że kiedyś...

- Powiedziała?

- No tak, powiedziała pani!

- Ale bezczelna. Ja? Mówiłam ci coś takiego? Ja! Mówiłam! Ach, więc to tak rozumiałaś „rodzinną zażyłość”! - Baronowa rozgniewała się i zamierzyła książka, jakby chciała rzucić nią w służącą.

Ale nie rzuciła. Zamiast tego wzruszyła ramionami, bo nie mogła przyznać przed subretką, że kierowana próżnością chciała się pochwalić jeszcze jednym - choć istocie nigdy niedokonanym - podbojem.

- No popatrz, nie zagięłam strony i teraz nie wiem, gdzie skończyłam - rzekła już spokojnie, przyglądając się zamkniętej książce. - Wszystko jedno, co powiedziałam i co pozwoliłaś sobie podejrzewać. Teraz chodzi o to, że nie ufam zacnemu kuzynowi za grosz. Powiesz, że ten człowiek nie ma talentu do intryg, a ja odpowiem: zgoda. Ale właśnie dlatego może być ślepym narzędziem w ręku byle szczwanego głupca. Ja potrzebowałam wszystkiego pół godziny, żeby wyprawić go za drzwi z trucizną w jednej ręce, listem do fałszywego lekarza w drugiej i przeświadczeniem, że moja głupiutka służąca jest prawdziwym demonem, nie wiadomo komu służącym, bo na pewno nie swojej pani. Jeśli zatem ktoś urobił go wcześniej, to właśnie podsuwam mu ciebie: wysługującą się komuś zdrajczynię, która ma nade mną jakąś władzę, skoro nie jest w mojej mocy odprawić. Marna to przynęta, wszakże nie chce mi wierzyć, żeby w mętnej wodzie takiego stawu jak ten pływały wyjątkowo bystre ryby... Jestem prawie pewna, że poczciwy Normen niczego nie knuje, chociaż z drugiej strony prawił mi tyle morałów, że kto wie?...

Jest to człowiek zacny i prawy; tak zacny i prawy, uważasz, że już gorzej nie można; tacy idą prosto do piekła, bo tam bardzo potrzebują majstrów potrafiących zepsuć wszystko, czego tylko dotkną, więc malutkie diabełki biorą od nich nauki. Otóż widzisz, jeśli przedstawiono mu jakieś rzekome zbrodnie kuzynki, to... o ile uwierzył, rzecz jasna, a gotów uwierzyć we wszystko... więc jeśli uwierzył, to może także uznał, że koniecznie trzeba kuzynkę powstrzymać przed czynieniem dalszych nieprawości. W imię wyższych celów warto ją skompromitować, żeby stanęła przed sądem, a sędziowie wówczas rozliczą mnie z całego mojego życia, napiętnują, jeśli zasłużyłam, oczyszczą, jeśli niewinna, bo królewskie sądy i sędziowie to przecież sam kwiat sprawiedliwości...

Sa Tuel rozpędziła się w swych dywagacjach i spostrzegła, że od pewnego czasu nie mówi do Melanii, tylko rozmawia z kuzynem, ciskając mu w twarz cały bezmiar ironii i politowania, pokojówka zaś z najwyższym trudem powstrzymuje ziewanie i zaczyna liczyć stiuki na suficie. Baronowa zamilkła więc i spojrzała uważniej.

- Melanio, czy ja cię nie nudzę?

- Tak, proszę pani - rzekła pokojówka i zaczerwieniła się po same uszy. - Nie! To znaczy...

- Jeśli będziesz wszędzie gubiła swoje rzeczy - surowo powiedziała Sa Tuel - to przeprowadzimy bardzo poważną rozmowę. Nadużywasz mojej dobroci i wyrozumiałości.

- Ale... jakie rzeczy? - zapytała zdziwiona dziewczyna, a w jej oczach odbił się niepokój.

Jakie rzeczy! Więc nie wiesz?

- Nie, ja chyba... niczego nie zgubiłam... Ale jeśli pani mówi, że zgubiłam...

- Zajrzyj no do tej szkatułki na kominku... Właśnie tej. Czy to nie twoje kolczyki, te na samym wierzchu?

- Przecież to są...

- Twoje kolczyki - powiedziała chłodno Sa Tuel. - Ostatni raz znajduję u siebie twoje ozdóbki, moja panno! Proszę, byś natychmiast zabrała to z mojej szkatułki!

Melania pojęła wreszcie, o co chodzi, i spazmatycznie westchnąwszy z radości, porwała diamentowe precjoza wartę istną fortunę, na które tak niedawno spoglądała z niemym zachwytem, gdy stroiła się w nie baronowa, po czym półprzytomna ze szczęścia przypadła do łóżka, chwyciła rękę swojej pani i zaczęła okrywać ją niezliczonymi pocałunkami. Sa Tuel pozwoliła jej na to ze śmiechem.

- Rozpieszczam cię z powodu przykrości, których jutro z mojego polecenia doświadczysz - powiedziała na koniec. - Ale teraz słuchaj mnie wreszcie, bo zabiorę wszystko, co ci dałam.

- Już słucham, ja będę pani słuchała całą noc! - posiedziała żarliwie Melania, wciąż klęcząc przy łóżku patrząc na baronową błyszczącymi oczami.

- Właśnie tego pragnę uniknąć - odparła Sa Tuel, tym razem naprawdę surowo, uwalniając dłoń z rąk pokojówki i gestem nakazując jej stanąć tam gdzie poprzednio. - Zrozumiałaś, co mówiłam o motywach pana Se Reus?

- Tak, pani.

- Nie zrozumiałaś, mniejsza o to. W każdym razie jest i druga możliwość, taka mianowicie, że pan Se Reus niczego nie zamysła, a pomimo to jest narzędziem w rękach kogoś, kto wiedział, że pojawię się tutaj. Może więc jakaś osoba zechce sprzymierzyć się z tobą na zgubę twojej pani. Oczekuj kogoś, może księdza niosącego pocieszenie w chorobie, i spodziewaj się ostrożnej propozycji, a przynajmniej prób wybadania, kim jesteś, co myślisz, czy na nic się nie uskarżasz, czy jesteś zadowolona, że mi służysz.

- Myśli pani, że ktoś przyjdzie? To możliwe?

- Tak, choć mało prawdopodobne. Pamiętaj jednak, malutka, że to miasto jest teraz niczym rozstajne drogi - rzekła baronowa, bezwiednie bawiąc się swoimi złotymi włosami; nawijała ich pukle na palce po obu stronach szyi. - Ktokolwiek dokądsz zmierza, tutaj właśnie będzie szukał drogowskazów. Czyś zauważyła kogoś niezwykłego wśród służby i domowników? Tu,- Nie patrzyłam wcale.

- Ależ mam z ciebie pomoc, no naprawdę! - zadrwiła Renata Sa Tuel. - Ksiądz! Mówiłam przed chwilą! Ksiądz, widziałaś tu księdza? Pan Se Reus jest wprawdzie religijny, ale czy aż tak, by osadzić w swej zamkowej kaplicy kapelana? Podczas wojny, dla zamkniętej w warowni załogi, no dobrze, ale w czasie pokoju, gdy najbliższy kościół jest za rogiem? Daję głowę, że sam na to nie wpadł, ktoś podsunął mu pomysł, może nawet przekonywał i nalegał. A skoro tak, to pod zwykłą księżą sutanną na pewno kryje się zakonny habit. I to nie jest habit franciszkanina, prędzej protazyty, albo nawet postnika Jezusowego. Warto dać mu

sposobność do niesienia kapłańskiej posługi. Urwała zamyślona.

- Dlaczego uważa pani, że to może być protazyta? - zapytała Melania, myśląc o rozmowie, którą odbyła z właścicielem gospody „Pod Jarzębiną”.

- Bo protazyti to braciszczowie służebni postników Jezusowych, a tych jest przecież najwięcej w Towarzystwie Ducha Świętego.

Melania wiedziała, lecz trochę zapomniała, jaka jest natura i rola wspomnianego przez jej panią zgromadzenia. Widząc to, baronowa westchnęła i wyjaśniła sucho:

- Towarzystwo Ducha Świętego dysponuje dużą siłą, moje dziecko. Zrzesza zarówno świeckich, jak i duchownych, a jego wpływy odczuwane są wszędzie. A dlaczego cię to interesuje?

- Bo właśnie dzisiaj mówiono mi o pewnym zakonniku, protazycie.

Sa Tuel popatrzyła uważniej i dała znak, że słucha. Melania zdała sprawę ze spotkania „Pod Jarzębiną”.

- A więc zostaliśmy uprzedzeni - zauważyła spokojnie baronowa, gdy służąca skończyła. - I to był na pewno pan Chal-Chenet?

- Tak, na pewno.

- Dobrze zapamiętałaś?

- Tak, bo pani wymieniła przy mnie to nazwisko, jeszcze kiedy byliśmy w Loen.

- Nic cię nie zastanowiło? Zachowanie oberżysty, jakies jego słowa?

- Bał się bardzo, ale o tym pani już wie.

- A poza tym?

- Nie... nie wiem. Ale co pani ma na myśli?

- Co mam na myśli? Ach, powinnam była jechać sama! - zawołała z żalem baronowa, czyniąc pogardliwy gest ku pokojówce. - Za bardzo to wszystko pasuje, jest nazwisko, jest nieostrożny zakonnik, wszystko podane niczym na talerzu. Można by pomyśleć, że gospodarz tego zajazdu to najwytrawniejszy agent, którego każde słowo warte jest stu dublonów. To cię nie zastanawia? Ach, gdzie jesteś, Del Wares! - zawołała znowu, opadając plecami na poduszki, ze spojrzeniem skierowanym w sufit. - Muszę się naradzić, muszę porozmawiać, a mam tylko to niemądre stworzenie, któremu trzeba dodać dwa do dwóch!... Idź stąd, głupia dziewczyno, mam cię dosyć! Wiesz już wszystko, co trzeba wiedzieć, a teraz

Pokojówka po cichutku powiedziała „dobranoc” i wyszła z komnaty, nie usłyszawszy żadnej odpowiedzi. Baronowa została sama.

Nie zgasiła świec, bo bała się ciemności i nie gasiła ich nigdy.

Rozmyślała.

Towarzystwo Ducha Świętego. Potężna organizacja, do której należeli książęta, znamienicy wojskowi, dostojnicy Kościoła, generałowie zakonów, bogacze, a wreszcie pracownicy szarzy bracia, tak duchowni, jak i świeccy. Sa Tuel ani przez chwilę nie wątpiła, że przyjdzie jej się zmierzyć z ową potęgą, bo wszystko, co zdarzyło się w Valaquet, musiało wzbudzić poruszenie w jej szeregach. Byli to fanatycy skłaniający się ku doktrynie świętego Protazego, więc ku założeniu, że bez specjalnej woli bożej nawet wróbel nie śmie spaść z gałęzi, a wszystkie

zdarzenia na świecie są częścią Wielkiego Planu. Obojętnie, czy wybuchła wojna, czy wulkan, mieli na to gotowe wyjaśnienie. Dopust boży, kara lub nagroda, ścieżka do zbawienia - wszystko potrafili wytłumaczyć. Gdy nie działało się nic, dokładali starań, by dalej nic się nie działo, lecz gdy jednak do czegoś doszło - bo świat nie trwał, niestety, w bezruchu - wręcz przeciwnie, popychali sprawy z całej siły, bo tego na pewno życzył sobie Stwórca. Baronowa potrafiła niejedno, a na pewno potrafiła nienawidzić, najbardziej zaś nienawistni jej byli durnie wszelkiej maści - zwłaszcza głoszący ideę, która sprowadzała się do tego, by zawsze płynąć z prądem i najlepiej szybciej niż prąd, byle w nadanym kierunku. Warto dodać, że nie była w swojej nienawiści bynajmniej odosobniona. Zakonników Ducha Świętego nie uznawał Powszechny Kościół hierarchiczny, był bowiem ów zakon zakonów zagrożeniem dla jego struktury, złodziejem części dochodów, głoszone zaś przez braci Ducha Świętego prawdy jawiły się heretyckim bez mała wyzwaniem

A teraz właśnie zmartwychwstał stary kult w prowincji Valaquet. Nie wiedząc, jakie tego powody podawali natchnieni łaską Ducha Świętego braciszczowie, baronowa przyjęłaby zakład, że ich zdaniem kult ten powstał z martwych na życzenie Pana w Niebiesiech, by dać ludziom do czegoś sposobność albo za coś ludzkość pokarać. Ach, naprawdę, Stwórca nie miał przecie nic lepszego do roboty, jak tylko stale przyglądać się najbardziej udanemu ze swych światów i popychać palcem wróble na gałęziach.

Baronowa wielokrotnie rozmawiała z czymś - bo nie z kimś bynajmniej - co dobrze Boga znało. „Moja droga Sa Tuel - rzekło owo coś - On jest wszechpotężny, ale tylko tyle. Myślisz, że to dużo? Wprawdzie stwarza światy, jednak jest to tylko bogaty swą potęgą parweniusz, nie mogący przeboleć, że istnieją byty i zjawiska nieskończenie odeń trwalsze i starsze, choć poza tym nieomal słabe. Takie zjawiska jak ja. Żąda od swych stworzeń wdzięczności, miłości i czołobitności, kupuje to pod groźbą kary, a za obietnicę nagrody, bo owa miłość jest dlań niczym wytargowana mitra na drzwiczkach karety nuworysza. Ale ty ze swoją krwią w żyłach w odróżnieniu od nowobogackich nie potrzebujesz wcale malowanej mitry, ja zaś podobnie, w odróżnieniu od Niego lekce sobie ważę dziękczynienia; a dzieje się tak dlatego, że słoma, kochana Sa Tuel, otóż słoma nam z butów nie wystaje. Pożałuj więc Go czasem, moja droga. To bardzo nieszczęśliwa Istota, która bez miłości i wdzięczności ludzkiej jest tylko tyranem tyranów. Ten tutaj światek, niestety, zupełnie Mu się nie udał, miłości i wdzięczności jest w tym światku tyle, ile mogłoby się zmieścić w czapce, więc Ojciec porzucił go i dogląda raz na parę wieków, co i tak, zauważ, znaczy wcale często. Wiem, że Mu żal tego świata. Nie warto go już naprawiać, ale szkoda zniszczyć, więc

Jakiś słaby prąd powietrza krążył po sypialni, pochylając płomyki świec. Podejrzliwa i ostrożna Sa Tuel wstała z łóżka i przez chwilę nasłuchiwała. Dywan leżał tylko przy łożu, dalej była kamienna posadzka, na pewno bardzo zimna... Sa Tuel popatrzyła na domowe, obszyte futerkiem i przybrane perełkami

pantofle, lecz były to pantofle kokietki, na bardzo wysokich obcasach; nie dało się w tym chodzić po cichu. Zostawiła je pod łóżkiem i na palcach, boso - naprawdę, jakże zimna była ta podłoga! - zbliżyła się do drzwi, następnie zaś do okna. Tu i tam wyczuła na dłoni ruch powietrza; okna nie były szczelne, pod drzwiami zaś ziała szczelina szeroka na pół palca, co wyjaśniało, skąd brał się przeciąg, przeczyło zaś domysłom o jakichś tajemnych otworach ukrytych w ścianach komnaty. Stary zamek mógł mieć swoje tajemnice. Ale chyba jednak nie tutaj.

Trochę szkoda... Baronowej zamarzyło się, że oto ktoś ją podgląda, płomiennym spojrzeniem przebijając przezroczystry muślin nocnej szatki, nie tyle odgadując, co wręcz widząc doskonale ciało godne leśnej nimfy. Młoda jeszcze i piękna kobieta, będąca wszakże pierwszą intrygantką swej epoki, nie przyznałaby przed nikim, że tęskni za prawdziwie romantycznym uczuciem, miłością pełną porywów serca i uniesień... Wśród zdawkowych podbojów, którymi wypełniła swoje życie, niewiele było prawdziwego kochania. Niezręcznie to powiedzieć, ale jednak szlachetnie urodzona piękna pani Sa Tuel niczym pierwsza z brzegu nierządnica sprowadziła miłość do samej tylko żądz, uczyniła z niej zimne narzędzie, za pomocą którego osiągała cele. I podobnie jak wiele nierządnic bardzo czasem tego żałowała, śniąc o czułym mężczyźnie, o tym jednym jedynym, który będzie ją kochał na przekór całemu światu, bez żadnej innej myśli jak ta, że odnalazł połówkę swej duszy.

Snując swoje kobiece fantazje, podglądana przez kochanka baronowa przeciągnęła się rozkosznie, podgarniając ramionami włosy, wypychając do przodu pełne piersi i kusząco kołysząc biodrami. Kaskada jasnych włosów uwolniona z dłoni rozsypała się na ramionach, lśniąc jak złoty kruszec. Wymyślony tajemny obserwator mógł do woli napawać się widokiem ledwie osłoniętych wdzięków obiektu swoich westchnień. Czy z najwyższym trudem powstrzymywał się przed wyjściem z ukrycia?... Czy gotów był się zdradzić, byle wziąć piękną kochankę w ramiona, przestraszona, płonąca ze wstydu, lecz bezbronna, stawiającą słaby, nieskuteczny opór?... Omdlewając, pólniesiona przez pięknego zuchwalca, baronowa niczym zjawa sunęła w kierunku łoża, zatoczyła się przy jego krawędzi i wsparła o nocny stoliczek (lecz nie zapomniała wsunąć stóp w pantofle - bo też jakże zimna była ta podłoga!). Obejmując swe marzenie ramieniem, z obietnicą namiętnego pocałunku w oczach, pieszczotliwie ujęła nieistniejącego mężczyznę za włosy, odchyliła jego głowę do tyłu, namacała na blacie stoliczka za plecami rękojeść małego sztyletu, po czym powiedziała: „Idź do piekła” i przeciągnęła ostrzem po odsłoniętym gardle. Cofnąwszy się pod ścianę, ze sztyletem w wyciągniętej, wyprostowanej ręce, przygryzała dolną wargę, błyszczącymi oczami spoglądając na broczącego krwią, słaniającego się na nogach oblubieńca, któremu brakło powietrza w przeciętej tchawicy. Wciąż kierując ku niemu ostrze, uniosła drugą dłoń do wysokości ramienia, zakrzywiając lekko palce, tak by ostre paznokcie groziły bolesnym kocim ciosem. Gdy konający upadł, spoglądając w górę gasnącymi

oczyma, trąciła go czubkiem pantofelka, przesunęła językiem po wargach, a zimnym ostrzem sztyletu po wierzchołku nabrzmiącej piersi, po czym odłożyła broń na miejsce i przykryła serwetką, tak jak wcześniej. Z błogością przeciągnęła się raz jeszcze, zatrzepotała długimi rzęsami, a następnie wróciła do łóżka, okryła się i znowu popadła w zamyślenie.

Cokolwiek zostało obudzone w Valaquet, było bardzo niezwykle i potężne. Sa Tuel od wielu lat służyła czemuś, co nie bało się nawet Boga - ale nigdy nie zawitało do przekłętej prowincji. Czy odżył tam jeden z owych starszych od wszystkiego bytów, o których wspominała Egaheer? Coś takiego jak ona sama, równie stare i niezniszczalne? Jeśli tak, to Egaheer kłamała, nazywając owo coś tylko magią. Magia była dla niej zabawką, albo raczej zwierzyną, pożywieniem. Wszystkie magie wyrastały ze światów; były w prosty sposób związane z rozumnymi istotami, a więc ludźmi. Potężny umysł człowieka, dzieło Wszechmogącego, zawierał w sobie przeczuwane tylko, bo wcale nie poznane siły sprawcze; nie bez kozery uczyniony był człowiek na obraz i podobieństwo swego Stwórcy; udało się to aż nazbyt. Ludzki umysł wyłaniał magie będące urzeczywistnionymi wierzeniami, lękami, pragnieniami; ożywały wymyślone demony; działały wydumane zaklęcia, zmieniając i kształtując rzeczywistość. Lecz teraz w Valaquet ożyło coś innego. Coś, co było spowite magią tylko dla pozorów. Ów magiczny płaszcz został bez trudu poszarpany na strzępy przez Egaheer i jej sługi - Sa Tuel brała udział w tej bitwie, stoczonej całkiem niedawno. Lecz riposta przyszła natychmiast: Domy Reus!

Egaheer niczego nie wytłumaczyła, powiedziała tylko: „Jest miasteczko o nazwie Moun” i dodała, że nikt, kto miał jakąkolwiek styczność z mroźnymi potęgami Valaquet, nie ominie tego miejsca obojętnie. Będzie badał i pytał, nie odejdzie, bo Domy Reus przyciągną go z neodpartą magnetyczną siłą. Sa Tuel odparła wówczas: „Znam to miasto. Mieszkałam tam”. „A więc to przez ciebie, moja droga” - krótko orzekła Egaheer. „Nie z twojej winy, ale za twoją sprawą. Zbyt mocno się otarłaś o naszą królową zimy. A jednak chyba tylko

Posłani przez Renatę Sa Tuel wysłannicy już od miesiąca pilnowali, czy drogą z Valaquet nie nadjedzie szlachcic o nazwisku Chal-Chenet, bo wiadomym było, że porzucił żołnierską służbę i wybiera się do Nolandii. Wyglądało, iż jest to jedyny człowiek mogący dać odpowiedź, gdzie przebywa jego dawny generał: mąż pierwszej, a brat drugiej właścicielki tajemniczej diamentowej koliai. Klejnotu nie z tego świata.

IV

Chal-Chenet nic nie wiedział o magnetycznym przyciąganiu Domów Reus, ale silnie owo przyciąganie odczuwał. Jął zdawać sobie sprawę, że nie odjedzie z Moun, póki nie rozwiąże zagadek tego miasta; odczuwał potrzebę działania, co zrozumiałe - nie doszukiwał się jej źródeł w sferze zjawisk nadprzyrodzonych.

Opuściwszy gospodę „Pod Jarzębiną” i urządziwszy się w drugiej, noszącej wdzięczną nazwę „U Łaskawej Kwiaciareczki”, Chal-Chenet jął rozważać, czy słusznie postąpił, zmieniając miejsce pobytu. Myśląc o rozmowie z zakonnikiem, doszedł do słusznego wniosku, że kimkolwiek był ów młody ojczulek, to na pewno nie pomyleńcem. A skoro nim nie był, w jego oczach przeprowadzka Chal-Cheneta do innej gospody musiała wyglądać na ucieczkę, próbę ukrycia się (pytanie, czy była to próba udana i czy miała w ogóle jakiś sens). Przenosząc się z miejsca na miejsce, gwardzista z Valaquet zdawał się potwierdzać to wszystko, co zakonnik mu imputował.

Całe przedpołudnie dnia następnego Chal-Chenet poświęcił na zwiedzanie miasta, w którym, jak to już zostało powiedziane, doprawdy nie było czego zwiedzać. Wszelako młody wojak miał przecucie, że przemierza przyszłe pole bitwy, jał więc opatrywać swe pozycje, wytyczać drogi odwrotu, znakować przeciwskarpy i szańce. Bram miasta na noc nie zamykano, był to bowiem obyczaj od dawna w Nolandii zarzucony. Dwie najbogatsze ulice i rynek oświetlano ładnymi latarniami. Trakt wiodący aż z Valaquet rozwidłał się właśnie przy wschodniej rogatce Moun; dwa mosty przepuszczały drogi wiodące na południe ku Arelay i północny zachód, do stolicy departamentu, a potem dalej aż do Lazenne. Przypomniawszy sobie topografię miasta i okolicy, Chal-Chenet miał następnie ochotę wzruszyć ramionami, tak bardzo niedorzeczne to było.

Chciał więc jeszcze zobaczyć swojego protazytę, czy też raczej nie chciał? Obawiał się spotkania ze strasznym człowiekiem, przed którym go tak bardzo ostrzegano, czy też raczej miał wszystko za wierutną bzdurę? Oto szykował się do konfrontacji z pogłoskami i przypuszczeniami; doprawdy, rodziło się pytanie, czy to młody zakonnik jest akurat osobą, która winna szukać we łbie brakującej klepki... Rozeźlony na własne poczynania Chal-Chenet postanowił wbrew wszystkiemu następnego dnia opuścić Moun, choćby sam diabeł stawał mu na drodze, i jechać traktem tak długo, aż stawi się w stolicy, jak to sobie najpierw umyślił. Nikogo co prawda tam nie znał, ale gdyby udało się dotrzeć do króla... nie wiadomo wprawdzie, jakim sposobem...

Młody hrabia Se Rhame Sar przez trzy lata bawił w Lazenne i mówiło się w Valaquet, że będący jego rówieśnikiem Karol XVII zaszczycał go serdeczną przyjaźnią, której dawał liczne i łaskawe dowody; może więc służba u boku generała hrabiego była dobrą rekomendacją; może znalazłoby się miejsce w szeregach gwardii królewskiej?... Z naiwnością szczerego prowincjusza dobry szlachcic, lecz poza tym prosty żołnierz Chal-Chenet wyobrażał sobie, że w Lazenne ktokolwiek, króla nie wyłączając, pamięta o przyjaźniach sprzed dwóch czy czterech lat. Może gdyby Chal-Chenet był żonaty i z wojennych wypraw wracał do swej pani małżonki, dowiedziałyby się czegoś o przyjaźni, stałości i pamięci ludzkiej - choć skądinąd kobieta, a do tego żona, to przecież jeszcze nie „ludzie” i błędem byłoby wyciągać zbyt daleko idące wnioski.

Nabiegawszy się po mieście, gwardzista poczuł głód. Wstydził się wrócić do „Łaskawej Kwiaciarczyki” i zamówić tam kromkę chleba z serem, bo na tyle było go stać, jeśli chciał dojechać do Lazenne. Rozejrzawszy się w uliczkach wokół rynku, odnalazł przyjemną cukiernię, gdzie dawali duże, a zarazem tanie precle z makiem. Był to cały jego obiad, ale Chal-Chenet nie skarżył się na los. Na wojennych wyprawach - czy tam było lepiej?... Prowiant nie zawsze docierał do pułków i bywało, że żołnierz przełamywał ostatni suchar, dzielił się z kolegą, po czym obaj tak samo głodni maszerowali dalej. Co innego w czasach pokoju. Szczęśliwe to były czasy... Dostojna Weronika Teresa wcale dobrze płaciła swojej gwardii i choć szlachta - bo tylko szlachtę do gwardii przyjmowano - zawsze miała większe wydatki, niżli pokryć mógł żołd, to gwardzista Rodziny nie miał

prawa chodzić głodny. Generał Se Rhame Sar z ogromną surowością napomniął kiedyś żołnierzy trzech elitarnych regimentów.

„Waszmościowie - mówił na placu, lustrując wzrokiem milczące szeregi kirasjerów, dragonów i halabardników-muszkieterów - życzyście sobie zatrudniać służących, najmować wygodne mieszkania, przegrywać pieniądze w karty i rozpieszczać prezentami kochanki. Wasza sprawa. Po służbie panowie mają prawo robić cokolwiek i nikogo to nie obchodzi. Ale dochodzą mnie słuchy, że niektórzy czasami poszczą, poczytując sobie za dyshonor prosić o zaliczkę na poczet przyszłego żołdu, chociaż wcześniej nie wstyd im było przepić ten żołd i przehulać. Mniejsza o to, nie będę waszmość panom prawił tu morałów, zresztą żołnierską jest rzeczą spodziewać się śmierci w polu, a co za tym idzie, przepuszczać pieniądze, bo trupowi się nie przydadzą... Mówię tylko, że głodnego żołnierza na służbie tolerować nie będę. Gdy nadejdą dla którego chude dni, nakazuję żądać posiłków w kuchni pałacowej, gdzie nikt panów nie zapyta, jakim to kaprysem gwardzista Rodziny się kieruje, stołując się w strzeżonym przez siebie pałacu. Sam czasem, będąc na służbie, głodny przybiegam do kuchni, bo nie noszę pieczonej gęsi za pazuchą, i zapewniam panów, że nikt mnie stamtąd jeszcze nie wyprosił ani nie zażądał wyjaśnień, co tam robię. Było zresztą widać, co robię, bom jadł, a jedzenie popijał, chociaż to ostatnie... to ostatnie z niejakim umiarem”.

Poszedł wówczas śmiech po szeregach, bo choć młody generał był jedynym synem wicekrólowej, jej ministrem wojny i

Pierwszym Kawalerem Bractwa Rycerskiego, to zarazem był żołnierzem jak i oni, co prawda pierwszym żołnierzem w Valaquet, niemniej jednak prawdziwym żołnierzem, czego dowiódł po wielekroć - to nie urodzenie dało mu najwyższe stanowisko w armii, ale szczery talent dowódczy i solidna wojskowa wiedza. Miał wszystko, co naczelnny dowódca mieć może, bo szacunek, posłuch, a na koniec żołnierską miłość pod-

Zbłądziwszy myślami do przeszłości, Chal-Chenet przecknął się w kącie cukierenki z nadgryzionym precelkiem w dłoni i niemądrym, zamyślonym spojrzeniem wbitym w duże okno wystawowe, przez które widać było ulicę. Ładniutka cukierniczka (czy może cukiereczka...? w każdym razie paniątka z cukierni), widząc postawnego szlachcica z pięknym piórem przy kapeluszu i szpadą unoszącą skraj płaszcza, najpierw strzygła doń oczami - czego nie zauważył - potem zaś pytała, czy precelek smakuje - tego znów nie dosłyszał. Ale spostrzegł się, że go o coś nagabują, przeprosił więc najuprzejmiej i gdy wdzięcząc się, powtórzyła pytanie, odpowiedział uśmiechem, pochwałą wypieków i komplementem pod adresem pytającej. Zarumieniona dziewczyna z wielkim żalem spoglądała za odchodzącym; pomarzyła trochę, westchnęła, po czym opryskliwie obsłużyła jakieś stare babsko, któremu otóż zachciało się łakoci... ani chybi zamiast kwiatów

Posilony precl'em, który burcząc i trąbiąc, jął przemieszczać się w kiszka'ch, rozpaczliwie szukając towarzystwa, Chal-Chenet wrócił do „Łaskawej Kwiaciarczyki" z zamiarem przespania reszty dnia, zmienił był bowiem zdanie i pomyślał, że opuści

Moun już wieczorem; nie miało przecież sensu opłacanie jeszcze jednej nocy w zajeździe, gdy podróżować mógł tak samo po ciemku, jak przy świetle dnia. Jednakże dziwnie nie w smak mu była pospieszna rejterada (bo miał szczególne uczucie, że nie tyle wyjeżdża, co ucieka), ale nieoczekiwanie uspokoił się, uznawszy, iż warto raz jeszcze przed wyjazdem zajrzeć do Domów Reus. Na pewno niczego tam nie było i wątpił, by akurat tego wieczoru pojawiły się widma zabudowań, jednak myśl, że odwiedzi przekłete uroczysko, bardzo mu się udała. Zbyt wielu ludzi pytało o to miejsce, by odjechać sobie jakby nigdy nic. Umocniony w swym postanowieniu, był już w połowie umieszczonych na zewnątrz zajazdu schodów, które wiodły do izb gościnnych, gdy ujrzał człowieka dającego mu z dołu znaki. Desperacko machający rękami mężczyzna wydał mu się znajomy; Chal-Chenet chciał już pytać, co oznacza niezwykła pantomima, gdy spostrzegł, że pośród stu chaotycznych sygnałów jest i taki, który zdaje się błagać: „Bądź pan cicho!”. Zszedł po schodach na dół i przypomniał sobie, skąd twarz mężczyzny jest mu znana - był to we własnej osobie właściciel „U Łaskawej Kwiaciareczki”. Pociągnięty za rękaw Chal-Chenet poszedł za nim aż za róg budynku - szopy albo komórki -

- Panie - rzekł oberżysta, niespokojnie oglądając się na wszystkie strony - czekałem tutaj na pana, chcąc uprzedzić, że ma pan u siebie gości.

Szlachcic popatrzył ze zdumieniem, niepewny, czy dobrze usłyszał.

- Ale... gości? Jakich gości, co pan wygadujesz?

- Pytano mnie o pana, a następnie zmuszono, bym otworzył pański pokój! - wytłumaczył nerwowo gospodarz. - Więc mówię, że ma pan tam gości.

- Kto to taki?

- Dwaj mężczyźni i jedna kobieta.

- Najmujesz pan pokoje na godziny kobiecie idącej naraz z dwoma mężczyznami?...

- Pan żartujesz, a to wcale nie są żarty!

- Właśnie widzę, że nie są... Możesz mi opowiedzieć wszystko po kolei?

- Dobrze, ale niewiele tego... Jakąś godzinę albo półtorej godziny temu zjawił się mężczyzna w czarnej pelerynie, ale zobaczyłem, że pod płaszczem ma zbroję i całe mnóstwo oręża, jakby szedł na wojnę. Powiedział do mnie: „Szukam znajomego, nie wiem, czy się tutaj nie zatrzymał...”. Następnie pobieżnie mi pana opisał, ale za to aż dwa razy powtórzył, że mówi pan z akcentem jakby cudzoziemskim...

- Z akcentem...?

- No tak, panie. Pan nie wie?

Z głupia frant rzucona uwaga uświadomiła szlachcicowi z Valaquet rzecz, zdawałoby się, oczywistą: że wszyscy wokół mówią trochę dziwnie... Podumawszy nad własną głupotą - głupotą przybysza z dalekiej prowincji - Chal-Chenet uśmiechnął się pod wąsem.

- Masz pan rację. Mów dalej.

- No więc pytał o ten akcent, czy go znam. Powiedziałem, że tak, bo przecież prowadzę zajazd i sam pan rozumie, że zamieniwszy z kimś dziesięć słów, potrafię poznać, skąd mam gościa, choćby nawet się wysławiał najpoprawniej.

- Czyli wiesz, że przybyłem z Valaquet?
- Oczywiście. Pan się temu dziwi?
- Nie. I co było dalej?
- Upewniwszy się, że jest pan moim gościem, mężczyzna powiedział: „No to wpuść mnie teraz do pokoju mojego przyjaciela pana Chal-Cheneta...”.
- Zaraz. Wymienił moje nazwisko?
- Nie wiem, czy pańskie; w każdym razie to, które panu podałem.
- Dobrze, i co dalej?
- „Wpuść mnie teraz do pokoju pana Chal-Cheneta, poczekam tam na niego”. Powiedziałem, że to niemożliwe. Jął nalegać, ale odmawiałem. Wtedy pochylił się ku mnie, wziął stojącą na stole butelkę wina z Angoulis... pan wie, jakie to są butelki... i powiedział: „Gospodarzu, zmuszę cię, byś połknął tę butelkę, i nie każ mi dowodzić, że jest to wykonalne. Wiem, że jest, bo gdy położyć człowieka na podłodze i mocno kopnąć w denko, to szyjka wchodzi do przetyku, a flaszka go rozrywa”.
- Dobry Jezu... Tak ci powiedział?
- Słowo w słowo.
- Rozumiem, że wpuściłeś go do mnie? Od razu powiadam, żeś postąpił słusznie, bo to jakiś zbrodniarz lub szaleniec, co zresztą na jedno wychodzi.
- Pomyślałem to samo co pan.
- Ale powiedziałeś, że weszło dwóch i kobieta?
- Tak, bo posłałem przodem chłopaka z kluczami, a kiedy prowadził tego w zbroi, zobaczyłem, że po schodach idzie za nim jeszcze drugi taki sam i kobieta... Ale to nie są pańscy znajomi?...
- A uchowaj Boże.

- I co teraz pan robi?

- Jeszcze nie wiem... Nie spotkałeś pan nikogo podobnego wcześniej?

- Nie, ale wiem, dlaczego pan pyta. Był tu kiedyś ktoś taki, to znaczy tak mi się zdaje... - Oberżysta potrząsnął głową. - Moja żona, ona wtedy doglądała interesu. Przybiegła przerażona, prawie z płaczem. Wziąłem tęgą lagę i poszedłem porozmawiać z łotrem, który tak ją nastraszył. Ale już nikogo nie było. Zdaje mi się jednak, że przypominał tego tutaj, może to nav- A ta kobieta, no, ta co z nimi weszła?

- Widziałem ją tylko przez chwilę. Jakaś niesamowita, blada, ale tak jakby... jakby ją wyjęli z mogiły... - Oberżysta wzdrygnął się i pospiesznie przeżegnał.

Chal-Chenet popukał palcem w zęby. Gospodarz z niemym pytaniem, ale i podziwem spozierał na człowieka, który wprawdzie namyślał się, co robić, lecz nie wyglądał na

- Pójdę tam, zobaczmy, jakich to kompanów zaprosiłeś pan w moje progi.

- Pan tam pójdziesz? - Oberżysta zdumiał się i przelął.

- Tak, lecz ty w tym czasie poślesz po straż miejską. Przedstaw sprawę tak, jak wygląda, powiedz, że do pokoju jednego z twoich gości wtargnęli jacyś uzbrojeni ludzie, którzy wcześniej grozili ci śmiercią... bo jest mało prawdopodobne, byś pan połknął tę butelkę i przeżył, jak pan sądzisz?

Oberżysta znowu się wzdrygnął.

- Zrobię, jak pan mówi. Ale nikogo nie poślę, najlepiej, jak sam pójde.

- Jak pan chcesz. I dziękuję, żeś mię pan ostrzegł.

- Pan zapłacił z góry, był uprzejmy i grzeczny w odróżnieniu od łotra, który przyszedł dzisiaj.

Skinąwszy głową, Chal-Chenet przemierzył podwórze i wstąpił na schody. Żałował, że nie ma pistoletów; zostały w izbie, bo było przecież bez sensu obnoszenie po mieście arsenału... Teraz miał tylko swój rapier, na szczęście długi i naprawdę zacny. Idąc po schodach, wyciągnął zatknięte za pas grube żołnierskie rękawice z zamszu i kolejno wsunął w nie dłonie, poprawił, poruszył palcami. Otworzył drzwi i wszedł do pokoju, obrzucając całe wnętrze jednym uważnym spojrzeniem.

Melania udawała tak dobrze, że poczciwy i zacny pan Se Reus przeląkł się nie na żarty i jął przeklinać własną głupotę. Przecież otruł tę małą bez dwóch zdań; wielkie nieba, niegodziwa kuzynka włożyła mu w rękę sztylet skrytobójcy! Zamiast pozostawić opiekę nad chorą żonę swego ochmistrza, osobiście zaczął doglądać bladej jak kreda bieduli, półprzytomnej, walczącej z nawrotami nudności. Wezwał swego lekarza, bo już sama myśl, że sprowadzi do umierającej podejrzanego konowała, który puści jej jeszcze krew, a w dodatku może zada jakąś nową truciznę, sprawiała, że tym bardziej czuł się jak zbrodzień. Lekarz potwierdził obawy, jął bowiem cmokać ze znawstwem, zabełtał w misce to, co biedna chora zwróciła, jeszcze więcej uwagi poświęcił nocnemu naczyniu, wreszcie sporządził receptę, z którą zaraz posłano do miasta. Na pytanie pana Se Reus odpowiedział -

uczonym terminem medycznym, potem obszernie i przystępnie, jak sądził, bo w istocie wciąż niezrozumiale, opisał postać choroby. Podał przyczyny i objawy (te ostatnie zgoła niepotrzebnie), po czym poszedł, zostawiając szlachcica ze zmarszczonym czołem, co przypisywał podziwowi dla odstonionych głębin swej uczonej wiedzy, gdy w rzeczywistości był to skutek straszego odkrycia, że medyk na niczym się nie zna; pan Se Reus, trzeba trafu, znał przyczynę dolegliwości i po cichu dziękował Bogu, iż nigdy dotąd poważnie nie zaniemógł. Przysiągł sobie teraz, że cokolwiek mu dolegnie, napije się grzanego wina z korzeniami, położy kompres na czoło i zażąda karafki z czystą wodą, lecz dopóki będzie mógł mówić, nie dopuści do siebie lekarza. Tymczasem siedział przy łóżku swej

- Pan taki dobry... - mówiła urywanie i ze łzami w oczach dziewczyna. - Pan sam się mną opiekuje... Proszę przysłać kogoś innego, przecież pan... na pewno ma ważne sprawy.

- Cicho, dziecko. Odpowiadam za wszystko, co zdarzyło się pod moim dachem, nawet za zdrowie służącej, twoja pani jest przecież moim gościem. - Mówiąc to, szlachcic z wysiłkiem przełknął ślinę, pokręcił głową i westchnął.

Melania naprawdę czuła się nietęgo, a do tego świetnie znała specyfiki ukryte we flakonikach, które z kolei wypełniały małą skrzyneczkę z przegródkami wożoną w bagażach baronowej. Zupełnie tak jak poprzednio - bo nadmienić wypada, że Mel już po raz drugi była truta przez swoją panią - nachodziły ją wątpliwości, czy baronowa na pewno zajrzała do właściwej przegródki

albo czy w tej przegródce tkwił aby właściwy flakonik... Doświadczenie podpowiadało, że pani Sa Tuel nigdy w takich sprawach się nie myli, w głębi serca jednak kiełkowała obawa. Rudowłosa pokojówka baronowej była osobką niezwykłą co się zowie, lecz nie aż do tego stopnia, by odczuwać ból brzucha jako rzecz przyjemną, nie wspominając już o tym, że ciągłe nudności - cóż dopiero męcząca biegunka... - bardzo ją zawstydzają. Nie od rzeczy będzie jednak wspomnieć, że Melania miała w pokoiku lusterko - niewielkie, lecz chyba czarodziejskie, bo dzięki niemu migotanie zawieszonych przy uszach brylantów przemieniało się w cudowną triumfalną pieśń nuconą przez siedemset aniołów. Kolczyki zniknęły w hebanowej szkatułce (której zawartość mogła wprawić w osłupienie, jeśli się miało świadomość, iż jest to szkatułka pokojówki), lecz nucony przez anielskie chóry hymn wciąż pobrzmiwał w uszach Melanii, czyniąc dolegliwości czymś prawie niegodnym wzmianki. Wreszcie, na sam koniec, osłodą przykrości była myśl, że oddając przysługę swojej pani, płała zarazem wspaniałego figla; przecież mina gospodarza zamku, który osobiście zadbał o skład jej posiłku, teraz zaś ogromnie się martwił, mogła wynagrodzić... no, może nie zgon od trucizny, ale krótką chorobę na pewno.

- Chyba umrę... - rzekło małe diablę, kierując ku opiekunowi wilgotne zielone oczy. - A jeżeli nie zdążą z lekarstwem? To przez moją panią! - Melania rozplakała się głośno, zakrywając twarz ślicznymi dłońmi. - Pan nic nie wie, ale ja musiałam... i zasłużyłam sobie... a teraz umrę już zaraz! Bo to jest na pewno kaaraa!...

Pan Se Reus pomyślał, że jeśli pokojówka rzeczywiście umrze, to on sam niezwłocznie zgłosi się do władz i doniesie zarówno na siebie, jak i swoją piękną kuzynkę. Ach, do diabła! Koniec już tych matactw! Było więcej niż pewne, że przecudnej urody Sa Tuel od dawna winna stawiać kreski nad posłaniem w królewskiej twierdzy więziennej, gdzie miano by o nią staranie, na jakie zasługiwała!

- Co ty mówisz, dziecko, jaka kara? Cóż takiego zrobiła?

- Ja nie mogę powiedzieć... Nikomu.

- Ale skoro zaczęłaś...

- Nie, nie mogę... Tylko księdzu! - Szlochając, Melania złożyła dłonie niczym do modlitwy, po czym skierowała ku panu Se Reus bladą i mokrą od łez buzią. - Proszę przysłać mi księdza, czy mógłby pan? Bardzo proszę... Bo jeżeli naprawdę umrę?

- Ale co opowiadasz! Oczywiście, że wyzdrowiejesz. Lekarstwo już przyrządzono i musi być w drodze tutaj... o, czy już ktoś nie idzie?

- Pan mnie tylko pociesza... Wcale nikt tu nie idzie.

- W takim razie zaraz przyjdzie. - Gospodarz zamku miał nowy pałacy problem, zastanawiał się mianowicie, czy dziewczynie można podawać mikstury przepisane z myślą o chorobach, na które jako żywo nie zapadła. - Zaraz przyniosą, zobaczysz.

- A jeżeli nie?

- Zapewniam cię, panienko, że apteka jest bardzo blisko.

- Ja wiem, ale jeśli nie zdążą? Albo jeśli lekarstwo nie zadziała? Jakże tak... bez księdza... - Dziewczyna znowu się

rozsłochała, co nie było trudne, gdy wyobraziła sobie ukwieconą trumienkę, przy niej zaś zbolałych rodziców. Taka śliczna, młoda... Przecież było przed nią całe życie! A jak pięknie wygląda, taka cichutka, biedna...

I Melania poryczała się na dobre.

- Niech będzie, poślę po księdza. - Wyrażając zgodę, szlachcic miał takie wrażenie, jakby właśnie przypieczętował los nieszczęsnego stworzenia, a zarazem swoją własną zbrodnię. - Ale na pewno nie umrzesz! - dodał z desperacją, a zarazem gniewem i gdyby Sa Tuel była w jego zasięgu, bez wątpienia doszłoby do rękoczynów. - Ach, niegodna nędznica... - wymamrotał niewyraźnie do siebie, wstając z krzesła i idąc ku drzwiom, by spełnić daną obietnicę.

Jakkolwiek dostojny pan Se Reus mruczał niewyraźnie i tylko do siebie, Melania dosłyszała, a właściwie odgadła, co powiedział; domyśliła się też, kogo miał na myśli, i na powrót zakryła twarz dłońmi, by nie rozchichotać się z radości. W ustach poważnego i grzecznego aż po staroświecku gospodarza zamku niepoehlebny epitet wyglądał niczym... skórzany but na talerzu.

- Och, znowu...! - zawołała z grymasem i przekręcając się na bok, bo śmiechy śmiechami, a okropnie ją mdliło i co gorsza, nie miała już czym wymiotować, skręcała się więc tylko i dławiała.

Pan Se Reus przystanął w drzwiach na chwilę, lecz ujrzawszy, że siedząca w kącie żona ochmistrza człapie ku postaniu z miską w ręku, tylko potrząsnął głową i wyszedł. Przywołał pokojowca i kazał odszukać zamkowego kapelana. Potem poszedł do swego gabinetu, zagłębił się w fotelu i siedział z groźną

a ponurą miną. Kuzynka miała wrócić dopiero nazajutrz... To w sam raz, by zdążyć na pogrzeb.

Melania zaś czekała na księdza. A im dłużej czekała, tym bardziej się bała, że przyjdzie.

Mała szelma, zachwycona przedstawieniem, jakie dała, zapędziła się trochę za daleko. Pomysł, by przywołać spowiednika, przyszedł jej do głowy całkiem nagle i zrazu wydawał się wyborny; przecież sama baronowa mówiła, że ten ksiądz to osoba podejrzana. Ale baronowa prowadziła delikatną, finezyjną grę, której Melania najpierw nie pojęła, a gdy wreszcie zaczęła pojmować, było już cokolwiek za późno. Myśląc o spowiedzi, której się domagała, służąca pani Sa Tuel zaczęła dostrzegać znaczące różnice między spowiednikiem, który przychodzi, chociaż nikt go nie prosi, a spowiednikiem przyciągniętym niemal siłą. Przecież usiądzie i będzie czekał, co penitentka powie. Gdyby przyszedł nieproszony, można by kręcić, kluczyć, utrzymywać, że choroba ustępuje, spowiedź więc jest całkiem zbędna, będzie na nią pora, gdy powrócą siły, po należytych rachunku sumienia, czyli później... a zresztą wymyślić cokolwiek, pozwolić się podpytywać i nie robić nic więcej, jak tylko zapisywać te pytania w pamięci, a potem powtórzyć pani, która w jednej chwili zrozumie, o co w tym wszystkim chodzi. Nieproszony spowiednik to na pewno przeciwnik, zaproszony - nie wiadomo kto. Schorowanej Melanii jeszcze bardziej zrobiło się słabo, bo im dłużej

„Ach, pani!” - rzekło w myślach wystraszone dziewczę.
„Dlaczego cię tutaj nie ma, ja chyba... nawarzyłam piwa i będę

musiała je wypić. Żeby tylko i pani nie musiała..."

Pomyślawszy o takiej możliwości, Mel poczuła przykre ssanie w dołku i nie była to sprawka trucizny.

Baronowa umiała się gniewać. I to jak umiała... Czerwone od uderzeń policzki to było najmniejsze, co mogło spotkać Melanię; o, to było zupełnie nieważne... Ale zwolnienie ze służby? Melania już dwa razy - a powiada się przecież, że do trzech razy sztuka - już dwa razy na kolanach błagała baronową, by jej nie odpędzała, z płaczem czepiając się jej nóg tak długo, aż zdołała wyżebrać przebaczenie. Teraz jednak to mogło być o jeden raz za dużo. Pani Sa Tuel grała bardzo, bardzo wysoko; to, co sprowadziło ją do Moun, nie było zwykłą sprawą. Melania świetnie wiedziała, komu służy jej żywicielka, była też wprowadzona - co prawda pobieżnie - w arkana rozgrywanej intrygi, bo inaczej nie mogłaby się do niczego przydać. Wydawało się całkiem jasne, że jeśli plany baronowej zostaną pokrzyżowane za sprawą niemądrych poczynań pokojówki, to ta pokojówka będzie mogła mówić o szczęściu, gdy wyniesie z „Ach, pani, pani!" - powtarzała w myślach strwożona dziewczyna. „Co ja najlepszego narobiłam!"

Prawdę mówiąc, niczego jeszcze nie narobiła. Ale Melania, obdarzona żywym temperamentem, skłonna do gwałtownych uczuć, wrażliwa, bardzo szybko przechodziła od strachu do radości, od płaczu do śmiechu i na odwrót.

Teraz właśnie do śmiechu jej nie było.

I uspokoiła się dopiero wtedy, gdy u jej posłania zjawił się kapelan dostojnego pana Se Reus. Ujrzawszy dobrotliwą twarz

staruszka, któremu z oczu wyzierała łagodność, w zamian zaś nie błyszczała nadmierna inteligencja, Melania trochę odetchnęła. Służąc swojej pani, nauczyła się sztuki badania fizjonomii. Wiedziała, jak łatwo tutaj o pomyłkę, ale baronowa nie skąpiła jej pouczeń w tej kwestii. Ten tutaj, zacny i poczciwy kapłan, albo naprawdę był taki, albo też stał przed Melanią zły geniusz, potrafiący przybrać dowolną maskę tak, że zupełnie stapiała się z twarzą. To ostatnie było wielce niepraw-

„O, nie...” - powiedziała sobie z ulgą Melania. „Baronowa mówiła, że w takim stawie jak Moun nie pływają bardzo bystre ryby. Nikt by nie skierował do tego poczciwego pana Se Reus wytrawnego szpiega. Tutaj może być najwyżej płatny obserwator, który w razie czego doniesie gdzie trzeba, że moja pani zamieszkała na zamku, dokądś się udała o tej czy tamtej porze i wróciła o jakiejś godzinie”.

Pokrzepiona dokonaną obserwacją niefortunna penitentka odzyskała nadzieję, że jakoś się wykaraska. Przecież nie takich jak ten ksiądz zdarzało jej się wodzić za nos!

- Biedne dziecko - powiedział strapiony staruszek, dotykając ciepłą dłońią czoła leżącej. - Posłyszałem już rano, żeś chora, ale nikt mi nie powiedział, że to taka poważna sprawa. Czy naprawdę?

- Ja... już sama nie wiem... - odparła smutno dziewczyna, odwracając głowę i spoglądając na ścianę. - Czy udzieli mi ksiądz rozgrzeszenia?

- Oczywiście, przecież po to tu jestem.

- Ale ksiądz nawet nie wie jeszcze, czyja zasługuje.

- A jakież to grzechy, których Pan Bóg nie mógłby przebaczyć, mogą ciążyć na sumieniu takiej młodej dziewczyny? Pełnię swą posługę już prawie pięćdziesiąt pięć lat - powiedział spowiednik, siadając na obitym pluszem taborecie, który wcześniej zajmował pan Se Reus, jednocześnie zaś pokazując żonie ochmistrza, by zostawiła go samego z penitentką. - Pięćdziesiąt pięć lat i tylko raz, tylko raz, powiadam, zadrżała mi ręka, bo w spowiedzi idącego na szafot skazańca nie znalazłem nawet śladu skruchy, a jedynie pychę i butę. Otóż skrucha, panienko, szczerza skrucha i żal za grzechy to warunki niezbędne, by uzyskać odpuszczenie grzechów. Ale same grzechy jakież mogą być, moja córko? Otóż mogą być tylko ludzkie, więc skrojone na ludzką miarę, a więc już tym samym nieskończenie mniejsze od boskiego miłosierdzia. Człowiek nawet nie ma możliwości uczynienia takiego zła, którego Stwórca nie mógłby przebaczyć, bo gdyby tak było, to swoją mroczną potęgą przewyższyłby jasną potęgę Pana Boga.

- Tak, to prawda - szepnęła dziewczyna, spoglądając na kapłana z wdzięcznością. - Ale czy to znaczy, że Pan Bóg przebaczy wszystko?

- Dopiero na Sądzie Ostatecznym, dziecko, okaże się, czy potrzebna jest dodatkowa pokuta. Ale tu, na ziemi, kapłan może w imieniu Pana Boga odpuścić wszelkie przewiny, szczególnie w obliczu śmierci. Warunkiem jest szczerzy żal i obietnica poprawy.

- A jeżeli ktoś już nie ma czasu? Jeżeli już nie zdąży się poprawić?

- Żal i obietnica poprawy - powtórzył stary ksiądz, znacząco potrząsając głową. - Czy na poprawę będzie dosyć czasu, to

zależy tylko od Boga. Czy żałujesz swoich złych uczynków?

- Bardzo - powiedziała ze łzami, które wezbrały tym łatwiej, że znów zaczynał boleć ją brzuch.

- Więc musisz opowiedzieć mi o nich. Wyrzuć wszystko z serca, ja zaś cię wysłucham.

Melania stanęła (a właściwie nie stanęła, bo leżała) przed nie lada dylematem. Bała się kłamać na spowiedzi - w końcu był to święty sakrament - jednocześnie zaś z powodów oczywistych wypowiadać się szczerze nie mogła. Od kilku już lat nie miała podobnych rozterek, wyznawała bowiem swe winy spowiednikowi baronowej (która miała spowiednika, bo w niektórych kręgach pragnęła uchodzić za osobę religijną), ale był to kapłan służący po równo Panu Bogu, jak i Egaheer; zresztą kochanek jej pani, przynajmniej od czasu do czasu, więc Melania mogła spowiadać się szczerze. Lecz ten tutaj, jeżeli był szpiegiem, to właściwie wcale jej nie spowiadał, tylko podstępnie przesłuchiwał; spowiedź przez to przestawała być spowiedzią, a podczas nie-spowiedzi wolno przecież kłamać do woli - rozumowała Melania. Gorzej, jeżeli staruszek rzeczywiście był tylko księdzem i nie żywił ukrytych zamiarów.

Znowu nachodziły ją mdłości.

- Ja... - powiedziała z wysiłkiem i łzami w oczach, bo miała okropny skurcz żołądka - ja, wielbny ojciec... nie mogę się wypowiadać... bo...

Kapłan pochylił się ku niej, lecz w tej samej chwili przekręciła się na bok i z wymiotowała mu na sutannę odrobiną żółci, resztkami soków żołądkowych i śliną.

- ...bo umieram... - wykrztusiła, osuwając się z posłania.

Biedny ksiądz przytrzymał bezwładnie lecące głową ku podłodze ciało, zawołał o pomoc i gdy żona ochmistrza próbowała ratować konającą, pospiesznie nakreślił krzyż w powietrzu i wymamrotał formułkę rozgrzeszenia.

Wkrótce potem przyniesiono lekarstwo i Melania poczuła się lepiej. Mogła z czystym sumieniem zapewnić swoją panią, że ani pan Se Reus, ani nikt inny w tym domu nie ma względem niej złych zamiarów.

Zacny gospodarz natomiast, ujrawszy, że jednak nie jest mordercą, podążył do zamkowej kaplicy, by się pomodlić i podziękować Bogu. Czuł taką ulgę i radość, że z prawdziwą wdzięcznością jął myśleć o nadobnej kuzynce, takiej dobrej, takiej delikatnej i uczciwej, która swoje sługi tylko podtruwała, zamiast zupełnie otruć.

W tym samym czasie, gdy biedna pokojówka walczyła ze śmiercią, jej pani zajmowała się sprawami, które ją przywiodły do Moun. Może raczej: próbowała się zajmować, bo wyjęto jej z ręki ster wydarzeń, czego nie znosiła. Trudno wyobrazić sobie kogoś, kto mniej by się nadawał do mechanicznego wypełniania poleceń. Sa Tuel była nieoceniona - pod tym jednakże warunkiem, że pozostawiano jej pełną swobodę działania, pokazując tylko cel, który należało osiągnąć. A tym razem tak się nie stało.

Jeszcze będąc w Loen, Sa Tuel wysłała kilka krótkich listów, informując kogo trzeba, że z Moun nadeszła wreszcie oczekiwana wiadomość: pojawił się szlachcic z Valaquet pytający o Domy Reus. Potrafiąca szybko podróżować baronowa stawiała się na zamku u swego kuzyna we wtorek, jeszcze zanim przybyli wezwani przez nią pomocnicy. Przewidując, że tak właśnie będzie, wyznaczyła spotkanie na środę - i bardzo dobrze zrobiła, bo siepacze Egaheer, mający do przebycia grube mile, żadną miarą nie zdążyliby wcześniej; stawiali się przed nią prosto z marszu, okryci błotem gościńca. Wyznaczony na schadzkę dom należał do rzekomego lekarza, po którego koniec końców pan Se Reus nie posłał. Baronowa, nie znając przyczyn tego zaniechania, zaczynała się niepokoić; kazała wezwać do Melanii poleconego przez siebie medyka z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że przybycie gońca z zamku utwierdziłoby ją w przekonaniu, że wszystko tam idzie po jej myśli; po wtóre, medyk dowiedziałby się od Melanii, czy nic ważnego się nie wydarzyło, pomógłby w miarę możliwości, gdyby zaszła taka potrzeba, a na koniec zdał raport zleGońca z zamku tymczasem nie było.

Ale za to przybył ktoś inny.

Bardzo trudno przedstawić pokrótce relacje między panią Sa Tuel a tym, czemu służyła. Egaheer nie była człowiekiem i sama wielokrotnie ostrzegała swe sługi przed przypisywaniem jej cech ludzkich, a zwłaszcza szukaniem ludzkich motywów podjętych decyzji i działań. Rzeczywiście, żaden żołnierz nie mógłby pozostawać z dowódcą w takich stosunkach, w jakich Sa

Tuel pozostawała z Egaheer, żadna służka wobec żadnej pani. Sa Tuel słuchała poleceń i rozkazów, ale każdym spojrzeniem zdawała się mówić: „Och, więc znowu? Gdzież więc jest ta twoja starożytność, gdzie twoja niezwykłość, Egaheer? Przecież jesteś tylko kobietą, albo nawet obmierzłym babsztylem, nie mającym nic prócz przekwitłych zachcianek”. Pozostawała w służbie z jednego tylko powodu, mianowicie ów babsztyl otwierał przed nią podwoje mrocznych królestw, tajemnicze otchłanie, gdzie zarzucać mogła sieci intryg tak misternie splecione, tak szeroko rozpostarte, że nie dałoby się nimi łowić w żadnym innym morzu. W rzeczy samej, nudna rzeczywistość Zjednoczonych Królestw była dla Renaty Sa Tuel najwyżej zatęchłą sadzawką, do której przemyślnie powiązane sieci miały się całkiem nijak. Z drugiej znów strony Egaheer - ów tajemniczy byt, który nie chciał, by określać go mianem istoty - oważ Egaheer nie znosiła swojej najznamienitszej służki, a trzymała przy sobie z tego tylko powodu, że nikt inny nie potrafił splatać dość dużych i mocnych sieci... „Sa Tuel, ty jesteś pomyłką” - rzekło kiedyś owo dziwne coś. „Wypatruję chwili, kiedy spadnie z ciebie fałszywa ludzka skóra i pokażesz mi się naprawdę - jedna z nas. Nie znam cię, siostrze, lecz to niemożliwe, żebyś była człowiekiem jak ci wszyscy wokół. Albo jesteś pomyłką wszechrzeczy, albo wreszcie mi się pokażesz, a wtedy jedna z nas przegra i wypędzi drugą za granice kosmosu, czy jak tam tę pustynię nazywacie”. Nie będąc człowiekiem, Egaheer nie wiedziała, co to honor lub upokorzenie, co to jest miłość własna. Gdy przegrywała, nie umiała czuć się tym dotknięta; gdy coś było od niej silniejsze, powiadała: „to jest silniejsze”.

Powiałała bez zawiści i żalu, i bez wstydu, bo żadnej z tych rzeczy nie umiała poczuć, albo raczej czując, nie umiała ich rozpoznać, bo uczucia - zwyrodniałe, pogmatwane - były tylko niechcianą spuścizną przejmowaną w jakiś sposób po istotach, które musiały jej oddać swoje ciała. Trzymała więc przy sobie Sa Tuel, przyznając zupełnie otwarcie: „Muszę cię mieć, bo jesteś jedyna do mych celów”. Lecz umiała nienawidzić albo kochać (choć pokrętnie i niezrozumiale), bo te dwa uczucia akurat wynikały z samej jej natury, dodawała więc zaraz: „Ale nie znoszę cię i czekam, kiedy przestaniesz być przydatna”. Potrafiła nienawidzić zarówno przeciwników, jak i sprzymierzeńców, bo nienawiść Egaheer nie rodziła się z jakiegoś powodu, a tylko wobec kogoś lub czegoś. Tak nos ludzki traktuje wstrętne bądź przyjemne wonie - lubi je bądź nienawidzi tylko za to, że są, bo nic złego lub dobrego mu nie

A dzień, gdy Sa Tuel okaże się nieprzydatna - ten dzień mógł nadejść lada moment. Złotowłosa baronowa z coraz większym trudem spełniała wymagania swojej pani. Działo się tak dlatego, że ta pani zaczęła robić coś, czego nigdy dotąd nie czyniła, mianowicie próbowała do wszystkiego się mieszać. Nie umiała zaś nic, zupełnie nic. Nie wiedziała, co to kłamstwo, a co prawda. Mniejsza z tym, że nie umiała poznać własnych uczuć; gorzej, że nie potrafiła rozpoznać uczuć ludzi - zgadywała je tylko i czasem jej się udawało, a czasami nie. Owocowało to takimi skutkami, że do czegokolwiek przyłożyła rękę, rozpadało się jak wieża z piasku wysuszona przez nadmorski wiatr. Mając taką „wspólniczkę” u boku, Renata Sa Tuel także nie umiała nic

zbudować. Wszystko sypało się w proch niczym piaskowe wieże.

Zamiast niecierpliwie wyglądanego posłańca z zamku Sa Tuel ujrzała w drzwiach izby Egaheer. W pierwszej chwili sądziła, że to jakaś postronna osoba, która nie wiadomo skąd się wzięła. Ale ta osoba wyglądała tak niezwykle, że baronowa w dwie sekundy pojęła, kogo naprawdę ma przed sobą. I gotowa była zemdleć z gniewu. Wstała z krzesła i ruszyła ku drzwiom.

- Znowu! Ach, znowu! Tutaj, ty - mówiła urywanie. - Co cię przyniosło? Czego tutaj szukasz?

- Czego?... Nie wiem. Niczego.

Sa Tuel połamiała swój wachlarz i rzuciła w kąt. Odwróciła się plecami do przybyłej i przymknęła na chwilę oczy, robiąc głęboki wdech. Powolotku wypuściła powietrze.

- Dlaczego zmieniłaś wygląd? - zapytała ze złowróbnym spokojem. - Jak się teraz nazywasz, kim jesteś?

- Wszystko jedno.

- Ale ta kobieta miała jakieś nazwisko?

- Niewątpliwie. Ale nie wiem jakie.

- Nie wiesz, kogo zabiłaś?

- Nie.

- A skąd wzięłaś to ciało? Z ulicy?

- Nie, z cmentarza - odrzekła Egaheer.

Sa Tuel na chwilę zamilkła.

- Z... cmentarza?

- Z cmentarza - powtórzyła kobieta, w samej rzeczy wyglądająca na nieboszczkę, i to nieboszczkę upiorną, z ziemią za połamanymi paznokciami i w sukni, która musiała mieć kontakt

z mokrą gliną. - Nie miałam czasu i siły, żeby szarpać się z kimś, kto mnie nie chce. A ta nie mogła się bronić.

Egaheer umiała istnieć tylko w jakimś ciele, niekoniecznie ludzkim - bo ostatecznie zwierzęcym - najlepiej jednak żeńskim. Mogła zastąpić sobą życie prawie każdej istoty, wypierając je, a czasem tylko tłumiąc - był to wówczas proces odwracalny. Lecz w żaden sposób nie umiała wskrzesić trupa, skoro raz nim został.

- Sądziłam, że tego nie umiesz.

- Czego? Ach... Nie była martwa, pochowano ją w letargu. Moja droga Sa Tuel, czy długo będziesz mnie wypytywać? Broń mnie! - zażądała. - Beze mnie będziesz niczym, będziesz trula niewygodne królewskie kochanki albo zajmowała się innymi sprawami podobnego kalibru. Chcesz skończyć jako nadworna intrygantka jakiegoś capa w koronie?

- Przed czym mam cię bronić, Egaheer? - zapytała uprzejmie baronowa.

- Przed tym, co mnie tu przywlokło. Nie wiem, po co tu przyszłam.

Coś, nie wiadomo co, nie wiadomo skąd... to pół biedy. Ale coś, co jest niezrozumiałe, a w dodatku szalone - to już nadto.

- Egaheer - powiedziała Sa Tuel, po raz drugi narzucając sobie spokój. - Jestem tutaj, wykonując twoje polecenia. Miałś czekać, aż pošlę wiadomość. Po co tutaj przyszłaś?

- Mówię ci, że nie wiem. Musiałam przyjść, no więc przyszłam. Rób swoje, a mną się nie zajmuj.

- Mam się tobą nie zajmować?

- Nie - powiedziała kobieta, tanecznym krokiem sunąc w poprzek izby ku oknu, a następnie z powrotem ku drzwiom. - Nie nie-nie-nie nie nie - zaśpiewała, kręcąc się na pięcie, z furkotem czarnej pogrzebowej sukni. - Nie nie-nie nie nie...

- O, do wszystkich diabłów - powiedziała Sa Tuel.

- Nie nie-nie-nie nie nie...

Milcząc, Sa Tuel cofnęła się pod ścianę. Mogło zdarzyć się cokolwiek, Egaheer czasami bywała nieobliczalna. A już teraz?...

Nucąca swoje głupstwa kobieta kręciła się coraz prędzej, już nie tyle z furkotem, co wręcz trzaskiem szarpanej powietrzem spódnicy, z szybkością niemożliwą dla człowieka, zresztą coraz szybciej i szybciej. Zatrzymała się tak nagle, że suknia pękła na szwie, a rozkrzyżowane ramiona jeszcze przez chwilę poruszały się siłą rozpędu, prawe zatoczyło półkole do przodu, lewe zaś do tyłu; to drugie z chrupnięciem dowodzącym, że wyłamało się z barku i bodaj czy nie pękło także w łokciu. Z włosami w nieładzie i sączącą się z nosa strużką krwi pięćdziesięcioletnia nieboszczka przyglądała się trzydziestoletniej towarzysze.

- Egaheer - powiedziała z ogromnym spokojem Renata Sa Tuel - wyglądasz jak trup, który wydarł się z grobu, co zresztą nie mija się z prawdą. Teraz na dodatek masz złamaną rękę; o wymazanej ziemi i podartej sukni nawet już nie wspomnę, bo to akurat łatwo można zmienić. Kogo chcesz udawać w tym ciele? Gdzie chcesz się pokazać w tej postaci? Na zamku mojego kuzyna, czy raczej przed ratuszem? Czy ktoś widział, jak tutaj wchodziłaś?

- Tak, Ewangelisci.

- Nie o nich pytam.

Egaheer dobierała sobie przyboczne kreatury - zabójców wynajdywanych nie wiadomo jakim sposobem, podług jej tylko znanych kryteriów; zawsze brała na służbę sześciu, dlatego kpiąco nazywała ich Ewangelistami albo Apostołami. Przybierali sobie zresztą imiona natchnionych przez Ducha Świętego autorów Nowego Testamentu; ci trzej, którzy przybyli do Moun, nazywali się Bartłomiej, Jan i Mateusz. Czekali na dole, bo Sa Tuel kazała im odpocząć, choć poza tym trwać w gotowości; nie wydała żadnych poleceń, bo wciąż jeszcze wyglądała postać mającego sprowadzić na zamek lekarza.

- Nie o nich pytam - powtórzyła. - Egaheer, czy słuchasz, co mówię?

- Ojej, ależ jest pani nudna - orzekła lekceważąco wezwana.

- Co chcesz wiedzieć, kochana baronowo?

- Nic już. Zostań tutaj. Każę przysłać ci wodę, lustro i jakiś grzebień, zechciej więc dokonać toalety.

- Boli mnie ręka.

- Wierzę. Ale nie mam pokojówki, której mogłabym ci użyzyć, ja zaś twoimi ablucjami zajmować się nie będę. Musisz więc poradzić sobie sama.

- Wszystko, co pani każe.

- Skoro tak, to jeszcze: idź do diabła! - rzekła Renata Sa Tuel, zatrzymując się w progu. - I niech cię diabli wezmą!

- Nie wezmą. Czekają na ciebie, moja droga Sa Tuel, więc pomiarkuj się trochę, bo dopiero co prosiłam twego Stwórcę, by cię do nich nie posłał na zawsze.

- I przychylił się do pani prośby? - zapytała baronowa, wychodząc.

- Świadczymy sobie drobne uprzejmości.

Tego Sa Tuel już nie dosłyszała.

Trzej mężczyźni niewzruszenie czekali w stołowym pokoju na dole. Dom był niezbyt przestronny, jednak na tyle duży, by bez śladu pochłonać gospodarza. Dopytawszy się o niego, Sa Tuel dotrzymała danej Egaheer obietnicy i kazała posłać na górę lustro i ciepłą wodę. Wystraszony właściciel mieszkania spełnił rozkaz bez zwłoki.

Sa Tuel wróciła do Ewangelistów.

Byli dla niej zagadką. Tajemnicą, której nie rozwikłała. Czarni Jeźdźcy, Przeklętnicy, Niszczyciele - nadawano im różne miana.

Kiedyś w Starej Ziemi Heastseg w ludzkich ciałach uwięziono dusze Morderców z Saywanee. Ale to było kiedyś, przed wiekami. A teraz? Sa Tuel zgadywała, że Egaheer porywa różne pomniejsze... byty, zjawiska trochę do niej podobne (bo przecież nie istoty, a broń Boże), ale słabsze, może skazane na zagładę. Służyli jej więc ludzie i nie-ludzie zarazem, bo nad tymi duszami Niebo i Piekło nie miał żadnej władzy. Lecz w istocie były to nieświadome swej tożsamości maszyny potrzebujące stałego nadzoru; nad Ewangelistami zawsze stał jakiś dowódca, człowiek z krwi i kości. Ktoś, kto skupiał swą siłę nie za poruszeniem wachlarza, jak ona, lecz w błysku szpady i huku pistoletowego strzału. Mężczyzna. Silny mężczyzna.

Sa Tuel trochę bała się Ewangelistów, a jeszcze bardziej się nimi brzydziła.

- Który z panów zna właściciela zajazdu „Pod Jarzębiną”? - zapytała sucho. - Szybko, proszę, nie mamy wiele czasu.

- Łukasz. Ale nie ma go z nami.

- Widzę, że go nie ma. Nieważne. Wczoraj przed południem pan Chal-Chenet opuścił ten zajazd i udał się dokądś, nie wiadomo dokąd. Sprawdźcie, czy wyjechał z miasta, ale bardzo wątpię, by tak zrobił. Raczej mieszka w innej gospodzie. Są tu jeszcze dwie.

- „U Łaskawej Kwiaciarczyki” i „Przy Krzyżu”. Ale „Przy Krzyżu” szlachcic się nie zatrzyma.

- Słusznie. - Sa Tuel przypomniała sobie, że wymieniony zajazd to w samej rzeczy miejsce wyjątkowo podłe; noclegownia o tyle tylko, że w paru wymoszczonych słomą izbach mogli zlec opoje nie mający dość siły, by rozejść się do domów (o ile w ogóle mieli domy). - Pójdziecie więc zasięgnąć wieści „U Łaskawej Kwiaciarczyki”, ale tylko dwaj. Trzeci rozpyta w tym czasie, czy kawaler Chal-Chenet nie opuścił miasta. Straże przy obu mostach pobierają myto; najprędzej tam.

Mężczyźni porozumieli się wzrokiem; jeden zaraz wyszedł, dwaj zostali.

- Jeżeli ten szlachcic jest w „U Kwiaciarczyki”, to co pani rozkażesz z nim zrobić?

- Skłonić, by przyjął moje zaproszenie.

- Gdzie powinien się stawić?

- Ach, mój Boże, gdziekolwiek. Dokądkolwiek przyjdzie, ja tam będę. Chodzi tylko o to, by to było miejsce znane wam wcześniej, więc bezpieczne i w miarę dyskretne. Trudno przecież, bym mu złożyła wizytę w oberży, na dodatek w jego własnym pokoju.

- Czy zechce pani powiedziec nam coś więcej?

- A co jeszcze chce pan usłyszeć?

Ewangelista nazywający siebie Janem popatrzył przeciągle, po czym rzekł:

- Pani baronowo, wydaje mi się, że sumiennie wy pełniamy wszystkie pani polecenia. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że nie lubi pani naszego towarzystwa. Ale i ja przyznam, że chętniej widzę nad sobą pana Del Wares niż panią. Niemniej dzisiaj jesteśmy na siebie skazani, trudna rada. Czy zechce pani zatem powściągnąć rozdrażnienie i rozmówić się z nami do końca?

Sa Tuel w samej rzeczy była rozdrażniona, a przy tym - rzecz cokolwiek zabawna - okropnie brakowało jej wachlarza, który tak niebacznie połamała w gniewie. Przywykła, prowadząc rozmowę, dawać jakieś zajęcie dłoniom. Lecz trudno, by z takiego kłopotu zwierzała się Ewangelistom.

- Pan mnie chce pouczać?

- Chcę wypełnić zadanie, tylko tyle. I to wypełnić je dobrze, by za godzinę lub dwie nie musiała pani spotykać się z nami powtórnie dla wydania nowych poleceń. W ten sposób obie strony unikną przykrości.

Cokolwiek mówił ten człowiek - wszystko jedno: uprzejmie czy też nie - przejmowało mrozem. Sa Tuel bardzo nieczęsto kłóciła się ze swoim sumieniem, bo rzadko miało inne zdanie niż ona. Lecz przyboczni siepacze Egaheer nie mieli sumień w ogóle. Ten człowiek mógł z takim samym spokojem w zimnych oczach mówić o potrawach na stole, jak i zamknięciu kościoła pełnego modlących się wiernych, a następnie puszczeniu go z dymem. Wyrachowana, wyniosła, odważna aż do zuchwalstwa

Sa Tuel była jednak tylko kobietą i po prostu bała się brutalnej, bezlitosnej siły ucieleśnionej w gwardzistach Egaheer. Pewnego dnia jeden z nich przyjdzie do niej i ze zwykłym chłodem oznajmi: „Pani baronowo, Egaheer uznała, że już pani nie potrzebuje; przyszedłem panią zastrzelić, a dla większej pewności przykazano, bym po śmierci uciął pani głowę”. A wówczas, mając swój sztylet i pierścień z zatrutą igłą na sprężynie, potrafiąc celnie strzelić z pistoletu, a nawet złożyć się szpadą, będzie zupełnie bezbronna. Któryś z nich, Jan lub Łukasz, a może Bartłomiej, bez wysiłku zgniecie jedną dłonią przeguby obu jej rąk, przytrzyma, potem rzucającą się i rozpaczliwie wzywającą pomocy przycisnie do ściany, wepchnie w otwarte do krzyku usta lufę pistoletu i pociągnie za spust. Wszystko dlatego, że była zaledwie kobietą i wobec kogoś silnego, a przy tym gotowego do walki nie mogła niczego

- Użyłeś pan dobrego argumentu - powiedziała wyniośle, a zarazem pogardliwie i kpiąco. - A więc dobrze. Rozmów się pan z kawalerem Chal-Chenetem, nie tając ani tego, kim jesteś, ani komu służysz, możesz też otwarcie powiedzieć, do czego jest nam potrzebna jego pomoc. Zresztą na pewno wie. Gdyby pytał, czy chcemy wyrządzić krzywdę jego generałowi, zaprzecz pan. Tu także wolno ci powiedzieć wszystko, co uznasz za potrzebne, chociaż stale powtarzaj, że najlepiej zrobi, nie zwlekając z przyjęciem mojego zaproszenia, ja zaś wyczerpująco odpowiem na każde jego pytanie, rozwieję wątpliwości, dam gwarancje. Tyle, jeśli chodzi o rozmowę. Co do sposobów, których użyjecie, by

nakłonić go do spotkania ze mną, są mi obojętne; jeden tylko warunek: ten człowiek musi żyć i musi mówić, więc nie można uciąć mu języka, raczej wszystko inne, jeśli zajdzie taka potrzeba. No? Czy życzysz sobie, waszmość, jeszcze dokładniejszych instrukcji?

- Nie jestem dobrym mediatorem, pani baronowo. Zmusić tego szlachcica do spotkania z panią mogę bardzo łatwo, ale czy to się opłaci?

- Co pan przez to rozumiesz?

- Może wystarczy, jeżeli przedłożę zaproszenie.

- A potem sobie pójdziesz?

- Bo tak nakazuje rozsądek.

- I co w ten sposób zyskamy?

- Czas. Nawet jeśli pan Chal-Chenet odmówi, to dopóki nie użyję przemocy, dopóty ma pani pole do dalszych negocjacji. Natomiast gdy zadam temu człowiekowi gwałt, pozostanie już tylko siła.

- Ależ jesteś pan mądry! - powiedziała ze złością i przesadnym podziwem. - Lecz nic mi po twojej mądrości, bo jesteś pan tylko maszyną i jako maszyna rób to, do czego cię przeznaczono, a wszystkie troski zostaw lepszym i mądrzejszym od siebie. Nie zamierzam tłumaczyć się przed nikim, a już na pewno nie przed wami. Proszę zrobić, co powiedziałam.

Rozmowa była skończona. Ewangeliści wstali i bez słowa ruszyli ku wyjściu.

- Zostać.

Mężczyźni zatrzymali się w drzwiach. Tego dnia Egaheer stale wyrastała gdzie jej nie posiali.

- Co wyprawiasz, moja Sa Tuel?

Zapytana przygryzła dolną wargę, pokazując białe zęby - doskonale jak cała reszta.

- Co wyprawiam?

- Pójdę z nimi - rzekła Egaheer, uczesana już cokolwiek i umyta. Była odziana w oczyszczoną jako tako suknię, lecz nadal wyglądała jak nieboszczka, tyle tylko, że przygotowana schludnie do pochówku.

- Ach, wybierasz się z nimi?

- Tak.

- Do gospody?

- Tak, do gospody.

- Doskonale. W takim razie ja natychmiast wyjeżdżam.

Renata Sa Tuel nie chciała się tłumaczyć przed Ewangelistami, a przed Egaheer wręcz nie mogła. Bo co miała powiedzieć? Może: „Egaheer! Nie mam czasu na żadne negocjacje i przekonywania, wszystko muszę mieć zaraz, bo jest kwestią tygodni, a może tylko dni, jak nic z ciebie nie zostanie! Powiedzieć o tobie szalona to mało! Jesteś bardziej nieobliczalna i stokroć bardziej niebezpieczna niż wszyscy pomyleńcy świata razem wzięci!”

- Nie, Sa Tuel.

- Co ma znaczyć to „nie”?

- Ma znaczyć, że nigdzie nie wyjedziesz.

- Ach, do kata! - zawołała baronowa. - Dość już mam podobnego traktowania i wysługiwania się komuś takiemu jak pani! Ja nie wyjadę? Ja? W takim razie proszę mnie zatrzymać!

- Dziś jest środa, nieprawdaż? Trzeci marca? Jutro, a najdalej pojutrze, w zamku twojego kuzyna stawi się pan Del Wares.

Może zresztą już dzisiaj, może za godzinę.

Sa Tuel przycichła.

- Dzisiaj? Ale... Dzisiaj, za godzinę?...

Na policzkach wykwitły jej rumieńce. Bezwiednie przesunęła językiem po wargach, jakby chciała im przywrócić wilgotność i połysk.

- Miał przecież... być w Valaquet. Miałam pchnąć za nim gońca z wieściami.

- Zawróciłam go z drogi. Pojedziecie tam razem.

- I on dzisiaj? Tutaj? Przyjedzie? - pytała nerwowo baronowa, maskując się tak nieudolnie, że aż litość brała; i tę oto kobietę uważano za kłamczuchę i najlepszej próby intrygantkę. - Ale dzisiaj...

- Wracaj do zamku, moja piękna Sa Tuel, pędź po swoje świecidełka i przymierzaj fatałaszki, no dalej! - doradziła Egaheer szyderczo, a zarazem z czymś w rodzaju zawiści w głosie. - Dzisiaj sama zajmę się wszystkim.

Renata Sa Tuel straciła już rumieńce, ale w zamian lekko pobladła. Uniosła dumnie głowę, po czym usunąwszy gestem stojących jej na drodze Ewangelistów, wyszła z izby i wezwała właściciela domu.

Zamknąwszy za sobą drzwi, Chal-Chenet nie wyrzekł ani słowa, spoglądał tylko uważnie, oceniając ludzi, o których tyle już słyszał, a których dotąd jeszcze nie widział. Byli to dwaj mężczyźni bardzo do siebie podobni i niepodobni szatyn z włosami sięgającymi ramion, wytwornie założonymi za uszy, drugi ciemny blondyn, krótko ostrzyżony na nordyjską modłę, trochę łysiejący, z wyraźnymi zakolami nad wysokim czołem. Byli w różnym wieku, różnej tuszy i różnego wzrostu, lecz obaj tak samo odziani w czarne szaty i wyposażeni jak na wojnę, co trafnie ocenił gospodarz, pod płaszczami mieli bowiem stalowe napierśniki, w pochwach mocne rapiery, za pasami zaś zatknięte pistolety. W spokojnych czasach taki ekwipunek wydawał się aż nie na miejscu. Ale to nie ekwipunek nieproszonych gości przykuł uwagę szlachcica z Valaquet. Najbardziej szukał owego demonicznego rysu, znamienia niesamowitości, o którym wciąż mu mówiono.

Szukał go - i znalazł. Coś dziwnego kryło się w oczach tych ludzi; może zresztą nie tylko w spojrzeniu. Był to - jak się zdawało - całkowity brak zainteresowania dla czegokolwiek zgoła. Tych dwóch nic nie obchodziło, spoglądali nań bez lęku, drwiny, wyzwania albo groźby, a nawet bez zwyczajnej u człowieka ciekawości, jak też zachowa się gospodarz, widząc w swym pokoju intruzów; spoglądali bez żadnego w ogóle wyrazu - co nie znaczy, że bezmyślnie, bo raczej niewzruszenie - i Chal-Chenet uczuł, że w samej rzeczy jego osoba nikogo w tej izbie nie obchodzi. W każdym razie żadnego z mężczyzn, bo była jeszcze kobieta... Niestara i niemłoda, niezbyt ładna, ale i nie brzydka, za to niezwykle blada i z wielkimi sińcami pod oczyma, tak jakby nie spała od dwóch dni albo dłużej. Pasowała do uzbrojonych towarzyszy dzięki barwie sukni - czarnej, trochę zniszczonej, wygniecionej.

- Pan jesteś kawaler Chal-Chenet - stwierdziła kobieta, bo to nie było pytanie.

- Być może. A kim jest pani, jeśli wolno spytać, i co pani robi w tym pokoju?

- Panie kawalerze - rzekła Egaheer, puszczając pytanie mimo uszu - jedziesz znikąd donikąd, nie masz, jak mi się zdaje, pieniędzy ani zajęcia, ani nawet pomysłu na życie. Ja zaś mogę dać ci jedno i drugie, a co więcej, mogę podsunąć trzecie.

- O, a czemuż zawdzięczam podobne zainteresowanie osobą skromnego żołnierza?

- Nie takiego znów skromnego, panie kawalerze, bo ten żołnierz służył wprawdzie w regimencie uznawanym za najbardziej doborowy, potem zaś wchodził do asysty generała, który

podawany jest za najlepszego wodza na świecie, w każdym razie jednego z najlepszych.

- Bardzo dużo pani o mnie wie albo myśli, że dużo wie.
- Dużo, ale nie wszystko.

- Ja natomiast o pani nie wiem nic. Pytałem już, kim pani jest, i teraz powtórzę pytanie. Wolno mi chyba prosić o odpowiedź w moim własnym pokoju, tym bardziej że ma pani do mnie jakąś sprawę. A zatem z kim mam przyjemność?

Kobieta na chwilę zwróciła się ku oknu i w milczeniu popatrzyła na ulicę, wyraźnie rozważając coś w myślach. Chal-Chenet spostrzegł, że jej lewe ramię zwisa wzdłuż boku zupełnie nieruchomo, jakby było sparaliżowane.

- W Valaquet zbudziło się coś, co pan uważasz za magię - rzekła wreszcie. - Uznaj więc, że i ja jestem magią; podobną, ale nie tą. Oszczędzi nam to wielu tłumaczeń, a zupełnie wystarczy, byś zrozumiał co trzeba. Otóż magia z Valaquet jest dla mnie niebezpieczna. Szukam kogoś, kto zechce podjąć się poselstwa do pani Anny Jaseny noszącej lodową kulię. Kimś takim mógłby być pański generał, pan hrabia Se Rhame Sar. Gdyby żył.

- Lecz, niestety, nie żyje i to zamyka sprawę, jak mniemam.
- Więc nie żyje.
- Niestety.
- Czy na pewno?

Chal-Chenet zmilczał, że w ciągu zaledwie dwóch dni druga już osoba pyta go o to samo.

- Pani chce, bym tego jakoś dowiódł? Proszę zauważyć, jak bardzo jestem grzeczny i cierpliwy. To ja tutaj powinienem pytać, a tymczasem słucham pytań pani.

- Tak, życzę sobie, by pan dowiódł, że generał Se Rhame Sar nie żyje.

- Jak mam tego dowieść? I jakim w ogóle prawem żąda pani ode mnie, bym dowodził pani czegokolwiek?

- Kupieckim prawem, kawalerze. Chcę coś kupić i mogę zapłacić. Niekoniecznie złotem, bo właściwie wszystkim, co znajduje pan dość wartościowym. Sławą? Pozycją? Poważaniem wśród ludzi? Bezkarnością? A może świętym spokojem gdzieś z daleka od hałasu świata? Proponuję przymierze, sojusz godny człowieka dzielnego, którego zdolności mogą zostać właściwie wykorzystane. Służyłeś złym paniom, które nie poznały się na tobie; służyłeś też dobremu panu, który cię właściwie ocenił i docenił. Usunął się w cień, a tymczasem tylko krok go dzieli od zwycięstwa, jego sprawa wcale nie jest przegrana, można położyć kres nieszczęściom spadającym na Valaquet. Zdaje mi się, że do tego dążył?

Dziwna to była rozmowa.

- Zechce pani spocząć - rzekł Chal-Chenet, wskazując krzesło, bo jako gospodarz miał taki przywilej.

- Nie - odparła. - Ale pan możesz usiąść, proszę się mną nie krępować.

Wymieniwszy uprzejmości, oboje pozostali na nogach.

- Proponuje mi pani wstąpienie do niej na służbę?

- Tak.

- I co miałbym robić? Czy to, co stojący tu panowie?

- Ach nie... Można mi służyć na wiele sposobów, to kwestia uzgodnienia warunków. Nie trzeba służyć mi stale, wolno podjąć się tylko jednego, jasno określonego zadania i wykonawszy je, odejść, unosząc moją przychylność i obiecaną zapłatę. Pomyśl pan, że nic nie ryzykujesz, wiedząc dokładnie, czego się domagam. Znając wszystkie szczegóły, nie popełni pan żadnego czynu, który uznałby za niegodny lub nieodpowiedni dla niego z jakichś innych powodów.

Nawet Renata Sa Tuel, gdyby była obecna w tej izbie, pochwaliłaby swoją panią, której udało się wciągnąć Chal-Cheneta w rozmowę. Dzielny szlachcic lepiej jednak władał rapierem niż językiem, oddał więc inicjatywę i nie bardzo umiał

- Rzecz w tym, że żąda pani niemożliwości. Nawet gdyby powstało mi w głowie, by znaleźć sobie jakieś zajęcie...

- To co?

- Żąda pani niemożliwości, już mówiłem.

- Co jest niemożliwego w przekazaniu wiadomości hrabiemu Se Rhame Sar?

- Znów to samo... Hrabia nie żyje. Już męczę mnie przedkładanie każdemu, że tak jest.

- Każdemu, kawalerze?

Chal-Chenet spostrzegł się, że palnął głupstwo.

- Wszystko jedno - rzekła Egaheer, bagatelizując sprawę, której jednak lekceważyć nie powinna. Tym razem Renata Sa Tuel, widząc podobną niefrasobliwość, zmrużyłaby pogardliwie

piękne oczy i znacząco skrzywiła usta. - Skoro hrabia nie żyje...

- Nie żyje - rzekł Chal-Chenet, przysięgając sobie w duszy, że powiada to po raz ostatni.

- Więc dowiedz mi pan tego, będzie to miało dla mnie bardzo dużą wartość. Czy przyjęcie takiego zlecenia kłóci się z pańskim sumieniem?

- Nie wiem. Jest... makabryczne.

- Ale czy niegodne? Nikt nie sprofanuje zwłok hrabiego, niech spoczywa w spokoju... jeśli naprawdę nie żyje.

- Nikt nie sprofanuje zwłok hrabiego? Dowodem, że nie żyje, może być właśnie ciało. W jaki inny sposób można dowieść, że hrabia jest martwy?

- Nie wiem. Ale pan przecież wie.

- Ja?

- Skoro twierdzi pan, że generał Se Rhame Sar nie żyje, to skądś pan bierze tę pewność - powiedziała z chłodną logiką. - Jesteś pan szlachcicem... Uznam pańskie słowo za dowód. Daj mi słowo honoru, że hrabia na pewno nie żyje.

- Mogę dać słowo honoru, że nic nie wiem, jakoby żył.

- O! To przecież zupełnie nie to samo!... - zauważyła z wyraźnym ożywieniem. - Nie możesz pan zaświadczyć pod Bogiem, że pan hrabia Se Rhame Sar nie żyje?

- Nie widziałem jego ciała i nie byłem przy pochówku, więc nie mogę.

- Opierasz się na tym, co ci powiedziano?

- Tak, lecz nie wiem, dlaczego ktoś miałby w tej sprawie kłamać.

- Ale ja wiem i przytoczę panu sto powodów. Mógłby kłamać, żeby bezkarnie więzić hrabiego, chcąc go zmusić do wyjawienia tajemnicy lodowej magii; mógłby kłamać, żeby podkopać bojowego ducha żołnierzy księżny Se Potres, których hrabia wiódł od zwycięstwa do zwycięstwa; mógłby kłamać na prośbę samego hrabiego, by mu zapewnić bezpieczeństwo i spokój; mógłby kłamać...

- Wystarczy, niech już pani przestanie.

- Uznaje pan moje racje?

- Nie, bo o śmierci prawie każdej osoby można dywagować w ten sposób. A zwłaszcza gdy jest to osoba wysoko postawiona, bo taką osobę zawsze otaczają sprawy ważne i śmierć, choćby śmierć rzekoma, bardzo wiele niewygodnych spraw przecina. O śmierci hrabiego w Valaquet było głośno...

- Panie kawalerze.

- ...ja zaś mam naprawdę dość zapewniania, że mój wódz nie żyje. Włamuje się pani tutaj w asyście uzbrojonych po zęby strażników, obiecuje mi złote góry w zamian za dziwaczne przysługi... Lecz gdy propozycji nie przyjmę, to co wówczas? Ci panowie są tutaj nie bez kozery, zgaduję? Zechce pani wdrożyć mię do służby z przytkniętą do czoła lufą pistoletu?

- A gdyby tak było?

- Więc niech będzie.

- Żąda pan, bym użyła przemocy?

- Proszę użyć.

- I nie boi się pan?

- Niby kogo lub czego? Dwóch odzianych na czarno panów w zbrojach? Droga pani, gdybym się bał każde go, kto nosi

pistolet i broję, to wynalazłbym sobie spokojniejsze zajęcie niżli to, któremu poświęciłem życie.

Uśmiechnęła się, lecz brzydki to był uśmiech, odsłaniający dwa spróchniałe zęby i puste miejsce po trzecim.

- Zuchwalcze!... O, znam kogoś, komu ogromnie byś się pan spodobał! No, przestaje dziwić, że pański generał uczynił cię swoim gwardzistą. Wyjść! - rzekła do Ewangelistów, którzy wykonali polecenie ze zwykłą obojętnością. - Rzeczywiście, właśnie tak miało być - zwróciła się do Chal-Cheneta. - Niewiele, a przyszedłby tutaj ktoś inny i wtedy musiałbyś pan dowieść, że ta fanfaronada nie jest bez pokrycia.

- Ale przyszła pani i, jak widzę, nie zamierza jeszcze mnie opuszczać?

- Nie, bo chcę ponowić moją propozycję. Wierzę panu. Myślałam, że jesteś człowiekiem, któremu hrabia Se Rhame Sar powierzył swą tajemnicę. Ale wierzę, że jest inaczej. Może generał rzeczywiście nie żyje albo żyje, lecz pan o tym nie wiesz... Wszystko jedno. Mimo to proszę o pomoc.

- A co miałbym robić?

- Już mówiłam: podpowiedzieć mi, gdzie warto szukać hrabiego Se Rhame Sar, lub dostarczyć dowody, że hrabia naprawdę umarł.

- A więc wciąż to samo.

- Bo pan mnie chyba nie słucha. Powtórzę: człowiek, którego tak pan szanuje, poświęcił swoje życie walce o pewną sprawę. Uznał swoją porażkę, lecz zrobił to przedwcześnie. Tak się składa, że jego sprawa jest także moją sprawą. Chcę spokoju i pokoju w Vala quiet; chcę, by wojska naszego miłościwego króla

Karola wniosły do tej prowincji nie nową wojenną pozoę, lecz królewską władę, porządek i ład. Lecz jeśli moje negocjacje z panią Anną Jaseną spełzną na niczym, jeśli królewskie pułki utoną w śnieżnych zawiejach, to przegrana będzie sprawa, o którą hrabia walczył, a razem z nią i moja.

- Czy opowie mi pani o tej swojej sprawie?

- A dlaczego by nie? Otóż pani Anna Jasena, dostojna siostra generała, jest tylko narzędziem, chociaż o tym nie wie. Pod lodową magią ukrywa się inna siła i to właśnie ona jest dla mnie zagrożeniem. Nie dla Valaquet, zrozum pan dobrze, tylko dla mnie.

- Lecz nawet jeśli dostojna Jasena nie rozpęta swych śnieżnych wichrów, to w czym to pani pomoże?

- O, to bardzo proste... Mogę działać tam, gdzie są ludzie, prawa, zwyczaje, gdzie panuje jaki taki ład. Niewiele potrafię zrobić sama, posługuję się ludźmi pozostającymi w mojej służbie. Kraj, po którym przemieszczają się tylko śnieżne trupy i orężne wojska, jest dla mnie trudno dostępny.

- Nadal nie rozumiem.

- Mogę kontrolować to, co mi zagraża, ale najpierw muszę się do tego zbliżyć. To nie jest coś, co myśli, to tylko pewien żywioł, zaraza, jeśli pan wolisz. Zarodki owej zarazy nosi w sobie pani Anna Jasena. Wszystko na świecie, i to każdym świecie, musi się czymś żywić, kawalerze. Ta zaraza żywi się mrozem, śnieżnymi wichrami, lodem, całą zimną magią Valaquet, której tak się pan boisz. Gdy zaraza jest głodna, śpi. Mogę uwolnić siostrę generała od złowieszczej kolii, a tym samym

zapanować nad źródłem pożywienia zarazy. Ale by to zrobić, najpierw muszę z siostrą generała pomówić. Za czymś pośrednictwem, niestety, bo sama... sama nie mogę. Za dwa lata Valaquet to może być normalny choć zmęczony wojną kraj, gdzie kogoś pozyskam, poślę dokądś. Na razie jednak jest to tylko posępne uroczysko, pośrodku którego siedzi zła czarownica, cierpliwie czekająca na królewskie pułki. Te pułki miały wkroczyć do Valaquet już tej wiosny, lecz toczące wojnę domową wojska nie skrwawiły się jeszcze dostatecznie i nadal, nawet niepołączone, mogą stawić bardzo silny opór. Jednakże prędzej lub później królewskie pułki wyruszą, a wówczas cała prowincja przemieni się w lodową pustynię, zaraza nażre się, bo już nawet nie naje, ja zaś zostanę pokonana.

- W jaki sposób ta „zaraza” pani zagraża? A wreszcie czy zdradzi mi pani w końcu swoje nazwisko i tożsamość?

- Nie mam nazwiska, kawalerze.

- Powiedziała pani, że jest magią.

- Mniej więcej.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że jestem czymś, co w pańskich oczach może być do magii podobne.

- Proszę posłuchać. Mój regiment ostatni wychodził z Re Alide, bo dostojna Weronika Teresa do ostatniej chwili trwała w swojej stolicy. Był sam środek lata, upalnego lata. Moi towarzysze śniali się pod uderzeniami śnieżnej zawiei, stal pękała od byle puknięcia, wielu z nas odmroziło palce, nosy i uszy. Pośród tego wszystkiego błąkały się śnieżne upiory w służbie pani

Se Rhame Sar. Pół mili za roгатką czekał na nas pułk kirasjerów. Słońce rozgrzało ich zbroje tak, że nieszczęśni piekli się niczym w brytfannach. Nie usłyszałem dziś od pani niczego, co by było nie do wiary. Niech więc pani mówi wszystko bez ogródek; niejedno widziałem i niełatwo mnie zdziwić, zaręczam.

- Widzę. Czy mogę liczyć, że przyłączy się pan do mnie?

- Nie wiem. Bardzo wątpię. Obrzydły mi już awantury.

- Powiedziałam wszystko, co mogłam powiedzieć człowiekowi obcemu. Więcej mogę powiedzieć tylko sprzymierzeńcowi.

- Nie zostanę nim, jeśli mnie pani nie przekona.

- A jak mam pana przekonać? Wyłożyłam swoje racje tak dokładnie, jak jeszcze nigdy nikomu, wierz mi pan. Obiecałam nagrodę, zapewniłam, że nie będę żądać niczego niegodnego. Więcej: wyjaśniłam, że moje cele są przypadkowo zbieżne z pragnieniami hrabiego Roberta. Na koniec zgodziłam się, by odszedł pan ze służby po wykonaniu zadania.

- To wszystko za mało.

- Szkoda.

Kobieta znowu zwróciła się ku oknu. Wreszcie podjęła decyzję.

- Szkoda - powtórzyła. - Żegnam więc, kawalerze. Wielka, wielka szkoda. Gdybyś zmienił zdanie, udaj się do gospody „Pod Jarzębiną” i zostaw dla mnie wiadomość.

W gospodzie „Pod Jarzębiną”?...

- Tak, u właściciela. Wiadomość dla pani Sa Veres. To zmyślane nazwisko, a raczej nosiła je pewna kobieta jakieś dwieście lat temu... Zresztą mniejsza o to. Zapamiętasz pan?

Chal-Chenet pokiwał głową, myśląc wszakże nie o nazwisku, a o ciekawskim oberżyście.

- Zapamiętam.

- No to bądź pan zdrow. Ach, prawda, jeszcze Domy Reus... Choć niczego tam nie zgubiłeś, to będziesz miał ochotę tam wracać, ale szkoda twojego czasu. Zaciśnij zęby i wyjedź z Moun. Ujedziesz dwie czy trzy mile i sam sobie będziesz się dziwił na wspomnienie, jak bardzo przyciągało cię to miejsce.

- Co tam jest?

Piruetę, które Egaheer kręciła przed zdumioną Sa Tuel, to było zupełnie nic. Chal-Chenet pytał i nie wiedział, że jest świadkiem wyjątkowych zdarzeń. Egaheer niemal nigdy niczego nie tłumaczyła. Działo się coś dziwnego i w najwyższym stopniu niepokojącego. Egaheer, sama zresztą o tym nie wiedząc, rozpadała się na kawałki, lecz obcy mężczyzna, do którego mówiła, widział tylko rzeczową, co najwyżej trochę upiorną niewiastę.

- Brama. To osoba, przedmiot lub miejsce we władzy odległych sił, w tym wypadku chodzi o śnieżną magię Valaquet. Sam mówiłeś, jak mocno się o nią otarłeś. Kiedyś ta magia istniała także tutaj. Przyzywa cię, bo byłeś w jej władzy, bo masz zamarzną duszę, kawalerze. Lodowej trucizny nie da się już wyrzucić, będziesz ją w sobie nosił po kres swoich dni. Ale bądź spokojny, tylko bardzo nieliczni przemieniają się za sprawą tej

trucizny w śnieżne upiory, które oglądałeś w Re Alide. Z ciebie, mój dzielny żołnierzyku, królowa śniegu nie będzie miała pożytku.

- Dlaczego mówi mi pani to wszystko?

Uśmiechnęła się znowu; bodaj by tego nie robiła.

- Bo podoba mi się pańska odwaga, postawa i to, co nazywacie dumą lub godnością. Jestem panu życzliwa; gdyby kiedyś potrzebował pan pomocy, proszę dać mi znać.

- Pani żartuje?

- Nie. Miewam kaprysy, kawalerze, to wszystko. Ach, i jeszcze... Nie zawsze wyglądam tak koszmarnie jak dziś. Przeważnie jestem młoda, piękna... i miła. Bardzo chciałam to panu powiedzieć, bo służba u pięknej i łaskawej pani to przecież nie to samo, co wspieranie zwiędłej nieboszczki.

Skinęła szlachcicowi ręką i wyszła.

Po bardzo źle przespanej nocy Sa Tuel w ogóle nie wstała z łóżka; udawała, że wciąż śpi, i dopiero kroki Melanii - które rozpoznała - skłoniły ją do uchylenia powiek. Pokojówka od razu to dostrzegła i powitała panią wdzięcznym dygiem.

- Dzień dobry, pani baronowo - powiedziała z uśmiechem, który najlepiej dowodził, że wszystkie trapiące ją dolegliwości przeminęły bez śladu.

- Ach, to ty - odrzekła niechętnie Sa Tuel. - Po co przyszedłaś? Nie zamierzam jeszcze wstawać, źle się czuję.

- Przysłał mnie pan Se Reus - rzekła Melania. - Upewnił się, czy już jestem całkowicie zdrowa, i polecił mi sprawdzić, czy pani jeszcze śpi.

- Owszem, śpię - orzekła Sa Tuel. - A z czym cię przysłał?

- Prosi panią o wybaczenie, że nie będzie jej towarzyszył przy śniadaniu. Wzywają go jakieś zajęcia.

- Jaki kochany!... - rozczuliła się baronowa. - Boczy się na mnie, ani słowa... Ale to dobrze, jestem mu wdzięczna za uchybienie, bo wcale nie chcę jeść z nim śniadania. Z nikim nie chcę. Każ mi podać biszkopty do łóżka, a najlepiej sama wszystko przynieś, wiesz przecież, co zwykłam jadać o tej por- Zaraz przyniosę.

- No to idź.

Melania zakrzętała się i nie minął kwadrans, jak była z powrotem, dźwigając tacę wielką niczym pawęż sprzed dwustu lat. Przez ten czas baronowa udawała sama przed sobą, że wciąż śpi, że boli ją głowa i że nic jej w ogóle nie obchodzi. Ospale wodziła wzrokiem po starannie udrapowanych kotarach o barwie starego miodu, oglądała wzór na posadzce, przypatrywała się kosztownym obiciom i rzeźbionym krawędziom mebli, wreszcie zawisła spojrzeniem na drzwiach i niewiele brakowało, a wchodząca z tacą Melania przyłapałaby ją z o - To ty, Melanio?

- Tak, proszę pani.

Pokojówka postawiła tacę na stoliku, pomogła pani usiąść w łóżku, piętrząc za jej plecami poduszki, wreszcie na podwiniętych nogach uklękła przy pościeli, napełniła szklanekę wodą

z karafki (rano baronowa piła tylko wodę albo mleko, a kilka godzin przed obiadem czekoladę), na talerzyku zaś położyła trochę migdałów, dwa biszkopty i obrane ze skórki jabłko pokrajane na ćwiartki. Baronowa napiła się wody i oddała szklanekę, biorąc w zamian talerzyk. Jedząc, milczała - ponuro, groźnie i wyzywająco. Po chwili Melania odebrała talerzyk i podała szeroki spodeczek, na którym postawiła miseczkę z mleczną zupą posypaną tartymi orzechami, jeszcze ciepłą, ale już nie gorącą (gorącej zupy baronowa nie lubiła). Krzywiąc się, oparta o poduszki piękność jadła bez apetytu, bardziej zresztą oglądając łyżkę z fantazyjnie wygiętym i rzeźbionym trzonkiem, niż jedząc. Podobny los spotkał ugotowane na miękko jajko, z którego Melania zręcznie ścięła czubek; baronowa rozgrzebała je, rozpaprała i pogardliwie odłożyła na bok, jakby spodziewała się znaleźć w środku coś więcej, niżli znalazła. Półpłynny czerwony miód, podany na kruchym wafelku, także nie przypadł jej do smaku. Po pięciu minutach stało się jasne, że służąca wprawdzie wyczuwa nastrój żywicielki, lecz boi się odezwać nie pytana. Rozgniewało to jej panią do reszty.

- Mhm - mruknęła, odkładając na talerzyk nadgryziony kawałek biszkopta, który bez przekonania maczała w filiżance z malinowym sokiem.

- Słucham, proszę pani - bąknęła Melania, bo w gruncie rzeczy wiedziała, do czego potrzebne jest „mhm”.

- Słuchasz, o, proszę bardzo - powiedziała tyleż uprzejmie co zjadliwie Sa Tuel. - Nie za dużo tego wścibstwa, moja panno? Chciałam tylko spokojnie zjeść śniadanie. Skoro nie mam

już nic więcej do zrobienia. Ale gdzie tam! Powinnam przecież wypić tę gorącą zupę na stojąco i ukradkiem zabrać połówkę biskopta do karety! No powiedz, skoro tak myślisz! Powiedz, powiedz! Przecież nie wolno mi poleżeć w łóżku; każdy może sobie chorować, ale nie pani Sa Tuel, o, nie... cha, cha, cha... Sa Tuel powinna być ze stali, nie może poczuć się źle!

- Ale dlaczego pani mówi, że już nic nie ma do zrobienia? -
Melania z rezygnacją dobrej służki nadstawiła drugi policzek.

- A co mam robić, głupia dziewczyno?! - Baronowa utopiła drugi biskopt w soku i pokazała palcem, żeby podać jej trzeci. - Przecież ona się wszystkim zajęła!

Melania już wieczorem usłyszała o przybyciu Egaheer, wiedziała więc, co znaczy „ona”.

- Myśli pani, że sobie poradziła?

- O, na pewno! - odparła pogardliwie Sa Tuel, biorąc trochę konfitur na sam czubek łyżeczki i oglądając je z niezmierną podejrzliwością. - Ale nic mnie to nie obchodzi. Wyjechałabym już dzisiaj... Co ja mówię: dzisiaj! Już wczoraj. Ale poczekam dzień lub dwa i dopiero wtedy wyjadę. Otwórz buzię.

Melania spróbowała konfitur, które wpakowano jej do ust.

- No? Nie kwaśne?

- Kwaśne. Trochę.

- Zabierz je.

W tym domu otruto już służkę, teraz ktoś próbował otruć panią.

- Zostaniemy tutaj? - odważyła się zapytać Melania.

- Tak. Ktoś tu przyjedzie.

- I dlatego pani czeka?

- Mhm - mruknęła baronowa, wkładając do ust biszkopcik, który widać pływał lepiej niż jego nieszczęśni towarzysze, albowiem nie utonął w filiżance z sokiem. - Właśnie dlatego.

- Ale kto ma przyjechać?

Nieoczekiwanie Sa Tuel uśmiechnęła się, przymykając oczy.

- Ktoś, kogo bardzo kocha moja biedna mała Melania - powiedziała drwiąco, lecz i wyrozumiale.

- Ale przecież ja kocham tylko panią.

Zadowolona Sa Tuel popatrzyła powłóczyście, oparła się wygodnie o poduszki i ośmielająco skinęła pokojówce głową.

- Ale... pan Del Wares?... - wyszeptała Melania, szeroko otwierając oczy i gwałtownie czerwieniąc na policzkach.

- No proszę, jak ty wiesz! - skostatowała szyderczo baronowa. - „Kocham tylko panią”... - przedrzeźniała bezlitośnie pokojówkę, która w jej wykonaniu miała skrzekliwy, jędzowaty głos.

- I on tu przyjedzie? Pan Del Wares? - Oszołomione dziewczę zapomniało o jakichkolwiek pozorach.

- Dziś lub jutro. Ale to do mnie przyjedzie, nie do ciebie - przypomniała z całym zimnym okrucieństwem Sa Tuel, nawet nie dostrzegając, że niechcący postawiła się na równi z pokojówką. - Pan Del Wares jest mężczyzną, miewał więc męskie przygody... lecz to były tylko przygody, spróbuj o tym nie zapominać, moja mała. Jestem dobrą panią i pozwalam ci korzystać z tej dobroci, ale bądź łaskawa jej nie nadużywać.

I nie wyobrażaj sobie nazbyt wiele.

- Tak, proszę pani, nie będę.

Melania zagryzła wargi i jeszcze dwukrotnie skinęła głową, by podkreślić, jak bardzo wzięła sobie do serca pouczenie. Zapatrzona w sufit Sa Tuel, z lekkim uśmiechem na ustach, o czymś jednak nie miała pojęcia... Melania, owszem, znała swoje miejsce, ale miała też małe tajemnice. „Przygody”, o których wiedziała i na które pobłażliwie zezwalała zepsuta do granic, kpiąca z zasad przyzwoitości baronowa, miały podwójne dno. W owym schowku znajdowały się bardzo słodkie rzeczy, tak słodkie, że Sa Tuel mogłaby doznać ataku apopleksji, gdyby kiedykolwiek się o nich dowiedziała.

Mężczyzna, o którym tak wiele mówiono tego ranka, był tymczasem blisko, bardzo blisko - bo u samych bram zamku. Prawdę mówiąc, mógłby stanąć w Moun już wieczorem dnia poprzedniego, czego nie uczynił z dwóch powodów: po pierwsze, wyznawał zasadę, że nie wolno być nadgorliwym; po wtóre, Egaheer kazała mu się stawić w domu pana Se Reus, bo nie przyszło jej do głowy, że lepszym miejscem będzie dom opłacanego przez Sa Tuel fałszywego lekarza. Pan Del Wares był szlachcicem; nie istniały żadne powody, dla których miałby późnym wieczorem niepokoić innego szlachcica, któremu dotąd nie był przedstawiony, wolał więc znaleźć przy trakcie jakąś znośną oberżę, przenocować i wyruszyć w drogę wczesnym rankiem. Tak by stawić się na zamku przed południem i nie obliżać gospodarza do udzielenia mu gościny, szczególnie zaś noclegu.

Przed bramą zamku drzemali halabardnicy. Del Wares, były porucznik piechoty, jednym rzutem oka ocenił owo wojsko i odgadł, że zamek, choć nowoczesnie ufortyfikowany, nie ma jednak stałego garnizonu; na platformach zresztą brakowało dział. Halabardnicy byli więc nie tyle żołnierzami, co odźwiernymi w mundurach zamiast liberii, potraktował ich więc jak odźwiernych, bo wychylił się z okna pocztowej karety i powiedział:

- Hej, wy tam!

Nie wiadomo, co żołnierze mieli w głowach - przypuszczalnie rzadką i wodnistą zupę. Gapili się na pocztową karete tak mniej więcej, jakby przed bramą zamku stanął słoń z palankinem na grzbiecie - było to zjawisko zajmujące, ale zajmujące leniwie, bo w żaden sposób chyba niezwiązane z ich służbą. Myśl, że ktoś celowo stanął przed tą bramą, wydawała się co najmniej dziwaczna. Trzeba więc było chwili, nim jeden z wartowników przecknął się na tyle, by uczynić zdumiony gest oznaczający: „Ja?”.

- Tak, tak - powiedział szlachcic, wciąż wychylony z karety.

- Zbliź się tutaj, mój chłopcze. To Zamek Reus?

- Tak, panie.

- W jaki sposób mogę zasięgnąć informacji, czy pan zamku zechce mnie przyjąć?

- A... pan do pana Se Reus?

- Owszem.

- Czy Jego Dostojność zna pana?

- Niestety nie.

- Albo był pan umówiony?
- Także nie.
- W takim razie muszę iść do oficera.

Del Wares bardzo wątpił, by nad pięcioma lub sześcioma żołnierzami pan zamku ustanowił oficera. Mimo to tylko skinął głową.

- Poczekam.
- Jakie nazwisko mam podać?
- Kawalera Del Wares. W razie jakichś trudności odwołuję się do wstawiennictwa pani baronowej Sa Tuel. Na pewno zechce za mnie poręczyć.

- Pani baronowa Sa Tuel?
- Zdaje się, że przyjechała tutaj?

- O tak, tak! - żywo powiedział żołnierz, z błyskiem w oku znamionującym, że naprawdę widział baronową; Del Wares odnajdował ów błysk w spojrzeniach mężczyzn wszystkich nacji i stanów. - Niech pan chwilę poczeka.

- Oczywiście. Poczekam.

Żołnierz poszedł, stukając halabardą. Owo oddalające się stukanie najpierw miało rytm wcale żywy, w miarę jednak jak rosła odległość, stawało się coraz wolniejsze, wreszcie całkiem umilkło. Del Wares nie wiedział, czy stłumione zostało oddaleniem, czy też raczej żołnierz dotarł na miejsce i stanął, czy też wreszcie, stanął, choć nie dotarł na miejsce, a tylko, powiedzmy, utrudzony zasnął oparty na swojej broni. Cofnąwszy się w głąb karety, szlachcic także jął drzemać, nie mając nic lepszego do roboty. Wreszcie rozchylił powieki, bo zdało mu się, że halabarda wraca.

Jakoż w samej rzeczy wracała.

- Proszę, panie. Tędy, na dziedziniec.
- Pani baronowa poręczyła za mnie?
- Nie było takiej potrzeby, pan Se Reus już wczoraj został uprzedzony, że złoży mu pan wizytę.
- Tym lepiej.

Puknąwszy pięścią w ścianę karety, Del Wares dał znak pocztylionowi, ale ledwie powóz ruszył, załomotał jeszcze dwukrotnie. Pojazd stanął i pasażer wysiadł.

- Rozmyśliłem się, nie twoja wina - rzekł do stangreta w zielonej pocztowej liberii, który już chciał przeproszać, że opacznie zrozumiał polecenie. - To tylko parę kroków, skorzystam więc z okazji i rozprostuję nogi. Wybornie panujesz nad końmi, znasz swój fach i aż przykro, że dano ci pod opiekę taki ciasny kredens na kółkach. Winienesz pan wozić królów - dorzucił łaskawie, sięgając po sakiewkę.

Wręczwszy zachwyconemu pocztylionowi napiwek, bo opłatę uiścił już wcześniej, szlachcic energicznym krokiem ruszył w głąb bramy. Był odprowadzany ciekawymi spojrzzeniami wartujących wojaków, którym wielce przypadł do gustu jego świetny strój - na poły żołnierski, a na poły podróżny, lecz zarazem tak dostatni i wytworny, że uchodzić mógł za wizytowy - błękitno-czarne pióro przy szarym kapeluszu, a wreszcie haftowany srebrem pendent i wspaniała garda rapiera, który choć kosztowny, nie wyglądał jednak na zabawkę. Wynurzywszy się z czeluści bramy, pan Del Wares wciąż tym samym energicznym krokiem ruszył w poprzek dziedzińca ku człowiekowi, który najwyraźniej pospieszał mu na spotkanie, wyglądał zaś na podczaszego, intendenta albo ochmistrza - słowem, wysokiego rangą

dworzanina (oczywiście na miarę dworu). Uprzejmie odpowiedziawszy na ukłon, Del Wares powiedział swe nazwisko i świadcząc przewodnikowi zdawkowe komplementy w rewanżu za zwyczajowe uprzejmości, pozwolił wprowadzić się w głąb twierdzy, która - choć tak świetnie przebudowana - każdym szczegółem swego wnętrza zaświadczała o pokojowej naturze właściciela. Wszystko tu mogłoby się potłuc, pospadać albo poprzewracać od jednego strzału z pistoletu, cóż dopiero mówić o armatnich salwach. Niemniej przyznać trzeba, że wszystkie sprzęty, kobierce, obicia i bibeloty, choć nieco staroświeckie, dobrane były z najwyższą starannością i smakiem. Tu nie mieszkał hetka-szlachetka. Ba... Przecież kuzyn Renaty Sa Tuel. Cokolwiek dało się powiedzieć o niej samej, ród należał do najstarszych i najświetniejszych w królestwie. Del Wares, który żadną miarą nie mógł wywieść swego szlachectwa do czterech pokoleń wstecz, braki w urodzeniu nadrabiał wszelako naprawdę dobrym i wykwinnym gustem - rzecz szczególna u człowieka będącego wiecznym żołnierzem, najpierw w służbie króla, a następnie prywatnej. Gdybyż jeszcze naprawdę żołnierzem - bo ostatnio raczej najemnikiem. Niemniej gust miał rzeczywiście dobry i potrafił właściwie ocenić wnętrze domu pana Se Reus. Gospodarz zechciał przyjąć gościa w swoim gabinecie, który był dlań zarówno miejscem pracy, jak i odpoczynku, lub może raczej ucieczki od wszelkich doczesnych spraw; nikt, kto nie był specjalnie wezwany, nie śmiał niepokoić pana, gdy zamykał się w swoim sanktuarium. Z drugiej jednak strony gabinet owym sanktuarium raczej bywał, niżli był stale - pan zamku załatwiał

tam wiele spraw i przyjmował wizyty. Uprzedzony przez kuzynkę już wczoraj, Se Reus powitał gościa nieco chłodno, lecz ze zwykłą grzecznością i w niczym nie uchybił gościnności. Spostrzegawczy i bywały Del Wares łatwo pojął, jaka jest tego wymowa. „Szanowny panie - zdawał się mówić gospodarz - nic nie mam przeciwko panu i podobasz mi się jako szlachcic, niemniej całe otoczenie mej kuzynki znajduję nieco podejrzany, a w każdym razie co najmniej kłopotliwym, zechciej więc wybaczyć mi rezerwę i zachowajmy wobec siebie odpowiedni dystans". Przybysz nie obraził się, bo nie miał za co, w zamian nieco zjednął sobie pana zamku skromnością, gdy dwornie powiedział:

- Będąc na pańskim miejscu, nie potrafiłbym okazać i połowy tej wyrozumiałości, którą pan okazałeś mnie, człowiekowi zupełnie nieznanemu. Nic mi nie jesteś winien, panie, a najmniej schronienie i gościnę, w zamian ja od tej pory pozostaję pańskim dłużnikiem. A jednak chciałbym jeszcze powiększyć ten dług. Czy przychylił się, panie, do jednej mojej prośby - Jeśli zechce ją pan wyrazić.

- Oto ona: proszę o możliwie skromny pokój, na miarę potrzeb żołnierza stale będącego w czyjejs służbie. Poznawszy już pańską gościnność, obawiam się, by nie zaszła tak daleko, że mój dług zacznie mi ciążyć. Wolę uzyskać kredyt w nieco innej monecie, a będzie nią spełnienie mojej prośby.

- Prosisz pan o tak mało, że to aż nazbyt wiele - odparł gospodarz jak zwykle bez uśmiechu, lecz poza tym przychylnie.
- Ciężko spełnić tak niewielką prośbę, żadna to pożywka dla miłości własnej.

- Spełni ją pan jednak?

- Panie kawalerze, wszelkie względy, jakie panu okazuję, wynikają z prostej powinności, jaką szlachcic ma wobec innego szlachcica, ale bardziej jeszcze mam na oku zadowolenie bliskiej krewnej. Jako znajomy baronowej jesteś pan człowiekiem mającym specjalne przywileje. Służba wskaże panu gościnne pokoje położone w sąsiedztwie komnat zajmowanych przez moją kuzynkę, pan zaś rozgości się w tych, które uzna za najlepsze dla siebie. Ale w zamian za spełnienie pańskiej prośby ja także mam jedną.

- Prośba gospodarza to polecenie dla gościa.

- Nie ma mowy, bym polecał panu cokolwiek. Proszę tylko, byś docenił zaufanie, jakim cię obdarzam, umieszczając w pokojach przyległych do komnat najbliższej mojej krewnej, która od tej chwili jest także pod twoją opieką i ochroną.

Jakkolwiek pan Se Reus ogromnie się starał, w jego słowach trochę zbyt mocno dało się odczuć dwuznaczność, a zrozumiałwszy to, lekko przygryzł wargę. Lecz materia problemu była bardzo delikatna; Del Wares łatwo pojął, jak niezręcznie jest gospodarzowi wkraczać na taki grunt. Nie znał gościa, w zamian doskonale znał kuzynkę. Nie wiedział, co gościa i kuzynkę łączy, pomijając sprawy, na których się nie znał i o których też nic nie wiedział. Krótko mówiąc, pan Se Reus najostrożniej jak tylko mógł powiedział obcemu mężczyźnie: „Na litość boską, nie wiem kim jesteś, panie, i jakiego rodzaju związki łączą cię z moją krewną, ale nie przynieś hańby mojemu domowi, o co łatwo, gdy mieszka się przez ścianę z bezwstydnicą”.

- Jest niemożliwe, by pod pańskim dachem ktokolwiek potrzebował ochrony. Jednakże gotów jestem zażegnać każde niebezpieczeństwo, jakie mogłoby grozić mojej sąsiadce, gdyby zaś cokolwiek zagroziło mnie samemu, obiecuję panu, że ucieknę.

Usłyszawszy taką odpowiedź, pan Se Reus uśmiechnął się nareszcie - wprawdzie samymi oczami, ale jednak był to pierwszy uśmiech, na jaki sobie pozwolił od chwili, gdy próg zamku przekroczyła baronowa Sa Tuel.

- Rad jestem, że pana poznałem - rzekł, wzywając służbę i wracając za swoje biurko na znak, iż rozmowa skończona. - Gdyby potrzebował pan czegoś, proszę dać mi znać. Ten oto chłopiec pozostanie do pańskiej dyspozycji.

- Dziękuję.

Prowadzony przez służącego Del Wares rozpytał się po drodze o przeznaczone dlań pokoje. Pan Se Reus dotrzymał obietnicy, a zarazem jej nie dotrzymał, bo gość, biorąc jeden pokój, obejmował tym samym w posiadanie cały gościnny apartament, czy tego chciał czy nie. Przedpokój był jeden, a do sypialni wiodła tylko jedna droga - przez dwa inne pokoje. Chcąc korzystać z sypialni, Del Wares musiał przechodzić przez komnaty ją poprzedzające; gdyby nie korzystał, to i tak odciąłby doń drogę, obejmując w posiadanie którykolwiek pokój. Podobny apartament, lecz większy, zajmowała po drugiej stronie korytarza baronowa Sa Tuel. W małej twierdzy nie narzekano na brak miejsca, ale to nie dziwiło; przecież gospodarz był człowiekiem samotnym, a wiadomo, że nic tak bardzo nie pożera przestrzeni,

jak obecność kobiet i dzieci.

Służący doprowadził gościa na miejsce i grzecznie zapytał o bagaże, bo maleńki podróżny sakwojaż, który dano mu do niesienia, nie wydawał się godny takiego szlachcica.

- Nadejdą dzisiaj bądź jutro, a chłopca, który je przywiezie, oddaję ci pod komendę - rzekł Del Wares, odkładając na bok kapelusz i siadając w wygodnym fotelu z nogą założoną na nogę. - Prawda, zechciej przypilnować, by zarówno o mojego służącego, jak i konie, które przyprowadzi, miano właściwe staranie.

- Wasza Wielmożność wie, że tak będzie - odparł z godnością sługa.

- Masz rację. A teraz, proszę, udaj się do pani baronowej Sa Tuel z zapytaniem, czy zgodzi się za pół godziny przyjąć wyrazy szacunku od kawalera Del Wares.

Służący skłonił się i wyszedł.

Del Wares zamyślił się i przez pół minuty patrzył to na ściany, to na sufit, niewiele przy tym widząc. Przecknął się wreszcie, wstał z fotela i jął oglądać galerię świetnych płócien o tematyce religijnej. Im dłużej patrzył, tym wyżej unosił brwi, bo wydało mu się aż niezwykle, by obrazy takich mistrzów - a byli tam Rejna, Sa Noux, Tycjan i Mout-e-Haar - trzymano w pokoju gościnnym, gdzie prócz zbierającej kurz służby nikt nie zaglądał częściej jak raz na parę lat. Ale jednak pasowało to do osoby właściciela zamku, człowieka urodzonego doprawdy zbyt świetnie, by chciał to jakkolwiek podkreślać, choćby tylko pokazując swą kolekcję dzieł sztuki.

W domu kawalera Del Wares goście wyrażali uznanie dla jego gustu i smaku, ale w domu pana Se Reus wręcz przeciwnie, nikt światowy nigdy niczego nie pochwalił... Przecież formy, mody i gusta naginały się, by schlebiać takim ludziom; to nie dobór płócien świadczył o panu Se Reus, lecz odwrotnie - pan Se Reus nadawał wartość wszystkiemu, co zechciał na swej ścianie powiesić. Między zbrojami przodków w korytarzu mógłby postawić słomianego chochoła, sławiąc nowy prąd w sztuce zdobienia wnętrz. Nie minęłoby wiele czasu, a w domu kawalera Del Wares chwalono by z uznaniem jego gust i smak - bo oto i chochoł pod ścianą, ach! jakże finezyjny, proszę spojrzeć... Służący wrócił niebawem.

- Pani baronowa oczekuje pana Del Wares przy porannej toalecie.

- Porannej?...

- Za kwadrans.

Było południe - pora dość szczególna na poranną toaletę. Przez sekundę Del Wares gotów był przypuścić, że piękna kapryśnica wyznaczyła mu audiencję na jutro; na szczęście pokojowy uściślił swą wypowiedź i rozwiął podejrzenia.

- Pani baronowa źle się czuje i późno wstała z łóżka - wytłumaczył służący, zapytawszy wpierw spojrzeniem o zgodę.

- Wiem o tym, bo służąca pani baronowej kazała sobie pomóc w przyniesieniu śniadania do pokoju.

- To wyjaśnia wszystko.

Odprawiony uprzejmym skinieniem służący wyszedł do przedpokoju. Del Wares poszukał lustra, obejrzał przyodziewek,

który mało ucierpiał od podróży w karecie - nie był zakurzony ani wygnieciony - odpiął szpadę, przetaił twarz i ręce wydobytą z kieszeni pachnącą chusteczką, po czym jeszcze przez chwilę zajmował się swoją osobą, która lada moment miała przecież zostać poddana o wiele wnikliwszym oględzinom.

Wkrótce potem kazał zapowiedzieć się baronowej. Czuwający w jej przedpokoju Bernard, strzelec-służący, którego Del Wares znał, powitał go jak najuprzejmiej, powiedział: „Pani czeka” i wskazał drogę, przypomniawszy, że buduar jest za sypialnią.

Del Wares, znający Renatę Sa Tuel od wielu lat, i to znający, można rzec, wręcz dogłębnie, nie mógł się nadziwić, jak wiele energii ta kobieta poświęca wyświechtanym, zgranym do cna, tanim kobiecym sztuczkom, które działały lub nie - ale zawsze były rozpaczliwie przejrzyste, przynajmniej dla kogoś takiego jak on. Być może nie umiała już inaczej. Wydawało się możliwe, że każde słowo, gest i spojrzenie, jakie miała dla przyjaciela, to były zaledwie ćwiczenia potrzebne do przyszłej walki z wrogiem. W gruncie rzeczy zdawała sobie sprawę z umowności aranżowanych sytuacji; mogła przecież po prostu wyjść mu na spotkanie, podać dłoń i policzek do pocałowania, mówiąc: „Cieszę się, że już jesteś”, ale zamiast tego cała w pretensjach dawała do zrozumienia: „Jesteś, no dobrze... Skoro jesteś, to co powiesz o takiej oto grze?”. Jej ostry, wysoki głos słychać było już w sąsiednim pokoju, w przerwach zaś Del Wares mógł się tylko domyślać odpowiedzi łajanej pokojówki. Zamknąwszy za sobą ostatnie drzwi, szlachcic odchrząknął, by kobiety za wymalowanym w kwiaty parawanem zdały sobie sprawę z jego

obecności. W pokoju było gęsto od zapachu lawendy.

- Kto tu jest? - zapytała z rozdrażnieniem baronowa.

- Święty Protazy, pani - rzekł Del Wares, w głosie którego trudno byłoby znaleźć bodaj cień tych form, jakie zachowywał w rozmowie z gospodarzem, a nawet przydzielonym służącym.

- Pani pokorny sługa.

- Melanio - powiedziała wyniośle Sa Tuel - sprawdź, kto zakradł się do mojego pokoju, albo lepiej od razu wezwij pomoc... Coś niebywałego.

Melania, czerwona na policzkach jak wiśnia, wyłoniła się zza parawanu i z nieskrywaną radością dygnęła wdzięcznie przed stojącym u drzwi mężczyzną, który przyjrzał jej się z życzliwym uśmiechem. Mel jednak wytłumaczyła sobie ten uśmiech opacznie; bezlitosna baronowa nakazała jej pożegnać się z sukniami i Melania miała na sobie skromny strój pokojówki - szaroniebieską sukienkę, na głowie zaś biały czepeczek. Czyż nie z tego właśnie śmiał się pan Del Wares? Obrażona do łez, odarta z czci i urody Melania już gotowa była zapaść się pod ziemię, gdy mężczyzna spojrzął baczniej, po czym nagle przemówił bezgłośnie, skinąwszy głową w stronę parawanu. Nie rozumiejąc, szeroko a pytająco otworzyła oczy.

- Melanio? - zapytała baronowa. - Czy nikogo już nie ma?

- Przeciwnie, proszę pani - rzekła stłumionym głosem pokojówka, biorąc udział w zabawie, którą wymyślił i właśnie wdrażał w życie jej dawny pan.

- Załadaj więc od tej osoby, by natychmiast opuściła mój pokój.

Del Wares, złożony przy samych drzwiach ukłon należny nie pokojówce, a przebranej księżnej, postąpił zaraz dwa kroki naprzód i klęknąwszy na jedno kolano, ujął palce jej dłoni, po czym z najwyższym szacunkiem dotknął ich ustami. Ruda trzpiotka, czerwona już nie tylko na policzkach, ale także na szyi, a nawet ramionach i piersiach, jako dwie zwarte półkule widocznych w głębokim dekolcie, dusząc się od powstrzymanego śmiechu, przyjmowała owe hołdy, rzucając zarazem przerażone spojrzenia w stronę parawanu. Lecz klęczący szlachcic z uniesioną w górę twarzą tragicznie i komicznie zarazem zebrał wzrokiem tak długo, aż raz jeszcze podała mu obie ręce, by mógł je przycisnąć do ust, parząc

- To jest... pan Del Wares... - mówiła w tym czasie Melania.

- Pan Del Wares pyta, czy została pani... uprzedzona...

- Pan Del Wares - przeciągle powiedziała Sa Tuel. - No tak, to wszystko tłumaczy. Del Wares, jesteś tam rzeczywiście?

- Jestem - rzekł wezwany, podnosząc się z klęczek, a zarazem przyciskając dłonie do piersi, by następnie wyciągnąć je ku rozbawionej służącej, jakby dawał jej swoje serce. - Słyszałem, że późno wstałaś?

- Rzeczywiście. Ale co tam robisz przy drzwiach, podejść wreszcie - zażądała. - Melanio.

- Tak, proszę pani. - Pokojówka natychmiast odwróciła się i pobiegła do baronowej, ale wcześniej aż podskoczyła, bo męska dłoń w geście, oględnie mówiąc, poufałym, trafiła ją w miejsce ocienione wielką, zawiązaną na krzyżu kokardą. - Jestem, proszę pani.

- Dokończ, co zaczęłaś.

Ujrawszy w lustrze odbicie wciąż zarumienionej pokojówki, Sa Tuel uśmiechnęła się lekko, bo przypisywała ów rumieniec skłonności do przystojnego kawalera - co zresztą w dużej mierze było prawdą - który także pojawił się za jej

Uniósłszy ręce, baronowa ponownie poddała się zabiegom służącej, która podjęła przerwana czynność polegającą na wcieraniu pachnideł w jej ramiona, szyję, złote kędziorki pod pachami, piersi i kark. Siedząca w samej bieliźnie, nieuczesana jeszcze Sa Tuel była naprawdę piękna, piękna aż niemożliwie, i Del Wares, choć tak wybornie umiał przejrzeć jej sztuczki, równie chętnie pozwalał, by działały.

Cokolwiek wyobrażała sobie Melania, musiała stłumić westchnienie i z goryczą pochylić głowę, bo lustro mówiło prawdę: pan Del Wares lubił ją i chętnie bałamucił, mógł zaprosić do wspólnych żartów, nawet najbardziej poufanych i strojonych sobie z jej pani, niemniej ów szczególny błysk męskiej akceptacji i zaintrygowania widoczny był w jego oczach właśnie teraz i - niestety - dopiero teraz. W sercu biednej dziewczyny splatały się różne niemożliwe do pogodzenia uczucia: kochała swoją panią i kochała pana Del Wares; gdyby to od niej zależało, tych dwoje ludzi już dawno stanęłoby na ślubnym kobiercu, bo bardziej niż oni sami wiedziała, że prawie nie potrafią żyć bez siebie. Nie wiadomo, jak to chciała pogodzić z ochotą do oglądania pięknej baronowej włóczonej przez kawalera za włosy; nie wiadomo też, jak miałyby służyć pani, która w jednej chwili pomarszczyła się, zbrzydła, postradała zęby (wszystko to Melania

wybornie umiała sobie wyobrazić) i przemieniona w staruchę kazała zamordować Del Waresa (temu nędznikowi też się przecież co nieco należało, bo mając taką Melanię, piękną, wierną, najśłodsza, wolał wstrętną Renatę).

Mówiąc krótko, spełnienie życzeń rudej pokojóweczki zaowocowałyby natychmiast cudownym rozmnożeniem pań Sa Tuel, kawalerów Del Wares, a na koniec samych Melanii, z których jedna służyłaby szczęśliwym nowożeńcom, druga ze swym kochankiem deptała obrzydliwą ropuchę, a trzecia robiła to właśnie, co robi - wcierała delikatne perfumy w gładką skórę piękności, która była co najwyżej w połowie drogi do wszystkich jej pragnień i marzeń.

- No? Będziesz tak stał, kawalerze, jak słup soli? - zapytała Sa Tuel, co prawda z ledwie skrywaną satysfakcją, bo widziała to samo lustro co Del Wares i na temat mieszkającej w tym lustrze blondynki miała równie pochlebne jak on zdanie.

Opuściła rękę, wyciągając ją trochę w bok, a trochę do tyłu, i niecierpliwie poruszyła palcami; zaraz lekko drgnęły jej nozdrza, bo ten mężczyzna na pewno potrafił pieścić kobiecą dłoń - jego pocałunek nigdy nie był zdawkowy. Lecz w tej samej chwili poderwała się z krzykiem i zaczęła tłuc Melanię gdzie popadło, a najbardziej po rudym łbie. Pokojówka wlała jej między piersi mniej więcej połowę zawartości nieostrożnie trzymanego flakonu i Sa Tuel czuła obrzydliwie zimną strużkę spływającą po brzuchu aż do pępka pod mokrą i lepiącą się do ciała bielizną. Krztusząc się ze śmiechu, Del Wares odstepił aż pod okno. Nie zgadzał się z piękną Sa Tuel pod bardzo wieloma

względami, ale byli zgodni co do tego, że służba od czasu do czasu powinna dostawać w skórę. Skulona Melania odebrała swoje i uciekła ponaglona rozkazującym, gniewnym gestem baronowej, lecz zdążyła jeszcze rzucić stojącemu pod oknem mężczyźnie urażone spojrzenie; było zresztą aż nadto widoczne, że tym razem wcale nie poczuwała się do winy. Drzwi zamknęła nader niedelikatnie. Baronowej uderzyła krew do głowy.

- O, poczekaj! - zawołała, z zaciśniętymi pięściami rzucając się ku drzwiom. - Ja cię zaraz nauczę, moja panno!

Del Wares nie mógł złapać tchu, lecz przemógł się na tyle, że wykrztusił:

- Przestań już... co robisz? Będziesz biegać za służącą? Zlituj się.

- Zlitować się? Miałabym się zlitować?

- Nad sobą, nie nad pokojówką. Dalibóg, Sa Tuel, nie bądź śmieszna.

- Śmieszna?

- No przecież, że tak.

- Ja śmieszna!...

- W bieliźnianych pantalonach z falbankami i nie bardzo czystym gorseciku ścigająca pokojówkę... Czy nie śmieszna?

- Panie kawalerze!

- Przestań już, Renato, naprawdę.

Sa Tuel odetchnęła, zamykając na chwilę oczy. Del Wares przeciwnie, ani mrugnął. Z uwagą i badawczo przyglądał się rozmówczyni, pólsiedząc na parapecie.

- Czy ona tu przyjechała? - zapytał.

Sa Tuel otworzyła oczy i wróciła na krzesło przed lustrem. Pochyliła się ku taflowi, przyjrzała twarzy z bliska, powoli pokręciła głową na lewo i prawo. Dotknęła palcem dolnej powieki, badając jej sprężystość.

- Nie wiedziałeś? - zapytała już zupełnie spokojnie.

- Kazała mi się stawić na zamku w Moun i to wszystko. Nawet nie byłem pewny, czy znajdę tutaj ciebie. A więc przyjechała?

- Owszem. Przyjechała.

Szlachcic z namysłem patrzył, jak kobieta bawi się miękkim pędzelkiem, różując policzki. Pospolitej barwiczki pod postacią tłustego kremu w ogóle nie używała, sprowadzała sobie najlepszy róż w pudrze. Podobały mu się leciutko wystające kości policzkowe, lecz Sa Tuel zawsze uważała inaczej i łagodziła ich zarys.

- Daj, poprawię - powiedział ironicznie.

Uśmiechnęła się, lecz bez słowa oddała pudernicę.

Przykucnąwszy u jej kolan, zręcznie rozprowadził barwnik, kładąc grubszą warstwę w tych miejscach, które miały stracić na wyrazistości. Wyrównał muśnięciami lekkimi jak podmuch skrzydeł motyla.

- Powinam cię trzymać od tego z daleka - powiedziała z kobiecą wprawą, bo niemal nie poruszając żadnym mięśniem twarzy. - Czy to długo, nim dostrzeżesz pierwszą zmarszczkę?...

- W takim razie winniśmy stale trzymać się z daleka od siebie. Czy to długo, nim dostrzeżesz, jak niecelnie strzelam z pistoletu, bo popsuł mi się wzrok?

- Do diabła z twoim wzrokiem.

- A do diabła z twoją pierwszą zmarszczką.

- O, nie... Ty możesz być nawet ślepy, ale ja...

- Całkiem słusznie. Będąc ślepym, nie dostrzegę twoich zmarszczek.

Parsknęła śmiechem. Pozwoliła całować się po szyi, odchyliła głowę i leciutko uniosła ramię, które także domagało się pieścizot. Delikatnie ugryzł ją w płatek ucha i dostrzegł drobniutką gęsią skórkę, która zaraz zniknęła.

- Byłam śmieszna? Krzycząc na służącą?

- Troszeczkę. A właściwie nie troszeczkę... Bardzo śmieszna.

Odepchnęła go lekko.

- To wszystko przez nią.

- Zaraz zgadłem. Gdy pojawia się Egaheer, natychmiast przestajesz być sobą. Co tu zaszło?

- Nic. Wyjeżdżam.

- Nie bądź dzieckiem, Sa Tuel. Pytam cię, co zaszło. Gdzie jest gąbka?

- Po co ci gąbka? Melania już mnie umyła.

- Tak, a następnie wylała perfum za osiem koron... Niepodobna przy tobie wytrzymać.

- Przecież to zwietrzeje.

- Zawsze brałaś za dużo perfum.

- Najpierw brwi i rzęsy - rozkazała. - Gąbka... tutaj. Woda w dzbanie. A puder do włosów masz... o, tam.

Del Wares jako chłopiec zajmował się toaletą na pół sparaliżowanej matki, która mimo choroby chciała jednak prowadzić jakiegokolwiek życie towarzyskie i chociaż przyjmować gości. Dopiero gdy wkroczył w wiek męski, finanse jego domu dźwignęły się na tyle, że mógł nająć pani matce służącą.

Przejrzał arsenał baronowej, szukając właściwego oręża.

- Palony migdał? - zapytał zdziwiony, pochylając się nad jej twarzą niczym malarz nad swoim dziełem. - Pokazywano mi w Lazenne bardzo wymyślne farbki... Nie takie, od których szczypią oczy.

- Farbki też mam, ale do brwi wciąż wolę migdały. Czego chcesz? Jestem starej daty.

Uśmiechnął się.

- No dobrze. Więc co tutaj zaszło? Powiesz?

- Właśnie mówię. Przyjechała wczoraj...

W miarę jak malował jej rzęsy i brwi, opowiedziała o wszystkim, co zaszło, czyniąc konieczne przerwy. Skończywszy z rzęsami, skupiony Del Wares z biegłością starej garderobianej rozluźnił troczki gorseciku (który rzeczywiście pytał już o pralnię), zdjął go i zaczepił o parawan. Zwilżył gąbkę, zmył kwiatową wodą boki, piersi i brzuch baronowej, choć znowu gniewała się i protestowała, bo usunął zbyt wiele cennych perfum (ale dzięki nawiązce Melanii bliskość pani Sa Tuel naprawdę zapierała dech w piersiach). Osuszył skórę. Wciąż słuchając raportu i wtrącając pojedyncze pytania, uniósł każdą pierś z osobna i lekko podsypał talkiem, by się nie odparzały pod stanikiem. Sa Tuel kończyła opowieść z głową gdzieś między kolanami, gdy z kolei zmywał jej plecy. Skoro tylko mogła się wyprostować, posłała mężczyznę po szczotki i grzebienie, przez złośliwą Melanię pochowane nie wiadomo gdzie. Sa Tuel, której włosy z woli samej natury zwijały się w pierścionki i loki, nie kręciła na noc papilotów i tylko dzięki temu istniała nadzieja, że coś z jej

fryzurą da się zrobić.

- Więc co teraz? - zapytał pochylony nad wielkim kufrem, który wcześniej przeciągnął bliżej okna, do światła.

- Ęc yjeżdżam - odparła niewyraźnie, czyszcząc zęby patyczkiem, z czołem niemal opartym o lustro. -Y do iabła z nią Zamknął kufer i usiadł na wieku.

- Wezwij Mel, bo sam nic nie znajdę. Wreszcie twoje suknie, a grzebień chyba także, to królestwo Katarzyny, czy nie tak?

- Est a hara - rzekła, cofnęła się od lustra, przesunęła językiem po zębach i rzuciła patyczek na podłogę. - Jest za stara - powtórzyła. - I za gruba. Pilnuje bagaży, pakuje nas i rozpakowuje, czasem coś zszyje i naprawi, ale wszystkim innym zajmuje się Melania.

- Zwolnij ją.

- Katarzynę? Co mówisz, kawalerze! Katarzyna była ze mną zawsze i umrze w moim domu. Nawet psu trzeba na to pozwolić, cóż dopiero wierniej służącej.

- Wiem przecież. Droczyłem się.

- Ja myślę.

Zwróciła się ku niemu, opierając łokieć na oparciu krzesła.

- No i?... - zapytała.

Pokręcił głową.

- To nie do wiary, co potraficie zrobić zdane tylko na siebie. Naprawdę, Renato, obu was mam dosyć. Oczywiście nigdzie nie wyjedziesz - rzekł tonem niedopuszczającym dyskusji. - Masz tu swoją karetę?

- Nawet dwie.
- Więc nie będę musiał prosić gospodarza. Mam nadzieję, że przynajmniej jedna z tych karet jest skromna i nie rzucająca się w oczy?
- Będziesz zadowolony.
- W takim razie jadę natychmiast.
- A dokąd?
- Do tego domu, o którym mi mówiłaś. Ulica Błękitnego Nieba przy Tkackiej, dobrze zapamiętałem? Mam nadzieję, że jeszcze ją tam znajdę. Ją i Ewangelistów.
- Pewnie tak.
- Obojętne ci to, jak rozumiem?
- Oczywiście.
- Wyjeżdżasz?
- Owszem.
- Jesteś szalona - rzekł stanowczo. - Dostyc już tych bredni... Dobrze wiesz, że nie możesz porzucić Egaheer. Chyba że chcesz ją nakłonić do ubrania się w najpiękniejsze ciało ze wszystkich, jakie dotąd zajmowała. Wtedy zgoda.
- Nie zostanę niczyją niewolnicą, kawalerze - powiedziała z chłodną wyniosłością.
- Ależ właśnie zostaniesz. Będziesz wyła na dnie swego umysłu i duszy niesłyszana przez nikogo, bo ona cię przecież nie zabije, a tylko pozbawi wszelkiej władzy nad ciałem.
- Chce mnie pan przestraszyć? - zakpiła.
- Przestraszyć... Czyżbyś nigdy dotąd tego nie oglądała? Rok, Renato, prawie rok... Aż tyle wytrzymała ta biedna dziewczyna z Arelay, czy pamiętasz? Rok obcowania w jednym ciele

z demonem. Jesteś równie silna jak tamta i nim oszalejesz bez reszty, będziesz zjadana po kawałku przez rok. Będziesz widziała Egaheer taką, jaka jest naprawdę, a to chyba widok niemiły. Przez rok... i oby nie dłużej.

- Nie pogodzę się z tym. Jeśli po mnie przyjdzie, to prędzej się zabiję, niż pozwolę jej... Dobrze wiesz, że to zrobię.

- Nie wiem. Nikt nie wie, dopóki nie spróbuje. I nie mów mi, droga, że wiesz lepiej, bo trochę częściej od ciebie widywałem śmierć. Ale choćbyś nawet potrafiła... Zrobisz to, o ile zdążysz. O ile nie przyjdzie do ciebie we śnie. O ile nie wymyśli czegoś jeszcze innego. Posłuchaj, Renato, Egaheer boi się ciebie, nie wiem, z jakich przyczyn, ale boi się, zarazem zaś potrzebuje twoich niezwykłych zdolności. Masz nad nią dużą władzę, nie ma mowy o niewolnictwie. Pytanie, czy w ogóle można to nazwać służbą, bo może raczej spółką, współdziałaniem w osiąganiu rozmaitych celów. Ja, owszem, ja tylko służę. Ale z tobą rzecz ma się inaczej.

- Doprawdy?

- Doprawdy. Oboje o tym wiemy, więc już przestań się dąsać. Na kogo, lub raczej na co raczyła się pani obrazić, baronowo? Na wicher, który dmie w pani żagle? I co proszę? Że nie chce być pani niewolnicą wicheru?

Uśmiechnęła się mimo wszystko.

- Przedstawiasz to w taki sposób...

Wstał z kufra.

- Wiesz, że mam słuszność, przestań więc się dąsać, powtarzam. I przywołaj Melanię, bo tylko ona może sprawić,

żeby twoje włosy zaczęły wyglądać jak... włosy. Sam puder nic tu nie zdziała.

- Poproszę o gorset.
- Każ sobie przynieść świeży.

Oburzyła się.

- No wiesz! Czy ty zdajesz sobie sprawę, jak bardzo niszczą się w praniu takie rzeczy?! Co w ciebie dzisiaj wstąpiło?!

- Stać cię na tysiąc gorsetów.
- Stać mnie, bo umiem oszczędzać, właśnie tak.
- O, twoja oszczędność, Sa Tuel, w rzeczy samej jest aż przysłowiowa.

Obraziła się i roześmiała.

- Zechcesz mi dziś asystować także przy wieczornej toalecie, kawalerze. - To nie było pytanie, lecz życzenie.

- Wieczornej?...

- Mhm. Wieczornej.

- Ale obiecałem panu Se Reus strzec twojej moralności, przyzwoitości i cnoty. Oraz czci.

- Oszalałeś?

- Dlaczego?

- Przecież wszystko to nie istnieje!

- Rzeczywiście?

- Daję ci słowo, Del Wares. Klnę się przed tobą na honor, że w ogóle nie mam honoru. Szklanej góry też będziesz strzegł?

- Dlaczego znów szklanej góry?

- A dlaczego nie? Zamki z lodu też nie istnieją... i centaury...

- Skoro tak, to chyba jestem zwolniony z obietnicy. Najpierw jednak pojednam cię z twoją... współpracowniczką. I naprawię wszystko, coście obie popsuły.

Wychodząc, Del Wares natknął się na Melanię. Stała przy drugich drzwiach oparta o ścianę, z założonymi za plecy rękami. Być może tkwiła w tym miejscu pół godziny... ale raczej cztery sekundy.

- Twoja pani czeka na ciebie - powiedział. - Podstuchiwałeś - nie tyle zapytał, co stwierdził.

- Trochę - odparła nadąsana, w ogóle nań nie patrząc. - I niech pan wcale nie wraca.

Lecz mijając go, otarła się lekko, niby mimochodem i niechcący.

VI

Chal-Chenet wciąż jeszcze zajmował pokój „U Łaskawej Kwiaciarczyki”.

W ciągu kilku ostatnich dni zdarzyło się tak wiele, że powinien był już przywyknąć. Lecz nie przywykł i zdarzenia ostatniej doby zdawały mu się aż niemożliwe.

Powinien wyjechać, ale nie wyjechał. Powinien się pakować, lecz nie pakował się. Już dziesięć razy wstawał z krzesła z zamiarem włożenia kaftana, przypasania szpady i wzięcia pod pachę torby, lecz wstawał jedynie w myślach, bo zamiast tego wciąż siedział rozparty wcale wygodnie, w samych tylko spodniach, butach i koszuli, skąpymi łykami popijając kwas chlebowy, który mu przysłano do pokoju. Gdyby ktoś zapytał, Chal-Chenet w odpowiedzi wzruszyłby co najwyżej ramionami na znak, że donikąd nie warto się spieszyć, bo czuje na plecach oddech zbyt wielu nierozstrzygniętych spraw; bo te sprawy i tak go dogonią; bo nareszcie zaczęło go to bawić.

A dokąd właściwie ci spieszno, kawalerze? - pytał sam siebie w myślach. Masz co lepszego do roboty, niż wziąć byka za rogi i wyciągnąć wreszcie z tej dziwacznej historii jakąś korzyść dla siebie? Zawsze głupi i zawsze niezaradny; kto inny już dawno pisałby cyfry i liczył, ileż to da się wyciągnąć od jednych albo od drugich... Służyć dostojnym zbrodniarkom i wariatkom w Valaquet (tak, tak, nie bój się pan prawdy, bo przecież rzeczywiście zbrodniarkom i wariatkom!) było dobrze; potrząsnąć jakimś mnichem albo niewiastą w czerni i słuchać, jak sypie się z nich złoto - źle. Jedziesz goły i wesoły... do Lazenne, do króla. Nuże, szybciej, kawalerze, król czeka! Oto właśnie wybiegł aż na próg i pyta pokojowca: „A nie jedzie tu mój dzielny kawaler Chal-Chenet?”. „Nie, Najjaśniejszy Panie,

Roześmiawszy się na całe gardło, szlachcic pociągnął kolejny łyżeczek kwasu chlebowego, aprobując skórą głowę, następnie zaś odchylił się na krześle do tyłu i jął oglądać powałę, gdzie dwie poprzeczne, bardzo grube belki prezentowały się solidnie, dziarsko, zajmująco.

Pukanie do drzwi nie wytrąciło go bynajmniej z obserwacji.

- Proszę wejść - powiedział.

Drzwi skrzypnęły.

Jeszcze trochę pogapiwszy się na belki, Chal-Chenet zniżył spojrzenie i z uwagą, ale bez przesadnej ciekawości jął oglądać gościa. Stał przed nim szlachcic, na oko trzydziestopięcioletni, dość wysoki, postawny, o prezencji żołnierza bądź awanturnika, lub raczej łowcy przygód - w każdym razie ktoś, kto na pewno widział w życiu niejedno. Mężczyzna był odziany w brązowe

i szare barwy, skąpo, lecz ze smakiem podkreślone białymi koronkami, a szaroniebieskie pióro - bardziej szare niżli niebieskie - przy myszowatej barwy kapeluszu świetnie współgrało z całością. Podobnego koloru co pióro był pendent podtrzymujący długi rapier o bogato zdobionej rękojeści. Zza pasa wystawały cienkie jedwabne rękawiczki - takie same jak pióro i pendent. Dość wyraźna blizna na policzku, trochę szersza na dole, tuż nad wąsem - na pewno pochodząca od wojennego ostrza - nie szpeciła twarzy przybyłego, bo była to twarz bardzo męska (pytanie, czy w ogóle urodziwa) i bitewna pamiątka żadną miarą nie mogła jej popsuć. Chal-Chenet strzeliłby w ciemno, że ten człowiek podobał się kobietom, choć głowy by w zakład nie postawił (któż to wie, co właściwie kobietom się podoba?). Tylko chłodne stalowoszare oczy mogły odpychać płęć nadobną, bo nie wydawało się możliwe, by często gościł w nich odcień tkliwości.

- Spocznij pan - rzekł Chal-Chenet, skąpym gestem ukazując wolne krzesło. - Znasz pan pewnie moje nazwisko, bo wszyscy w tym mieście je znają, przejdźmy więc od razu do rzeczy... Albo może jednak, dziwnym trafem, powie mi pan, jak się nazywa?

- Rozumiem, że nikt dotąd nie kwapił się z tym zbytnio?

- Jesteś pan prorokiem, lub raczej jasnowidzem. Kogo więc mam przed sobą?

- Kawalera Del Wares, do usług.

Gość usiadł. Chal-Chenet posłał mu ukłon od dłoni i napił się kwasu chlebowego.

- Wybacz pan, że niczym nie częstuję, lecz mam tutaj tylko ten kwas.

- Nic nie szkodzi, dziękuję.

- A zatem, kawalerze, hrabia Se Rhame Sar nie żyje i miejmy to już za sobą - rzekł Chal-Chenet. - Wprawdzie musiałem wczoraj przyznać, że nie widziałem ciała, ale to nie zmienia mojego przekonania. Czy mogę panu służyć czymś jeszcze? - Nie wiem, ale mam taką nadzieję.

Przez chwilę panowało milczenie, w tym czasie Del Wares oglądał Chal-Cheneta z taką samą uwagą, jak wcześniej Chal-Chenet jego. Miał przed sobą trochę zmęczonego - ale i nawykłego do zmęczenia - nieogolonego od mniej więcej doby człowieka, którego biała koszula byłaby świetną partią dla gorsetu Renaty Sa Tuel. Człowiek ten był najgorszym rozmówcą z możliwych, albowiem najwyraźniej wszedł w stadium humoru wisielczego, kiedy to fatalizm miesza się z cynizmem i ironią; człowiek taki już niczemu się nie dziwi, mało co go ciekawi i w ogóle obchodzi. Przyprować mu żyrafę - kiwnie głową.

- Nie umiałem zgadnąć, czy jeszcze tu pana zastanę. To, że pan tu jest, każe mi wierzyć, iż otrzymam pomoc; gdyby pana nie było, domniemywałbym w panu wroga. Rzeczywiście znam pana, czy też raczej domyślałem się, kogo mam przed sobą, a mianowicie kawalera Chal-Cheneta.

Gospodarz uprzejmie skinął głową.

- Wczoraj po południu złożyła panu wizytę pewna kobieta w towarzystwie dwóch mężczyzn. Widziałem się z tymi mężczyznami i wiem, jaki przebieg miało to spotkanie, lecz ostatnia

część rozmowy odbyła się w cztery oczy... Czy zechce mi pan o tym powiedzieć?

- Chętnie, jeśli zależy panu na tym, ale obawiam się, że nie powiedziano tu nic, o czym by pan nie wiedział.

- Jak mam to rozumieć?

- Najzwyczajniej. Mężczyźni, o których pan mówi, zostali odprawieni nie dlatego, że mogliby usłyszeć jakieś tajemnice. Odebrałem to jako demonstrację dobrej woli. Zapytałem osobę, o której mówimy, czy zamierza użyć siły, a wówczas ta osoba odprawiła swą gwardię przyboczną i raz jeszcze ponowiła propozycję. Tylko tyle. Treść tej propozycji, jak słyszę, pan zna Del Wares skinął głową.

- A jednak ta osoba...

- Egaheer - spokojnie przerwał Chal-Chenet. - Czy dobrze wymówiłem to imię?

- Przedstawiła się panu?

- Nie.

Del Wares milczał wyczekująco.

- Otóż widzisz pan - powiedział z westchnieniem Chal-Chenet, prostując się na krześle, potem zaś pochylając, z łokciami opartymi na udach i dłońmi splecionymi na wysokości kolan - gdybyś posiedział tu ze mną godzinę, zobaczyłbyś, jaki tu ruch... Nie jesteś pan pierwszy i wątpię, czy ostatni. Jeszcze przed południem przyjąłem tutaj procesję.

- Procesję?...

- No tak, bo trzech zakonnic, a każdy z innego zakonu, to już wcale ładna procesja. Niestety, nie przybiegły dziewczątka sypiące kwiaty pod nogi.

- Złożyli panu wizytę zakonnicy? - Del Wares pamiętał o tajemniczym protazyście, o którym doniosła baronowej Melania.

- Przecież mówię. Zapytali uprzejmie, czy mój generał nie żyje... Jesteś pan nowy w tym mieście, więc na pewno nie wiesz, że miejscowa etykieta nakazuje od tego zacząć każdą rozmowę... Zapytali więc o zdrowie martwego generała, upewnili się, że nie powiozę na cmentarz ich listu, po czym dokładnie i nie szczędząc szczegółów, odmalowali mi wszystkie piekielne potwory, pokazali buchające lawą czeluści, by na koniec zapewnić, że to furda, że wszystko to nic, bo istnieje coś gorszego: Egaheer. O, i tutaj dopiero wykazali się kunsztem! Wiem wszystko o tym demonie, tej istocie, tej magii ponadpiekielnej, złodziejce pierwiastka życia i co pan tylko chcesz. Masz waszmość prezencję człowieka, który z różnych pieców chleb jadał, wybaczysz mi więc dosadność: niewiele, a narobiłbym w portki.

Del Waresowi nie było do zabawy, bo problemy piętrzyły się jedno na drugim. Mimo wszystko uśmiechnął się, bo zdążył już ocenić rozmówcę - ten człowiek strząsał piach z suchara, gdy o parę kroków grzmotnął w ziemię pocisk armatni, po czym niewzruszenie żuł dalej. Wystawiwszy sobie straszących Chal-Cheneta mnichów, Del Wares nie potrafił zachować powagi. Nie minęła doba, jak Egaheer proroczo rzekła w tym pokoju: „Znam kogoś, komu byś się spodobał, zuchwalcze!”. I po stokroć miała rację. Zamieniwszy z Chal-Chenetem cztery zdania, Del Wares wiedział, kogo ma przed sobą. I podobał mu się ten ktoś.

Gospodarz zauważył uśmiech gościa.

- Uśmiechasz się?

- Tak, niestety - odparł Del Wares, wykonując niejasny gest ręką. - A jednak, kawalerze, popatrz na mnie. Czy wyglądam na człowieka strachliwego?

- Nie, na honor - odparł szczerze Chal-Chenet. - A trochę znam się na ludziach, szczególnie pańskiego pokroju.

- Mam to za grzeczny komplement. Oto więc jak się rzeczy mają: służę temu demonowi, czy też temu bytowi, tej ponadpiekielnej magii, od paru ładnych lat i wierzaj mi pan... - urwał nagle, jakby zakłopotany. - A niech tam, zacząłem, więc powiem: otóż zmoczyłem raz w nocy prześcieradła, bo przyśniła mi się moja pani. Uwaga o portkach waszmości nie jest więc całkiem bez sensu.

Chal-Chenet popatrzył uważnie i lekko zmarszczył brwi, bo w słowach gościa znalazł coś więcej niż tylko rubaszną retorykę.

- Nie znasz pan Egaheer - dodał Del Wares - i nie dowiesz się, jaka jest, a raczej: owszem, dowiesz się, lecz za pośrednictwem jej sług. To tylko kaprys, puch - ciągnął, dmuchnąwszy na palce - to tylko polecenia i rozkazy, życzenia i żądania. Przyszła wczoraj do ciebie, ale nigdy tego nie czyni, zwykle przychodzę ja, albo chociaż Ewangelisci.

- Ewangelisci?

- Tak nazwała swoje zbrojne sługi albo, mówiąc bez ogródek, morderców. Egaheer droczy się z Bogiem, tak jak błazen droczy się z królem... Wystaw pan sobie błazna piękniejszego od swego pana, dowcipnego, biegłego w sztuce układania rymów, ale i szczerego. Monarcha nie znosi błazna, zazdrości mu

talentu, zdrowia, żywotności; nie znosi go, ale i potrzebuje, bo w całym wielkim królestwie tylko ten jeden błazen zawsze powie mu prawdę, podsunie lustro, które nie zniekształca... Ale dość już, nie o tym mowa. Twierdzą tylko, że Egaheer mogła przyjść do pana wiedziona jednym z tysiąca kaprysów, mogła powiedzieć cokolwiek i obiecać cokolwiek, ale tak naprawdę spotykasz się z nią dopiero teraz. Bo to ja jestem jej prawdziwym głosem i ramieniem, kazała mi coś zrobić i pozostawiła nieograniczoną niczym swobodę, kawalerze. Jeśli przekreślę jej słowa, to przekreślę; złamię obietnice, no to złamię i nie spotka mnie żadna szykana, bylebym dopiął celu. Bo zawsze mam osiągnąć dla niej pewien cel i nikogo nie obchodzi, a najmniej jej samej, jakimi sposobami go osiągnę. Chal-Chenet słuchał uw - Po co mi pan to mówi?

- Żebyś się trochę zaczął jej bać. Bo ja się jej boję, kawalerze, i ze strachu przed nią gotów jestem wskoczyć do piekła albo rozpętać piekło, wyrzec się godności i honoru, uciekać z podkulonym ogonem bądź szarżować w pojedynkę na pułk wojska, kraść, palić, mordować, a jeśli tego będzie za mało, to na koniec palnąć sobie w łeb, byle tylko uniknąć losu, jaki mi zgotuje, gdy zawiodę. Rozmawiasz pan z człowiekiem stale przerażonym i proszę, byś nie lekceważył tego strachu.

- Jednak nie rozumiem. Słyszę, że gotów jesteś na każdą niegodziwość, każdą hańbę, bo nie wspomnę o niebezpieczeństwach... Co sprawiło, żeś pan do tej pory nie palnął sobie w łeb? To chyba lepsze od wizji, którą mi nakreśliłeś.

- Masz pan rodzinę?

- Daleką.

- Więc kogoś, kogo kochasz bądź kochałeś? Przyjaciela, kobietę? Matkę, ojca miałeś na pewno.

- Miałem. Już widzę, do czego pan zmierza. Mimo to nadal nie do końca rozumiem.

- I nie zrozumiesz, dopóki nie staniesz z wyzwaniem oko w oko. Nikt do końca nie wie, jaki jest. Otóż, kawalerze, to nawet nie trzeba mieć rodziny. Dość ustawić rząd obcych ludzi i powiedzieć: „Rób, co masz zrobić, albo wszyscy oni będą ćwiartowani”. Jeden mówi sobie wówczas: „To nie moja wina i nie moja to będzie zbrodnia”. A drugi tak nie potrafi, więc je ziemię, jeżeli mu każą, bo widzi oczy tych ludzi i słusznie - albo niesłusznie - myśli, że od niego coś zależy.

- Więc zmuszono pana do służby.

- Właściwie nie.

- W takim razie znowu nie rozumiem.

- Egaheer jest wieczna, kawalerze. Nie jest dobra ani nie jest zła, tak jak życie samo w sobie nie jest dobre bądź złe. Bywa dobra i bywa zła, ale to co innego. Zawsze będzie Egaheer i zawsze będzie stał przy niej jakiś kawaler Del Wares. Na razie nie „jakiś”, tylko on we własnej osobie. Odchodząc, niczemu nie zapobiegnę, a najprędzej wywołam nieszczęście, bo bardziej pocziwego niż ja osobnika na jej żołdzie po prostu być nie może. Dopuszczałem się zbrodni, kawalerze, i popełnię jeszcze niejedną, ale choć trudno w to uwierzyć, mam sumienie. Otóż przebieram w środkach i gdy muszę zabrać komuś sakiewkę, to raczej ją ukradnę, niż przemocą wydrę; jeśli ktoś ma zniknąć, to na własną odpowiedzialność raczej go uwięzę, niż zabiję.

Nie bacząc na niemiłe ryzyko, bo więzień przecież zawsze może uciec... Ale mam sumienie, jak już się chwaliłem, i próbuję sobie kupić jego spokój. Kim chcesz mnie zastąpić? Takim samym zbrodniarzem i łotrem, tylko bardziej oszczędnym, gdy chodzi o targi z sumieniem?

- Oto wygodne rozgrzeszenie.

- Nie inaczej. Moje własne i nie musi się podobać nikomu. A jednak, panie kawalerze, rozmawiam tutaj z panem i przedkładam racje, choć czas nagli. Spowiadam się ze swoich przekonań i życia, tłumaczę, odpowiadam na pytania. Nie poprowadziłem pana do miejsca, gdzie płacze wyrwane z rąk matki niemowlę, które zaraz Ewangeliści upieką żywcem na ruszcie... gdy zaś to nie pomoże, przywloką drugiego szkraba, ale temu towarzyszyć będzie jego matka, i to z nią będziesz wasz-mość rozmawiał.

- Nie mogę uwierzyć, byś pan mówił serio.

- Rzeczywiście, nie skrzywdziłem dotąd dziecka... i może to jest granica, której tak usilnie poszukujesz, kawalerze, granica, poza którą już tylko kula we własny łeb. Ale nie drąż pan głębiej i nie szukaj dalej, bo możesz nic więcej nie znaleźć. Pora zresztą, bym przedstawił swoją sprawę. Liczę, że zechcesz mi pan pomóc bez żadnych gróźb i przemocy. Nie musimy rozstawać się jak przyjaciele, ale przecież tym bardziej nie musimy jak wrogowie.

- Więc jaką pan ma sprawę? Czy cały czas tę samą?

- Pyta pan o hrabiego? Nie wiem, to wszystko później... Opowiedz mi raczej, co rzekła Egaheer, gdyście zostali tu sami.

- Przecież powiedziałem.

- Tak, ale zrozum mnie dobrze: pragnę znać każde słowo i wiedzieć o każdym spojrzeniu; przedstaw mi wszystko tak wiernie, jak tylko ci pamięć pozwoli. Rzeczy, które masz pan za błahe, mogą być dla mnie najistotniejsze.

Chal-Chenet, wciąż pochylony na swym krześle, ze splecionymi dłońmi, zdziwił się trochę. Oto wyłaniała się przed nim jakaś nowa zagadka. Dlaczego rozmówca nie zasięgnął wieści u źródła, jakim była jego tajemnicza pani? Wyjechała z miasta? Zniknęła? Popadła w jakiś... letarg (jak mógł wyglądać sen tego demona?). A może wykonawca jej zleceń chciał coś sprawdzić na własny rachunek?...

- Zgoda. Jak już mówiłem, co się tyczy owej rozmowy, nie mam nic do ukrycia. Ale po co panu aż tak szczegółowy raport? Jeśli nie chcesz, nie mów... Przysługa, której żądasz, jest niewielka, oddam ją panu tak czy owak. Jednakże, wiedząc o co chodzi, może przypomnę sobie szczegół, który inaczej mi umknie.

Del Wares pokiwał głową - tak i nie.

- Zawrzyjmy układ - powiedział. - Powiem panu, o co mi chodzi, ale dopiero wtedy, gdy pan skończy. Otóż właśnie bardzo mi zależy, by tok pańskiego rozumowania niczym nie został zakłócony. Ja sam nie wiem, czego oczekuję, zrozum pan... Dzieląc się podejrzeniami, niepotrzebnie na coś pana uwrażliwię, być może kosztem czegoś ważniejszego.

- Rozumiem. A zatem słuchaj.

Od rozmowy nie minęło wiele czasu, okoliczności zaś były na tyle niezwykłe, że utrwaliły całą rzecz w pamięci.

Chal-Chenet dość wiernie przedstawił przebieg spotkania z Egaheer. Del Wares nie przerywał ani jednym gestem bądź słowem, twarz zaś zachował jak z kamienia i dopiero gdy rozmówca skończył, zaczął zadawać pytania.

Najpierw rzekł:

- Opowiedziałeś mi o czymś tak niezwykłym, że aż trudno uwierzyć.

- Uważasz pan, że kłamię?

- Nie wiem, co uważam. Nie tego się spodziewałem. Wyjaśniła ci wszystko? Powiedziała, czego boi się w Valaquet? Mówiła o tej... zarazie?

- Jak pan słyszał.

- Więc wiesz więcej ode mnie. Nigdy niczego nie tłumaczy. Nikomu. Powiedziałaś mi właśnie, dlaczego tam jadę.

- Co na to mogę odrzec?...

- Nic pan nie mów, muszę ci wierzyć. Ale gdybyś powiedział, że w samym środku rozmowy podpałiła na sobie odzienie bądź wyskoczyła przez okno, nie byłbym tak zdumiony. Bom już widział, jak wyszła przez okno... zresztą, trzeba trafu, razem z szybą. Tylko raz mi coś wytłumaczyła.

- Pan mi wierzy i ja panu wierzę... Rób z tym teraz, co chcesz.

Del Wares pokiwał głową.

- Powiedziała więc, że jeśli będziesz w potrzebie, możesz zwrócić się do niej o pomoc?

Chal-Chenet potwierdził.

- Prędzej to wydało mi się dziwne - rzekł ze znaczącym uśmiechem.

- Ale takie nie jest... To kaprys, chodzący kaprys, oto i cała ona, już to panu mówiłem. Lecz co dalej? Powiedziała, że nie zawsze jest brzydka... czy tak? Przypomnij mi pan, z łaski swojej...

- „Zwykle jestem młoda, piękna i łaskawa” albo coś podobnego. „Lepiej służyć pięknej pani niż zimnej nieboszczce, przecież to nie to samo”. Daruj pan, wykładam panu sens, bo każdego słowa, choć się staram, powtórzyć nie potrafię.

Del Wares myślał i myślał.

- Może poszła szukać nowej... jak by to rzec... sukni - mruknął na poły do siebie. - Tak, bo oto wywiązuję się z danej panu obietnicy i mówię, w czym rzecz: zniknęła. Chcę po prostu znaleźć panią, od której pobieram żołąd, kawalerze. Wyszła z tej izby, poszła dokądś... mniejsza o to dokąd, do pewnego domu... zaraz wyszła znowu. Tyle wiem od Ewangelistów. Przyszedłem, bo zupełnie nie wierzę, byś miał coś wspólnego z jej zniknięciem, a jesteś pan ostatnim człowiekiem, który z nią

- Domyśliłem się czegoś podobnego, słysząc, o co pan pyta. A więc masz pan kłopot, ja jednak już w niczym nie mogę panu pomóc. Przyznasz, że i tak pomogłem niemało, jeśli zważyć, coś mi opowiedział o swej służbie, a i o samej zaginionej.

- Tak, i dziękuję panu. Ale jeszcze poproszę o dwie rzeczy.

Z anielską cierpliwością Chal-Chenet wzruszył ramionami.

- Proszę mówić.

- Masz pan jakiś pomysł? Przypuszczenie?

- Dlaczego sądzisz, że mógłbym mieć? Przez dwa lub trzy kwadranse rozmawiałem z obcą kobietą... i to nie dość piękną, bym ją poznał za tydzień na ulicy, gdyby tylko przywdziała inną suknię.

- Wierzę. Ale... nic? Wyświadcza mi pan grzeczność, odpowiadając tak długo i cierpliwie. Może kiedyś będę mógł odplacić panu podobną uprzejmością.

- Daruj pan, lecz odmalowałeś mi dziś obraz maszyny idącej do celu po trupach. Jeżeli to wszystko prawda, to nie wyświadczysz mi żadnej grzeczności, jeśli tylko ci stanę na

- Rzeczywiście. Ale drogi są szerokie i bywa, że dwaj ludzie zmierzający do różnych celów nie muszą od razu się bić, a nawet przez jakiś czas jadą razem i choć się nie znają, wyświadczają sobie drobne przysługi, płacąc pięknym za

- Niech tak będzie. Dobrze, zatem rzeczywiście coś zwróciło moją uwagę, ale od razu mówię, że jest wiele wytłumaczeń, dlaczego tak się stało.

- Powie mi pan?

- Przestrzegła mnie przed Domami Reus. Chyba szczerze. Kaprys, tak pan powiedział? Pewnie kaprys, ale mam wrażenie, że nie miała ukrytej myśli dotyczącej mojej osoby.

- A zatem?

- Wspomniała o tym miejscu tak, jakby... to doprawdy trochę naciągane... Rzekłbym, że chciała tam iść.

- Do Domów Reus?

- To właściwie czyste spekulacje. Lecz gdy się z kimś rozmawia, odnosi się czasem wrażenie... że jakieś zdanie jest niedokończone lub miało brzmieć inaczej... No, w każdym razie

pytał pan o domysły, spekulacje właśnie i wrażenia, czy tak? Więc oto jest wszystko, co przychodzi mi do głowy. Zapytaj pan o konkretne przyczyny takiego akurat domysłu - nie odpowiem. Nie podam żadnych przyczyn, a przeciwnie, służyć wytłumaczeniem, dlaczego akurat Domy Reus stale mnie prześladują... Nie polegaj pan na tym, co mówię.

Pomimo tych zastrzeżeń Del Wares nie zbagatelizował wrażenia Chal-Cheneta.

- Druga prośba: czy w rozmowie, którą odbyłeś dzisiaj z owymi zakonnikami?...

- Tak myślałem, że pan zapyta. Nie, kawalerze. Nie sądzę, by ci ludzie stali za zniknięciem twojej pani, choć nie są jej przyjaciółmi, co przedstawili mi wprost. Niemniej bez wątpienia byłiby zaskoczeni, usłyszawszy to wszystko, co ja usłyszałem przed chwilą. Więcej jednak panu nie powiem, tutaj moja uprzejmość się kończy. Ofiarowali mi pomoc, i to chyba szczerze, choć wiem dobrze, iż na oku mają własną korzyść. Może będę potrzebował kiedyś pomocy tych ludzi, co przychodzi mi do głowy tym łatwiej, że miałem dziś zaszczyt poznać pana... Nie powiem więc panu, kim są, gdzie ich szukać ani w ogóle nic.

- Są członkami Towarzystwa Ducha Świętego; strzeż się ich. Zrobisz, jak zechcesz, Chal-Chenet, lecz ci ludzie to natchnieni ideą pomyleńcy, a więc gorzej, znacznie gorzej niż zbrodniarze albo oprawcy. Bez mała, uważasz, próbują zbawić świat.

- Może ktoś czasem powinien podjąć ten trud.

- Nie wahaj się więc i pomóż im w tym dziele. Dziękuję ci za wszystko, co zechciałeś dzisiaj dla mnie uczynić, kawalerze.

Ale, ale... Wyruszam do Valaquet, wiesz po co. Uwierzyła ci Egaheer, ja także ci wierzę. Nic nie wiesz o swoim generale, a raczej wiesz tyle, że nie żyje. Ja jednak na pewno go znajdę, żywego lub umarłego. Gdyby... wbrew wszelkim spodziewaniom... gdyby jednak żył?... Nie mówię, zauważ, „przekaż mu ode mnie wiadomość”. Pytam: czy przekazać coś

- Nie, bo nie ma takiej potrzeby. Był wodzem, jakiego każdy żołnierz musiał kochać - powiedział z powagą Chal-Chenet. - Ponadto w moich oczach wielkim i prawym człowiekiem. Lecz to wszystko, nic więcej. Choćby stanął tutaj w tej chwili, ja już na służbę nie wrócę. Miałem wobec hrabiego dług, ale już go chyba spłaciłem.

- Pewien jesteś?

- A o co mnie pytasz? Gdyby był w kłopotcie, użyczyłbym mu swej szpady. Lecz tylko do chwili zażegnania niebezpieczeństwa, bo na stałe do służby nie wrócę.

- To nie moja sprawa, więc nie pytam: czemu?

- Ale ja ci odpowiem. Boisz się Egaheer? Zatem sam widzisz. Otóż ja, kawalerze, boję się Valaquet i wszystkiego, co związane z tym przeklętym krajem, hrabiego nie wyłączając. Bóg pozwolił mi stamtąd uciec, więc codziennie Mu dziękuję i nie myślę grzeszyć niewdzięcznością.

Stojący na kominku zegar w kształcie wielkiej wieży Loyniwe, rezydencji królewskiej, wybił właśnie siódmą, gdy Del Wares wkraczał do apartamentu swej pięknej złotowłosej przyjaciółki. Sa Tuel nudziła się uroczo, tak jak potrafiła tylko ona jedna.

Melania czytała jej na głos książkę, lecz leżąc na szezlongu baronowa w ogóle nie słuchała, bo bawiła się puklem włosów i było to zajęcie tak absorbujące, że co pięć lub sześć minut przerywała pokojówce, mówiąc: „Nie, zaczekaj... Jeszcze raz, ostatnie trzy stronice”. W ten sposób Melania od godziny już czytała w kółko tę samą scenę, ale ponieważ myślami była równie daleko od książki jak baronowa, wcale jej to nie prze-

Niezapowiedziane wtargnięcie Del Waresa do pokoju - bo spiesząc się, machnął tylko służącemu ręką i nie dał się wyprzedzić - zburzyło gmach słodkiego próżniactwa, tak pieczołowicie wznoszony przez panią i służkę pospołu. Siedząca przy szezlongu na podwiniętych nogach Melania przerwała lekturę, baronowa ze zdziwieniem spojrzała na intruza, bo Del Wares rzadko nie przestrzegał form. Odwiedzając ją w południe, opowiedział się kpiąco imieniem świętego Protazego, ale był przecież zapowiedziany i oczekiwany. To raczej ona sama - wiedząc przecież, kto wszedł - zaczęła swoją gierkę, a mężczyzna tylko ją podjął... Lecz teraz? Co miało znaczyć to - Co się stało? - zapytała, zmieniając półleżącą pozycję na siedzącą i dając znak Melanii, by wyszła.

- Nie, przeciwnie, Mel, zostań - powiedział Del Wares. - Za pozwoleniem, baronowo, zechce pani zatrzymać pokojówkę... Ale ty nie jesteś pokojówką, zdaje mi się - dodał zaraz, spoglądając na służkę, który wbiegł za nim do pokoju, pragnąc chyba wytłumaczyć się przed panią.

- Ty zostań, a ty wyjdź - krótko poleciła Sa Tuel, nawet nie patrząc na swe sługi. - Powiesz mi wreszcie, co się stało?

- Mam niewiele czasu, a nie wiem, ile jeszcze zmitręzę go tutaj - wytłumaczył, po czym korzystając z pozwolenia, którego udzieliła mu spojrzeniem, usiadł. - Może niepotrzebnie się tak spieszę, a może wręcz przeciwnie, szkoda każdego słowa... Egaheer zniknęła.

- Zniknęła? Co to znaczy?

- To znaczy, że jej nie ma. Że nikt nie wie, gdzie jest. Że poszła dokądś i wszelki śluch po niej zaginął, choć nie twierdzę, że nie znalazłem żadnych śladów... Rozmawiałem z Ewangelistami, odnalazłem też pana Chal-Cheneta.

- Opowiedz mi - zażądała.

- Właśnie chcę to uczynić.

Melania cichutko i zręcznie, jakby jej wcale nie było, wytrzasnęła skądś resztki śniadania swojej pani i uzyskawszy jej milczące pozwolenie, postawiła talerzyk, szklanekę i karafkę na stoliku, stół zaś przysunęła bliżej gościa. Dzięki temu Del Wares, który nic nie miał w ustach od rana, mógł między zdaniem pochlaniać nadkruszone biszkopty, ciepłymi spojrzeniami nagradzając rezolutną panienkę, która umiała dowieść, że jest niezastąpiona.

- Prosiłem, byś nie odprawiała Melanii - wytłumaczył na koniec - bo szkoda wszystko powtarzać dwa razy, a Melania będzie nam potrzebna.

- Chyba jednak powtórzysz, bo ja nic nie rozumiem - przerwała. - Mam uwierzyć, że przez godzinę tłumaczyła obcemu

człowiekowi, czego się boi, co jej grozi, czym jest magia Valaquet i co ma do tego Jasena?

- Ja mu uwierzyłem. Nie mógł tego zmyślić.

- Coś... coś się z nią dzieje.

- Pani spostrzegawczość, baronowo, wywiera ogromne wrażenie - zadrwił i zaraz tego pożałował, bo Melania zachichotała i od razu zbladła pod spojrzeniem pani; spojrzeniem, które coś obiecywało.

- Chal-Chenet wie o oberżystcie, tym spod „Jarzębiny” - rzekł Del Wares. - Kazała mu tam iść, gdyby czegoś potrzebował... Tylko dzięki temu przypomniałem sobie, że ten oberżysta w ogóle istnieje.

- Przecież dzisiaj ci o nim mówiłam.

- Tak, w dwóch słowach. Posłuchaj, kochana baronowo, czy dobrze mi się wydaje, że ja tutaj biegam jak pies z wywieszonym językiem, wykonując pani robotę? Takie śledztwa i dochodzenia nie są moim żywiołem, nigdy nie twierdziłem, że potrafię wszystko spamiętać, wszystko powiązać, ze wszystkiego wyciągnąć wnioski... Ja? Ja, o pani, potrafię tylko strzelać i kłuc szpadą!

- Och, już dobrze, przecież nic nie mówię. Ale słucham i nie mogę wyjść z podziwu... Powiedziała więc panu Chal-Chenetowi także to, że mamy agenta w gospodzie?

- Jak najbardziej. Ależ nie rób takiej miny, moja droga, bo i czego się spodziewałaś? - zapytał, wzruszając ramionami, gdy Sa Tuel przykryła oczy dłonią i oparła głowę na poduszce. - Puściłaś ją tam samą, bo wołałaś się dąsać. Trzeba było z nią iść! A teraz potrzebuję Melanii, bo oberżysta to jedyna i ostatnia już osoba, która może jeszcze coś wiedzieć, a z którą nie rozmawiałem.

Może poszła do niego, by zostawić dla nas jakieś zlecenie albo wiadomość? Może nie mogła bądź nie chciała wrócić do kamienicy...? Nie wiem. Oberżysta mnie nie zna i lepiej niech tak zostanie. Pojadę z Melanią, ale nie wyściubię nosa z karety.

- Trzeba było posłać któregoś z Ewangelistów.

- Może tak, ale wcześniej posłałem ich gdzie indziej... Bo to przecież nie koniec historii. Co ty sobie myślisz? Że przybiegłem z samymi tylko pospolitymi wieściami? - zapytał sarkastycznie.

- Pospolite wieści, powiadasz.

- Jeśli zważyć, że po mieście chodzi ront Towarzyszy Ducha Świętego; jeśli dodać, że w zaroślach w miejscu zwanym Domami Reus leży trup kobiety ze złamaną ręką i w czarnej, podartej sukni... jeśli zważyć to wszystko, pani baronowo, to chyba przyzna pani...

- Zaraz, poczekaj... Znalazłeś trupa?

- W zaroślach na uroczysku.

- Kobietę w czarnej sukni?

- Och, doprawdy... A małoż to wszędzie leży kobiet w czarnych sukniach?

- Ale z tego wynika...

Urwała.

- Wynika - podjął Del Wares - że nie wiemy, jak teraz wygląda Egaheer. Ty przynajmniej możesz być kogoś lub czegoś pewna, ale ja? Egaheer? - zapytał głośno, kierując się gdzieś w powietrze. - Siedzisz w Sa Tuel czy w Melanii? Którą sobie przywłaszczyłaś w nocy?

- Przestań... To mają być żarty?

- Żarty? Właśnie o to chodzi, że nie... Pani Sa Tuel pokłóciła się wczoraj z Egaheer, Ewangelisci to potwierdzają. Skąd mam

wiedzieć, czy miarka się nie przebrała, czy Egaheer nie przyszła w nocy, by ukarać wreszcie krnąbrną Sa Tuel? A pani Sa Tuel bardzo kiepsko przecież czuła się rano, wstała późno. Może nie mogła wstać wcześniej, bo leciała jej krew z nosa...?

- Hola, panie Del Wares?!

- Melanio, czy znalazłaś na poduszkach swojej pani ślady krwi? Może pani nie miała rano apetytu?

- Del Wares! - wrzasnęła Sa Tuel, podrywając się z zaciśniętymi pięściami.

- Już dobrze, nie musisz krzyżeć. Nie wierzę, żeby tak było... Trochę tracę głowę, to wszystko - dorzucił po krótkiej chwili.

Rozgniewana baronowa próbowała uspokoić oddech.

- Ale pani... - powiedziała bardzo cicho Melania - nie miała dzisiaj rano apetytu...

W pokoju zrobiło się tak cicho, że było słyhać pracujący mechanizm zegara. Nie wiadomo, kiedy i jakim sposobem Melania przekradła się do krzesła, na którym siedział mężczyzna, i stała teraz tuż przy nim z dłonią mocno zaciśniętą na oparciu. Sa Tuel tkwiła naprzeciwko jak podsądna.

- Przecież w to nie wierzycie - rzekła wreszcie, uśmiechając się z wyraźnym przymusem. - To... to nonsens.

Gdy nie było odpowiedzi, dorzuciła głośniejsze:

- Nie, nie zniosę tego... Urządzacie sobie zabawę? Moim kosztem? Melanio, pytam cię o coś!

- Ja sobie z pani nigdy nie żartuję, przecież pani wie... Ale czy pani... to naprawdę jest pani?

Pomimo całej złości i rozgoryczenia Sa Tuel zdała sobie sprawę, że tych dwoje ma prawo podejrzewać cokolwiek. Przecież nie ją oskarżali, nie ją podejrzewali... Gniewając się, baronowa mimo wszystko zdołała dojrzeć coś, co chwyciło ją za serce - nie udawaną obawę, ale taką, jaką chory może wyczytać w oczach swoich bliskich.

- Niemądrzy - szepnęła.

- Uspokój się, Mel - powiedział z namysłem, ale rzeczowo Del Wares. - Twoja pani nie miała apetytu, to się zdarza... Wiem, Renato, że to jesteś ty.

- Pan jest pewien? - zapytała nieśmiało pokojówka, wciąż nie mogąc ukryć niepokoju.

- I ty także jesteś pewna, głuptasie, tylko pomyśl. Niepotrzebnie tracimy czas... Mamy jeszcze do pomówienia. Ciało, cóż to znaczy, skoro nie ma nic więcej, Mel! - rzekł podniesionym głosem, zły i na siebie, i na nią. - Znasz swoją panią jak nikt inny, każdy gest i każde słowo! Różowałam jej dzisiaj policzki i malowałam brwi, spierałam się o jakąś bieliznę, a ty dostałaś w skórę! Czy Egaheer może udawać twoją panią? Przed każdym, ale przede mną? Przed tobą? Wystarczy już, dość wstydu sobie narobiliśmy!

- Jejku... - powiedziała cicho dziewczyna. - Ale mi się teraz dostanie.

- Podejź no tutaj, moja panno - poprosiła Sa Tuel.

Zielone oczy Melanii zrobiły się wilgotne jak na zamówienie.

- Sa Tuel, nie mamy czasu - powiedział stanowczo Del Wares.

- Proszę się nie wtrącać, z panem pomówię później. A co do straty czasu... Bo pan mówił, że tracimy czas, kawalerze? Dobrze mi się zdawało?

Del Wares przygryzł wąsa.

Melania grzmotnęła na kolana.

- Niech mi pani przebaczy! Dobrze? Ja już nigdy nie będę, ja zawsze panią poznam, obiecuję!

Sa Tuel parsknęła śmiechem.

- Ty głupia dziewczyno - powiedziała zarazem karcąco i łagodnie. - Wstawaj z tej podłogi, ale już. Masz rację, Del Wares, to wszystko moja wina - oceniła, siadając i biorąc do ręki wachlarz. - Kto sieje wiatr, zbiera burzę, a ja wystawiłam się tyłem do wiatru, zamiast go łapać w żagle, co tak trafnie mi dzisiaj wywiódłeś... Melanio, przyrośłeś do tej podłogi? Na co czekasz, biegnij po suknię, przecież słyszysz, że pojedziesz do gospody „Pod Jarzębiną”!

- Mam się przebrać? Ale Katarzyna...

- Katarzynę trzymaj z daleka od tych spraw; Katarzyna płacze zawsze, gdy przypomni sobie, że jej pani zaprzedała duszę diabłu, bo akurat tyle rozumie. Przynieś suknię tutaj, a ja sama pomogę ci ją włożyć, bo powinnaś wiedzieć, o czym mowa, żeby potem nie palnąć głupstwa.

Pokojówka pobiegła wypełnić polecenie. Sa Tuel i Del Wares w milczeniu spoglądali po sobie.

- Coś mnie jeszcze nurtuje, Renato.

- Zastanawiasz się, czy nie wlaźła w którąś z nas tak, że o niej nie wiemy?

- Właśnie. Pokazała kiedyś, że to potrafi.

- Potrafiła.
 - Ale już nie potrafi?
 - Ale już nie potrafi - odparła jak echo. - Kosztem wielu starań może schronić się w ciele żywej i myślącej kobiety, która o niej nie wie. Ale musi być to kobieta, która nigdy jeszcze nie miała jej w sobie.
 - A wy obie miałyście.
 - Miałyśmy. I od tego czasu zawsze ją dostrzeżemy.
 - Wiesz to wszystko od niej?
 - Tak, ale na pewno nie kłamała.
 - Jak możesz mieć pewność? Ona sama nie wie, kiedy kłamie, a kiedy mówi prawdę, bo nie umie odróżnić tych rzeczy.
 - Ale ja potrafię je odróżnić, a chciałam się czegoś dowiedzieć. Poprosiłam ją, żeby schowała się w Melanii tak jak kiedyś.
 - Ale po co, na Boga?
 - Po nic. Mam służącą i życzę sobie wiedzieć, że gdy mówię do niej, to nie słucha mnie Egaheer.
 - I odmówiła ci?
 - Tak, podając powód.
 - Ale ten powód nie musi być prawdziwy.
 - Jednak na pewno jest. Na jej własne życzenie poprosiłam o nagrodę za wykonanie zadania; poprosiłam, by dowiedziała się dla mnie, co czuje i myśli Melania. Czy odmówiła ci kiedyś żądanej nagrody?
 - Tylko wówczas, gdy spełnienie żądania było niemożliwe... Tak, masz słuszność. To coś jest takie, jakie jest, ale w pewnych granicach... lojalne.
- Wykonała wachlarzem drobny ruch, który musiał oznaczać: „Ot i cała sprawa”.

- A na koniec, albo raczej przede wszystkim, po co by miała to robić? Nawet gdyby było możliwe.

- Na to pytanie akurat łatwo ci odpowiem. Dla kaprysu albo dla tych samych powodów, dla których kręciła się przed tobą, aż złamała rękę. I opowiadała obcemu o wszystkich swoich sprawach.

- No tak... Możliwe - przyznała. - Właśnie o czymś sobie pomyślałam i teraz chcę cię zapytać... A gdybyś odkrył, że jednak?... - zapytała spoza wachlarza. - Że nie mówisz do mnie, tylko do Egaheer?

Nad krawędzią wachlarza widział jej niebieskie oczy. Były bardzo poważne.

Odczekał chwilę. Następnie, sięgnąwszy do kieszeni, wyjął podłużny przedmiot, wstał z krzesła i z lekkim ukłonem podał go rozmówczyni, po czym wrócił na swoje miejsce.

- Co to jest? Ale... wachlarz? Jaki piękny! - powiedziała szczerze, odkładając ten, który miała w ręku. - Przecież to kosztowało majątek! I mniejsza o pieniądze.

Jedwabna zabawka, przepysznie malowana, mieniła się błękitem i zielenią, rzeźbioną rączkę wykonano z kości

- Mówiłaś, że zniszczyłaś swój wachlarz, kłócąc się z Egaheer. Nie wątpię, że masz tutaj kilka, ale chciałem, żeby liczba się zgadzała.

- I miałeś czas kupić to dla mnie?

- Małą chwilkę, owszem.

- W środku tego wszystkiego pamiętałeś o moim wachlarzu?

- Za jednym zamachem, Renato, odpowiem na dwa pytania. Egaheer wie, że wypełniając najdonioślejsze misje dla niej, mam

czas na kupowanie zabawek dla kogoś, kto nie jest nią. I dlatego dopóki żyję... lub dopóki mnie potrzebuje... nie odważy się skrzywdzić tej osoby. Milcząc, z leciutko przekrzywioną głową, Sa Tuel patrzyła i patrzyła.

- Ach, więc to tak - rzekła cicho.

Przybiegła Melania z suknią.

- Ale zgubiłam... - wołała zdyszana od progu - zgubiłam swój...

Urwała.

- ...wachlarz - dokończyła cichutko. - Dlaczego pani płacze?

Sa Tuel dotknęła rzes.

- Płacę?... To ze śmiechu, niemądra, albo raczej...

Kręcąc głowę, popatrzyła na mężczyznę.

- Co mówiłaś? Wachlarz. Proszę bardzo, ten będzie twój, do tej sukni akurat może być.

- Dziękuję. A ten drugi? Jaki piękny! Skąd go pani ma?

- Nie twój interes. No już, połóż gdzieś tę suknię i chodź tutaj, porozpinam cię. Kawalerze, zechciej się pan chociaż odwrócić! - zażądała z całą surowością. - I na co czekasz? Mów. Co robiłeś na uroczysku?

Del Wares, siadłszy na krześle okrakiem, z przedramionami na oparciu, opowiedział w kilku słowach o tropie poddanym przez Chal-Cheneta.

- Wszystko to jednak bardzo mnie dziwi – rzekł przez ramię.

- Poszła do Domów Reus, niech już będzie, przyszło jej to do głowy i oby nigdy nie zrobiła nic głupszego... Chociaż skoro ci mówiła, że nie wie, po co się zjawiała w Moun, że coś ją tutaj ciągnie... może to „coś” było w Domach Reus? Ale to tylko

brama, na dodatek zamknięta, a choćby i była otwarta, no to co? Wiemy już, ile mrozu może przysłać pani Anna Jasena - przypomniał bitwę, którą niegdyś stoczyli - ale gdyby rzeczywiście przysłała, to nie znalazłbym nietkniętego ciała, lecz bryłę lodu, albo raczej obrzydliwą kałużę... czegoś.

Sa Tuel i Melania, obie jednocześnie, wzdrygnęły się mimowolnie i wymieniły spojrzenia, bo to przy nich swego czasu przemarznięte na wskroś ciało dające schronienie Egaheer rozpadło się w drobiazgi, jakby było ze szkła. Szkła krwawego i cielistego...

- Co tam zaszło? - rozważał dalej Del Wares. - Nie chce mi się wierzyć, żeby w nocy, a w każdym razie wieczorem, po zmierzchu, znalazła tam jakąś kobietę i urządziła sobie przeprowadzkę. Tylko jak inaczej można to wyjaśnić? Zawłokła tam kobietę z miasta? W jaki sposób? Po co? Przecież... całe uśpione miasto, choćby małe, ale jednak miasto! Mogła znaleźć w zaułku byle uliczkę, mogła zakraść się gdzieś i wtargnąć w jakąś kobietę śpiącą we własnej sypialni, wszystko jedno. Zresztą czy kiedykolwiek zależało jej na wyglądzie? Owszem, zazwyczaj morduje młode i ładne kobiety, bo dobrze wie, jakie to daje korzyści. Ale teraz... Nie wiem. Skąd ten pośpiech? W ogóle nic nie wiem.

Nie tylko Sa Tuel, ale i Melania - której, nawiasem mówiąc, było ogromnie przykro, że kawaler Del Wares dostał zakaz oglądania jej błękitno-różowych podwiązek (rzeczywiście niesłychanie uroczych, ozdobionych guziczkami i falbanką) - wybornie rozumiała wszystkie te wątpliwości. Ulotna jak dym prawdziwa postać Egaheer każdą „przeprowadzkę” okupowała

utrata części jestestwa, chwilowym - lecz chwilowym nie dla śmiertelnika - zgubieniem drobnej części siebie. Nikt nie wiedział na pewno, ile razy, a raczej, jak często Egaheer może przemieszczać się między kolejnymi schronieniami. Zawsze czyniła to niechętnie i tak szybko, jak tylko mogła. Było zupełnie wykluczone, a właściwie w najwyższym stopniu nieprawdopodobne, by udała się do Domów Reus, następnie bez powodu porzuciła ciało porwanej z cmentarza nieszczęśnicy i pomknęła gdzieś na oślep, nie wiadomo dokąd. Oznaczałoby to - odwracalne co prawda, lecz trwające stulecia lub dziesięciolecia - samounicestwienie, samorozproszenie aż do czasu, gdy gdzieś, w jakimś drzewie, bo tylko drzewa żyły dość długo, na powrót zebrałoby się wystarczająco wiele drobin, strzępków, kawałków...

- Au! - syknęła Melania, którą Sa Tuel niechcący skaleczyła paznokciem.

- Och, marudzisz... Nie możesz tak jechać - powiedziała stanowczo baronowa.

- Dlaczego? - zapytała Melania.

Del Wares popatrzył za siebie, gdzie rude stworzenie, znacznie wyższe niż zwykle dzięki obcasom wyjściowych trzewiczków, obracało się we wszystkie strony, z ukontentowaniem oglądając suknię. Było całkiem jasne, że Melania w głębi serca uważa, iż suknia przystoi jej bardziej niż szatka i fartuszek pokojówki; kapelusz z piórem, modnie podpięty z jednej strony, jest lepszy od białego czepek, a wachlarz przydatniejszy niż miotełka z piór.

- Jeszcze toaleta.

- Rzeczywiście! - powiedział z niesmakiem Del Wares. - No przecież, toaleta! Dajże spokój, Renato... Wprawdzie to jest zajazd, ale gospodarz czasem jednak sypia. Chcesz wszcząć alarm i pobudzić wszystkich, posyłając tam Melanię w środku nocy?

- Panie kawalerze - rzekła chłodno Sa Tuel - posyłam służącą w mojej własnej karecie. Ta służąca podaje się za panią.

- Przecież nie za panią Sa Tuel, tylko... właśnie, za kogo?

- Wszystko jedno. Życzę sobie, by wyglądała jak należy. Jak to? Mam jutro wsiąść do karety, na widok której byle mieszczuch powie drugiemu, że jest to pojazd potarganej damy, która w nocy...

- Na litość boską, baronowo, czy aby nie przesadzasz? Posłałem Ewangelistów, by pilnowali Domów Reus, i trochę mi do nich spieszo, bo czuję, że coś tam jeszcze może się wydarzyć. Ale nie, bo będę siedział tutaj, czekając, aż Melania ułoży fryzurę i ukończy wyjściową toaletę?

- Nie, bo pójdziesz przygotować zaprzęg.

- O, naprawdę? Tak się składa, że już dawno zarządziłem co trzeba.

- Skoro tak, to w sąsiednim pokoju znajdziesz kilka książek. Chodź, Melanio, czas nagli, więc gotowa jestem ci pomóc.

Oniemiały szlachcic przeniósł wzrok na pokojówkę, ale nie otrzymał pomocy, Melania najwyraźniej zgadzała się z panią.

- Doprawdy, jesteście siebie warte.

- A to znowu co ma oznaczać?

- Dobrze, nic nie mówię. Mel, a nie zapomnij połać się perfumami swojej pani. Oberżysta i jego pachol ogromnie to docenią, zwłaszcza w nocy, gdy i tak nic nie widać.

- Przykro to powiedzieć, ale bywasz pan niegrzeczny, kawalerze.

Otrzymawszy taką nauczkę, pan Del Wares został sam w pokoju, który opuściły urażone jego bezrozumnym oporem kobiety.

VII

Oberżysta nie miał nic do powiedzenia. Nikt do niego nie przyszedł, nie zostawiono wiadomości, niczego nie kazano powtórzyć.

Wielka czerwona karetka przemierzała ciemne ulice, kierując się w stronę Zamku Reus. Wcisnięta w kąt przy oknie, śmiertelnie obrażona Melania obmyślała męki i tortury dla swego towarzysza. Albowiem pan Del Wares wyraźnie postradał zmysły i wciąż jeszcze ocierał mokre oczy, głośno wysmarkiwał nos w chusteczkę, podśmiewał się i znów ścierał łzy.

Melania była najdogłębniej przekonana, że jej wzięcie jest godne każdej wielkiej damy, nawet tak znakomitej jak baronowa Sa Tuel. W gruncie rzeczy Del Wares też był tego zdania; krztusząc się od tłumionego śmiechu, nie uronił nawet słówka z rozmowy, jaką Mel odbyła z oberżystą, i był ostatnią osobą, która zarzuciłaby Melanii nieporadność. Rzecz w tym, że rude dziewczę udawało swoją panią nazbyt dobrze, tak dobrze, tak dokładnie i wiernie, że schowany za firanką szlachcic ubawił się jak

chyba nigdy w życiu. Czerwona na policzkach dziewczyna, urażona, nieomal ze łzami w oczach, przysięgała sobie teraz solennie, że nigdy nie zapomni śmiechu tego zdrajcy, zwierza i potwora, który jej towarzyszył. Już go w ogóle nie kochała! I gdy wreszcie nachylił się ku niej, chcąc przemówić, dostrzegła ten ruch w mroku, zaraz gniewnym gestem odsunęła się jeszcze głębiej w kąt, odwracając nieco bokiem, bo, niestety, nie mogła plecami.

Del Wares zauważył gwałtowne poruszenie i odgadł jego wymowę.

- O, a cóż to? - zapytał żartobliwie, a zarazem dość głośno, by pokonać turkot kół, skrzypienie pudła i stukanie kopyt sześciu truchtających koni.

Gdy nie było odpowiedzi, dorzucił:

- Proszę mi przebaczyć, ale wydało mi się, że pani gniewa się na mnie? Jednak to chyba niemożliwe?

- Gniewam się rzeczywiście - powiedziała sucho.

- Ale dlaczego? Czym sobie zasłużyłem?

- Urządził pan sobie zabawę moim kosztem, kpi pan ze mnie, nie szanuje mnie. To chyba zupełnie wystarczy.

- Sądzi pani, że śmiałem się z jej słów bądź zachowania?

- Panie kawalerze - rzekła z chłodną godnością, której nie powstydziałaby się baronowa - jest pan przyjacielem damy, której służę, a ponadto moim dawnym chlebodawcą. Proszę więc, byś nie zwracał się do mnie jak do osoby równej stanem. Ani na poważnie, bo na to nie zasługuję; ani w żartach, bo wtedy jest mi przykro.

- Niemądra dziewczyno... Myślisz więc, że to z ciebie się śmiałem? Jest dokładnie na odwrót, bo śmiałem się raczej z twojej pani, a może nawet i z siebie.

- Co mi pan opowiada?

- Tak, bo po raz pierwszy widziałem, jak wybornie potrafisz wywiązać się z podobnego zadania. I nie tego oczekiwałem! Słowo daję, Melanio, bardziej byłeś Renatą Sa Tuel niżli sama Renata Sa Tuel. Śmiałem się, bom sobie wyobraziłem twoją panią siedzącą tu razem z nami i patrzącą na ciebie ze zgrozą i oburzeniem. Ona nigdy by nie darowała, że tak doskonale podpatrzyłaś jej gesty, styl, sposób mówienia... Przecież pani Sa Tuel jest zupełnie niepowtarzalna, czy nie tak, Melanio? Toteż gdy zapyta, kiwnę tylko głową i powiem jej, że dajesz sobie radę. Bo za żadne skarby świata nie przyznam, że po twojej rozmowie z oberżystą jeszcze pięć minut później z rozpędu tytułowałem cię panią. Niemal zapomniałem, kogo skrywa przed moimi oczami niemiły mrok tej karety.

- Pan to mówi poważnie? - zapytała z nieufnością, ale już o wiele, wiele łaskawiej niż przed chwilą.

- Jak najpoważniej.

- I nie śmiał się pan ze mnie?

- Nie, i przebacz, że przeze mnie miałaś utrudnione zadanie. Nie jest chyba łatwo utrzymać należyty ton, gdy ktoś siedzi obok i dusi się wesołością, co najmniej jakby postradał zmysły.

- Rzeczywiście.

- I przysięgam, że nie z ciebie się śmiałem.

- Pan przysięga?

- Przysięgam.

- No dobrze - powiedziała z resztkami urazy w głosie. - W takim razie...

- W takim razie?...

- W takim razie proś mnie pan teraz o przebaczenie.

Del Wares jął prosić najlepiej jak potrafił. I trwało to dosyć długo.

- Już dojeżdżamy... przestań... Czy przestaniesz? - zapytała wreszcie bez tchu.

- Ani myślę.

- Ale już dojeżdżamy... Co robisz?

- Zawrócimy.

- Zawrócimy?...

- Zaraz zawrócimy.

- Dobrze... No to zawróćmy.

Del Wares zabębnił w ścianę, wychylił się przez okno i krzyknął na stangreta.

- Krąż po mieście! - zawołał.

- Po mieście?!

- Tak, po mieście! A potem jedź za roгатkę! Pójdę do Domów Reus! Wiesz, gdzie to jest?!

- Tak, panie! - odkrzyknął stangret.

- No to jazda!

Del Wares cofnął się do środka.

- Idziesz tam? Do Domów Reus? - zapytała.

- Prawdę mówiąc, powinienem być tam dawno.

- Posłałeś Ewangelistów.

- Tak, lecz Ewangelisci potrafią tylko jedno...

- Przestań! - zażądała z całą stanowczością. - Co mi robisz... no! - Melania pogniewała się nie na żarty.

- Co takiego?

- Za kwadrans będę na zamku i zobaczy mnie baronowa.

- I co z tego?

- Jak pan nie wiesz, co z tego, to odpowiem: nic. Gdzie jest moja kokarda? Boże, przecież ona od razu pozna!... - Melanii wyrwał się jęk.

- Ale chyba cię nie zje?

- Co pan wie?... Jejku, ale będzie.

Kareta szarpnęła i się przechyliła, stangret krzyknął. Niewiele brakowało, a Del Wares byłby spadł z siedzenia na podłogę. Zaraz nastąpiło jeszcze jedno szarpnięcie.

- Co ten nicpoń wyprawia?! Hej...

Gwałtownym ruchem zasłoniła mu usta dłonią, w której trzymała złożony wachlarz, co sprawiło, że omal nie postradał oka. Lecz Melania miała dobry słuch, chyba trochę chłodniejszą głowę i wiedziała, co robi.

- Cicho! - rozkazała. - Słyszysz? Co się dzieje?

Kareta stanęła. Stangret krzyczał, ale nie na konie. Ktoś mu odpowiedział, krótko, rozkazująco. Głosy splotły się niezrozumiale. Del Wares i Melania wyteżyli słuch, niemal wsparci czołem o czoło.

- Na ziemię! - krzyknął jakiś obcy mężczyzna. - Rób, co mówię, głupcze, jeśli ci życie miłe!

- Ani myślę! - odpowiedział hardo zbrojny sługa siedzący obok stangreta. - Odpowiadam za osobę w karecie.

- Nie odpowiadasz już za nic. Obaj na ziemię!

- Nie.

Del Wares syknął gniewnie.

- Nieszczęsny głupiec... Zabiją go - powiedział do ucha towarzyszki, z niejakim mozołem dobywając szpady, bo kareta, chociaż ogromna, nie przypominała jednak sali do fechtunku. - Każ mu usłuchać, szybko!

- Ale...

- Myśla, że napadli baronową. Nuże, odezwij się!

- Hola! - zawołała, pochylając się do okienka i odsuwając firankę. - Co się tutaj dzieje? Dlaczego nie jedziemy?

- Zaraz ruszymy, diablico, bądź spokojna! - odpowiedział groźnie i zarazem szyderczo ten sam mężczyzna, który wcześniej rozkazywał stangretowi i słudze. - Cofnij się, pani, wsiadam.

- Wsiadasz pan do mojej karety? - zapytała z bezbrzeżnym zdumieniem. - Aż czterech, tylu widzę - szepnęła szybko przez ramię. - Ani się pan waż! - krzyknęła znowu na mężczyznę, który właśnie otwierał drzwiczki. - Przecież to jest napad!

- Co też pani powie.

To rzekłszy, intruz wspiął się na stopień, pochylił głowę w drzwiach - i z niemym osłupieniem jął oglądać słabo lśniący w ciemności, bardzo długi przedmiot, który gładko, niemal delikatnie, wszedł w miękkie ciało o cal poniżej miejsca, gdzie łączyły się żebra, tworząc mostek. Podtrzymywany owym zimnym przedmiotem rozbójnik wykrztusił coś niewyraźnie i jął wysiadać tyłem, kurczowo czepiając się krawędzi drzwi, pchany samą gardą rapiera, nie mogącego już wejść dalej, niżli wszedł. Zaraz za trupem - który wszakże nie pojmował jeszcze, że nim jest - wysiadł z karety Del Wares, uzbrojony w pistolet, który

wyrwał z osłabłej dłoni przeciwnika. Melania pomyliła się, napastników, konnych i pieszych, zjawiło się nie czterech, lecz aż pięciu - jednak jej towarzysz, na szczęście, nie był zdany tylko na siebie. Wiecznie podróżująca, prowadząca niebezpieczne, bujne życie baronowa Sa Tuel nie sadzała na koźle swej karety chłopców... Któryś ze zbójów krzyknął, ujrawszy prowadzącego się bezwładnie w błoto ciasnej uliczki; okrzykowi odpowiedział błysk i huk wystrzału, gdy Del Wares, odepchnąwszy przesytego rapierem mężczyznę, jednocześnie dał ognia do pierwszego z brzegu przeciwnika. Wystarczyła ta jedna chwila, by stangret odważnie rzucił się na najbliższego jeźdźca, tkwiącego w kulbace z dwoma pistoletami w dłoniach, i ściągnął go na ziemię. W tym samym momencie towarzyszący stangretowi sługa opuścił podniesione do góry ręce, chwycił muszkiet i wypalił do innego jeźdźca, który kilkanaście kroków dalej trzymał pierwszą parę zaprzęzonych do karety koni. Huknęły skądś jeszcze dwa strzały. Trafiony sługa, upuszczając broń, spadł na ziemię, między zadnie nogi zwierząt, a przednie koła karety. Błysnęła szpada wysokiego mężczyzny w baskańskim berecie z piórem, człowiek ten bez namysłu natarł na Del Waresa, lecz wytrzymał tylko dwa złożenia, dostał pchnięcie w ramię, zaraz potem w brzuch i natychmiast trzecie - w samą pierś. Stangret tarzał się po ziemi ze swoim przeciwnikiem, okładając go pięściami, to znów dusząc bez cienia litości, ale za to z wprawą karczemnego zabijaki, którym zresztą był niegdyś w samej rzeczy, nim najęty do nagonki podczas polowania spodobał się pani Sa Tuel. Dzielny pachoł ze strzaskanym kulą obojczykiem

czepiał się szprych i obręczy koła, usiłując wstać i przyjść z pomocą temu, kto będzie jej potrzebował. Ostatni trzymający się na nogach rozbójnik, choć postrzelony w ramię, z brawurową odwagą biegł do otwartych drzwi karety, mając snadź tylko jedno na uwadze, mianowicie oddanie niechybnego strzału do osoby, której blada twarz majaczyła w głębi pudła. Zatrzymał się o trzy kroki, wycelował jak najstaranniej, z zimną krwią niedbającego o życie fanatyka, i z krzywym uśmiechem, który mógłby powiedzieć Del Waresowi: „Wiem, że na mnie pędzisz, ale już nie zdążysz...”, pociągnął za spust. Trzasnął krzemień, proch zajął się na panewce, huknął strzał. Czarna krew i blade strzępy mózgu obryzgały firankę w karecie. Del Wares obalił mężczyznę, wpadając nań całym ciałem; leżącemu i przygniecionemu poderżnął gardło szpadą.

Ktoś gdzieś krzyczał, ktoś skądś nadbiegał. W najbliższej stojących domach trzaskały zamykane okiennice, bądź przeciwnie, otwierały się okna, z których wyglądali przestraszeni ludzie.

Łomocząc kołami na zwodzonym moście, a następnie budząc echa pod sklepieniem bramy, rozpędzona kareta wpadła na dziedziniec; podkowy sześciu koni wykrzeszały z bruku snopy iskier. Przerażeni halabardnicy nieomal dali się stratować. Siedzący na koźle dwaj mężczyźni, połączywszy siły, z najwyższym trudem zatrzymali rozpędzone konie. Wyższy zaraz zeskoczył na ziemię i pobiegł prosto do drzwi. Wartownik poznał gościa swego pana, lecz to nie był ten sam człowiek, który koło

południa wysiadł z pocztowego powozu. Błady, z rozmazaną na policzku strużką krwi, z pogniecionym kapeluszem w ręku, a nade wszystko groźny jak chmura burzowa, trzymając goły rapier pod pachą, przystanął tylko na chwilę, by zapytać:

- Nic tu nie zaszło?

Ogłupiały wartownik zaprzeczył. Szlachcic bez jednego słowa poszedł dalej.

W zamkowym korytarzu pojawił się ochmistrz pana Se Reus - w porozpinanych sukniach wyglądał jak człowiek, który właśnie kładł się do łóżka. Lecz był kwadrans na jedenastą, a więc pora do tego jak najbardziej sposobna. Pocziwy dworzanin spieszył sprawdzić, co oznacza tętent i łomot na dziedzińcu; wyglądało to na szarżę pułku szwoleżerów.

- Czy gospodarz śpi?

- Położył się przed chwilą - odparł ochmistrz. - Czy to pan jesteś sprawcą?

- Tak, poniekąd - niecierpliwie powiedział Del Wares. - Zechciej pan donieść panu Se Reus, że przyjąwszy gościa pod swój dach, przyjął zarazem kłopoty.

Po czym ruszył dalej. Oniemiały ochmistrz tkwił pośrodku korytarza. Del Wares zatrzymał się jeszcze na moment, spojrzął nań i powiedział:

- I nie zbliżaj się pan do karety!

Pobiegł w górę po schodach.

Baronowa, choć leżała w łóżku, to jednak jeszcze nie spała - raz dlatego, że wstała późno i w ogóle nie była senna; po drugie, i ważniejsze, bo czekała na powrót Melanii. Jednakże zamiast pokojówki po raz kolejny tego dnia przyjęła niezapowiedzianą

wizytę mężczyzny, któremu chyba już weszło w nawyk bezceremonialne buszowanie w jej pokojach. Pchnięte drzwi otworzyły się tak, jakby oba skrzydła miały wylecieć z zawiasów. Uniósłszy spojrzenie znad książki, Sa Tuel ze zdumieniem przypatrzyła się stojącemu w progu szlachcicowi.

- Co się stało? Miałeś przecież być na uroczysku. Ale... jak wyglądasz?...

- Ktoś tam na nas czekał. W gospodzie „Pod Jarzębiną”. Zostaliśmy napadnięci w drodze tutaj.

- Ale gdzie, przez kogo? W mieście?

- W środku miasta. Nie podejrzewali, że narobią takiego hałasu, było ich aż pięciu. Twoją służbę zlekceważyli, o mnie nie wiedzieli.

Sa Tuel wciąż leżała z otwartą książką w ręku, jakby zaraz miała wrócić do lektury.

- Gdzie jest Melania?

- W karcie.

- W karcie?

- Tak. W karcie. Gdzie jest Katarzyna?

- Chyba śpi. A do czego ci potrzebna Katarzyna?

Del Wares bez słowa wrócił do przedpokoju, w którym widział przed chwilą młodziutkiego masztalerza baronowej. Biquet, bo tak nazywał się chłopak, nigdzie nie uciekł; nie wiedząc, co trzeba zrobić, skoro nieproszony gość tak czy owak już wtargnął do sypialni pani, bezmyślnie przecierał pięścią oczy po drzemce, z której go tak brutalnie wyrwano.

- Twoja pani matka, mój chłopcze.

- Co pan każe?

- Pani baronowa poleca jej zejść co prędzej do karety na dziedzińcu przed zamkiem.

- Dobrze, panie. Już biegnę.

Drzwi były otwarte i pomimo oddalenia baronowa wyraźnie słyszała mocny głos Del Waresa. Gdy wrócił, stała już przy łóżku, wiążąc lekki szlafroczek, trochę nieodpowiedni w zimnych murach starej budowli. Zadrżała.

- Dlaczego Katarzyna ma zejść do karety? - zapytała, wsuwając stopy w swoje zdobione perłami pantofelki. - I co w ogóle wyprawiasz? Zechciej uzgodnić czasem ze mną polecenia wydawane mojej służbie!

- Wróć do łóżka, Renato.

- Gdzie kareta? Przed domem?

Zaczął coś tłumaczyć; nie słuchała. Nagle rzuciła się ku niemu z pięściami, czego nie oczekiwał.

- Gdzie jest Melania?! - wrzasnęła. - Nie! Już ani słowa!...

Wybiegła z komnaty, nim zdążył ją powstrzymać.

Po korytarzach krążyli rozbudzeni domownicy i służba. Jakiś halabardnik pędził w stronę pokoi gospodarza. Stukając obcasami na granicie posadzki, nieuczesana Sa Tuel w narzuconym na nocną koszulę szlafroczku szła tak szybko, że Del Wares z ledwością ją dogonił. Podał ramię; odepchnęła go. Zaraz potem omal nie złamała nogi, gdy obcas przekręcił się pod nieostrożnie postawioną stopą. Pomógł jej złapać równowagę i ponownie podał ramię. Przyjęła.

Ochmistrz miał się trzymać z daleka od karocy, ale tego nie uczynił. Drzwiczki były otwarte. Ktoś biegł właśnie z latarnią

do pojazdu, inny wracał z trupio bladą twarzą.

Z karety dobiegało coś, co nie było jękiem, płaczem ani wyciem, choć po trosze każdą z tych rzeczy. Przez otwarte drzwiczki widać było klęczącą na podłodze między siedzeniami dziewczynę, na której twarzy krzepnąca krew mieszała się ze łzami, a w pozlepianych włosach widoczne były strzępki... czegoś obrzydliwego. Ujrzawszy to, Sa Tuel zasłabła i po raz drugi musiała się oprzeć na ramieniu mężczyzny. Spazmatycznie łkająca, to znów zawodząca Melania wcale jej nie poznała; wytrzeszczając bezmyślne oczy, kiwała się rytmicznie w przód i w tył z dłońmi uniesionymi na wysokość ramion, jakby chciała oburącz sięgnąć do kolczyków. Patrząca najpierw w czarne ślepie lufy pistoletu, następnie obryzgana krwią i mózgiem dziewczyna odbyła upiorną galopadę, siedząc w wielkiej lepkiej kałuży w towarzystwie trupa, któremu brakowało części głowy. Teraz chyba wreszcie zdała sobie sprawę, gdzie jest, albo chociaż poznała stłumiony głos pani, mimo że znanego jej głosu w ogóle nie przypominał. Nagle ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem, niepohamowanym i głośnym, lecz podobnym już przynajmniej do płaczu.

- Boże, pani nie wie... - zawodziła urywanie, niewyraźnie, zasmarkana i dusząca się łzami. - Bernard... Boże, ja zawsze się śmiałam... i dokuczałam mu...

Roztrzęsiona, blada niczym kreda Sa Tuel wyciągnęła rękę i ujęła pokojówkę za nadgarstek z zamiarem wyciągnięcia jej z karety. Lecz Melania nie mogła jeszcze wyjść.

- Ja tu teraz... ja teraz z nim zosta-nę... - rzekła z nowym atakiem płaczu. - Ja się śmiałam... a on mnie zasłonił... pani wie? Przecież wiedział... wie-dział, że to tylko ja... nie pani...

Przed domem pojawił się gospodarz. Zapytał o coś wartownika, pomówił krótko z ochmistrem, który jako pierwszy stanął na dziedzińcu i dlatego miał najwięcej wiadomości. Poznawszy kawalera Del Wares, który właśnie zbliżał się ku niemu, pan Se Reus gestem uciął potok wymowy swego dworzanina i zwrócił się w stronę gościa.

- Nie potrafię wyrazić, jak mi przykro z powodu tego zamieszania... - zaczął Del Wares.

- Skoro nie potrafisz pan wyrazić, to najlepiej oszczędźmy sobie niepotrzebnych słów - rzekł gospodarz, przerywając w pół zdania. - Jakiej pomocy pan potrzebujesz?

Spokój i rzeczowość człowieka, który nie każdego dnia przecież oglądał przed swym domem podobne widoki, wzbudzały szacunek. Del Wares skłonił się lekko i odparł:

- Baronowa posłała już po starą garderobianą... Myślę, że ona najlepiej zajmie się dziewczyną.

- Dziwi mię tylko, iż ściągnąłeś pan tutaj moją krewną.

- Przeciwnie, chciałem temu zapobiec.

- Lecz nie udało się panu - krótko skwitował pan Se Reus. - Ten człowiek w karecie... Zabity?

- Służący baronowej... Tak.

- A to biedne dziecko, czy jest ranne? Doprawdy, niefortunne ma życie ta panienka.

- Przerazona, ale cała. Zostaliśmy napadnięci...

- Daruj pan, lecz nie życzę sobie o tym nic wiedzieć.

Zawiadomiłeś władze?

- Jeszcze nie.

- Zatem ja to zrobię. Zechciej pan zabrać stąd kobiety, resztą ja się zajmę.

Del Wares skłonił głowę, lecz nie bardzo wiedział, jak wydobyć Melanię z karety. Bał się posłużyć stanowczością, bo gotowa była dostać nowego ataku hysterii. Na szczęście dojrzał zażywną Katarzynę; zasapana, w nocnym czepku i płaszczu zarzuconym na koszulę, zmierzała ku karecie.

- Katarzyno!

Zatrzymała się. Poznała nadchodzącego.

- Nie idź dalej, to okropny widok. Posłałem po ciebie, bo potrzebowałem pomocy kobiety, a nie chciałem dopuścić, by przyszła tu twoja pani.

- Ale przecież pani tu jest!

- Niestety. Poczekaj w tym miejscu, trzeba będzie zająć się Melanią.

Uczyniwszy niejasny gest rękami, poszedł wprost do karety.

Nie wiadomo, co pani Sa Tuel powiedziała swojej pokojówce, ale odniosło to zbawienny skutek. Dziewczyna, wciąż szlochając, pozwoliła wyprowadzić się z powozu na dziedziniec i skierować ku drzwiom, gdzie już czekała przejęta iście matczyną troską Katarzyna. Sa Tuel obejmowała pokojówkę w pół i coś cicho mówiła. Dojrzawszy Del Waresa, skinęła nań. Podszedł. Baronowa była już spokojna.

- Mój kuzyn?... - zapytała niegłośno.

- Opanowany. Ofiarował pomoc i powiedział, że zajmie się wszystkim.

- Zechciej poprosić go w moim imieniu, by przyszedł do mnie na słówko. Spróbuję połatać to, co zepsułeś.

- Ja zepsułem?

Byli już w korytarzu. Sa Tuel puściła przodem Melanię i Katarzynę; poczekała chwilę, aż przejdzie spieszący gdzieś domownik.

- Panie Del Wares - rzekła chłodno i pogardliwie. - wsiadasz pan do karety, a gdy z powrotem wysiadasz, masz pan za towarzystwo półprzytomną ze strachu kobietę i trupa. Jeśli nawet zawiodłam jako pańska informatorka, jeśli nawet zaniedbałam swoje obowiązki, to pan wcale nie jesteś lepszy. W ogóle mnie nie obchodzi, czy ich było pięciu czy dziesięciu. Masz pan szpadę u boku i trzech Ewangelistów na każde skinienie; a już nawet nie liczę mojej służby, która, jak się zdaje, ratowała dziś nie tylko pańską skórę, ale i życie pańskiej towarzyszki. A teraz, proszę, zejdź mi pan z oczu.

Zostawiła go pośrodku korytarza i poszła.

Przygryzając wąsa, Del Wares odszukał gospodarza i przekazał mu prośbę kuzynki. Otrzymał w odpowiedzi zaledwie skinienie głową, patrzył jeszcze przez chwilę, jak służba wyciąga z karety ciało zabitego; zaraz chłopcy stajenni poprowadzili zaprzęg ku wozowni. Przekonawszy się, że jest doskonale zbędny, Del Wares podążył do swoich pokoi - upokorzony, gniewny i rozgoryczony.

I obiecał sobie, że do rana nigdzie się nie ruszy. Do niebezpieczeństw nawykł i byle palba pistoletowa na pewno nie

spędzała mu snu z powiek. Winien więc położyć się do łóżka, wyspać należycie, rano zaś na uroczysku zapytać Ewangelistów, czy bardzo się wynudzili.

Powziąwszy decyzję, że tak właśnie uczyni, Del Wares natychmiast zaczął robić coś zupełnie innego. Najpierw wyjął rapier i obejrzał klingę, sprawdzając, czy nie ucierpiała w walce, następnie odszukał swą torbę i wydobyl z niej mały podróżny pistolet - była to niewiele warta pukawka, z której dało się kogoś postrzelić najwyżej na dziesięć kroków, lecz broń kawaleryjska dopiero miała nadejść z całą resztą bagaży. Opatrzywszy swój oręż, szlachcic przetał mankietem sfatygowany kapelusz, naprostował pióro i poszedł do pani Sa Tuel. Mały masztalerz niezłomnie pełnił swą wartę w przedpokoju; w podróży nieliczna służba musiała podołać wielu nadzwyczajnym obowiązkom, więc chłopiec na zmianę z nieżyjącym już towarzyszem wypełniał obowiązki odźwiernego, bo tak ważnej funkcji baronowa nie chciała powierzyć służbie gospodarza. Del Wares zauważył, że dzieciak dowiedział się o losie starszego kolegi, albowiem pociągał nosem i nawet nie próbował ukryć zaczerwienionych oczu. Kolejna młoda dusza, która dopiero z czasem miała się uodpornić na wszelkie okropieństwa.

- Zapowiedz mnie.

Chłopak poszedł spełnić polecenie.

Del Wares chciał zamienić dwa słowa z towarzyszką, a ponadto liczył, że zastanie u niej gospodarza, od którego chciał pożyczyć konia.

Odźwierny wrócił.

- Pani kazała powiedzieć, że rozmawia z panem Se Reus.
- Tak, i cóż?
- Pani prosi, żeby pan poczekał.

Del Wares gwałtownie odwrócił się do ściany i zaczerpnął tchu, potrzebował bowiem chwili, żeby się opanować.

- Ja jednak nie mogę czekać - powiedział, z powrotem zwracając się ku odźwiernemu. - Gdyby pani pytała o mnie, powiesz, że pojechałem tam, gdzie miałem jechać.

- Dobrze, panie.

Del Wares wyszedł. I natychmiast wrócił.

- Gdzie jest Melania? Widziałaś ją?

- Tak, panie kawalerze. Pani baronowa zabrała ją do swojej sypialni.

- I Katarzyna... chciałem rzec: twoja matka, mój chłopcze, też tam jest?

- Tak. Kazano mi przynieść wodę i miednicę.

- Dobrze, dziękuję ci.

- Panie kawalerze... czy zechciałby mi pan powiedzieć...

- Pytaj śmiało. Zresztą nie pytaj, bo domyślam się, o co ci chodzi. Mel jest cała i zdrowa, a twój kolega, chłopcze, uratował jej życie, ponadto bardzo mi pomógł i zginął jak wielki bohater. Miej go za wzór odważnego człowieka, wiernie pełniącego swoją służbę; taki bądź. Czy o to chodziło?

- Tak, panie. Dziękuję panu.

Del Wares poszedł do stajni, by pożyczyć, albo raczej - wobec niewiedzy właściciela - wykraść sobie konia.

Uczyniwszy to, kłusował wkrótce ciemnymi ulicami. Nadłożył drogi, by ominąć kwartały, które tak dobrze był poznał przed godziną, wyjechał z miasta, zapuścił się na bezdroża i uwiązał w jakichś zaroślach, wreszcie, moknąc pod zimnymi kroplami marcowego deszczu, osiągnął wschodnią rogatkę, wrócił na gościniec i pokłusował ku miejscu znanemu jako Domy Reus. Wkrótce ujrzał po swej lewej ręce odległy o kilkaset kroków klasztor, w oknach dzwonnicy nad kaplicą widać było światło. Del Wares zanotował sobie w myślach, by zasięgnąć wieści o klasztorze, a raczej zlecić to zadanie baronowej Sa Tuel. Powątpiewał, by istna armia zbrojnych, którą najwyraźniej mieli na usługi Towarzysze Ducha Świętego, działała bez żadnego oparcia. Punktem wypadowym i kwaterą mógł być klasztor bertystów, o ile, rzecz jasna, przeor należał do Towarzystwa.

Trochę pogubiwszy się w ciemnościach - bo deszcz wprawdzie przestał padać i niebo przecierało się z wolna, lecz wciąż panował głęboki mrok - Del Wares nie był pewien, jak daleko jeszcze winien jechać. Zatrzymał konia i klasnął cztery razy w dłonie, nasłuchując odzewu. Nie było go, więc pojechał dalej. Po jakimś czasie znowu się zatrzymał. Tym razem w odpowiedzi usłyszał dwa i jeszcze dwa kłaśnięcia. Pokonawszy dalsze kilkadziesiąt kroków, Del Wares niemal wyjechał na Ewangelistę, którego czarna szata czyniła niewidzialnym, choć stał na środku gościńca.

- Nic się nie wydarzyło?
- Nic.
- To dobrze. Wiesz, gdzie jest klasztor bertystów?

- Wiem.

- Przejeźdź się tam. Popatrz, czy nikt nie wyjeżdża z klasztoru, a może odwrotnie, ktoś tam przybędzie. Obserwuj klasztor do rana, a rano ktoś cię zmieni, gdyby zaś nie zmienił, to wracaj do Moun.

- Wezmę tylko konia, mam go trochę dalej.

- Weź nie tylko konia, ale i jednego ze swoich towarzyszy. Gdyby coś się działo przy klasztorze...

Ewangelista przytaknął i ruszył u boku jeźdźca. Wkrótce zaklaskał w dłonie i otrzymał odpowiedź.

Na dużej pustej przestrzeni rozrzucone nieco bezładnie majaczyły czarne sylwety budynków z ciemniejszymi od ścian czeluściami okien, wyrwanymi drzwiami. Osłupiały Del Wares wyteżał wzrok, poznając coraz więcej szczegółów - studnię i kołowrót przy studni, jakąś drewnutnię, gdzie pod daszkiem stał pniak i leżały sagi porąbanych szczap, na koniec zauważył rozłożyste drzewo przybrane girlandami wisielców. Tkwiąc w siodle, rozglądał się dokoła, nawykłymi do ciemności oczyma widząc coraz więcej i więcej, tym bardziej że gnane silnym wiatrem chmury jeły rozrywać się czasem, przepuszczając światło księżycy.

Del Wares niespiesznie zsiadł z konia.

- Mówiono mi, że są niewyraźne... Pytałem, czy coś się zdarzyło.

- A co się zdarzyło? - zapytał Mateusz, będący dowódcą całej trójki.

- Jak to: co się zdarzyło?

Ewangelista milczał przez chwilę, po czym rzekł:

- Pewnie widzisz widma, kawalerze?

- Wy ich nie widzicie?

Pozostający na żołądź Egaheer zabójcy uśmiechali się nader rzadko, teraz jednak Del Wares mógł odgadnąć blady uśmiech na ustach Mateusza.

- Nie, kawalerze. Dla nas tych domów już nie ma.

- Czy to znaczy, że kiedyś były?

- Myśmy je spalili.

Del Wares milczał.

- Prawda... - rzekł niegłęboko na koniec. - Przecież dobrała was sobie...

- Z rycerzy krzyżowych idących do Valaquet. Szły nas tutaj tysiące.

- I spaliliście te domy? Dlaczego? Co tu było?

- Nie pamiętam.

- Nie pamiętasz? Żaden nie pamięta?

- Wiemy, kim byliśmy, ale za to nie wiemy, kim jesteśmy teraz. Czego pan chcesz, kawalerze? Pamiętam, że żyłem tu i ówdzie, ale nie pamiętam, bym jakkolwiek i gdziekolwiek umierał... Tratowałem jakieś tłumy w Starej Ziemi Heastseg, zdaje mi się też, że broniłem wiary i krzyża w Arelay, lecz to było kilka wieków temu. Za to nie wiem, co robiłem przed tygodniem.

Del Wares nigdy nie rozmawiał z Ewangelistami - raz dlatego, że nie chciał, bo wygodnie mu było widzieć w nich tylko narzędzia; po wtóre, bo nie wyglądali na kompanów skłonnych do pogawędek, a szczególnie zwierzeń. W odróżnieniu od pani Sa Tuel wcale nie był ciekaw ich losów, ani nawet tego, kim naprawdę byli. Umiał cenić samotność najemnika, który nie ma żadnych przyjaciół, więc po nikim nie płacze, o nikogo się nie troszczy, sprzymierzeńców traktuje jak generał swe pułki - poświęca jeden, by ratować kilka, bo tak wynika z chłodnej

kalkulacji. Wiedza o sprzymierzeńcach, o tym, kim są, kim byli kiedyś, nakazywała dostrzec w nich ludzi, to zaś zawsze było przeszkodą w beznamiętnym posłużeniu się nimi - Del Wares więc nic nie chciał wiedzieć. Teraz jednak rozmowa nawiązała się sama, a co więcej, Del Wares miał wrażenie, że ociera się o coś ważnego. Dziwny instynkt, który potrafiła dostrzec i ocenić Egaheer, podpowiadał mu, że być może znalazł to właśnie, po co przyjechał do Domów Reus. Ale co to było?...

- To miejsce jest związane z lodową magią Valaquet. Znajduje się tu brama.

- Skoro tak pan twierdzi.

- To nie ja tak twierdzą, tylko wasza pani.

- A więc zapewne tak jest.

- Nic więcej nie macie mi do powiedzenia?

- A co pan chce wiedzieć, kawalerze?

- Chcę wiedzieć, co sprawiło, że wasza pani przyszła w to miejsce i zniknęła.

- Uważasz pan, że znamy odpowiedź?

- Uważam, że dzieją się rzeczy dziwne... Byłeś więc w Starej Ziemi Heastseg?

- Tak mi się wydaje.

- Lecz powiadano mi, że Egaheer miała tam w swej służbie Morderców z Saywanee. Koty.

- Było nas tam wielu. To, co nazywa pan kotami z Saywanee, było także. Wszyscy zwaliśmy się Niszczycielami, albo raczej to nie myśmy się tak zwali; tak nas nazywano. O Mordercach niewiele mogę panu powiedzieć, podobnie jak o innych sługach Egaheer.

- „To, co nazywam kotami z Saywanee"... - powtórzył Del Wares. - Nie są nimi?

- Kawalerze... nie wiem.

- A jednak chciałbym usłyszeć odpowiedź.

- Nie wiadomo, czym są; nie wiadomo nawet, jak wyglądają. Czasem jawią się jako koty, co jest chyba sprawą przypadku, albo raczej ubogiej ludzkiej wyobraźni stale kształtującej rzeczywistość.

Milcząc, Del Wares zaczął się zastanawiać nad tym, co usłyszał. To samo powiedziała mu pewnie Egaheer - gdyby, oczywiście, zechciała zniżyć się do dawania wyjaśnień. Lecz kiedyś ich udzieliła. „Każdy widzi mnie taką, jaką może zobaczyć albo jaką zobaczyć pragnie" - powiedziała i rzeczywiście tak było. Niewiele osób widziało prawdziwą Egaheer, ale z tych, co widzieli, każdy opowiadał co innego. Del Wares ujrzał olbrzymi kłęb ruchliwego i śliskiego mroku. Co widzieli Ewangeliści? I czy koty-Mordercy z Saywanee, wyłoniłone ze zwierzęcych kształtów, w jakie przyoblekła je uboga... bo taka w samej rzeczy... ludzka imaginacja - czy i one każdemu przedstawiały się inaczej?

- Czy nadal rozkazuje nam pan jechać?

- Do klasztoru? Tak - potwierdził z niejakim roztargnieniem Del Wares.

Po chwili został tylko z Mateuszem.

Posępne budynki trwały niewzruszenie. Del Wares odprowadził konia na bok, przywiązał do drzewa i jał chodzić między widmami, tak bliskimi i realnymi, że aż wyciągnął rękę, próbując dotknąć drewnianej ściany domu. Przyszło mu żyć w świecie, którego umowność dawała się odczuć niemal na każdym

kroku. Rodziły się i umierały magie. Pod niebem, w którym rzadko bywał Bóg - bo wołał inne nieba, nad innymi ziemiami - przemieszczały się przybyłe zewsząd niczym wrony do ścierwa dziwne byty, dla których nie było pożywienia ani miejsca gdzie indziej. Pośród tego wszystkiego trwał jego własny gatunek, próbujący nie dostrzegać niczego, bo tylko prosty świat wydawał się jako tako bezpieczny. Ale nie był taki. Idący na daleką wyprawę w imię nieobecnego Boga, który od stuleci bawił gdzie indziej, jacyś ludzie wymordowali innych w miejscu zwanym Domami Reus.

Na wielkim drzewie kołysało się aż kilkadziesiąt zjaw. Lecz i drzewo było tylko ułudą.

Miejsce sprzyjało rozmyślaniom, którym rzadko poświęcał się ktoś, kto - podobnie jak inni ludzie - od dawna na własny swój sposób poukładał sobie świat. Del Wares usiadł na wielkim, do połowy zagrzebanym w ziemi kamieniu, co było niezwykle o tyle, że ów kamień częściowo krył się w ścianie widmowego domu. Mając za plecami ów budynek, szlachcic stale musiał pamiętać, by nie oprzeć się o niego odruchowo. Od nowa jął oglądać widma, potem podświetlone blaskiem księżyca chmury, wreszcie posępną i nieruchomą postać stojącego nieopodal Ewangelisty.

Nie miał nic do roboty.

Posłał żołnierzy Egaheer, a następnie sam przybył do Domów Reus z jednej tylko przyczyny: bo nie miał lepszego pomysłu, bo nie istniało żadne inne miejsce, do którego mógłby się udać. Wypełniał w swym życiu rozmaite misje, ale z taką jak ta nie miał jeszcze nigdy do czynienia. Zmierzał do Valaquet

z trudnym do wykonania, dziwacznym, ale jasno postawionym zadaniem. Zawrócono go z drogi; przybył, gdzie mu kazano; zleceniodawczyni nie zastał. Zamiast niej czekała znana od wielu lat piękna przyjaciółka, współpracowniczka i kochanka - obrażona, nic nie robiąca, chyba że robieniem czegoś można nazwać nieustanną prezentację złych humorów, a zresztą wszelkich przywar.

Małe miasteczko niczym magnes przyciągało rozmaitych awanturników - bo kimś takim w oczach Del Waresa byli Towarzysze Ducha Świętego, a i siebie miał poniekąd za awanturnika. Ktoś kogoś napadał, ktoś przed kimś uciekał. Gwardzista z Valaquet odbierał propozycje od ludzi i stowarzyszeń, których istnienia nawet dotąd nie podejrzewał (swoją drogą, z Chal-Chenetem należało sobie jeszcze porozmawiać). Del Wares zżymał się i burzył najbardziej dlatego, że - jak był powiedział w przystępie irytacji - wykonywał czyjąś robotę, gdy do niego należało strzelać i kłuć szpadą. Inna sprawa, że piękna Sa Tuel miała sporo racji. Gdy przyszło do strzelania i kłucia, doprawdy się nie popisał. Ale to przecież dlatego, że osoba, która winna pokazywać mu cele, układać plany, wyjaśniać wszystko i tłumaczyć - raczej sprawy komplikowała. Naprawdę, pani baronowo, przeczytała pani w tym miasteczku całą książkę, albo nawet dwie, lecz co zrobiła

Milczący Ewangelista czuwał, założywszy ręce na piersiach, ze spojrzeniem wbitym gdzieś w ciemność. Del Wares jął drzemać na kamieniu, a wreszcie zupełnie zasnął, bo od blisko doby stale był na nogach. Przyśnił mu się Ewangelista, zapewne dlatego, że u progu snu stale widział ponurą, ciemniejszą od nocy

sylwetkę. Del Wares pytał o Domy Reus, a Ewangelista odpowiadał, wprawdzie ze zwykłą obojętnością w głosie, ale za to niczemu się nie dziwiąc, a najmniej samym pytaniom.

Del Wares we śnie krążył między Domami Reus.

„Dlaczego właśnie teraz?” - rzekł do siebie.

„Pan mię o coś pytasz, kawalerze?”

„Siebie pytam. Ale jeśli możesz odpowiedzieć, to odpowiedz”.

„Egaheer odbiera spokój” - rzekł Ewangelista.

„Co to znaczy?”

„To znaczy, że bez niej wszystko jest oczywiste. Aż pewnego dnia przychodzi i mówi: »Coś ci dam«, a daje najgorszą rzecz na świecie: wiedzę. I od tego dnia wszystko wygląda inaczej. Posłuchaj mnie, kawalerze, bo opowiem ci o twojej przyszłości. Jest niebo i jest piekło, co oznacza, że trafisz tu albo tam. Lecz czy widziałeś kiedyś plac budowy? Na pewno widziałeś, więc wystaw sobie taki, na którym pożar strawił część dopiero co postawionych ścian. Nie aż tyle, by naprawdę było czego żałować, ale dosyć, by mieć kłopot z posprzątaniem; lepiej zbudować dom obok. Na placu wciąż krzątają się murarze i cieśle, ale już niczego nie budują, tylko sprzątają. Nikogo zresztą nie obchodzi, co właściwie robią, choćby nawet kradli popękane od żaru resztki cegieł i nadpalone deski. Dom wzniesiony zostaje gdzie indziej, a murarzy i cieśli na pogorzeliśku nikt nie będzie specjalnie nagradzał, bo za co? Lecz równie nieskwapliwie będzie karał, przecież szkoda czasu... Rozkradną ruinę, to rozkradną; może zresztą ktoś ich pośle do więzienia, do piekła...

Ale takich byle zbrodniarzy, złodziei czegoś, na czym już nikomu nie zależy, łatwo wykupić od kary, więc stale ich ktoś wykupuje, bo w ten sposób pozyskuje tanie sługi. A już znasz przecież kogoś, złodzieju, albo może raczej Niszczycielu, kto cię kiedyś wykupi, o ile już nie wykupił, płacąc z góry. Możesz zatem całkiem bezkarnie krzątać się na pogorzelsku, niszczyć resztki ruin bądź rozkradać. Bo jesteś właśnie zupełnie bezkarny".

„Byle jakie niebo bądź kiepsko zamknięte piekło, z którego bez mała wyjdzie każdy, komu na to przyjdzie ochota?"

„Właśnie tak".

„Wiem o tym wszystkim. Ale słucham dalej".

„Otóż to olbrzymi plac budowy, kawalerze, miała powstać na nim rezydencja wielka niczym świat. Murarzy i cieśli są miliony, a tysiące chętnych do ich wykupienia. Ten, kto wznosił rezydencję, wielki bogacz, za nic ma resztki, których nie strawił pożar, jednak na owych resztkach wyrosnąć mogą fortuny całej armii biedaków".

„Już mówiłem, że wiem o tym wszystkim".

„Tak. Ale ja nie wiedziałem".

„Teraz wiesz. W czym to przeszkadza?"

„Przeszkadza zachować spokój. Lecz poza tym raczej pomaga, niż przeszkadza... Pomaga zrozumieć Towarzyszy Ducha Świętego, których marzeniem jest budować pałac. Nie mogą uwierzyć, że z powodu jakiegoś zdarzenia, przypadkowego pożaru, naraz stali się zbędni, zapomniani, niewarci nagród i kar; że nikt już ich nie potrzebuje; że na nic się przydadzą ich umiejętności, na nic się zdadzą zręczne dłonie, które miały budować

piękne gmachy. Niepotrzebne są narzędzia tak pieczołowicie zgromadzone: wyostrzone piły, mocno osadzone młoty, lśniące kielnie. Zdradzony świat, kawalerze, porzucone pogorzelsko, gdzie wolno robić cokolwiek, budować coś ze szczątków bądź do reszty burzyć i nikogo to naprawdę nie obchodzi".

„Mam tęsknić do jakiejś wielkiej misji?"

„Niektórzy tęsknią. I powiedzieli sobie, że jest przed nimi taka wielka misja, że istnieje Plan. Według tego Planu na pogorzelsku jednak zostanie wzniesiony pałac, wzniesiony rękami tych, którzy potrafią dowieść, że są uczciwi i pracowici aż do końca; że nawet z pogorzelska niczego nie ukradną, a przeciwnie, będą je porządkować, będą zapobiegać rozgrabieniu narzędzi i resztek budulca. Aż przyjdzie ten, do którego plac budowy należy, i powie, że zacnych mistrzów i majstrów zatrudnia oto na nowo, a złodziejaszkom dziękuje. Czy nie warto żyć w imię takiej pięknej wizji, kawalerze?"

„Nie, bo nawet najpiękniejsze złudzenia są tylko złudzeniami, a kłamstwa kłamstwami".

„Ale gdyby wszyscy podzielali takie złudzenia? Marzenia spełniają się czasem, kawalerze. Może nie ma Wielkiego Planu, ale jest nadzieja, że taki plan powstanie. Trzeba jednak pracodawcę przekonać, że powinien wrócić na plac zaniechanej budowy, bo panuje tu ład i porządek, bo wciąż czekają narzędzia, a czuwają nad nimi rzemieślnicy; bo ten plac budowy znów jest właśnie placem pod budowę, nie zaś czarnym pogorzelskiem rozkradanym przez wszystkich wokół".

„Może tak. Ale trzeba trafu, nie jestem pracowitym rzemieślnikiem i nigdy mię nie bawiło wznoszenie cudzych pałaców. Otóż wręcz przeciwnie, żywię niechęć do bogaczy, którzy zatrudniają pracowników, dają im nadzieję na godziwy zarobek za godziwą pracę, a następnie wszystko lekce sobie ważą. I przez niedbalstwo obracają w perzynę nie tylko własne plany, ale i czyjeś marzenia”.

„Chcesz więc być mścicielem?”

„Nie. Cóż znowu... Chcę być tylko szakalem, który pożywi się resztkami wzgardzonymi przez lwa, lecz niczego lwu nie jest winien, bo o nic go nigdy nie prosił”.

Wzdrygnąwszy się od chłodu, Del Wares otworzył oczy i zobaczył milczącego Ewangelistę w tym samym miejscu, w którym stał przed godziną... a może tylko kwadrans, bo właściwie ile czasu upłynęło?... Wciąż mając w głowie wysnioną przypowieść o pogorzelsku, Del Wares nie mógł się powstrzymać od pytania:

- Czy Egaheer burzy spokój?

- Nie wiem - rzekł obojętnie Ewangelista. - Co dokładnie chcesz wiedzieć, kawalerze?

- Chcę wiedzieć, co tu robimy - rzekł na poły do siebie szlachcic, rozcierając zgrabiałe ręce.

- Czekamy.

- Rzeczywiście? A na kogo bądź na co, jeśli łaska?

Sa Tuel miała Ewangelistów za maszyny, lecz nawet jeśli nimi w jakiejś mierze byli, to nie do samego końca. Potrafili myśleć, choć co prawda tylko na żądanie, bo zazwyczaj niewiele ich obchodziło, a do myślenia o czymś potrzebny jest bodaj ślad zainteresowania zagadnieniem.

- Pan wiesz lepiej ode mnie - odrzekł Ewangelista. - Ale jeśli mnie pytasz, to odpowiem, że czekamy na pana Chal-Cheneta.

Zaskoczony Del Wares milczał przez kilka sekund.

- Pana Chal-Cheneta?

- Od tygodnia siedzi w Moun, chociaż nie ma tu nic do roboty. To uroczysko ma wielką siłę i kawaler Chal-Chenet nie umie się spod niej wyzwolić.

- Sądzisz, że tutaj przyjdzie?

- Możliwe, że przychodzi każdej nocy.

Del Wares zamyślił się.

- Kto wie... Jeśli przyjdzie w samej rzeczy...

Ewangelista czekał.

- Jeśli przyjdzie w samej rzeczy - podjął jego dowódca - to się oddalisz.

VIII

Pan Se Reus, milczący i poważny jak nigdy, cierpliwie słuchał wyjaśnień, jednak Sa Tuel zbyt dobrze umiała czytać twarze i spojrzenia, by nie widzieć, że sprawy stoją źle.

- Pani baronowo - rzekł na koniec bardzo chłodno i oficjalnie - od chwili, gdy zjawiłaś się pani w moim domu, nic nie jest takim, jakim być powinno. Nie chcę myśleć, jakie sprawy sprowadziły panią do Moun. To, co dzisiaj zaszło, nie mieści mi się w głowie. Wyraziłem już pani moje ubolewanie, lecz teraz chcę powiedzieć coś jeszcze. Otóż rzezimieszki, złodziejaszki na ulicach - zapewne, choć i takich niewielu tu mamy. Ale rozbójników strzelających do kobiet w karetach, czyli najprawdziwszych bandytów, nigdy w Moun nie było, a gdy mówię „nigdy”, mam na myśli całe moje życie. Jakie sprawy wiążą cię, pani kuzynko, z podobnymi ludźmi, w ogóle nie chcę wiedzieć, jest jednak dla mnie oczywiste, że to pani obecność sprowadziła do tego spokojnego miasta podobne indywidualia.

Jednakże i to nie wszystko. Przyznam się przed panią, że coraz mniej rozumiem. Szpiegującej cię rzekomo służącej okazała dziś pani taką troskę i takie wyjątkowe względy, a niepokój i zmartwienie pani były tak dobrze widoczne, jakby szło o najbliższą twoją przyjaciółkę, kogoś, kto jest równy ci stanem i serdecznie bliski. Co oznacza, że albo okłamałaś mnie przedwczoraj, albo dzisiaj okłamujesz to dziecko. W obu wypadkach jesteś tak przekonująca, tak prawdziwa, że wzbudza to we mnie wstręt. Przyglądam się sam sobie ze zdumieniem, bo nie mogę uwierzyć, że zgodziłem się wziąć wczoraj udział w jednej z pani intryg. Fałsz i kłamstwo w twojej twarzy są tak samo naturalne, jak szczerść i prawda. Niepodobna ich odróżnić, a przecież w którymś wypadku musiałaś być pani

- Tak pan sądzi? - zapytała nie tyle pogardliwie, co z litością.

- Widzę to wyraźnie i proszę, by nie stosowała pani żadnych nowych sztuczek. Nie chcę słuchać więcej wyjaśnień i tłumaczeń, bo... przykro to powiedzieć... w ogóle już pani nie ufam. Nie ufam do tego stopnia, że gdy powie pani cokolwiek, choćby nawet tylko „dobranoc”, to pomyślę, że pani skłamała.

- Rozumiem. Więc nie wolno mi się bronić w żaden sposób?

Wrodzona szlachetność i poczucie sprawiedliwości walczyły w gospodarzu o lepsze z najszczerzą odrazą do intryg, kłamstw i knoń. Uczciwość kazała powiedzieć: „A więc słucham, co ma pani na swoją obronę?”. Lecz niewiara w szczerść rozmówczyni przybrała ta kie rozmiary, że pan Se Reus aż się

wzdrygnął na myśl o przykrości wysłuchania setki nowych kłamstw.

- Zrobię coś, co nie zdarzyło mi się dotąd, mianowicie uchybię obowiązkom gościnności. Pani kuzynko, nie wypędzam pani z mego domu, proszę tutaj mieszkać tak długo, jak tylko pani chce. Lecz otwarcie powiadam, że nie jest mi przyjemnie w pani towarzystwie.

- I mówisz, że mnie nie wypędzasz? - zadrwiła. - Ale w jaki sposób miałabym zostać pod twoim dachem po tym, co powiedziałaś?

Wstał i skłonił się skąpo na znak, że powiedział wszystko, a teraz pragnie odejść.

- O, nie, nie... - powiedziała. - Przecież jeszcze nie odejdiesz, nie pozwalam.

- Nie pozwala mi pani?

- Nie, nie pozwalam - powtórzyła stanowczo. - Zechciej, panie, usiąść z powrotem. Nie skończyłam rozmowy z panem.

Mogła być fałszywą, do cna zakłamaną intrygantką, lecz, niestety, była także kobietą; szlachcic taki jak pan Se Reus żadną miarą nie mógł się oddalić, skoro tego zakazywała.

Lecz nie musiał siadać, i taką właśnie wybrał formę protestu.

- Pozwoli pani, że wysłucham jej, stojąc.

Ludzie pokroju zacnego pana Se Reus przysparzali najwięcej kłopotów. Piękna baronowa potrafiła rozgrywać dowolnie trudne partie, ale pod jednym warunkiem: że ktoś z nią siadał do gry... Lecz dostojny kuzyn zupełnie niczego nie chciał. Nic nie stawiał, więc nie mógł przegrać, niczego też nie pragnął wygrać

od niej. W starciu z kimś takim była niemal bezsilna.

- Nie chcesz, kuzynie, bym usprawiedliwiła się przed tobą. Dobrze, nie powiem więc niczego, co uznałbyś za próbę obrony. Lecz mam prośbę, a tę zechcesz spełnić.

- Nie sądzę, bym chciał spełnić jakąś pani prośbę.

- Szkoda. Jest mi przykro, ale panu to na pewno obojętne - powiedziała z rezygnacją, ale i godnością. - Mimo to jestem pewna, że mi nie odmówisz. Chcę wyjechać, najlepiej już rano, i to jest najważniejsza przyczyna, dla której poprosiłam o rozmowę, nie musiał więc mnie pan wyganiać. Moją prośbę zaś spełniesz, bo nie możesz postąpić inaczej, mianowicie chcę wyjechać bezpiecznie. Boję się ludzi, którzy napadli na moją karetę, i proszę o jedną przysługę, za sprawą której będę mogła bezpiecznie opuścić pański dom. Tylko tyle.

- Obawiasz się czegoś?

- Przecież sam mówiłeś, że w Moun nie grasują bandyci. Potwierdzam, to nie byli przypadkowi rozbójnicy. Możliwe, że gdzieś czeka drugi taki oddział, mam powody obawiać się tego. No więc cóż, kuzynie? Spełnisz moją prośbę? Czy też raczej nie spełniesz, a w zamian staniesz w oknie, by popatrzeć, jak strzelają do mnie z pistoletów?

- Jeżeli to prawda...

- Co znowu „czy prawda”? Prawda, kłamstwo, prawda!... - zawołała. - Zechciej więc sprawdzić, proszę! Dziękuję, jesteś pan wolny! Rzeczywiście, nie musisz spełniać żadnej mojej prośby. Ale może zechcesz choć otworzyć bramę, gdy doczołgam się do niej, krwawiąc? Dziękuję, kuzynie, dobranoc, a może

nawet żegnaj, kto wie.

Smutno pokiwał głową, jakby właśnie tego oczekiwał.

- Proszę mi powiedzieć, jak mam pomóc. Oczywiście dołożę starań, by wyjechała stąd pani bezpiecznie. Przydzielę pani eskortę. Wprawdzie moja służba nie może się równać z pani dzielną czeladzią, lecz mam na zamku kilku żołnierzy.

- Dziękuję, nie chodzi o eskortę. Powiem, o co chodzi, ale jednak, kuzynie, zechciej usiąść. Czy też wolisz stać, trwając w przekonaniu, że zatrzymałam cię dla kaprysu? Bo jeżeli jednak miałam powód, to winienesz mnie chyba przeprosić.

- Rzeczywiście. Wybacz mi, kuzynko. Jeśli wszystkim, czego ode mnie żądasz, jest zapewnienie ci bezpieczeństwa, to masz prawo się tego domagać.

- W takim razie słuchaj: oto co trzeba zrobić...

Pan Se Reus słuchał w milczeniu. Gdy skończyła, poważnie skinął głową.

- Dobrze, wszystko to brzmi rozsądnie. Jeśli te środki nie zawiodą...

- Zawsze dotąd były skuteczne.

- Dobry Boże... Co znaczy: „zawsze dotąd”? Mam rozumieć, że bywałaś już w podobnych sytuacjach?

- Biedny Normen! - powiedziała z obłudnym współczuciem, bawiąc się wachlarzem w taki sposób, że zakrywał, to znów odsłaniał jej okazałe piersi widoczne w głębokim dekolcie nocnej koszuli, która i bez tego była półprzezroczysta. - Ależ uciekałam już i konno, w męskich szatach, strzelając za siebie z pistoletu!

Spoglądał z niedowierzaniem. Nawet nie zauważył, kiedy piękna kuzynka zdążyła rozluźnić szlafroczek i upozować się na szezlongu tak wdzięcznie, jak to tylko było możliwe podczas poważnej rozmowy. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że od godziny przebywa w towarzystwie półrozebranej kobiety, która - choć oczywiście nie za sprawą stroju - osiągnęła wszystko, czego tylko chciała. Został zawstydzony i skarcony, chociaż to ją chciał skarcić i zawstydzić.

- Jeśli nie ma pani więcej spraw...

- Mam. Ostatnią - powiedziała, siadając prosto i składając wachlarz.

- Słucham. Niech pani mówi.

- Przebacz mi, kuzynie. Jestem, jaka jestem, ale ty stanowisz całą moją rodzinę. Kocham cię, braciszku, i nie chcę, żebyś tylko źle o mnie myślał. Przebacz mi wszystko, co zrobiłam, i nie gniewaj się aż tak bardzo.

Zsunęła się ze swojego szezlongu i siadła wprost na podłodze na podwiniętych nogach, która to pozycja była czymś pośrednim między klęknięciem grzesznicy a kucnięciem małej dziewczynki słuchającej opowieści i pouczeń siedzącego na krześle opiekuna.

I samotny pan Se Reus, który ledwie przed kwadransem zapewniał, iż każde słowo kuzynki gotów jest uznać za wierutne łgarstwo, nie potrafił oprzeć się wzruszeniu.

- Co robisz, Renato... Wstań z tej zimnej podłogi.

Podniósł ją, szybko i wstydliwie pocałował w czoło, po czym prędko wyszedł z komnaty, bo gdzieś w głębi serca zdawał sobie sprawę, że za dziesięć minut będzie prosił kuzynkę, by nie wyjeżdżała.

Sa Tuel przygryzła rzeźbioną rączkę wachlarza, popatrzyła przed siebie, pomyślała i przeszła do drugiego pokoju.

- Katarzyno - powiedziała niegłośno.

Sypialnia mieściła się jeszcze pokój dalej. Garderobiana usłyszała głos pani i po chwili stanęła w drzwiach.

- Słucham panią.

- Czy Melania śpi?

- Tak, przed chwilą zasnęła.

- To dobrze. Pójdiesz zaraz do pana Se Reus i wysłuchasz jego poleceń dotyczących naszego wyjazdu.

- A kiedy wyjeżdżamy, proszę pani?

- Jutro... a właściwie to już będzie dzisiaj, przed południem.

- Gdzie będzie pani spała?

- Wcale nie będę spała, wyśpię się jutro w karecie.

Katarzyna milczała przez chwilę.

- Moje dziecko, zabijesz się w ten sposób - rzekła wreszcie z naganą i dezaprobatą, na okazanie której mogła sobie wobec baronowej pozwolić, bo jako młoda kobieta zajmowała się jeszcze garderobą jej świętej pamięci matki.

- Kasiu... złego diabli nie biorą - odrzekła czule, a zarazem kpiąco Sa Tuel.

- A tfu! - rzekła zgorszona Katarzyna i przeżegnała się. - Że też pani zawsze byle co wygaduje!

Poszła odprowadzana uśmiechem chlebodawczyni.

Sa Tuel zajrzała do Melanii, potem ruszyła śladem Katarzyny. Zatrzymała się w przedpokoju. Chłopak zerwał się z krzesła przy drzwiach.

- Gdzie jest pan Del Wares? Mówiłeś mi, że prosił o rozmowę.

Gdy ma się czternaście lat, z jedną tylko kobietą można rozmawiać normalnie, a tą kobietą jest matka. Biedny chłopak spociał się w okamgnieniu, a następnie omal nie zemdlął na widok pachnącego perfumami jasnowłosego bóstwa, które w rozwiązanym szlafroczyku i cieniutkiej jak mgła nocnej szatce, przez którą zupełnie wszystko było widać, przyszło doń i o coś

- Pan Del Wares - zaczął rozpaczliwie, z wysiłkiem, a głos jego, zrazu męski, przeszedł nagle w chłopięce pienie - pan Del Wares kazał mi powiedzieć, że poszedł tam... tam, gdzie pani wie.

- Mmm... To znaczy gdzie?

- Nie powiedział. Powiedział, że tam, gdzie miał iść.

Zagadkowo uśmiechnięta baronowa leniwie poruszała wachlarzem, co sprawiało, że jej włosy lekko falowały.

- Chyba cię zwolnię, chłopcze. Ty nic nie wiesz.

Przerażony masztalerz naprawdę gotów był zemdleć, tym bardziej że nie miał pojęcia, co powinien począć z oczami. Baronowa, z jedną ręką wspartą na biodrze, wachlowała się w milczeniu, aż wreszcie parsknęła śmiechem, trzepnęła go złożonym wachlarzem i odwróciła się.

- Nie śpij - powiedziała przez ramię, wychodząc. - Gdyby pan Del Wares przyszedł znowu, zapowiedz go bez zwłoki. Nie będę się dzisiaj kładła.

- Słucham, pani baronowo. - Chłopak, choć ledwie się trzymał na osłabłych nogach, musiał kawałek pobiec za nią, bo szła już przez pokój, a nie mówiła głośno.

„Nie położę się, nie będę spała” - łatwiej to było powiedzieć, niż następnie dotrzymać. Baronowa ulokowała się na swoim szezlongu, podłożyła poduszkę pod plecy, drugą zaś pod łokieć i leżąc na boku, bawiła się wachlarzem, na zmianę go składając i rozpościerając. Miała o czym myśleć, ale zaledwie przez godzinę, a właściwie nawet trochę krócej. Potem tylko patrzyła na stołowy zegar, inny niż ten w sypialni, na kominku, choć na pewno wykonany przez te same dłonie. Wskazówka na małej dolnej tarczy pokazywała datę, nic zatem dziwnego, że trwała nieruchomo. Lecz wskazówki na górnej tarczy? Zegar był chyba zepsuty. Sa Tuel pomyślała o książce, ale książka znajdowała się w drugim pokoju; trzeba by wstać i ją odszukać. Noc - jakaż okropna pora!... Nie dało się nawet czytać książki, bo nie miał jej kto przynieść.

Poirytowana dotkliwym brakiem książki Sa Tuel przekrzywiła głowę, spoglądając na zegar jednym, to znów drugim okiem. Widziany lewym okiem wydawał się trochę większy i jakby odrobinę wyraźniejszy. Ach, więc ślepa...

Zegar był na pewno zepsuty. Jedna ze wskazówek wprawdzie zmieniła położenie, ale z tego położenia wynikało, że minęło dopiero pięć minut.

W komnacie zrobiło się zimno. Sa Tuel zgarnęła nieco poły szlafroka, potem zawiązała go całkiem i obiecała sobie, że zaraz pójdzie do sypialni, wypędzi Melanię z łóżka... albo chociaż zabierze pluszową, miodowozłotą narzutę.

Przymknęła na chwilę oczy, z łokciem wciąż opartym na poduszce, głową zaś na dłoni.

Zasnęła i omal nie spadła na podłogę. Czując, że się zsuwa, że już leci, odruchowo cofnęła się całym ciałem aż do oparcia za plecami i zobaczyła małego odźwiernego. Czy to on ją obudził, czy też raczej tylko stanął w drzwiach i nie wiedział, co należy zrobić? Zaczzerwieniła się lekko, bo służący widział ją śpiącą w niewygodnej pozycji, a przez to zupełnie bezbronną, może nawet niezgrabną, z dziwnie podkuloną we śnie nogą, rozpląszczonym na dłoni policzkiem i kosmykiem włosów przylepionym do ust.

- Co tam? - zapytała ochryple i brzmienie własnego głosu rozniewało ją do reszty. Poczzerwieniała jeszcze bardziej, odkaszlnęła.

- Ktoś przyszedł, a pani mówiła, że nie będzie się dzisiaj kładła...

- Skoro tak mówiłam... Pan Del Wares?

- Nie, pani.

Zdziwiła się.

- A więc kto?

- Ksiądz.

- Ksiądz?

- Tak, proszę pani. Kapelan dostojnego pana Se Reus.

- O?! - powiedziała, siadając i biorąc do ręki swój wachlarz, który zgubiła podczas snu. - A czy jakoś wytłumaczył, dlaczego wybrał sobie tak niezwykłą porę?

- Widział się z panem Se Reus i usłyszał, że być może jeszcze pani nie śpi. Pytał mnie, czy to prawda, i kazał panią przeprosić, ale...

- Ale?

- Ale twierdzi, że sprawa jest ważna.

- Skoro tak, to poproś księdza, by zechciał poczekać pięć minut, na pewno odgadnie przyczynę tej zwłoki... - Rozglądała się, szukając lustra, ale najbliższe miała w sypialni, jeśli nie w buduarze. - Jak wyglądam?

Odźwierny przeraził się.

- Pani... pani jest bardzo piękna.

- Ach, do diabła, wiem, nie o to pytam! - rzekła kwaśno, zniecierpliwiona. - Naucz się, chłopcze, co to znaczy, że mi służysz! Nie tobie mam się podobać; ty masz co najwyżej dbać o to, żebym podobała się lepszym od ciebie. Jak wyglądam? - pytała ostro i ponagłajaco. - Spałam. Mam czerwone powieki? Odcisnęły mi się włosy na policzku?

- Nie, pani, nic takiego.

- Nie mam tutaj lustra, więc je zastępujesz i lepiej, żeby odbicie było wierne - ostrzegła. - Schlebiać mi będziesz kiedy indziej. No? Przyglądaj mi się.

- Tylko... pani włosy. Jest pani nieuczczesana.

Zbadała dotykiem, jak wygląda sprawa.

- Ale... jakoś cudacznie rozczochrana? Chyba nie?

- Nie, pani.

- W takim razie nie szkodzi, zwłaszcza o tej porze. Jeśli już nic więcej, to dziękuję, teraz możesz odejść. Wprowadź tutaj gościa za pięć minut.

Chłopak zniknął jak porwany wiatrem dym.

Sa Tuel wstała, rozejrzała się po pokoju, potem szybkim krokiem poszła do sypialni. Z namysłem popatrzyła na Melanię zwiniętą pod kołdrą w mały i ciasny kłębek. Budzenie pokojówki nie miało żadnego sensu. Baronowa z namysłem podeszła do nocnego stolika i zabrała spod serwety swój sztylecik. W sypialni było ciemno, światło wpadało tylko z pomieszczenia

obok, nie grzebała więc w stojącej na kominku szkatułce z klejnotami. Zabrała całą i dopiero w następnym pokoju odszukała w osobnej zamykanej przegrodce duży pierścień wykonany w kształcie krzyża. Wsunęła go na wskazujący palec, mocno przycisnęła do obrączki kciuk i palec środkowy, a wtedy krzyż odskoczył na ukrytej sprężynie, stając się ostrą igłą, wydrążoną od spodu na kształt zęba żmii. Pytanie tylko, czy jad nie stracił mocy? Ostrożnie zamknęła pierścień i odwróciła na palcu, kierując główkę do spodu dłoni.

Wróciła do szezlongu. Zgasiła lekko spojrzenie, by nadać oczom zamyślony wyraz, ale jeszcze zerknęła w dół i mocno poruszyła ramionami, który to ruch rozkołysał piersi, zmieniając trochę ich położenie. Niecierpliwie szarpnęła tasiemkę, powiększając dekolt; na dnie księdza mógł wszak siedzieć mężczyzna, co nie byłoby czymś wyjątkowym.

Odźwierny wszedł i ukłonił się lekko, wpuścił starca w prostej sutannie, po czym wrócił pilnować drzwi.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.
- I Ojciec Jego w Duchu Świętym.

Zaskoczony kapłan nie wiedział, co rzec.

- Wiem, co ksiądz sobie myśli - wyjaśniła z obojętnym uśmiechem. - Każdy tak może odpowiedzieć. Rzeczywiście, nie należę do Towarzystwa. Ale za to ksiądz należy. Czy się mylę?

- Nie należę. Myli się pani.
- I nie wie ksiądz, o czym mówię?
- To co innego... Wiem.
- Proszę usiąść.

Staruszek podziękował i zajął wskazane miejsce.

Cokolwiek gość sobie ułożył, po takim wstępie musiało być nieaktualne. Wybiwszy przeciwnika z uderzenia, zburzywszy jego plany, Sa Tuel czekała na jakąś improwizację, bo na tym polu nie miała sobie równych.

- Powiniennem wytłumaczyć się przed panią, chociaż chłopiec pilnujący drzwi chyba już mnie usprawiedliwił. Wiem, że pora jest bardzo późna, jutro jednak może nie nadarzyć się okazja.

- Okazja do czego? Do rozmowy?

- Tak, rozmowy.

Patrząc w otwarte i szczere oblicze sędziwego kapłana, który chyba nie bardzo wiedział, jak najlepiej wyłożyć swoją sprawę, Sa Tuel doszła do takich samych wniosków jak jej pokojówka - było niepodobieństwem, by ten człowiek intrygował i szpiegował. Melania odebrała u boku swojej pani dobrą szkołę; Sa Tuel, która usłyszawszy o wizycie księdza, zdążyła już z pogardą pomyśleć o ciasnym rozumku swej subretki nie potrafiącej rozpoznać agenta, oddała jej teraz sprawiedliwość. Albo ten człowiek naprawdę był wcieleniem dobroci i uczciwości, albo siedział przed nią przeciwnik, z jakim dotąd się nie spotkała. To drugie nie miało sensu.

- Mówi ksiądz, że nie jest członkiem Towarzystwa Ducha Świętego, lecz zarazem otwarcie przyznaje, że domyśla się, o czym mówię. Nie rozumiem... Co kapelan małej przygranicznej twierdzy może wiedzieć o takim zgromadzeniu, skoro nie jest jego członkiem?

- Dosyć dużo. Poproszono mnie o pomoc. Zgodziłem się. Zapropozowano też, bym wstąpił do organizacji. Odmówiłem.

- Odmówił ksiądz?
- Odmówiłem.
- Lecz zgodził się pomóc?
- Tak.
- I na czym ta pomoc polegała?
- Po pierwsze na tym, by donieść o pani pobycie w Zamku

Reus.

- I doniósł ksiądz?
- Doniosłem, lecz wiedziano o tym beze mnie.
- A po drugie?
- Po drugie, i to było dla mnie ważniejsze, miałem czuwać,

by nie skrzywdziła pani gospodarza tego domu.

Pomimo najwyższej biegłości w sztuce prowadzenia rozmowy Sa Tuel nie zdołała ukryć zaskoczenia.

- Miał ksiądz czuwać... Ale... Miałabym skrzywdzić kuzyna? W jaki sposób? A przede wszystkim dlaczego?

- Pan Se Reus jest prawym człowiekiem i dobrym chrześcijaninem. Lecz, jak każdy człowiek dobry i uczciwy, bywa łatwowierny. Dla kogoś takiego jak pani wykorzystanie czyjejś łatwowości nie jest sztuką trudną.

- Ksiądz chce mnie obrazić?
- Nie. Przeciwnie.
- Ach, więc skomplementować?

- Prawie że tak. Chcę oddać sprawiedliwość pani rozumowi, dlatego stawiam sprawę otwarcie i staram się nazywać rzeczy po imieniu. Sądzę, że nieszczerłość od razu by pani przejrzała, a poza tym nie chcę prowadzić rozmowy na pani sposób i na pani warunkach. Może mnie pani okłamywać, ale ja będę mówił tylko prawdę i niczego przed panią nie ukryję. Poza tajemnicami,

które nie do mnie należą.

- Zna więc ksiądz jakieś tajemnice?

- Mówi pani „ksiądz”, ale chyba zapomina, co to znaczy. Spowiadałem i nadal spowiadam, więc poznaję niezliczone tajemnice.

- Rozumiem... Wróćmy do pana Se Reus. Skąd szczególna troska Towarzystwa właśnie o mojego dostojnego kuzyna? Na świecie jest tak wielu pocziwych i łatwowiernych ludzi! Czy wszystkich trzeba chronić przede mną?

- Gdyby tylko to było możliwe... Ale nie jest. Na szczęście w przypadku pana Se Reus sprawy mają się inaczej. Jest to pani jedyny bliski krewny, można więc było przewidzieć, że spotka się z nim pani, zwłaszcza w okolicznościach, o których pani wie.

- Czyli jakich?

- Gdy tutaj, w Moun, zbiega się tyle spraw.

- Proszę mówić dalej. Słucham księdza.

- Drugi powód, dla którego trzeba strzec pana Se Reus, wiąże się z tym, iż jest to człowiek wielkiego rodu, dość zamożny i na tyle znaczący, że zło, które niechcący mógłby wyrządzić za pani poduszczeniem, warte jest stłumienia w zarodku. Zgodziłem się takiemu złu zapobiec, w miarę skromnych możliwości i sił.

- O mój Boże... Rozmawiam ze świętym.

- Proszę sobie nie żartować z takich spraw. Nie jestem świętym. Natomiast rzeczywiście, każdy człowiek winien dążyć do świętości, bo święci są właśnie wzorem danym nam do naśladowania.

- I pragnie ksiądz zostać świętym?

- Bardzo pragnę, ale pewnie nie zostanę. Jest jednak w mojej mocy dążyć w tym kierunku, nawet jeśli dążąc przez całe życie, zbliżę się tylko o krok.

- Drogi księżo - rzekła baronowa - przecież właśnie poszedłeś na skróty, obierając wyjątkowo kamienistą ścieżkę, która jednak wiedzie prosto do celu. Siedzisz oto w pokoju kobiety, której czarna dusza w ogóle już nie wie, co to światło. Jeśli zapalisz w tej duszy chociaż jeden mały promyczek, policzone ci to zostanie za ogromną zasługę.

- Rzeczywiście, pani, tak uważam. I dlatego przyszedłem.

- Żeby walczyć z mrokiem mojej duszy?

- Nie, nie walczyć. By ratować to, co w niej dobre.

- I nikt tu księdza nie przysłał?

- A kto taki?

- Przecież dobrze ksiądz wie, o kim myślę.

- Nie. Przyszedłem tylko z własnej woli, a co więcej, może nawet wbrew życzeniom tych, którym pomagam. W każdym razie nikogo o zgodę nie prosiłem. Naradziłem się tylko z Panem Bogiem.

- I to Bóg doradził księdzu tę wizytę?

- Można tak powiedzieć.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Pani baronowo - rzekł staruszek wciąż tak samo spokojnie i cicho, lecz zarazem nieco uroczyście - w oczach wielu jest pani kimś do cna zepsutym, kimś, kogo już nie można uratować. Ale ja sądzę, że jest inaczej. Drwi sobie pani, pytając, co mi doradził Pan Bóg, ale niepotrzebnie pani drwi, bo On

rzeczywiście dał mi znak. Poznałem w tym domu kogoś, mianowicie młodziutką dziewczynę, która wciąż jeszcze boi się Boga i nie śmie kłamać podczas spowiedzi, a ta dziewczyna najszczerzej panią kocha. Skoro kocha więc panią ktoś, kto jest w głębi serca dobry, to oznacza przecież, że i pani nie może być całkiem zła. Co więcej, zobaczyłem, że i pani jest do czegoś zdolna. Przyszedłem, bo ujrzałem dzisiaj, jak kobieta dla wielu będąca pierwszą służką ciemności biegła ratować kogoś, kto o tyle niżej od niej stoi. Nie jest do końca zły człowiek, który zrywa się w środku nocy i umierając z niepokoju, wybiega przed dom, by zaopiekować się służącą. Światowa dama wielkiego rodu, która w zwykłej pokojówce umie dostrzec drugiego człowieka, a nie tylko przydatne narzędzie.

Stary kapłan wzruszył się widocznie, bo urwał i przez długą chwilę milczał.

- Przemówię do pani językiem, który może lepiej pani zrozumie niż naiwne wezwania świętoszkowatego starca - podjął, dając dowód, że potrafi przeniknąć przynajmniej niektóre myśli rozmówczynie. - Ambicja i dążenie do potęgi to nie zawsze są skłonności grzeszne. Może być pani tak potężna, jak tylko tego pragnie; może mieć pani wielką władzę i dogadzać swojej ambicji. Nie chcę niczego więcej, jak tylko tego, by ujrzała pani przed sobą różne drogi. Czy na pewno wybrała pani najwłaściwszą? Lubuje się pani w kłamstwie, to niedobrze. Ale nawet kłamstwo może służyć dobrej sprawie. Żywołem pani są spiski i intrygi. Ale nawet pierwsza na świecie intrygantka może intrygować w obronie czegoś wzniosłego i pięknego. Cokolwiek mi

pani pokaże, ja odpowiem, że to może służyć dobru, niekoniecznie złu. Natomiast pani sama sobie musi odpowiedzieć, czy na drodze, którą idzie do tej pory, znalazła to, czego szukała. Jeśli tak, to przemawiam na próżno. Ale jeśli nie, jeśli spodziewała się pani czegoś więcej, to może jednak warto poszukać innej drogi?

Sa Tuel z głębokim namysłem i bez drwiny w oczach oglądała człowieka, jakiego jeszcze nigdy nie spotkała. Cokolwiek nim kierowało, jakiegokolwiek cele chciał osiągnąć, nie był to naiwny i głupi prostaczek. Za spojrzeniem wyblakłych starczych oczu kryła się inteligencja i duża wiedza o życiu, o ludziach i ludzkich namiętnościach. Naprawdę potrafił przemówić językiem, który rozumiała. Mogła nie przyznawać się do tego przed rozmówcą, ale przed sobą powinna: kusił umiejętnie. Czy na pewno u boku Egaheer miała wszystko, co mieć powinna, wszystko, na co zasługiwała? Cóż takiego? Pozycję służki, półniewolnicy czegoś, co nie było nawet istotą, choćby demoniczną, a tylko jakimś... zdarzeniem?

- Myli się ksiądz, uważając, że służę złu. Służę sobie, przede wszystkim sobie. I ta służba, jakkolwiek samolubna, nie zawsze zasługuje na naganę. Nawet w oczach kogoś takiego jak ksiądz.

- Ale służąc sobie, nie ma pani żadnych skrupułów?

- Rzeczywiście, prawie nigdy nie mam.

- Namawiam panią tylko do tego, by zechciała połączyć tę służbę dla siebie z czymś innym. Wiem, że już pani łączy. Ale może większą satysfakcję znalazłaby pani, wiążąc swoje życie z jakąś inną sprawą.

- Ale jaką? Czy ze sprawą Towarzyszy Ducha Świętego? O, naprawdę, wielbny ojczy, mogę związać się z kimkolwiek

przeciw czemukolwiek. Ale niechże to ma jakiś sens.

- Nie widzi pani sensu w walce o naprawę świata? Jeśli nawet zadanie jest trudne, jeśli nawet prawie niemożliwe, to może tym bardziej godne niebываłych zdolności, mianowicie takich, jakie ma pani.

- Wielebny ojciec - powiedziała z szacunkiem, który czasem potrafiła okazać zręcznemu przeciwnikowi - jestem zaskoczona. Proszę nie odebrać tego źle, bo nie jest moim zamiarem sprowadzenie ojca na złą drogę... Proszę nie odebrać tego źle, powtarzam, ale chcę zapytać: a ojciec? Czy ksiądz znalazł na swej drodze to wszystko, czego się spodziewał? Jesteś, ojciec, postacią nietuzinkową, a mówi to ktoś, kto widział w życiu bardzo wielu niezwykłych ludzi. Czy nagrody, które ojciec odbiera, są na miarę jego oczekiwań?

- Moja nagroda ciągle na mnie czeka.

- Nie dostanie jej ojciec - powiedziała z całym przekonaniem. - Czy ojciec wierzy w Boga?

Zrobił słaby ruch rękami, ale nie odpowiedział, bo było to przecież pytanie retoryczne.

- Ja nie wierzę - rzekła - i nie mogę wierzyć, bo o Bogu wiem. Wiedza wyklucza wiarę. Wiem o Nim tak samo jak o księdzu, mam dowody i co tylko ksiądz chce. Służę czemuś, albo może lepiej: wspieram sprawę czegoś, co rozmawia z Bogiem jak ja z księdzem i co dla kaprysu może mi dowieść czegokolwiek. Może zechce ksiądz udać się ze mną? Czy nie kusi to księdza, spotkać się z czymś, co dowiedzie księdzu istnienia jego Stwórcy?

- Powiedziała pani przed chwilą, że nie będzie mnie sprowadzać na złą drogę.

- Czyżbym sprowadzała? Nie mówię przecież, że ma ksiądz komuś bądź czemuś służyć. Mówię: kapłanie, spotkaj się z czymś, co pokaże ci twój Boga. Możliwe, że staniesz ze Stwórcą twarzą w twarz już teraz, za życia, nie po śmierci. Dowiesz się, jaka jest ta twoja wyteścniiona nagroda... Nie chce ksiądz?

Oparła się wygodnie, splótła dłonie na kolanie i czekała, bez zmruczenia oka, otwarcie i spokojnie patrząc na staruszkę.

- Widzę, że ksiądz nie chce. Powiem księdzu dlaczego: bo ksiądz nie życzy sobie wiedzieć, ksiądz chce wierzyć. Księdza przecież nie obchodzi prawda, wystarczy kłamstwo, byle piękne, byle szlachetne. Oto między nami różnica: ja jestem silna i odważna, a ksiądz tchórzliwy i słaby. Zgodziłam się przyjąć świat taki, jakim jest. Jeśli nawet zmierza donikąd i nie służy niczemu, jeśli nawet ja sama jestem zupełnie po nic, to trudno. Bóg tak postanowił. Chce zobaczyć ksiądz, co postanowił? Czy też księdza to nie obchodzi, bo zamiast prawdy ma ksiądz swoją wię- Mam jedno i drugie. Ta wiara jest prawdziwa.

- Kiedy nie jest! Albo raczej: owszem, jest prawdziwa, ale tylko częściowo. Pytam księdza raz jeszcze: chce ksiądz stanąć z prawdą oko w oko czy nie? Chce ksiądz zobaczyć, co naprawdę Pan Bóg robi z tym światem?

Potrząsnęła głową i mówiła dalej:

- Wysługuje się ksiądz ludziom, którzy mogliby po twierdzić każde moje słowo, ale wolą opowiadać księdzu bajki -

o mitycznym Wielkim Planie Stwórcy. Ksiądz w to wierzy? Taki plan nie istnieje. Pan Bóg stworzył bardzo wiele światów, ojczyzna, a ten tutaj nie jest jego ulubionym. Wie ksiądz, dlaczego umierają z głodu małe, niewinne dzieci, które jeszcze nie skayały się grzechem? Nie wie ksiądz, lecz uważa, że taka jest wola Stwórcy, że ma On w tym jakiś cel. A wie ksiądz, dlaczego jeden mały światek jest nie tylko nawet skazany, co wręcz przez Pana Boga zapomniany? Nie wie ksiądz, więc mu mówię, że taka jest wola Stwórcy i że ma On w tym jakiś cel. Cel jak zwykle nieodgadniony. Nie przyjmuje tego ksiądz do wiadomości - Tego, że Pan Bóg zapomniał o swym świecie? Nie.

- I nie życzę sobie ksiądz dowodów, że tak jest?

- Nie potrzebuję ich, bo wiem, że jest inaczej. To są fałszywe dowody.

Popatrzyła przeciągle, z namysłem.

- No to koniec, księżo, sto dublonów moje. Grywa ksiądz czasem w karty? To taki mały grzeszek, który chyba przystoi nawet duchownemu... Przegrał ksiądz - skwitowała - bo gdyby ksiądz powiedział: „Niech mi pani pokaże te dowody”, nie pokazałabym. Nie dlatego, że ich nie ma, lecz dlatego, że ich okazanie nie ode mnie zależy.

- Więc jednak kłamała pani, mówiąc, że nie będzie mnie wodzić na manowce.

- Oczywiście. Ale na tym polega kuszenie. Kusiałam, a ksiądz się przestraszył, że mam coś, co zniszczy jego wiarę, wołał więc tego nie widzieć. Kurczowo broniąc swojej wiary, w istocie ksiądz jej się zaparł. Bo taka to i wiara... naprawdę niewiele miał ksiądz w kartach.

Proszę teraz odejść - powiedziała, wstając, a następnie łagodnie ujmując kapłana pod łokieć - i przemyśleć sobie swoją drogę, bo jeśli chodzi o moją, to już dawno nikt mi nie pokazał tak wyraźnie, że jest słuszna, a nawet jedyna.

- Czy pani zechce jednak przemyśleć moje słowa?

- Ależ... ksiądz w ogóle nie rozumie, co się tutaj stało. Ponownie zaprzysiągł ksiądz diabolicę, która już się chwiała w przekonaniu, czy na pewno warto nią być. Gdyby ksiądz nie przyszedł, to kto wie... Miałam już dość swojej drogi.

- Chce mnie pani pognać?

- Chciałam i pognałam. Przypomniłam mi ksiądz oczywistą prawdę, że dla kogoś takiego jak ja nie istnieją żadne „inne drogi”. Wie ksiądz, że przypomniał mi o tym i będzie musiał z tą zasługą żyć. Teraz idź już, ojczu, bo do reszty zabiorę ci duszę.

Ksiądz odszedł.

Przepadł demon - może najgroźniejszy, jakiego dotąd spotkała. Bo choć tak niewiele mógł zaproponować, to potrafił stawiać trudne pytania.

„Czy znalazła pani na swej drodze to, czego szukała?”

Baronowa stała przy drzwiach, z głębokim namysłem oglądając dziwnie pusty pokój. Zachowując ostrożność, zdjęła z palca zatruty pierścień i odniosła go do przegródki w szkatułce. Ze świecznikiem w ręku weszła do sypialni, postawiła światło na stole i wyjęła z rękawa swój sztylet, który zaraz zniknął pod serwetą. Szybko i bez zastanowienia - bo gotowa była się rozmyślić („Co też pani czyni, baronowo? Będziesz pani spać ze służącą?”) - zrzuciła szlafrok, zsunęła z nóg pantofle i wskoczy-

ła do łóżka, okrywając się tą samą ciepłą kołdrą, pod którą leżała jej ruda pokojówka.

Było w pół do piątej i latem o tej porze, w promieniach cudnego słońca, ćwierkałyby niezliczone ptaki, szumiały zielone drzewa, a z trawy parowały resztki rosy. Ale było przedwiośnie, marzec - wprawdzie dosyć pogodny i ciepły, lecz jednak miesiąc bardzo młody. Noc trwała zatem w najlepsze i skostniały Del Wares, to drzemiąc, to znów budząc się z zimna, nie potrafił ustrzec się podziwu dla skamieniałego pod najbliższym widmem cierpliwego Ewangelisty.

Trochę jednak się rozpogodziło - wiatr przepędził chmury, zniknęła więc groźba porannego deszczu, gwiazdy świeciły jasno; miało się na ładną pogodę.

Siedząc na zimnym kamieniu, na dodatek pochylony, Del Wares miał głowę bliżej gruntu niż stojący Ewangelista i zapewne dzięki temu pierwszy posłyszał odgłos uderzeń końskich kopyt o ziemię. Nasłuchiwał jeszcze przez chwilę, po czym wyprostował się i skinął czarnej postaci ręką na znak, by się oddaliła. Ewangelista posłuchał. Del Wares wstał z kamienia, roztarł dłonie, chuchnął w nie kilkakroć, pomimo mroku świetnie widząc buchającą z ust parę, machnął raz i drugi ramionami, po czym już tylko czekał wsparty pięścią pod bok. Wkrótce dojrzał jeźdźca. Koń szedł stępa, a siedzący w siodle człowiek rozglądał się dokoła i choć Del Wares nie zobaczył twarzy, był zupełnie pewien, że maluje się na niej zdziwienie.

- Tutaj, kawalerze - powiedział.

Nie mógł przysiąc, że mówi do osoby, którą ma na myśli, choć sylwetka jeźdźca, człowieka niestarego i świetnie znającego arkana jazdy konnej, była jakąś wskazówką. Niemniej możliwość popełnienia omyłki wydawała się bardzo niewielka.

Przybysz zatrzymał wierzchowca.

- Kto tu jest?

Głos należał do Chal-Cheneta.

- Poznaliśmy się dzisiaj, kawalerze. Opowiedziałem się panu nazwiskiem kawalera Del Wares, a teraz do dam jeszcze, że to moje prawdziwe nazwisko. Nie każdemu człowiekowi je podaję.

Chal-Chenet zsiadł z konia i podszedł do mówiącego, lekko uchylając kapelusza w odpowiedzi na dostrzeżone pozdrowienie.

- Widma... - rzekł. - Wczoraj ich jeszcze nie było.

- A dzisiaj trwają i trwają. Co najmniej od północy, może nawet dłużej.

- Jesteś pan tutaj od tak dawna?

- Owszem.

- Czyżbyś tak poważnie wziął wskazówki, których ci udzieliłem? Domniemania, że ta, której służysz, chciała odwiedzić to miejsce?

- Tak, wziąłem je bardzo poważnie i dobrze zrobiłem, kawalerze. W tamtych oto zaroślach leży trup kobiety, z którą wczoraj, a właściwie przedwczoraj, rozmawiałeś. Egaheer rzeczywiście przyszła do Domów Reus. Porzuciła okrywające ją ciało... no i cóż, dalej jej nie ma.

- Co to znaczy? Domyślasz się pan czegoś?

- Nie wiem, co to znaczy. Niczego się nie domyślam i wiem jeszcze mniej, niż wiedziałem. Wcześniej szukałem średniej w latach, niezbyt urodziwej kobiety w czarnej sukni. Teraz zupełnie nie wiem, kogo lub czego mam szukać.

Skinąwszy głową, Chal-Chenet jął chodzić między domami. Najdłużej zabawił pod upiornym drzewem wisielców.

- Pięćdziesięciu... a może nawet więcej - rzekł niegłęboko i bardziej do siebie niż do milczącego towarzysza. - W imię czego popełniono taką zbrodnię?

- W imię Boga, kawalerze, lecz bynajmniej nie z Jego rozkazu, ani nawet za Jego pozwoleniem. To potężna i dobra Istota, która jednak nie może albo z jakichś przyczyn nie chce wszędzie być i wszystkiego pilnować. My, ludzie, mamy rozum i wolną wolę, a świat jest taki, jakim go czynimy. Trzeba trafu, bardzo często przypomina to miejsce... Daruj mi pan kazanie, zresztą niezbyt oryginalne, ale długo tutaj siedział, drzemał i rozmyślał. Trochę nawet śniłem... Mamy rozum i wolną wolę, kawalerze.

- Tak. Dlaczego mi pan o tym przypomina, i to aż dwukrotnie?

- Bo właśnie chcę zapytać o twój rozum i wolną wolę. Co pan tutaj robisz właściwie?

- Mam się panu z tego tłumaczyć?

Del Wares wzruszył ramionami, odszedł dwa kroki na bok, znowu chuchnął w dłonie i mocno je roztarł, popatrzył trochę w niebo i wrócił.

- Od kilku dni nie miałeś ani chwili spokoju - powiedział. - Jakiś zakonnik, potem Egaheer, znowu zakonnicy, potem ja...

a możliwe, że na tym nie koniec. Uwikłałeś się waszmość (albo może ktoś cię uwikłał?) w tajemnicze sprawy, których nie rozumiesz, których nie znasz i które cię nie obchodzą. Co na to rozum Waszmości?

- Nie za bardzo pojmuję, o co mnie pan pytasz?

- Skoro nie pojmujesz, to pomówmy o wolnej woli. Składane ci są rozmaite propozycje, zresztą bardzo różnorakie, czasem bardziej przyjacielskie przestrogi niżli propozycje, na przykład taka przestroga, byś uciekał od Domów Reus, bo niczego ważnego tu nie ma. O ofertach zawarcia przymierza nie wspominam; wszystkie takie oferty odrzucasz. I przyjeżdżasz do Domów Reus. Wolna wola, panie kawalerze!

- Do czego pan zmierza?

- Oto do czego zmierzam: jeśli znajdziesz na ulicy trzosik, to go zostaw, wyrzuć bądź zatrzymaj. Jeśli zgłoszą się rzekomi właściciele, to im uwierz albo im nie wierz, oddaj trzosik albo nie oddawaj. Wolna wola, panie Chal-Chenet. Ale jeśli tych rzekomych właścicieli jest wielu, przy tym wadzą się między sobą i próbują cię wygrywać przeciw sobie, to nad wolną wolą, która często jest podobna do zachcianki, winien jednak zapanować rozum. A pan nie masz rozumu, kawalerze, odbieram ci więc także wolną wolę. Mogłeś wstąpić na czyjąś służbę, nie wstąpiłeś. Mogłeś więc odjechać przez nikogo nie zatrzymywany, idąc za dobrą radą przyjaciółki, choćby nawet ta przyjaciółka była nią tylko przez chwilę i dla dziwnego kaprysu. Lecz i tego nie uczyniłeś. Wyrastasz, gdzie cię nie sieją, płaczesz się, przeszkadzasz, drażysz sprawy, których jednak poprzeć ani

zwalczać nie chcesz... Co więc cię one obchodzą? I na koniec okazuje się, niestety, że już wiesz za dużo, widziałeś zbyt wiele, znasz nazwiska i twarze ludzi, których znać nie powinienes... Wieczorem ktoś czekał na mnie w gospodzie „Pod Jarzębiną”; tylko pan wiedziałeś, że zacności właściciel tej gospody pozostaje na usługach Egaheer.

- Myśli pan, że komuś o tym powiedziałem?

- Nie wiem, wszystko jedno. Za dużo już tego dobrego, w końcu doigrałeś się waszmość. Teraz wyjmuj szpadę albo mów mi szybko, że na honor szlachezca jesteś ze mną i ze mną pojedziesz. Koniec z wolną wola, a raczej tyle jej zostało, ile w przedstawionym wyborze.

- Pan mi to mówi serio?

- Tak, i dodam, że siedziałem tu całą noc, więc naprawdę miałem dość czasu, by wszystko gruntownie przemyśleć. Zobacz, kawalerze, nie jestem tutaj sam, ale odprawiłem pomocnika, bo jeśli się nie zgodzisz, będę cię musiał zabić. Ale zabić, nie zamordować. Raz jeszcze oceń, jaką władzę ma nade mną sumienie. Obiecałem, że wyświadczę ci grzeczność; oto

- Chcesz mnie zabić, bo nie poparłem twojej sprawy?

- Mojej? Żadnej sprawy. Powiedziałem już wszystko, kawalerze, teraz decyduj się wreszcie, bo mi dokądś spieszno. Czekałem tu tylko na pana.

- Wiedziałeś, że tu przyjadę?

- Nie wiedziałem. Spodziewałem się.

- I mam teraz złożyć deklarację?

- Czas najwyższy, nie uważasz pan?

- I jeżeli odmówię, będziesz bił się ze mną?

- Sam na sam. Jeśli zginę, nikt nie będzie strzelał do waszmości, bo nikt nie ma takiego rozkazu, a rozkaz jest niezbędny komuś, kto... zupełnie inaczej niż waszmość, prawie że nie ma wolnej woli. Nie musisz wcale odjeżdżać, jeśli mnie zabijesz. Może raczej zajmiesz moje miejsce? A byłaby to dobra decyzja - ciągnął Del Wares z uśmiechem, obnażając rapier i lekko wyginając klingę w rękach - bo współpracę, kawalerze, mam wartą każdego grzechu i spodobaś jej się na pewno. Wprawdzie chyba trochę mnie kocha, ale zaraz przestanie, gdy usłyszysz, że dałem się zabić jak głupiec. No? Kawalerze Chal-Chenet? Jedziesz pan ze mną na zamek, który na pewno widziałeś, czy raczej zostajesz tutaj?

- Z samego szacunku dla siebie będę jednak musiał bić się z panem.

- Tak też i myślałem. Więc pomimo wszystko nie oddałeś swojej wolnej woli. A o rozumie nie mówmy.

- Masz pan chyba nieco krótsze ostrze od mojego.

- Jeśli nawet, to najwyżej o cal.

Zrzuciwszy płaszcz z ramion wprost na ziemię, Del Wares zdjął kapelusz i upuścił na to samo miejsce. Podobnie postąpił Chal-Chenet.

- Nie mam żadnej rodziny - rzekł spokojnie sługa Egaheer - a mój koń stoi przywiązany do drzewa; w razie czego zechciej odesłać go na zamek, bom go tylko pożyczył. Szpadę złam, jeśli ja nie zdążę tego zrobić. Resztę mienia mam zabezpieczoną. A co z pańską rodziną? Wspomniałeś mi dziś chyba, że masz, ale daleką.

- Nie warto nikogo powiadamiać.

- Twoje mienie?

- Przekaż oberżycie „U Łaskawej Kwiaciarczyki”. Oprócz jednej rzeczy; jest tam muszkiet.

- Co należy uczynić z muszkietem?

- Zatrzymaj, lecz nie używaj. Podaruj komuś, komu sam mógłbym go podarować. Prawdziwemu żołnierzowi.

- Ale nie najemnikowi?

- Otóż to.

Pozdrowili się i stanęli w pozycjach.

Wyprowadziwszy rozpoznawcze pchnięcie, Del Wares natknął się na bardzo pewną gardę; była to garda szlachcica i muszkietera zarazem, kogoś, kto potrafi dbać o własną skórę tak na placu pojedynkowym, jak i na polu bitwy, w starciu z uzbrojonym w ciężką szablę dragonem. Upewniwszy się w ten sposób, że naprawdę czeka go walka, nie zaś wykonanie egzekucji, Del Wares cofnął się, dając pole przeciwnikowi, i sam z kolei w odpowiedzi na ładną tercję przedstawił się jeszcze lepszą kwartą. Następnie zapytał przeciwnika, co powie na piekielnie szybką kontrę. Chal-Chenet puścił ją wzdłuż ostrza i skierował w bok, jakby została mu zapowiedziana. Żaden nie spróbował wyłuskać drugiemu szpady, bo było zupełnie jasne, że zamiar się nie powiedzie.

Światła nie brakowało; gwiazdy łaskawie pozwalały spływać bladej łunie po związanych, to znów rozdzielonych głowniach dwóch rapierów. Del Wares miał lepsze ramię; Chal-Chenet mocniejsze nogi, wyrobione w wojennych marszach i kontrmarszach. Lecz doświadczeniem górował pierwszy, i to tak bardzo, że pozwolił się trafić w lewe ramię, doskonale wiedząc, iż gwardzista zechce wykorzystać moment, gdy ranny przeciwnik

na mgnienie oka straci opanowanie, nie mogąc uwierzyć, iż naprawdę dosięgło go ostrze. Nie przeliczył się; sparował niebywale szybki, ale bardzo prosty sztych, taki jaki wychodzi właśnie wówczas, gdy trzeba wyzyskać ułamek sekundy; przygotowany, odpowiedział natychmiast, trafił w udo i niemal od razu ponownie w to samo miejsce. Nie nacierał dalej, pozwolił, by przeciwnik się cofnął. Gwardzista już nie był szybszy i wiedział, że jeśli tamten nie popełni większego błędu, to raczej go zamęczy, niż zabije. Głęboko zranione udo pulsowało bólem i jęło krwawić bardzo obficie. Chal-Chenet nie miał czasu i sam musiał pójść do gwałtownego natarcia, bo nie mógł czekać, aż upływ krwi zabierze mu resztkę sił.

Nie lekceważąc przeciwnika, który dobrze potrafił się bić, a nie miał już nic do stracenia, Del Wares poniechał ryzykownych pchnięć, mogących szybko skończyć walkę. Pilnował się najlepiej jak potrafił, atakował jedynie po to, by wytrącić przeciwnika z rytmu, i zbierał kolejne punkty, jeszcze dwa razy trafiając gwardzistę tu i tam, lecz ani razu w sam tułów. Nie odbyło się to całkiem bezkarnie, bo omal nie stracił ucha, lecz skończyło się na skaleczeniu. Czas uciekał. Chal-Chenet pojął, że jednak nie tyle zostanie zabity, co zamęczony walką. Del Wares odgadł tę myśl, co nie było bardzo trudną sztuką, i natychmiast zrobił to właśnie, czego nie robił dotąd: ryzykownie śmiałym zwodem ominął wysuniętą broń Chal-Cheneta i przebił mu gardło pchnięciem tak szybkim, że aż trudnym do zauważenia. Cofnął się, a gdy żołnierz opuścił broń, wyprowadził jeszcze dwa -

już raczej głębokie niż szybkie - pchnięcia w samą pierś, bo stojący przed nim dzielny człowiek nie zasłużył na długie konanie z oddechem tonącym we krwi.

Jeden sztych trafił w serce i Chal-Chenet umarł, nim dotknął plecami ziemi.

Del Wares skłonił mu się szpadą, otarł ją chusteczką, po czym wsunął do pochwy. Dotknął boleśnie, lecz niegroźnie skaleczonego ramienia, wytarł z szyi krew ciekącą z przeciętego ucha, pozbierał z ziemi swój płaszcz i kapelusz. Rozejrzał się, raz jeszcze oglądając kontury smutnych Domów Reus. Przywołał Ewangelistę.

- Słyszałeś wszystko? - zapytał, znowu przykładając chusteczkę do szyi, bo ucho nadal krwawiło.

- Słyszałem.

- Masz jakieś pieniądze?

- Trochę.

- Tu masz więcej, powinno wystarczyć. Wprawdzie pojedynki są zakazane i nie mogę powiadomić władz miejskich, ale to nie znaczy, że ten człowiek ma leżeć przy gościńcu jak pies. Pojedziesz do „Łaskawej Kwiaciarczyki”, oberżysta musi być uczciwy, skoro szlachcic taki jak Chal-Chenet kazał mu zostawić swoje mienie. Najogólniej powiesz, co tu zaszło, następnie zabierzesz muszkiet, a w zamian zostawisz konia oraz wszystkie pieniądze, prosząc gospodarza, by opłacił należyty pochówek. Wszystko to powiesz i zrobisz przy świadkach, bo inaczej oberżysta będzie się obawiał, że oskarżą go o morderstwo i zabór cudzego mienia. Potem znikniesz; upewnij się, czy nikt cię nie śledzi. Jedź już, ja wracam do zamku.

Ewangelista wziął swojego konia i odjechał.

Chal-Chenet nie powiedział, co zrobić z jego rapierem. Del Wares nie chciał wyjmować broni z ręki zabitego, lecz tym bardziej sobie nie życzył, by uzbroił się w nią jakiś miejski pachoł przysłany tutaj po ciało. Przydepnąwszy klingę, złamał

Leżący na ziemi człowiek, który przeżył najkrwawsze wojny, spoglądał martwymi oczami na posępne widma zjawiające się tylko czasem - dziwne domy, które z jakichś nieznanych przyczyn tak mocno go przyciągały. Czy naprawdę warto było umrzeć z powodu takich widm?...

Ale może nie chodziło o widma. Raczej o prawo do samostanowienia. O wolną wolę, której bronił - niestety, wbrew rozumowi.

Del Wares dosiadł konia i pojechał do Moun.

część druga

Rapier i wachlarz

IX

Po dwóch dniach słabych przymrozków, w drugiej połowie kwietnia przykrych i zaskakujących, nadeszły deszcze. Płytką kałuża kryła pod warstewką wody zimne błoto, które rozbryznięto się na wszystkie strony grzmotnięte kulą działową. kilkakrotnie już odbity od ziemi, nie miał wielkiego impetu, ale wciąż mógł zgruchotać nogi i Del Wares, od stóp po samą głowę zbryzgany wodnistym błockiem, mógł sobie szczerze winszować, że skończyło się na takiej przykrości. Bitewne pole było dla każdego niczym fantowa loteria, ale wygrywał ten, kto wyciągnął pustą karteczkę. W olbrzymiej bibliotece baronowej Sa Tuel - bo we własnej takich książek nie trzymał - Del Wares wyszukał był kiedyś rzecz o wielkich wodzach-bohaterach. Ludzie ci wiedli jazdę aż do samych linii wrogiej infanterii, wołając przy tym gromko: „Chłopcy, a równo! Sprostamy!”.

Kto był takim wodzem, ten na pewno nie był wodzem wielkim. Nie zdążył. Osiemdziesiąt muszkietów pierwszej linii

wymierzonych w generalski kapelusz rozstrzygało o jego karierze i dalszy jej ciąg następował już tylko w bibliotece baronowej Sa Tuel, na kartach pięknie oprawionej księgi.

Ale za to jakimż kochankiem był ów wspomniany generał!... W książce wszystko było z pieczołowitością przedstawione. Czytając, wzruszony Del Wares aż dwa razy musiał strząsnąć łzę, choć poznał tylko przedostatni rozdział.

Zgarnąwszy błoto z kapelusza, Del Wares rozejrzał się dokoła, bo na chwilę stracił orientację. Celem jego szarży przez rozmiękłe pole był wysoki przydrożny krzyż widoczny w odległości jakichś czterystu kroków. Spod tego właśnie krzyża wysłano go po wieści; teraz z wieściami już wracał.

Ślamazarna, a przez to niepotrzebnie krwawa, bez żadnego planu prowadzona bitwa nie tyle miała się ku rozstrzygnięciu, co dogorywała. Obrzuciwszy spojrzeniem dalekie, uwikłane w bój regimenty, Del Wares pomyślał o armatniej kuli, którą wygrał na wojennej loterii, kuli, która tylko obrzuciła go błotem, jakby mówiąc: „Przecież to nie twoja batalia, ty tu nie należysz! Zmykaj stąd szybko, ale już!”. I Del Wares posłuchał, bo owej loterii wojennej nienawidził jak niczego na świecie. Dobrze mu się kiedyś porucznikowało, ale tylko do czasu, aż został posłany na wojnę. To nie była zabawa dla normalnych ludzi... Z pistoletem i szpadą w ręku Del Wares gotów był stawić się samemu diabłu, lecz pole bitwy, miejsce, na którym rządził jedynie los, po prostu go przerażało. Nie miał tam wpływu na nic; ot, nadlatywała skądś kula wystrzelona przez kanoniera, który ani go znał, ani

nawet widział, i uderzała w kałużę, ale równie dobrze mogła trafić w łeb. Żaden niegłupi i naprawdę dzielny człowiek, żywiący zaufanie do własnych umiejętności, nie mógł zgodzić się na bycie zwykłym kręglem, który albo się przewróci, albo

Loteria... Temu kula, a tamtemu granat. Pikinierzy losowali kirasjerów, główna zaś nagroda przypadała niepozornym, byle jak odzianym, poczeriałym od dymu kanonierom z wyciorami i szuflami prochowymi w dłoniach: fant nad fanty, szeroka ława rajtarów z pistoletami w rękach, wychodząca zza zagajnika, idąca na skrzydło i płytkie zaplecze szyku. Potężne działa, druzgoczące granatami jakieś bezradne pułki (ci to dopiero wygrali...) tkwiące w błocie tysiąc kroków dalej, nic nie mogły wskórać przeciw lekkiej jeździe, bo nie ku niej miały obrócone paszcze. Wrzaski artylerzystów; pistoletowa palba; krew na lawetach ich wiernego, tak wspaniałego i groźnego, lecz nie mogącego ich bronić w bezpośrednim boju oręża.

Losowanie... Dla tego regimentu szwoleżerów - trzask składanych na forkiatach muszkietowych rur. Prawie dwie setki ludzi posłanych dokądś przez kogoś. Nie mogących odnaleźć celu, biegnących wzdłuż długiej, niekończącej się chyba linii muszkieterów. Prawdziwie ognista jazda, bo biegnąc, zapalała tę linię; z hukiem rozwijała się i gasła wstęga ognia, cały czas towarzysząc szwoleżerom, jakby rozciągnięty w galopie regiment włókł za sobą i z boku gruby czerwony sznur, a może raczej podpalony lont, buchający trzaskiem, łoskotem, ogniem i brudnym dymem. Rozstrzelany do ostatka regiment; dwustu jeźdźców, którzy zginęli, a nie zabili nikogo. Dwie setki groteskowo

pokaleczonych trupów na dwóch setkach zabitych koni. Groteskowo pokaleczonych - bo wszyscy trafieni tak samo, z podruzgotanymi prawymi rękami, wywalonymi z czaszki na wierzch prawymi oczami, dziurami w prawych bokach, zgniecionymi przez kule prawymi kolanami. Dwie setki postrzelonych w prawe boki koni.

Pchane wiatrem dymy przemieszczały się z zachodu na wschód, od największych działowych baterii na wzniesieniach i czworoboków piechoty ku niżej położonej równinie, gdzie nie rodziły się dymy, bo był to teren dla jazdy. Coś się tam kołowało, z rzędzących i porozrywanych już dymów wypadały jakieś oddziały, różne grupy i grupki rozproszonych jeźdźców, lecz Del Wares nie wiedział, kto tam kogo sobie wylosował. Jako piechur - bo nim uciekł od wojska i wojny, służył przecież w piechocie - nie považał kawalerzystów, dobrze wiedząc, że ich zgiełkliwe utarczki nie rozstrzygną dobrze prowadzonej bitwy. Toteż niewiele uwagi poświęcił był przed chwilą skrwawionej równinie jazdy, bo akurat tyle, ile trzeba, by obejrzeć militarną nowinkę. W wojskowych kręgach Zjednoczonych Królestw powiadano sobie już od paru lat, że w prowincji Valaquet kawaleria odeszła od karakolu, preferując prowadzony cwałem atak na białą broń. Pan hrabia Se Rhame Sar - bo to jemu przypisywano wdrożenie nowej taktyki - był dość doświadczonym generałem, żeby opracować podręcznik do nowych metod walki; był zarazem człowiekiem dość młodym, by nie zeżarła go jeszcze właściwa wodzom-weteranom rutyna. Del Wares nie znał się na

kawalerii, ale w głębi duszy uważał, że robienie z niej kiepsko uzbrojonej, bo w same pistolety, piechoty - a do tego przecież sprowadzał się karakol - to dziwaczne, zastarzałe nieporozumienie. Pędzący z pałaszami w dłoniach jeźdźcy wydawali mu się znacznie groźniejsi. Wymuszali na piechocie szybszy i dlatego mało celny ogień. Łamali szyki samą masą i

Miał przed chwilą okazję przyjrzeć się nowej taktyce. Lecz z daleka był to tylko chaos. Prawdę rzekłszy, z bliska chyba też.

A zresztą właśnie nadchodziła piechota. Wódz dostojnej Weroniki Teresy Se Alide Sar hołdował taktycznemu ustawieniu, którego od dawna już nie stosowano... Gigantyczna tercja piechoty, nieruchawa, powolna, jakoś jednak przetoczyła się na skraj równiny jazdy. Oznaczało to, że jazdy już nie ma. Tercja, skoro gdzieś doszła, była straszna w działaniu.

Krzyż stał niedaleko. W niewielkiej odległości pełniły wartę dwa strojne, dobrze wymusztrowane regimenty, konny i pieszy. Wokół samego krzyża zebrało się najświetniejsze towarzystwo Valaquet - mieniły się wszystkimi kolorami suknie kobiet i kaftany bądź mundury mężczyzn, migotały klejnoty, szeleściły koronki i drżały na wietrze pióropusze. Unurzany w błocie, zdyszany biegiem człowiek nie pasował tu tak dalece, że jego przybycie wywołało niepohamowany wybuch śmiechu. Śmiech potężniał, bo coraz więcej twarzy zwracało się ku osobliwemu zjawisku. Del Wares dotarł do samego krzyża otoczony hałasem, któremu nie sprostałoby oglądani przed chwilą muszkietrzy.

I przysłała mu do głowy pewna myśl.

- Mój Boże, jak pan wyglądasz? Ale gdzie masz konia? - zapytała z troską w głosie niespełna czterdziestoletnia, wciąż bardzo piękna brunetka, w której oczach jednak nie było żadnej troski, a przeciwnie, bezlitosna zapowiedź odwetu. „Ośmieszasz mię pan” – wydawała się mówić. „No to teraz poczekaj!...”

Śmiechy przygasły.

- Posłała mię pani po wieści - rzekł zdyszany Del Wares - lecz, niestety, ich nie zdobyłem.

- Ale dlaczego?

- Bo trzysta bądź czterysta kroków stąd - rzekł z bolesną miną Del Wares, lubując się w duchu mocą trucizny, którą właśnie umiejętnie zadawał - upadł granat armatni, koń mój spłoszył się i zrzucił mnie na ziemię. Zaczne zwierzę powinno gdzieś tu biegać, czy ktoś może widział?...

- Rzeczywiście, jakieś zwierzę bez jeźdźca pobiegło w tamtą stronę - powiedział młody pułkownik arkebuzerów, tych, którzy stali nieopodal w szyku. - Lecz to było godzinę temu...

W ciągu tej godziny Del Wares pieszo dotarł gdzie trzeba, zasięgnął wieści, zlustrował pole bitwy i wrócił. Konia sam przepędził, bo wiedział, że jego Walet bez trudu trafi do stajni, którą miał za swoją od miesiąca, a nie chciał narażać dzielnego czworonoga dla zachcianek towarzystwa spod krzyża. Teraz potrząsnął głową i powiedział:

- Skoro strzelano do mnie, to sam pan rozumiesz, że leżałem na ziemi, by nie zostać trafionym.

- Ale... przez godzinę?

- Mówię panu przecież, że strzelano do mnie!

- Czteryście kroków stąd? Przecież tutaj kule już nie dolatują, widziałeś pan najwyższej ostatni rykoszet... I gdy tak leżałeś, znów strzelano?

- Tak jest. Strzelono jeszcze raz i muszę panu powiedzieć, że o wiele bliżej.

Piękna brunetka w bladopomarańczowej sukni haftowanej czarnymi nićmi i przybranej takimiż koronkami zacisnęła usta i poczerwieniała na policzkach tak bardzo, że zachodziła obawa, iż dozna ataku apopleksji. Zdezorientowany pułkownik w szamerowanym złotem mundurze kawalerzysty mimowolnie obejrzał się na towarzystwo, jakby pytał o radę, ale dostrzegł tylko nabrzmiałe powściąganą wesołością twarze. Kilka kobiet wręcz chichotało.

- Nie masz więc pan wieści, bo leżałeś przez godzinę w brudzie?

Uradowany Del Wares już nie tylko w oczach, ale i w głosie mówiącej znalazł obietnicę najwymyślniejszej zemsty.

- Można by tak powiedzieć. Jednak...

Kilka osób nie wytrzymało i parsknęło śmiechem, dając hasło do ogólnej wesołości. Upapwany błotem Del Wares, dumnie wsparty pod boki, ze zmarszczoną brwią, liczył w myślach zgromadzony kapitał. Nienawistne obligacje wystawionej na pośmiewisko kochanki - to raz. Otwarty kredyt życzliwości u mężczyzn, którzy zdekowani na tyłach pod krzyżem wychodzili w zestawieniu z nim na bohaterów - dwa. I weksel na okaziciela, a raczej okazicielkę... Przecież jakaś ciepła i wrażliwa dusza na pewno w tej chwili cierpiała, widząc pięknego

mężczyznę, który dzielnie podjął się trudnego zadania, lecz, niestety, nie sprostął mu i został bezlitośnie wyszydzony... Przez tych, którzy niczego nawet nie spróbowali.

Rozejrzawszy się dyskretnie po twarzach kobiet, Del Wares zapisał sobie w myślach, że wysoka dziewczyna o wielkich, wilgotnych oczach sarny nie śmieje się razem z innymi, a przeciwnie, z wyraźną przykrością przygryza dolną wargę. Zerknęła nań ukradkiem i zmieszała się, napotkawszy badawcze spojrzenie. Del Wares skłonił się prawie niedostrzegalnie, ale tak, jakby mówił: „Pani coś wie... i ja też coś wiem”.

Dziewczyna zarumieniła się nieznacznie.

„Otóż to, moja piękna Atheves” - rzekł sobie w myślach Del Wares. „Ta najwyżej osiemnastoletnia łania chętnie zajmie miejsce podstarzałej klepy, którą pani jesteś... I zobaczymy, co wtedy. Nie wie pani? A ja świetnie wiem”.

Zwróciwszy oczy ku czarnowłosej kobiecie, która śmiała się z innymi, choć robiła to z wyraźnym przymusem, Del Wares mrugnął okiem i był pewien, że stara intrygantka nie przeoczyła tego. Przestała się śmiać, a w zamian patrzyła wyczekująco, jakby pytała, co to miało znaczyć.

Znaczyło: „Dziękuję pani, przecież właśnie o to mi chodziło!” I chyba się domyśliła.

- Więc nie wie pan nawet, czy to jeszcze długo potrwa? - zapytała ostro, ucinając śmiechy.

- Nie. Niestety nie wiem.

- W takim razie uważam, że dalsze czekanie mija się z celem - powiedziała pani Atheves, zwracając się do otaczających

ją osób. - Panie pułkowniku, zechce pan na czele swych żołnierzy zadbać o nasze bezpieczeństwo w czasie drogi

- Po to tutaj jestem i po nic innego, pani - odparł z ukłonem oficer.

- Dziękuję, jesteś pan niezawodny. Jedźmy już.

Posłano po karety i konie. W zamieszaniu, gdy kobiety dbały tylko o suknie, by nie nurzały się w błocie, a konni mężczyźni zajmowali bojowe stanowiska przy drzwiczkach wybranych karet, nikt już nie zwracał uwagi na samotnie stojącego człowieka w pobrudzonej i mokrej szacie. Wczoraj uśmiechano się doń, wyprzedzano w ukłonie, podchodzono tylko po to, by wszcząć rozmowę o niczym, bo był to ktoś, kogo jedno słowo mogło wiele sprawić u wszechwładnej pani Atheves. Dzisiaj ten sam człowiek wypadł z łask, co dla biegłych w półsłówkach i znaczących spojrzeniach dworaków było tak oczywiste, jakby zostało ogłoszone wprost.

Gdy większość karet stała już na drodze, a pierwsze ruszały śladem gwardyjskiego regimentu piechoty, do tkwiącego pod krzyżem szlachcica zbliżył się młody giermek prowadzący konia za uzdę.

- Nakazano mi, bym pożyczył panu wierzchowca, kawalerze.

Del Wares uważnie popatrzył na młodzieńca.

- Dziękuję, lecz pan co zrobisz? Chyba nie pójdziesz pieszo?

- O, nie. Siądę do karety z osobą, której towarzyszę.

Del Wares uśmiechnął się głupiego.

- Podziękuj więc tej osobie, jest to bowiem szlachcic, jakich niewielu zostało - powiedział, świetnie wiedząc, że chodzi o

szlachciankę, nie szlachcica. - Nie powinienem jednak korzystać z uprzejmości kogoś, kogo nie znam. Czy dowiem się nazwiska, bym mógł osobiście podziękować?

- Zapytam.

- Panu zaś dziękuję już teraz.

Uchyliwszy kapelusza, Del Wares wziął cugle z rąk młodzieńca (niewątpliwie młodzian był szlachcicem; w Valaquet starannie przestrzegano form i giermkom szlachetnie urodzonej damy raczej nie został ktoś z niepewnym pochodzeniem), poklepał zwierzę po szyi, po czym wskoczył na siodło. Z wysokości końskiego grzbietu popatrzył jeszcze na odległą równinę, ku której spływały dymy, na kurhan z baterią artylerii, wykroty, między którymi z trudem manewrowała piechota rozstrzeliwująca się nawzajem z najmniejszej odległości - całą tę awanturę, której wynik obchodził wszystkich, ale przebieg nikogo. Wsłuchując się w odległe dudnienie dział i przeciągłe pohukiwania muszkietowych salw, dołączył do szyku jeźdźców i powozów. Był to wąż o niebywale wielkiej głowie, bo karecie pani Atheves towarzyszył nieomal tłum, i coraz cieńszym długim ogonie - przy karetach jadących na końcu nie uwijał się prawie nikt. Ale właśnie jedna z tych jadących w ogonie karet zwróciła uwagę kawalera Del Wares, bo spoza zasłonki mignęła w okienku ładna młoda twarz - ta właśnie, której szukał. Zaraz zresztą zasłonkę odgarnięto i wy-

Zechce pan się zbliżyć, kawalerze!
Na drzwiczkach nie umieszczono herbu - może przez dyskrecję i skromność, ale raczej dla jego braku. Przymuszczałnie

kareta była własnością kogoś, kto należał do dworu faktycznej władczyni prowincji raczej dzięki swoim zasługom (może wpływom albo pieniądзом, albo trzymanemu urzędowi) niżli z powodu świetnego nazwiska.

Podjechawszy do drzwiczek karety, Del Wares pochylił się i nie wypadając z roli - bo chciał coś jeszcze sprawdzić - powiedział:

- Jestem panu niezmiernie wdzięczny, że zechciał pan poprosić swego giermka, by odstąpił mi konia. Jestem kawaler Del Wares; wprawdzie sądzę, że zna pan moje nazwisko, bo obcemu nie pożyczylby pan konia, ale mimo to się przedstawiam, bo chciałbym następnie poprosić...

Urwał, gdy z karety dobiegł dźwięczny, choć cokolwiek stłumiony śmiech.

- Wybacz pan, rzeczywiście znam pana - powiedziała kobieta, która śmiała się przed chwilą - ale widzę, że pan mnie nie zna wcale.

- Dobry Boże... Proszę mi przebaczyć! Zdaje się, że wyszedłem na głupca. Podjechałem, chcąc zapytać o nazwisko, bo nie wiem, komu dziękować, ale nie przyszło mi do głowy, że winien jestem wdzięczność kobiecie. Jak to? Pani, dama, zechciała z mojego powodu dzielić karete ze swym giermkim?

- Tak, i cóż?

Młodzieniec, który oddał konia Del Waresowi, na pewno nie miał nic przeciwko temu, by odbyć podróż kolano w kolano z całkiem ładną panną, której służył i której wiernie strzegł. Jeśli mu cokolwiek przeszkadzało, to już raczej obecność natręta przy okienku karety. Naprawdę, pan kawaler Del Wares uczyniłby

najgrzeczniej, galopując swoją drogą, skoro mu dano konia.

Lecz Del Wares ani myślał galopować. Wystawiwszy panienkę na próbę, dowiedział się już, że jest wcale bystra i nie traci rezonu przy pierwszym zapytaniu. Teraz koniecznie należało podtrzymać świeżą znajomość.

- Jestem zbyt zuchwały wobec pani, ale obok wdzięczności czuję coś jeszcze... I jest to uczucie szybko narastające.

- O, a co takiego? - zapytała z odcieniem niepokoju.

Zarówno w wielkich oczach młodej damy, jak i całej twarzy, a na koniec głosie Del Wares mógł czytać niczym w książce. Miał przeszło trzydzieści pięć lat, a od jakichś dwudziestu kobiety wodziły go za nos bądź przynajmniej wodzić próbowały. Pobrawszy wpierw tu i ówdzie nauki elementarne, Del Wares studiował dalej, aż skończył w akademii prowadzonej przez panią Sa Tuel. Umiał wszystko; mógł przemienić ołów lub żelazo w złoto, bo kamień filozoficzny nosił za pazuchą. Biedactwo w karecie przeraziło się oto w głębi serca, że obdarowany przychylnością młodej kobiety szlachcic to może być jakiś impertynent, który zamieniwszy dwa słowa, rąbnie zaraz: „Narasta we mnie miłość, kocham panią!”.

- To uczucie? Ciekawość... - odparł Del Wares z uśmiechem. - To nieprawda, o pani, że ciekawe są tylko kobiety, niech pani temu nie wierzy! Jest to wieść z gruntu fałszywa, rozpowszechniana przez mężczyzn.

Poweselała.

- Naprawdę?

- Naprawdę, choć zupełnie nie wiem, o co pani mnie pyta. Czy naprawdę czuję ciekawość? Czy też że naprawdę tę prawdę

jako prawdę przedstawiają kobietom mężczyźni?

Nie był impertynentem... W zamian był uprzejmy, zręczny w słowach, dowcipny.

- Skoro nie wiesz pan, o co pytam, to dlaczego z góry potwierdzasz?

- Bo wszystko, co rzekłem, jest prawdą.

- Jesteś więc pan taki prawdomówny?

Jak na żartobliwe pytanie zadane w lekkiej rozmowie mężczyzna troszeczkę przydługo zwlekał z odpowiedzią.

- Nie - odparł wreszcie. - Nie jestem.

- Kłamiesz?

- Czasem kłamię.

- Nie „czasem”, tylko teraz, w tej chwili. Na pewno pan nie kłamiesz, szlachcic nie może kłamać.

- Tak, o pani, a ciekawość jest wyłączną domeną kobiet.

Skarcił ją. Przygryzła wargę i roześmiała się.

- Zasłużyłam. To obiegowe opinie, które niewiele znaczą... nieprawdaż? Ale jednak dlaczego miałbyś kłamać?

- Bo ja wiem... Z tchórzostwa?

- Przecież nie jest pan tchórzem - powiedziała stanowczo.

- Tam, pod krzyżem, dowodziłem, że jestem.

- A co takiego stało się pod krzyżem? Byłam tam, lecz nic nie słyszałam. Pamiętam tylko, że pewien szlachcic podjął się zadania, do którego nie kwapił się nikt inny, po czym wrócił w odzieniu zniszczonym przez bliskie wybuchy bomb artyleryjskich.

- Nie wykonał zadania.
- Podjął się go. Poszedł.
- Leżał w bruzdzie, a obok upadło pięć pocisków.
- Chyba dwa?
- Mam panią. Wszystko słyszałaś.
- Jesteś pan podstępny! To nieładnie.
- Nieładnie. Ale za to wiem, że słyszałaś.
- Jeśli nawet słyszałam, co z tego?
- Kilkadziesiąt pocisków, może nawet sto. W tej liczbie co najwyżej sześć, siedem armatnich, reszta to zwykłe muszkietowe kule. Zabłąkane, nikt specjalnie do mnie nie strzelał. Lecz musiałem przejść przez linię ognia muszkietarów. Było to już jednak - pozwoli pani, że jej wytłumaczę - poza skutecznym zasięgiem muszkietów, więc, powiedzmy to sobie, mogłem co najwyżej stracić oko, a najprędzej zarobić sińca albo
 - O co panu chodzi? Co mi pan za historie opowiada? - zapytała z niepewnym uśmiechem.
 - Opowiadam je pani, ale w zamian nie opowiedziałem towarzystwu pod krzyżem. Do wieczora bitwa się skończy, będzie nierozegrana. Generał Trey utrzyma pozycję, ale zużył wszystkie odwody, chciał nawet prosić o przyboczną gwardię dostojnej pani Atheves. Rozmyślił się, nie poprosił, uważając słusznie, że dwa regimenty, nawet doborowe, i tak już nic nie wskórają. Jednak tylko dzięki temu, że generał Trey się rozmyślił, nie musiałem oddawać pod krzyżem jego pisma z prośbą o gwardię... Generał się rozmyślił, a ja mogłem opo- - Pan to mówi poważnie? Tak, poważnie! - odpowiedziała sama sobie, szeroko otwartymi oczami patrząc na mężczyznę

jadącego obok karety. - Przecież pan tam był! Pan wykonał zadanie. Nigdzie pan nie leżał przez godzinę!

Zachwycona klasnęła w ręce.

- Ale dlaczego... dlaczego w takim razie?...

- Dlaczego tak nałgałem, o to chce pani spytać?

- Tak! Dlaczego?

- Otóż, widzi pani... Z przekory.

- Nie rozumiem?

- To proste. Wszyscy ci dzielni panowie śmiali się z błota na moim kapeluszu i kaftanie. Ale nawet nie dlatego skłamałem. Śmiał się ze mnie ktoś jeszcze; ktoś, kto chyba nie powinien tego robić, bo przecież to dla tej osoby tam poszedłem. Myślałem, że ta osoba raczej umiera z niepokoju! - rzekł Del Wares ze starannie odmierzoną goryczą, nie za dużą, akurat taką, by została zauważona. - Wie pani, że przed laty byłem porucznikiem w królewskim regimencie muszkieterów?

- Nie. Skąd mogłabym wiedzieć?

- Widzi pani. Ale stały pod krzyżem osoby, które o tym świetnie wiedziały. Przynajmniej jedna osoba wie o tym na pewno. I ta osoba łatwo uwierzyła, że oficer muszkieterów leży w bruździe, gdy z odległości pół mili nadlatuje, skacząc po ziemi, dawno wygasły granat. Tyle ów oficer się nauczył na wojnach. Leżeć przez godzinę po każdym armatnim strzale.

Milczała.

- Chcę wiedzieć wszystko - zażądała wreszcie, jak nie liczące się z niczym dziecko. - To najbardziej niezwykła historia, jaką... jaką...

- No, no, proszę uważać, zagalopuje się pani.

- Jak to?

- Historia wcale nie jest niezwykła, wręcz przeciwnie. To banalna opowieść o czyjejs uciążonej dumie, może jeszcze zranionym uczuciu albo złamanym sercu... - urwał, czując, że trochę przeholował.

I byłoby tak w samej rzeczy, gdyby w karecie siedziała kobieta dwudziestokilkuletnia. Ale na szczęście siedziała bardzo młoda dziewczyna.

- O zranionym uczuciu... - szepnęła.

- Nic więcej pani nie powiem, bo musiałbym zdradzić tajemnicę. A nie należy ona tylko do mnie.

Użył potężnego zaklęcia: tajemnica. Był to czar najzupełniej obojędniczący, zwłaszcza gdy został użyty przeciw kobiecie. Obojędniczący pod jednym wszakże warunkiem: to nie mogła być, broń Boże, tajemnica stanu. Musiała być to niepoważna tajemnica, ale w zamian mocno chwytająca za serce. W domyśle - tajemnica miłosna. Czyli taka, o jakiej wszyscy, zupełnie wszyscy wiedzieli.

Pan Del Wares miał taką tajemnicę. Panna z karety ją znała, jak i wszyscy znali, bo piękna Atheves dość jawnie obnosiła się z nowym kochankiem. Teraz chodziło o to, by miłe dziewczę uwierzyło, że nikomu innemu Del Wares swojej tajemnicy nie zdradził. Nikomu, tylko jej.

- Czy przebaczy mi pani niegodną szlachcica natarczywość, gdy wprost ją zapytam o nazwisko? Ostrzegałem panią, że ciekawość moja narasta... Otóż i narosła tak bardzo, że już dłużej nie utrzymam jej na wodzy.

Przyłożyła na chwilę dłonie do policzków.

- O Boże... Pan mnie prosi o przebaczenie, a to ja jestem niegrzeczna. Zawstydził mnie pan, to nieładnie... Dlaczego nie znalazł pan sposobu, by mnie skarcić, nie zawstydzając?

- Ma pani zbyt dobre mniemanie nie tylko o moich manierach, ale i oratorskich zdolnościach.

- Zbyt dobre? Wcale nie. Monesca Vel Raesa Se Moyna; pan mnie nie zna, bo jestem w tej prowincji zaledwie od półtora miesiąca i nieczęsto bywam na dworze dostojnej księżny Se Potres.

- Jesteś pani Arelką? - zapytał zdziwiony Del Wares.

- Tylko trochę - odparła tyleż zagadkowo, co wymijająco. - Mieszkam w Arelay.

Nie mogła bądź nie chciała czegoś mówić, lecz powiedziała dosyć, by Del Wares domyślił się, że podała mu nazwiska, które przyjęła od swoich arelskich włości; nazwiska rodowego nie zdradziła albo też nie używała.

- Gdzie pan mieszka? - zapytała nagle. - Czy w pałacu?

- Nie... - odparł cokolwiek skonsternowany, bo pytanie zabrzmiało mu w uszach trochę zbyt bezpośrednio. - Wynajmuję ładne mieszkanie na mieście. Dlaczego pani pyta?

Przyglądała mu się w milczeniu i trwało to tak długo, że... zupełnie nie na żarty zaczął tracić rezon. Wtedy nagle wybuchnęła śmiechem i zrozumiał, że dostał nauczkę. Była młoda, może przez to naiwna, lecz nie głupia.

- Przecież muszę gdzieś posłać po konia, na którym pan właśnie jedziesz - powiedziała z wyraźną ironią, jeśli nie zgoła kpina.

- Dobry Boże... Ależ ja sam odeślę go pani!

- Tak, a... dokąd?

- Jeszcze nie wiem.

- I na razie się pan nie dowie. Pan masz swoje tajemnice, więc ja też muszę mieć jakieś. Podaj pan swój adres mojemu stangretowi, ja... mój Boże... w ogóle nie mam głowy do podobnych spraw.

Del Wares zrozumiał, że właśnie dobił targu.

- Dziękuję panu - powiedziała. - Rozmowa z panem znacznie skróciła tę podróż. Warto czasem pożyczyć konia...

Ujrawszy w okienku karety delikatną dłoń, Del Wares ujął ją za same końce palców, po czym zdjął kapelusz i przechylił się w siodle. Złożywszy pocałunek, ponaglił wierzchowca, powiedział stangretowi, jak znaleźć dom, w którym mieszkał, zaraz potem zatrzymał się i pozwolił karecie odjechać.

Kołysząc się i skrzypiąc na wybojach, mijały go kolejne pojazdy. Zapadał już wczesny zmierzch.

Droga Baronowo!

Czy nie nazbyt wiele ode mnie oczekujesz? Łatwo to powiedzieć: „Pozyskaj sobie względy dostojnej księżny Se Potres”, znacznie trudniej wykonać. Nie wiem, jak wygląda teraz dwór dostojnej Weroniki Teresy Se Alide Sar (powiadają tutaj, że posunęła się w latach; czy to prawda? byłaby szkoda, bo słyszałem, że to

bardzo piękna kobieta, a przynajmniej taką była za młodu), ale tutaj dwór księżny Se Potres jest jej dworem zaledwie z nazwy. Sama księżna od kilku miesięcy bawi w swoich północnych włościach, a gdzie dokładnie, nie wie chyba nikt. Ziemię Potres to lasy i lasy, a pomiędzy lasami liczne stare zamki. Wszystkie listy kieruje się do Pahr, ale czy tam właśnie jest księżna - śmiem wątpić. To zresztą najzupełniej obojętne, bo pani Se Potres jest w tej chwili nikim, skądinąd na własne życzenie. Wszyscy tutaj mówią, że to śmierć jej jedyne go brata dopełniła miary, nie bez znaczenia zapewne było także to, co stało się z jej młodszą i ostatnią już żyjącą siostrą, Jaseną. Księżna od dawna chorowała, miewała ataki duszności i kołatania serca, a po pogrzebie generała hrabiego ledwie ją odratowali - rzecz trochę dziwna, bo podobno uczucia do brata żywiła raczej chłodne, a sam pogrzeb nie był nazbyt okazały. Niektórzy mówią jednak, że wcale tak nie było, że trapiąca wyrzutami sumienia Wanesa chciała, lecz nie potrafiła zbliżyć się do surowego niczym mnich hrabiego, który choć służył jej na polach bitew, to obarczył połową winy za rozpętanie wojny domowej w Valaquet, a bardziej jeszcze winą za zgubę dwóch sióstr. Niezwykły to był człowiek, Renato, a wiesz, że nie mówię tak o każdym. Pośród wszystkich tutejszych wojen i intryg on jeden kroczył swoją własną drogą, na wszystkim odcisnął swoje piętno. Wszyscy odsuwali się odeń, a gdy go zabrakło, każdy odczuł to jako własną stratę, bo każdy musiał sobie powiedzieć, że odszedł już ostatni wielki człowiek, jaki żył w Valaquet. Nie wiem, jak to wygląda u Ciebie, ale myślę, że i w stronnictwie dostojnej Weroniki Teresy, choć rzadziej mówi się

o hrabim - bo do tego stronnictwa przecież nie należał - to jeśli już się mówi, słowa brzmią podobnie do wypowiedzianych tutaj. Skłonny więc jestem dać wiarę, że śmierć brata była dla księżny Se Potres wielkim wstrząsem. Zresztą jak było, tak było, dość, że od kilku miesięcy Wanesa księżna Se Potres to jest tylko nazwisko, pusty dźwięk, dym. Całkowicie odsunęła się od polityki, uciekła, jak już pisałem, do swoich przygranicznych dóbr i - znowu powiem, jakie krążą plotki -jeśli o czymś myśli, to najwyżej o zamknięciu się w klasztorze. Oto jaki może być koniec kobiety, która po swej matce odziedziczyć miała wstęgę Pierwszej Damy Bractwa Rycerskiego, a z tą wstęgą tron wicekrólewski; koniec tej, którą uważano za kobietę ze stali, zbyt ambitną, by chciała czekać na sukcesję.

Skoro nie ma już księżny Se Potres, pozostała pani Atheves, której księżna poleciła prowadzić swoje sprawy. Od zawsze było wiadomo, że pani Dorota Atheves to zły duch księżny Wanesy; jakże zresztą mogło być inaczej, skoro król posłał ją tutaj, by doprowadziła do jej zguby. Jest rzeczą nie do wiary, że wszyscy tutaj ciągle uważają, że Atheves przyjechała do Valaquet, chcąc zemścić się na dostojnej Weronice Teresie, która kiedyś ją wypędziła -ją, największą swoją przyjaciółką i pierwszą damę dworu. Dla samej zemsty więc stanęła u boku jej córki, gdy ta wypowiedziała posłuszeństwo matce. Wygląda na to, że wszyscy w tę bajkę wierzą, zresztą trzeba powiedzieć, że i ja bym mógł uwierzyć, gdyby nie informacje, których już przed pół rokiem udzieliła nam Egaheer. Teraz jednak uważam, że Atheves nie trzyma niczyich kart, tylko swoje. Jeśli król Karol jej ufa, to żal mi króla Karola, choć skądinąd to do niego podobne, jest

bowiem, przy wszystkich zaletach, zadufany w sobie i próżny, sądzi więc, że niepodobna mu się przeciwstawić, a już zdradzić? - w żadnym wypadku, jednakże ufać odprawionej kochance - tego już trochę za wiele. Wyznam Ci więc, Renato: nie rozumiem króla ni w ząb. Jeśli ma on nadzieję, że dzięki knowaniom Atheves wojna tutaj będzie trwała i trwała, to ma rację. Ale jeśli sądzi dalej, że wkroczywszy ze swoimi pułkami na wiosnę, nie napotka żadnego oporu, bo staną przed nim do cna skrwawione armie, albo raczej strzępy armii - to się myli, i to głęboko. Rozpłaszczona przed kochanym Najjaśniejszym Panem pani Dorota Atheves będzie go zwodziła do ostatniej chwili, po czym zdradzi bez żadnych skrupułów, a efektem tego będzie pogrom królewskich dzielnych korpusów. Nie wiem, jak Atheves zamierza to przeprowadzić, ale się dowiem. Bo jeżeli królewskie wojska zostaną pobite i rozbite - co naprawdę może się zdarzyć, albowiem oba stronnictwa ciągle mają znośnych wodzów i pewną liczbę doborowych oddziałów - to od razu odezwą się nasi miłujący pokój sąsiedzi z Arelay i minie dekada, zanim w Zjednoczonych Królestwach w ogóle ktoś sobie przypomni, że istnieje taki kraj jak Valaquet. Przez te dziesięć lat wstrętna czarownica Atheves, która nawet już nie udaje, że w ogóle nie wie, co to są alchemia i magia, zaprowadzi tu własne porządki i ta biedna prowincja zatęskni do przeklinanych dziś rządów Dam i Kawalerów Bractwa Rycerskiego.

A najgorsze, Droga Baronowo, najgorsze ze wszystkiego jest to, że zupełnie nie wiem, czy nie winniśmy poprzeć naszej pięknej i podstępnej Atheves. Egaheer nie było i nie ma.

Próbuję iść za Twoją radą i w ogóle się tym nie zajmować, działać tak, jak to było kiedyś umówione. Ale sytuacja przecież się zmieniła. Jeśli Egaheer chce tylko ładu w Valaquet - jakiegokolwiek ładu - to prędzej zaprowadzi go Atheves niżli król. Rozumiem, że naszym zadaniem jest zadusić tutaj wszelkie śnieżne magie - lecz co dalej? Przyglądać się tylko rozgrywce? Gdybym wiedział, że wolno nam poprzeć Atheves przeciw królowi, moje możliwości tutaj wzrosłyby niepomiaralnie. Mógłbym ją szantażować bądź obiecać wsparcie - a tak mogę tylko być jej paziem, gachem, czasem jeszcze chłopcem do bicia. Mierzi mię to i męczy, daję słowo. Inna sprawa, że się tutaj specjalnie nie natrudziłem. Wprawdzie pani Atheves w ogóle nie pamięta mnie z Lazenne (bo i kogo miałyby pamiętać? szlachcica, który trzy razy sprzedał konie królowi, a poza tym na dworze bywał gościem?), ale już to tylko, że przybyłem właśnie z Lazenne, stanowiło tak wielką atrakcję i odmianę, iż - powiadam Ci, Renato - jeszcze dobrze nie wysiadł tu z karety, a już sługa najdyskretniej wtykał mi za mankiet uperfumowany bilecik, gdzie schadzkę wyznaczono mi niemal bez ogródek. Żaden to jest więc podbój i bardzo tanie zwycięstwo; będę mógł się chwalić co najwyżej, że dojadłem resztki po królu.

Ale żebyś nie myślała sobie czasem, iż zaślepią mię miłość własna, mówię Ci dla porządku: wiem, że nie dla samej męskiej urody pan kawaler Del Wares święcił tak łatwy triumf. Atheves przede wszystkim chciała tego pana wybadać, czy nie został tu przysłany na przeszpiegi. Zasięgała wieści o mojej skromnej osobie i na szczęście wywiad miała sprawny, bo doniósł najdokładniej, ktom zacz. Atheves wie nawet o tym, że służyłem kiedyś

w muszkietkach; wie, że potem podróżowałem (lecz na szczęście nie wie, w czyjej służbie...) i że osiadłem na koniec w stołecznym departamencie, żyjąc głównie ze swojej stadniny koni. Przypuszczam, że to niemało, jeśli zważyć, jak niewiele miała czasu na zdobycie wszystkich informacji.

O znajomości z Panią Piękną Baronową, nawet się nie zająknąłem, a jeśli kiedyś niebacznie upiję się i to zrobię, to Atheves z miejsca każe mi rozstrzelać. Jako mleczne siostry - bo Karol obie was przecież wykarmił na swojej królewskiej piersi - rozumiem, jak bardzo się kochacie. Zresztą daruj mi te żarty, Renato; troszeczkę tutaj schamiałem i zaraz wytłumaczę dlaczego. Nawet nie chce mi się liczyć, ile to już minęło lat, odkąd Karol zwodził brunetkę, ukradkiem figlując z blondynką, a brunetka wciąż tamtą pamięta. Dowiedziała się, że służysz teraz pani Weronice Teresie (co oznacza, że ma u niej szpiega, więc się strzeż), i podczas najbliższej wieczerzy nazwisko pani Sa Tuel padało w każdym kontekście, a najczęściej wówczas, gdy przy wetach zabawiano się żołnierskimi żartami. Sam opowiedziałem zacy dowcip o jednookim sierżancie, co wracając do domu po służbie, natknął się na Sa Tuel... o, przepraszam! chciałem rzec: wszetecznice. No i takie to były, Renato, obozowe żołnierskie żarty. Masz mnie czasem za dziarskiego wojaka, dobrze wiem, niemniej przyznam, że nawet dziarski wojak czuł dziwną niestosowność tej zabawy; mniejsza o to, czy Cię ona dotyka. Bawili się jednak szlachcice i powiem, że od takiej szlachty cokolwiek w stolicy odwykłem. A rozwodzę się nad sprawą tak długo nie po to, by Cię ubawić - choć wierzę,

że bawisz się świetnie - ale po to, by pokazać, co zostało z miejscowych elit. Toż jeszcze niedawno w Loyniwe, pod okiem króla, nie bardzo kwapiono się mówić o wicekrólewskim tylko dworze w stolicy Valaquet, bo każdy wiedział, że najlepsza szlachta, najwspanialsze rezydencje, znamienici artyści i ich dzieła -wszystko to jest w Re Alide, u dostojnej Weroniki Teresy, nie u króla. Nic z tego nie zostało, a przecież księżna Se Potres przejęła znaczna część tego dworu. Najlepsza szlachta i najdzielniejsza młodzież albo gnije na bitewnych polach, albo dawno z prowincji Valaquet uciekła, w zamian przyjeżdżają tu ze wszystkich stron świata jacyś mali awanturnicy, jacyś utracjusze, a każdy gorszy od poprzedniego. Teraz sobie pochlebię (lecz wierz mi, że nie na próżno), bo powiem, że pani Dorota Atheves (która jaka jest, taka jest, ale starożytności rodu i wzięcia nawet Ty jej, Renato, nie odmówisz) przygarnęła mię pod swoje skrzydła także z tego powodu, że w ogóle umiałem powiedzieć coś po ludzku, uśmiechnąć się kiedy trzeba i zmarszczyć brwi, gdy należy. Tu od dawna nie widziano już mężczyzny; tu są tylko dworacy, Renato, i oby aż dworacy, bo rzekłbym -

Zechciej odpisać mi bez zwłoki, bo to Pani, Piękna Baronowo, jesteś przecież głową tej misji, ja tylko, niegodny sługa, wypełniam Pani rozkazy. Chcę co rychlej wiedzieć, czego mam się trzymać.

*Oddany Pani i postuszny
szczery wojak
Arold Del Wares*

PS Mają tu piękny bursztyn znad Morza Północnego, pozwalam więc sobie oprócz listu posiać małą szkatułkę, którą zechcesz, Renato, zatrzymać...

*Del Wares w Re Selei, 12 kwietnia, PR.
1630*

Powierzywszy Ewangelście list o takiej treści, Del Wares już dwa tygodnie czekał na odpowiedź. Nie było odpowiedzi, a co gorsza - nie było Ewangelisty. Wiedząc, że niewolnik Egaheer prędzej połknął pismo, niżli oddał je komu pod przymusem, Del Wares miał zarazem świadomość, że nie wszystko da się przewidzieć i nie każdej przygody uniknąć. List był wszyty w podszewkę kaftana, ale jeśli jeździec skrzył kark w jakiejś dziurze albo padł ofiarą podobnej okoliczności - rękopis mógł zostać znaleziony przez rabusiów, którym kaftan trupa przypadł do gustu, a zresztą przez kogokolwiek. Ewangelista powinien był dawno wrócić, z odpowiedzią lub bez odpowiedzi. Przy baronowej było ich aż trzech, nie potrzebowała czwartego.

Del Wares cenił niekiedy czarny humor, lubił więc wieczorem puścić wodze fantazji i wystawić sobie, że pismo trafiło w ręce człowieka, który wiedział, komu je oddać... Pani Dorota Atheves na widok tylko jednej stroniczki tego listu na pewno gotowa była rozłożyć na stole pozostałe kartki i na każdej stawiać słupki talarów: tyle słupków, ile się zmieści; tak wysokie, aż się wszystkie przewrócą. A wówczas na wylot przezroczysty kawaler Del Wares byłby w położeniu, które najogólniej można by określić mianem - niepewnego.

Dwa dni po beznadziejnej militarnie, lecz bardzo potrzebnej politycznie drugiej bitwie pod Ammene (pierwszą, dokładnie w tym samym miejscu, stoczono mniej więcej przed rokiem) Del Wares wracał do domu. Przez te dwa dni nie był w Pałacu Driad, jak nazywano rezydencję pań Se Voux Sa Nelle, ślicznych i lubieżnie wręcz bogatych siostrzyczek, które jeszcze niedawno sprawowały w Re Selei władzę dyktatorską, narzucając ton wszystkiemu, bo poczynając od mody, a na poezji kończąc. Jeszcze przed pół rokiem słynne były „soboty u Driad”, gdzie dyskutowano o polityce, recytowano wiersze i rozprawiano o nowych kierunkach w malarstwie oraz rzeźbie, wymieniano światowe nowinki, a wszystko to wyłącznie dla widoku gospodyń, mających obyczaj przyjmowania do służby tylko takich dziewcząt, które i postawą, i rysami twarzy przypominały swe panie. Wiodąc płytkie dysputy o niczym, podziwiano więc pałac wypełniony trzydziestoma tak samo ubranymi - czy też raczej uroczo i ze smakiem porozbieranymi, bo nigdzie obyczaje nie były tak swobodne jak w Pałacu Driad - identycznie uczesanymi, bardzo podobnymi do siebie kobietami, z których tylko dwie były prawdziwymi paniami Sa Nelle i naprawdę trzeba było znać je dobrze, by przez cały wieczór ani razu się nie pomylić. Wszystko to skończyło się dosyć raptownie, bo zarzutem zdrady stanu i ścięciem obu siostr po nader krótkim procesie (powtarzano makabryczną historię, jak to starsza z Driad, nie wiedząc, że nie ma już głowy, na czworakach pełzała po deskach szafotu, aż pomocnik kata musiał przygnieść jej plecy kolanem; widać bał się, że stracona może zbiec). Skonfiskowany majątek zdrajczyń

zasilił publiczną szkatułę - czyli, mówiąc inaczej, szkatułę księżny Se Potres - w pałacu zaś zainstalowała się jej powiernica, co znaczyło, że zamiast driad mieszka tam teraz harpia. W tym to znacnym i przyjemnym domu kawaler Del Wares miał przykrość nie być już całe dwa dni, co oznaczało wyrzucenie poza nawias dworu, zresztą zapomnienie i niełaszkę.

W zamożnej kamienicy, w której wynajmował całe piętro, bo życzył sobie mieszkać odpowiednio, znalazł list zostawiony przez dyskretnego posłańca bez liberii, co wróżyło odmianę losu. Powierzywszy służącemu szpadę, kapelusz i płaszcz, Del Wares zasiadł w fotelu i rozwiązał czerwoną tasiemkę, list miał bowiem postać nieopieczętowanego rulonika. Zerknąwszy na kształt pisma, wiedział wszystko; przeczytał list, dowiedział się jeszcze więcej, czyli nic, jako że „nic” jest słowem znacznie bardziej pojemnym niż „wszystko”. Napisano tam trochę krzywo, niewyraźnie, jakby pisząca osoba od niechcenia gryzmołała piórem, leżąc w łóżku:

*Panie Kawalerze,
obraziłeś mię Pan, teraz obrażasz bardziej, nie kwapiąc się z przeprosinami. Dziś wieczorem da mi Pan zatem sposobność, bym Mu powiedziała, co myślę. Wiem już, że dwa dni temu zostałam przez Pana okłamana. Stawisz się o dziewiątej uzbrojony we wszystkie tłumaczenia i życzę sobie, by były wiarygodne. Przedłożysz je, a wówczas się dowiesz, co postanowiłam względem Pana.*

A.

Bardzo sucho, lecz ze wzmianką o przeprosinach. Nieprzyjaźnie, lecz z żądaniem wyjaśnień. Mogła być to próba pojednania bądź przepustka do miłego miejsca, gdzie jest kiepskie jedzenie, mało światła, a bardzo dużo wilgoci. Najprawdopodobniej autorka tego listu nie wiedziała jeszcze, czego chce. Gdyby wiedziała, to w swym piśmie byłaby bardziej łaskawa. Szczerze albo nieszczerze.

Westchnąwszy, Del Wares rzucił list na podłogę i jął pocierać dłonią podbródek. Rozum nakazywał z powrotem wziąć kapelusz i wyjść z domu, przykazując wcześniej słudze, by powtarzał każdemu: „Pana nie ma, nie było i w ogóle nie wiadomo, kiedy będzie”. Jednakże taka zabawa nie mogła trwać wiecznie, a wreszcie - sprowokował zerwanie z Atheves nie po to, żeby teraz uciekać przed konsekwencjami. Musiał wzburzyć wodę, bo nic się w niej nie działo; teraz na powierzchnię wypływał zgniły szlam, lecz należało baczyć, czy nie wypłynie coś jeszcze. Z drugiej jednak strony, nie przyjmując od razu wyzwania, mógł zyskać trochę czasu, dowiedzieć się czegoś, zbadać grunt. Ale czego takiego mógł się nagle dowiedzieć, skoro przez dwa dni nie dowiedział się niczego? Jaki nowy oręż mógł za dzień lub dwa skierować przeciwko wszechwładnej kochance? Nawiazał już co prawda, a nawet zdołał podtrzymać obiecującą znajomość, ale stanął zaledwie w przedpokojach i jeszcze nie było całkiem pewne, czy zostanie poproszony do komnat (musiał działać powoli, bo dziewczyna była bardzo młoda, a do takiej nie wolno iść na skróty; mając przed sobą całą młodość, całe morze czasu, taka panna jest najszczerzej przekonana,

że istnieje kobieca cześć). Krótko mówiąc, na sceny zazdrości, które tak wspaniale skleją zerwane związki i dają zdrajcy przewagę nad zdradzoną, było jeszcze stanowczo za wcześnie.

Dzielny rycerz Del Wares postanowił zatem, że z otwartą przyłbicą stanie do trudnej walki, niedoszłą zdradę zachowa w zanadrzu, teraz zaś innymi metodami obłąskawi lub poskromi czarownicę. Bo tak właśnie myślał: czarownica. Była nią w samej rzeczy, pan Del Wares zaś bał się czarownic. Z kobietami umiał sobie radzić, bo myślały tylko o jednym: o swych dzieciach - gdy już miały dzieci; o mężczyźnie - gdy ich jeszcze nie miały. Czarownice zaś myślały nie wiadomo o czym. I na pewno nie były kobietami.

Mroczny świat magiczny zrodził się z ludzkiej imaginacji i wiary - najbardziej więc dotyczył tych, co weń wierzyli, bo wiara to była materia, dzięki której świat magiczny nie tylko powstał, ale którą stale się odżywiał. Magie, w które nikt nie wierzył, nie istniały; nie istniały także magie zapomniane. Stara śnieżna kłątwa Valaquet jawiła się tutaj wyjątkiem, bo pamięć o niej - niepojętym sposobem - zaklęto chyba w przedmiocie i ten przedmiot przechował ją przez wieki. Ale nie tej magii bał się Del Wares. Trwożyły go najpospolitsze, tanie, nieomal tandetne sztuczki pięknej Doroty Atheves, która w prostej linii była spadkobierczynią brudnych wiejskich wiedźm. W Nolandii nie przetrwały żadne wielkie, do religii podobne magie; ślady takich potęg dało się odnaleźć dopiero w Saywanee. W Zjednoczonych Królestwach, a także w Arelay i Nordii chrześcijaństwo

wymazało je do cna. Przetrwały tylko pospolite gusła, wiara w warzone o północy przy pełni księżyca mikstury i eliksiry, praktykowano jeszcze zamawianie chorób, rzadziej rzucanie uroków. Bez najmniejszej litości wciąż palono za to na stosach, a ostatni głośny proces odbył się zaledwie trzy lata temu, dotyczył zaś ślepej żebraczki. W tym samym czasie faktyczna królowa Nolandii - bo taką właśnie pozycję miała królewska metresa - niemal jawnie parała się zakazanymi przez kościelne i świeckie prawo praktykami, bo umiała obrócić je w zabawę i przekonać wszystkich dokoła, że naprawdę jest to tylko zabawa, a do tego zabawa pożyteczna. Sztuczki Atheves nigdy się nie udawały, potrafiła za to usłudnie podać Kościołowi oręż do tropienia i zwalczania zbrodni - przez co była (chyba zresztą nie pierwszą w dziejach) cudzołożnicą milcząco akceptowaną przez kościelnych hierarchów, bo za jej pośrednictwem mieli wpływ na króla, więc i na stanowione prawo. Ośmieszała zabobony i gusła, dowodząc ich nieskuteczności; zarazem potrafiła po cichu podpowiedzieć królewskim egzorcystom i inkwizytorom, jak wykryć zakazane praktyki; była nieprzesadnie, ale przez to wiarygodnie religijna; nietykalna zresztą pod opieką króla - i robiła, co tylko chciała.

Chciała zaś mądrze, rozsądnie i z umiarem. Choć jej chcenie nie musiało od razu dotyczyć spraw poważnych i wielkich...

Del Wares ani słowem w swoim liście nie wspomniał Renacie Sa Tuel o mocy miłosnego napitku, który piękna kochanka podała mu tak chytrze, że przez dobę bez mała mógłby kryć choćby klacze. Wstydził się o tym napisać, a poza tym był

prawdziwie zaniepokojony. Pamiętał na szczęście, co mówił - i były to wyłącznie banialuki o dozgonnej dla Atheves miłości - lecz pamiętał też, że jeszcze następnego dnia rano obudził się z jedną myślą, a mianowicie taką, że kocha tylko swoją czarnowłosą panią. Zastanawiał się teraz, ile eliksiru winien wypić, by paść przed Atheves na kolana, wyznać w imię miłości wszystkie swoje sprawy, zażądać kary i postawić sobie jej piękną stopę na karku - a wszystko, rzecz jasna, po to, by go nie odtrącała. Krótko mówiąc, pan Del Wares był w opałach. Nie tknął więc niczego, co mu dała kochanka. Owe mroczne zabawy Atheves - był to jeszcze jeden powód, dla którego skorzystał z pierwszej sposobności, by doprowadzić do zerwania. Godzenie się dwojga kochanków stwarzało równie dobre możliwości do działania jak sam romans, a było mniej niebezpieczne.

Dwumiastrze Ammene-Re Selea rozpościerało się pięknie u stóp łagodnych wzgórz, tych samych, pod którymi z drugiej strony tak lubiły ścierać się wojska. Połączone miasta układały się w kształt klepsydry, przewężenie zaś było wąskie i dość długie. Dochodziła godzina ósma i Del Wares, mieszkający niemal w środku tego przewężenia, jeśli chciał punktualnie stawić się w Pałacu Driad, nie mógł mitrzyć czasu. Wezwawszy służącego, dwudziestoletniego Nordyjczyka imieniem Host (chłopak był u niego ledwie kilka miesięcy, ale ogromnie się starał i Del Wares wieszował sobie, że tym razem dokonał trafnego wyboru - poprzedniego służącego oddalił po zaledwie dwóch tygodniach), kazał przebrać się w najlepsze szaty, zażądał też szpady

paradnej, bo w tym dziwnym kraju, gdzie od kilku lat trwała wojna, obyczaj nakazywał chodzić bez oręża, a ostatecznie z czymś, co oręż tylko udawało. Przejrzawszy się w lustrze, pan Del Wares ujrzał przed sobą wysokiego, postawnego kawalera bez śladu siwizny we włosach, odzianego w barwy brązowe i ciemnozielone, z białymi koronkami modnie wyłożonymi na mankiety, a także na cholewy wysokich butów, ze szpadą na pendencie również obrzuconym wążutkami arelskimi koronkami. Dobrawszy cienkie rękawiczki i brązowy kapelusz z białym piórem, wychodzący z domu szlachcic raz jeszcze popatrzył w wielkie lustro, pochylił się ku niemu i zażądał pesety, za pomocą której wyrwał włos burzący linię wąsów, po czym uznał bez większej żenady, że w tym przepięknym kraju nikogo lepszego pani Atheves mieć nie będzie. Pokrzepiony owym spostrzeżeniem, kazał przyprowadzić pod dom konia, lecz nie żołnierza-Waleta, a Brzozę, smukłonołą szlachciankę do pościgów, ucieczek, ale także spacerów.

Wkrótce zdyszany Host wrócił, meldując, że konik gotów.

- Bardzo dobrze - powiedział Del Wares - teraz słuchaj uważnie, mój chłopcze. Nie ufałem ci dotąd za bardzo i nadal jeszcze nie ufam, gdy chodzi o sprawy ważne. Nie chcę przez to powiedzieć, że zrobiłeś coś nieodpowiednio; wprost przeciwnie, rad jestem z twoich starań. Lecz na zaufanie, prawdziwe zaufanie, trzeba sobie zasłużyć, ty zaś nawet nie miałeś dotąd okazji. Teraz masz.

- Niczego tak nie pragnem, jak zasłużyć na prawdziwe pana zaufanie. - Chłopak zwykle mówił prawie bez akcentu, ale gdy

był przestraszony bądź przejęty, zdarzało mu się lekko skaleczyć jakieś słowo.

- Znakomicie. Oto na czym polega zaufanie pana do sługi: najpierw na mówieniu bez ogródek. Jadę do pani Atheves, która jest moją kochanką, o czym wiesz, bo głupi nie jesteś. Może być, że popadłem u niej w niełaskę, a to znaczy, że już jutro, kto wie, będziesz sobie szukał kolejnego pana, bo pani Atheves może tutaj wszystko. Gdy nie wrócę jutro do południa, to wbrew rozsądkowi nie szukaj nowego pana, lecz jeszcze usłuż staremu, może się wykaraska. Spakuj wszystko i wyjedź do miasta Lens-Re-Toy (znasz je, bośmy przez nie przejeżdżali), tam znajdź jakąś gospodę, nie najlepszą i nie najgorszą. Zajmij pokój odpowiedni dla sługi, który trzyma miejsce dla mającego przyjechać wkrótce pana, opłać drugi pokój, ten już dla mnie, i czekaj, jak najmniej rzucając się w oczy. Tam cię znajdę, jeśli będę mógł szukać.

Chłopak przyjął rzecz ze spokojem, który nie mógł się nie podobać.

- Poproszę pana o pieniądze.

- Oto one.

- Jak długo mam czekać na pana? Czy w razie czego będę mógł panu jakoś dopomóc?

- Bardzo wątpię. Czekaj, jak długo chcesz, ale miej trochę rozsądku. Przede wszystkim może się zdarzyć, że ktoś będzie cię szukał, gonił i dogoni. Bo prawie na pewno pomyślą o słudze, a może nawet nie o nim, lecz o bagażach pana. Nic w nich nie ma, więc nie bądź głupi i nie daj się zabić bądź uwięzić z powodu konia i kilku kufrów. Jeśli ktoś cię znajdzie i zażąda, byś oddał, zaraz wszystko oddaj. To są tylko przedmioty, a

życie masz chłopcze jedno. Moja rada jest nawet taka, żebyś wylał przez okno i uciekł, jeśli tylko poczujesz, że święci się coś niedobrego. Oto wszystko, czego oczekuję.

- Zrobię tak. Ale jeżeli pan pozwoli...

- Mów, tylko szybko, bo powinienem zaraz jechać. No, słucham.

- Będem czekał w Lens-Re-Toy, ale jeśli się pana nie doczekam, to nie będę czekał bardzo długo i poszukam sobie nie nowego pana, tylko pani.

- Co ci chodzi po głowie, mój chłopcze?

- Że ja panu sam nie pomogę, ale może panu pomóc ktoś inny.

- Słucham dalej.

- Pan wyprawił kogoś do Moeny.

- Tak? A kogo?

- Jednego z tych strasznych jeźdźców w czerni, którzy czasem przychodzą do pana po rozkazy.

- A skąd wiesz, że pojechał do Moeny?

- Pan powiedział przed chwilą, że nie jestem głupi.

Del Wares roześmiał się szczerze.

- Brawo, chłopcze. W takim razie nie pytam, jakiej pani będziesz szukał w Moenie. Powiedz jej wszystko, jak jest. Jeśli przyjdzie ci do głowy, że powinieneś coś ukryć albo skłamać, lepiej nie kłam. Pani baronowa, po pierwsze, powie ci, że kłamiesz, zanim kłamstwo dopowiesz do końca. Po wtóre, nie mam przed nią żadnych tajemnic, ona o wszystkim wie. Ach, i jeszcze jedno... Ten rulonik, który leży na podłodze, włóż zaraz do szkatułki, która stoi w mojej sypialni. Gdyby ludzie pani Atheves złapali cię i żądali wszystkich moich pism, powzbraniaj się

trochę, lecz w granicach rozsądku, potem powiedz, że to są największe skarby twojego pana, wreszcie oddaj szkatułkę. Tam nic nie ma. Tylko ususzony kwiatek, list i bileciki od pani Atheves... Rozumiesz? Takie drobiazgi mogą czasem uratować życie. Uśmiech sługi, choć pełen dystansu i szacunku dla pana, był jednak uśmiechem mężczyzny, który mówi z innym mężczyzną.

- Bardzo dobrze rozumiem. Pani Atheves pana uwięziła, ale pan ją kocha.

- Jeszcze jak.

Trąciwszy mądrą pięścią w ramię, Del Wares zbiegł po schodach, znalazł swoją siwą klacz przed osobnym wejściem, które wiodło na jego piętro, dosiadł jej i pojechał ładnie oświetloną, pnącą się leniwie do góry ulicą.

Na dziedzińcu przed pałacem tłoczyły się powozy, prowadzono dokądś konie, przepychali się jeźdźcy. Liczna służba w rozmaitych liberiach bądź to skupiała się w grupy, bez umiaru plotkując o swych panach i paniach, bądź też łąziła tam i siam, szukając miejsca, gdzie zimny wiatr mniej dawał się we znaki. O dziewiątej Pałac Driad pustoszał. Był to zwyczaj skrupulatnie przestrzegany i dlatego już godzinę wcześniej na dziedzińcu robił się tłok. Jedni właśnie odjeżdżali do domów, drudzy mieli zaraz odjechać. W zamian prawie nikt o tej porze nie przyjeżdżał. Tylko osoby wezwane.

Przeciskając się przez tłum, Del Wares odpowiedział na ukłon i zaraz uśmiechnął się pod wąsem, albowiem kłaniający się zbladł i szybko odszedł. Najwyraźniej tylko odruchowo pozdrowił szlachcica, którego twarz wydała mu się znajoma, ale zaraz sobie przypomniał, kim ów szlachcic jest. Uzyskawszy w ten sposób wskazówkę, że wiadomość o niełasce, w jaką popadł,

rozeszła się bardzo szeroko, Del Wares powierzył konia służbie na dziedzińcu i wszedł do pałacu przez wielkie, prawie zawsze otwarte drzwi. Pałac Driad nie zasypiał nigdy, jako że pani Atheves, pełniąca obowiązki wszechwładnej ministry dostojnej księżny Se Potres, pracowała w nocy i do nocnej pory musieli stosować się wszyscy urzędnicy, a tym bardziej interesanci. Kładła się dopiero nad ranem (zresztą w ogóle sypiała bardzo mało), ale wtedy dla odmiany zaczynali dzień domownicy, pałac więc bez przerwy tętnił życiem.

W korytarzach wciąż jeszcze było sporo osób. Del Wares kłaniał się znajomym, otrzymując w zamian pospieszne odpowiedzi bądź nie otrzymując ich wcale. Choć niczego innego przecież się nie spodziewał, zaczął podejrzewać, że jego sprawa wygląda naprawdę niedobrze. Dworak jest prawie nieomylny, zawsze wie, do kogo winien obraźliwie obrócić się plecami, komu wystarczy się nie kłaniać, a komu jednak warto odkłonić się choć zdawkowo, bo może jeszcze wrócić do łask. Otóż w Pałacu Driad kawalerowi Del Wares kłaniano się naprawdę tylko przez pomyłkę albo odruchowo. Wynikało z tego, że źle obliczył szanse; wynikało, że przeholował. Chciał wzburzyć wodę, owszem, lecz nie rozpętać sztorm. Ale chyba nie docenił drażliwości królowej - lekkomyślnie wystawił na śmiech boginię... Godzenie się stwarzało równie dobre możliwości jak romans - oczywiście, prawda. Ale czy była

Hałaśliwy i wielki szlachcic, który trąbiąc nosem w chusteczkę, maszerował samym środkiem korytarza, przystanął na widok Del Waresa i patrzył nań znacząco, mrugając zażawionymi oczami, jakby mówił: „Czekaj pan... jedną chwilę...

Dokończę, widzisz otóż... ważną czynność". Uśmiechnąwszy się lekko, Del Wares stanął i uchylił kapelusza, na co tamten zatębił jeszcze rozpaczliwiej, trzęsąc zarazem głową, że tak, że już, że zaraz... Otarł czerwony nos, osuszył oczy, schował chustkę i głęboko odetchnął.

- Aaa - powiedział z prawdziwą ulgą. - Co pan robisz w tym gołębniku? Chyba cię tu nie lubią?

Był to generał Trey, dobrze znający Del Waresa i darzący go pewną sympatią, jako że obaj nie byli dworakami. Del Wares wprawdzie udawał, że trochę dworakiem jest, ale rubaszny stary olbrzym wiedział swoje i tylko mrugał doń znad kielicha, który wiecznie trzymał w którejś dłoni, jakby mówił: „Dobrze, dobrze, młodzieńcze... Ja na twoim miejscu też bym się trochę wygłupiał. Czarna Dorotka, no nie? I co mówisz? Wcale jeszcze ten tego, no nie?”.

Nie będąc dworakiem, generał był zarazem jedynym wysokim rangą wojskowym, który miał tu jakiegokolwiek pojęcie o wojsku. Powolny i ślamazarny, nie był w stanie wygrać żadnej bitwy; ostrożny i przewidujący, tak samo nie umiał żadnej przegrać. Pobity wróg zawsze mu uciekł i pozbierał wojsko, unieważniając wiktoria, zwycięski zaś nieodmiennie łamał sobie zęby na odwrocie generała Treya, bo generał Trey o wiele lepiej się cofał, niżli bronił, o natarciu nie wspominając. Prywatnie bardzo odważny, generał nie lubił bitew, bo żał mu było żołnierzy. Jego wojna polegała na marszach i kontrmarszach. Przeciwnika, który zmuszał go do bitwy, miał za gbura. W osobistych zaś kontaktach był nieznośnym, ale szczerym, gruboskórnym, lecz poczciwym świntuchem - i przyjęła to do wiadomości

nawet pani Atheves, bo jakiegoś wodza dla swej armii jednak potrzebowała, a nawrócenie generała na drogę dwornych manier wydawało się niepodobieństwem.

- Rzeczywiście mało kto mi się kłania – przyznał Del Wares z uśmiechem. - Lecz chyba wiem dlaczego. A pan nie wiesz?

- Nie.

- Generale!... - powiedział z pobłażaniem w głosie Del Wares.

- No, słyszałem, że Atheves ma zimne prześcieradła - rzekł generał ku przerażeniu wszystkich wokół, bo głos miał tubalny na miarę postaci, a nie widział powodów do mówienia szeptem.

- Ale to dlatego cię nie lubią? A ten pan? - Generał wskazał grubym palcem niestarego szlachcica, który przeraził się i jął uciekać jeszcze szybciej. - Hola, panie! Kto pan jest?! Racz pan... Uciekł - powiedział generał. - Jakże on ma powody, żeby cię nie lubić, kawalerze? Jemu też pan grzałeś prześcieradła?

- Nie, na honor... Nic o tym nie wiem.

- Widzisz.

Korytarz z wolna pustoszał - raz dlatego, że biła już dziewiąta (pierwszych interesantów przyjmowano od dziesiątej, więc dopiero mieli nadciągnąć), a po wtóre z powodu generała Treya, który gotów był chwycić za kaftan i przymusić kogoś do rozmowy, a stał przecież przy nim trędowaty.

- Idziesz do ministry?

- Na dziewiątą.

- Wezwała cię?

- Tak.

- Aha. Generał popatrzył przeciągle.

- Właśnie od niej wyszedłem. Nafukała na mnie, widzisz pan, więc musiałem sobie wyprosić, wyrzuciłem jej kałamarz do donicy i podałem się do dymisji.

- I przyjęła?

- No co ty? Nie. Stale się podaję do dymisji.

- Kiedyś ją przyjmie.

- Mówisz pan? Ale ja, kawalerze, już się nawojowałem, mam przeszło sześćdziesiąt lat i wiesz, co mam jeszcze? Otóż mam wszystko w...

- Wierzę, generale, naprawdę panu wierzę.

- No to idź. Straszeniem ją rozeźlił, więc uważaj.

Pożegnawszy się z generałem, Del Wares poszedł dalej. Wbiegł na schody, minął drugie straże - pierwsze stały przy bramie pałacu, ale na parterze była tylko służba - i jeszcze poszedł w głąb domu. Trzeciej placówce musiał się opowiedzieć. Żołnierz był służbista albo głąb, co na jedno w sumie wychodziło; Del Wares pożałował, że nie zabrał rulonika z poleceniem pani Atheves.

Tak czy owak, nie było tam pieczęci, a żołnierz musiał mieć pieczęć. Poszedł pytać, czy wpuścić natręta. Wrócił jak niepyszny, widać zdrowo oberwał po uszach.

- Proszę iść - powiedział spiesznie.

Warta w przedpokoju pani Atheves nikogo już o nic nie pytała; ci żołnierze mieli przybiec na wezwanie, lecz nic więcej. Zażądali jednak szpady i Del Wares oddał swój paradny pręcik. Minął drugi przedpokój i wkroczył do kancelarii.

Generał nie skłamał ani słowem: w wielkiej donicy z palmą leżał przewrócony kałamarz, roślina zaś była zbryzgana atramentem. Dostało się także obiciom, a i dywan odebrał swoje. Piękna pani Atheves - piękna aż wyjątkowo, bo jak wiele brunetek namiestniczka księżny Se Potres najładniejsza bywała w gniewie - groźna jak burza siedziała za swoim biurkiem, na którym bezładnie rozrzucono dokumenty. Widocznie generał Trey porwał kałamarz z gestem.

Odchylona na oparcie krzesła kobieta bez uśmiechu bawiła się piórem, nieruchomo patrząc na nieszczęsną palmę. Nie spojrzała na wchodzącego. Miała na sobie śliczną biało-zieloną suknię, chyba nawet wygodną - co zdarzało się niezmiernie rzadko - zgodnie z najnowszą modą ozdobioną wielką kokardą na ramieniu, podczas gdy drugie ramię było obnażone i posypane brokatem. Do tego trzęsidełko ze szmaragdem, w jednym tylko uchu, po przeciwnej stronie niż kokarda, sznureczek pereł na szyi, grzebień z masy perłowej, wycinany niczym korona, wbity w kok, na palcu pierścioneł, przez szmaragdowe oczko spowinowacony z kolczykiem - i żadnych klejnotów więc. Nie od razu przemówiła.

- Spóźnił się pan - rzekła wreszcie sucho.
- O sześć minut.
- Tak pan sądzi?
- Zechce pani spojrzeć na zegar.
- Nie muszę patrzeć, mój panie. A tym bardziej na zegar, gdy potrzebny jest raczej kalendarz. Spóźnił się pan całe dwa dni.
- Pani mnie nie wzywała.

- A ty o mnie nie pamiętałeś.

- Nieprawda, pani się myli. Zapomniałem o wszystkim innym.

- Co pan powie? Nie wierzę panu.

- Bałem się pani gniewu. Sądziłem, że wezwie mnie pani szybciej. Liczyłem każdą minutę.

Po raz pierwszy zaszczyliła go spojrzeniem.

- Czekałeś więc na wezwanie?

- Dwa dni.

- I co? Zamierzałeś tak czekać w nieskończoność?

- Jutro rano byłbym u pani.

- Bez wezwania?

- Bez wezwania.

- Tłumacz się - zażądała. - Upokorzyłeś mię pan, ośmieszyłeś, okłamałeś i zaniedbałeś. Wystarczy jedna z tych rzeczy, by kobieta miała prawo do urazy. A ja jestem kobietą, o czym zapomniałeś. Mam... - urwała.

- Nie zapomniałem, Doroto, że jesteś kobietą... Wprost przeciwnie.

- Przeciwnie? Co to znaczy: przeciwnie? Tłumacz się! - zażądała raz jeszcze, uderzając piórem o blat biurka. - W tej chwili!

Del Wares wyglądał na smutnego i przygnębitego.

- Pani może tu wszystko - powiedział. - Jesteś potężna, niezależna, kapryśna jak zła bogini, piękna... Zjawia się w tym kraju prosty żołnierz i bogini pochyla się ku niemu, zauważa go. Biedny wojak wierzy, że ma coś, o czym nawet nie wiedział, coś, co spodobało się kobiecie wyjątkowej. Próbuje to „coś” w sobie znaleźć, a dla zyskania na czasie udaje kogoś, kim nie jest, stara się być dworny, dowcipny, nawet mądry, dzielniejszy niż

zwykle... Lecz bogini jest stale niedosiężna, a raczej osiągalna, owszem, ale tylko wtedy, kiedy sama zechce, i żołnierz zaczyna widzieć, że nie ma w nim tego, czego szukał. Jest zabawką i niczym więcej. Zamilkł.

- A więc tak pan uważasz?

- A czy się myliłem?

- Oczywiście, że byłeś zabawką, zresztą jesteś nadal, tylko inną - powiedziała z beznamiętną pogardą. - A myślałeś, że czym możesz być? Byłam wprawdzie zamężna aż trzy razy, ale jakie z tego wysnułeś wnioski?... Liczyłeś, że oddam ci swą rękę albo co? - Zaśmiała się obraźliwie, bo chyba zupełnie szczerze. - Niby komu?

- Nikomu.

- Nikomu w samej rzeczy, panie... jak? Del Wares... No więc, czego pan kawaler Del Wares oczekiwał od Atheves?

Między owym uprzejmym „pan kawaler Del Wares” a niemal zdawkowym „Atheves” otwarła się taka przepaść, że strącony w nią kamyk nie mógłby stuknąć o dno. I Del Wares nic nie powiedział.

- Bardzo dobrze, naprawdę słusznie - oceniła. - Ale czekam dalej. Niczego mi pan jeszcze nie wytłumaczyłeś.

- I niczego nie wytłumaczę, skoro pani nie wie, o co chodzi.

- Nie wiem. Chcę się jednak dowiedzieć.

- Udawałem lepszego, niż jestem, i przywykłem do tego udawania. Rzeczywiście stałem się lepszy.

- Czy naprawdę? Nie zauważyłam.

- Właśnie o tym mówię, Doroto - rzekł z nieoczekiwaną stanowczością Del Wares. - Nie znasz się na ludziach, choć uważasz, że jest inaczej. Pozwalasz biegać po swym domu baranom w jedwabnych rajtuzach, a jeśli któryś z tych baranów jakimś cudem awansuje na tryka, to ciebie to nie obchodzi, pani tego nie zauważasz. Bogini otoczona miernotami, też mi dwór!... Myślisz, że ich uszlachetnisz sobą? O naiwna Atheves, przecież jest akurat odwrotnie! Przecież pani zostałaś pod krzyżem, posyłając na zwiady niewolnika. A niewolnik poszedł, bo isć musiał, bo pani spojrziała na niego. Potem wrócił i zobaczył potężną ministrę, która była na miarę swego dworu: taka! - Pokazał odstęp między dwoma palcami.

Atheves gwałtownie wstała z krzesła. Lecz Del Wares nie ustąpił o włos.

- Złość się! - krzyknął. - A co mi możesz zrobić?! Wszystko, co najgorsze, już zrobiłaś! Kochałem kogoś - pokazałaś, że nie warto. Chciałem kochać dalej - zabroniłaś! Co mi jeszcze możesz zrobić? Wolny i tak już nie jestem, bo przecież dalej kocham; to co mi teraz zrobisz, utniesz łeb?

Nieznacznie przechyliła głowę, jakby mówiąc: „To nie jest taka zła myśl...”.

- A ucinaj! - powiedział z pogardą. - Właśnie tyle potrafisz: zmniejszyć wzrost człowieka, jeśli tylko odrobinę wyrósł. Przecież dla kogoś, kto karleje, wszyscy muszą być jeszcze mn - Obelga za obelgą. Ile jeszcze?

- A ile ci trzeba?

- Ani jednej - powiedziała, siadając, biorąc pióro do ręki i szukając czystej kartki. - Mam do pana sentyment, kawalerze... Jaki widok z okna pan wolisz: las i bagna, skały czy morze? Pomyśl dobrze, bo nie będzie się zmieniał.

Del Wares skoczył po kałamarz. Ująwszy go przez chusteczkę, wyjął z donicy i z usłużnym uśmiechem, zgięty wpół, podsunął byłej kochance.

- Widok? Jakikolwiek, byłem pani stamtąd nie widział... Ale z tego wniosek, że mogę zostać i tutaj - zauważył, rozglądając się dokoła.

Trzasnęła dłonią w blat biurka, łamiąc pióro.

- Do cholery... Co ty sobie w ogóle wyobrażasz?! Naprawdę mam rozkazać, by ucieli ci łeb?! Tego chcesz?!

- Rozkazuj.

- Proszę bardzo. Straż, do mnie!

Prawie natychmiast otwarły się drzwi i dwaj wartownicy ze szpadami w dłoniach wbiegli do gabinetu. Słysząc było trzeciego, który darł się wniebogłosy, przyzywając gwardzistów z innych posterunków.

Del Wares chlusnął resztką atramentu z trzymanego w dłoni kałamarza prosto w oczy pierwszego żołnierza i usunął się z drogi drugiemu, pozwalając, by z rozpędu wpadł na palmę. Oślepienemu wyrwał szpadę z garści i kopniakiem pod kolana podciął nogi. Ten od palmy, z oderwanym liściem w ręku, zwrócił się ku niemu, natarł szpadą i natychmiast ją postradał - wyłuskana utkwiła w drzwiach szafy. Czarny na gębie wojak podnosił się już z podłogi. Klnąc w duchu na czym świat stoi, Del Wares kopnął go w brzuch, cisnął szpadę tak, że dygocząc,

wbiła się obok wyłuskanej, capnął palmowego gwardzistę za kark, drugą ręką grzmotnął w bebechy, popchnął i przewrócił na atramentowego, leżeli więc jeden na drugim. Gdy się gramolili, pan Del Wares odnalazł kałamarz, w którym już naprawdę było bardzo niewiele, i trzymając go jak wprzód, przez chusteczkę, znów zastąpił w służalczej pozycji.

- Leżeć, durnie - rzekł surowo do stających na nogi wartowników. - Jej Ekscelencja pisze właśnie rozkaz, w którym robi mnie waszym kapitanem. Przecież widzi, jak jesteście dowodzeni! Ktoś ją tutaj zabije pod waszą czujną strażą...

Oniemiała Atheves, która cofnęła się dwa kroki pod ścianę, bo nic więcej nie zdążyła zrobić, zwróciła spojrzenie ku drzwiom, przez które wpadali właśnie następni gwardziści z obnażonymi szpadami. Przystawali zdeorientowani, widząc na środku pokoju dwóch rozbrojonych kolegów, przewróconą donicę z połamaną palmą, pobladłą ministrę z dłońmi przyciśniętymi do piersi, a przy biurku pochylonego w ukłonie szlachcica chcącego jej usłużyć kałamarzem. Szlachcic ów był zresztą faworytem pani Atheves, o czym niektórzy wiedzieli - ale w zamian nie zdążyli usłyszeć, że dopiero co popadł w

Do prostych żołnierzy plotki szły znacznie dłużej niż do wszędobylskich dworaków.

Gwardziści spojrzeniami pytali o rozkazy. Wygląd gabinetu zdawał się wskazywać, że atrament w kałamarzu eksplodował. Albo może raczej ktoś strzelał z kałamarza i dlatego wezwano strażę?...

Atheves widocznie pomyślała coś takiego, bo parsknęła histerycznym, krótkim śmiechem, który urwał się prawie natychmiast.

- Słyszeliście - powiedziała, wciąż jeszcze przyciskając dłoń do serca, a gdy dwaj pobici jęli kłaść się z powrotem na podłogę, poczerwieniała na policzkach i nieomal zgrzytnęła zębami. - Nie kłaść się, idioci... Precz mi stąd!

Żołnierze zniknęli za drzwiami, najstaranniej je za sobą zamykając.

Znowu zaległo milczenie.

Del Wares trzymał kałamarz.

- Nie mam pióra - powiedziała Atheves.

- Ale masz kochanka.

- Nie mam wolnego etatu kapitana.

- Liczę na coś znacznie cenniejszego. Ty wiesz, ilu kapitanów mi zazdrości?...

- Zdemolował mi pan gabinet - powiedziała z powściąganym uśmiechem.

- Gotów jestem posprzątać sypialnię.

- Och... no nie wiem... Lecz dlaczego jednak nie gabinet?

- Sypialnię.

- Pokoje dzienne?

- Sypialnię.

- Refektarz?

- To już lepiej, ale najpierw sypialnię.

- Rzeczywiście, mam w niej bałagan.

- Niedbała służba?

- Znacznie gorzej... Nikogo.

- Kurz, pleśń i stęchlizna?
- Oby tylko.
- Pajęczyny?
- Żebyś wiedział... Ale co im właściwie zrobiłeś? Tym biedakom, tym moim gwardzistom?
- Rzecz straszną: przerosłem o głowę.
- Mruknęła coś sama do siebie.
- Będziesz musiał mi to wszystko jeszcze raz powiedzieć.
- Co takiego zrobiłam pod tym krzyżem?
- Może powiem, czego nie zrobiłaś.
- No więc czego?
- Nie poszłaś po wieści.
- Że co proszę?...
- Nie poszłaś po wieści. Trzeba było podziękować tej pstrokatej bandzie, kazać im tam sterczeć - i iść ze mną. A następnym razem musieliby dorastać do ciebie. Tak się ciągnie ludzi do góry. Ale pani wołałaś przykucnąć.
- Milczała zamyślona.
- Boże, prawda - rzekła na koniec z westchnieniem. - Mówisz więc?...
- Żebyś wzięła się, piękna jastrzębico, za papugi, które skrzeczą wyuczone pochlebstwa, lecz polować z tobą nie potrafią. I nie dziwiła się komuś, kto próbuje dogonić cię w przestworzach. Nie dziw się, że czyni to kosztem nędznych pał-
- Obraziłeś mnie, ośmieszyleś.
- Ich, nie ciebie. Stałaś z nimi; trzeba było stać ze mną.
- Bezczelnie okłamałeś mnie przy wszystkich.
- Sama widzisz.

- Co znowu widzę?
- Jaki jestem odważny. Widział mnie cały sztab generała; wiedziałem, że wszystko się wyda.
- I nie bałeś się, co zrobisz?
- Bałem bardzo.
- Ciągłe mam ochotę cię ukarać.
- Podpowiedzieć jakąś karę?
- O, nie trzeba... I nie szarżuj tak śmiało, kawalerze, bo za chwilę przebierze się miarka.

XI

Dwór dostojnej Weroniki Teresy Se Alide Sar bardzo był podobny do dworu Wanesy księżny Se Potres. Różniły się te dwory pod jednym tylko względem: gdy dwór córki był wrzaskliwie młody, to dwór matki - działał. Tu i tam wodziła rej szlachta tego rodzaju, że w panu Del Wares budziła żywy niesmak, cóż dopiero mówić o pani Sa Tuel.

Przez kilka dni po przyjeździe baronowa ledwie żyła, ledwie oddychała, bo powietrze w Moenie cuchnęło. Rozkładem, uwiązaniem... pomyjami po czymś.

Owa młodość bądź zdiadziałość nie przejawiała się wszakże w wieku dworzan, ani nawet władczyń obu dworów. Wanesa była dość młoda, Atheves trochę starsza, Weronika Teresa - wciąż niestara. Miała lat zaledwie pięćdziesiąt, co dla kobiet Ayhoe nie było wiekiem podeszłym. Oba dwory nie różniłyby się od siebie, gdyby księżna Se Potres przebywała w Ammene. Lecz nie przebywała; zastąpiła ją pani Atheves, a tej jeszcze o coś chodziło.

Każdy u boku ministrowi mógł tam wierzyć, że wygra swoje.

Weronice Teresie nie chodziło o nic.

Wszystko, co Del Wares napisał w liście o dostojnej księżnej Se Potres, można było odnieść do jej matki. Rozpętawszy wojnę w imię chorych ambicji, obie Damy Bractwa Rycerskiego ocknęły się z pustymi rękami, na których to rękach, co gorsza, nie chciała obsychać krew. Potężniejsza od króla władczyni Valaquet zdołała odebrać męża pierworodnej, najukochańszej swej córce, lecz straciła w zamian - nie bez swego udziału, albo chociaż milczącego przyzwolenia - prawie wszystkie dzieci, które bądź wymordowały się nawzajem, bądź zginęły w jakiś inny sposób. Została tylko jedna, ta zdradzona, bo drugą, Jasenę, trudno było liczyć; czy dało się nazwać aż życiem nieśmiertelne i upiorne jej trwanie, do którego czerpała siłę z przymarzniętej do szyi strasznej kolidy?... Ale księżna Se Potres kierowała przeciwko swojej matce wciąż nowe orężne armie. Kiedyś, dawno, gdy wojna dopiero się rodziła, wszystkie cele i dążenia były ważne, wiodące do nich środki - odpowiednie, ofiary - konieczne i potrzebne. Po kilku latach cele zbladły, środki stały się zbędne... Pozostała tylko pamięć o ofiarach.

Bernard książę Se Potres, wypędzony przez małżonkę z własnych dóbr, porzucił ją dla teściowej-kochanki, a następnie porzucił i kochankę, bo odnalazł swe prawdziwe powołanie i w ogóle nie wypuszczał z rąk kielicha, upodliwszy się do tego stopnia, iż było kwestią miesięcy, kiedy wreszcie zapije się na śmierć, albowiem już kilkakrotnie z wielkim trudem go odratowano.

Weronika Teresa naprawdę została sama. Nie miała nawet przyjaciółki... Zresztą - o ironio! - owszem, miała kiedyś przyjaciółkę wierną niczym rodzona siostra. Niestety, przyjaciółkę tę małodusznie skazała na wygnanie i ta przyjaciółka wróciła, lecz nie po to, by ją wesprzeć, ale

Przyjechawszy do Moeny, Sa Tuel rozejrzała się w miejscowych stosunkach, odchorowała to migreną, której skutki odczuła najbardziej Melania, po czym się pozbierała, zaczerpnęła powietrza i wraz z głową zanurzyła w pomyjach. Dwa tygodnie później miała już w Moenie pozycję podobną nieco do pozycji zajmowanej w Ammene przez panią Dorotę Atheves. Krótko mówiąc, mogła bardzo wiele. Trudno powiedzieć, że wkraśniała się w łaski dostojnej Weroniki Teresy, bo raczej po prostu się wdarła, i nie w łaski, a w samą egzystencję, wygrywając na swą korzyść sentymenty, uśpione tęsknoty i wstydlive bądź wręcz nieświadome marzenia starej damy - choćby takie jak to o przyjaciółce. Sa Tuel wtargnęła zatem aż do rdzenia wszystkich spraw prowincji (a raczej tej połówki, która była wciąż we władzy Pierwszej Damy Bractwa Rycerskiego), chyba nawet nie bardzo myśląc o tym, czy cokolwiek stało jej na drodze; w każdym razie jeśli stało, to nie zauważyła. Na dworze wszyscy dawno uwierzyli, że beznadziejnie, a właściwie beznamiętnie prowadzona wojna będzie trwała jeszcze sto lat, odsuwali więc wszystkie ambicje i plany na taki mniej więcej termin. Ci, co chcieli osiągnąć coś szybciej, już dawno z Valaquet wyjechali. Trudno więc się dziwić, że dla podobnie żywotnego gremium każdy, kto miał jakikolwiek pomysł na cokolwiek, był od razu tak zdumiewający, że aż straszny.

Sa Tuel miała dziesięć albo sto pomysłów; na dodatek miała pieniądze - bagatela, pięćdziesiąt tysięcy w obligacjach i wekslach podróźnych, a banki Moronich w Valaquet wciąż działały, bo dlaczego miałyby nie działać? (Powiadano, że Moroni działają także na dnie oceanu, ale tylko w dni nieparzyste i od godziny dziesiątej). Przede wszystkim zainstalowała własny dwór, kupując za bezcen malutką, ale bardzo świetną rezydencję - zwykłą kolejną rzecz pod czas wojny nieruchomości łatwo było nabyć trudniej sprzedać - co od razu strąciło w nicość te nędzne namiastki dworów, które jeszcze w Moenie się ostały. Zatrudniła ochmistrza, intendenta, podczaszego, dwie kucharki i dwóch kuchcików, pazia, sześciu bądź siedmiu odźwiernych, pokojówki, bieliźnianie, masztalerzy, komuchów oraz sokolnika, bo bawiły ją polowania. Prowadziła dom otwarty przez pięć dni w tygodniu, oprócz niedziel i piątków, bo w niedzielę - będąc bardzo pobożną - oddawała się praktykom religijnym, w piątki zaś pościła i rezygnowała z najmniejszych nawet rozrywek. Przez tydzień zapraszała każdego, po tygodniu wszystkich już znała i wszyscy u niej bywali, na wyścigi gotowi przysięgać, że jest to odwieczna tradycja. Wtedy na poważnie wzięła się za wicekrólową, bo już miała jej co pokazać.

Dostojna Weronika Teresa, wyglądająca na sześćdziesiąt lat, nieumalowana, źle ubrana, przede wszystkim zaś apatyczna, całą noc spędziła przed zwierciadłem po małym rozkosznym przyjęciu, na którego wydanie namówiła ją przybyła znikąd anielica. Starannie dobrani goście (Sa Tuel już wiedziała, kogo można, a kogo nie warto zapraszać) prowadzili niebanalną, za to

lekką i dowcipną rozmowę, służba z miejsca nabrała poluru, niemęcząca muzyka stanowiła godną oprawę dla wykwintnego stołu. Ci sami ospali szlachcice, którym jeszcze wczoraj nie chciało się nawet schlebiać swojej pani, odgrzebali nagle sztukę składania całkiem zgrabnych, prawdziwie ujmujących komplementów. Te same panny, które nawet nie goniły już za modą, bo doprawdy nie było dla kogo, trzepotały teraz wachlarzami, obracając się na wszystkie strony w sukniach odświeżonych i poprzerabianych przez najlepszych krawców, których pomocnicy niczym wytrawni szpiedzy czatowali na panią Sa Tuel i jej dworę, by podpatrzeć nowinki z Lazenne. Małeńka kolacja w gronie dwudziestu osób, lecz u samej wicekrólowej, obrosła potężną legendą. Można by pomyśleć, że oto odbył się jeden z tych gigantycznych balów, jakie jeszcze przed kilkoma laty wydawała Weronika Teresa. Ostatni taki bal, urodzinowy, kosztował ponoć dwa i pół miliona i nieomal symbolicznie zakończył czasy świetności Valaquet. Następnego dnia w Re Alide, istniejącej jeszcze wówczas stolicy, wznoszono na ulicach barykady, padły pierwsze strzały, pierwsze trupy... Zaczęły się rozruchy i wojna.

Jedna mała kolacja sprawiła istne cuda. Z niestosowną aż natarczywością pytano, kiedy następny. Następny - bo bal, nie kolacja! Każdy chciał otrzymać zaproszenie, wszyscy zabiegali, szukali dojsć, koneksji, naciskali, prosili, gotowi byli dawać łapówki - ale komu? Zdziwiona tym, co się dzieje na jej dworze, dostojna Weronika Teresa przypomniała sobie bezsenną noc przed lustrem, gdy pytała swoje odbicie o sto spraw.

Odeszła wreszcie od lustra - lecz nikt więcej nie zamierzał tego robić, wszyscy właśnie chcieli się przeglądać, i nie tyle w lustrach, co nawzajem we własnych oczach, widzieć tam... cokolwiek. Jakąś przyszłość i jakąś nadzieję. Dwór baronowej Sa Tuel przypominał o tym, że istnieje świat. Kolacja u wicekrólowej dawała jeszcze więcej, bo właśnie nadzieję... Nadzieję, że dostojna Weronika Teresa może wreszcie zechce

Już kilka dni później, wieczorem, pani Sa Tuel, upewniwszy się, czy zostanie przyjęta (była przyjmowana zaś codziennie, a nawet i dwa razy dziennie), złożyła wizytę Dostojnej - bo nieomal od zawsze tylko tym jednym słowem tytułowano wicekrólową Valaquet. Uśmiechnięta, pachnąca i świeża baronowa - tak bezwstydnie piękna i młoda - mówiła i działała z szybkością godną czterech kobiet, nie jednej. Wystrojona głównie na czerwono, w przytwierdzonym szpilką z kości słoniowej, podpiętym z jednej strony kapeluszu, którego zwiewny i szeroki pióropusz niczym czarna lisia kita najmodniej spływał w dół, do ramienia i niżej, aż na pierś, w obrzuconej czarnym futerkiem i zdobionej takimiż aplikacjami rozłożystej sukni, rzuciła służącemu rękawiczki i zatrzymała się pośrodku pokoju, ze zdziwieniem patrząc na siedzącą za stołem

- Co tu robisz, Dostojna? Ach, więc siedzisz? Te papiery... Czego dotyczą, no czego? Nie mamy czasu na takie szpargały, to wszystko poczeka. Teraz chodź! Boże, przecież mamy tyle pracy!

Stara dama przyglądała się z pobłażliwym uśmiechem rozmówczyni, bo miała czasem wrażenie, że patrzy na siebie, jaką była... Co prawda czterysta lat temu, bo dwadzieścia...

to niemożliwe. Lecz „szpargały" nie mogły jednak czekać.

- Idzie pani?

- Nie, nie, moja droga, chwileczkę... Co mi pani tutaj urządza?

- Jak to? Bal! - spokojnie, lecz stanowczo powiedziała Sa Tuel. - O, a co to za mina? Nie, kochana, coś pani wytłumaczę. Dobrze? Pani masz dużo czasu, pani grzebiesz w swoich szpargałach... Ja w ogóle nie mam czasu, czeka krawiec, dlatego muszę mówić pierwsza, chyba zgodzi się pani ze mną? No to mówię, a pani niech słucha.

Od czasu wygnania Atheves nikt tak do Dostojnej nie przemawiał.

Weronika Teresa jeszcze z dawnych czasów, gdy cokolwiek ją obchodziło, pamiętała nazwisko Sa Tuel. Królewska kochanka, skandalistka - to nie był nikt, to był ktoś, a w Valaquet śledzono towarzyskie - jak i wszystkie inne - wydarzenia w odległej stolicy. Lecz aura dalekich skandali na pewno nie gorszyła Dostojnej, która w swej burzliwej młodości także niejedno widziała i naprawdę niejednego doświadczyła... Znaczenie miał za to fakt, że nieprzyzwoicie piękna baronowa pochodziła z rodu, którego wyniosłe drzewo mogło szumieć obok drzewa Ayhoe - i byłby to właściwie ten sam szum. Znające się osobiście od zaledwie tygodni - bo jeszcze nie miesiąca - dwie kobiety, z których jedna była w wieku córki drugiej, mogły bez żadnej ujmy rozmawiać ze sobą o wszystkim. W Valaquet oprócz książąt Potres, którzy przed dwoma wiekami sprowadzili do swych włości orężne hufce Świeckiego Zakonu, bardzo mało było takich

rodów, a do reszty wymiotła je wojna. I starzejąca się, zaniedbana Pierwsza Dama Bractwa po raz pierwszy od dawna czuła, że jest przy niej ktoś, kto wyrósł z takich samych korzeni. Ktoś, kto ma prawo mówić rzeczy, jakich nawet nie pomyśli nikt inny - i korzysta z tego prawa bez wahania, mając to za

Na dworze Weroniki Teresy było bardzo wiele kobiet. Lecz Dostojna z żadną nie umiała się zaprzyjaźnić. Od dawna obywała się bez dworek, miała tylko służące. Z nikim w całej prowincji nie była po imieniu - choćby nawet w jedną tylko stronę. Po prostu pewnych różnic nic na świecie nie mogło zniwelować. Gdy z kolei inne różnice, takie jak zamożność, stanowiska, urzędy, można było łatwo zawiesić. Bo wynikały z

- Dostojna, to naprawdę są szpargały... Wyrzuć je, a nic się nie stanie. To jakieś raporty, rozliczenia, wykazy, dekrety... o mój Boże... i naprawdę nie wiem co! - Nie tając odrazy, Sa Tuel czubkiem długiego, wypielęgnowanego paznokcia po kolei odsuwała od siebie dokumenty, popychając je dalej w głąb stołu. - Świat się bez tych papierów nie zawali, a na pewno przetrwa Valaquet. Lecz nie przetrwa bez pani, Dostojna.

- Pochlebia mi pani, baronowo.

- Karcę panią! Krzyczę, wymyślam! Co pani robi, Dostojna? Czyżby zawsze tak tutaj było?... To robota dla urzędasów! Czym się pani parasz? A fuj! Zdymisjonowałaś pani ministrów, no i proszę, teraz musisz mieszkać w kancelarii. Baal... - powiedziała przeciągle, rozmarzona, z błyszczącymi oczami, okręcając się wokół, a następnie przysuwając sobie krzesło bliżej

rozmówczyni, siadając i lekko pochylając się ku niej. - Jesteśmy podziwiane, bogate, jesteśmy kobietami... Bal to nasze święto, Dostojna!

Drobnym a zarazem niecierpliwym gestem odprawiła służącego, który stał przy drzwiach.

Dostojna bezradnie wzruszyła ramionami.

- Drogie dziecko, chyba się zapędzasz.

- Ja. Ja się zapędzam? Ja!

Każdy wachlarz w ręku baronowej przestawał być przedmiotem, bo zaczynał żyć. Dostojna, jak większość kobiet, miała swoje własne sekrety i tajemne bronie, ale mimo to ze skrywaną fascynacją przyglądała się wachlarzom Sa Tuel, które składały się i rozkładały całkowicie albo częściowo, podkreślały jej oburzenie, razem z nią pytały i odpowiadały, czasem nadawały wypowiedzi wymiar ironiczny bądź dwuznaczny, mimo że w głosie nie dało się tego wyczuć. Teraz czarnoczerwony wachlarz mówił: „Oto dzieje się krzywda! Ach, oto

W pałacowych wnętrzach było bardzo ciepło, szczególnie dla kogoś, kto właśnie przyszedł z zewnątrz. Dostojna, choć nie wychodziła z domu od miesięcy, także odczuwała pewną duszność - i uczuła coś jeszcze, mianowicie zabawną zazdrość, bo dawno już pogubiła wszystkie te pożyteczne przedmioty, których zgoła nieogarnioną liczbę miała pani Sa Tuel.

- Ucz mnie! - zażądała właścicielka wachlarza. - Takich przyjęć, takiego wzięcia... Twój dom był niedościgłym wzorem dla wszystkich domów w królestwie, a to znaczy: na całym świecie, bo wszystko na świecie uznaje niewątpliwy prymat Zjednoczonych Królestw.

- Kochana, ale kiedy to było?
- Niedawno, dopiero co. Wciąż masz pieniądze, przecież wiem, bo żołnierze regularnie otrzymują żołd, a to znaczy, że skarb nie jest pusty. Stać cię, Dostojna, na bal.
- Masz więc u mnie swój wywiad?
- Oczywiście. Mój służący zapytał wywiadowcę na ulicy... chyba nawet było ich trzech... czy są w stanie trafić do koszar, bo szli zygzakiem, rozumiesz. I usłyszał od tych wywiadowców, że właśnie przepili cały żołd.
- Dostojna zaczęła się śmiać.
- Ucz mnie! - ponownie zażądała Sa Tuel, niecierpliwie przytupując nogą. - Bardziej byłaś królową niż król królem, a dlatego, że wszystko, co najlepsze, przyciągałaś do Re Alide. Nie dla jakichś papierów biegła tutaj szlachta ze wszystkich stron świata. Psia buda przy twoim domu warta była więcej niż rezydencja gdzie indziej. Potrafiłaś olśniewać.
- A ty, niecnoto, tego nie potrafisz.
- Eh!... Ale nie tak!
- Byłam młoda.
- No faktycznie, to cztery lata temu.
- Boże... Cztery lata?...
- Cztery, pięć... Czy to dystans od młodości do starości?
- Nie byłam wtedy sama.
- Teraz też nie jesteś. Przynajmniej od kilku tygodni.
- Kusicielko...
- Święta Eugenio...
- Wystarczy, diablico. Co za dużo...

- A idźże, obłudnico... Też mi dużo!... - Pani Sa Tuel prychnęła z największym lekceważeniem. - Jedna kolacja! Zbudź się! Możesz mieć wszystko z powrotem: swoje państwo, ministrów, przyjaciół, kochanków, a i młodość, która wcale nie odeszła, tylko czeka zdradzona... o, tam czeka! - Pokazała palcem drzwi do dalszych komnat, a w którejś z nich był buduar. - Twoja uroda gotowa jest ci służyć jeszcze przez dziesięć lat! Możesz mieć wszystko, Dostojna! Wystarczy

- A jednak nie mogę mieć wszystkiego - powiedziała z goryczą Weronika.

- Mylisz się. Nie do końca, niestety... ale jednak mylisz się, pani.

Powiedziała to na tyle poważnie, że Dostojna uniosła spojrzenie.

- Oddasz mi tych, co nie żyją?

- Może wrócą ci, co zostali.

- Kto? Czy pani Se Potres?

Dostojna zazwyczaj bardzo przestrzegała form (zazwyczaj, bo istniały rozmaite odstępstwa, do których klucz znała tylko ona) i zamężna córka zawsze była dla niej księżną lub chociaż panią Se Potres, nigdy po prostu Wanesą.

- To kobieta Ayhoe - spokojnie odparła baronowa. - Przebaczysz jej? Umiąłabyś przebaczyć?...

Lekka i frywolna rozmowa o balu nieoczekiwanie przemieniła się w coś poważniejszego. Znacznie poważniejszego. Dostojna odchyliła się nieco na oparcie krzesła i uważnie przypatrzyła rozmówczyni.

- A dlaczego to panią interesuje?

Przez chwilę baronowa Sa Tuel mogła widzieć Dostojną taką, jaka była kiedyś: bardzo spokojną, godną, niedosiężną. I chyba naprawdę niebezpieczną.

- Bo zależy mi na tym, żeby najświetniejszy na świecie dwór znowu jaśniał swoim pełnym blaskiem. Może widzę w tym... osobistą korzyść? Może mam dosyć Nolandii, w której dwór królewski jest przede mną na zawsze zamknięty, a inne dwory trochę zbyt siermiężne, a jak nie, to sporo za małe. Może zasługuję na coś więcej niż pozycja zapomnianej

- Może tak, a może nie - powiedziała sucho Dostojna. - Ale pytasz mnie o sprawy osobiste.

- Nie, pani.

- Jak to nie?

- Ktoś taki jak pani nie ma spraw osobistych. A jeżeli ma, to trochę inne. Twój spór z córką, Dostojna, to spór między Pierwszą Damą Bractwa Rycerskiego a jej prawowitą następczynią, Wicekrólową (a gdy chodzi o fakty, owo „wice” możemy pominąć... bądźmy szczerze), zatem królowa mocarstwa, pani, nie ma prywatnych spraw. Kobieta, a zwłaszcza matka, możesz być w wolnych chwilach. A takie

Udało jej się sprawić, że Dostojna - ta sprzed lat -nie zniknęła. Królewska namiestniczka prowincji Valaquet, niemal siłą wyrwana z przeszłości, musiała coś załatwić, nim znów do przeszłości wróci.

- Po wojnie, ale teraz jeszcze nie? Dobrze. Słucham panią.

- Ale ja już nic nie chcę wiedzieć i nic nie mam do powiedzenia. - Sa Tuel wstała z krzesła, patrząc na Dostojną w taki sposób, że władczyni Valaquet przypomniała sobie, z kim

rozmawia; rozfiglowana młódka przejęta myślą o balu gdzieś bezpowrotnie zniknęła. Może została spłoszona przez monarchinię, która zajęła miejsce zgorzkniałej starej kobiety? - To pani musi znaleźć odpowiedź, jaka krew płynie w jej żyłach. Ja mówię tylko tyle, że kobieta z rodu Ayhoe na pewno jest w stanie wznieść się na wyżyny niewyobrażalne dla maluczkich. Księżna Se Potres jest Ayhoe, tak jak ty, Dostojna. To ta sama krew. Jeśli coś jest możliwe dla pani, to na pewno jest możliwe także dla niej.

Wyszła na środek pokoju i uprzejmym ukłonem zapytała, czy może się oddalić. Zamyślona Dostojna oddała ukłon dłonią (nawet o tym nie wiedząc, potrafiła wyrazić gestem tyle, ile baronowa swym wachlarzem). Sa Tuel dowiedziała się więc tego, co można by zawrzeć w słowach: „Jesteś pani zuchwałą, ale mądra; nie lekceważę pani i nie gniewam się. Ale teraz rzeczywiście odejdz, bo muszę spokojnie pomyśleć”.

Sa Tuel wyszła z poczuciem, że ziarno zostało posiane.

Del Wares miał rozterki, baronowa żadnych. List z Ammene-Re Selei tylko ją utwierdził w przekonaniu, że wszystkie stare plany można bez wahania uznać za niebyłe. Wiosenne „królewskie porządki”, a tym bardziej porządki Atheves - w które baronowa zresztą nie wierzyła - należało po prostu udaremnić. Cel był określony bardzo jasno: nie dopuścić do wybuchu śnieżnej magii, dotrzeć do nieosiągalnej, jak na razie, pani Anny Jaseny hrabiny Se Rhame Sar i zedrzeć z jej szyi diamentową kolię. Na ziemiach tak niegdyś pięknego hrabstwa Rhame Sar nic żywego nie mogło przetrwać, a jedyny człowiek, który

za nic miał takie warunki, bo towarzysząc swej żonie, został przez nią uodporniony, najprawdopodobniej jednak nie żył, wbrew wszelkim pogłoskom i plotkom. Należało więc zostawić w spokoju przekłętą lodową magię, albo raczej zajmować się nią tylko przy okazji, całą zaś energię skierować na zakończenie beznadziejnej wojny w Valaquet. List przywieziony z Re Selei nie tylko utwierdził baronową w ocenie zastanych tu porządków, ale jeszcze otwierał jej oczy na całkowicie nowe możliwości. Se Potres chciała do klasztoru; Dostojna już tylko do grobu. Należało zgładzić Atheves (dość już knucia i podżegań do wojny; wszystko jedno, czy robiła to dla siebie, dla króla, czy też w imię Boże), a poza tym oddać matce córkę i zwrócić córce matkę. Taki pokój - niemożliwy, wykluczony w oczach wszystkich, którzy mieli choćby mętne pojęcie, co te dwie kobiety nawzajem sobie zrobiły - stwarzał całkiem nowe pole do działania, tym bardziej że królowa śniegu też była czyjąś córką; była też czyjąś siostrą. Nie wiadomo, jakie uczucia żyły w lodowym potworze opętanym mocą starożytną koliai. Lecz Jasena, gdy była jeszcze tylko panią Anną Jaseną, nikim i niczym więcej, targnęła się na swe życie, bo miała wyrzuty sumienia. Teraz patrząc na raka wojny zżerającego prowincję, mogła co najwyżej znów stanąć przeciw siostrze albo przeciw matce. Lecz gdyby te dwie były razem?...

Gdyby jakimś cudem były razem, to zdawało się całkiem możliwe, że Jasena sama przyjdzie i tym samym przyniesie na szyi życiodajną dla siebie, lecz śmiertelnie niebezpieczną dla Egaheer koliai. Nikt nie mógł twierdzić na pewno, że władczyni

mrozu w ogóle nosi się z myślą niszczenia całych armii - czyichkolwiek armii - oraz niezliczonych ludzkich istnień, wsi i miast. Niczego takiego dotąd nie robiła; była taka, jakby wcale jej nie było. Dysponowała bronią, o jakiej nikt nie mógł śnić - i to był jedyny powód, dla którego podejrzliwe umysły przypisywały jej skłonności, jakich może wcale nie miała. Mało kogo (o nędzna ludzka naturo!) przekonywała wizja osoby trzymającej się z dala od wszystkiego, gdy mogła spełniać dowolne swe kaprysy i zaspokajać ambicje. Jasena nie musiała przecież nikogo porażać mrozem, wystarczyło, by dowiodła, że może i chce to robić. Wymusiłaby wszystko, a już bez wątpienia absolutną władzę w Valaquet. Zatem skoro obu wojujących dworów nie ozdabiały jeszcze sopte z lodu, to domniemywano, że hrabina Se Rhame Sar na coś czeka. Egaheer uważała, że na wejście wojsk króla.

Sa Tuel nigdy w to za bardzo nie wierzyła.

Następnego dnia pisała, co następuje:

Panie Kawalerze!

Oto Twoje zadanie: masz odnaleźć księżnę Se Potres i posłać mi wiadomość - ale pewną wiadomość - gdzie przebywa. Pani Atheves jest nam zbędna, a nawet nieznośnie przeszkadza, gdy zaś piszę Panu „nieznośnie”, zechciej to rozumieć dosłownie. Natomiast o księżnej chcę wiedzieć wszystko, co tylko wiedzieć można. Nie istnieje szczegół tyczący jej osoby, który mógłbyś uznać za nieważny. Napominam Cię, byś nie używał w listach imion, których nikt znać nie powinien, a tym bardziej wiązać z Tobą albo mną. Ostrożności nigdy za wiele.

Pisząc to, baronowa miała na myśli Egaheer i liczyła, że Del Wares łatwo ją zrozumie. Tym łatwiej, że dalej stało:

Skoro zniknęła, to zniknęła. Ja nie tęsknię. Wróci.

Odsyłam Twojego pomocnika i dodaję jeszcze dwóch od siebie. Wykorzystaj ich. Nikt tutaj ich z nami nie łączy. Na razie. Kiedyś zaczniesz, lepiej więc szybko przydziel im zadanie, które wykluczy tę ewentualność. Bo jeżeli raz zostaną powiązani z nami, ich przydatność stanie się żadna.

W taki to oględny i wytworny sposób Sa Tuel sugerowała, by Del Wares zlecił trzem Ewangelistom samobójczy zamach na Atheves. Trzy trupy, choć niezwykle, zachowywały jednak incognito.

Ostatniego odsyłam po wieści do Moun. Wciąż nie mam tu mojej karety i nie wiem, co to oznacza. Jest mało prawdopodobne, by ci, którzy ją ścigali, zabili Bogu ducha winnego stangreta mojego kuzyna. Zapewne puścili go, widząc, że w karecie nikogo nie ma, ale w takim razie dawno już powinnam mieć tutaj swój zaprzęg. Czyżby zniszczyli mi karecę? Ależ to tylko rzecz... Barbarzyństwo. Piszę o tym nie dlatego przecież, że żał mi jakiejś landary, choć skądinąd dużo wycierpiałam, podróżując w trzęsącej klitce, w której miejsca było akurat tyle, że stykałam się kolanami z Katarzyną, pupą zaś z Melanią, i trwało to cały dzień, bo dopiero wieczorem mogłam wynająć pocztę. Chodzi jednak najbardziej o to, że potrzebuję pojazdu, który wszyscy kojarzyliby ze mną, bo nic tak nie ułatwia zniknięcia w razie czego.

Na razie zamiast karety mam łódkę. Moena to miasto szczególnie. Na pewno słyszałeś, że częściowo leży na jeziorze; wystaw więc sobie ulice zupełnie pokryte wodą, a nad ulicami liczne mostki. Tak wygląda kilka kwartałów. Mają tu podobno kłopot zimą. Wiadomo, że klimat się zmienia, skutkiem czego woda czasem zamarza, co kiedyś nie zdarzało się nigdy. Ale lód jest słaby i specjalne ronty pachotków łamią go bosakami. Zresztą teraz, wiosną, boją się nie lodu, a powodzi. Stale się czegoś boją. Jest to chyba kara za wznoszenie domów na wodzie. Gdyby woda miała być mieszkaniem dla człowieka, to Bóg dałby mu... Właściwie nie wiem. Pewnie nic by mu nie dał, jak zwykle. Albo duże skrzydła z papieru.

Mam więc łódkę zamiast karety. Jednakże bardzo nie lubię pływać łódką, bo się boję, że wpadnę do wody i utonę. A to nie jest najlepszy sposób na zerwanie słodkiej znajomości z Tobą... Myśl o mnie czasem, to może nie wpadnę do wody. I bądź ostrożny, zwłaszcza z Atheves; ja ją znam...

Bursztynowa szkatułka prześliczna. Już Ci kiedyś chyba mówiłam, że masz bardzo wykwinny gust?

Sa Tuel

dano w Moenie

25 dnia kwietnia P.R. 1630

XII

Pani Atheves sypiała najwyżej po trzy godziny na dobę. Ci, co wiedzieli o jej kontaktach ze światem magii, tam właśnie szukali przyczyn owego niezwykłego trybu życia. Może i słusznie... Każdego dnia, tuż przed snem, wypijała kilka kropel kordiału mieszanego z winem. Działo się z nią wówczas coś dziwnego: zasypiała szybko, sen zaś miała niesłychanie lekki, lecz zarazem bardzo niezwykły. Budziła się z lada powodu, choć nie do końca. Potrafiła odpowiedzieć na zadane pytanie, wykonać kilka prostych czynności, ale niewiele więcej. Musiały minąć trzy godziny, by zbudziła się rzeczywiście, wypoczęta tak, jak każdy inny człowiek po ośmiu godzinach snu.

Oprócz najbardziej zaufanej służby prawie nikt nie znał nocnych obyczajów Atheves. Odkąd stawiła się w Valaquet, kochanków miała licznych, ale zwykle rozstawiała się z nimi przed zaśnięciem. Dwie połączone sypialnie zapewniały wszelkie wygody. Być może Del Wares był pierwszym, który ujrzał, jak

Atheves zażywa swój kordiał, albowiem od pamiętnego dnia, gdy został napojony piekielnym paskudztwem o wiadomym działaniu, ogromnie miał się na baczności. Leżąc tedy w rozrzuconej pościeli, ze szklaneczką białego wina w ręku, odczuł niepokój na widok niedużego flakonu w dłoni niebezpiecznej kochanki. Kto inny na jego miejscu być może nie dostrzegłby wcale, że dołała sobie czegoś do kieliszka. Del Wares jednak pomyślał, że to jakaś mikstura dla niego.

- Ziółka... - powiedziała ironicznie, pochwycając jego spojrzenie. - Źle sypiam, już od wielu lat. Przyzwyczyłam się pić zioła na sen. Ale zamiast kłopotliwych naparów umiem sporządzić wyciąg, którego wystarczy kilka kropel. A myślałeś, że co to jest?...

Uniosła kieliszek i umoczyła usta, wciąż spoglądając nad krawędzią z lekką kpina w oczach.

Olbrzymia sypialnia należała do którejś z Driad, lecz Del Wares nie wiedział do której. Sypialnia obok, tak samo wielka, służyła jej starszej albo młodszej siostrze. Niektórzy podejrzewali, że siostry okazywały sobie wzajemną czułość i względy daleko wykraczające poza rodzinne uczucie, lecz ci, co znali je lepiej, zaprzeczali. Wbrew ekscytującym plotkom nie nurzały się w żadnej rozpuście. Były to tylko dwie młode, bardzo wesołe, dosyć ładne - chociaż raczej zadbane niż ładne - rozpieszczone bogactwem dziewczyny, które kochały tańce, rozmowy, wykwintne dania, liczne towarzystwo, świetne stroje... i ludzi. Ten sam szlachcic, który przy biesiadnym stole rechetliwie opowiadał panu Del Wares o szczegółach makabrycznej egzekucji,

upił się tego samego wieczoru i raz jeszcze wrócił myślą do Driad, bo ciężko było siedzieć w ich domu i w ogóle o nich nie myśleć. „A wiesz pan co, kawalerze?” - powiedział niewyraźnie, z zamglonym spojrzeniem wbitym w wiszący na ścianie portret, po czym ukazał go chwiejnym pijackim gestem, tak przynajmniej, jakby przedstawiał którąś z Driad, co nie było prawdą. „Zdziwiona taka... Taka była zdziwiona. Na szafocie”.

Zdziwiona.

Pijany szlachcic nie wiedział, dlaczego zaciągnięta na szafot dziewczyna, która nic nie zrobiła - bo miała tylko dom, który się komuś spodobał - rozglądała się dokoła, jakby pytała tłum gapiów: „To... naprawdę? Zabiją mnie teraz? Tutaj? To naprawdę nie jest tylko... jakaś gra?”.

Już mało kto pamiętał, o czym najchętniej rozmawiała z gośćmi. Ale za to wszyscy wiedzieli, że bez głowy pełzała po szafocie.

- Zaraz to wypiję do końca - ostrzegawczo, choć z uśmiechem powiedziała Atheves. - A wóczas, mój złoty, nie minie kwadrans, jak będę smacznie spała... Myślałam, że jeszcze chwilkę porozmawiasz ze mną?

Skłonność Karola XVII do starszych odeń kobiet nadto rzucała się w oczy, by nie znaleźć oddźwięku w licznych kpinkach i śmiesznych kupletach, które nuciła ulica. Nawet Renata Sa Tuel była starsza od swego królewskiego kochanka o dwa albo trzy lata. Młodsza była tylko królowa Maria, której król unikał jak pokrzyw.

Zatem plebs przezwiał nieszczęśliwą królową Pokrzywą.

Lecz królewska metresa zawsze była panią Atheves. Król śmiał się z kupletów o sobie, a na dworze słyszano raz i drugi, jak wręcz podśpiewywał pod nosem:

*Biedny mały Karol
Nie łośna kochanki
Potrzebuje, ale
Mlecznej piersi mamki.*

Była to bowiem melodia łośwo wpadająca w ucho, król zaś miał duŹe poczucie humoru. Lecz nie sięgało ono pani Atheves. Czarownica pozostawała nietykalna i Źwięta; nawet ulica bała się z niej pokpiwać, choć ulica zwykle nie boi się niczego. Ale za kilkoma nazbyt utalentowanymi poetami wrota twierdzy więziennej zamknęły się z takim hukiem, Źe nie warto było kusić losu. Tym bardziej Źe król był lubiany, Atheves zaś... nie znienawidzona.

- Rozmawiać?... Zdawało mi się, Źe najęła mnie pani, bym jej posprzątał sypialnię?

- Tak, ale to było wczoraj.

- I juŹ posprzątałem?

- No... prawie.

- I juŹ nie będę potrzebny?

- O, przeciwnie. Nieporządki trzeba likwidować w zarodku.

- Zechce pani wskazać swemu Źłudze, gdzie jeszcze panuje nieporządek?

- AleŹ nigdzie. Jestem zadowolona. Sprzątałem dzisiaj niezwykle sumiennie.

- Kurz, pleśń...

- No tak, juŹ ich nie ma.

- Pajęczyny?

- Pozrywałaś wszystkie - rzekła, lekko przygryzając wargę.

W olbrzymiej sypialni kandelabr dźwigający kilkanaście świec dawał światła akurat tyle, by wyłonić z mroku krąg wokół łoża. W owym kręgu stały dwa fotele, dwa nocne stoliczki oraz trzeci stolik, okrągły, ten który dźwigał kandelabr. Del Wares miał znaczną przewagę, bo to tam właśnie, w pełnym świetle, stała rozmówczyni. On sam, z głową na poduszkach, krył twarz na granicy kręgu światła.

Atheves miała rozpuszczone włosy, których czarne strugi spływały na plecy, ramiona, a z przodu na obie piersi. Strugi, nie fale, bo włosy nosiła długie, proste i nigdy, wbrew powszechnym zwyczajom, nie kręciła ich. Kusa szatka, przywodząca na myśl ministrancką komżę, lecz rozciętą z przodu, związana była tylko w jednym miejscu, wysoko, pod samą szyją, niżej zaś rozchyłała się i kończyła zaledwie na wysokości bioder. Kpiąc sobie z inkwizytorów i królewskich sądów, Atheves kultywowała pradawne obyczaje wiedźm, miała bowiem włosy jedynie na głowie... Nagie i gładkie, a tym samym grzesznie odsłonięte kobiece łono było oczywistym dowodem parania się magią bądź konszachtów z diabłem; doniesienie o czymś takim wystarczało zwykle do wszczęcia

Atheves i Sa Tuel. Były to kobiety podobne. Atheves, starsza od tamtej o sześć lat, była tak samo wyrachowana i równie bezwstydna, śmiejąca się z wszelkich zasad, a najbardziej zasad przyzwoitości. Trzeba rzec, że król jednak szczególnie miał gust, przedkładając Atheves nad Sa Tuel; jeśli zważyć tylko urodę,

ani się do niej umywała. Chociaż czy na pewno król miał coś do powiedzenia?... Atheves wytropiła rywalkę i niemal unicestwiła jednym drobnym gestem, może tylko skrzywieniem ust. Piękna blondynka, dla której król czynił swe ryzykowne nocne wypadki na przedmieścia, zniknęła ze stolicy, jak by ją wichur porwał, skazana na banicję i domowy areszt. Jeśli nie oglądała świata przez wąskie okienko wieży, to tylko z powodu nazwiska. Nierzetelne procesy, zmyślane zarzuty, śmiesznie słabe dowody - to wszystko mogło nastąpić dopiero później, w ogarniętej wojną i nowym barbarzyństwem prowincji Valaquet. Ale w Nolandii, w Lazenne? Atheves wiedziała, że nie utrzyma swej pozycji na dworze wbrew wszystkim, a poparcie, czy choćby tylko milcząca akceptacja ze strony szlachty i wielkich panów królestwa, zależało od tego, czy ci ludzie czuli się zagrożeni. Osadzenie w twierdzy kogoś takiego jak baronowa Sa Tuel obudziłoby poczucie zagrożenia. Skoro można bez powodu - bo z jakiego, proszę, powodu? kto zechce przedłożyć królowi powody?... - wtrącić do więzienia kobietę takiego rodzaju, to znaczy, że można tam wtrącić każdego. Atheves wygrała i przegrała zarazem. Za ledwie rok później błąd król, głuchy na wszelkie pytania, obojętny na prośby, groźby i sceny zazdrości, podpisywał rozkaz zezwalający baronowej opuszczać Tuel, choć nadal nie miała wstępu do stolicy. Nikt nie wiedział, co było przyczyną łaski króla. Nie wiedział nawet Del Wares. A najwyżej on jeden mógł wiedzieć, bo nikt częściej od niego nie widywał się z Egaheer... Jakie tajemnice poznała? Kogo przekabaciła i czym? W każdym razie potrzebowała swojej służki i nie zostawiła jej własnemu

losowi. A gdy Egaheer kogoś lub czegoś potrzebowała - to przeważnie umiała zdobyć.

Nie wypuszczając kieliszka z dłoni i nie odwracając spojrzenia, Atheves leniwie podeszła do fotela, po czym usiadła na rzeźbionej poręczy, z jedną stopą opartą na podłodze, a drugą zawieszoną w powietrzu. Raczej domyślając się, niż widząc, że Del Wares spogląda na tę śliczną stopę, figlarnie poruszyła palcami, rasowo ułożonymi w jednej skośnej linii.

Lepszej stopy, pęciny i łydki Del Wares nie widział u nikogo. Nawet u swojej Sa Tuel. Atheves miała nogi bez zarzutu, jak pełnokrwista klacz.

- Dlaczego wyjechałaś z Lazenne? Przecież się domyślam, że nie rzuciłaś wszystkiego tylko po to, by zemścić się na Weronice Teresie.

Jej spojrzenie i wyraz twarzy nie zmieniły się ani na jotę. Upiła trochę wina, a tym, co zostało, chlusnęła mężczyźnie w twarz. Jeśli wziąć pod uwagę odległość, trafiła z największą precyzją.

- Wara ci od tego - powiedziała spokojnie, wstając z poręczy i idąc ku drzwiom drugiej sypialni. Po drodze wzięła z okrągłego stoliczka butelkę wina i flaszeczkę ze swoim kordialem. - Dobrej nocy, mój złoty... Wypocznij, bo jutro znowu czeka cię sprzątanie...

Zaśmiała się krótko, lecz zmysłowo i prowokująco, po czym zamknęła drzwi.

Del Wares wiedział, że nie pośpi, bo piękna ministra nie jadła śniadań samotnie... Miał przed sobą trzy godziny snu i to

musiało wystarczyć. Zwykle jednak budził go pokojowiec Atheves, a inny sługa czekał w pokoju obok, gotów pomóc przy porannej toalecie. Buduary Driad, połączone drzwiami tak samo jak sypialnie, stwarzały okazję do rozmowy; trzeba przyznać, że Del Wares szczerze lubił te poranne pogawędki, kiedy nie widząc **się** nawzajem, świetnie jednak słyszeli przez otwarte drzwi. Atheves rano bywała w najlepszym humorze, potrafiła żartować tak wybornie, że jej kochanek w pokoiku obok omal kiedyś nie postradał życia, zaniósłszy **się** śmiechem z przytkniętą do gardła brzytwą.

Ale ten poranek był inny. Atheves obudziła go sama.

- Wyspany? - zapytała trochę kpiąco, doskonale przecież wiedząc, że nie.

Miała na sobie jedwabny szlafrok, ciemnogrnatowy, delikatnie zdobiony złotą nicią. Włosów jeszcze nie upięła, a nawet nie uczesała. Potargana, w przymglonym świetle wstającego dnia była naprawdę ładna. Wyglądała najwyżej na trzydzieści lat.

Obejrzawszy kochankę, która półkłęczała na łóżku podparta na rękach i jednym kolanie, Del Wares wyciągnął dłoń, lecz Atheves się wywinęła.

- Jeszcze czego - powiedziała. - Słuchaj, bo muszę ci coś powiedzieć. Oprzytomniałeś?

Del Wares był przytomny w samej rzeczy, bo potrafił szybko rozczmuchać się ze snu.

- Tak - powiedział, przeciągając się, aż chrupnęły stawy.

- On może wszystko - powiedziała. - Może uderzyć, zranić sto razy, upokorzyć, poniżyć, wypędzić...

Może kazać cokolwiek i czegokolwiek zabronić. Tylko jednej rzeczy mu nie oddam, a tą rzeczą jest życie. Muszę je mieć, żeby go kochać. A kocham go jak pies, jak suka, jak niewolnica... Zdycham tutaj bez niego i na reszcie zdechnę, jeśli wcześniej nie oddam mu Valaquet, tak jak tego zażądał. Może wyżebrzę w ten sposób powrót do jego łask, a może tylko uśmiech... Albo nawet nie uśmiech. Spojrzenie.

Oszołomiony Del Wares leżał w łóżku w takiej pozycji, w jakiej go dopadło nieoczekiwane wyznanie: z ramionami nad głową, bo przecież przeciągał się właśnie.

Lekkim ruchem głowy i dmuchnięciem odrzuciła z twarzy pasmo czarnych włosów. Z dłońmi w kieszeniach szlafroka przyglądała się leżącemu mężczyźnie.

- Kochał mnie. Może jeszcze pokocha ponownie. Nigdy nie zrezygnuję. Gdy będzie miał lat siedemdziesiąt, ja będę na niego czekała, wciąż niebrzydka, wciąż zdrowa, bo są na to sposoby, mój złoty... Nie musi dla mnie być królem, może stracić tron i być żebrakiem, więźniem lub wygnańcem. Zamiotę podłogę włosami tam, gdzie będzie chciał postawić swoją stopę. Mogłabym sprawić, że już jutro wróciłby do mnie i kochał, kochał, kochał... Ale jest jedynym na świecie mężczyzną świętym dla mnie i nie śmia go tknąć żadne brudne sztuczki... Bo to tylko sztuczki. Takie sztuczki.

Uniosła dłoń na wysokość uszu i pstryknęła palcami po obu stronach głowy. Del Wares wyrznął ciemieniem w łukowato spiętrzony, wyczelowany w drewnie zagłówek wielkiego łóża i na mgnienie oka postradał przytomność, przed oczami wybuchła mu czerń, czerwień i zaraz potem jakaś dziwna

zieleń, opalizująca, migotliwa.

- Żyjesz? Dobrze - powiedziała. - Więc oto twoje zadanie: masz odnaleźć księżnę Se Potres. Pani Atheves natomiast jest ci zbędna, a nawet nieznośnie przeszkadza. I... niech spojrzę... nie używaj w listach imion, których nikt znać nie powinien. Ostrożności nigdy za wiele... Ach, idiotka - powiedziała z najszczerzą litością. - Mam rozumieć, że to jest jej ostrożność?

Przejrzawszy na oczy, Del Wares zobaczył w dłoniach Atheves jakieś drobno zapisane stroniczki. Jedną właśnie wkładała do kieszeni szlafroka.

- Ale słuchaj dalej, kawalerze: otóż ona ma łódkę. I powiada o niej: „Jednakże bardzo nie lubię pływać łódką, bo się boję, że wpadnę do wody i utonę. A to nie jest najlepszy sposób na zerwanie słodkiej znajomości z Tobą... Myśl o mnie czasem, to może nie wpadnę do wody. I bądź ostrożny, zwłaszcza z Atheves; ja ją znam...”. Ona zna Atheves - powiedziała Atheves, znacząco unosząc palec. - I jest jeszcze: „Bursztynowa szkatułka prześliczna. Już Ci kiedyś chyba mówiłam, że masz bardzo wykwintny gust?”. Otóż gust, kawalerze Del Wares, na ogół masz pan niezgorszy, natomiast jarmarczne bursztynowe szkatułki, które tutaj uchodzą za niezwyklej urody dzieła sztuki, będę posyłała baronowej stale i w każdej z nich znajdzie coś dla siebie. I gdy wszystko, co tam znajdzie, połączy do kupy, to znowu będziecie razem.

Włożyła drugą część listu do kieszeni i uniosła dłonie do uszu.

- No? - zapytała ośmielająco, przekrzywiwszy lekko głowę.
- Już wiesz? Och, widzę, że wiesz, ty mój złoty.

I znów pstryknęła palcami.

Del Waresa wymiotło z łoża niczym szmacianą kukłę. Grzmotnąwszy plecami o ścianę, przez chwilę stał przy niej jak przyklepiony, po czym zsunął się na podłogę, bo nogi żadną miarą nie mogły go utrzymać. Miał chyba pęknięte zebro i zaczął krwawić z nosa. Leżąc na boku, znów przez chwilę oglądał dziwną zieleń, a pierwszą rzeczą, jaką ujrział naprawdę, były kształtne nagie łydki i pęciny, których wszelako podziwiać ani myślał. Nie dlatego, by straciły na urodzie.

- Wiesz, co przed wiekami robiły czarownice, gdy już wysały z ofiary całą witalność i siłę?

Oglądając z bliska drobne stopy Atheves, Del Wares poczuł po chwili, jak na jego uchu, policzku i szyi rozpryskuje się strużka gorącej cieczy. Leżąc z twarzą na zimnej posadzce, widział, jak cał przed jego okiem powiększa się żółtawa kałuża, podbarwiona krwią sączącą mu się z nosa. Drugie oko, półotwarte, dotykające podłogi, zaczęło niezdolnie szczypać.

- *Rased... atar fatha... sei...* Upodłona przez wiedźmę ofiara nie mogła już jej zagrozić... nawet po śmierci. To tylko przesąd, zabobon. Skoro jednak jestem wiedźmą, kawalerze... Tradycja! Cechowa, rozumiesz pan. Osobistej urazy żadnej nie mam. Przecież nie osądzisz po pozorach, bo w pierwszej chwili można by pomyśleć, że robiąc to, co robię, okazuję panu swe lekceważenie... Ależ w żadnym razie. Ostatecznie jest to mocz Atheves. Trochę szlachetniejszy płyn od tego, który tętni ci w żyłach, sam pan powiedz.

Dwa tak potężne uderzenia mogły wstrząsnąć każdym mężczyzną, ale Del Wares czuł wręcz wszechogarniający bezwład. Nie potrafił choćby mrugnąć okiem. Dusił się, nie pracowały nawet płuca. Prawie nie czuł, jak ogarnięta nagłym gniewem wiedźma jęła nienawistnie kopać go w bok, raz za

- Wiem, że mnie kochasz, przecież przysięgałeś - rzekła, klękawszy obok z dłońmi złożonymi na kolanach. - Opowiedziałam ci dzisiaj, co to znaczy prawdziwa miłość, i nie wątpię, że podobną masz dla mnie. O Boże, ale ty krwawisz!... No widzisz? Przecież to zaślubiny! Krew rodu Del Wares połączyła się właśnie ze swym odpowiednikiem od Atheves. Och... ale co to? Uryna chyba się warzy w zetknięciu z tymi

Del Wares nie tyle umierał, ile zdychał z braku tchu. Czuł, że zapada się w otchłań; głos czarownicy dobiegał doń jak zza ściany. Jakaś siła raz jeszcze porwała go za bark i łeb, kręgi szyjne omal nie pękły. Wyrznawszy w coś biodrem, Del Wares po raz trzeci ujrzał mrok, potem zieleń... Lecz tym razem po migotliwej zieleni nic już więcej się nie pojawiło.

Popatrzawszy na nieprzytomnego, pani Atheves pochyliła się i przesunęła nad nim dłonią, skutkiem czego nieruchoma pierś drgnęła, biorąc spazmatyczny łyk powietrza. Upewniwszy się, że leżący oddycha, ruszyła ku drzwiom, ale nagle zatoczyła się i kurczowo chwyciła malowany złotem filarek podtrzymujący baldachim nad łóżem. Oparła oń czoło, czekając, aż ustąpią zawroty głowy i mdłości. To nie były babskie zaklęcia szeptane nad garnkiem z wywarem... Trzy wybuchy gniewu, trzy uderzenia skupionej w jednym punkcie woli, zabrały jej może rok

życia. Lecz objawy wyczerpania jeszcze nigdy nie pojawiły się tak szybko. Nie była młoda... Wiedźmą-zabójczynią można sobie być między siódmym a najwyżej piętnastym rokiem życia. Potem pozostaje już tylko lepienie kukiełek, gotowanie śmierdzących mikstur i zamawianie chorób...

Wyszła ze swojej sypialni, otworzyła następne drzwi, minęła jeszcze dwa pokoje i klasnęła w dłonie, przywołując odprawionego wcześniej pokojowca. Gdy stanął przed nią,

- Podziękuj wielebnemu, będzie wiedział, za co dziękuję. Poproś go w moim imieniu, by zechciał poczekać, aż się ubiorę. Niedługo, trzy kwadransy lub niewiele więcej, dzisiaj tyle mi wystarczy. Doceniam ogromną bezinteresowność wielebnego ojca, ale tym bardziej liczę, że zechce jeszcze ze mną porozmawiać. Powiedz to. Aha! Przyślij do mnie porucznika strz - Gdzie ma przyjść?

- Do pierwszej sypialni.

Pokojowiec odszedł. Atheves wezwała łazienką i garderobianą.

Mniej więcej po kwadransie za drzwiami buduaru rozbrzmiało kasznięcie i zapytanie: „Wasza Dostojność?...”. Pokojowiec sprowadził oficera.

- Poruczniku - rzekła Atheves, gdy gwardzista za meldował się zza drzwi - weź pan sześciu... nie, dziesięciu ludzi. Odwieszysz... - urwała. - Ale chodźże pan tutaj, kazałam czekać mnichowi, a pan też jesteś mnichem czy co? Byle urzędas przybiega tu do mnie po podpis, a pan, żołnierz, sterczysz za drzwiami!

Skarcony oficer z kapeluszem pod pachą i ręką na gardzie szpady wszedł do buduaru. Ministra z wysoko upiętymi włosami leżała w głębokiej miedzianej wannie wypełnionej ciepłym mlekiem, po powierzchni którego pływały jakieś zioła; pośród białej toni widać było tylko jej głowę i jedno krągłe kolano. Obok dwie dziewczyny szykowały już kąpielowe prześcieradła.

- Opończa! - rzekła Atheves, spoglądając na gwardyjski mundur porucznika. - Widzisz pan, byłabym zapomniąca. Zdejmiecie opończe, nikt nie powinien wiedzieć, że jesteście żołnierzami dostojnej księżnej Se Potres. W następnej sypialni, nie tej, przez którą wszedłeś, znajdziesz pan człowieka, którego odwiesz do Svern. Na stoliczku znajdziesz też podpisany przeze mnie rozkaz, ale nie pokazuj go nikomu, jeśli nie będziesz musiał. Dopiero w Svern. Okażesz rozkaz strażom w twierdzy, by cię wpuszczono do gubernatora, a wtedy oddasz list. Leży obok twojego rozkazu, jest zapieczętowany. Następnie wypełnisz wszystkie polecenia gubernatora.

- Tak, Ekscelencjo.

- Zręcznie i dyskretnie - napomniła. - Zamknięty powóz, jak najmniej hałasu. Aha! I pošlij kogoś po kata, ale mistrza, nie jakiegoś partacza. Wychodzę; nie patrz pan, bo się wstydzę.

Porucznik odwrócił się jak na musztrze.

- Dobrego kata mają chyba w Lens-Re-Toy - mówiła pośród plusku mleka - bo miejscowy potrafi tylko ścinać. Kat stawi się w Svern na rozkazy gubernatora twierdzy.

- Tak, Ekscelencjo.

- Czy coś jest dla pana niejasne?
- Nie, Ekscelencjo.
- Wykonać.

Wychodzący żołnierz minął się w drzwiach z garderobianą, która niosła czerwoną brokatową suknię. Za plecami usłyszał krzyk śmiertelnie oburzonej ministry:

- Aaa! Z mnichem! Będę mówiła z mnichem, a ty co mi niesiesz, niemądra?! To jest dla kokietki, to dla ulicznicy!

Mimo woli uśmiechnąwszy się pod wąsem, oficer pobiegł po swoich żołnierzy.

Bardzo młody zakonnik, który przybył w nocy i cierpliwie przez kilka godzin czekał w przedpokojach, aż pani Atheves zechce się obudzić i przeczytać zaniezione jej pismo, z takim samym stoickim spokojem odczekał jeszcze godzinę. Gdy weszła, podniósł się z krzesła i ukrywając dłonie w rękawach habitu, skłonił lekko głowę.

- Witam ojca - powiedziała, prosząc gestem, by udał się za nią do pokoju. Gdy to uczynił, własnoręcznie zamknęła drzwi, na chwilę oparła się o nie, uważnie spoglądając na zakonnika, po czym pokazała, by siadał.

Grzeszna czerwona suknia godna ulicznicy przepadła gdzieś bez wieści. Pani Atheves miała na sobie ciemnozieloną szatę, świetną, ale skromną, z bardzo małym dekoltem, godną osoby piastującej ministerialny urząd u boku wicekrólowej (co prawda samozwańczej). Na włosach upięła złotą siatkę, pasującą do drobnych pierścionków i ozdób - dodatek trochę niemodny, lecz jeśli jakaś kobieta mogła sobie pozwolić na noszenie niemodnych dodatków, to na pewno była nią Dorota Atheves.

Od jutra do Ammene-Re Selei miała wrócić moda na siatki.

- Najpierw spytam: czy ma ojciec jakieś życzenia? Jest ojciec spragniony albo głodny? Nie będziemy robić żadnych ceremonii, po prostu proszę powiedzieć, a wydam potrzebne rozkazy.

- Dziękuję pani.

- Jest ojciec protazytą.

- To nie ma żadnego znaczenia. Pani na pewno domyśla się, kim jestem przede wszystkim. Ale jeśli nie domyśla się pani, zaraz powiem.

- Proszę powiedzieć.

Wbrew deklaracji zakonnik przez chwilę milczał.

- Ekscelencjo - spokojnie, lecz zarazem stanowczo rzekł na koniec. - Domyśla się pani czy nie? Otóż nie przyszedłem rozmawiać z kimś, komu trzeba przedstawiać wszystko od chwili stworzenia świata. Jeśli pani czegoś nie wie, proszę mówić. Wyjaśnię. Lecz jeżeli pani coś wie, to proszę szanować mój czas. W zamian ja uszanuję czas pani.

Obcesowo.

Siedząc przy wielkim prostokątnym stole, Atheves opierała łokieć na blacie i palcem muskała lekko dolną wargę. Nie odpowiedziała. I chyba nie usłyszała, co powiedział zakonnik, bo patrzyła nań tak, jakby milczał.

Lecz mnich z jakichś powodów zawziął się i postanowił czekać aż do skutku. Czy była to próba sił?...

Atheves czuła się bardzo, naprawdę bardzo silna.

- Zaczny ojcie... Oddał mi dziś ojciec przysługę. Proszę jednak się nie zapominać. Ja do nikogo nie przyszłam, to ojciec przyszedł do mnie. Jeśli tylko po to, by oddać mi pewien list,

to dziękuję. Oddanie mi tego listu było całkowicie zgodne z racją stanu. Jest ojciec lojalnym poddanym Jego Królewskiej Mości Karola XVII, miłościwie panującego na wszystkich ziemiach Zjednoczonych Królestw... Jeszcze raz dziękuję.

To powiedziawszy, wstała.

Zakonnik musiał wstać także.

Było całkiem jasne, że pani Atheves gotowa jest rozmawiać wyłącznie na własnych warunkach. Młody mnich nie miał innego wyjścia, jak tylko uznać swą porażkę i w milczeniu przyjąć nauczkę, bo było przecież prawdą to, co powiedziała: to nie ona do kogoś przysłała i nie ona była petentką.

- A jednak, Ekscelencjo - przemówił po krótkiej chwili - jest niepodobiestwem, bym przedstawił pani swoją sprawę, opowiadając wpierw o wszystkim, co winna pani wiedzieć i beze mnie. Muszę poczynić założenia, że coś jednak pani wie.

Usiadła z powrotem i pokazała krzesło naprzeciwko.

- Uszanowałam ojca, wychodząc do niego aż do przedpokoju, zamiast kazać przyprowadzić do siebie. Uczynię jeszcze jeden gest: rzeczywiście domyślam się, że jest ojciec wysłannikiem pewnego wpływowego stowarzyszenia, bo przypadkowi ludzie na pewno nie mogli przejąć listu, który dzisiaj trafił w moje ręce. Jeśli jednak o coś pytam, to proszę niczego nie zakładać, tylko udzielić zwięzłej odpowiedzi. Wydaje mi się, że będziemy mówić o sprawach ważnych, nawet bardzo ważnych. W takich sprawach nie ma miejsca na pomyłki, przemilczenia i niedomówienia.

- Przyjmuję to do wiadomości.
- Dobrze. Proszę mówić.
- Znane mi są prawdziwe powody pani pobytu w Valaquet.
- I jakie to są, zdaniem ojca, powody?
- Przeciąganie wojny, zrywanie układów, przetrzebieenie elit, osłabienie obu stronnictw i wydanie bezbronnego kraju w ręce prawowitego monarchy, który jest tu władcą zaledwie tytularnym.

Jeśli chciała zwięzłości, to ją miała.

- Stowarzyszenie, którego jestem członkiem - ciągnął mnich - popiera te dążenia, bo są częścią planu większego niż plan jakiegokolwiek śmiertelnika, choćby ów śmiertelnik był nawet Bożym Pomazańcem. W owym planie prowincja Valaquet odgrywa rolę szczególną, winny tu być bowiem odkupione bardzo stare grzechy, co tłumaczę pani, bo możesz tego, Eks-celencjo, nie wiedzieć. Otóż zarówno plan, w którym pani uczestniczy, jak i ten, którego ja strzegę, mogą zostać zagrożone przez działanie pewnych wrogich sił. Czy nazwać te siły po imi- Tak, proszę.

- Egaheer - powiedział zakonnik.

- Znam to słowo - powiedziała ostrożnie i pomimo że tak świetnie umiała nad sobą panować, nie ustrzegła się w głosie odrobiny niepokoju i zdziwienia.

- Na pewno je pani zna, bo wiele pani wie o rozmaitych gusłach i w zwalczaniu zabobonów i herezji położyła znaczne zasługi.

Tym razem mnich był górą: Atheves nie umiała rozpoznać, czy ten człowiek właśnie sobie zakpił, czy też raczej naprawdę

wierzy w to, co mówi. Chyba wierzył, tak samo jak wierzyli inkwizytorzy. Dlaczego miałby nie wierzyć? Ostatecznie była to prawda. Zwalczała magię wszędzie i na każdym kroku. Tylko nie u siebie - ale nigdy jej przecież na niczym nie przyłapano.

- Owszem. Nie mówimy jednak o gusłach.

- Nie - potwierdził. - Mówimy w zamian o czymś, co gusłami się żywi.

- Nikt do końca nie wie, co to jest - zauważyła. - Ma liczne sługi, lecz w gronie tych sług zaledwie kilka osób spotkało tę... siłę? Nie wiem, jak trzeba to nazwać. Czy wie ojciec coś więcej, niż mogę wiedzieć ja?

- Możliwe, lecz jeśli chodzi o naturę Egaheer, nie są to informacje wartościowe, proszę mi wierzyć. Wszystko, co uważam za znaczące, zaraz powiem, bo właśnie po to przyszedłem. W Valaquet jest przynajmniej dwoje owych najbliższych, najbardziej zaufanych sług Egaheer, o których pani mówiła. Ale dwoje to bardzo dużo; nie wiadomo, czy w ogóle jest więcej. Zna pani treść listu, ja oczywiście znam ją także. Wie już pani zatem, kto to jest.

- Zaraz, zaraz, ojczy... Chce mi ojciec powiedzieć, że nie wchodzi tu w grę intryga polityczna, lecz jakaś... inna? Związana z legendą Egaheer?

- To nie legenda.

- Wiem, tak tylko powiedziałam... To nie jest intryga polityczna?

- Intrygi polityczne nie obchodzą nas, Ekscelencjo. Są produktem czasów i ludzi żyjących w tych czasach, są więc produktem ludzkiego rozumu i wolnej woli, a na ich używanie, w jakimkolwiek celu, Pan Bóg dał swoje przyzwolenie. I obietnicę

rozliczenia... Obchodzą nas, Ekscelencjo, wykroczenia przeciwko porządkowi rzeczy ustalonemu przez Stwórcę. Naruszany jest właśnie ten porządek. Pani po swojemu stoi na jego straży, my zaś po swojemu. Powinniśmy połączyć siły. I z taka propozycją przyszedłem. A jest to propozycja właściwie nie do odrzucenia.

- Jak to powinnam rozumieć?

- Dostała pani dzisiaj list, który przechwyciliśmy. Oddałem go bez żadnych warunków i nadal żadnych nie stawiam. Chcę powiedzieć, że pomożemy pani bez żadnych zobowiązań z jej strony. Wiemy, jaką politykę tu prowadzisz i akceptujemy ją. Chcąc prowadzić ją dalej, będziesz musiała się zmierzyć z bardzo potężnym wrogiem i dopomożemy pani w tej walce, Ekscelencjo.

XIII

Tego samego dnia, lecz nieco wcześniej, tuż przed świtem, w wąskim przepuście klepsydry, którą tworzyły Ammene i Re Selea, pojawiła się jakaś postać przywodząca na myśl złowrogie historie o duchach i upiorach. Było ciemno, a ulice puste, tylko dlatego człowiek ten nie wzbudził powszechnego przerażenia i sensacji. Biegł, lecz był to bieg dziwaczny, nieludzki. Można by rzec, iż biegacza wprawiał w ruch ukryty mechanizm, podobny do zegarowego. Niezwykłość ruchów polegała na tym, że mężczyzna mocno utykał i miał nieruchome jedno ramię, każdemu krokowi zaś towarzyszył okropny świst i bulgot niepodobny do żadnego dźwięku, jaki mogły wydać ludzkie płuca, obojętne jak zbolałe z wysiłku. Był to widok niemal groteskowy, a zarazem nieprawdopodobnie ponury, bo w nieporadnej wytrwałości tego biegu kryła się jakaś - mechaniczna właśnie -nieodwołalność. Można by pomyśleć, że człowiek ten,

postradawszy nogi, dalej parłby naprzód, wlokąc korpus na rękach.

Dobiegłszy do jednego z domów, mężczyzna po osobnych schodach wspiął się na piętro i uderzył pięścią w drzwi. Dobijał się nie tyle głośno, ile wytrwale, jakby był pewien, że w końcu ktoś mu otworzy, ale nie chciał budzić całej ulicy.

Drzwi otwarły się wreszcie i od razu zamknęły, gdy tylko przybysz przekroczył próg.

Służący u pana Del Wares chłopiec, choć otrzaskał się już nieco w podróży, nie był w ciemności bity i miał niejaki pojęcie, że jego chlebobawca to ktoś bardzo niezwykły, a tym samym otaczają go niezwykli ludzie i sprawy, omal nie zemdlął z przerażenia, widząc w blasku świecy upióra. Z najwyższym trudem rozpoznał groźnego czarnego jeźdźcę, którego przed dwoma tygodniami jego pan wyprawił do Moeny. Człowiek ten, bez kapelusza, bez szpady, ale za to z pistoletem w dłoni, w pogiętym napierśniku z dwoma otworami po kulach, miał na ustach ciemnoróżową pianę wydobywającą się za każdym charkotliwym oddechem. Na bezwładnie zwieszanej wzdłuż boku ręce, prawdopodobnie złamanej, zakrzepły strugi krwi, zbroczona też była czarna szata poniżej zbroi - połyskliwa, mokra, bo samych plam na ciemnym suknie widać nie było. Bardziej jednak niż sam wygląd przybysza, bardziej niż jego śmiertelne chyba rany przerażał spokój i zupełny brak cierpienia na twarzy, a także w stłumionym, bulgoczącym głosie, gdy jął pytać niewyraźnie, urywanie:

- Pan... Del Wares... Gdzie jest?...
- Nie... nie ma pana - wybełkotał Host.

Straszny biegacz może nie odczuwał bólu, lecz nie mógł mówić płynnie, bo płuca, popękane chyba z wysiłku, domagały się szybkich kurczowych oddechów.

- Jesteś... jego... służą... Czy tak?...

Służący przytaknął, z trudem przetykając ślinę.

Z niezwykłym mozołem, jak się wydawało, przybysz jął sobie coś układać w myślach. Przestraszony Host nie wiedział, jak bardzo różnią się między sobą Ewangeliści Egaheer, bo w ogóle nic nie wiedział o Ewangelistach. Różnili się jednak w samej rzeczy i mógłby to bez wahania potwierdzić nie tylko Del Wares, ale i jego piękna współniczka, chociaż znała ich dużo gorzej. Gdy Ewangelista zwany Janem był nieomal zwyczajnym człowiekiem, zdolnym do różnych samodzielnych działań, a nawet wysuwania sugestii w rozmowie z panią Sa Tuel, stojący przed Hostem Bartłomiej nadawał się za ledwie na niewolnika - choć i tak był bardziej przydatny od Marka, który jawił się zgoła bezmyślny i niemy. Jednakowo sprawnie potrafili tylko jedno, a mianowicie zabijać.

- Był pościg i walka... - powiedział gwardzista Egaheer. - Kilkunastu, nie wiadomo kto... Stracony list... od pani Sa Tuel... Twój pan musi się... dowiedzieć...

- List do pana Del Wares? Stracony?

- Tak.

- To niech pan tutaj... niech pan idzie za mną. - Młody Nordyjczyk, choć wciąż przestraszony - ba! śmiertelnie przerażony! - potrafił szybko dodać dwa do dwóch. - Pan Del Wares... Ale pana nie ma - powtórzył bezradnie i niemal z roz-

Wyrwany ze snu, oszołomiony i ogarnięty grozą chłopak sam niewiele wiedział, a z tego, co wiedział, zastanawiał się,

ile może zdradzić niesamowitemu przybyszowi.

Weszli do pokoju stołowego. Spocony z przejścia i umyślowego wysiłku Host przedstawił sobie, że ktoś posłany z tajną misją do Moeny, choćby wyglądał niczym żywy trup, na pewno był zaufanym jego pana. Wymienił zresztą nazwisko baronowej Sa Tuel i wspomniał też o liście, przypuszczalnie odpowiedzi, którą wiózł.

- Pan Del Wares jest... na dworze dostojnej księżnej, u pani Atheves - wyłumaczył z duszą na ramieniu, bo ogarnęły go nagle nowe wątpliwości, czy powinien mówić cokolwiek. Postanowił jednak brnąć dalej, bo już nie miał odwrotu. - Ten list... Pan mówi, że stracony? Co w nim mogło być?

- Nie wiem... Tajny, ukryty... Ważny. Jechało nas tutaj... aż trzech...

Bez żadnego ostrzeżenia, żadnych znaków zapowiadających, mężczyzna w czarnych szatach i zbroi uderzył nagle plecami o ścianę, opierając się o nią całym swym ciężarem, po czym na słabnących nogach jął przykucać, aż osunął się do samej podłogi. Siedząc, wciąż wykrztuszał z każdym oddechem krwawą pianę, która wraz z jakimiś strzępkami materii ściekała mu na podbródek.

- Ostrzeż swego pana... A jeśli będzie za późno... to ostrzeż panią... Sa Tuel...

Charkotliwy oddech zgasł tak nagle, że w uszach Hosta cisza jęła aż dzwonić. Siedzący nieruchomo pod ścianą mężczyzna spoglądał przed siebie zastygłymi, wciąż jeszcze błyszczącymi oczami. Maszyna, nie wiedząca, co to strach, sumienie i ból.

Z półotwartych ust wyciekały resztki strasznej piany.

Host, który trupy widywał dotąd co najwyżej na pobożnych obrazach w kościołach - bo zmarłego dziadunia na marach prawie nie pamiętał, potem zaś uciekł z domu rodzinnego i nie wiedział nawet, czy ktoś jeszcze go odumarł - przeraził się tak, że zakrył usta ręką. W szlafmicy na spoconej głowie, koszuli do kolan i ze świecą w ręku wyglądał jak prześmiewczy posąg zdumienia i przerażenia. Odsunawszy się od martwego Niszczyciela, siadł ciężko na krześle, ale świeczkę wciąż trzymał, bo w głowie kłębiło mu się tyle myśli, że już brakło miejsca na taką, by postawić lichtarz na stole.

Mijały minuty. Host siedział i myślał, wkładając w to tyle wysiłku, że na pewno schudł o pół funta. Świeca płonęła, wosk kapał na podłogę, bo służący trzymał lichtarz krzywo. Utkwione w przestrzeni oczy młodego Nordyjczyka podobne były do oczu zabitego mężczyzny pod ścianą - nieruchome i bez wyrazu. Obaj mieli tak samo półotwarte usta - choć istniała nadzieja, że Host jeszcze kiedyś swoje domknie.

Pan Del Wares - rozważał służący - odwołał wszystkie dane rozkazy, był wczoraj w wybornym humorze i nawet sobie żartował, że on, Host, nie musi jeszcze szukać nowego chlebobdawcy. Wieczorem pan Del Wares znowu poszedł do pałacu, tak jak chodził już wiele razy. Jeśli nie wracał na noc, to zjawiał się najwcześniej w południe, a bywało, że po dwóch dniach. Przedwczoraj jasno powiedział, że jest kochankiem pani Atheves, co Host w samej rzeczy wiedział, bo nie zawsze zostawał w mieszkaniu, a obracając się pośród służby, czekając na pana tu czy

tam, miał aż miesiąc z okładem na poznanie wszystkich plotek, chociaż sam mówił niewiele, bo i nawet nie miał o czym mówić. Wiedział, co to jest Pałac Driad; wiedział, kto to jest pani Atheves, ba! miał niejaki pojęcie, co się w ogóle dzieje w tym kraju, kto komu służy i o co toczy się wojna. Wiedział zatem dużo - lecz o sprawach swego pana prawie nic.

Co miał teraz robić? Jezu... Co? No co?

Biec do Pałacu Driad, wszczynać hałas o bladym świcie, szukając pana, do którego przybył ważny posłaniec? Musiałby tak powiedzieć, by w ogóle wpuszczono go do pałacu. Ale potem do pani Atheves? Host widział dwa razy z daleka potężną panią ministrę, której obawiał się przecież nawet jego pan. Wydawała mu się wyniosła i niedosiężna jak prawdziwa królowa (Host nigdy nie widział królowej, ale tak właśnie musiała wyglądać, tylko jeszcze miała koronę). Miał iść do takiej wielkiej pani i pytać o pana Del Wares? Ale przecież to z jej strony mogło nadejść zagrożenie, bo jeśli ktoś ukradł jakiś ważny list, to pewnie jej ludzie, któż inny? Nikogo innego pan się nie obawiał; przynajmniej Host o tym nie wiedział. Idąc więc do Pałacu Driad, oddałby się w ręce wrogów swego pana, przypomniał im o swoim istnieniu, stał się nieprzydatny. Pochwycono by go, a pana by i tak nie zobaczył. Nie mógł iść do Czekać? Ale to tyle, co nie robić nic.

Pędzić do pani Sa Tuel? Moena była chyba nie bardzo daleko, ale jednak jakieś dwa, a może trzy etapy dzienne. Rozpytać się o drogę byłoby dosyć trudno, bo w Moenie stały przecież wojska wroga; kto tam jechał, mógł być jakimś szpiegiem albo co. Jednakże czarny jeździec, zanim umarł, kazał ostrzec pana,

a jak nie, to panią Sa Tuel. Pani Sa Tuel mogła pomóc najwięcej, a choćby i pomóc nie mogła, to musiała zostać ostrzeżona (bystry Host wiedział swoje: pan Del Wares wróciłby z zaświatów, by zapytać jak najuprzejmiej, dlaczego jego służący nie ostrzegł pani baronowej przed grożącym jej niebezpieczeństwem).

A może do Lens-Re-Toy, o której to miejscowości pan Del Wares mówił przedwczoraj? Lens-Re-Toy było to średniej wielkości miasto, niezbyt odległe, chyba największe w tej okolicy, jeśli nie liczyć Ammene-Re Selei. A Host znał doń drogę, wystarczyło jechać głównym gościńcem. Jeżeli na dworze księżnej Se Potres, a właściwie pani Atheves, panu Del Wares zagrozi niebezpieczeństwo, to służący mu tam nie pomoże. Ale dalej: jeśli pan Del Wares wydobędzie się jakoś z opresji, to sam będzie wiedział najlepiej, czy może wrócić do swojego mieszkania, czy też raczej powinien się ukryć, a kryjówkę miał przygotować właśnie jego sługa... No tak, ale skąd pan Del Wares będzie wiedział, że sługa wie, że grozi niebezpieczeństwo i że trzeba przygotować kryjówkę?... Pękała

Pozbierawszy myśli od początku i ułożywszy je jedną po drugiej, Nordyjczyk wykoncypował, że zrobi wszystko naraz. Po pierwsze, pobiegnie na pocztę i pošle list do pałacu. Po drugie, pojedzie do Lens-Re-Toy i zrobi wszystko tak, jak było ustalone w razie niebezpieczeństwa; pan Del Wares domyśli się, co zrobił służący, skoro nie zastanie w mieszkaniu ani jego, ani swoich rzeczy. Jeśli wypłacze się z matni, będzie miał dokąd iść, a tam będzie czekał nań koń, silny Walet, będą szaty, oręż i

w ogóle wszystko. Słowem, będzie czekało schronienie, choćby i tymczasowe. Nie będzie czekał tylko służący, bo służący weźmie swego dzielnego, przydanego mu przez pana konika i dotrze do Moeny, choćby miał przekradać się lasami, mknąć powietrzem albo ryc pod ziemią. A wreszcie tutaj, w domu, będzie czekała na pana Del Wares wiadomość... Ta straszna wiadomość nieruchomo siedząca pod ścianą. Nawet z milczącej postaci trupa pan bez wątpienia mógł wyczytać więcej, niż sługa dowiedział się ze słów.

Host stawiał więc wszystko na jeden rzut kośćmi. Wydawało się niestety możliwe, że coś źle obrachował, a tym samym z powziętych decyzji będzie musiał się gęsto tłumaczyć; mogły zdarzyć się i gorsze rzeczy, nawet wydalenie ze służby. Ale w dzielnym sercu prostego chłopaka od dawna już żyło szczere przywiązanie do pana, nie dość, że świetnego szlachcica, to chlebobdawcy ludzkiego i sprawiedliwego, przy którym sługa traktowany był jak człowiek i nawet przez pół dnia nie działa mu się krzywda. Host pomyślał więc o panu, o tym, co będzie najlepsze dla pana - a w ogóle nie pomyślał o sobie. I Del Wares, gdyby mógł znać myśli Hosta, orzekłby bez wahania, że tacy ludzie, potrafiący grać wysoko i podejmujący ryzyko, giną w pierwszym starciu bądź zostają oficerami. A lojalny młody Nordyńczyk właśnie ryzykował wszystko: całą swoją przyszłość, byt i dobrobyt. Mając niewiele pracy, a w zamian dobrą opiekę, odzienie, kąt i jadło, by nie wspomnieć już o kieszonkowym, za chwilę mógł być bezdomnym tułaczem, przegnanym na cztery wiatry. Ruszając do szarży według nowej szkoły, galopem i z nastawioną szpadą, odważny Host pędził po swą zgubę - lub

szponton sierżanta, albo nawet pióropusz porucznika.

Nie tracąc już ani chwili, służący zakrzętnął się przy pakowaniu najniezbędniejszych bagaży, bo chciał zabrać tyle, ile mogą poradzić dwa konie: Walet i jego własny. Na przygotowanie całkowitej przeprowadzki nie miał czasu. Zabrał więc broń pana, nieliczne kosztowności, pieniądze - tyle, ile było - wszystkie listy i bileciki, a wraz z nimi przybory do pisania, najpotrzebniejsze szaty, a zwłaszcza obuwie, które w przykryj wiosennej pogodzie stale przemakało. Mając jeszcze miejsce, pobierał trochę przedmiotów codziennego użytku. Ogarnąwszy się, pobiegł budzić właściciela domu. Z przerażeniem odkrył na schodach ślady krwi. Posprzątał tak szybko, jak potrafił, umył ręce i poszedł znowu.

Był już dzień. Właściciel nie spał.

- Mój pan mnie dokondś posyła - rzekł Host. - Kiedy wróci, niech pan idzie do niego i niech mu pan powie, żem pojechał, gdzie mi kazał przedwczoraj.

Właściciel kiwnął tylko głową na zgodę, bo sprawy najemcy pierwszego piętra nic go nie obchodziły, w pierwszym rzędzie dlatego, że przezorny Del Wares opłacił mu się z góry, nie zachodziła więc obawa, że pan i jego sługa dadzą nagle drapaką. Świetny kawaler, mający podobno nawet jakieś wpływy na dworze, nie wyglądał zresztą na kogoś, kto uciekłby z mieszkania, nie płacąc.

Host starannie zamknął drzwi, schował klucz do kieszeni - właściciel domu miał przecież zapasowy - umiejętnie objuczył bagażami konie, dosiadł swojego i prowadząc Waleta za wodze, pojechał na przedmieście Re Selei, gdzie była stacja pocztowa.

Tam kazał sporządzić list - bo sam napisać niczego nie umiał, a raczej potrafił tylko swoje imię, czego był go nauczył pewnego wieczoru pan Del Wares. List, o treści starannie przemyślanej, zawierał, co następuje:

Proszę Wielmożnego Pana, ja jestem tam, gdzie Pan niedawno kazał, a wiadomość dlaczego, żem zostawił w mieszkaniu.

Ku oburzeniu pracownika poczty nieufny Host kazał sobie na głos odczytać cały list, o którą to grzeczność poprosił jakiegoś przypadkowego podróżnego z przyległej gospody (poczty zwykle lokowano przy gospodach bądź odwrotnie - gospody przy pocztach). Upewniwszy się w ten sposób, że treść nie odbiega od zaleceń, Host starannie i z dumą nagryzmolił u dołu karty swoje imię, kazał dać adres „Do Pana Kawalera Del Wares” i natychmiast posłać pismo do Pałacu Driad. Uiściwszy należną opłatę, odjechał bez żadnej zwłoki.

Wchodzące w grę odległości były na tyle znaczne, że Host w samej rzeczy musiałby podróżować drogą powietrzną, by zdążyć z ostrzeżeniem do baronowej Sa Tuel. Wróg nie zasypiał gruszek w popiele, chociaż - trzeba otwarcie powiedzieć - to nie z powodu groźby pojawienia się Hosta podjął szybkie działania.

Czy to za sprawą przypadku, czy też z powodu znajomości zwyczajów panujących w domu baronowej, gość pojawił się w

piątek, a więc w dniu, gdy pobożna i cnotliwa Sa Tuel odbywała cotygodniową spowiedź, oddawała się postom i rezygnowała z najniewinniejszych rozrywek. Dom stał cichy, nikt nie zajeżdżał na maleńki, ale ślicznie utrzymany dziedziniec, pośrodku którego okrągły klomb pysznił się wiosennymi kwiatami.

Spowiednik był i już poszedł. Dworzanie i służba baronowej - ludzie nowi, przypadkowi, więc niepewni - musieli być przeświadczeni o szczerości deklaracji pani domu, inaczej w krótkim czasie stałoby się jawne wszem wobec, iż piątkowe posty to kpina w żywe oczy, a pobożne rozmyślenia... o tym lepiej wcale nie mówić. Sa Tuel zamykała się więc w swoich pokojach jak w więzieniu, za całe towarzystwo mając wierną Melanię, która z pokojówki przedzierzgnęła się w uroczą dworę - i nie można powiedzieć, że źle wypadła w takiej roli. Przeciwnie, Melania - a dokładniej panna Sa Veres, bo kimś takim była w Moenie - z jakichś przyczyn wolała stale chadzać w świetnych sukniach, bawić się wachlarzem, stawiać pasjanse, od niechcenia haftować batystowe chusteczki, a nawet tylko nudzić się u boku pani. Sama baronowa była zaskoczona swobodą, z jaką jej dama dworu wdaje się z przybyłymi gośćmi w dyskursy o poezji i w ogóle literaturze. Wygłaszane sądy co prawda nie były zbyt głębokie (skądinąd, kto tu był zdolny do głębokich sądów?), ale dowodziły znajomości przedmiotu, co właściwie nie powinno dziwić, jeśli zważyć, ile książek przeczytała na głos swojej pani Melania - baronowa zaś znała się na literaturze, umiała dobrać lektury i nawet siedząc w Tuel, potrafiła być na bieżąco. Z innymi sprawami szło Melanii gorzej (bo lepiej jedynie z modą), lecz figlar-

nej i stale uśmiechniętej pannie wybaczano zarówno nagłe zmiany tematu, jak i naiwne uwagi, które brano raczej za przejaw kokieterii.

Tego piątku w małym salonie - bo nabyty dworek, choć zadbany, ładny i gustownie umeblowany, oferował wyłącznie miniaturki komnat - nieszczęśliwe współwięźniarki, strzeżone przez czuwającego w przedpokoju masztalerza (także i ten młody człowiek niepomierne zyskał na znaczeniu jako „stary” i zaufany sługa baronowej), oddawały się pobożnym rozważaniom, które polegały na wspólnym oglądaniu słynnych już w Nolandii, w Valaquet będących zaś nowością rycin do najnowszego wydania bajek pana Se Lafonta. Dziełko to, wydane anonimowo, znalazło się już na indeksie - nie z powodu bajek, oczywiście. Zdobiące je ryciny były nieprzyzwoite, siały zgorzenie; mogły przecież trafić w ręce dziatwy, a co gorsza - młodych kobiet, panien na wydaniu, które i bez tego całymi karnymi pułkami szły przecież prosto do piekła. Trzeba trafu, ani Melania, ani baronowa nie zetknęły się dotąd z wiadomymi rycinami, choć Sa Tuel o sprawie słyszała. Lecz teraz to właśnie Mel wystraszyła skądś owo straszliwe, a zarazem bardzo sławne dzieło. Wiedząc o swobodzie, z jaką pani Sa Tuel traktowała sprawy moralności (a jej dworka była bodaj jeszcze gorsza) postronny obserwator nie oparłby się chyba zdziwieniu, oglądając rumieńce na twarzach obu kobiet. Ryciny były zabawne, ale bez ogródek - czy też może raczej zupełnie bez osłonek - przedstawiały i zajączka, i lisa, i niedźwiedzia, a już najgorsze rzeczy działy się z jelonkiem i panią jelonkową. Melania nie wiadomo który już raz jęła krztusić się ze śmiechu, pokazując palcem

nabrzmiące, jędrne piersi pięknej łani, mającej więcej niewieścich niżli zwierzęcych cech, dalej zaś raciczki zaplecione tuż nad krzyżem jelonka, który to zresztą jelonek nie rogi miał za główną swą ozdobę. Sa Tuel przeczytała wyjątek z bajki, którym opatrzony był obrazek, i prychnąwszy nieoczekiwanie nawet dla samej siebie, opryskała dłoń Melanii drobinkami śliny, jednocześnie zaś wypuściła z nosa coś, co u dzieci nazywa się „świeczką”. Pochwyciwszy chusteczkę, od razu ukryła w niej twarz, okropnie zawstydzona, lecz nadal rozbawiona do łez, z ramionami wciąż drżącymi od śmiechu.

- Ale... ale świnią! - rzekła czerwona jak róża Melania już nie tyle ze śmiechem, co z przejęciem, myśląc o autorze oglądanych rycin, skądinąd naprawdę znakomitych. - Widziała już pani kiedyś coś takiego?...

- Chyba nie - przyznała baronowa, ocierając oczy. - Rozmazałam się, no zobacz... - Pokazała poplamioną farbami do rzes chusteczkę. - Widziałam starożytne posągi, które trzyma się w piwnicach, bo inaczej kuśiłyby do grzechu. Chociaż coraz śmieiej wyciągane są na światło, nikt już tego tak bardzo nie przestrzega. Ale takich rycin nie widziałam. Jeszcze nie.

- Ja też widziałam posągi.

- Och, ale ja nie mówię o takich, jak ten biedny nagi Dawid z łukiem albo Rosa, bogini miłości. Nagie ciało, moja droga, jest modne tak w malarstwie, jak i rzeźbie, chociaż za ideał uchodzi męskie, nie kobiece. Mówię o starożytnych posągach świątynnych, które przedstawiają... doprawdy, właściwie wszystko, co może przyjść do głowy. - Sa Tuel zaśmiała się znowu.

Melania szybko poruszała wachlarzem, chłodząc, palące policzki. Drugą ręką jeszcze raz wertowała książeczkę, niby tylko tak sobie, bo wstydziła się zatrzymać przy jakimś obrazku na dłużej, żeby baronowa nie pomyślała, że ten akurat szczególnie jej się podoba.

- Przynieś mi lusterko - zażądała Sa Tuel, a gdy służka spełniła polecenie, zaczęła poprawiać swój wygląd, rąbkiem chusteczki ścierając z dolnych powiek i kącików oczu drobne szaroczarne zacieki. - Ale czytałam fraszki, do których, powiem ci, te obrazki się nie umywają.

- Naprawdę?... - Melanii nie chciało się wierzyć.

- Mhm. Kilka nawet umiem na pamięć.

Melania klasnęła w ręce.

- Niech pani powie!

- O... nie, nie!... - odparła ze śmiechem baronowa. - Wstydzę się.

- E tam... Wstydzi się pani? Ale przecież ja...

Sa Tuel pogroziła jej palcem. Melania wzruszyła ramionami, ale nic nie powiedziała. Dzielily niejedną tajemnicę i niejedno wcale rogate wspomnienie, jednak baronowa z jakichś przyczyn nie życzyła sobie pogaduszek o tym. Zabawa... jakakolwiek zabawa i z kimkolwiek... mieć musiała początek i koniec. Gdy następował ów koniec, o zabawie się już nie mówiło, a najlepiej nawet nie myślało. Wszystko wracało na miejsce.

- Co to było za wzruszenie ramion?

- Taak tylko... - powiedziała przeciągle Mel. - Niech się pani nie gniewa. Ale dlaczego pani nie powie? Przecież to tylko wierszyk.

- Mam się wytłumaczyć?

- Mhm - przytaknęła bezczelnie Melania, która z reguły wiedziała, na co sobie może pozwolić, przede wszystkim zaś:

Sa Tuel oparła dłonie, w których wciąż trzymała chusteczkę i lusterko, na kolanach.

- Grube słówka, ale wiesz, bardzo grube... - powiedziała po chwili z uśmiechem. - Nigdy nie umiałam. Kiedy powiem „do diabła!”, pan Del Wares śmieje się, że przeklinam jak sierżant dragonów. Mogę mówić o wszystkim i wszystko mogę robić... no, no! - Znów pogroziła palcem, bo Melania chyba chciała coś wtrącić. - O wszystkim, ale nie w każdy sposób. Po prostu... nie wykrztuszę tego, nie i już. Nie dlatego, że się wstydzę przed tobą. Prędzej już opowiem, o czym są te fraszki, niż je wyrecytuję.

- Niech pani opowie! - Melania znów klasnęła w ręce.

- W głowie ci się poprzewracało.

- Ale... ja panią proszę!

Sa Tuel znowu zaczęła się śmiać. Ugryzła ciastko (ciastka, likiery i wino Melania chowała już w czwartek, bo towarzyszyła przecież swojej pani w postach i nie mogła w piątek posłać do kuchni po nic więcej jak wodę).

- Więc to tak, spryciaro... Miałaś mnie zabawiać, a wychodzi na to, że właśnie panna do towarzystwa potrzebuje lekarstwa na nudę. No i kto je przyniesie? Oczywiście pani Sa Tu-
Tu- Ja przyniosłam książkę - obruszyła się dworka.

- To za mało - zdecydowała baronowa. - Skoro jesteś taka odważna i nie wstydzisz się niczego, to pomożesz mi opowiadać.

- Ale... jak miałabym pani pomóc?...

- To proste - niby obojętnie, lecz powściągnąwszy uśmiech, powiedziała Sa Tuel. - Usiądź sobie, o, tam, na szeszlangu... Ja będę opowiadała, a ty odegrasz wszystko, co powiem.

- Odegram?...

- Odegrasz.

- Tak jak w pantomimie, którą oglądałam z panią w...

- Właśnie tak.

- I co to będzie?... - zapytała niepewnie Melania.

- Co? Pstro! Chcesz się bawić czy nie?

- Chcę, ale... - Melania zachichotała. - Nie będzie się pani śmiała ze mnie?

- Jeszcze jak będę! A niby po co siedzimy tu razem? Żeby płakać? - Sa Tuel w jakiś wyjątkowy sposób poruszyła w powietrzu dłonią, czyniąc gest, który Melania obiecała sobie zapamiętać, chociaż nie wiadomo, co oznaczał; w każdym razie mógł znaczyć wszystko. - Idziesz?

- Idę - odważnie rzekła Melania, chociaż miała tremę.

Uśmiechnięta i zarumieniona już na zapas, ulokowała się na szeszlangu.

- Ale to nie są dobre wiersze.

- Trudno, niech pani mówi. - Melania gotowa była bohatercko obcować ze złymi wierszami.

- Tę powiem całą:

*Śmiała się, że mały,
A wypchnął jej gały*

- wypaliła Sa Tuel.

Melania ze śmiechu omal nie spadła z szeslongu.

- Jak mam to pokazać? - zapytała, chwytając oddech.

- Ja nie wiem. Pokazuj.

Skrzypiąc fiszbinami i gniotąc spódnice, Melania podkasła sztywną zieloną suknię aż po podwiązki, rozłożyła i zadarła nogi, po czym kopnęła nieistniejącego ogiera piętami w lędźwie, wybałuszając oczy tak, że z kolei pani Sa Tuel musiała się złapać za bolący od śmiechu bok; panna Sa Veres, doprawdy, była w swojej roli bardzo przekonująca.

- Ależ twoje miejsce, moja droga, jest wśród mimów wystawiających swe sztuki w Loyniwe... Król zatrudnił podobno na stałe całą trupę.

- Myśli pani, że królowi spodobałoby się to, co pokazuję? - zapytała rozbawiona wiewiórka.

- Prawda, nie - orzekła Sa Tuel, wzruszywszy ramionami. -

A powiem ci dlaczego: otóż dlatego, że Karol był najpodlejszym kochankiem, jakiego miałam w życiu. Nie mówiłam ci nigdy? No to mówię.

- Naprawdę? Ale... król?

- Król! - powiedziała z niesmakiem baronowa Sa Tuel, rozkładając ręce. - Ten tu chłopiec, który nas pilnuje, zapędziłby króla w kozie róg.

- Nie, on umie tylko... - zaczęła Melania i urwała.

Sa Tuel czekała i czekała, coraz wyżej unosząc brwi Melanii przestało być do śmiechu. Spociła się i zaczerwieniła - tym razem nie na żarty.

- Uwiodłaś tego dzieciaka? - zapytała wreszcie baronowa. - Boże... - powiedziała przerażona, przykładając dłonie do policzków. - Ile razy? Gdzie, jak?... I dlaczego ja nic o tym nie wiem? Przecież to oczko w głowie Katarzyny! Matka pędzi go do kościoła, chłopak służy do mszy, kiedy jesteśmy w Tuel, a ty, niecnoto... I to ty! - Odcień zgrozy w głosie baronowej brał się z wiedzy o miłosnych możliwościach Melanii. - Czego go uczysz? Czy przynajmniej czegoś normalnego? Mów!

Melania zrozumiała, że pani, choć zaskoczona wieścią, to jednak nie bardzo się gniewa, i jej serce zaczęło bić z powrotem. Pomyślała, że następnym razem odgryzie sobie jęzor.

- Normalnego, tylko całkiem normalnego zupełnie - powiedziała tak szybko jak mogła i Sa Tuel znowu zaczęła się śmiać. - Ale... mówię pani prawdę, przysięgam, pani wie?

- O, tak... Pani wie. Wprawdzie od minuty, ale wie. Ja ci urwę ten rudy łeb, moja panno Melanio Sa Veres.

Mówiąc to, przechyliła lekko głowę, jakby nasłuchiwała.

- Podejść no do okna - powiedziała. - Zdaje mi się, że ktoś zajechał.

- Dzisiaj?

Okna wychodziły na dziedzińczyk. Melania wstała z szezlongu i poprawiając suknię, wyjrzała na zewnątrz.

- Rzeczywiście... Kareta. To chyba jest księżę Se Sinc-Noil... tak, to on! - Melania rozpoznała herb na drzwiczkach. - Ale co się stało?

- Nie wiem. Wsiadł?

- Wsiadł.

- Idzie tutaj?

- Idzie.

- Zejdź na dół i pomóż tym gapom, bo nie będą wiedzieli, prosić czy nie prosić, i gotowi uchybić grzeczności. W końcu to jest szlachcic i nie może go spotkać w moim domu żaden afront. Przynajmniej nie ze strony służby.

Melania pobiegła do drzwi. Sa Tuel sama pochowała ciasteczka, butelki, kieliszki, a na koniec nieprzyzwoitą książkę z bajkami. Poprawiła jeszcze kilka szczegółów, popatrzyła w lusterko i z niecierpliwością czekała na Melanię. Dziwna niezapowiedziana wizyta szlachcica, który niczym specjalnym się nie wyróżniał - a w każdym razie nie był przez nią lepiej od innych traktowany - wyzwoliła w podejrzliwej naturze baronowej zaciekawienie i niepokój. Pan Se Sinc-Noil... Oto była postać świetnie pasująca do jednego bądź drugiego dworu w Valaquet. Karol XVII może był kiepskim kochankiem, ale rozsądnie ukrocił powszedni za panowania ojca obyczaj nagradzania tytułem każdego, komu się udało przegrać do króla w karty sto dublonów lub położyć podobne zasługi... W efekcie takich hrabiów w poniszczonych butach, takich książąt bez księstw i bez przodków biegały po ziemiach Zjednoczonych Królestw dziesiątki. I oby tylko dziesiątki... Przykro było patrzeć na tych ludzi, którym jak panu Se Sinc-Noil przysługiwał tytuł wysokości, a którzy sami

czuli swą nicość w zetknięciu z każdym, kto stał wyżej od karczmarza. Wróciła zdyszana Melania. Idąc tropem swych myśli, Sa Tuel skarciła ją sucho:

- Nie zapominaj się. Nazwisko, które sobie pożyczyłaś, nosiła kobieta z ubogiego, ale bardzo dobrego domu. Biegać po schodach będziesz wtedy, kiedy wrócisz do swych obowiązków pokojówki.

Zmieszana Melania przez chwilę milczała.

- Mów.

Dobry humor Sa Tuel zniknął gdzieś bez śladu. Melania, przyzwyczajona do fumów baronowej, od razu spuściła z tonu, bo teraz mogła oberwać za cokolwiek.

- Księżę prosi panią o przebaczenie za najście; wie, że w piątki nie przyjmuje pani żadnych wizyt.

- Ale prosi, bym go jednak przyjęła?

- Tak.

- Jest to sprawa najwyższej wagi i niecierpiąca zwłoki?

- Tak...

- A przy tym wielce poufna?

- Tak... Wszystko tak, jak pani powiedziała.

- Nie wypadaj z roli, panienko - surowo powiedziała Sa Tuel, karcąc dziewczynę po raz drugi w ciągu minuty. - Swobody! Jesteś teraz dworką, szlachcianką, nie służącą. I masz tu wszystkim pokazywać, jak należy się godnie zachować. Nie przytakuj, nie płaszcz się. Nawet wobec kogoś, komu winna jesteś szacunek i posłuszeństwo. Jednak każdy w tym kraju jest najwyżej równy ci stanem, choćby i przewyższał pochodzeniem. Nawet król to tylko szlachcic, tak jak teraz ty.

Melania skłoniła się dość powściągliwie, nie więcej, niż trzeba, by pokazać, że usłyszała.

- O! - powiedziała Sa Tuel. - Już o wiele lepiej.

Teraz lepiej, kiedy indziej gorzej... Przy Melanii winien stale czuć specjalny anioł-doradca mówiący w jakiej roli pani chce ją widzieć, gdy są same. Przyjaciółki, służki czy damy do towarzystwa.

Sa Tuel niemal zawsze umiała być przenikliwa, lecz zdarzały się dni, gdy wręcz potrafiła czytać w myślach.

- Ja ci nie powiem, Melanio, kim masz być w danej chwili. Służąca, której trzeba mówić takie rzeczy, nie jest mi potrzebna. Ucz się, a przede wszystkim trochę więcej myśl, bo otóż myślisz tylko wtedy, kiedy musisz. To za mało.

- Bo... bo pani kręci mną jak kotem w worku! - nie oczekiwanie zbuntowała się Melania. - Kiedy myślę, to pani mi mówi, że od myślenia są inni!

- Skoro tak, to zejdz mi z oczu - obojętnie powiedziała Sa Tuel. - Nie mam ochoty na kłótnie i nie myślę za nic cię karać; proszę wyjść.

Jeśli ukłonem nazwać gniewne zadarcie podbródka, to Melania ukłoniła się i wyszła. Sa Tuel nawet tego nie zauważyła, bo w samej rzeczy nie miała ochoty na sprzeczki. Pouczała Melanię najbardziej dlatego, by dać jakieś przykrycie myślom. Lubiła czasem skupić się i popaść w zadumę, kiedy indziej zaś wołała mówić. Zwłaszcza wtedy, gdy działo się coś nieoczekiwanego. Umiejętność prowadzenia rozmowy na temat zupełnie niezwiązany z przedmiotem wewnętrznych rozważań wymagała bardzo częstych ćwiczeń.

Baronowa oczywiście wiedziała, że uczyni wyjątek i porozmawia z księciem Se Sinc-Noil. Dzień bez gości przewidziany był przecież specjalnie na takie okazje. Bez takiego dnia żadna wizyta nie różniła się od innej, trudno więc było wstępnie oszacować jej wagę. Lecz gdy ktoś przychodził w piątek... to znaczyło, że ma naprawdę ważną i poufną sprawę. Znaczyło też, iż jest kiepskim intrygantem; doświadczony gracz przyszedłby w poniedziałek, wtorek... kiedykolwiek, byle nie w piątek. Pan Se Sinc-Noil był więc zaledwie narzędziem, wysłannikiem, co najwyżej ustami głowy należącej do kogoś

Baronowa od razu wiedziała to wszystko i wiedziała, że porozmawia, próbowała tylko przewidzieć o czym. Nie był to zaufany człowiek Dostojnej, a więc raczej nie chodziło o nic związanego z dworem. A może w ogóle nie chodziło o intrygę, a tylko pospolity werbunek? Lecz ksiązę nie był też przywódcą żadnej politycznej frakcji - bo różne, pożałuj Boże, frakcje polityczne istniały nawet w Valaquet; jedni uważali, że wojnę zakończą układy, inni obstawali przy zbrojnych rozstrzygnięciach; ci od układów wyobrażali je sobie różnorako i dzielili się dalej... Istna kpina. Pan Se Sinc-Noil był jednakże w swojej frakcji pionkiem, nie chodziło więc o poufną rozmowę mającą na celu skaptowanie potężnej stronniczki. Kim był zatem? Bo przecież nie osobą prywatną, której przyszła oto do głowy jakaś myśl godna przekazania baronowej Sa Tuel w cztery oczy.

Mógłby być wysłannikiem księżnej Se Potres lub, co znaczyło to samo, pani Atheves, która wiedziała przecież, że Sa Tuel

jest w Moenie. Mógłby, ale nie był. Nie demaskuje się własnego szpiega dla przekazania wiadomości albo propozycji. Przyjechałby człowiek zupełnie w Moenie nieznany.

Księżę mógł być zatem nie wiadomo kim - lecz najpewniej był wysłannikiem Towarzyszy Ducha Świętego. Członkiem zakonu, ale raczej tylko jego sługą. Towarzystwo Ducha Świętego na pewno nie straciło jej z oczu na blisko dwa miesiące. Mogła wywieść prześladowców w pole, by pobiegli za czerwoną karetą, która do tego służyła, ale nie mogła ukryć się w ogóle. Od dawna oczekiwała zamachowca... lub parlamentarzysty. Chyba się doczekała. Z czym przychodził?

Wszystkie te rozważania zajęły baronowej jakieś pół minuty lub niewiele więcej - tyle, ile rozmowa z Melanią. Gdy dziewczyna wyszła, baronowa zawołała w ślad za nią:

- Służba!

Było jasne, że odprawiona przed sekundą Melania nie wróci, a zresztą do swojej dworki baronowa nie zwracała się w ten sposób. Wołała małego odźwiernego... Prawda, już nie małego. Ktoś uczynił go młodym mężczyzną.

Pomimo czekającej ją ważnej rozmowy Sa Tuel uśmiechnęła się pod nosem i sługa zastał ją siedzącą z tym uśmieszkiem.

- Zechciej, mój piękny giernku - rzekła jędza najśłodszym swoim głosem - sprowadzić tu księcia Se Sinc-Noil, który czeka na dole. Za pięć minut.

Ogłupiały chłopak, do którego nigdy tak się nie zwracała, przez krótką chwilę tkwił w drzwiach, jakby nie był pewien,

czy pani naprawdę mówi do niego. Ale uniosła dłoń na wysokość piersi i poruszyła palcami w znamienym kobiecym geście: „Pa, kochany, i wracaj szybko!” - wtedy uciekł.

- Melanio!

Dworka miała swoje dwa pokoje blisko pokojów pani; ostry głos baronowej bez trudu docierał gdzie trzeba. Ale imię jeszcze nie zdążyło przebrzmieć, gdy Melania, wciąż obrażona, wkroczyła do komnaty z pistoletem trzymanym oburącz przy brzuchu, dygnęła niezbyt grzecznie, minęła panią bez słowa i przymknęła - ale nie zamknęła - za sobą drzwi następnego pokoju. I Sa Tuel po raz drugi zaśmiała się sama do siebie.

- Zechciej, Melanio - powiedziała niegłośno - wziąć pistolet i iść do drugiego pokoju. Nie wiem, w jakiej sprawie księżę przybył.

Po czym odpowiedziała:

- Tak, Renatko.

- Ty bezczelna - rzekła znowu Sa Tuel. - Idź już, porozmawiamy później.

Zza uchylonych drzwi wysunęła się głowa Melanii.

- Czy pani coś mówiła?

- Ani słowa.

- Przepraszam.

Kilka minut później odzwierny zaanonsował księcia. Pan Se Sinc-Noil wszedł do pokoju i skłonił się tak głęboko, że zamiótł podłogę nie tyle piórem, co samym kapeluszem. Sa Tuel czytała Biblię. Oznaczywszy stronicę zakładką, zamknęła książkę, ucałowała i odłożyła na bok. Dopiero wówczas gestem i uśmiechem odpowiedziała na ukłon.

- Drogi książę. Ale dlaczego stoisz? Proszę dalej... i zechciej pan usiąść. - Pokazała stojący blisko fotel. okraszając zaproszenie kolejnym uśmiechem.

W gęsto obszytej koronkami, ale dość skromnej w kroju, niewydekolowanej popielatej sukni z żółtymi wyłogami wyglądała troszeczkę jak mniszka, czyli odpowiednio do piątkowych zajęć. Także włosy, najzwyczajniej ujęte z tyłu w jedną puszystą kiść, świadczyły o tym, że baronowa od rana pokazuje się tylko domownikom. Nawet leżący na stoliczku wachlarz był skromny, czarny, z niewielkimi żółtymi dodatkami. Na tle codziennego szykownego zbytku taka odmiana musiała być... aż ekscytująca, przynajmniej dla mężczyzny. Jednakże książę Se Sinc-Noil niczego chyba nie

- Nie wiem, jak mam prosić panią o wybaczenie, pani baronowo. Najpierw dlatego, że zakłóciłem pani tryb życia.

- Trudno, weźmiesz ten grzech na siebie - odparła filuternie.
- A ja opowiem panu anegdotę. Otóż, proszę uważać, pewnego dnia za mur klasztoru przeleciała piłka rzucona nieostrożnie przez jakiegoś urwisa. Świątobliwym braciszkom owo wydarzenie zakłóciło cały rytm dnia. Ale nic się w ich życiu nie zmieniło. Odrzucili piłkę za mur i dalej służyli Panu Bogu modlitwą. Długo jednak pamiętali to niewinne, mimo wszystko wzruszające wydarzenie.

Zamiast odpowiedzi pan Se Sinc-Noil westchnął głęboko.

Nie usiadł, chociaż gestem ponowiła zaproszenie.

- To bardzo piękna przypowieść, ale... boje się, o pani, czy na pewno odpowiada naszej... mojej sytuacji.

- Co się stało? - zapytała łagodnie, ale z lekkim niepokojem.

- Pan jesteś blady, drogi książę... Dlaczego?

- Przysłano mnie do pani z bardzo przykrą misją. Ogromnie cenilem sobie zaszczyt i przyjemność bywania w pani domu, a to nigdy już nie będzie możliwe.

- Co też mi pan mówi? - Niepokój gospodyni narastał.

- Tylko to, co muszę.

- Ale ja... nic nie rozumiem...

- Mówię o mojej misji.

- Misja, no właśnie... Ale jaka misja?

Mężczyzna odetchnął raz jeszcze, zebrał się w sobie i powiedział:

- Otóż kiedyś, przed laty... gdy byłem jeszcze młody, bardzo młody... związałem się z pewnymi ludźmi.

- Z pewnymi ludźmi?...

- Tak, tak, pewnymi ludźmi. Otóż właśnie przyszedł do mnie jeden z nich... w ogóle nie wiem dlaczego; myślałem, że już o mnie zapomniano... Kazał mi pójść do pani i przekazać słowa, których nie rozumiem. Z pewnych powodów... musiałem przyjść.

Gość dotknął spoconego czoła.

Sa Tuel milczała z wyrazem lekkiego zdziwienia na twarzy, lecz w głębi ducha wcale nie była zdziwiona. Miała już niemal pewność, że nieszczęśnik jest wysłannikiem Towarzyszy Ducha Świętego, a tym samym nieomal było jej go żal. Bardzo wątpiła, by kłamał. Mogło rzeczywiście tak być, że za młodu uwikłał się

w coś, co zdawało się mieć posmak tajemniczej przygody. Jakaś mała tajna misja, sekretne porozumienie, jedno i drugie spotkanie z zamaskowanym człowiekiem w nocy na gościńcu... Młodemu szlachcicowi, którego uszy od dziecka karmiono historiami o wielkich bohaterach, nieustraszonych wodzach, świetnych czynach - wydawało się to esencją życia. A potem minęły lata. Tak działali. Biedny książę aż do dzisiaj nie wiedział, że podpisany przed dekadą list albo jakiś weksel, może jakaś zaginiona petycja, pod którą było wiele podpisów - wciąż istnieje. I pojawiał się upiór z przeszłości, który mówił: „Czy pamiętasz, Wasza Wysokość, tę listopadową noc na trakcie i to, cośmy wtedy razem uczynili?”.

- Proszę mówić dalej.

- Ode mnie, pani baronowo, to już wszystko. Teraz powiem to, co powiedzieć muszę, a następnie pożegnam się i wyjdę. Możliwe, że w ogóle wyjadę z Valaquet, a tak czy inaczej, nie ośmielę się już stanąć przed panią. Jestem szlachcicem, baronowo, a zmuszono mię do czegoś ohydneho... - Głos księcia zadrżał i Sa Tuel pomyślała, że ten mężczyzna może nie jest zupełną miernotą; wydawał się szczerze upokorzony rolą, którą musiał odegrać.

- Niech pan mówi.

- Dobrze. Słowo w słowo, tak jak mi nakazano.

Gość zaczerpnął tchu, odwrócił spojrzenie i zaczął:

- Masz trzy dni... jednak pewnych słów nie wypowiem!... - zawołał zdesperowany.

- Mów, co ci kazano, każde słowo! - powiedziała niespodziewanie ostro. - Mogę to ułatwić: otóż nie wiesz pan, do kogo

mówisz. Może rzeczywiście masz dla mnie wiadomość i nie wiesz, czy nie kryje się w niej jakiś szyfr. Jeśli są tam obelgi, to mów mi obelgi, książę. To nie twoje słowa, wierzę ci.

- Niech tak będzie. Jak pani każe.

Co rzekłszy, pan Se Sinc-Noil po raz drugi wbił spojrzenie w ścianę i wyrecytował:

- Masz trzy dni, ladacznico, na opuszczenie tego kraju, a wówczas twój kochanek będzie żył, choć już nigdy nie odzyska wolności. Albo masz tylko dwa dni na stawienie się w Ammene u Jej Ekscelencji Atheves, wówczas twój kochanek zachowa życie i odzyska wolność, a ty dostaniesz się psom. I jeszcze... to dla mnie niezrozumiałe... jeszcze: w przeciwnym razie pływaj łódką aż do wiadomego ci skutku. Oto wszystko. Powiedziałem pani wszystko, teraz żegnaj.

Błady książę Se Sinc-Noil, któremu głos coraz mocniej drżał, w miarę jak przekazywał swe poselstwo, skłonił się i nie czekając na żadną odpowiedź, tyłem ruszył ku drzwiom. Odwrócił się po kilku krokach, wyszedł i zniknął baronowej z oczu. Sa Tuel siedziała nieruchomo z paznokciami wbitymi w dłoń.

Wkrótce przed domem krzyknął stangret i powóz księcia odjechał.

Zaskrzypiały lekko drugie drzwi. Powoli uniósłszy spojrzenie, Sa Tuel popatrzyła prosto w oczy Melanii, która ze stuknięciem odłożyła ciężki pistolet na stoliczek pod ścianą, cofnęła się pół kroku i oparła o rzeźbioną futrynę.

- Nie zemdlałaś tam? - zapytała nieswoim głosem Sa Tuel.

- Nie.

- A ja tutaj tak... Na sekundę.

Melania wciąż stała oparta o futrynę drzwi.

- Ile jest stąd do Ammene? - zapytała cicho baronowa.

- Dwa dni drogi... Na zmienianych koniach albo w przepręganej karecie. Może z jednym króciutkim postojem.

- Tak też mi się zdawało.

Melania zbliżyła się do pani. Lecz Sa Tuel uniosła otwarte dłonie, jakby się przed czymś broniła.

- Odejdź... Wyjdź stąd, odejdź - powiedziała, potrząsając głową. - Muszę myśleć, myśleć... Muszę szybko myśleć...

Spazmatycznie zaczerpnęła powietrza, co zabrzmiało prawie jak szloch. Opuściła dłonie i zwróciła ku nim spojrzenie, jakby dziwiąc się, że są puste.

- Boże, ja nic nie mam - rzekła z gorzkim śmiechem, który bardzo słabo przypominał śmiech. - Mogę tylko myśleć... przez kwadrans. I wymyślę coś albo nie. - Śmiała się i patrzyła na otwarte ręce. - To suka... Wiedziała, że nie może dać mi czasu.

Melania rozplakała się pod ciężarem okropnych wieści, ale jeszcze bardziej dlatego, że nie mogła w niczym pomóc pani. Poszła ku drzwiom.

- Każ przygotować karete - powiedziała za nią Sa Tuel.

Zapłakana Melania przystanęła.

- Jedzie pani... To znaczy: jedziemy?

- Będę wiedziała za kwadrans. Teraz idź.

Pół godziny później człowiek na świetnym koniu okrążył rabatę przed domem i galopem wypadł za bramę. Był to młodziutki masztalerz baronowej - bardzo dobry jeździec, który pędził z zadaniem przygotowania zaprzęgowych koni na kolejnych stacjach pocztowych.

Dziesięć minut po odjeździe masztalerza na dziedzińcu turkotały koła małej karety baronowej.

XIV

Dwaj nadciągający galopem z przeciwnych stron jeźdźcy minęli się w pędzie, a po chwili tak samo osadzili konie, stanęli i zawrócili. Masztalerz poznał Hosta; Host poznał masztalera - Dzieńki Bogu! - zawołał Nordyjczyk.

Wyciągnął dłoń do chłopaka, którego znał wcale nieźle, bo podczas ucieczki z Moun nie było dlań miejsca w karecie, gdzie jechały aż trzy kobiety, a cały pojazd przeciążony był bagażami.

Biquet został, przez kilka dni podróżowali więc razem u boku pana Del Wares, nim musieli się rozstać - masztalerz gonił swoją panią i towarzyszącą jej matkę; Host i jego pan nie musieli się spieszyć, przeciwnie, z pełnym rozmysłem tworzyli ariergardę na szlaku do Valaquet.

- Zdawało mi się, że cię poznałem - odparł chłopak baronowej - ale nie miał pewności. Obejrzałem się, jednak gdybyś nie stanął...

- I ja nie byłem pewien. Gdzie twoja pani, Biquet? Mam wiadomość, ogromnie ważną.

- Pani? Jedzie za mną.

- Jedzie za tobą?

- W każdym razie tak miało być. Nie wiem, ja mam tylko zamówić konie do karety na każdej stacji po drodze.

- A gdzie pani jedzie?

- Chyba do Ammene. Ja mam jechać do ostatniej poczty przed Ammene.

- Ale tam, w Ammene, a raczej Re Selei... - Host nie wiedział, co mówić, a czego lepiej nie. - Do mojego pana? Ja nie wiem, czy on tam jest.

- To nie pan Del Wares cię posłał?

- Tak i nie... Właściwie nie. Nie mam czasu, Biquet, a długo by tłumaczyć. Muszem ostrzec panią baronową.

- Ale ja mam czas... Pojadę z tobą kawałek z powrotem. Wyjechałem wcześniej i pewnie już parę godzin wyprzedzam karete, zdążę zamówić konie.

- Dobrze. Pojedźmy stępa, muszę dać wytchnąć swojemu.

- Nie brałeś pocztowych?

- Nie... W ogóle już nie mam pieniędzy, pan mi dał, a potem zabrał... Schowałem papiery, te... rewersy... tak? Ale tylko mój pan może je wymienić na pieniądze, mnie by zaraz zaaresztowali. Jedźmy, opowiem ci, co wiem.

Ruszyli ramię w ramię. Host nie wdawał się w takie szczegóły jak miłostki swojego pana, bo nikomu nic było do tego, lecz poza tym dość wiernie przedstawił wydarzenia, które nastąpiły ostatnio.

- To wiesz więcej ode mnie. Ja nie wiem wcale, po co jadę i po co aż taki pośpiech - powiedział na koniec Biquet. - Przyjechał gość do pani, w piątek, co się nic zdarza, i zaraz pojechał, tyle wiem. Ale że Ewangelistów zabili... To aż się nie chce wierzyć.

- Ewangelistów?

- Nie wiesz...? Niszczycieli, no, owych jeźdźców w czerni - wytłumaczył z wielce tajemniczą miną chłopak, dumny, że może zaimponować wiedzą starszemu towarzyszowi. - Matka moja mówi, że to diabli, ale ja tam nie wierzę... Pan Del Wares nimi rządzi, ale słuchają się też mojej pani. Widziałem ich raz w Tuel, a potem jednego w Loen. Mel mi powiedziała, że to Ewangelisci. Bo wiedziałem, że Mel na pewno wie, Mel wie wszystko to, co pani baronowa... A przyłapałem ją, jak podsłuchiwała i podglądała panią, więc mi musiała powiedzieć wszystko, o co się pytałem, żeby nie naskarżył. Dlatego wiem o Ewangelistach, bo tak to słyszałem tylko, że to diabli i żeby nie wtykał nosa. - Młody Biquet zasepił się znowu, gdy pomyślał, że stało się coś strasznego, skoro z trzech takich jeźdźców tylko jeden dobiegł do celu, poraniony, bez konia i od razu skonał. - Wiesz co, jedź ty szybciej... Wypatruj karocy, znasz ją. Mel, kiedy mi mówiła, żeby jechał, to miała czerwone oczy, jakby przed chwilą płakała. Stało się coś niedobrego, ja ci mówię. Pędź. Może, jak powiesz pani to, co mnie... to nie wiem. Przynajmniej, jak będę wracał z ostatniej poczty i nie spotkam karety, to pomyślę, że pani przez ciebie zawróciła, a tak to bym się bał, że nie wiadomo co.

Pożegnali się. Biquet pojechał ku Ammene-Re Se-lei - Host w przeciwnym kierunku.

Rozkołysana na wybojach karetą była małym piekłem bezsilności, upokorzenia, gniewu i wyrzutów sumienia. Ostatni kwietniowy dzień miał się już ku końcowi; zagładające przez okienko wielkie czerwone słońce wyławiało czasem z cienia twarz jednej, to znów drugiej kobiety.

Przy wsiadaniu do pojazdu, ku zdumieniu milczącej służby i dworzaków, spośród których jedni wyszli aż przed dom, inni zaś, bardziej lękliwi, wyglądali tylko przez okna, doszło do czegoś w rodzaju milczącej bójki między baronową a jej dworką: jedna pchała się do karety, druga, siedząc już w środku, z całej siły broniła dostępu i gotowa była wypychać tamtą kolanem. Żadna nic nie mówiła, za to obie się popłakały. Wreszcie baronowa chwyciła pannę Sa Veres za szyję, wciągnęła do środka i zatrzasnęła drzwiczki. Stangret krzyknął, pojazd z miejsca ruszył pędem, przechylając się i skrzypiąc na rondzie wokół klombu. Oniemiały majordomus został bez żadnych dyspozycji, nie wiedząc, ani dokąd pani wyjechała, ani kiedy wróci.

Siedząc w rozpędzonej karecie, Sa Tuel dzień po dniu, godzina po godzinie, mogła sobie przypominać wszystkie zaniedbania i głupstwa, jakie popełniła od chwili przyjazdu do Moun. Co to było, co się z nią działo?... Del Wares robił, co mógł - lecz doprawdy niewiele mógł,

mając kogoś takiego do pomocy. Żeby do pomocy - ale jeszcze nad sobą! To ona miała wszystkim kierować. Wykierowała zaginięcie Egaheer, a następnie przechwycenie listu, w którym zalecała - dobry Boże... - zalecała ostrożność człowiekowi, na którego podpisała właśnie wyrok. Nie ufała Ewangelistom, miała ich za głupców i gorzej, bo za maszyny, niczego więc nie poleciła przekazywać ustnie. W zamian była najzupełniej przekonana, że trzej tacy to istna armia. Rzeczywiście, potrafili niejedno. Lecz Del Wares chyba lepiej ich oceniał, bo troszeczkę bardziej ufał rozumowi, a mniej sile. Może wiedział, że nie ma takiej siły, której by nie zmogła siła większa. Gdy posyłał swój obszerny list, ryzykował trochę, ale nie za bardzo. Dwa tygodnie później, całe czternaście dni - to już było czternastokrotnie bardziej niebezpieczne. Kto ich szukał, już znalazł. Kto czekał, ten się doczekał. Lecz bawiąc się swym nowym dworem w Moenie, ciesząc uzyskanym wpływem na Dostojną, straciła poczucie miejsca, czasu... I rzeczywistości. To nie była Nolandia z bezpiecznymi gościńcami i cichymi miastami, gdzie każdy strzał z pistoletu, każdy napad urastał zaraz do rangi niesłychanego wydarzenia, a każde zabójstwo było tym, czym było, mianowicie zbrodnią. Tutaj? Ogarnięta wojną prowincja, gdzie byle patrol dragonów mógł kogoś zatrzymać, gdzie wieszano szpiegów, włóczyły się kompanie zbiegłych z szeregu żołdaków - świetne miejsce, by trzej jeźdźcy przemknęli przez nikogo niezauważeni; równie dobre, by trzech jeźdźców na gościńcu

Baronowa miała zdrowe, młode serce, a jednak działało się z nim coś dziwnego, zamierało w piersi i bolało, gdy pomyślała o uśmiechu Atheves czytającej jej cikliwy liścik. O łódeczkach i

szkatuleczkach; liścik słodkiej idiotki, która nie zdążyła wyjść z roli odgrywanej na użytek zgorzkniałej wicekrólowej. O niewymienianiu imion; o szybkim użyciu Ewangelistów - to z kolei ustępy pisane przez podkuchenną, której śniło się, że jest intrygantką. Godną może - cha, cha... - samej pani Atheves. Przez całe życie Sa Tuel nie popełniła tylu głupstw, ile się zmieściło w jednym krótkim liście. Dlaczego?

Miała sto odpowiedzi. Bo się starzała. Bo od lat już była bezkarna. Bo wszystko jej się zawsze udawało - wyjąwszy jedną porażkę sprzed kilku lat, porażkę wprawdzie upokarzającą i brzemienną w skutki, ale dotyczącą zaledwie zabawy, bo to nie z rozkazu Egaheer bynajmniej umyśliła sobie uwieść króla. Skądinąd - od razu uwiodła. A teraz gubiła ją rutyna. Choroba wodzów, śmiertelna dolegliwość generałów. Przewidywalny dowódca przegrywa.

A przewidywalna intrygantka skręca się w boleściach od spożytej trucizny, zostaje wygnana bądź osadzona w twierdzy.

Przez pierwszą godzinę jazdy żadna z kobiet nie przemówiła. Przez następne dwie godziny zamieniły może ze trzydzieści słów tyczących spraw błahych. Obu było niewygodnie w domowych sukniach, których nie miały czasu zmienić. Nadmiar koronek i fiszbinów był utrapieniem w podróży. Nieoceniona Katarzyna, która nic nie wiedziała, lecz potrafiła wyczytać z twarzy młodej pani każdą złą nowinę, dwojąc się i trojąc, zdążyła im spakować trochę rzeczy, skutkiem czego z kufra karety wyłoniły się dwa płaszcze, tak bardzo potrzebne, jako że kwiecień był zimny. Melania zlustrowała skromny bagaż dziesięć

mil za rogatką Moeny, na pierwszej stacji pocztowej, i wzruszona pokazała swojej pani pośród bielizny, dwóch zgniecionych sukni podróżnych i okryć trochę kobiecych drobiazgów, przyborów toaletowych i perfum... Stara garderobiana, cokolwiek sobie po cichu myślała, była jednak zdania, że jej pani nie może pozostać bez broni. Wszystko jed-

Pomyślano zresztą nie tylko o orężu kobiecym. Baronowa, która, jak każda osoba w nieszczęściu, naraz skłonna była dostrzegać rzeczy niezauważane na co dzień, aż odwróciła się i odeszła parę kroków w bok, gdy jej wierny stangret, zarządzwszy co trzeba w związku z przeprzęganiem koni, wyjął spod kozła parę pistoletów i sztylecik, po czym szorstko i trochę kpiąco - jako że, karczemny łązega, nigdy się porządnie i z szacunkiem mówić nie nauczył - rzekł, wręczając je Melanii:

- Jestem sam i w razie złej przygody niewiele zdziałam, nim mnie dziabną. Weź to, dama, i broń pani ze mną jakby co.

Służba pamiętała o wszystkim.

- Na następnej poczcie spróbujemy się przebrać bez wzbudzania sensacji - powiedziała baronowa, wracając do kare-

Usiadły obie przodem do kierunku jazdy. Na siedzeniu przed sobą każda miała gotowy do strzału pistolet.

Ów pierwszy krótki postój stanowił ważną cezurę. Przeglądanie zawartości kufra z rzeczami, dodatkowa broń przezornie zabrana przez stangreta - wszystko to spowodowało baronową na ziemię. Przez pierwsze trzy godziny, przytłoczona nagłością zdarzeń, pozbawiona wpływu na cokolwiek, potrafiła tylko

spowiadać się sama przed sobą, czyniąc kolejne rachunki sumienia. Teraz wreszcie zaczęła myśleć, a w jej wypadku znaczyło to tyle, co działać. Zdała sobie sprawę, że nawet Dorota Atheves, tak bezlitośnie przewidująca i wyrachowana, nie mogła bez reszty odebrać jej czasu, bo czasem rządziła przestrzeń. Sa Tuel w ciągu kwadransa podjęła rozpaczliwą decyzję, którą podjąć musiała, lecz nagrodą były dwa dni. Całe dwa dni na obmyślenie nowej strategii, a jeśli nie strategii, to przynajmniej taktyki.

Melania milczała. Może nie miała nic do powiedzenia, a może nie chciała zakłócać myśli swojej pani. Zdumiała się, gdy Sa Tuel nieoczekiwanie lekko powiedziała:

- Melanio, na przyszłość, gdy będziesz wsiadała do karety, zechciej proszę przytrzymać się drzwiczek, nie zaś moich włosów.

Mel gotowa już była tłumaczyć się i przeproszać, lecz naraz jak żywa stanęła jej przed oczami heroiczna scena, gdy uczepiona włosów baronowej przypuszczała kolejny szturm do pojazdu. Ktokolwiek to widział, musiał zapamiętać aż do końca życia. Melania parsknęła śmiechem - wprawdzie cokolwiek histerycznym, bo zawierały się w nim całe napięcie, przygnębienie i strach, zebrane w ciągu kilku ostatnich godzin. Niemniej był to śmiech oczyszczający i niosący ulgę.

- Ja... przepraszam... - powiedziała po chwili, palcami dotykając kącików oczu, w których stanęły łezki.

Widziała jednak - a raczej czuła zetkniętą ramieniem z baronową, że pani śmieje się także. Ponadto resztki tego śmiechu usłyszała w słowach, bo ze względu na hałasy towarzyszące

podróży obie musiały mówić głośno:

- Nie przepraszaj. Bardzo się boisz?...

Sa Tuel zdumiała się, słysząc odpowiedź, która brzmiała:

- Już wcale.

- Wcale?...

- Tak, bo pani na pewno coś wymyśli - orzekła z wielkim przekonaniem Melania. - Przestraszyłam się najpierw, ale pan Del Wares przecież żyje. A skoro tak, to pani go uratuje.

Naiwna wiara służącej była kolejną rzeczą, która tego fatalnego piątku poruszyła serce baronowej.

- Jeśli nawet, to kto potem uratuje mnie?

- Potem? Pan Del Wares - z tym samym głębokim przekonaniem odpowiedziała Melania, dla której wszystko było

Sa Tuel, mając już złośliwe słówko na języku, zmilczała jednak, bo w jednym błysku olśnienia pojęła, że głupiutka i naiwna dziewczyna ma rację. Właśnie tak! Oto była najlepsza, a może jedyna strategia: nie bacząc na koszty, uwolnić sprzymierzeńca. Jak? To już tylko taktyka pola walki, należało najpierw obejrzeć to pole i ocenić jednym rzutem oka. Potrafiła. Lecz przede wszystkim strategia, a ta rysowała się prosto: dać przeciwnikom przekonanie, że wygrali wojnę, zwyciężyli, osłabić na chwilę czujność... Przecież to właśnie Del Wares, który zarówno pani, jak i jej służce dawał lekcje robienia szpadą i strzelania z pistoletu, zwykł był stale mawiać: „Gdy masz zabić, zabijaj od razu. Nie ciesz się zwycięstwem, nie poniżaj przeciwnika, nie tłumacz się przed sobą ani przed nim. Zabij, a dopiero potem mów, o ile

jeszcze masz na to ochotę".

Sa Tuel mocno wątpiła, czy Atheves, obojętne jak przebiegła i bezwzględna, miała podobnego nauczyciela. A choćby nawet i miała... Baronowa, sądząc po sobie, nie wierzyła, by tamta, dostawszy ją w swoje ręce, oparła się chęci zadržczenia na śmierć. Ona sama by się nie oparła. Wbrew wszystkim pouczeniom i radom.

Lecz dręczenie zabierało czas... A czas rzadko pracuje dla zwycięzcy.

- Myślisz, że będzie mnie ratował?

Melania popatrzyła na swą panią i w owym spojrzeniu Sa Tuel wyczytała coś, czego jej towarzyszka nigdy by nie ośmieliła się powiedzieć. Było tam: „Och, ty głupia babo... Co ty w ogóle pleciesz? Patrzcie ją, a niby taka mądra”.

Baronowa odwróciła twarz ku oknu i uśmiechnęła się.

Następna stacja pocztowa nie istniała; pośpiech sprawił, że nie zasięgnięto o tym wieści w minionej placówce. Lecz to było do przewidzenia - tak blisko oka wojny ostały się tylko poczty w miastach i miasteczkach. Przez prowincję przetaczały się batalie; regularne armie nie paliły ludzkich sadyb, ale za armiami zawsze ciągnęło bezprawie, uosobione w dezerterach, maruderach, plugawych indywiduach wszelkiego autoramentu.

Stangret musiał dać odpocząć koniom, bo nie mogłyby galopem pokonać następnych parunastu mil.

Szybkość dawała poczucie bezpieczeństwa - nieco złudne, ale jednak krzepiące. Teraz karetka jechała wolno. Sa Tuel i Melania uświadomiły sobie, że podróż jest naprawdę niebezpiecz-

na. Dwie kobiety bez żadnej eskorty mogły sobie napytać biedy. Jeszcze kilka mil za Moeną zatrzymał je na gościńcu silny patrol rajtarów, którego dowódca tylko zasalutował szpadą, gdy usłyszał nazwisko baronowej Sa Tuel. Niedługo potem z naprzeciwka nadjechał powóz w asyście kilku jeźdźców... Teraz gościniec był zupełnie pusty. Słońce już niemal zaszło; Sa Tuel, która zawsze bała się ciemności, odruchowo poszukała dłoni siedzącej obok służki. Pomyślała, jak niewiele brakowało, by odbyła tę podróż samotnie, w rozchwianym, wypełnionym zimnym mrokiem pudle, i przysięgła sobie, że już nigdy w życiu nie krzyknie na Melanię.

Co nie było znowu takie trudne, jeśli zważyć, że miała żyć mniej więcej dwa dni...

Po jakimś czasie stangret załomotał pięścią w dach karety.

- Jaśnie pani powie, co robić! Ktoś nas zatrzymuje!

Pani i służąca mocniej ścisnęły swoje dłonie. Złe przeczucia zdawały się spełniać.

- Kto to taki?

- Jeździec. Jeden. Będzie o sto kroków.

- To może jest jakaś zasadzka...

- Zasadzka? Eee, nie.

- Co mówisz?

- Że chyba nie! Dookoła pola, pani wyjrzy.

Ostrożnie uchyliwszy zasłonkę, Melania ruchem głowy powiedziała baronowej, że to prawda. Po prawej i lewej stronie ciągnęły się podmokłe błonia. Nikt tam nie mógł się ukryć.

- No to... zbliż się i zapytaj, czego chce.

- Słucham wielmożności! A nie bój się, pani! Jużem go wziął na cel... Ani zipnie, jakby tylko co.

Zmęczone konie wciąż szły stępa. Pudło karety skrzypiało.

- Podjeżdża - rzekł stangret. - Ale... ja już gdzieś go widział, tego draba... Jezu! Pani, to jest chyba sługa pana Del Wares! No a jakże! On!

Baronowa szarpnęła drzwiczki gotowa wysiadać w biegu. Melania chwyciła ją w pól i siłą zatrzymała na siedzeniu. Kareta stanęła. Stangret zeskoczył z kozła i otworzył drzwi, do których prowadząc konia, zbliżał się przysadzisty jasnowłosy łobuz, miętoszający w ręku czarny kapelusz bez pióra. Chciał się kłaniać, ale wychylona ku niemu baronowa tylko machnęła ręką.

- Potem, przestań... Co z twoim panem? Mów!

Host, uszczęśliwiony, że wykonał wszystko, co sobie postanowił, uklonił się jednak wcale zgrabnie, bo w służbie swego pana nabrał sporo obycia i poloru.

- Właśnie nie wiem... Ale mam co opowiadać i myślę, że jak wszystko powiem, to pani baronowa więcej będzie z tego wiedziała ode mnie.

- Nie wiesz, czy twój pan żyje, czy jest wolny, czy uwięziony?

Nordyjczyk uśmiechnął się grzecznie i podrapał za uchem, po czym odparł:

- Nie, ale kazano mi jechać do pani.

- Kto ci kazał?

- Kto? No więc, jakby tu rzec...

- Siadaj. - Sa Tuel cofnęła się od drzwi. - No, wsiadaj tu ze mną, powiedziałam! Konia przywiąż z tyłu i chodź tu.

Służący spełnił polecenie. Zakurzony, brudny i zakłopotany, był zarazem bardzo dumny z zaszczytu siedzenia w jednym pojeździe z piękną arystokratką. Cuchnął własnym i końskim potem, a ponadto jakimś wstrętnym piwskim bądź podobnym napitkiem, którym pokrzepiał się w drodze, a wszystkie te wonie w połączeniu z delikatnym zapachem lawendy utworzyły w ciasnym pudle karety bukiet niepomierne osobliwy.

Powóz ruszył. Host zaczął opowiadać, a potrafił wysłowić się jasno. Po kwadransie baronowa Sa Tuel z zamkniętymi oczami i głową opartą o zagłówek siedzenia milczała i myślała, by na koniec powiedzieć:

- Melanio, zawracamy. Każ zawracać.

Dziewczyna posłuchała bez słowa. Wychyliwszy się przez okienko, wyrzekła kilka słów i karoca mozolnie zatoczyła na drodze ciasny łuk.

Z opowieści Hosta wynikało coś bardzo ważnego: przede wszystkim to, że Del Wares był przygotowany na niebezpieczeństwo, skoro już kilka dni wcześniej wydał służce odpowiednie dyspozycje. Nie mógł jeszcze wiedzieć o straconym liście, ale zerwał z Atheves, był w niełasce, pogodził się z kochanką... lecz wątpliwe, by zaniechał wszelkich ostrożności. Ponadto mądry sługa posłał mu ostrzeżenie do pałacu, które mogło dotrzeć na czas. Jak bardzo spieszyli się Towarzysze Ducha Świętego? Ewangelista przybiegł o świcie; czy spieszyli się aż tak bardzo, by pędzić do Atheves w środku nocy? Wątpliwe. Nie wiedzieli przecież, że Niszczyciel przeżył, bo gdyby wiedzieli, to nie daliby mu nigdzie dotrzeć. Nie mieli więc powodów do nadzwyczajnego pośpiechu, a tym samym posłany

z poczty list Hosta mógł w porę ostrzec jego pana. Sa Tuel musiała wybierać między obawą a nadzieją. Obawa dotyczyła szczerości Atheves. List został przejęty - ale czy Del Wares był pojmany?... Jej Ekscelencji mógł się udać najwspanialszy błąd: schwywanie przeciwniczki, która sama do niej przyszła, chociaż nie musiała. To wyjaśniałoby największy pośpiech, morderczo krótki termin... Dwa dni! Tylko dwa dni, bo prawda lada chwila mogła wyjść na jaw. Ponadto... nawet jeśli Atheves nie kłamała... szansa dotrzymania przez nią słowa, iż wypuści więźnia w zamian za Sa Tuel, była prawie żadna. Baronowa chwyciła się tego, bo nic więcej wcześniej nie miała. Teraz, miała nadzieję, wiarę w rozum i siłę mężczyzny, który cało wychodził z największych nawet opresji. Ta wiara to było więcej, grubo więcej, niż dawały obietnice byle zmił.

- Biedny chłopcze - powiedziała - ja wracam, lecz ty wracasz także. Natychmiast. Twój pan może cię potrzebować. Pojedziesz do Lens-Re-Toy.

- O to właśnie chciałem panią prosić.

- Chciałeś wracać?

- To się rozumie. Tak jak pani baronowa mówi, pan Del Wares może na mnie czekać.

- Wierzysz w to?

Dumna dama podejmowała najtrudniejsze decyzje swego życia. Być może skazywała właśnie na śmierć kogoś... kogoś bardzo ważnego. I potrzebowała każdego, najmniejszego nawet wsparcia.

- Nie wiem, pani - odparł z prostotą Host. - Ale za to pan Del Wares zawsze wie, co zrobić.

Impulsywna Melania uczyniła coś, czego nie umiała i nie mogła uczynić baronowa - pochyliła się nagle na siedzeniu i w ciasnocie karety uściskała chłopaka za szyję. Oglupiały Host, któremu zakręciło się w głowie od zapachu miękkich, gęstych włosów, chciał przemówić, ale ruda ślicznotka zakryła mu usta delikatną dłonią, jakiej biedak jeszcze nigdy w życiu nie całował - teraz zaś to robił, chciał czy nie.

- Masz pieniądze? - spytała rozsądnie dziewczyna, rozdymając nozdrza i niemal przykładając czoło do jego czoła.

Zakneblowany Host pokręcił głową, ale już wcześniej baronowa powiedziała:

- Nie pytaj, tylko daj mu wszystko, co wieziemy. Nie potrzebujemy więcej ani talara, na poczcie zaprzęgamy z powrotem nasze konie. A ty już mi się nie wyliczaj z tych pieniędzy. Jak się nazywasz, chcę wiedzieć.

- Host... I dziękuję pani.

- O, nie.

Chwilę później Nordyjczyk znowu był sam na trakcie, słuchając, jak oddala się odeń tętent kłusujących koni zmieszany z turkotem kół. Westchnąwszy ciężko, lecz jednak z zadowoleniem - bo wykonał swoje zadanie i został pochwalony tak, że już lepiej chyba nie można - poprawił się w siodle i pokłusował z powrotem, licząc, że nazajutrz napotka

O ile się nie miną każdy śpiący w swojej kulbace. I o ile nie padnie mu koń.

Pan kawaler Del Wares, chociaż szlachcic, został potraktowany znacznie gorzej niż złapany na trakcie złoczyńca. Nie dość, że zakuto go w kajdany, to jeszcze przytwierdzono na łańcuchu do zardzewiałego haka w murze, co sprawiło, że mógł leżeć, ale nie mógł się poruszyć. Celę także wybrano paskudną - mroczną i wilgotną. Del Wares domyślał się, gdzie trafił, a mianowicie do słynnej twierdzy Svern, położonej niedaleko od Ammene. Trzymano tu zarówno pospolitych przestępców, jak i więźniów politycznych, czasem postawionych bardzo, bardzo wysoko. Dla tych ostatnich, a przynajmniej niektórych z nich, przeznaczono więzienne apartamenty wyposażone niczym komnaty w najświetniejszych pałacach - w każdym razie tak powiadano. U stóp fortecy kuliło się maleńkie miasteczko, nieledwie osada służebna, żyjąca tylko dla więzienia i z więzienia. Za czasów świetności Valaquet, czyli jeszcze całkiem niedawno, gubernator twierdzy miał rangę ministra, choć ten tytuł mu nie przysługiwał.

Niemniej był to człowiek nominalnie podlegający zaledwie dwóm osobom: królowi i wicekrólowej, faktycznie więc tylko tej ostatniej. Przejęta przez księżną Se Potres forteca straciła swego władcę (choć bynajmniej się z nią nie rozstał), a na jego miejsce przyszedł człowiek nowy, który znów podlegał dwóm osobom: samozwańczej wicekrólowej i jej jedynej ministrze, skupiającej w ręku całą władzę.

Nikt stąd nigdy nie uciekł. Ale bardzo wielu wychodziło. Nawet podczas ostatniego przewrotu księżna Se Potres w zamian za poparcie swojej sprawy uwolniła kilku utytułowanych pensjonariuszy pana gubernatora.

Siedząc tedy w Svern, Del Wares czynił to, co zrazu czyni każdy więzień: przemyślał o ucieczce. Jednakże bądź dlatego, że nie lubił myśleć, bądź dlatego, że właśnie lubił i potrafił - zaraz przestał. Było całkiem jasne, że nie zlezie z murów za pomocą powiązanych prześcieradeł, albowiem nie miał prześcieradeł, a przez okno, choć niezakratowane, nie przepchnąłby nawet nogi... zresztą nogę może by i przepchnął (tylko po co?), barki jednak pan Del Wares miał znacznie szersze niż nogę. Co skądinąd wyglądało wcale dobrze.

Źle natomiast wyglądała jego sprawa.

Odkąd obudził się w łańcuchach, minęły prawie dwie doby. Przez te dwie doby Del Wares starannie przemyślał swoje położenie i spróbował zgadnąć, co z tego położenia wynika. Wynikało przede wszystkim jedno, a mianowicie to, że lada dzień opuści swoją celę i dostanie lepszą lub przeniesie się na tamten świat za sprawą działań Atheves bądź z powodu zapalenia płuc. Było kwestią najwyżej trzech dni, kiedy - przemarznięty,

całkiem goły, tak jak wyniesiono go z sypialni, pozbawiony wszelkiego ruchu - nabawi się ciężkiej choroby. Miał tylko wojskowy płaszcz, wielką szarą pelerynę szwoleżera, którą go widocznie owinięto jeszcze w Pałacu Driad i litościwie zostawiono w celi.

Żebra miał całe, w każdym razie nie były złamane, a tylko stłuczone. Może któreś lekko pęknięte. Del Wares nie pamiętał, kiedy po raz ostatni zdarzyło mu się zebrać takie cięgi. Piękna Atheves warta była trzech, a może i czterech osiłków z portowej tawerny.

Nie mogąc poważnie myśleć o ucieczce, Del Wares myślał o wszystkim innym i całkiem sporo wymyślił. Po pierwsze, bardzo dużo powiedziała mu Atheves rozkoszująca się przejętym listem. Sa Tuel pisała, by odnalazł księżną Se Potres i zgładził jej ministrę. Pierwsze było niewykonalne, drugie wręcz przeciwnie, dość łatwo dało się zrobić za pomocą łańcucha, z czego wynikało, że Atheves, jeśli przyjdzie doń rozmawiać i się zbliży, zaraz skona z sztygą oplecioną żelaznymi ogniwami, z którego to uścisku sam diabeł jej nie wypłacze. Postanowiwszy o zabiciu Atheves, Del Wares uznał, że nic więcej nie zdoła uczynić, by pomóc baronowej w wykonaniu misji, ale tyle powinno wystarczyć.

Nie były to desperackie plany więźnia snute w oderwaniu od rzeczywistości... Del Wares, nawet o tym nie wiedząc, był pod pewnym względem niezmiernie podobny do Ewangelistów, bo nigdy nie rezygnował. Podjąwszy się jakiegoś zadania, zapominał o wszystkim innym, co czyniło go śmiertelnie niebezpiecznym, a w dodatku odpornym na ciosy, bo w każdej sytuacji umiał podyktować swe warunki, co obezwładniało

przeciwników, wydzierając im grunt spod nóg. Wolno rzec, iż był nieobliczalny... Sa Tuel ponosiła porażki, bo zapomniała, jaką to daje przewagę. Del Wares o niczym nie zapomniał. I Dorota Atheves, która w samej rzeczy wybierała się do twierdzy Svern z zamiarem osobistego pognębienia więźnia, nigdy się nie dowiedziała, że tylko przez przypadek nie została tam zaduszona. Nie zjawiała się w twierdzy z powodu... okropnej pogody. Lało. Wizja grzęznącej w błocie, smaganej przez burzę karety była odstrasząca i Atheves stawiała się w Svern dwa dni później, niż zamierzała. A wtedy wszystko już wyglądało

Każde odwiedziny są dla więźnia świętem, lecz Del Wares spodziewał się wizyty raczej przykrej, przynajmniej do czasu, aż usłyszy chrupnięcie miazdzonej łańcuchem tchawicy. Tymczasem odwiedziła go osoba, której nie oczekiwał, na dodatek w samym środku nocy, co było porą szczególną. Spał pod swoją wilgotną peleryną, dygocząc z zimna, skulony pod murem. Nie wiedział, co go zbudziło. Okno łatwo dawało się dostrzec, co znaczyło, że księżyc świeci jasno, lecz w murach celi nie miało to żadnego znaczenia. Było ciemno choć oko wykol. A jednak w celi był ktoś oprócz więźnia. Del Wares słyszał oddech, westchnienie, wreszcie usłyszał i słowa, a co więcej - rozpoznał głos.

- Skoro się pan zbudził, to tym lepiej, bo ja nie wiedziałam, jak mam pana zbudzić... Masz instynkt; gdybyś był kobietą, mógłbyś zostać...

Urwała.

- Czarownicą, nieprawdaż? - rzekł po długiej chwili Del Wares. - To chciała pani powiedzieć?

- Rzeczywiście.
- Skąd pani wie, czego trzeba, żeby zostać wiedźmą?
- W Arelay każdy wie.
- Co pani tutaj robi? W jaki sposób się tutaj dostała?
- Śmieszne... Właśnie chciałam zapytać o to samo. I pytam.

Od tego, co mi pan powie, zależy...

Znów urwała.

- Co zależy?
- Zależy, czy przyjdę jeszcze.
- Proszę nie przychodzić.
- Dlaczego?

- Bo nic pani nie powiem. Nawet nie wiem, kim pani jest. Widzieliśmy się tylko dwa razy: wtedy, w drodze do Ammene, i przy uroczym obiedzie, który ciepło wspominam... ale tylko tyle. Konia zwróciłem, pani mnie ugościła. Dzisiaj jestem więźniem, jutro może trupem. Przychodzi pani w tajemniczy sposób, nie wiem, przez kogo wprowadzona, i chce o coś pytać? Kto usłyszy moje odpowiedzi?

- Tylko ja.
- Ale ja w to nie wierzę.
- Nie wierzy pan?
- Nie, nie wierzę.
- Więc bez żadnych powodów zarzuca mi pan kłamstwo. To

nieładnie...

- Nieładnie... Mój Boże, Monesco, jest pani taka młoda... W co się pani wikła i dla kogo? Dla pani Atheves? Dla mnie?

- Nie. Dla siebie.

- Powiedziałem pani wszystko wtedy, na gościńcu. Nic więcej nie mam do dodania - rzekł po długiej chwili Del Wares, rozpoczynając grę.

- Chcę znać powody, dla których tutaj jesteś.

- Zna je pani.

- Ale nie wierzę.

- Mógłbym teraz odrzec: to nieładnie.

Uśmiechnęła się, chyba mimowolnie, i usłyszał ten uśmiech, gdy rzekła:

- Stale mnie pan karci.

- To nieładnie - dopowiedział Del Wares i uśmiechnął się bardzo szczerze, wręcz chłopięco, lecz uczynił to inaczej niż jego rozmówczyni, bo najpierw powiedział, a uśmiechnął się dopiero potem.

Chciał coś sprawdzić, a raczej potwierdzić tylko domysł.

- Boże, taki uśmiech u kogoś w pańskim położeniu... - powiedziała z całą naiwnością, wchodząc prosto w zastawioną pułapkę. - Wierzysz, że wyplącesz się z tego?

Widziała w mroku jak sowa. Albo może lepiej: jak wiedźma.

Bóg czasem jednak wracał do swojego nieudanego świata... Widocznie właśnie wrócił, rozsiadł się w wygodnym fotelu i z uśmiechem jął spoglądać w dół, zaś przyboczne Jego anioły pospiesznie czyniły zakłady, co też pan Del Wares pocznie z daną od Boga szansą. Przysłano mu kobietę, a więc nieledwie konia, którego można okiełznać, ujeździć, obłaskawić. Młoda, naiwna... i wystarczająco silna, by pojawić się w środku najmroczniejszego więzienia Valaquet. Mogła wejść, więc mogła

także wyjść - i niekoniecznie sama. Należało teraz wykryć i rozbroić wszelkie pułapki czające się w mroku niewiedzy. Kim naprawdę była? Skąd wzięła się w Valaquet? Czy za sprawą przypadku? Ale takie przypadki nie istniały. Nawet Bóg, chcąc kogoś obdarować, nie zawieszał swego daru w próżni, wiązał skutki z jakimiś przyczynami. Musiała służyć Atheves - bądź spiskować przeciwko niej. Ale z czyjego rozkazu? Kto mógł się posłużyć dziewczyną, która plotła trzy po trzy, na języku miała to, co w sercu, a słysząc drobne kłamstewko, wydymała usta, mówiąc: „To nieładnie...”? Kto był aż taki głupi? Czy w ogóle w Zjednoczonych Królestwach żył ktoś aż tak głupi, by przeciwko wszystkim pikom Doroty Atheves rzucić taką biedną, samotną damę trefl?

Choć w ryzynie każda dama, gdy weźmie waleta, wchodzi z nim do dalszej gry jako para... Bardzo silny układ. Walet weźmie odtąd wszystkie damy, jego dama pobije wszystkie króle. Czy ktoś umiał przewidzieć, że mając słabiutką damę, dobierze z bocznej ręki waleta?... Może umiał.

- Czy wierzę? Nie wiem, pani, i nie myślę o tym - rzekł Del Wares. - Trzęsę się tutaj z zimna i szczękam zębami, rozmawiając z panią, co zresztą na pewno pani słyszy. A jeśli się uśmiecham, to dlatego, że przyszedł do mnie ktoś, kto nie jest więziennym dozorcą ani katem. Na wolności nie docenia się takich rzeczy jak rozmowa... zwykły posiłek... albo nawet wchodzenie po schodach. Dość posiedzieć dwie doby przy kamiennej ścianie, by marzyć o chodzeniu po schodach.

- To smutne, co pan mówi. Ale chyba rozumiem.

- Niech już pani idzie, nalegam. W niczym nie możesz mi pomóc, natomiast łatwo...

- Mogę czy nie mogę - przerwała mu. - Jesteś pan niezdolny, to pół biedy... Ale nie każ mi sądzić, że po prostu głupi. Jutro rzeczywiście może przyjść tu kat, a powiem panu nawet, że już jest... Sprowadzono go specjalnie z Lens-Re-Toy. Nie masz nic do stracenia, a ja jestem jedyną twoją szansą, obojętne więc, dużą czy małą. Przebywasz tu z rozkazu pani Atheves, tyle wiem. Wiem też, że przechwyciła pewien list... list od kobiety, która żywi do pana uczucie. Czy możesz mi to wytłumaczyć? I ostrzegam pana: nie kłam. Bo potrafię te kłamstwa sprawdzić.

- Więc niech pani sprawdza.

- Co mam sprawdzać? Jeszcze nic mi pan nie powiedział.

- Skoro możesz sprawdzić kłamstwa, to je sprawdź. Jest ich już tak wiele, że nie muszę dodawać kolejnych. Zostawiłem pewną kobietę, przyznaję... Raz dlatego, że pokochałem inną. Po wtóre, bo tamta miała zamysły niegodne... niegodne istoty ludzkiej. Nie chciałem brać w tym udziału.

Kimkolwiek była pani Monesca Vel Raesa, wydawało się zupełnie wykluczone, by przysłano ją z zadaniem zgładzenia Doroty Atheves. Nawet jeśli grała przeciw niej, to na pewno nie tak wysoko. Del Wares zbyt wielu ludzi widział w życiu, a w tej liczbie zbyt wiele kobiet, by uwierzyć, że ta oto osiemnastolatka o wielkich oczach sarny zdolna jest do czynów zbrodniczych. Może miała szpiegować, może rozegrać jakąś grę, raczej obok niż przeciwko Atheves... Tak czy owak, Del Wares niewiele

ryzykował, podtrzymując u swej rozmówczynie złudzenie, że naprawdę kocha czarnowłosą lokatorkę Pałacu Driad. Że wciąż kocha, pomimo wszystko. Że porzucił dla niej jakąś zbrodniarkę. Panna Vel Raesa Se Moyna była jeszcze zbyt młoda, by nie wierzyć w prawdziwą miłość, więc przyznając się do czegoś podobnego, mógł w jej oczach wyłącznie zyskać. Nie była w stanie nikogo za to potępić. Mało tego: nie była w stanie uwierzyć, że na świecie jest cokolwiek od miłości ważniejszego.

Trzeba trafu, w oczach Del Waresa ważniejsza była brukselka. Mógł rozgrywać więc cudze miłości - a nawet i własne - tak, jak chciał.

Del Wares nie był dobrym intrygantem i wiedział o tym, że nie jest. Z jednym wszakże wyjątkiem: miłosne intrygi z kobietami rozgrywać potrafił jak najlepiej; w jego oczach zresztą nie były to intrygi. Miał po prostu szczególny - lecz nie taki znowu wyjątkowy - dar czytania kobiecych dusz. Zamieniwszy z rozmówczynią dwa słowa, jasno widział, czego ona oczekuje, czy warto zagrać stanowczością, opiekuńczością, czy też zgoła przeciwnie - oddać się pod opiekę, bo tak wiele przecież kobiet lubiło swoim mężczyznom matkować. Jednej tylko kobiety w ogóle nie rozumiał i nigdy nie wiedział, jak z nią postępować... Lecz na szczęście nie było jej w celi.

- Jak to: zostawiłeś kobietę dla innej? - zapytała cicho. - Nie rozumiem tego.

- Co tu jest do rozumienia? Czego pani nie rozumie? Zostawiłem ją dla Doroty... Rzec chciałem: dla pani Atheves. - Del Wares nie przejęzyczył się przypadkiem, zależało mu, by panna Vel Raesa pomyślała sobie: „Boże, ona ciągle dla niego jest

Dorotą...". - Dawno chciałem odejść i odszedłem, a dlaczego tak zrobiłem, nie mogę pani powiedzieć. Już i tak powiedziałem za dużo. Obiecała, że mnie zniszczy, ja zaś nie uwierzyłem... A powinienem wierzyć, bo okazało się, że wystarczy posłać jeden jedyny list, który niby to przypadkiem trafi we właściwe ręce. I oto siedzę tutaj. Czy pamięta pani - zapytał z lekką goryczą, podobną do tej, jaką zawarł w głosie tydzień wcześniej, gdy jechał obok karety - czy pamięta pani pewnego szlachcica, z którego wszyscy się śmiali pod krzyżem? Niechby się i śmiali... Ranił śmiech tylko jednej osoby, która łatwo uwierzyła, że ten szlachcic to tchórz. I ta sama osoba - ciągnął spokojnym głosem kogoś, kto już pogodził się z losem i nawet nie bardzo ma doń jakieś pretensje - następnie równie szybko uwierzyła już nie w zbrodnicze zamiary tego tchórzliwego szlachcica, mniejsza o to... Uwierzyła w jego głupotę. Bo jak inaczej nazwać zachowanie człowieka, który siedzi spokojnie w samym Pałacu Driad i pozwala przechwytywać takie listy? Pani w to wierzy? Że listy o takiej treści można przejąć przypadkiem na gościńcu? A może po prostu znaleźć, gdy ktoś zgubi? Może ktoś przegrywa je w karty, czemu nie?

Oparłszy potylicę o zimny mur, Del Wares zamknął oczy i pokręcił głową z rezygnacją i niedowierzaniem.

- Pan mi mówi, że ten list... posłany został specjalnie? Że to zemsta pańskiej... narzeczonej? - „Kochanka” to było słowo zbyt grube dla subtelnej panny Vel Raesa. - Tej, którą pan porzucił?

- Podobno możesz pani sprawdzić każde kłamstwo. Niech więc pani sprawdza, dla mnie to nie ma znaczenia. Choć

oczywiście wolę, by mi pani wierzyła, niżli miała za łgarza. Ale co mówię, łgałem przecież w obecności pani, tam, pod krzyżem... Dlaczego byś miała mi wierzyć? Sprawdzaj, co tylko chcesz.

- I znając cię, pani Atheves uwierzyłaby w oszczerstwa? W jakieś... wymysły?

- Tak jak uwierzyła w tchórzostwo? Nie, a skądże - powiedział Del Wares, wciąż siedzący z zamkniętymi oczami. - W tchórzostwo owszem, ale przecież w nic innego... Miałaby uwierzyć? Kto? Ona?

- Niech pan przestanie, to nie jest temat do żartów! - powiedziała z przejęciem. - Jeżeli zaszła jakaś pomyłka, to trzeba ją wyjaśnić...

- A broń Boże! - Del Wares otworzył oczy i zaczął rozglądać się w mroku, szukając bodaj śladu rozmówczyni, chociaż słabego konturu. - Gdzie pani jest? Uchowaj mnie Boże, dosyć już mam wyjaśniania pomyłek. Zna pani powiedzenie, że co za dużo, to niezdrowo? Bardzo dobrze mi tutaj, w tych łańcuchach. Gdzie mi będzie lepiej? U boku kobiety, do której jutro ktoś przyjdzie i powie, że kawaler Del Wares ukradł mu arbuza? I koszulę powieszoną na strychu? Mam wyjaśniać i wiecznie przeproszać, wiecznie żebrać o względy kogoś, kto uwierzy w każde głupstwo, byle było dla mnie niepochlebne? Nie, mam dosyć. Niech już pani idzie, niech już mnie pani nie męczy, proszę po raz kolejny i ostatni. Napytałem sobie biedy, idąc za głosem serca miast rozumu, a więc rzeczywiście jestem głupi i jako taki nic niewart. Proszę sprawdzić wszystko, co pani powiedziałam, ale więcej tutaj nie przychodzić. Burzysz pani mój spokój,

a próbuję pogodzić się z losem. Sądzi pani, że to takie łatwe?...

Wzburzony mężczyzna zamilkł. Skryta w mroku kobieta też milczała.

- Dobrze, idę - rzekła cicho. - Niech pan śpi.

- Mimo wszystko... dziękuję pani.

- Niepotrzebnie pan dziękuje. Nic nie robię dla pana, to wszystko tylko dla mnie.

Skrzypnęły masywne drzwi - widać wcale nie były zamknięte, nawet na zasuwę. Za drzwiami panował całkowity mrok, bo Del Wares nadal nic nie widział. Drzwi zamknęły się, zachrobotał klucz i szcęknęły potężne antaby. Ktoś na zewnątrz zapalił pochodnię albo świecę oświetlającą korytarz, albowiem przez szczeliny w odrzwiach przesączył się pomarańczowożółty poblask. Tak jak minionej nocy.

Niedługo potem Del Wares posłyszał powolne kroki więziennego dozorca robiącego zwykły nocny obchód. Zasnął niezmiernie ciekaw, jak też panna Se Moyna będzie sprawdzać, czy przejęty przez Atheves list to naprawdę tylko narzędzie taniej kobiecej zemsty. Powinna chyba zapytać baronową Sa

Rano zamiast strażnika wtykającego do celi miskę z podłym posiłkiem zbudził go kat.

XVI

Sa Tuel wróciła do domu, jakby w ogóle nic się nie stało. Przez całą sobotę musiała wprawdzie znosić ukradkowe spojrzenia domowników i służby, z których to spojrzeń wyczierała starannie skrywana troska o stan umysłu pani, która biegnie do karety, walkę z dworką, pędzi dokądś i spokojnie wraca po północy - poza tym jednak nic się nie zmieniło. Już od południa, tak jak każdego innego dnia, przyjmowała gości, rozmawiała, bawiła się i śmiała. Nieśmiertelnym tematem był bal. Wiedziano już powszechnie, że trwają przygotowania, że Dostojna Weronika Teresa wyasygnowała znaczne sumy z prywatnej swojej szkatuły, że to już za trzy tygodnie... Znaleźli się ludzie, którzy wszystkim kierowali, zarządzali, zamawiali potrawy i trunki na stoły, wyszukiwali aktorskie i baletowe trupy godne dworu wicekrólowej, decydowali, kiedy i w jakiej liczbie będą strzelane fajerwerki... Ale gdy pominąć ucieczkę części elit, drożyznę i wojenne niedobory, w Valaquet niewiele przecież się zmieniło,

wystarczyło więc tylko chcieć, by znaleźć ludzi do wszystkiego. Wojna i przeklęta śnieżna magia, o której mało mówiono - bo mówić o owej magii znaczyło mówić o Ayhoe, a daleko nie każdy mógł sobie na to pozwolić - starty z ziemi trochę wiosek i stołeczne miasto, lecz wstrząs, jakim była dla kraju zagłada Re Alide, został już nieco zapomniany. Zapomniano także o zamarzniętych, niedostępnych ziemiach Rhame Sar - najbogatszego hrabstwa prowincji, lecz powierzchwniowo małego, którego ubytek nie zmuszał do zrewidowania wszystkich map... Życie toczyło się dalej. Wielu młodych ludzi wszelkich stanów postradało życie bądź wróciło do domu kalekami, ale nie aż tylu, by armiom brakło żołnierza. Wielu urzędników straciło posady, ale na ich miejsce przyszli inni. Wielu szlachciców uciekło, lecz zostało dosyć, by wszczać gwar

Baronowa, którą całkiem słusznie uważano nie tylko za duszę przedsięwzięcia, ale także - co za tym szło - osobę najlepiej poinformowaną, już od kilku dni odpierała niezliczone szturmy ciekawskich, próbujących wykraść sekrety, poznać porządek zabawy, przewidzieć, gdzie warto być, gdzie zaś nie, bo nikt przecież nie mógł uczestniczyć w całym wydarzeniu. Wszyscy, którzy pamiętali rozmach, z jakim Dostojna potrafiła bawić się przed laty, obiecywali sobie teraz nie wiadomo co. Nie do końca słusznie, bo największe od pięciu lat święto w Valaquet miało potrwać raptem dwa dni, porządek zaś przewidywał trochę muzyki i tańca, dobry stół, za dnia występy trup baletowych, drugiej zaś nocy maskaradę połączoną z owymi jeszcze niezamó-

wionymi, a już mitycznymi, wspaniałymi fajerwerkami, które miały być puszczane nad jeziorem.

Sobota była w domu pani Sa Tuel dniem bardzo wyjątkowym, następowała bowiem po piątku, a co więcej, tuż przed niedzielą. Owo szczególne położenie soboty czyniło ją dniem wtłoczonym między dwa inne, podczas których towarzyskie życie w Moenie niemal zamierało. Pozycja młodej, tak niedawno przybyłej do prowincji powiernicy i już bez mała przyjaciółki wicekrólowej była taka, że nie powstał w stolicy żaden dwór mogący jakkolwiek konkurować z jej domem. Wszystko było zaledwie namiastką, kalką, nieudolnym naśladownictwem. W tygodniu trudno było zastać panią Sa Tuel w domu, bo bywała to tu, to tam, a najczęściej na dworze Dostojnej. W sobotę jednak nie wychodziła nigdzie. Złożenie baronowej wizyty w sobotę miało wymiar nieledwie obowiązku; kto w sobotę nie był u Sa Tuel, ten wypadał na margines towarzyski, bo przecież już nie wiedział nic o niczym i szansę odzyskania pozycji zyskiwał dopiero w poniedziałek, bycia na bieżąco aż we wtorek, a najprawdopodobniej dopiero w następną sobotę, więc, mój Boże, za tydzień. Przez tydzień z owym człowiekiem nie było o czym rozmawiać.

Zabudowania wokół pałacyku baronowej wzniesiono na miarę domu - malutkie, nieledwie baśniowe. Ani stajnia, ani wozownia nie mogły sprostać natłokowi zwierząt i karet, pani Sa Tuel pogodziła się więc z całkowitą utratą ogrodu i małej łączki za domem. Kazała wyburzyć altany, zrównać z ziemią rabaty i klomby i urządzić plac postojowy dla powozów, z łączki zaś pastwisko dla koni. Karety i lektyki przystawały więc przed

drzwiami, po czym od razu przesuwno je pod gołe niebo za domem - widok z okien był bardzo szczególny i właściwie niezbyt uroczy, bo w świętej pamięci ogrodzie wyrastał dziwaczny bazar, złożony nie z kramów, lecz pojazdów, między którymi przemieszczała się służba przybyłych, tworząc barwny i zgiełkliwy tłumek.

W środku zaś komnatki i pokoiki tętniły nie tylko gwarem rozmów, ale i bezustanną krzątaniną. Nieszerokie drzwi i także schody niczym rzeczne śluzy przepuszczały kolejne grupki ludzi, z których jedne czekały na przejście innych, mijały się na schodach ustawione w karne, idące gęsiego oddziałki, a wszystkim tym kierowali wymuskani, surowo rozliczani z postawy oraz zachowania odźwierni i pokojowi pani baronowej, których znaczenie w jej domu było niepomierne, bo proporcjonalne do pełnionych obowiązków.

Tej soboty jeszcze nim wybiła piąta po południu w domu pani Sa Tuel było już przynajmniej siedemdziesiąt osób, zaś drugie tyle bądź się pożegnało, bądź dopiero miało się zjawić. Brakowało miejsc do siedzenia. Cały parter i połowę piętra okupowały tworzące się spontanicznie grupki, jak zawsze przy takich okazjach; pomiędzy tymi grupkami - niczym komety między skupiskami gwiazd - przemieszczali się ci wszyscy, którzy jeszcze szukali swego miejsca bądź właśnie je zmieniali. Tylko dwie galaktyki zawsze trwały nieprzerwanie, nigdy nie ulegając pełnemu rozpadowi: wielka galaktyka miała za swe centrum gospodynię, galaktyka mniejsza, złożona w większości z młodzieży, zwłaszcza męskiej - figlarną pannę Sa Veres.

Sa Tuel, uśmiechnięta jak każdego innego dnia, wydawała się jednak mniej swobodna i wyglądała bardzo źle - tak źle, że niemal każdy, kto się zbliżył, poczytywał sobie za obowiązek zapytać panią domu o zdrowie. Umalowana była tak mocno, że aż do przesady, lecz i to nie wystarczyło, by ukryć sine cienie pod oczami - skutek bezsennej nocy. Nieuważna bądź zubożętniała przesadziła też z pudrem, którego miała na włosach doprawdy trochę zbyt wiele. Wszystko zresztą było w niej nie takie: dłonie wydawały się mniej zręczne, postawienie stopy mniej pewne, piersi nie tak wypukłe, a plecy nie dość proste... Wyglądała na trzydzieści dwa lata, czyli tyle, ile miała naprawdę.

Panna Sa Veres przeciwnie: wyglądała na lat dziewiętnaście, a zachowywała się na siedemnaście, albo nawet mniej. Mówiła głośniejsz niż zwykle, śmiała się dłużej i częściej, a jej słynne już ryzykownie śmiałe uwagi i sądy nosiły tego dnia znamiona iście straceńczych szarż (czyli, nazywając rzeczy po imieniu, były już nie tyle głupiutkie, ile kompletnie, aż boleśnie bezmyślne). Tak więc zarówno pani, jak i jej dworka wydawały się tej soboty odmienione, może jeszcze nie całkiem, ale jednak w stopniu dostatecznym, by gość bardziej spostrzegawczy zadał sobie pytanie, co takiego zaszło w tym domu.

Na szczęście - a to dzięki Katarzynie, która zamartwiając się o syna, nie mogła usiedzieć spokojnie i stale szukała zajęcia - zarówno Sa Tuel, jak i Sa Veres ubrane były wyjątkowo dobrze, jeśli nie znakomicie. Pobożna i stateczna Katarzyna nie była wszelako aż tak bogobojna, by za grzech poczytywać urodę, ubrała więc obie damy niczym duże lalki, ciesząc się ich

młodością i świetnymi figurami, na których nowe, dopiero co uszyte suknie wyglądały jak senne marzenia. Czarno-biała brokatowa szata Sa Tuel migotała milami złotych nici, układających się we wzory pomyślane specjalnie jako uzupełnienie dla pysznego diademu i tworzących z nim komplet zausznic; przy nagich ramionach obsypanych złotym brokatem pani domu miała nieodzowną kokardę - ale sporo mniejszą, niż to było przyjęte - zawiązaną wprost na ręce, tuż nad lewym łokciem, która to kokarda podkreślała swą matową czernią nieskazitelną skórę. Melania za namową Katarzyny zaryzykowała suknię jaskrawoseledynową, a był to kolor tak bardzo gryzący się z barwą włosów, że... od ślicznej Mel trudno było oderwać spojrzenie. Do włosów oprócz wachlarza nawiązywała tylko olbrzymia ruda kokarda przypięta do lewego biodra tak nisko, że słuszniej byłoby już mówić o udzie. Lecz odważnie wystrojona mała śmieszka zdawała się powiadać: „O mój Boże, wiem przecież, jakie to wyzywające, ale proszę mi powiedzieć, kto takiemu wyzwaniu sprosta, jak nie ja?”. I mówiąc tak, miała by słuszność. Nawet pani Sa Tuel wyglądałaby cudacznie na jej miejscu, ale piękna Sa Tuel nie miała urody szelmy, figlary i zalotnicy. Wykończone gipiurami rękawy sukni Melanii stałe się zsuwały to z jednej, to znów z drugiej strony, odsłaniając krągłe ramionka, panna zaś złościła się zabawnie na tę niedoskonałość stroju, poprawiała szatę, a raz wywołała nieomal entuzjazm wśród otaczającej ją młodzieży, bo z wachlarzem w jednej dłoni, a pucharkiem w drugiej, roztrzepana i rozgadana, zamilkła tylko na moment, by podciągnąć nieposłuszny rękaw zębami. Jeśli dodać, że z

przodu batystowa wstawka niemal całkowicie odstaniała jędrne piersi; jeśli zważy.. jeszcze, że pod kokardą suknia była lekko marszczona i podciągnięta na dwa lub trzy cale do góry, co czyniło ją asymetryczną i pozwalało czasem dojrzeć delikatną kostkę i stopę obutą w trzewiczek na obcasiku tak wysokim i wąskim, że niemal niewidocznym, to doprawdy trudno się dziwić, że Melanii (na całe szczęście) niemal tego dnia nie słuchano, bo o wiele bardziej ją oglądano. Warto dodać na stronie, że maleńka Melania i jej pani - też będąca kobietą o wzroście najwyżej średnim - naśladowane przez wszystkie kobiety w Moenie (a moeńska moda promieniowała na całą prowincję Valaquet), wprowadziły nowinkę, która niczym odbite echo wróciła aż do Lazenne: otóż przywykłe do wysokich, ale kwadratowych obcasików damy ze łzami w oczach jeły sobie wykręcać nogi w swoich prywatnych komnatach, próbując opanować sztukę chodzenia na obcasach tak wysokich i wąskich, że zyskały sobie wkrótce złowrogie miano „szpilek”. Ani o tym wiedząc, dwie próżne niewiasty rozpowszechniły najwspanialszy - bo czyniący łanię z przysadzistej lochy - a zarazem najbardziej przeklinany przez całe pokolenia następczyń wynalazek. Stroje obu kobiet odegrały owego wieczoru najdonioślejszą rolę, albowiem nieuchronnie sprowadzały rozmowę na kwestie związane z modą, a był to może jedyny temat, na który Sa Tuel była w stanie, Melania zaś umiała rozmawiać. Mówiąc krótko, Katarzyna zapobiegła kompromitacji, jaką musiałby się skończyć ten wieczór, gdyby wzięto się za dyskursy o sztuce, polityce albo filozofii.

Sa Tuel jednak wyglądała coraz gorzej, a co więcej, tak samo się czuła. Wzruszenia i wysiłki dnia poprzedniego, przyprawione bezsennością, zaczęły zbierać żniwo i o siódmej baronowa znów (bo nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich miesięcy) musiała sobie powiedzieć, że nie ma już lat siedemnastu. Była młoda i czuła się młodo, z kalendarza jednak wynikało, że jest dojrzałą kobietą i nigdy już nie będzie dziewczyną mogącą przetańczyć dwie noce, a następnie o samym świtaniu wziąć udział w galopadzie po łące okrytej perlistą rosą. Było jej duszno, a ogniki świec zlewały się czasem w jedną płomienistą falę, gdy zapominała, że rozmawia, i zapatrzyła się przed siebie nieruchomymi oczami.

Baron Bouitie, który wyróżniał się najbardziej tym, że młoda i piękna żona uciekła z jego bratem do stronnictwa pani Se Potres, pytał o coś i Sa Tuel zdołała pochwycić wątek, a raczej uchwyciła tylko ostatnie słowa i dopowiedziała sobie resztę. Nie było to trudne na szczęście, jeśli wziąć pod uwagę, że sama jedna miała w głowie tyleż inteligencji i rozumu, co wszyscy jej goście razem wzięci, a już na pewno ci, którzy właśnie tworzyli „wielką galaktykę”.

Roześmiała się.

- Jesteś pan niezdolny - powiedziała, jednym płynnym poruszeniem wachlarza chłodząc twarz, a zarazem odrzucając z policzka niesforny pukiel włosów, który wymknął się spod diademu. - Plotki i ploteczki... A przecież mówi się, że to kobiety plotkują. To krzywdzące, nieprawdaż?

Powołane na świadka panie wszystkie razem poparły ją zgodnym chórem. Pokazawszy baronowi wachlarzem: „Widzisz

pan?", Sa Tuel roześmiała się, bo szlachcic powiedział:

- Jeśli nawet plotkuję, to dlatego, że w podobnym otoczeniu, patrząc na doskonałość, męczyzna zazdrości i marzy o byciu kobietą!

- Och, baronie... - odparła wciąż ze śmiechem, bo uwielbiała niezręczne komplementy. - Przecież właśnie zrobiłyśmy wszystko, by pan nie chciał przy nas być kobietą.

Poczerwieniały męczyzna sprostać musiał wybuchowi śmiechu, co przeżył tylko dlatego, że baronowa umiała wsadzić szpilę każdemu. Kto jeszcze tego nie zaznał, był na najlepszej drodze - wystarczyło bywać w tym domu.

Sa Tuel wiedziała, że ośmieszając ludzi, robi sobie wrogów, zawsze więc wynagradzała przykrość. Błyskawiczny refleks i cięty język umacniały jej pozycję; wszyscy dzięki temu wiedzieli, że jest niedosiężna i niepowtarzalna. Ale nie mogli czuć się poniżani.

- Podaj mi pan ramię - zażądała. - Jeśli nie chcesz być przy nas męczyzną, to ja jednak przy tobie bardzo chcę być kobietą... a że jako gospodyni mam tu przywileje, porywam cię sprzed nosa konkurentek. Poprowadź mię pan do okna, bardzo duszno tutaj.

Zaprosiwszy wszystkich uśmiechem do towarzyszenia sobie, Sa Tuel niczym kometa ciągnąca długi ogon pozwoliła się na czele gości powieść do półotwartego okna, uśmiechami odpowiadając na ukłony tych wszystkich, którzy rozproszeni po pokoju tworzyli osobne małe grupki. Nadstawiła ucha, mijając otwarte drzwi, za którymi widniał zwarty krąg rozbawionej

młodzieży.

- I wtedy trach! - mówiła właśnie z pogrzebową powagą Sa Veres. - Obcas z drabiny, panna w dół, spódnica na głowie...

Wybuch śmiechu, głośny niczym salwa armatnia, był kolejnym dowodem, że w kręgu ustawiona jest młodzież; starsi nie umieli bawić się tak beztrosko. Wymieniwszy z towarzyszącą jej szlachtą porozumiewawcze uśmiechy i wzruszając lekko ramionami („Wybaczmy, to jeszcze dzieci."), Sa Tuel stanęła przy oknie. Przymykając oczy, zaczerpnęła powietrza i odwróciła się plecami do gwarne go placu pełnego karet i służby. Niewiele zaznała ochłody, bo wieczór był ciepły.

- Podziwiam jednak pani odwagę, baronowo - rzekła z nietajoną, bo pochlebną dla gospodyni zawiścią pani Del Arsh, która mogła sobie pozwolić na trochę więcej niż inni, bo i rozumem, i śmiałością przewyższała większość obecnych, a to z kolei sprawiało, że zaskarbiła sobie pewne względy u Sa Tuel. - Ale może raczej powinnam bać się pani tajnych broni?... Włożywszy dziś taką suknię, musisz być bardzo pewna potęgi swego arsenału. A bal u wicekrólowej? Gdy chodzi o mnie, to, włożywszy dzisiaj coś takiego, już tylko w jeden sposób mogłabym zrobić wrażenie podczas balu: musiałabym przyjść

- O, moja droga... Nie kuś, bo towarzyszący nam panowie gotowi wyśledzić mojego krawca. Uzyskawszy do niego dostęp, będziesz musiała się następnie ubrać w to, co ci uszyje, a wówczas... podczas balu...

- Boże, przecież to prawda - rozległ się męski głos pośród rozbudzonych śmiechów. - Gdzież ten krawiec pani baronowo?

- Słowo się rzekło - nie tracąc bynajmniej rezonu, skostatowała Del Arsh, kobieta średnia w latach i przeciętnie urodziwa, lecz tak doskonale zbudowana, że w Moenie może jedna Sa Tuel nie miała jej czego zazdrościć. - Pan zamawiasz mi suknię nie gorszą od sukni Sa Tuel, ja ją wkładam, na balu widzisz mnie naga.

- Ależ przestań... co wygadujesz? - rzekła baronowo niby to karcąco, kryjąc się za wachlarzem i śmiejąc tylko oczami. - Ktoś gotów wziąć to poważnie.

- No i słusznie. Panowie przyjmują zakłady?

Bóg raczył wiedzieć, co sobie umyśliła pani Del Arsh, ale zbiła z tropu nawet gospodynię. Szlachta potrafiła wprawdzie bawić się z prawdziwym rozmachem i przedstawione właśnie szaleństwo nie było czymś nie do pomyślenia... Wszystko dało się urządzić śmiało a zabawnie i ze smakiem. Ale czy tutaj, teraz?... W istnym klasztorze, gdzie nikt się nie bawił od tak dawna? Kilka lat temu, to owszem.

Jednak Del Arsh chciała tylko pokazać, że Sa Tuel nie jest jedyną potrafiącą sobie dobrze zakpić. Parsknąwszy nagle śmiechem, którego nie powstydziałaby się młodzież skupiona w drugim pokoju, pogroziła skonsternowanym mężczyznom wachlarzem i skłoniła się lekko gospodyni.

- Uwierzyli, proszę... A jacy przestraszeni! Zostawiam panią, jeśli pozwolisz...

- Ooo... idź, chimero!... A tak, bo nie wiadomo, czym w ogóle jesteś! - Oburzona Sa Tuel zamierzyła się wachlarzem.

- Jacy biedni! - dorzuciła, biorąc w obronę mężczyzn. - Ja sama nie wiedziałam...

Śmiejąc się, Del Arsh poszła ku młodemu człowiekowi, który prosił ją do siebie ukłonem, nie chcąc przeszkadzać w prowadzonej pod oknem rozmowie; był to jej najstarszy syn.

- Lecz mówiąc poważniej - zauważyła któraś z dam - za zmianami mody w Lazenne niepodobna w ogóle nadążyć. Czy obowiązuje jeszcze jakiś styl? Nie dostrzegam w tym nic więcej, jak tylko chaos; ma być więcej, szybciej, nowiej... Nie dotyczy to pani, oczywiście. Pani, baronowo, jesteś niepowtarzalna i jedyna w swoim rodzaju, możesz nosić wszystko, bo tworzysz styl tylko dla siebie, najzupełniej odrębny. Lecz ja bałabym się stosować do niektórych nowinek i mówię to zupełnie otwarcie. Co jeszcze jest modą dworu, a co dyktują stołeczne ulice?

- Nie wiem - powiedziała sucho Sa Tuel. - Za to pani powinna wiedzieć, że w Lazenne nie bywam, bo mnie stamtąd wypędzono i do dziś nie pozwala mi się wrócić. Powiedzieć pani teraz, dlaczego mnie wypędzono? A może słyszałaś plotki?

Była to nauczka surowa, zbyt surowa jak na niewinne w końcu napomknienie o stołecznej modzie. W zaległej ciszy ukarana nieszczęśnica bezradnie staczała się w nicość i nie było nikogo, kto odważyłby się wyciągnąć do niej pomocną dłoń. Sa Tuel odczekała akurat tyle, ile trzeba, by biedna kobieta roztrzaskała się na dnie przepaści, po czym stanęła do niej bokiem, bo plecami nawet nie musiała. Uśmiechnięta rozmawiała już z kimś innym. Ze łzami wstydu i upokorzenia w oczach ofiara

bezlitosnej egzekucji skłoniła się gospodyni - czego nikt nie zauważył - i samotnie wyszła z pokoju. Była martwa, już nie istniała.

Cały kwiecień przeminął chłodny, za to pierwszy dzień maja - duszny. Miało się na deszcz, a może nawet wiosenną burzę, lecz parne powietrze zastygło w bezruchu i nic nie wskazywało na to, by wyczekiwana burza była blisko. Rozmowa przy oknie trochę utykała, bo gospodyni zbyt mocno dała odczuć gościom swoją siłę, wszyscy jeszcze byli pod wrażeniem bezwzględnej kaźni i każdy myślał dwa razy, nim otworzył usta. Rozmowa znowu zeszała na bal, bo był to temat - jak się wydawało - dość bezpieczny. Ten i ów powątpiewał, czy wszystko odbędzie się bez zgrzytów; między wierszami pytano panią Sa Tuel, czy w tym kraju, w obliczu trwającej wciąż wojny, naprawdę jest możliwa udana i beztraska zabawa. Wystarczyło, by rzekła „nie” i powtórzyła to jeszcze ze dwa razy, a bal byłby zamordowany. Byłby stypą na trzy tygodnie przed wyznaczoną datą.

Dołączyło dwoje nowych gości, sumitujących się mocno, że nie mogli przyjechać wcześniej, lecz mieli za obowiązek złożyć chociaż swe uszanowanie. Ktoś inny, korzystając z okazji, chciał się pożegnać. Wrócono do przerwanej rozmowy.

- Nie ma już żadnej wojny - troszkę jakby od rzeczy powiedziała w pewnej chwili baronowa, przerywając któremuś z gości. - Jest rodzinna sprzeczka Ayhoe. I zakończy się jak sprzeczka. Rodzinna.

W milczeniu dociekano, co chciała przez to powiedzieć. W milczeniu tym głębszym, że nikt nie mógł tak zdawkowo mówić o Rodzinie - starożytnej dynastii rycerskiej, której krew bardzo

rzadko mieszała się z jakąś inną, bo ród od stuleci miał dyspensę na związki już między stryjecznym i ciotecznym rodzeństwem. Ale pani Sa Tuel mogła mówić, co jej się podobało. Uśmiechnęła się trochę blado i dotknęła czoła chu-

- Na balu - powiedziała. - Koniec wojny i koniec wszystkiego...

Odwróciła się trochę zbyt gwałtownie i postąpiła pół kroku naprzód, lecz drugiego kroku już nie było. Ktoś dojrzał nieprzytomne oczy, pot na czole i nad górną wargą; kto inny rzucił się do przodu i zdołał podtrzymać lecące bezwładnie ciało. Pośród zamieszania wołano o lekarza, jakiś szlachcic pobiegł do drzwi, za nim drugi. Był, był lekarz! Sędziwy pan Dos-Notler, schorowany, wiecznie kwękający, nie ruszał się nigdzie bez medyka. Szukano jednego i drugiego.

W sąsiednim pokoju śmiechy zgasły, dowiedziano się tam właśnie, co zaszło. Przeżona dworka baronowej rzuciła na podłogę swój wachlarz i przypadła do pani, która blada jak kreda oddychała płytko i z wysiłkiem, najwyraźniej nikogo nie poznając. W komnatce nie było szezlongu, pospiesznie zestawiono trzy krzesła, które na szczęście nie miały poręczy, i na tym prowizorycznym łóżku ułożono zemdloną. Sa Veres podtrzymywała jej głowę.

Odnalazł się lekarz, zresztą w ciasnej komnatce byli już prawie wszyscy. Surowy i poważny pan w czerni polecił szerzej otworzyć okna, zbadał puls baronowej i nakazał posłać po swą torbę z medykamentami. Następnie grzecznie poprosił zebranych o opuszczenie pokoju, zapewniając, że to zwykłe

omdlenie, objaw przemęczenia i przedostania się wymieszanej z żółcią melancholii, do krwiobiegu; niemniej konieczne było rozluźnienie gorsu baronowej i poddanie jej trzeźwiącym zabiegom. Wymieniając niegłośnie uwagi, pytając i odpowiadając, uspokajając się wzajem, zatroskani goście wychodzili z komnatki tak szybko, jak na to pozwalała przepustowość drzwi. Na ręce majordoma składano pożegnania i życzenia zdrowia dla pani, służbę zaś zobowiązywano do wyglądanania pościelców, którzy mieli przyjeżdżać po wieści. Wkrótce sprowadzono z domu pierwsze lektyki i karety, przy czym nie dało się uniknąć pewnego zamieszania.

Otrzeźwiona solami Sa Tuel, prowadzona przez Melanię i Katarzynę, zdołała przejść do sypialni, gdzie zaraz ją przebrano do snu. Pan Dos-Notler nie chciał słyszeć o odejściu medyka od chorej, ofiarował się w zamian - wiedząc, jak straszną rzeczą jest podupadnięcie na zdrowiu - sprowadzić z miasta i samego pałacu Dostojnej najznamienitszych doktorów gotowych utworzyć konsylium.

Dom powoli pustoszał, wreszcie zamarł zupełnie.

Spełniając ciche życzenie swojej pani, Melania poprosiła lekarza, by zechciał czuwać w przyległym pokoju, nie zaś przy samym łożu. Baronowa została tylko w towarzystwie swojej dworki, lecz wkrótce i ją poprosiła o odejście. Przyrzekła zawołać w razie jakiegokolwiek potrzeby.

W sypialni było cicho. W całym domu, przed godziną tak gwarnym, nie ostało się nawet wspomnienie tego gwaru. Błada i wymęczona do granic Sa Tuel wbrew oczekiwaniom i wbrew

rozsądkowi nie mogła jednak zasnąć. Wpatrywała się w rzęsiście rozjaśniony kandelabr, a płomyki świec przed jej oczami rozdwajały się, to znów zbiegały. Mogła patrzeć na świecę, leżeć w łóżku, mogła jeszcze rozmawiać o modzie... Poza tym mogła w coś wierzyć i bardzo na coś liczyć. Mogła zaklinać rzeczywistość. Może mogłaby się jeszcze modlić, ale - cóż począć - Boga akurat w Jego domu nie było, udał się dokądś z wizytą i miał wrócić za jakieś dwa tysiące lat. O ile w ogóle miał wrócić.

Przez pół nocy do domu pani Sa Tuel przybywali lekarze - jeden za drugim - przysyłani przez gości przejętych chorobą gospodyni. Po przybyciu piątego doktora sprawa zaczęła być śmieszna, po przyjeździe dziesiątego groteskowa, później - groźna. Stało się całkiem jasne, że przy łożu chorej Weroniki Teresy nie stawiałaby się i połowa tej liczby. Sa Tuel mogła mieć modny dwór, mogła przekomarzać się z Dostojną, być balsamem na jej samotność, mogła wymyślać za nią bale - lecz nie mogła pokazywać, że zajęła jej miejsce w Moenie. Pozostało żywić nadzieję, że wicekrólowa, choć niechybnie dowie się o niedyspozycji faworytki, to nie pozna żadnych szczegółów. Odprawiono medyków, a gdy przybył jeszcze następny, podziękowano mu jak najuprzejmiej, wyjaśniono, że pani jest zdrowa, że śpi, że nic jej nie będzie, i nawet nie wpuszczono za próg. Został tylko jeden, sprowadzony z miasta lekarz, z którego wiedzy i umiejętności baronowa już korzystała przy okazji migren i innych

niedyspozycji. Ten to uczony mąż orzekł rano, że niebezpieczeństwo minęło, zalecił lekki posiłek i nawet - co prawda niechętnie - pozwolił chorej udać się na mszę. Było to bardzo ważne, w niedzielnej mszy bowiem baronowa uczestniczyła wraz z Dostojną, korzystając z ławeczki i klęcznika umieszczonych dokładnie w połowie drogi między klęcznikiem wicekrólowej a ławkami i klęcznikami najświetniejszej szlachty. Tak chciała Weronika Teresa; Sa Tuel na stałe otrzymała miejsce, które było dotąd miejscem przechodnim. Od trzech tygodni podczas mszy i nabożeństw tylko ona służyła starej damie wszelką potrzebną pomocą.

O dziwo, nie wywołało to żadnych zadrażeń i żadnego rozgoryczenia, wprost przeciwnie. W ciągu ostatnich lat zaszczytna służba u boku wicekrólowej przemieniła się w nader przykry obowiązek, z którego niewiele wynikało. Weronika Teresa nawet nie pamiętała - ba! pytanie, czy w ogóle widziała - kto jej danego dnia służy. Sa Tuel momentalnie przemieniła obowiązek w najgoręcej pożądaną przywilej, równie jednak pożądaną, co i niedosiężną, bo w najbardziej oczywisty sposób należny tylko jej - zazdrozczono więc baronowej owego przywileju najzupełniej tak samo, jak wszystkiego innego: swobody, szyku, wzięcia, urody... Niewymuszonej świetności.

Sa Tuel pojawiła się w katedrze tak jak zwykle, kwadrans przed jedenastą. Gdy przybyła kareta Dostojnej, baronowa już czekała przy wejściu do nawy głównej gotowa podać wicekrólowej wodę święconą z dłoni.

Przeżegnały się obie i poszły w stronę ołtarza. Ich śladem zaczął wlewać się tłum.

- Co ci jest? - surowo, a zarazem łagodnie zapytała Weronika Teresa, co sprawiło, że idący najbliżej jęli umierać z zazdrości; przecież wicekrólowej nic nie obchodziło, a już na pewno nikt.

- Och... Wapory.

- Ty? Wapory?

- Nie jestem z żelaza. Niepotrzebnie pościłam w piątek.

- Głupstwa opowiadasz, droga pani.

Po czym dodała znacznie ciszej:

- Nie kłam, kiedy cię pytam po przyjaźni. Co inne go w polityce, o to się nie gniewam... Jestem stara, ale nie głupia i w twoje posty, Sa Tuel, wierzę tak samo jak w Boga. Może i czasem pościsz, a Bóg może i czasem jest.

To rzekłszy, znacząco skinęła głową.

Nieoczekiwane wyznanie - a i oskarżenie - starej damy, która przed pół dekadą była potężną władczynią, teraz zaś starannie chodziła do kościoła, budząc szacunek pobożnością aż ostentacyjną, uświadomiło baronowej, jak ogromną pracę wykonała w ciągu minionego miesiąca. Dostojna zbudziła się i kto widział starą, zgorzkniałą damę, ten widział tylko fasadę. Jeszcze rano Sa Tuel, czując się doprawdy nie najlepiej, przez chwilę poważnie rozważała, czy nie opuścić mszy. Rozpatrzyła jednak rzecz z właściwą sobie wnikliwością i postanowiła iść, a teraz stało się jasne, że dla tej jednej mszy, a raczej tych kilku słów warto było przyczołgać się choćby na czworakach.

Więcej już o niczym nie rozmawiały; trudno zresztą, by wszczęły dysputę, gdy Sa Tuel podawała Dostojnej otwarty

na właściwej stronie modlitewnik. Lecz po mszy baronowa dowiedziała się, że wieczorem jest oczekiwana.

Wieczorem u wicekrólowej znaczyło: około siódmej.

Przez pół dnia Sa Tuel krążyła po swym domu, szukając czego nie zgubiła. Z natury kapryśna i zmienna, gdy na coś czekała, potrafiła być wręcz niemożliwa i z nastaniem godziny czwartej nie było w domu ani jednej osoby, która rzuciłaby się w oczy baronowej i nie zaznała żadnych szykan. Jej głos, zawsze wysoki, w złości stawał się tak ostry, że aż jędzowaty, słysząc go było w całym domu. Pokojowi kulili się pod ścianami; obrażona Katarzyna naprawiała szmaty, które jutro miały zostać wyrzucone; spoliczkowana Melania pociągała nosem w swych komnatkach.

Kwadrans po czwartej baronowa, w spiętej pasem szerokiej czarnej spódnicy, skórzanych butach, w luźnej białej koszuli, ze szpicrutą w dłoni i włosami związanymi z tyłu, pojawiła się w stajni, gdzie chłopcy w mgnieniu oka przytargali siodło i zostali posieчени szpicrutą, bo Sa Tuel chciała siodła męskiego. Bez dyskusji okulbaczone jej Pioruna - ogiera szlachetnego, lecz tak narowistego, a przy tym złośliwego, że jeździec każdorazowo musiał stoczyć z nim walkę: Piorun gotów był spokojnie iść stępa, a w następnej chwili z przekrwionymi oczyma wyłazić ze skóry, byle pozbyć się z grzbietu ciężaru. Ku przerażeniu stajennych Sa Tuel zażądała olstrów z pistoletami, po czym wyjęła broń, lecz nikogo nie zastrzeliła, sprawdziła tylko jej gotowość do użycia. Dwaj służący pojechali za panią, ale wkrótce zawrócili, bo po małym kwadransie cwału mogli już tylko szukać

wiatru w polu - by dogonić Pioruna, trzeba by dosiadać orła lub sokoła.

Baronowa pojawiła się z powrotem tuż przed szóstą Poranione ostrogami i pocięte szpicrutą zwierzę z wielkim trudem trzymało się na nogach - doprowadzenie konia do takiego stanu w ciągu półtorej godziny było wyczynem wielce godnym odnotowania, wyglądało na to, że pani Sa Tuel galopem zdobywała podmiejskie pagórki. Czekala już na nią kąpiel, a w sąsiednim pokoju Katarzyna porozkładała suknie. Przechodząc przez ten pokój, baronowa obojętnie wskazała jedną palcem, Katarzyna pobiegła więc po dodatki, Melania zaś po odpowiednie do wybranej sukni precjoza. Po kąpeli na toaletę zostało pół godziny, a więc tyle co nic. Pospiesznie umalowana i ubrana Sa Tuel nie wypowiedziała ani słowa, lecz na ustach miała delikatny, niemal niedostrzegalny uśmiech. Bieliźniana go nie dostrzegła, lecz Melania i Katarzyna wymieniły znaczące spojrzenia: każde słowo teraz równało się bez mała samobójstwu, a przynajmniej samowydaleniu ze służby. Padło na stangreta - ocalał tylko dlatego, że drugiego stangreta nie było, a jakiś do karety wydawał się niezbędny. Z kapeluszem w ręku i spokojem bardzo filozoficznym zebrał po pysku rękawiczkami, otarł mankietem krew z nosa, wysłuchał złożonej z dwóch słów instrukcji, skłonił się i wdrapał na kozioł. Zaraz zaciął konie.

Gdy kareta zniknęła w alei za bramą, wystraszony majordomus pobiegł do dworki baronowej, bo ta, od dawna znając panią, najlepiej wiedziała, co należy w takich razach robić.

- Nic pan nie rób, nawet nie oddychaj - powiedziała panna Sa Veres. - Wróci w dobrym humorze, chyba że u wicekrólowej spotka ją jaka przykrość. Ale za to poślij po doktora, bo niepotrzebnie odjechał.

- Pani mówi: doktora?...

- Baronowa się pochoruje, a co pan myślisz? Że można jednego dnia zemdleć, a drugiego bezkarnie galopować po błoniach? To kobieta, a pan uważasz, że kto? Łykowaty osiłek z gospody?

- Rzekłszy prawdę - powiedział wystraszony dworzanin, który po raz pierwszy (ale nie ostatni) widział panią zniecierpliwioną - wydawało mi się raczej, że sam diabeł. Panna już widziałaś takie rzeczy?...

Dworka była płocha i miała zęby jadowe, między nimi zaś niewyparzony język, lecz - choć była, jaka była - majordom znał ją już na tyle, że nie bał się każdego słowa; wiedział, że Sa Veres nie doniesie (a skądinąd niewiele wiedział, Melania jak najbardziej donosiła, choć faktycznie nie biegła z każdym jednym słówkiem). Teraz popatrzyła nań przeciągle, po czym nagle odrzuciła głowę w tył, przycisnęła dłonie do piersi i niemal przysiadła ze śmiechu. Ogłupiały zarządca domu ze zdumieniem oglądał rozchichotaną i aż zataczającą się pannę, która przytrzymując się ściany, szła do swego pokoju. Nie otrzymał odpowiedzi, za to zyskał mocne podejrzenie, że zarówno pani, jak i jej dworka... może zresztą wszyscy w tym

Odszedł szybko, bo w miejscu, gdzie stanął, gromadziły się jakieś bardzo złe fluidy, ściągające niewłaściwe myśli. Baronowa żyła na wysokiej stopie, co rozciągało się na każdego dworzanina i służbę, nikomu w jej domu krzywda się nie działa.

Ostatecznie taka pani miała chyba prawo przykrzyć sobie oczekiwanie.

Sa Tuel tymczasem, jadąc do Dostojnej, szybko się uspokoiła; w ogóle zresztą była spokojna, a tylko, nie mając nic do roboty, zżymała się trochę na zwłokę. Nic miała wątpliwości, że wicekrólowa wezwała ją do siebie z jakiegoś powodu, nie dla dotrzymania towarzystwa. Ale jakkolwiek był ten powód, należało się tylko cieszyć. Sprawy stały niedobrze, tak niedobrze, że każda odmiana mogła je najwyżej poprawić. Del Wares nie przysłał żadnego gońca, co znaczyło, że chyba jednak był w opresji. Dobry Boże, w opresji... W śmiertelnym niebezpieczeństwie. Biedna Sa Tuel mogła liczyć już tylko na to, że Atheves da jej drugą szansę. Zagrozi raz jeszcze, wysunie nowe żądania. Jeniec był zbyt cenny, żeby pozbyć się go jeszcze przed rozpoczęciem prawdziwych negocjacji.

Stangret pomógł jej wysiąść z karety, a gdy puszczał urękawiczoną dłoń, w rękę została mu piękna sztuka złota. Ukłoniwszy się do pleców pani, zabijaka pokręcił głową, zamknął drzwiczki i wlaź na swój kozioł, po czym odjechał ku wozowni, cały czas mamrocząc coś pod nosem - a były to wyliczenia. Stangret wyrachował, że gdyby zawsze za wzięcie po pysku dostawał był złotą koronę, to tak samo dziś by jeździł kareta, ale nie na koźle, tylko w środku.

Pora nie była późna i w pałacu panował znaczny ruch. Prowadzona przez kolejne pokoje baronowa budziła powszechne przerażenie, bo - to znowu była sprawka Katarzyny - okazywało się właśnie, że niemodne są kapelusze i wszystkie trzeba wyrzucić, a wiele dam z myślą o balu zdążyło już sprawić sobie nowe.

Sa Tuel miała w złotych włosach stroik z pereł i koralu, przybrany delikatnym granatowym piórem, pasującym do odstaniającej jedno ramię aksamitnej, ale lekkiej sukni, odpowiedniej do ciepłego i pięknego dnia, jako że drugi maja minął pod znakiem upału. Zapowiedziana wicekrólowej została przyjęta natychmiast. Wkroczyła do komnaty, którą z jakichś przyczyn Dostojna lubiła najbardziej: była to wielka sala bez kobierców na marmurowej posadzce ułożonej z rombów na przemian zielonych i czarnych. Na ścianach widniała galeria kilkudziesięciu portretów - wszystkie bez wyjątku przedstawiały kawalerów bądź damy Bractwa Rycerskiego. Ale pałac w Moenie zawsze uchodził za jeden z najświetniejszych; lepszy - i nieistniejący już, niestety - dom Dostojna miała tylko w Re

Olbrzymie i ciężkie staroświeckie sprzęty przytłoczyłyby zwykłe mieszkanie; Sa Tuel musiałaby każdą z tych szaf i komód wprowadzać do siebie przez okno, po czym już wcale nie bywać w zapchanych do granic pokojach. Ale tutaj stuknięcia jej kroków rozchodziły się wokół echem. Ani wielkie meble, ani draperie, ani brokatowe zasłony nie były w stanie go zgasić. Daleko, pod samym oknem, przy biurku o rozmiarach małżeńskiego łoża, wicekrólowa tonęła w swych papierach. Towarzyszyły jej wszędzie.

Sala onieśmiała. Jednakże w oczach Sa Tuel była to najwyżej jedna ze znanych aż do znudzenia sztuczek: do każdej rozmowy należało wybrać odpowiednie miejsce. Była zresztą pewna, że Dostojna zbyt wysoko ją ceni, by bawić się w podobne podchody. Po prostu siedziała w swej komnacie i to wszystko.

- Myślałam, że przyjdzie pani trochę wcześniej - powiedziała Dostojna, z pieczołowitością rachmistrza dodając jakieś cyfry w słupku. Jednocześnie z właściwą sobie elokwencją gestów lekkim ruchem pióra po wiedziała zarówno „Dobry wieczór”, jak i „Siadaj sobie, gdzie ci się podoba”.

Sa Tuel oburzyła się tak szczerze, że Weronika Teresa aż uniosła na chwilę spojrzenie.

- No naprawdę, Dostojna... Jak to: wcześniej? Każesz mi przyjść wieczorem, przez cały dzień nie mogę znaleźć sobie miejsca, a pani mi teraz mówisz: „Wcześniej !

- To czemuś nie przysła? Wyrzuciłam cię kiedy?

- Powiedziałaś: wieczorem. Znajdowałam, iż wcześniej zajmują cię ważne sprawy.

- Ważne sprawy? To są moje sprawy; myślałam, że już wiesz. - Dostojna pokazała niezliczone dokumenty przed sobą. - Jak ty to powiedziałaś?... „Odprawiłaś ministrów i musisz teraz mieszkać w kancelarii”... Rzeczywiście.

- Swoją drogą - rzekła Sa Tuel, nie szukając sobie miejsca do siedzenia, a tylko stając przy olbrzymim biurku i opierając się biodrem o blat - czy to naprawdę konieczne, byś osobiście zarządzała całym krajem?

- A myślisz, że zarządzam? Niczym nie zarządzam. Bawię się w pisanie rozporządzeń, których nikt nie czyta... - Dostojna, tak jak przed tygodniem Sa Tuel, jęła palcem odsuwać od siebie kolejne dokumenty. - Sporządzam kosztorysy, których nikt nie przestrzega... zlecam coś, co nie będzie wykonane... ułaskawiam więźniów, których dawno stracono, oraz każe stracić innych,

których wypuszczono... Korupcja, kochana Sa Tuel, jest już tak powszechna, że panuję tylko nad Moeną. Od dawna nikt nie rządzi tym krajem, albo raczej rządzą przekupni urzędnicy, niewarci plunięcia szlachcice uchodzący za królów w swoich dobrach, albo zgolą porucznicy miejscowych garnizonów, mający pod sobą żołnierzy, którzy donikąd nie ruszą, bo zdezerterują na pierwszą wzmiankę o wymarszu. A, prawda... Rządzą jeszcze księża, a dokładniej biskupi.

- To tym bardziej - odrzekła Sa Tuel, która świetnie wiedziała, że tak właśnie jest. - Po co więc się pani tym zajmujesz?

Dostojna oparła łokcie na stole i splotła uniesione dłonie.

- Co robiłaś dziś przez cały dzień? Czekalaś, aż cię przyjmę. Ale oprócz tego? - zapytała z godną uwagi przenikliwością.

Sa Tuel uśmiechnęła się.

- Jeździłam konno.

- Tak, a... dokąd?

- Donikąd. Chciałam zabić czas.

Dostojna obszernym gestem pokazała swoje papiery.

- Nie jestem wodzem i nie kieruję armiami, które czasem staczają jeszcze bitwy, tak przynajmniej mówią mi tutaj. Układów z przeciwnikiem nie prowadzę. Polityka zewnętrzna także nie istnieje, kiedyś wszyscy ślali posłów do mnie, dzisiaj ślą do Lazenne, bo wiadomo, że ja tutaj nad niczym nie panuję. Najjaśniejszy Karol XVII zresztą także nie, jeśli chodzi o Valaquet i państwa, z którymi ta prowincja graniczy, ale on przynajmniej

jest królem. Co jeszcze? Podzielonego kraju, którego ćwiartka należy do mnie, druga ćwiartka do kogoś innego, a połowa do nikogo, nie naprawię. Jeżdżę więc konno donikąd.

- Tak też myślałam - powiedziała Sa Tuel. - Ale ja wzięłam kąpiel, nadszedł wieczór... Doczekałam się.

Dostojna skinęła głową.

- Masz do mnie sprawę, Sa Tuel?

- Czy ja mam sprawę?

- Tak. Czy masz do mnie jakąś sprawę?

- Zdawało mi się, że to pani chce o czymś ze mną rozmawiać - odpowiedziała bezczelnie baronowa.

- Tak, o balu - powiedziała Dostojna, odchylając się na oparcie krzesła i obracając pióro w palcach.

- O balu?

- Co cię tak dziwi, moja droga? Bal jest nieważny? Od tygodnia dowodzisz, że niezbędny.

- W każdym razie bardzo potrzebny.

- Sama widzisz. Musisz mi doradzić, jak mam wyglądać, co włożyć... Zapomniałam już, co to jest moda, a nikt tutaj nie zna się na tym tak jak ty. Zechcesz mnie polecić swoim krawcom, poręcz za mnie, jestem dobrą klientką. Muszę wyglądać odpowiednio, tym bardziej że na balu rozstrzygnie się rodzinna sprzeczka Ayhoe i w ogóle cała wojna... Tak mówiłaś?

Sa Tuel nie była naiwna i miała nieomal pewność, że wśród gości, których przyjmuje, są i tacy, co każde jej słowo zanotują i przekażą komu trzeba. Ale teraz nie wiedziała, co odrzec. Odeszła od biurka i ostrożnie przysiadła na krześle - tak wysokim, że osóbcie o posturze Melanii majtałyby nogi nad posadzką.

- Prawdę mówiąc, prawie nie pamiętam, że tak powiedziałam.

- Zaprzeczasz?

- Nie...

- No to wytłumacz się.

- Kręciło mi się w głowie, powiedziałam coś od rzeczy... I zasłałam. A potem pamiętam doktora.

- I nie wiedziałaś, co mówisz? - zapytała spokojnie Weronika.

- Gorzej, teraz nie wiem. Zupełnie nie wiem, co mam mówić. O co pani pyta, Dostojna? Ten bal wydaje wicekrólowa Valaquet. I pojawi się na nim jako wicekrólowa albo jako zgorszona niepotrzebną wrzawą podstarzała dama. Jedno i drugie, moim zdaniem, rozstrzygnie o losach tej wojny. Myślę, że nic więcej nie chciałam powiedzieć, a zabrzmiało tak, jak zabrzmiało, z powodów, o których już mówiłam. Będąc w pełni przytomna, nie mówiłabym niczego podobnego. Nie dlatego, że tak nie myślę. Dlatego, że moich gości nic to nie powinno obchodzić, to nie są ludzie, z którymi mogę mówić o poczynaniach Ayhoe. Proszę przebaczyć mi słabość i wynikły z niej brak panowania nad językiem.

Wicekrólowa wciąż obracała pióro w palcach.

- Posłuchaj mnie uważnie, Renato - powiedziała po chwili, pierwszy raz zwracając się do pani Sa Tuel po imieniu... i może w ogóle po raz pierwszy od lat zwracając się do kogoś po imieniu. - Nie masz do mnie żadnej sprawy? No to nie. W takim razie ja mam sprawę do ciebie. Minęło pięć tygodni i trochę, odkąd pojawiłaś się w Moenie. Za trzy tygodnie będzie wielki bal, na którym rozstrzygnie się wojna i rodzinna sprzeczka...

Nie przerywaj. Chcę wiedzieć: kim ty jesteś? Ta wojna trwa od blisko pięciu lat, a tyją właśnie kończysz w pięć tygodni. I naprawdę ją kończysz, wiesz o tym? Przyjechałaś znikąd, urządziłaś mi stolicę po swojemu, przewróciłaś do góry nogami porządek... choć lepiej powiedzieć bałagan, który wydawał się niewzruszony. Nikt tu nawet nie śmiał wyobrazić sobie, że można cokolwiek zmienić. A ty zmieniłaś wszystko. W pięć tygodni. Teraz słuchaj bardzo uważnie: nie chcę dzisiaj o tym rozmawiać. Daję ci czas, kilka dni. Jeśli musisz się z kimś porozumieć, uczyn to. Jeśli musisz spokojnie pomyśleć, to pomyśl. Ja ci dzisiaj mówię tylko tyle: jeżeli przyjechałaś tu załatwić swoje sprawy i znalazłaś przyjaciółkę w zmęczonej kobiecie, która mogłaby być twoją matką, to dobrze. To dziwne, ale znalazłaś. Lecz jeżeli przyjechałaś jako przyjaciółka... dostrzegasz tę różnicę, nieprawdaż? No więc jeśli przyjechałaś jako przyjaciółka, żeby tu załatwić swoje sprawy, to każę cię stracić, Sa Tuel. Masz teraz kilka dni, żeby wrócić tutaj i wszystko mi wytłumaczyć bądź wyjechać. Wyjazd przyjmę za całe wyjaśnienie, nikt nie będzie cię zatrzymywał. Dobrze się zastanów, baronowo. A dzisiaj to już wszystko, dziękuję. Możesz pani odejść, życzę dobrej nocy.

Sa Tuel dostała dreszczy i gorączki jeszcze w drodze do domu i z karety wysiadła ledwie żywa. Doktor ją walczył z migreną, febrą i uderzeniami potów. Melania z książką na kolanach, to czytając, to znowu drzemiąc na swym krześle, czuwała przy łóżku do rana.

XVII

Sa Tuel rozchorowała się naprawdę. Omdlenia - może poza ostatnim - melancholie, migreny, wapory, wszystkie te bzdury leczone kompresami wynikały z jej kapryśnej natury i mijały w cudowny sposób, gdy tylko musiała coś zrobić. Ale teraz baronowa zwyczajnie się przeziębila, lekkomyślnie galopując po polach, bez uwagi na osłabienie. Miała gorączkę, odczuwała brak apetytu, trzęsła się pod przykryciem, a zarazem biły na nią poty. Przyplątał się kaszel. Nieumalowana i nieuczesana, z przylepionymi do czoła kosmykami włosów i suchymi wargami, z niezdrowymi wypiekami na policzkach i szklistymi oczami wyglądała jak siedem nieszczęść - albo raczej tylko jedno nieszczęście, lecz liczące lat blisko czterdzieści. Spojrzawszy na chwilę w lusterko, Sa Tuel krzyknęła ochryple i przeraźliwie niczym Bazyliśzek w chwili zgonu i zakryła przerażone oczy ręką, a stan jej się bardzo pogorszył. Nikogo nie przyjmowała, Melania przekazywała jej tylko wyrazy uszanowania i życzenia zdrowia

od zmartwionych niedobrymi nowi nami gości, którzy przyjeżdżali i zaraz odjeżdżali.

Tak minął poniedziałek; podobnie wyglądał wtorek. Wieść o chorobie pani Sa Tuel już się rozeszła, nie przybywali więc goście - w zamian pojawiali się służący posyłani dla zasięgnięcia informacji o zdrowiu baronowej. W nocy z wtorku na środe gorączka całkiem opadła i nastąpiło przesilenie. Już wieczorem baronowa czuła się trochę lepiej, choć raz jeszcze - jak to zwykle wieczorem - słaba gorączka wróciła. Nad ranem jednak pani oddychała równo, a czoło miała suche, ku radości wymęczonej do granic Melanii, która nie odchodziła od wezgłowania chorej. A była to chora marudna, obrażona, wymagająca i do cna wyzuta z najmniejszego bodaj poczucia wdzięczności; wprost przeciwnie, dawała wszystkim poznać, że ją prześladowają, dręczą, ziębia, podtruwiają i oby za to smażyli się w piekle. Polecenia „Zostaw mnie” lub „Odejdź” Melania przywykła już traktować jako dobre słowo. Jej radość w środe nad ranem była więc radością w dużej mierze egoistyczną.

Sa Tuel obudziła się o dziewiątej, poczuła, że nie ma gorączki, i z miejsca chciała wstawać, ale wyszło na jaw, że jest jeszcze za słaba (już mniejsza, czy było to mądre). Zjadła jednak z apetytem śniadanie i wykpiła Melanię, która już od piątku nie kręciła papilotów, w związku z czym wyglądała - zdaniem baronowej - jak nieboskie stworzenie. Były to jednak kpinki dobrotliwe i nie zasługiwały na straszliwą karę, podła dworka zaś małodusznie wzięła na pani odwet, bo bez słowa podsunęła jej lusterko, które od poniedziałku było nieużywane. Sa Tuel zbladła. Nie miała już wypieków, oczy zaś nie błyszczały gorączką,

lecz to była cała różnica. Szkliste czy też nie, były to oczy mocno podsinione. Przepocone włosy pozlepiały się w strączki, a zawarta w nich szara substancja przywodziła na myśl resztki niewyczesanego pudru. W naturalnych załamaniach skóry, szczególnie na szyi, widniały obrączki najszerszego brudu naniesionego przez pot - Melania wprawdzie we wtorek chciała umyć panią gąbką zmoczoną w ciepłej wodzie, lecz Sa Tuel narobiła wrzasku, oskarżyła ją o zamach na życie, a co gorsza, pozyskała wsparcie od lekarza, który najsurowiej zabronił wszelkiego kontaktu z wodą, jako cieczą płochą i osłabiającą ciało, a przez rozszerzone pory skórne mogącą wnikać do płuc. Na skutek takiego podejścia do choroby baronowa - trzeba rzecz - cuchnęła i niewiele pomagały perfumy, którymi Melania skrapiała jej poduszki.

Była już jednak środa. Przez poniedziałek i wtorek Sa Tuel nie miała siły na bunt przeciw czemukolwiek, za to stale nękały ją okropne myśli. Uwięziona w Moenie, pozbawiona wpływu na bieg zdarzeń w Ammene, została naraz uwięziona podwójnie, bo na dodatek w łóżku. Jak nie zemdlona, to przeziębiona; bardzo pięknie. Żadnych wieści nie było - wrócił tylko młody masztalerz, ku ogromnej uldze Katarzyny. Nie przywiózł jednak żadnych nowin poza jedną: wracając, napotkał Hosta rażno kłusującego na pocztowym koniu, z własnym wierzchowcem prowadzonym z tyłu. Sługa pana Del Wares zrobił dobry użytek z pieniędzy baronowej: nie dość, że brał konie pocztowe, to jeszcze - jak mówił Biquet - siedząc w kulbace, spożywał upieczoną kurę, w drugiej zaś ręce miał butelkę wina. Kupił też sobie ładny

pałasz. Wyglądało na to, że nie umrze w drodze z wysiłku ani głodu, a nawet opędzi się od rzezimieszka.

Nie takich jednak wieści wyglądała Sa Tuel. Była rada, że chłopak wrócił zdrów i cały, ale to nie troska o Biqueta spędzała jej sen z powiek.

Dwa dni gorączki były zarazem piekłem bezczynności. Baronowa nie umiała czekać, nie umiała nic nie robić, a najbardziej nie umiała nie myśleć. Budziła się i zasypiała, snując plany, układając rozmowy, przy czym plany były fantastyczne, rozmowy zaś niedorzeczne - mniej lub bardziej, bo zależnie od tego, czy gorączka rosła czy spadała. Było jasne, że w środę, czując się znacznie lepiej, trochę tylko pokastując, pani Sa Tuel wstanie, bo żadna siła nie utrzyma jej w łóżku. Wprawdzie odważny doktor porwał się z motyką na słońce, ale zaraz zgodził się na wszystko, ujrzał bowiem, że postawi na swoim tylko wówczas, gdy leżącą w pościeli baronową zaleje nagła krew. Oszczędzając się, lecz chodząc po domu, powinna jednak w końcu dojść do zdrowia. Nie wstając z pośłania, mogła tylko rozchorować się z powrotem. I tym razem nie z winy przeziębienia.

Późnym popołudniem Sa Tuel stanęła wreszcie na nogach i postanowiła chodzić przez kilka godzin.

Doktor nie był mężczyzną, ani chyba w ogóle człowiekiem; był doktorem, jawił się więc pani baronowej jako duży chodzący irygator albo coś w podobnym guście, a tym samym miał rzadką sposobność bycia świadkiem szczegółowych ablucji, którym została poddana najbardziej nadobna pacjentka ze wszystkich, jakie miał dotąd. W pokoju o oknach zamkniętych, przy ogniu

huczącym w kominku, łaźnie i bieliźniana wspierane przez Melanię doprowadziły panią do porządku. Pełna toaleta potrwała cztery godziny, ale sprawiła cuda i medyk najstaranniej odnotował w myślach, że obok kordiałów i driakwi, obok kompresów i proszków, obok siarczystych lewatyw i puszczenia krwi istnieją jeszcze inne, słabo znane sposoby ratowania zdrowia. Ujrzawszy w lustrze, że jest, owszem, trochę blada i mizerna, lecz poza tym taka jak dawniej, pani Sa Tuel odetchnęła, odżyła i natychmiast poczyniła wielki postęp na drodze ku całkowitemu wyzdrowieniu. Z każdym krokiem zrobionym w domu wracała jej odrobina pewności siebie - ale była to w końcu młoda i ogólnie zdrowa kobieta, wcale silna (o czym mogły świadczyć chociażby rozbijane od czasu do czasu nosy służby), i najbardziej ze wszystkiego osłabiało ją gnuśne leżenie w łóżku.

Z uwagi na stan zdrowia pani domu ochmistrz przyszedł pytać, czy podczas wieczery winny zostać zachowane zwykłe obyczaje kulinarne, czy też raczej wskazana jest specjalna dieta. Ratujący resztki swoich wpływów medyk próbował przekonać baronową do gotowanych jarzyn, lecz Sa Tuel nie chciała o tym słyszeć, zgodziła się jednak posilać ostrożnie i wstrzemięźliwie - stół miał więc wyglądać skromnie. Skutkiem tego zarządzenia podano tylko pasztety, potrawkę z królika, przepiórki faszerowane własnymi jajeczkami i sery, wszystko to w towarzystwie zwykłych przystawek, a zakrapiane białym i czerwonym winem arelskim - delikatnym, słynnym Areyo z Hoso Costl, które to winnice już wówczas uchodziły za jedne z najprzedniejszych w świecie.

Miano właśnie siadać do stołu. Baronowa schodziła do jadalni, gdy u stóp schodów pojawił się służący z pakunkiem o rozmiarach trzech książek złożonych jedna na drugiej. Przedmiot ów obsyty był delikatnym aksamitem i ozdobiony wstążką. Zapytany gestem sługa powiedział:

- Przyniesiono przesyłkę dla pani baronowej.

Sa Tuel przystanęła z ręką na poręczy, zatrzymali się także towarzyszący jej domownicy. Przez krótką chwilę nikt nic nie mówił, lecz stojąca blisko baronowej Melania była pewna, że słyszy uderzenia serca swojej pani.

- Kto przyniósł? - zapytała Sa Tuel.

- Goniec pocztowy. Dałem mu pół talara, za pozwoleniem pani.

- To dobrze. Poszedł?

- Tak, proszę pani.

Baronowa, która od kilku dni znosiła katusze niepewności i bezczynności, każdej minuty wyglądając wieści - jakiegokolwiek, dobrej lub złej, od przyjaciela bądź od wroga - nie potrafiła teraz sięgnąć po piękny pakuneczek.

- Co to jest?

- Jakieś... zawiniątko - odpowiedział niemądrze służący. - A w środku jakby skrzyneczka.

Nie został skarcony, wykpiony ani jakkolwiek napomniany.

- Zanieś to do mnie. Nie. Do biblioteki.

Sługa posłusznie ruszył w górę po schodach, mały tłumek niedoszłych biesiadników musiał się przed nim rozstąpić. Lecz służący nie osiągnął jeszcze ostatniego stopnia, gdy Sa Tuel ruszyła za nim, nawet słowem nie mówiąc, czy wolno siadać do

stołu bez niej, czekać czy nie czekać.

Pokój szumnie nazywany biblioteką był wzrusza jącym, przytulnym zakamarkiem, gdzie w dwóch szafach pyszniło się może trzydzieści tytułów, wprawdzie starannie dobranych i najgustowniej oprawionych, nie mniej jednak tworzących najwyższą namiastkę prawdziwej biblioteki - w swoim domu w Tuel baronowa miała księgozbiór piętnaście bądź dwadzieścia razy większy. Ten tutaj, jeśli nie liczyć kilku książek, które przywiozła ze sobą, pozostał po poprzednich właścicielach pałacyku, podobnie jak większość sprzętów, dywanów i obić. Wykonując swoją misję w Moenie, służka Egaheer nie miała czasu na urządzenie domu, a w zamian miała pieniądze, wyszukała więc sobie rezydencję, która oferowała coś więcej niż same gołe ściany. Służący położył pakunek na stole, przy którym stały dwa wygodne fotele, ukłonił się i wyszedł odprawiony niecierpliwym gestem. Sa Tuel postąpiła dwa kroki i oparła na blacie same koniuszki palców, potem dotknęła ciepłego aksamitu, oderwała wstążkę i szarpnęła materiał na krawędzi zawiniątka, gdzie widoczny był drobny szew. Nić puściła, odwinięty aksamit odsłonił przeświecnie wykonaną bursztynową skrzyneczkę; pojedyncze brązowo-czerwone rozety zdobiły oba krótsze boki, takie same rozety, lecz złożone w pary, były na wieczku i bokach dłuższych. Za tło posłużyła kość słoniowa i bardzo jasny żółtobiały bursztyn. Lekko wybrzuszone wieczko nie miało żadnego zamka, wystarczyło je uchylić.

Widząc prezent od dalekiego mężczyzny, któremu przez ostatnie kilka dni poświęciła niemal każdy skrawek myśli,

półprzutomna z radości Sa Tuel na krótką chwilę przymknęła oczy.

- Boże - powiedziała cicho - gdziekolwiek jesteś, jakkolwiek jesteś... dziękuję.

Otworzyła wieczko szkatułki i sięgnęła po leżący na wierzchu list.

Melania, która została na schodach razem ze wszystkimi, uznała, że należy na panią poczekać. Baronowa wprawdzie nieprzesadnie przestrzegała pór posiłków i - przynajmniej we własnym domu - nie była nadmiernie skrupulatna, gdy chodziło o formy. Wcale nierzadko pozwalała, by siadano do stołu bez niej. Jednakże wieczerze tradycyjnie spożywała w nieco większym gronie, a teraz życie w domu dopiero wracało do normy i obyczajom należało uszanować, tym bardziej że Sa Tuel nie wyjawiała, że jej wolą jest postąpić inaczej. Zarówno więc majordomus, który był dobrym i godnym szlachcicem, jak i sokolnik (też szlachcic, choć z zapomnianej przez ludzi i Boga rodziny), a na koniec doktor - który zresztą był gościem i nie miał nic do gadania - chętnie zgodzili się z panną Sa Veres, że należy usiąść w pokoju na dole i poświęcić trochę czasu rozmowie. Melania jednak, która jako jedyna wiedziała, na jaką wiadomość i od kogo czeka baronowa, nie umiała wysiedzieć na miejscu i po kilku minutach wybrała się na górę, by zapytać panią, co należy robić - a naprawdę dlatego, że umierała zarówno z ciekawości, jak i niepokoju.

Doszła tylko do połowy schodów, kiedy na ich szczycie pojawiła się baronowa. Melania otworzyła usta, pragnąc coś powiedzieć, ale w zamian krzyknęła z przerażenia. Sa Tuel, obejmująca ramieniem dużą bursztynową

szkatułkę, zatoczyła się jak pijana, uderzyła bokiem o ścianę, odbiła od niej i wpadła na poręcz schodów, którą kurczowo pochwyciła ręką, upuszczając niesiony list - pojedynczą kartkę, na której widniało kilkadziesiąt słów. Błada jak trup schodziła w dół, utrzymując kierunek bodaj tylko dlatego, że nie puszczała poręczy. Melania gotowa była zemdleć ze strachu, bo Sa Tuel patrzyła na nią obłąkanym wzrokiem, mając w oczach wyrok śmierci - biedna dziewczyna przez parę długich chwil dokonywała szczegółowych rachunków su mienia, nim zdała sobie sprawę, że pani, choć patrzy na nią, to widzi kogoś innego, a w każdym razie o kimś innym myśli. W zestawieniu z tym spojrzeniem głos Sa Tuel, choć trochę niewyraźny i ochrypły, wydawał się nienormalnie wręcz spokojny.

- W sekreterze... jest list - powiedziała baronowa, wciąż powoli schodząc po schodach. - Przynieś go. Podnieś ten ze schodów... upuściłam... Też go weź. I karetę przed dom. Natychmiast.

Uczyniwszy nadludzki wysiłek, Melania ustąpiła baronowej z drogi, przywierając na chwilę do ściany i z najbliższej odległości widząc białą jak kreda twarz pani, która poszła dalej, aż zesła z najniższych stopni, nie mając już pod dłoń poręczy, jeszcze raz się zatoczyła, po czym - wciąż kurczowo ściskając szkatułkę - poszła prostu ku wyjściu, najwyraźniej zamierzając czekać na karetę przed domem.

Majordomus słyszał polecenie i natychmiast przywołał służbę, przestraszony wyglądem baronowej nieomal tak samo, jak Melania. Sokolnik, który poczciwym był człowiekiem, lecz rozumu za wiele nie miał, popatrywał na doktora, jakby pytał,

czy to znaczy, że nie będzie wieczerzy, doktor zaś odpowiadał spojrzaniem wielce podobnym. Sa Tuel zniknęła za drzwiami. Melania podniosła leżącą na schodach kartkę i pobiegła po list, który kazano jej przynieść.

Był to list od pana Del Wares, innych listów baronowa nie przechowywała. W sekreterze miała trochę obligacji, akty własności domu i podobne dokumenty.

Melania znalazła list. Musiała przez chwilę szukać, bo schowany był pod wyściółką jednej z szuflad, a nie pamiętała której. Dopiero gdy wzięła pismo do ręki, przypomniała sobie o tym, które wcześniej podniosła. Na pojedynczej, ozdobnie przyciętej i wytwornie a kunsztownie poskładanej kartce napisano:

Kochana Baronowo!

Ubolewam, że nie dotarło do Pani moje zaproszenie; ponawiam je i wierzę, że nie zechce Pani zranić mnie odmową. Znając Pani upodobanie do bursztynowych szkatulek, pozwalam sobie posłać ten drobiazg; zechciej go przyjąć jako rękojmię szczerości moich intencji. Oczekuję Pani w piątek wieczór i pogniewam się, jeśli znajdą potwierdzenie okropne plotki, a mianowicie takie, że nosi się Pani z zamiarem opuszczenia Valaquet, i to w ciągu trzech dni. To chyba niemożliwe, byś musiała wybierać między moim zaproszeniem a wyjazdem? W każdym razie, jeśli nie uczyni Pani jednego ani drugiego, będę przypominać się stale i nalegać coraz usilniej.

List nie był podpisany, ale Melania domyśliła się, od kogo jest.

Wiedziała to także Sa Tuel, która ponadto odebrała najbardziej upokarzającą lekcję, bo ten list był dla niej policzkiem. I okrutnym szyderstwem. Taki list przechwycić mógł każdy, taki list można było zgubić na gościńcu. Jego treść nie zdradzała nawet tego, czy pisała go kobieta czy mężczyzna.

Złożywszy wszystkie kartki razem, Melania wsunęła je kobiecym obyczajem za gors sukni i pobiegła do schodów, a następnie na dół i przed dom. Baronowa siedziała na schodach przed wejściem, obejmując ramionami przyciśniętą do piersi szkatułkę. Zapatrzona przed siebie kołysała się leciutko w przód i w tył. Usłyszała kroki Melanii, obejrzała się i wyciągnęła rękę.

- Listy - powiedziała.

- Nie dam, bo mnie pani ze sobą nie zabierze - powiedziała heroicznie Melania.

- Na razie nigdzie nie jadę. Tylko do pałacu.

- Ale... jakiego pałacu?

- Pałacu wicekrólowej - wytłumaczyła Sa Tuel, której spokój w zestawieniu z wciąż tak samo trupio bladą twarzą wydawał się aż upiorny.

- Do wicekrólowej?

- Chcesz tam ze mną jechać, to jedź - powiedziała obojętnie baronowa. - Ale daj mi te listy, bo mam do pomówienia z Dostojną w cztery oczy i listy mi będą potrzebne.

- Pani chce je pokazać?

- Co chcę zrobić, to zrobię. A teraz nie chcę rozmawiać. Proszę cię o listy, Melanio, i nie powtórzę tego po raz czwarty.

- Przeczytałam ten list, co był na schodach.

- Więc wiesz wszystko - bezbarwnie skonstatowała Sa Tuel, chowając kartki tak samo, jak wcześniej schowała je Mel.

Wieczór nie był szczególnie chłodny, niemniej baronowa, ubrana w lekką domową suknię, dopiero co wstała z łóżka. Zakasłała.

Melania usiadła obok.

Nic nie mówiły, aż przyjechała karetka. Potem także milczały (doprawdy, mała karetka baronowej nie miała szczęścia do rozmów). Melania, która w ciągu kilku ostatnich dni zdążyła utwierdzić się w przekonaniu, że wszystko się jakoś ułoży, teraz z łękiem odkrywała na nowo okropną prawdę: pan Del Wares został schwytany, uwięziony i nie można mu było pomóc inaczej, jak tylko spełniając rozkaz strasznej kobiety, której obawiała się baronowa. Dzielna dziewczyna, gotowa towarzyszyć swojej pani na kraj świata, drżała jednak z niepokoju na myśl, że pojedzie dokądś i jak zwykle do niczego się nie przyda, zostanie w jakimś przedpokoju, może w karecie, a potem zjawią się obcy ludzie, zapytają: „Jesteś służącą baronowej Sa Tuel, nieprawdaż?” i zabiorą ją gdzieś, nie wiadomo gdzie ani po co... Nie dowie się niczego o losie chlebobawczyni, nie będzie jej mogła towarzyszyć ani pomóc, choćby i ta pomoc miała polegać tylko na pytaniu o głupstwa, na przypominaniu, że baronowa nie jest sama.

A jednak była sama stale. Zasmucona Melania już nie po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że dla kogoś takiego jak pani Sa Tuel służąca nie jest żadnym towarzystwem. Było to towarzystwo psa albo konia, trochę tylko dodające otuchy towarzystwo żywego stworzenia, które można poczochnąć po grzbiecie bądź

poklepać po szyi, lecz nie towarzystwo sojuszniczki. Melania do niczego nie mogła się przydać w rozmowie - na pewno bardzo ważnej - jaką baronowa miała zaraz odbyć z groźną wicekrólową (Dostojna Weronika Teresa, choć wciąż nosząca w postawie i twarzy ślady majestatycznej urody, wydawała się Melanii przede wszystkim groźna). Ani w tej rozmowie, ani żadnej innej. Był to świat raz na zawsze zamknięty przed prostą dziewczyną, która na użytek obcych i nieważnych ludzi mogła udawać pannę Sa Veres, albo nawet samą baronową, ale nią nie była. Ani nią, ani w ogóle nikim. I gdy w grę wchodziły najważniejsze sprawy, baronowa zawsze była sama.

Powóz stanął u celu krótkiej podróży. Sa Tuel, jakby wyrwano ją ze snu, rozejrzała się po wnętrzu karety i pov- Zostań tutaj. Kareta ma czekać przed wejściem.

- Tak, proszę pani.

Baronowa wysiadła niezręcznie, bo mimo pomocy stangreta ciężko jej było opuścić ciasny pojazd z trzymaną przy piersi szkatułką. Z domu wybiegła już służba. Melania usłyszała jeszcze, jak jej pani mówi:

- Proszę mnie zaraz zapowiedzieć.

Przekazawszy stangretowi polecenie dotyczące miejsca postoju karety, Melania wtuliła się w kąt, gotowa tak siedzieć choćby do końca świata. Jeśli nigdzie nie mogła iść z panią, to przynajmniej wszędzie mogła na nią czekać.

Baronowa tymczasem przemierzała kolejne pokoje, nikogo nie zauważając, nie odpowiadając na niczyje ukłony, jednakowo obojętnie traktując gości i domowników. Była tu prawie jak

u siebie: wszyscy dworzanie ją znali, cała służba wiedziała kto zacz, nie musiała się nikomu opowiadać, nikt jej nie zatrzymywał. Bez pytania pospieszono z informacją, że wiecekrólowa jest u siebie, w swojej sali z ciężkimi meblami - nazywanej Mniejszą Salą Bractwa, bo była jeszcze druga sala, Wielka - co baronowa bez słowa przyjęła do wiadomości i stanęła we wskazanej komnacie równo z zapowiedzią o swoim prz Weronika Teresa zgodziła się przyjąć ją bez zwłoki.

Idąc po czarnych i zielonych rombówkach posadzki, Sa Tuel miała wrażenie, że czas zatrzymał się w miejscu. Czy na pewno wychodziła z tej komnaty? Czy rzeczywiście była środa? A może wciąż jeszcze niedziela? Dostojna siedziała tak samo, w bardzo podobnej sukni - bo, nie dbając o modę, wszystkie suknie miała podobne - z takimi samymi bądź tymi samymi papierami na olbrzymim stole. Idąc, baronowa zaniósł się krótkim, lecz bolesnym kaszlem i musiała na chwilę przystanąć z dłonią uniesioną do ust. Nie była już trupio biała, w zamian wracała jej gorączka. Nie skłoniwszy się nawet, doszła do samego stołu i postawiła na blacie szkatułkę, przykrywając ją obiema dłońmi. Dopiero wówczas uniosła wzrok.

Dostojna spoglądała pytająco.

- Jak ty wyglądasz? - zapytała. - Mówiono mi, że zachorowałaś, ale sądziłam, że to raczej wybieg. Że nie chcesz przyjmować gości.

- Jestem zdrowa - powiedziała Sa Tuel, powstrzymując się od kaszlu. Miała ceglaste wypieki, których nie tuszowała rozprowadzona na policzkach warstwa rózu.

Sięgnęła do gorsu.

- Przyjechałam do Valaquet w swoich sprawach - powiedziała, wyciągając listy, ale jeszcze ich nie dają rozmówczyni. - Nic mnie nie obchodzi pani wojna, albo może powinnam powiedzieć, że nic mnie nie obchodziła. Najpierw byłam gotowa dopiąć swego, choćbym musiała przejść po pani trupie. Okazało się, że nie muszę tego robić, a potem zaczęło mi zależeć także na pani sprawach... Albo nie na sprawach. Na tobie - z Ayhoe Weroniko Tereso Del Valaquet hrabino Se Ali-de Sar. Jeśli w ogóle istnieje jakieś dobro i zło, to złem jest na pewno marność, która z wyboru staje się udziałem osoby takiego formatu. Pomyślałam, że mogę osiągnąć to, po co tutaj jestem, nie krzywdząc cię w żaden sposób, a kto wie, może nawet wspierając. Ale dzisiaj nie zależy mi na niczym oprócz czyjejs śmierci, przeczytaj więc oba te listy, a potem wyjaśnię

Wyciągnawszy rękę ponad szerokim blatem stołu, Sa Tuel podała pisma. Dostojna pochyliła się i odebrała je, nie spuszczaając wzroku z rozmówczyni.

- Liczę, że wiesz, co robisz? - zapytała po chwili, nie zaglądając do listów. - Jeszcze mogę ci je oddać. Jesteś pewna, że mam to przeczytać? Usłyszałam, co chciałam usłyszeć, i przyjmuję twoje wyjaśnienie. Mówiąc krótko, wierzę ci, Sa Tuel. Nie zależy mi na poznaniu żadnych twoich tajemnic.

- Przyszłam prosić. A zapłacić mogę tylko szczerością. Przeczytaj te listy, Weroniko. Ja już nie mam nic do stracenia, zupełnie nic... i nikogo.

Gwałtownym ruchem pchnęła ciężką bursztynową szkatułkę, która pomknęła po blacie, rozrzucając na boki dokumenty.

Oniemiała Dostojna otworzyła wieczko i natychmiast zamknęła je z powrotem. Przez sekundę milczała.

- Jezu... - rzekła, blednąc i bezwiednie przykładając dłoń do piersi, a zaraz potem do szyi. - Boże. Co to jest?...

- Trudno poznać? - zapytała Sa Tuel, od której podbródka oderwała się wielka łza, by rozmazać atrament na leżącej niżej, zapisanej karcie - jakimś edykcje, rachunku bądź rozporządzeniu. - Ja poznałam... To prawa ręka kogoś, kto już nigdy nie skrzyżuje z nikim szpady, nie pojedzie na polowanie ani nie umaluje brwi żadnej kobiecie... Wszystko jedno, jeśli nie rozumiesz... Krótszy z tych listów mówi o tym, że w ciągu dwóch dni dostanę drugą rękę, potem pewnie oczy... A cokolwiek zrobię, wiem na pewno, że i tak go nie uratuję. Teraz przeczytaj te listy, Dostojna.

- Przeczytam... Ale ty usiądź.

- Nie, pani. Przyszłam prosić; będę stała, aż wyjawię swą prośbę i usłyszę odpowiedź.

- Brzmi to dumnie, ale nierozsądnie. Mam stare oczy, czytam wolno, a ty jesteś chora. Kaszlesz. Zastłabniesz i o nic nie poprosisz. Polecam ci usiąść i nie sprzeciwiaj się.

Sa Tuel, w samej rzeczy znów skulona od kaszlu, cofnęła się do krzesła i usiadła. Krtusiła się jeszcze przez chwilę.

Dostojna, już zupełnie opanowana, odsunęła na bok szkatułkę, tak jakby zawierała co najwyżej piasek do posypywania świeżych pism. Trzymając list Del Waresa w daleko odsuniętej od oczu ręce, zagłębiła się w treści.

Sa Tuel, z przymkniętymi powiekami, siedząca na wielkim krześle z poręczami, odchyliwszy głowę na oparcie, nie obserwowała wicekrólowej, nie widziała więc uczuć malujących się na jej twarzy. Stara władczyni Valaquet czytała o sobie, o swych córkach, zmarłym synu, podupadłych dworach... O wszystkim, co świeże spojrzenie przybysza odkrywało w świetnej i bogatej prowincji Valaquet.

- Księżna Se Potres rzeczywiście jest w Pahr - powiedziała spokojnie. - Nigdzie nie trzeba jej szukać.

Po czym wróciła do lektury.

- Egaheer - rzekła znowu. - To imię pada tutaj po raz trzeci... Cały ten kraj stoi na grobach różnych magii, czy to jedna z nich? Pytam, bo znam pewien stary mit, ale nie pamiętam szczegółów.

- To nie mit - obojętnie powiedziała Sa Tuel. - A jeżeli nim jest, to znaczy, że służę mitowi.

- Lecz obawiam się, moja droga, że niewiele z tego listu zrozumieję, jeśli nie powiesz mi czegoś więcej.

Sa Tuel opowiedziała najwięcej jak umiała.

- Jesteś więc aniołem pokoju? - bez szyderstwa w głosie stwierdziła Dostojna. - Masz za każdą cenę i na każdych warunkach doprowadzić do zakończenia wojny w Valaquet?

- Mniej więcej. Gdyby pani Anna Jasena...

(Dostojna nie ustrzegła się lekkiego drgnięcia brwi na dźwięk imienia niewidzianej od roku córki - żywej i martwej zarazem).

- ...chciała zniszczyć stronnictwo twoje bądź stronnictwo pani Se Potres, to już dawno by to zrobiła. Być może nie potrafi zwrócić się przeciwko rodzinie. Lecz zachodzi obawa,

że zniszczy intruzów z zewnątrz. Gdy w Valaquet zapanuje pokój, królewskie pułki nie wejdą. Nie będzie śnieżnej wojny i to, czego boi się Egaheer, nie zostanie zbudzone.

- Czy to wszystko?

- Tak - skłamała Sa Tuel, bo nie mogła przecież powiedzieć: „Nie, Dostojna. Trzeba będzie jeszcze zedrzeć z szyi twojej córki życiodajny dla niej klejnot, bo dopóki ten klejnot istnieje, Egaheer nie będzie bezpieczna”.

Dostojna podjęła lekturę. Skończyła, zerknęła jeszcze na drugi list, zapytała: „Od Atheves?” i zyskawszy milczące potwierdzenie, zagłębiła się w myślach.

- Jak go zdemaskowała i ujęła? Wiesz?

- Tak. Przeze mnie.

- Przez ciebie?

Sa Tuel opowiedziała, czyniąc krótkie przerwy dla odparcia ataków kaszlu.

- Kim jest ten człowiek?

Sa Tuel słabo pokręciła głową.

- Nikim. Kimś takim jak ja: najemnikiem Egaheer.

- Przecież nie o to pytam.

- Sojusznik. Trochę przyjaciel - powiedziała Sa Tuel i się rozpląkała.

Weronika Teresa w milczeniu patrzyła na szare ślady, które na policzkach rozmówczyni zostawiały kosztowne, tak pożądane i modne, najnowsze farbki do rzęs.

- Sojusznik i trochę przyjaciel - powtórzyła. - Miałaś o coś prosić... Nie wstawaj. Czego chcesz?

- Pomocy.

- Ale jak ja ci mogę pomóc?

- Nie wiem.

- Nie wiesz?

- Nie.

Dostojna milczała wymownie.

- Wyjechałam do Ammene w piątek, ale zawróciłam - powiedziała Sa Tuel, a przy poruszeniu głowy łzy znalazły sobie na jej twarzy nowe dróżki. - Dzisiaj pojedę znowu, ale znam Atheves. I ty też ją znasz.

- Już nie wrócisz - powiedziała Dostojna.

- I on także nie.

- Ale jedziesz.

- Oczywiście. Jadę.

- Niczego nie osiągniesz. Niczego nie naprawisz ani nie odkupisz. Nawet się nie zemścisz.

- Wiem. Dlatego przyszedłam.

- Nie wiedząc, jak mam ci pomóc?

- Egaheer zniknęła. Nie mam nikogo, kto mógłby mi pomóc.

- I przyszedł do mnie?

Sa Tuel skinęła głową i rozmazała na policzku szarą łzę.

Wicekrólowa patrzyła i patrzyła. Potem wstała z krzesła i otworzyła jedną ze stojących blisko stołu szaf. Wyjęła dwa pakiety, jeden duży, drugi sporo mniejszy, upewniła się co do ich zawartości, po czym wzięła czystą kartę i zmoczywszy pióro, zaczęła coś pisać. Posypała papier piaskiem, strząsnęła, sięgnęła po wosk do pieczęci. Na jednym z pakietów wypisała adres. Nie zabezpieczyła kopert pieczęciami.

- Oczekuję pani powrotu za pięć lub sześć dni, a zatem najpóźniej we wtorek - powiedziała bardzo oficjalnie. - Proszę. Czas nagli, więc nie zatrzymuję. Liczę, baronowo, że nie

zawiedzie pani mojego zaufania i wykaże się pożądaną zręcznością. Wojskową asystę zaraz każę przysłać do pani domu, dostanie pani także odpowiednią karetę.

Sa Tuel wstała z krzesła i powoli podeszła do stołu. Dostojna przesunęła pakiety i kartkę ku środkowi blatu. Spokojnie patrzyła, jak tamta zapoznaje się z treścią pism.

- Boże... Co to jest?... - wykrztusiła Sa Tuel.

- Słucham?

- Ale... co ja mam z tym zrobić?

Weronika Teresa raz jeszcze wstała ze swego krzesła, okrążyła stół i stanąwszy przy niższej od niej baronowej, ujęła ją pod brodę, po czym pośliniła rąbek chusteczki i bezceremonialnie, ale za to bardzo delikatnie, zaczęła usuwać z policzków brudne ślady łez.

- Co masz zrobić? Nie wiem. Zrób, co chcesz. Teraz jedź. Wszystko, co ci dałam, i tak miało ujrzeć światło dzienne. Dzisiaj... albo na balu... a może za cztery miesiące?... Na przykład za cztery miesiące. Słyszysz, co mówię, Sa Tuel? Co za różnica, dzisiaj czy za cztery miesiące?

Nieoczekiwanie młoda baronowa rzuciła jej się do kolan. Weronika wzruszyła ramionami i pogładziła jej włosy.

- Idź już, dziecko - powiedziała. - Naprawdę niewiele masz czasu.

Sa Tuel pocałowała ją w rękę, zerwała się i pobiegła ku drzwiom. Po raz drugi tego dnia, podtrzymując spódnicę sukni, spieszenie przemierzała pałacowe korytarze i sale, nikomu się nie odkłaniając, lekceważąc starania służby, która nie była w stanie

zapewnić jej należytej asysty. Znalazła się przed pałacem i nieomal wskoczyła do karety, zdążywszy tylko krzyknąć stangretowi:

- Do domu!

Melania nie śmiała o nic pytać. Rozgrzana biegiem po pałacu Sa Tuel długo nie mogła uspokoić kaszlu.

- O Boże... - powiedziała na koniec z wysiłkiem. - Pojedziesz ze mną do Ammene...

Znowu zanosła się kaszlem. Zaczynał ją boleć brzuch, a nawet boki.

- Z poselstwem... - wykrztusiła, biorąc oddech. - Stara kobieta, której jutro zamorduję córkę... dała mi wszystko, co ma.

Stara kobieta, której córkę Sa Tuel zamierzała zamordować, miała jednak jeszcze kilka spraw do załatwienia. Listy i relacje pięknej baronowej nie dotyczyły przecież samych tylko poczynań Egaheer. Gdy pani Sa Tuel wyszła, czy też raczej wybiegła z komnaty, Dostojna uderzyła w stojący na stole gong. Natychmiast pojawił się służący.

- Proszę zabrać stąd tę szkatułkę.

- Tak, Dostojna.

- Jego Ekscelencja arcybiskup Vaquens Sar. Sprowadzić natychmiast.

- Tak, Dostojna.

Sługa nawet nie mrugnął. Było całkiem jasne, że skoro pora jest dość wczesna dla wicekrólowej, to tym bardziej odpowied-

nia dla księdza. Pierwsza Dama Bractwa Rycerskiego nawet w czasach, gdy pozornie niczym się nie zajmowała, potrafiła wydać polecenie, które musiało być spełnione natychmiast.

Jednakże Pałac Arcybiskupi leżał w dość znacznej odległości. Oznaczało to, że minie jeszcze godzina, zanim wezwany dostojnik stawi się u wicekrólowej - nawet jeśli wybiegnie do karety bądź lektyki w szlafmocy i podkasanej

Minęły aż dwie godziny. Dostojna Weronika Teresa przekładała dokumenty, czyniła jakieś uwagi i poprawki. Kilkakrotnie wzywała służbę, każąc odnieść coś do kancelarii z poleceniem przepisania bądź uzupełnienia. W zamian przyniesiono jej trochę nowych pism, lecz nie poświęciła im uwagi. Znowu poszukała czegoś w szafach, wyjęła jakieś pliki kart i pojedyncze dokumenty. Zerkając do nich, sporządziła projekt edyktu bądź rozporządzenia; dużo poprawiała i kreśliła.

W pewnym momencie odchyliła się swoim zwyczajem na oparcie krzesła i przytknęła dwa palce do ust. Na stole przed nią zbierały się i rozpadały armie, zyskiwały bądź traciły wpływy świeckie i kościelne stowarzyszenia, rozstrzygały się kariery, przepływały ogromne pieniądze.

- Och, ty niemądra dziewczyno... - powiedziała niegłośnie. - Śmiejesz się z moich papierów, a w nich jest przecież wszystko. Władza, cały świat...

Było dwadzieścia po dziesiątej, gdy zapowiedziano Jego Ekszelencję księdza arcybiskupa. Po obaleniu papieża i zniesieniu godności kardynalskiej, arcybiskupi przymierzali się do tytułu eminencji, nic z tego jednak nie wyszło, przynajmniej w

Kościele Apostolskim. W Zjednoczonych Królestwach Inkwizycja czuwała, by nie odrodziła się bluźniercza idea jedyne i nieomylnego Namiestnika Chrystusa. Synod Apostolski sprawował władzę tak samo dobrze, a łatwiej było

- Niech poczeka - powiedziała Dostojna, nie otwierając oczu, albowiem dawała im właśnie odpocząć, z głową odchyloną na miękkie oparcie krzesła. - Wprowadzić za dzi Polecenie wypełniono z największą dokładnością.

Arcybiskup Vaquens Sar był formalnie najwyższym dostojnikiem Kościoła w prowincji Valaquet. W dużej mierze zresztą jego władza była władzą faktyczną, bo Wanesa księżna Se Potres, choć przywłaszczyła sobie tytuł wicekrólewski, to nie ważyła się jednak na ustanowienie nowego arcybiskupstwa. Oznaczałoby to zadarcie z Kościołem, który wobec zmiennych losów wojny nie poparł dotąd nikogo - i choć nieopowiedzenie się po żadnej ze stron oznaczało akceptowanie stanu minionego, więc faktyczne poparcie Weroniki Teresy, której praw nie zanegowano, to jednak ustanowienie nowej stolicy arcybiskupiej nie pozwoliłoby Kościołowi dalej milczeć; księżna Se Potres była zbyt wytrawnym politykiem, by nie wiedzieć, jaka może być reakcja na podobne posunięcie z jej strony. Panowało więc wygodne, a przynajmniej znośne dla wszystkich milczenie. Księża w swych kazaniach bardzo wstrzemięźliwie wypowiadali się na tematy polityczne, wstrzymywano się z takimi zmianami na kościelnych stanowiskach, które musiałyby zaakceptować wicekrólowa, słowem - czekano.

Wezwany dostojnik nie przybył wprawdzie w szlafmocy, niemniej widać było wyraźnie, że wezwanie bardzo go zdumiało i zaniepokoiło. Minęło ładne parę lat od chwili, gdy Dostojna miała doń sprawę. Widywali się przy okazji najważniejszych świąt kościelnych - bo wszystkie inne święta ostatnimi czasy obchodzono w Valaquet tak skromnie (o ile w ogóle obchodzono), że udział w nich najwyższego kościelnego hierarchy byłby aż niestosowny.

- Dobry wieczór, księżę arcybiskupie, proszę usiąść - rzekła sucho wicekrólowa. - Pora jest późna, ale rozmowa, jak miemam, zajmie nam tylko chwilę.

Dostojnik odpowiedział na pozdrowienie i usiadł. Miał na sobie zwykłą, choć wykonaną z najlepszych tkanin sutannę przepasaną szarfą biskupią - wezwanie do pałacu odczytał jako urzędowe, zaniechał więc przebrania się w znakomitsze szaty kościelne bądź świeckie. Nie był człowiekiem wysokim i tkwiąc na tym samym krześle, które wcześniej zajmowała pani Sa Tuel, z trudem sięgał stopami ziemi (piękna baronowa miała przynajmniej swe obcasy). Dostojna patrzyła nań w milczeniu, wreszcie zrobiła słaby ruch dłonią. Był to jeden z jej wymownych gestów i oznaczał: „Nie rozumiem... No więc?... Przyszedłeś na mnie patrzeć czy co?”

- Słucham panią - ostrożnie i jak najuprzejmiej odważył się powiedzieć arcybiskup.

- Ależ to ja słucham, księżę. Nic mi nie ma ksiądz do powiedzenia?

- Obawiam się, Dostojna, że... nie rozumiem?...

Wicekrólowa siedziała bardzo wygodnie, odrobinę niedbale, z plecami na oparciu, a przedramionami na poręczach krzesła.

Zmrużyła lekko oczy i każdy, kto znał ją przed laty, mógł rozpoznać onieśmielający chłód pomieszany ze szczególnym szyderstwem, choć może zaledwie ironią; było to spojrzenie, które miała tylko ona jedna, gorsze niż wszystkie wymowne gesty razem wzięte - bo inaczej niż te gesty, nigdy nie było wiadomo, co znaczyło.

- Mieliśmy pewną umowę, a pan jej nie dotrzymał, panie Se Dampher - zwróciła się do rozmówcy po nazwisku. - Jest późno. Pan nie chce mówić, a więc ja powiem swoje, i to powiem krótko. Otóż w tym kraju, panie Se Dampher, cuchnie tak wiele rzeczy, że żadnego więcej smrodu mi nie trzeba. To są moje ziemie. Albo mojej córki, wszystko jedno, bo nie pan to będziesz oceniał. W każdym razie ziemie oddane po wsze czasy w lenno Świeckiemu Zakonowi Rycerskiemu. Pan myślisz, że ten zakon to już tylko historia? Więc Pierwsza Dama Zakonu mówi ci właśnie, Se Dampher, że za późno już, byś wziął kij i przegnał stąd parszywe kundły Ducha Świętego, Cielca Złotego czy innego bałwana albo bożka. Za późno, bo kij trzymam ja. Mieliśmy umowę, że możesz pan siedzieć tutaj jako Przeor Zgromadzenia Valaquet pod tym jednym warunkiem, że każde przedstawienie dane przez waszą komediancką trupę zechcesz najpierw uzgodnić ze mną. Nie ze swoim generałem, tylko ze mną. Nie uzgadniasz? Koniec umowy.

- Dostojna... ale co pani mówi? - wybełkotał przerażony hierarcha.

- Mówię, że mogę więcej niż ktokolwiek inny, bo straciłam już prawie wszystko, jestem władczynią byle czego i na niczym

mi nie zależy poza załatwieniem kilku osobistych spraw. A siły mam jeszcze dosyć, by pociągnąć za sobą w przepaść korowód cuchnących głupców. Wstań pan, kiedy mówię. Pozwoliłam ci usiąść, bo liczyłam, że może przemówisz ty.

- Pani oszalała, Dostojna.

Arcybiskup oddychał z trudem, ale ochłonął na tyle, by zdać sobie sprawę, że w jego osobie pomiata się już nie tylko tajnym Towarzystwem Ducha Świętego, ale Apostolskim Kościołem Powszechnym.

- O, tak, ale nie dzisiaj... Bardzo dawno. To jednak nie ma nic do rzeczy. Jeszcze raz pozwalam księdzu mówić. A zatem, Ekscelencjo? - Skinęła jak najuprzejmiej. - Proszę mi przystępnie opowiedzieć, w imię jakiej wzniosłej idei Towarzysze Ducha Świętego panoszą się po gościńcach Va-

Jego Ekscelencja arcybiskup Se Dampher dwoma palcami ścisnął nos u nasady. Nie był głupcem, w zamian był dobrym intrygantem, niezgorszym dyplomatą i ogólnie rozumnym człowiekiem. Oszołomiony gwałtownością ataku, cokolwiek już jednak oprzytomniał i zobaczył, że sprawy nie stoją bardzo źle. Uderzywszy, wicekrólowa cofnęła się na pozycje zajmowane na początku rozmowy - znowu żądała wyjaśnień. Gdyby niczego się nie bała ani niczego nie chciała, poszłaby raczej dalej. Powiedziałyby swoje, przedstawiła pobrane decyzje i pokazała mu drzwi.

- Dostojna, nie wiem, skąd ma pani swoje informacje, ale muszę powiedzieć, że są... przesadzone. Towarzystwo nie rozgrywa bez pani wiedzy żadnej intrygi politycznej. Prawdą jest, że coś nas zaprzęta, ale są to sprawy drobne. Mówiąc ściślej,

Dostojna, bardzo ważne dla Towarzystwa, a tym samym dla Świętej Wiary, ale niedostrzegalne, gdy na nie spojrzeć z miejsca, gdzie stoi pani tron. Dotrzymuję umowy, Dostojna. Jestem wobec pani lojalny. Moim grzechem jest najwyżej zaniechanie, które jednak wynika z tego, że nie ważę się zajmować pani uwagi drobiazgami bez żadnego znaczenia. Przecież to oczywiste, że już tylko istniejąc... a Towarzystwo musi istnieć wszędzie i tutaj, w Valaquet, dała pani na to swoje przyzwolenie... Więc już tylko istniejąc, Dostojna, Towarzystwo Ducha Świętego...

- Wystarczy, Ekscelencjo. Jakie sprawy teraz załatwiacie?

- Ależ dotyczące dwojga ludzi pozbawionych tu wszelkiego znaczenia, ale za to spiskujących...

- Dwojga ludzi, lecz służących Egaheer, nieprawdaż?

Arcybiskup znowu stracił pewność siebie. Lecz Weronika Teresa mówiła dalej:

- Dwoje ludzi bez znaczenia... A więc baronowa Sa Tuel, którą dzisiaj otaczam przyjaźnią i opieką, jutro zaś być może uczynię podporą swego urzędu, przełożoną Rady Wicekrólewskiej, czyli zwierzchniczką i pierwszą spośród ministrów, jest dla księdza arcybiskupa osobą bez wszelkiego zna- Czy pani to mówi poważnie?

- Czy poważnie? Pańska bezczelność, Se Dampher, nie zna granic.

- Dostojna, jeśli jestem zuchwały, to dlatego, że mrok, któremu służy baronowa, jest zgoła powodem istnienia Towarzystwa Ducha Świętego. Stoimy na straży ustalonego

Stwórcę porządku świata i ustępując z tych pozycji, zanegowałbym sens służby Bogu. Błźniercza zgnilizna ukryta pod nazwą Egaheer...

- Wiem, mój biedny księże. Renata mi wszystko powiedziała.

Zaległa cisza. Ktoś taki jak Dostojna nie przejęzyczą! się. Wicekrólowa chciała powiedzieć to, co powiedziała. Znała tytuł i nazwisko pani Sa Tuel, lecz nie użyła ich.

- Mamy więc - podjęła Weronika Teresa - z jednej strony szczytne cele świętego zgromadzenia stojącego na straży Planu Stwórcy, z drugiej strony zaś pospolitą sympatię odczuwaną przez starszą kobietę wobec młodszej. Wielką politykę i wielkie idee, z drugiej strony zaś prywatne sprawy. Otóż, księże - pokazała dokumenty, które przed godziną wydobyła z szafy, a na koniec pokreślona kartę z projektem dokumentu nowego - zaraz sprowadzimy te idee na ziemię, bo wprowadzić miło się rozmawia, ale za to głupio. Ty coś wiesz, arcybiskupie, ja coś wiem... Powiedzmy więc sobie otwarcie to, co wiemy. Valaquet potrzebuje pieniędzy, a w zamian nie potrzebuje szpiegów i zdrajców stanu. Sformułowałam właśnie akty oskarżenia przeciwko osobom świeckim i duchownym, których nazwiska możesz pan odczytać z tej tu listy, a po odczytaniu zechciej jeszcze na końcu dopisać nazwisko własne. Będą egzekucje, ale przede wszystkim będą konfiskaty, co jest o wiele gorsze. Kościół nie puści wam płazem utraty takich majątków jak dobra arcybiskupie. Pan zaś jesteś w najgorszej sytuacji, jako osoba zajmująca odpowiedzialne stanowiska w dwóch nie lubiących się organizacjach.

- Jak dowiedzie pani, że w ogóle wiem, kto to jest Przeor Zgromadzenia Valaquet? Jestem tylko arcybiskupem Vaquens Sar. Kto twierdzi, że jest inaczej, musi mieć dowody.

- Albo świadków. Przeczytałeś moją listę nazwisk, Se Dampher? Może nie wszystkich oskarżę... a w zamian skwapliwie zostanie potwierdzone, że jesteś Towarzyszem

- Już z samej obawy przed konsekwencjami żaden z Towarzyszy nie doniesie na braci.

- O, naprawdę? A skąd mam tę listę nazwisk, jak pan sądzisz, hrabio? Trzymam ją od ładnych paru lat.

- Nawet jeśli znajdzie pani świadków, to oznacza tylko osobiste dla mnie przykrości. Niechby utratę mitry.

- Oskarżę pana o zdradę stanu. A to już oznacza konfiskatę dóbr.

- Prywatnych.

- Przecież to wystarczy, nie szarżuj pan tak śmiało.

Kpiące i nieodmiennie chłodne spojrzenie wicekrólowej - tym razem nader wymowne - powiedziało dostojnikowi, że przegrał. Dobrze wiedziała, co mówi.

- A zresztą nie tylko prywatnych - dorzuciła. - Także innych, a mianowicie należących do zbrodniczej organizacji. Nie zawaham się twierdzić, że Kościół musiał wiedzieć o podwójnej pańskiej działalności.

- Obróci pani Kościół przeciw sobie.

- Wolne żarty. Zbyt wielu hierarchów zacznie się zastanawiać, czy i o nich wiem to, co o panu.

- Dowody, Dostojna. Niezbite dowody, które...

- O, naprawdę, nie rozśmieszaj mnie pan... Dowody? Ja ci dam zaraz takie dowody, Se Dampher, że tu i teraz każe cię mojej straży porąbać halabardami. Zechcesz sprawdzić, czy tak się stanie? Sprawdzisz, czy naprawdę bardzo się zestarzałam? Słucham. Mów pan: „Tak, chcę sprawdzić, na co się pani odważy”. No. Mów mi pan, słucham.

I Dostojna, z przedziwnym błyskiem w oku, którego starcze zmętnienie zdawało się należeć do odległej przeszłości, nadstawiła ucha dłonią, przechyliwszy cokolwiek głowę.

- Czyli sprawę dowodów mamy załatwioną - powiedziała po długiej chwili, bo doprawdy czekała cierpliwie. - I tak zresztą nikt w te oskarżenia nie uwierzy, każdy powie po cichu, że chciałam tylko połatać swe finanse. Niemniej za sprawą działalności Towarzystwa Kościół straci w Valaquet nieruchomości i dochody milionowej wartości, bo dobra arcybiskupie to nawet nie połowa tego, co przepadnie. A skoro wyjdzie na jaw, jak pięknie poczynania Towarzystwa przysłużyły się Kościołowi, to co się wówczas stanie? Otóż wówczas, hrabio Se Dampher, stanie się to, co od lat jest odkładane jako zbyt kosztowna i niepewna w skutkach awantura: mianowicie wezmą się za was. Wyzuję cię z doczesnych dóbr, drogi księżu, a Kościół i Towarzystwo po kolei wyzują cię z całej reszty. Krótko mówiąc, biedny skazańcze, deklaruji mi się w tej chwili: Boży Plan czy Złoty Cielec? Wielka misja czy nędzna mamona?

Oniemiały arcybiskup widział już, że wicekrólowa naprawdę wie, co robi. Nie mógł nie wierzyć upiorowi, który wrócił z przeszłości, zmartwychwstał na jego oczach, ucieleśniony w

kobiecie, która jeszcze niedawno, bo zaledwie przed kilku laty, ważyła się na przedsięwzięcia grubo większe. Zresztą choćby nawet mówił tylko z wariatką, to miała ona pod sobą czterdziestotysięczną armię.

- Mamona, o, proszę bardzo - powiedziała Dostojna, udzielając oczywistej jej zdaniem odpowiedzi. – To rozumiem; Duch Święty Duchem Świętym, ale Wielkim Planem raczej nikt się nie naje. Trzeba żyć! Świętych gotowych w imię Stwórcy umrzeć z głodu albo na szafocie macie pewnie u siebie czterech... albo i pięciu, kto wie? Pan na pewno do nich nie należysz, za co dziękuj swojemu Bogu, bo gdybyś należał, to już dawno kazałabym cię otruć, Se Dampher, ciało zaś puścić do jeziora; po co zaraz rąbać halabardą. Nie jesteś świętym ani żadnym innym pomyłeńcem, dlatego rozmawiamy i dojdziemy do porozumienia. Zgadłeś przecież, że czegoś chcę? Czegoś innego niż mamony. Bo oto i różnica między nami: ja mam małe prywatne sprawy, dla których poświęcę wszystko, ty masz wielkie idee, dla których nie poświęcisz swoich srebrnych nocników. Po cóż więc było tyle mówić?

Wzruszywszy ramionami, Dostojna jęła oglądać swego gościa z pogardliwym i kpiącym uśmiechem już nie tylko w oczach, ale i na ustach.

- Być miernotą i tchórzem jest rzeczą ludzką, panie Se Dampher - powiedziała wyrozumiale, gdy już się naoglądała. - Taki podobasz się Bogu, skoro cię wyhodował. Wynegocjowałeś zatem ze mną, Eksceleńco, że sekularyzacji nie będzie. Podszedł mię ksiądz arcybiskup swą wymową, pokonał argumentacją, olśnił bronionymi ideami, obezwładnił godnością, nieugiętą

postawą, zdolnościami dyplomatycznymi i rozbroił zdrowym rozsądkiem. Jak rozumiem, osiągnęłam tylko tyle, że już jutro szczury Ducha Świętego znikną z moich gościńców i pobiegną gdzie indziej żywić się padliną. To niewiele, ale przystaję.

Czekała. Lecz tym razem widać było, że chce usłyszeć odpowiedź.

- Jutro nie. Proszę dać mi tydzień. Muszę... porozumieć się z kimś.

- A co to znowu? Kpiny? Powiedziałam: jutro. Przeor Zgromadzenia Valaquet ma dość władzy, by wszystkie miejscowe sługi Towarzystwa odesłać stąd do diabła. Potem będziesz się porozumiewał albo wieształ na suchej gałęzi, to już mnie nie obchodzi. Jeśli jutro usłyszę, że ktoś zetknął się choć z nazwą wiadomego gremium, będę naszą umowę uważać za niebyłą. Wyświadczam księdzu grzeczność, dając czas do jutra; skorzysta z niej ksiądz albo nie.

Arcybiskup powoli skinął głową.

- Sprawy polityczne mamy już za sobą, przejdźmy teraz do spraw osobistych. Jestem kobietą, pan zaś jest mężczyzną; przez cały wieczór prawił mi pan tu impertynencje. Domagam się przeprosin.

- A te przeprosiny? - bezbarwnie zapytał ksiądz.

- Oto czysta kartka, a tu, proszę, atrament i pióro. Zechcesz, Ekscelencjo, powiadomić panią Dorotę Atheves o swoich podjętych dzisiaj decyzjach. Jeden tylko warunek... Otóż do księżnej Se Potres rusza właśnie moje poselstwo, lecz nie wątpię, że listy uwierzytelniające od posła odbierze pani Atheves.

Proszę, by list Waszej Ekscelencji dotarł do niej w tym samym czasie. Dostojnik raz jeszcze skinął głową.

- Czy mam pisać teraz?
- Niekoniecznie. Prosisz więc o przebaczenie?
- Proszę panią o przebaczenie.
- Dobrze. Ująłeś mię pan swą postawą i już się nie gniewam.

Pół minuty później siny na twarzy i postarzały arcybiskup opuścił Mniejszą Salę Bractwa.

Dostojna siedziała na krześle i siedziała, spoglądając w miejsce, gdzie zbiegały się dwie ściany i sufit. Potem nagle zaczęła się śmiać i był to śmiech, jakiego już dawno nikt u niej nie słyszał.

Przez całe życie robiła to, na co miała ochotę. Przestała na kilka lat. A teraz bawiła się znowu. Roześmiana, a przez to młodsza i ładniejsza, zatrasnęła małą szufladkę w bocznej części stołu, na dnie której leżał całkiem grzeczny dwulufowy pistolet; posyłając po arcybiskupa, wcale nie była pewna, czy przypadkiem nie należy on do świętych.

XVIII

Swietna karetka dostojnej Weroniki Teresy w niczym nie ustępowała czerwonej landarze baronowej, a nawet ją przewyższała. Posłanka wicekrólowej miała do dyspozycji obszerne wnętrze obite szlachetnymi tkaninami, którego z nikim nie musiała dzielić, bo Katarzyna jechały w drugiej karecie - razem, choć to trochę uchybiało etykietce. Sa Tuel jednak życzyła sobie być sama, trzeciej zaś karety brać nie chciała. Z przodu i z tyłu kłusowało trzydziestu jeźdźców eskorty z najświetniejszego regimentu gwardii - tego, w którym niegdyś służył Chal-Chenet. Na samym końcu prowadzono furgon z bagażami i zapasowe konie, jako że pocztowe stacje nie mogły nastarczyć zwierząt dla takiej kawalkady, a czas naglił.

Sa Tuel kilkakrotnie przeczytała otrzymane od Dostojnej dokumenty, a najwięcej uwagi poświęciła listowi, na którego kopercie widniało nazwisko Wanesy księżny Se Potres. W świetle tego listu wiele spraw wyglądało inaczej. Było to zaproszenie

sygnowane pierścieniem Pierwszej Damy Bractwa Rycerskiego słane do następczyni. Odkładając na bok całą przeszłość i nierozstrzygniętą przyszłość, wszystkie spiętrzone sprawy, winy i urazy, nie wspominając o nich ani słowem, generałka Świeckiego Zakonu zapraszała pierwszą po niej w hierarchii dostojniczkę na bal mający być okazją do omówienia „spraw pierwszorzędnej wagi związanych z Zakonem, do którego i Pani i ja należymy”. Uważnemu spojrzeniu złotowłosej intrygantki nie umknęło wszakże zawarte między wierszami nawiązanie do czegoś... nie wiadomo czego, to nie miało zresztą znaczenia. Dowodziło jedynie, że wbrew powszechnemu przekonaniu matka i córka wiedziały sporo o sobie (a czyż Dostojna, czytając list Del Waresa, nie powiedziała ze spokojną pewnością: „Księżna rzeczywiście jest w Pahr, nie trzeba jej szukać”?) i w ciągu minionych pięciu lat na pewno przynajmniej raz wymienily jakieś wiadomości bądź listy. Jeśli nawet nie były to negocjacje i układy w ścisłym rozumieniu, to i tak upadało twierdzenie, że rozpętawszy wojnę, obie damy miały dla siebie już tylko zapiekłą, iście zwierzęcą nienawiść i nawzajem nie przyjmowały do wiadomości faktu swego istnienia.

Sa Tuel jechała do Ammene spokojna. Dano jej broń do ręki, a tym samym nie szła na spotkanie z katem, a tylko niebezpiecznym przeciwnikiem. Lecz szlak jej życia był usłany truchłami takich niebezpiecznych przeciwników; jednej tylko rzeczy bała się naprawdę: bezradności. Tutaj, w wielkim i obcym kraju, działając bez żadnego oparcia, popełniała błędy, które trudno było naprawić. Ale teraz karty już rozdano i choć rozgrywka nie szła dotąd po jej myśli, to lada chwila wszystko

miało się zmienić. Baronowa miała w ręku bardzo mocne atuty, których istnienia przeciwniczka nie podejrzewała. Bardzo mocną kartę dobrała od Dostojnej, drugim zaś atutem było wiezione w sercu iście chrześcijańskie miłosierdzie... Sa Tuel nie myślała mścić się na Atheves; nie jechała z zamiarem zniszczenia przeciwniczki i tym samym miała dużą swobodę działania. Chciała tylko wygrać swą partię, a nienawiść stanowiła w tym zamiarze przeszkodę.

Wszystko w swoim czasie. Księżyc był niedostępny, chmury i dno morza też. Oznaczało to, że pani Atheves nigdzie jej nie ucieknie. Sa Tuel nie miała teraz ani możliwości, ani dosyć czasu, by wymierzyć czarownicy karę. Mogłaby najwyżej spróbować ją zabić - lecz chodziło przecież o prawdziwą karę.

Myśląc o Atheves, Sa Tuel pomyślała następnie o Dostojnej. W ciągu minionych tygodni, a szczególnie ostatnich dni, dowiedziała się tego, co już dawno dostrzegł Del Wares, a mianowicie, że ma jakieś sumienie. Zawsze dotąd była lojalna wobec sojuszników, bo w sprawach, które przeprowadzała, nielojalność równała się własnej zgubie - każdy tutaj musiał stawiać w zakład za drugiego i mieć niezłomną pewność, że działa to w obie strony. Lecz po raz pierwszy spotkała kogoś, kto nie służył tej sprawie co ona, a jednak wart był uwagi. I baronowa, jadąca na spotkanie ze śmiertelnie groźną przeciwniczką, więcej czasu poświęciła poszukiwaniu sposobu na nieodpłacenie Dostojnej złem za dobro niżli czekającej ją najbliższej walce. Czy dało się oszczędzić ożywioną przez lodową kulię panią Annę Jasenę?

Czy można było wyrzucić z przeklętego klejnotu to, co groziło Egaheer, bez zniszczenia pozostałych mocy artefaktu? Wyszło na jaw, że baronowa Sa Tuel gotowa była tak jak pan Del Wares przebierać w środkach, szukać innych niżli tylko najprostszych, sposobów osiągnięcia celu. Jeśli nie dało się uniknąć zgładzenia Anny Jaseny, to Sa Tuel zdecydowana była to uczynić. Ale miała nadzieję, że jest inny sposób. I postanowiła go szukać.

Droga do Ammene-Re Selei, ta sama, której początek baronowa już raz przemierzyła, podsuwała rozmyślania o podjętych decyzjach - trafnych i nietrafnych; o zaniechaniach. Gdyby wtedy nie zawróciła, gdyby jechała dalej... Czy zdołałaby czemuś zapobiec? Rozum podpowiadał, że nie. A jednak Sa Tuel czuła się jak zdrajczyni. Powiedziano jej: „Staw się, a więzień zostanie zwolniony”. Nie stawiała się. I myśl o skutkach wywołanych tą tchórzliwą decyzją miała prześladować

Lecz nie teraz. Mając oręż w ręku i kilka mocnych postanowień w sercu, baronowa zdobyła się na wysiłek odsunięcia od siebie wszystkich uczuć, które mogłyby zaszkodzić prowadzonej grze.

Oficjalne poselstwo, z którym jechała Sa Tuel, kłóciło się z prawdziwym powodem jej podróży, a skutkiem owej kłótni był nieomal humorystyczny wygląd dostojnego orszaku, gnającego gościńcem na złamanie karku, to galopem, to tylko kłusem. Zwykła podróż dyplomatyczna trwałaby co najmniej dwa razy dłużej. Sa Tuel jednak musiała w piątek wieczorem stawić się przed obliczem ministrowi, rozkazała więc, by zarządzano przerwy w podróży tylko po to, by zmienić zmęczone konie.

Pomimo to w czwartek wieczorem zwierzęta były u kresu sił. W Yorei, niedużym mieście leżącym na szlaku podróży, stał jeszcze garnizon Weroniki Teresy, chociaż łatwo było spotkać także wrogi oddział. Dziwna wojna... Zająwszy lepszą z gospód (bo w miasteczku istniały raptem dwie), posłanka wicekrólowej odpoczywała w wynajętej izbie, czekając, aż dowódca jej eskorty i towarzyszący mu żołnierze wrócą z wyprawy po konie. W mieście stał półregiment arkebuzerów; nie minęły dwa kwadransy, jak do karety poczęto wprzęgać ciężkie wojskowe konie, nie najlepsze, niestety, wzięte od jakichś furgonów. Halabardnicy-muszkietery gwardii przenosili siodła na grzbiety wierzchowców arkebuzerskich, pozostawiając w zamian własne zwierzęta. Gwar i rozgardiasz na majdanie zwabiły baronową do okna. Dojrzała dowódcę swej eskorty.

- Panie poruczniku! - zawołała, wychylając się nie co. - Zechciej tu podejść, proszę!

Oficer natychmiast zdjął kapelusz i pospieszył ku gospodzie, zadzierając głowę, bo pokoje baronowej mieściły się na piętrze.

- Co pani rozkaże?

- Jak daleko jeszcze do Ammene? Albo nie, zapytam inaczej: mając takie konie, kiedy tam dojedziemy?

- Proszę się nie obawiać, zdążymy. Najpóźniej jutro w południe.

- Ręczysz pan?

- Chyba żeby jaka wojna albo dopust boży - powiedział z humorem oficer.

Na wojnę się nie zanosilo, pomimo że w mieście od dwóch dni kwaterowała kompania rajtarów księżny Se Potres, o czym

baronowej doniesiono. Porucznik, młody i świetnie noszący się szlachcic, z istic żołnierskim zuchwalstwem w oczach i wyraźnym upodobaniem przyglądał się pięknej dyplomatce wychylonej z okna niczym kochanka czekająca na oblubieńca. Pełniąc służbę u boku Dostojnej, dobrze znał panią Sa Tuel, ale tylko z widzenia, niestety, bo niskiego rangą oficera, choćby i służącego w elitarnym regimencie, przyjaciółka wicekrólowej traktowała mniej więcej tak samo, jak pałacową służbę, czyli jak powietrze. Nigdy dotąd doń nie przemówiła, bo też i w jakiej

- Nie spodziewasz się waszmość żadnych opóźnień w drodze?

- Jeśli nawet się spodziewałem, to od półgodziny już się nie spodziewam.

- Dlaczego?

- Bo porozmawiałem, pani baronowo, z kapitanem rajtarów dostojnej księżny Se Potres i uwiadomiłem go o pani poselstwie. Od razu posłał połowę swoich ludzi przodem, a druga połowa będzie nam towarzyszyć.

- To jest... zgodne z wojennymi zwyczajami?

- Raczej dyplomatycznymi, pani. Zresztą nie wiem jakimi. Wojenny obyczaj w każdym bądź razie nakazywałby raczej stoczyć tu ładną bitewkę. Są z jednej strony rajtarzy, z drugiej arkebuzerzy i moi muszkietrzy, a nawet jest regimentowe działko na wartowni...

- Chodź pan do mnie - zażądała, prostując się w oknie i przyzywając go skinieniem palca.

- To nie jedziemy jeszcze?

- Właśnie o tym chcę porozmawiać. Ci rajtarzy pojechali przodem z wiadomością o moim poselstwie?

- Połowa oddziału.

- A więc już nie musimy się tak bardzo spieszyć. Waszmość mówisz, że zdążymy w piątek?

- W piątek albo wcale. Rozumie pani, że wybuch wulkanu na gościńcu uniemożliwi nam dotarcie do Ammene i dokądkolwiek w ogóle. Żadnych innych opóźnień sobie nie

- Więc odpoczniemy tutaj parę godzin. Tak długo, aż pan uznasz, że trzeba ruszać. Zdaję się w tym na pana.

Oficer ucieszył się; cały dzień na końskim grzbiecie - to nie była przyjemność nawet dla żołnierza, a tym bardziej, jeśli zaraz miano jechać dalej, podróżować całą noc i jeszcze pół dnia.

- Jakies osiem godzin - rzekł zadowolony - ale, by dać pani spokój i pewność, powiem: cztery, pięć. Mogę więc kazać ludziom rozkulbaczyć i wyprząc konie?

- Niech pan robi, co uważa za słuszne, moje warunki już znasz. I przyjdź tu do mnie zaraz - dorzuciła, tupnąwszy niecierpliwie nogą - bo nudzi mi się rozmawiać przez to okno!

Oficer odwrócił się, krzyknął na sierżanta i powiedział mu, jak stoją sprawy.

Zaraz potem przekroczył próg oberży i wbiegł po schodach na górę. Masztalerz-odźwierny wpuścił go od razu.

Baronowa wciąż stała przy oknie. Odwróciła się, gdy oficer wszedł, i skinieniem wachlarza odpowiedziała na zgrabny ukłon.

- Zechciej mi pan przypomnieć swoje nazwisko, panie oficerze...

- Porucznik Gorszt, do pani usług.

- To... nordyjskie nazwisko, dobrze myślę?

- Po ojcu, pani. Lecz po matce jestem synem tego oto pięknego i spokojnego kraju, tu zresztą przyszedłem na świat.

- Ale jesteś szlachcicem?

- Pani wie na pewno, tylko nie pamięta, że szlachectwo jest wstępnym warunkiem, który trzeba spełnić, by dostać się do pierwszego w starszeństwie regimentu gwardii. O objęciu stanowiska oficera w takim regimencie nawet już nie wspomnę, pani baronowa mi wybaczy.

Był to człowiek obyty, przywykły do obcowania ze świetnymi nazwiskami, widujący na dworze Dostojnej najwyższe znaczeniem osoby w Valaquet. Baronowa na chwilę skryła się za wachlarzem.

- Nie, to pan mi wybacz... Pańska swoboda w słowach i zachowaniu, zresztą cała pańska postawa powinna być najlepszą rękojmią. Jak mogłam w ogóle pytać.

- Powiedziałbym: jak może się pani tłumaczyć? I to przed kim, przed dowódcą swej eskorty? Lecz nie powiem, bo z zakłopotaniem, choćby nawet tylko udawanym, jest pani bardzo do twarzy.

Zaśmiała się krótko i na moment wzniosła oczy ku powale.

- Żołnierz, ani słowa - rzekła do siebie z głębokim zrozumieniem i godząc się na wszystkie konsekwencje związane z dokonaniem odkryciem. - Poruczniku, jestem w tym kraju od miesiąca, a wiem o nim bardzo niewiele. Na czym polega dziwna wojna, którą tutaj toczycie? Niedawno rozegrała się wielka bitwa?

- Ale... o co mnie pani pyta? Czy brałem w niej udział?

- Nie, nie o to... - Sa Tuel z wysiłkiem powstrzymała atak kaszlu, który dokuczał już trochę mniej, ale wciąż jeszcze dawał o sobie znać. - Bitwa się skończyła. Wojna trwa.

- Już rozumiem. Pani życzy sobie wiedzieć, dlaczego do miasta trzymanego przez arkebuzerów Dostojnej przyjeżdżają rajtarzy księżnej i nic się w związku z tym nie dzieje.

- O to właśnie pytam - potwierdziła Sa Tuel, siadając na krzeselku, które ubliżało jej podróżnej sukni.

- Ale przecież to pani jedzie z misją dyplomatyczną i to chyba pani winna mię pouczyć w tej materii?

- O nie, to już trochę za śmiało, nawet jak na żołnierza... Pytam pana o coś, poruczniku. Jeśli nie wiesz, odpowiedz: nie wiem. Za komentarze dziękuję.

- Proszę mi przebaczyć. Chyba rzeczywiście nie wiem, dlaczego wojna... wygląda tak, jak wygląda.

Przyglądała mu się z namysłem.

- Popatrujesz pan na mnie łakomie i wydają ci się wcale słodka - rzekła po chwili, zbijając oficera z tropu, co naprawdę wybornie umiała. - Bardzo dobrze, panie poruczniku, bo naprawdę taka jestem... Jak miód. Ale z tą słodyczą nie idzie w parze głupota. Powiernica Dostojnej to nie jest ktoś, komu można powiedzieć, co się myśli, nieprawdaż? A jednak powiedz mi pan. Bo tak biorąc na zdrowy rozum, czy wróciwszy do Moeny pobiegnę do wicekrólowej z doniesieniem na pana porucznika Gorszta, że nieprawomyślny albo coś?

Oficer namyślił się.

- Dała mi pani nauczkę. Proszę mi...

- Nie, nie, poruczniku... Nie będziemy się w kółko przeproszać. Powiesz mi pan czy nie?

- Powiem. Najpierw to była zwykła wojna. Od jakiegoś czasu nikt jej nie chce. Mniejsza o to, że nie chcą żołnierze i oficerowie, bo oni nigdy nie chcieli. Myśli pani, że miło mi strzelać do bratniego regimentu, który parę lat temu strzegł północnych granic w księstwie Potres? I towarzyszył Jej Księżęcej Wysokości w podróży do Re Alide, jeszcze gdy to miasto istniało? Podejmowaliśmy tę jazdę we własnych kwaterach przy pałacu Dostojnej. Żołnierze nigdy tej wojny nie chcieli. Chciały tylko... dwie najważniejsze w tym kraju osoby. Ale mniej więcej od roku, pani baronowo, nawet one tej wojny już nie chcą. Zdaje się, że do wojny popycha już tylko jedna osoba... mówi się, że uzyskała kiedyś zgubny wpływ na księżnę Se Potres; pani przecież wie, o kim mówię. Ale ta osoba, choć popycha do wojny, to niewiele może, bo nie jest Damą Bractwa Rycerskiego, to nie jej wojna i nie dla niej żołnierze strzelają do siebie. Mówiąc prawdę, strzelają dla pieniędzy, bo po obu stronach służą wojska zaciężne, przynajmniej w połowie cudzoziemskie, jak ci rajtarzy tutaj, a i nasi arkebuzerzy. Nikt tu do nikogo nie czuje nienawiści, nikt nie broni kraju, domu, wiary ani żadnej idei. Czegóż pani chce? Dla żołnierza najemnego wojna to tylko profesja, a dla rekruta z poboru przykra konieczność... Przed miesiącem, pod Ammene, mogliśmy pobić generała Treya; może zresztą generał Trey mógł pobić nas, ale ostatecznie skończyło się na złożeniu daniny z sześciu tysięcy zabitych i trzynastu tysięcy rannych. Generałowie po bitwie nie ogłosili żadnego zawieszenia

broni, bo nikt ich do tego nie upoważnił. Lecz spotkali się, wymienili ukłony, skomplementowali się, porozmawiali... Wymieniliśmy rannych i jeńców. „Gdzie i kiedy następna bitwa?“, rzekł pewnie generał do drugiego. „Tam i wtedy, gdzie wszystkim będzie wygodnie. Skoro trzeba ją stoczyć, to się stoczy“. I tak to idzie w dół po szczeblach wojskowej hierarchii. Ukłoniłem się dziś grzecznie kapitanowi rajtarów, on odpowiedział ukłonem, a gdy zechce pani wyjrzeć przez okno, to na pewno zobaczy jeźdźców pana kapitana i moich muszkietierów, jak częstują się winem i plotkami, za które to plotki w czas normalnej wojny dostaliby wszyscy po kulce... Chętnie razem ruszyliby do bitwy z tałatajstwem... wybaczy mi pani słówko... które wyciąga dziewczuchy z chałup w wioskach, napada podróżnych na traktach, a w większych bandach grabi sklepy, sklepy i oberże w miasteczkach. Tylko tyle widzę i wiem. Czy mój raport panią zadowala?

Sa Tuel nie znała się na wojnie, lecz podejrzewała - a raczej wiedziała - że tak to właśnie wygląda. Chciała jednak potwierdzenia z ust żołnierza.

- Dziękuję panu. Tak, jestem zadowolona... Ale jeszcze jedno chciałabym usłyszeć.

- Jestem na pani rozkazy.

- To delikatna i... bardzo szczególna misja. Pańscy żołnierze bratają się z rajtarami, ale... - zawiesiła głos.

- Posłując, jest pani nietykalna.

- Właśnie mówię panu, że to bardzo szczególna misja. Wszystko się może zdarzyć.

- Bratamy się z rajtarami nie na próżno. Przydzielono mię jako dowódcę eskorty honorowej, pani baronowo.

Gdy w Ammene zechcą panią pojmać, każę swoim ludziom stanąć w szpaler i salutować szpadami, a następnie poproszę o zaszczyt eskortowania pani do więzienia.

- Pan sobie kpi, poruczniku?

- A pani, baronowo?

Przez chwilę wymieniali spojrzenia i porucznik nie dał za wygraną. Sa Tuel zrozumiała, że zadając swoje pytanie, obraziła oficera doborowego regimentu, dowodzącego żołnierzami, których nierzadko podawano za najpierwszych w świecie.

- Zrozumiałam - powiedziała.

Chwycił ją atak kaszlu.

- Lecz ja jednak upewnię się, pani, czy na pewno rozumiałaś. Jest nas tylko trzydziestu i nie obronimy pani przed wrogiem, jeśli ten wróg zechce złamać święte obyczaje wojny i dyplomacji. Lecz nim ktokolwiek tknie panią choć palcem, wszyscy polegniemy.

- Zrozumiałam - powtórzyła Sa Tuel. - Jest pan wolny, dziękuję.

Oficer skłonił się, lecz jeszcze go zatrzymała.

- Panie poruczniku - powiedziała ciepło, wstając z krzesła. - Naprawdę panu dziękuję.

Oficer zawrócił, ujął wyciągniętą dłoń, po czym pocałował z dwornością szlachcica i ochotę żołnierza. Zostawiwszy baronowej uśmiech zucha, jakim chyba był rzeczywiście, wyszedł z izby i wrócił do swoich żołnierzy.

Baronowa przywołała odźwiernego i kazała mu odszukać Melanię, której wszędzie było pełno (a najwięcej wśród rozkochanych w niej gwardzistów), lecz nie tam, gdzie mogła się

przydać. Biedna Katarzyna, ledwie żywa po całodziennej podróży, nie nadawała się do niczego, a Sa Tuel potrzebowała pomocy przy rozpinaniu sukni. Miała kilka godzin i postanowiła przeznaczyć je na sen. Lepszy i dający więcej odpoczynku niżli ten, który mógł przyjść do niej w rozkołysanej i skrzypiącej karecie.

Poselstwo ulokowano w lewym skrzydle Pałacu Driad. Oficjalna audiencja u ministrowi miała zostać udzielona nazajutrz o godzinie szóstej wieczorem.

Baronowa została przyjęta z honorami odpowiednimi do pełnionej funkcji. Przydzielono jej służbę, oddano do dyspozycji odpowiednie apartamenty, pieczę zaś nad wszystkim sprawował wysoki urzędnik dworu, gotów w każdej chwili służyć radą bądź żadaną pomocą. Lecz w tle owej nienaganej poprawności Sa Tuel łatwo wyczuła pewną sztuczność - otóż podejmowano ją aż nazbyt odpowiednio, nazbyt poprawnie, nazbyt kurtuazyjnie... Można by odnieść wrażenie, że wymiana poselstw między dworami to rzecz zwyczajna, codzienna. A tymczasem była to pierwsza taka misja w ciągu całej wojny. Atheves czuła się zagubiona i Sa Tuel wyczuwała tę konsternację nieomal w ścianach domu, sprzętach i kobiercach, a na pewno w spojrzaniach dworzan i służby. Czarownica rozgrywała swoją podłą grę, ustalając własne reguły, lecz naraz ktoś je zburzył. Wyzwanie podjęto, lecz na nieoczekiwanych warunkach; mała podziemna wojenka toczona z dawną rywalką, która teraz wysługiwała się jakiemuś półlegendarnemu demonowi, przestała być sprawą

prywatną. Z hałasem wdarła się w nią wielka polityka. Atheves nie wiedziała, co przywiozła ze sobą posłanka, lecz miała powody podejrzewać, że nie przybyła z pustymi rękami. Czy możliwe, że sama wicekrólowa popierała jej sprawę? Czy też raczej Weronika Teresa o niczym nie wiedziała, stała się narzędziem w rękach złotowłosej intrygantki, która podsunęła jej myśl o wszczęciu rokowań tylko po to, by uzyskać dla siebie gwarancję nietykalności? Ale jeśli nawet taka była prawda, to znaczyło, że wpływy Sa Tuel na dworze wicekrólowej są ogromne, znacznie większe niżli wpływy pozornie wszechwładnej Atheves na dworze księżny Se Potres. Potężna ministra nie umiała sobie wyobrazić, w jaki sposób mogłaby skłonić księżną Wanese do wszczęcia rokowań ze znenawidzoną matką. A tymczasem podobnej sztuki, tyle że po drugiej stronie barykady, Sa Tuel dokazała nieomal mimochodem, z dnia na dzień.

Knująca jakieś ciemne spiski intrygantka była niewygodna. Lecz wysłanniczka Dostojnej Weroniki Teresy, mająca w zanadru nie wiadomo co, mogła okazać się wrogiem groźnym aż śmiertelnie.

Sa Tuel nie wiedziała, czy pani Atheves snuje takie właśnie rozważania, lecz domyślała się, że i owszem. Na jej miejscu nie mogłaby zasnąć.

Katarzyna, nie tyle nawet stara, co gruba i sterana latami służby, trochę schorowana, cierpiąca na kamienie w pęcherzu, przysparzała więcej kłopotów niż pożytku. Sa Tuel obiecała sobie, że już po raz ostatni wlecze ze sobą w podróż wierną garderobianą, która winna raczej grzać się przy kominku w Tuel, niżli wytrząsać wielki brzuch, szeroką pupę i ciężkie piersi na

wybojach. Baronowa przywykła do wiernej służki i nie w smak jej było dopuszczanie do poufałości, a nawet pewnych tajemnic kogoś niepewnego. Trudna rada. Przywoławszy Katarzynę, młoda pani ogarnęła spojrzeniem jej poszarzałą i zmęczoną twarz, po czym powiedziała: „Odpoczywaj, przyślij mi tylko Melanię”. Garderobiana popatrzyła na panią ze łzami wdzięczności w oczach i nie protestując, oddaliła się. Wkrótce przyszła Melania i Sa Tuel poleciła jej rozpakować bagaże, które już zniesiono do jej komnat.

- To nie jest zajęcie dla damy dworu, ale nikt cię nie widzi, Sa Veres, bądź więc tak dobra i przedzierzgnij się znowu w pokojówkę. Przygotuj mi suknię na jutro, sprawdź, czy niczego nie brakuje.

- A Katarzyna?

Sa Tuel oburzyła się.

- Nie masz serca?!

- Nie mam - powiedziała obrażona Melania. - Rozpychała się w karecie i zrządziła, kiedy rozmawiałam przez okienko.

- Z porucznikiem, sierżantem i bodaj każdym żołnierzem eskorty.

- To bardzo dobra szlachta.

- Otóż to. Bardzo dobra szlachta, a pani, panno Sa Veres, po powrocie do Tuel zechce wyszorować podłogi w całym domu. Poprzewracało ci się w głowie, moja mała, i zaczynam mieć tego dosyć. W tej chwili rób, co powiedziałam. A gdy skończysz, zechcesz odwiedzić swą starszą koleżankę i najuprzejmiej zapytać, czy nie potrzebuje jakiej bądź pomocy. Idź!

I Melania oddaliła się jak niepyszna.

Lecz następnego dnia przed południem znów tryskała dobrym humorem i miała mnóstwo wieści, zasięgniętych nie wiadomo skąd, a właściwie wiadomo, bo od każdego bez mała napotkanego mężczyzny. W małej, ruchliwej jak płomyk, wiecznie uśmiechniętej i roztrzepanej szelmie siedziało coś takiego, że rozwiązywały się języki, podstarzali panowie prześcigali się w grzecznościach i komplementach, młodszy w dwornych a dwuznacznych słówkach, jedni zaś i drudzy - w

Baronowa odprawiła właśnie dworzanina przybyłego z usprawiedliwieniem od Jej Ekscelencji, która „cierpiąc od nadmiaru niecierpiących zwłoki spraw państwowych”, nie prosiła do siebie na obiad, w zamian pytała o życzenia dostojnej posłanki. Sa Tuel wyraziła więc wolę spożycia obiadu u siebie. Gdy tylko dworzanin wyszedł, do pokoju wpadła - bo nawet nie wbiegła - wypindrzona, wystrojona i do nieprzyzwoitości obwieszona klejnotami Sa Veres; najwyraźniej podsłuchiwała za drzwiami, który to obyczaj już nawet nie gniewał baronowej, tak bardzo doń przywykła. W ciągu następnej półgodziny Sa Tuel dowiedziała się wszystkiego o Pałacu Driad i samych nieszczęśliwych Driadach, dworze księżnej - a właściwie dworze Atheves - a nawet o panu Del Wares. Dobrze go tu znano, w zamian nikt nie wiedział, gdzie przebywa. Krążyły plotki, że wyjechał, że posłany został przez ministrę do Pahr, a w każdym razie gdzieś na ziemię Potres. Ale były i takie głosy, że popadł w niełaszkę i został oddalony, a może nawet - kto wie - uwięziony.

- Jak zdobyłaś te wieści? - zapytała niespokojnie baronowa.
 - Nikt tu nie ma prawa wiedzieć, że mam cokolwiek wspólnego z panem Del Wares!

- Ojej, ale pani jest... niesprawiedliwa - palnęła Melania, lecz Sa Tuel mogłaby przysiąc, że przez krótką jak okamgnienie chwilę pokojóweczka miała na języku całkiem inne słówko. - Rozmawiałam o mężczyznach...

- O mężczyznach?

- Tak. O mężczyznach, o strojach... Jak mówiłam „mężczyzna”, to odpowiadano mi „Del Wares”; jak mówiłam „gustowne stroje”, to słyszałam „pan Del Wares”; jak

- Widzę, że pan Del Wares na swój sposób zaprowadził tu porządki takie, jakie ja zaprowadziłam w Moenie - powiedziała ze smutkiem baronowa. - Mój Boże, ten człowiek ma duszę, której nie znajdziesz u tych wszystkich książąt i hrabiów w pończochach... A zresztą co ty o tym wiesz.

- Wiem, wiem. Pani wie, że wiem - powiedziała stanowczo Melania. - Służę pani od tylu lat, że znam się już na wszystkim, i na duszach też.

Pomimo smutku, który ją ogarnął na wspomnienie o panu Del Wares, baronowa nie zdołała powściągnąć uśmiechu.

- Dobrze, idź już - powiedziała. - Wkrótce obiad, a potem... Nieważne. Muszę teraz pomyśleć. Uciekaj.

Posłuchanie zostało wyznaczone w tak zwanym Gabinetie Rady - była to komnata trochę podobna do Mniejszej Sali Bractwa, którą w Moenie upodobała sobie dostojna Weronika Teresa. Służyła do spotkań roboczych, lecz mających charakter podniosły bądź uroczysty - były tu więc zarówno pulpity dla pisa-

rzy, jak i wygodne fotele dla zaproszonych gości; zarówno duże biurko, jak i stojące za nim krzesło o rozmiarach tronu, z boku zaś długi stół obstawiony krzesłami. O wyznaczonej godzinie zaproszeni do Gabinetu Rady urzędnicy i dworzanie zajęli wyznaczone miejsca. Wkrótce potem przez boczne drzwi weszła pani Atheves. Z wybiciem szóstej zaanonsowano Jej Dostojność posłankę pani Weroniki Teresy, Pierwszej Damy Bractwa Rycerskiego hrabiny Se Alide Sar (innych tytułów wicekrólowej tutaj nie uznawano) wielmożną Renatę baronową Sa Tuel. Zapowiedziana dostojniczka spokojnym krokiem weszła do komnaty, mając za całą asystę porucznika swej gwardii w uroczystym mundurze; oficer ten natychmiast usunął się pod ścianę. Sa Tuel zatrzymała się pośrodku sali, w odległości kilkunastu kroków od stołu ministery, widząc, że wygrała już pierwsze starcie, zuchwałą szarżą zupełnie unicestwiając straż przednią wojsk przeciwnika.

Panią Sa Tuel dobrze tutaj znano, lecz nie osobiście, a z niezliczonych plotek, mniej lub bardziej przyzwoitych żartów, pogłosek. W Pałacu Driad bodaj nie było służącego, o dworakach i urzędnikach nawet nie wspominając, który by nie wiedział, że Atheves i Sa Tuel stoczyły swego czasu bardzo osobistą i zakończoną klęską tej drugiej potyczkę, której stawką były względy... pewnego mężczyzny, z imienia nigdy nie wymienianego. Tylko nieliczni widzieli baronową przybyłą minionego dnia wieczorem, a widzieli krótko, mimochodem. Teraz dwie kobiety znakomitych rodów, obie piękne, rywalizujące kiedyś o to samo, stanąć miały naprzeciwko siebie - i stanęły, mierzone i

porównywane spojrzzeniami aż wścibskimi i nachalnymi. Gdyby ciekawość i żądza sensacji barwiły powietrze na niebiesko i żółto, to zmieszane razem nadałyby wnętrzu sali odcień bardzo głębokiej, ciemnej, intensywnej zieleni.

Atheves, mająca dumną i trochę wyniosłą urodę złej królowej z baśni, pewnym krokiem nadażała za modą, a wybierała z niej to, co najlepsze. Niepodobna było odmówić smaku granatowej sukni z czarnymi dodatkami, ozdobionej kokardą trochę mniejszą niż zwykle, która to kokarda nie ujmowała powagi ministrowi, zarazem zaś przypominała, że jest ona jednak kobietą. Z ulubionymi szmaragdami w broszy, małych kolczykach i pierścionku Atheves wyglądała znakomicie: poważna, nie-ostentacyjna, lecz zadbana, piękna i

Lecz w tej samej sali zjawiła się archanielica. Tyleż piękna, co potężna, a nawet trochę groźna. Pewna siebie i nad wyraz dostojna.

Błękitno-biała suknia Sa Tuel, olbrzymia i rozłożysta, z rozciętymi i luźno spływającymi w dół rękawami, bardzo skąpo przybrana koronkami, była tak dalece niemodna, tak wczorajsza, że mogła oznaczać tylko jedno: awangardę renesansu uroczystej mody dworskiej sprzed trzydziestu lat, awangardę, którą tutaj... na prowincji, nieprawdaż... przeoczono. Z szeroką kryzą na szyi, a w zamian głęboko odsłoniętymi piersiami, nad których półkulami widniał dosyć duży, ale prosty złoty krzyż, ze spiętrzoną wysoko fryzurą, pani Sa Tuel powiedziała wszystkim wokół, że Jej Ekscelencja ministra jest po prostu niestosownie ubrana - ani skromnie, ani uroczyście, słowem: nijak. Suknia dobra na każdą

okazję na tle szaty Sa Tuel stała się naraz suknią na żadną okazję. Uszyta z myślą o balu szata baronowej była jednak suknią bardziej wizytową niż balową - nie figlarną, nie kokieterijną i nawet nie pyszną, przeciwnie, bo tylko olbrzymią i najzupełniej wyjątkową, w pewien sposób uroczystą i poważną. Uzupełniały ją złote dodatki, bardzo małe i dyskretne, jeśli nie liczyć krzyża. To oczywiście nie była kopia sukni sprzed trzech dekad, a tylko zdecydowane do minionej mody nawiązanie, wyrażone w rozłożystości szaty i śnieżnej bieli kryzy, lecz stonowane dekoltem, nie do pomyślenia w tamtych czasach. W zamian nie było ani śladu kokard... W Moenie najwyraźniej wiedziano już o czymś, o czym w Ammene-Re

Surowa i dumna kryza dodana do zamówionej sukni była pomysłem nieocenionej Katarzyny, pamiętającej jeszcze suknie sprzed trzydziestu lat szykowane matce Renaty Sa Tuel. Poprzez strój baronowa z rozmysłem nadała swemu poselstwu nadzwyczaj wysoką rangę.

Dwie znakomite damy - obie poważne, obie piękne - różniły się więc bardzo wyraźnie. Ministra była niemodna, drobna w swych ciemnych barwach (mimo że w rzeczywistości wyższa od rywalki), starsza i na koniec, niestety, mniej urodziwa.

Urzędniczka.

Atheves, nieco blada, ale opanowana, uprzejmie powitała kobietę, której do wczoraj nienawdziła w dwójnasób, a od minuty - w trójnasób. Sa Tuel odpowiedziała spokojnie, niemal cicho, bo doskonale wiedziała, że jest to najlepszy sposób, by zmusić zebranych do natężenia uwagi i zachowania ciszy absolutnej.

- Proszę pozwolić, Ekscelencjo, że przedłożę swoje listy uwierzytelniające. - Baronowa obejrzała się, drobnym gestem przywołując oficera, który podszedł niezwłocznie, niosąc trzy pakiety. Sa Tuel wskazała palcem: ten i ten. Oficer natychmiast zbliżył się do stołu i podał ministrze wskazane dokumenty. - W kopercie opatrzonej nazwiskiem dostojnej księżny Se Potres jest list, który winien trafić w jej ręce. Upoważniono mnie jednak do przedłożenia go przedstawicielowi bądź przedstawicielce Jej Wysokości, co niniejszym czynię.

Atheves pobieżnie przeczytała pełnomocnictwo udzielone baronowej przez wicekrólową, po czym obróciła w dłoniach drugi pakiet.

- List nie jest pieczętowany.

- Jest sygnowany pierścieniem Pierwszej Damy Bractwa Rycerskiego, Ekscelencjo. Lecz koperta opieczętowana rzeczywiście nie jest.

- Zna więc zapewne pani jego treść?

- Oczywiście, Ekscelencjo. I spieszę z zapewnieniem, że nie musiałam czytać, by ją poznać. Mam zaszczyt być posłanką, nie gońcem dostojnej Weroniki Teresy.

Napomnienie, choć spokojne, w ustach kogoś innego zabrzmiałoby obcesowo. Lecz przed ministra stała bardzo godna i chłodna dama, domagająca się szacunku nie dla siebie, lecz osoby, którą reprezentowała.

Atheves dość gładko przełknęła nauczkę i wyjęła list. Pomimo nadzwyczajnego wysiłku nikt z obecnych w sali nie dostrzegł na jej twarzy najdrobniejszej bodaj wskazówki, z której można by wnosić, jaka jest treść pisma: pomyślna, niepomyślna, dziwna czy jeszcze jakaś... Przeczytawszy pismo dwukrotnie,

Atheves uniosła wzrok.

- List zostanie przekazany do rąk własnych Jej Wysokości...

Czy to wszystko, z czym pani przybyła?

- Nie, Ekscelencjo.

- Proszę więc przedłożyć mi treść pani poselstwa.

- Niestety, nie mogę, Ekscelencjo, czy też raczej: owszem, ale pod pewnymi warunkami.

- Warunkami?

- Nie ja je postawiłam, Ekscelencjo. Wypełniam wolę osoby, która powierzyła mi reprezentowanie tutaj swoich spraw. Czy mam przedstawić te warunki?

Jeszcze raz skinąwszy na porucznika gwardii, Sa Tuel wzięła z jego ręki trzeci pakiet.

- Słucham - powiedziała Atheves.

- Jest to pismo do wyłącznej wiadomości Jej Wysokości księżny Se Potres... albo pani. Jego treść będzie wymagać komentarzy z mojej strony, a nie wątpię, że i pani zada mi pyt- Proszę dać mi to pismo.

- Ekscelencjo, do wyłącznej pani wiadomości. To oznacza, że musimy zostać tu same. To nie mój warunek, powtarzam, i nie mogę go negocjować.

W sali podniósł się cichy szmer prowadzonych szeptem i półgłosem rozmów. Ktoś gestykulował nachylony do ucha sąsiada, drugi wzruszał ramionami, jeszcze ktoś inny z powątpiewaniem kręcił głową.

- Przecież skoro poznam treść, ujawnię ją następnie albo nie ujawnię, według swojej woli i zachcianki... Czy mam może zobowiązać się słowem do zachowania tajemnicy?

Sa Tuel uśmiechnęła się wyrozumiale, z wyżyn swej wiedzy o treści zagadkowego pisma.

- Jest to pismo do wiadomości tylko dwóch osób, pozwolę więc sobie zauważyć, że byłoby z pani strony nadużyciem rozgłoszenie tego, co zawiera, bez porozumienia z księżną Se Potres. Ale postąpi pani zgodnie ze swą wolą i sumieniem, Ekscelencjo. Ja, wiedząc, czego to pismo dotyczy, dodam tylko, że za dziesięć minut to pani będzie nalegać, bym zachowała dyskrecję, o czym z góry mogę zapewnić.

Szmer rozmów wzmógł się wyraźnie.

- Proszę dać mi to pismo. Przeczytam, lecz nie ujawnię jego treści. Zdecyduję, czy będą mi potrzebne dodatkowe wyjaśnienia. Jeśli tak, zostaniemy same.

Sa Tuel przez sekundę zastanawiała się, co to znaczy. Prędzej czy później i tak musiały rozmówić się w cztery oczy. Czyżby czarownica obawiała się pozostać w komnacie tylko z nią? Wyraźnie nie chciała skorzystać z wygodnej okazji do rozmowy. Prawdziwej rozmowy.

- Ekscelencjo. Musimy zostać same, zanim oddam pismo. Jeśli to niemożliwe, to mam zaszczyt oznajmić, że moja misja tutaj dobiegła końca. W zamian poproszę o glejt, który ułatwi mi dalszą podróż do Pahr lub innego miejsca, gdzie znajduje się Jej Wysokość księżna Se Potres.

To rzekłszy, Sa Tuel skłoniła się lekko, nie odwracając spojrzenia od ministry.

Atheves rzeczywiście nie chciała zostać teraz z przeciwniczką w cztery oczy. Tuż przed wejściem do Gabinetu Rady powiadomiono ją o wizycie młodego protazyty... Nie wiedziała, z czym przybył, a przed rozprawą z Sa Tuel wołałaby się

dowiedzieć. Wątpiła wprawdzie, by to było coś ważnego... Ale jednak uznała, że warto sprawdzić. Nic nie ryzykowała; było przecież zupełnie pewne, że Sa Tuel nie zakończy swojej misji w pół słowa i nie pojedzie szukać Jej Wysokości. Jakikolwiek sprawy miała Dostojna, Sa Tuel przywiozła oprócz nich swoje własne. A były to sprawy do Atheves, nie do pani Se Potres.

I ministra z największym spokojem wzięła odwet za pierwszą porażkę.

- Skoro tak, to dziękuję pani - powiedziała, wstając na znak, że posłuchanie skończone, i lubując się krótkim, lecz jednak zauważalnym wyrazem konsternacji na twarzy archanielicy. - Oczywiście niezwłocznie każę wystawić glejt, o który pani prosi; podobny list, lecz skierowany do dowódców mijanych garnizonów otrzyma kapitan gwardii honorowej, którą pani przydzielę, wzmacniając w ten sposób jej własną osobistą straż. Zechce pani teraz wrócić do swoich komnat bądź swobodnie poruszać się po pałacu, proszę tylko nie opuszczać go dzisiaj. Nie jest to areszt, kieruje mną troska o pani bezpieczeństwo, za które tu odpowiadam. Jeśli zechce pani jednak w jakichś sprawach wybrać się do miasta, proszę dać mi znać, a wzmocnię pani eskortę i wydam odpowiednie rozkazy. Bądź co bądź,

Skłoniła się uprzejmie, bez śladu wyniosłości lub niechęci.

Sa Tuel doszła do siebie na tyle, by odpowiedzieć na ukłon i podążyć ku drzwiom. W środku jednak, pod maską spokoju i obojętności, była zdruzgotana. Jeśli Atheves nie chciała rozmowy, to znaczyło... znaczyło, że nie ma już o czym rozmawiać.

Del Wares nie żył, zabity z jej rozkazu bądź podczas próby ucieczki.

Półprzytomna z rozpaczy, ugięta pod brzemieniem klęski baronowa prawie nie pamiętała, jak doprowadzono ją do komnat gościnnych. Dopiero w drzwiach pokoju zdała sobie sprawę, że jej domysł nie musi być prawdziwy. Choćby nawet Del Wares nie żył... Atheves, tak czy owak, rozmówiłaby się z nią, kłamała, próbowała wygrać swoje, niczego nie mając w kartach. Poza tym było niepodobieństwem, by wypuściła z rąk tajemnicze pismo, pozwalając, by dotarło do księżnej. O co chodziło? Jaka gra się toczyła? Czy naprawdę Dorota Atheves bała się zostać z nią sama? Czy potrzebowała specjalnych przygotowań? A może chciała wydrzeć dokument podstępem? Ale po co, skoro wystarczyło sięgnąć ręką, zgodzić się na krótką rozmowę w cztery oczy? Najwyższa poufność to w rokowaniach rzecz zwyczajna. Gubiąc się w domysłach i czystych spekulacjach, baronowa krążyła po komnacie, bo nie była w stanie odgadnąć rzeczywistej przyczyny zwłoki. Przecież tylko zwłoki?... Lada chwila mógł przyjść pokojowiec z zaproszeniem na małą nieoficjalną audiencję.

Pokojowiec jednak nie przychodził.

Boleśnie kalecząc ministrę strojem i urodą, Sa Tuel ani się spodziewała, że w odwecie trafi ją zatrute ostrze. Pchnięcie było dobrze wymierzone, a co gorsza, zakaziło krew. Jad rozpływał się w żyłach, powodując niewymowne cierpienia. Sa Tuel miała przy tym świadomość, że przeciwniczka na pewno zdaje sobie z tego sprawę, siedzi więc gdzieś w swoim pokoju i być może spokojnie czyta książkę, unosząc wzrok tylko po to, by z lekkim

uśmiechem wystawić sobie konwulsje ugodzonej. Po czym znowu wraca do lektury, myśląc: „Jeszcze trochę, jeszcze godzinę...”. I wiedziała, co robi. Pomimo całego doświadczenia w prowadzeniu podobnych rozgrywek Sa Tuel miotła się między rezygnacją, wściekłością a nienawiścią i obojętne, które z tych uczuć miało zatriumfować, było uczuciem osłabiającym gotowość do dalszej walki. Po raz kolejny nie doceniła przeciwniczki. Jechała do Ammene spokojna, z zamiarem zimnego poprowadzenia gry na własnych warunkach. W ciągu kwadransa wszystko się zmieniło. Inicjatywa należała do Atheves, która wprawdzie na pewno musiała ją w końcu wezwać, ale mogła to zrobić kiedykolwiek. Za pół godziny, za dwa dni, za tydzień, zawracając z drogi do Pahr.

Podziękowawszy zebranych w Gabinetach osobom, pani Atheves udała się do swoich prywatnych komnat na piętrze. Młody zakonnik, wyposażony w specjalną przepustkę, wchodził do pałacu bocznym wejściem i prowadzony był zwykle prosto do jej pokoi. Zwykle, albowiem spotkali się już trzy razy, wymieniając informacje o wykonanych posunięciach. Atheves nie lekceważyła wsparcia, którego jej tak skwapliwie udzielono. Dzięki Towarzyszom Ducha Świętego miała dobre i świeże wiadomości z Moeny, a zresztą nie tylko z Moeny. Nie pytając o nic - bo przymierze nie oznaczało przecież bezwarunkowego zaufania - zyskała świadomość, że braciszczkowie zakonni obecni byli niemal wszędzie, oczywiście także na jej własnym dworze.

Najczęściej nawet nie braciszki, bo tylko pomocnicy, najemnicy służący Towarzystwu za pieniądze albo z innych powodów. Wiedząc, jakie wpływy ma owo tajne stowarzyszenie, ministra uważała dotąd, że w Valaquet jego obecność nie zaznacza się aż tak mocno. Jednakże, nawet jeśli miała sporo słuszności, to ta „słabo zaznaczona obecność” nadal mogła zrobić wrażenie.

Młody protazyta, który ani wiedział, że jego przybycie posłużyło Jej Ekscelencji do sporządzenia powoli działającej trucizny, wstał z krzesła na widok wchodzącej i mnisim obyczajem skłonił głowę, jednocześnie kryjąc dłonie w rękawach. Pozdrowiwszy go, Atheves poprosiła, by z powrotem

- Nie, Ekscelencjo - rzekł zakonnik. - Przybyłem do pani z poselstwem i muszę przedłożyć je, stojąc.

- Z poselstwem?... Naprawdę, można by pomyśleć, że rozwiązał się worek z poselstwami.

- Wiem, o czym pani mówi.

- Wie ojciec o poselstwie, które właśnie przyjąłem?

- Oczywiście.

- Skądinąd - powiedziała Atheves - w ogóle mię to nie dziwi... Gdyby Towarzystwo przeoczyło podobną sprawę, świadczyłoby to o niewielkich jego możliwościach. A jakie te możliwości są, wiem już dosyć dobrze.

- Są o wiele mniejsze, niestety, niż pani mogłaby sądzić - rzekł z goryczą w głosie zakonnik. - Stoi przed panią zarazem poseł i buntownik, ktoś, kogo haniebnie zdradzono.

Zaniepokoiła się.

- O czym ojciec mówi? - zapytała, siadając.

- Odebrałem list od mojego zwierzchnika, wprowadzie tymczasowego, bo w Klasztorze Valaquet jestem tylko gościem. Przekazuję ten list pani, wypełniając otrzymane polecenie. Dodam tylko, że nakazano mi go oddać właśnie dzisiaj i teraz.

- Dzisiaj i... teraz?

- W dniu, a nawet chwili, gdy przyjmie pani posłankę dostojnej Weroniki Teresy. Wiem, dlaczego mi tak kazano, a i pani bez trudu się domyśli.

Ogarnięta złymi przeczuciami Atheves rozerwała kopertę i przeczytała list:

Pani!

Z przykrością zmuszony jestem powiadomić Panią, że dalsza nasza współpraca stała się niemożliwa z powodów, które nie zależą od Pani ani ode mnie. Zechce Pani zapomnieć o wszystkich osobach, które z mojego polecenia stawiały się przed Panią. Nie istnieją już w Valaquet żadne sprawy, które wymagałyby działań z naszej strony. Pozostały tylko problemy polityczne, do których rozstrzygnięcia powołani nie jesteśmy.

List nie był podpisany. Nie padło w nim ani jedno słowo jednoznacznie wskazujące na Towarzystwo Świętego Ducha. Tym samym jako atut w jakiegokolwiek rozgrywce list nie miał żadnej wartości.

- Podpis, którego brakuje - rzekł zakonnik, widząc, że Atheves skończyła czytać - winien brzmieć: Przeor Zgromadzenia Valaquet. Lecz nazwiska i ja nie wymienię.

Zostałam więc zdradzona - powiedziała spokojnie ministra.

- Odstąpiona. Porzucona - sprostował protazyta. - Towarzystwo nie przeszło na stronę pani przeciwników, Ekscelencjo, a co więcej, lojalnie powiadamia panią o swoim odstępstwie. Lecz to już wszystko, co mogę powiedzieć na obronę zgromadzenia, któremu poświęciłem wszystkie swoje

- Mówi to ojciec w taki sposób, jakby coś się tutaj zmieniło...

- Zmieniło się, Ekscelencjo. Zdecydowany jestem dalej stać u pani boku, bo w liście napisano nieprawdę. Owszem, w Valaquet nadał istnieją sprawy wymagające działań ze strony każdego, kto boi się Pana Boga i szanuje Jego wielkie dzieło.

- Porzucasz ojciec... chciałam rzec: występuje ojciec z zakonu?

- Tak o tyle, że łamię ślub posłuszeństwa; nie, bo pozostaję wierny regule i misji mojego zakonu.

- Dlaczego ojciec to robi? A konsekwencje?

- Konsekwencje dla mnie? Mogą być, niestety, poważne. A dlaczego to robisz?...

Mnich zamyślił się.

- Proszę wreszcie usiąść. Poselstwo wypełnione, teraz już tylko rozmawiamy.

Protazyta usiadł.

- Ekscelencjo - powiedział po namyśle - nie jest moim zamiarem obrazić panią, lecz sądzę, że powody mojej decyzji są poza granicami pani pojmowania.

- Wątpię. Mogę się z czymś nie zgadzać, lecz niemal każdy powód potrafię przynajmniej zrozumieć.

- Skoro tak...

Młody mnich namyślał się jeszcze przez chwilę, lekko kiwając głową.

- Mam wiarę - rzekł na koniec. - Jest ona dwojakiemu rodzaju. Po pierwsze, wierzę w Boga, Ekscelencjo, w słusność Jego zamysłów, nieomylność i wszechmoc. Wierzę głęboko i jak dotąd niezachwianie. Nie rozumiem świata, w którym przyszło mi żyć, lecz bardzo mocno wierzę, iż rozumie ten świat jego Stwórca. Zaufałem Mu i nie zdarzyło się nic, co kazałoby mi przestać ufać. Po wtóre, wierzę jeszcze w swój zdrowy osąd. Nie istnieje wyraźna granica oddzielająca dobro od zła, albo lepiej: na pewno istnieje, ale każdy ją widzi w trochę innym miejscu, i nie mówię tu o ludziach złej woli, a tylko o ludziach dobrych. Otóż nawet człowiek prawy, Ekscelencjo, może wszcząć dysputę z innym prawym człowiekiem na temat przebiegu tej granicy. Ostatecznie każdy ma tylko swój własny osąd, po ludzku ułomny i niedoskonały. I ja mam swój osąd, Ekscelencjo. Wierzę, iż jest słuszny. Ową granicę oddzielającą dobro od zła dostrzegam na ogół wyraźnie i nie mogę udawać, że jej w tym miejscu nie ma. Pozostaję więc wierny swemu osądowi, który rodzi się w rozumie i sumieniu.

- Nigdy ojciec nie ma wątpliwości?

- Ależ mam. Ponieważ jednak wątpliwości mają, a przynajmniej winni mieć wszyscy, nie mogę i nie chcę zastąpić swego ułomnego osądu cudzym ułomnym osądem. Gdy zaś chodzi o sprawę, którą mam na myśli, a o której pani wie, mogę rzec: nie, tutaj wątpliwości żadnych nie mam. W świecie stworzonym przez Boga dla ludzi pojawił się obcy wrzód, ropień, i jeśli nawet - w co nie wątpię - pojawił się za wiedzą i z woli Pana

Boga, to tylko jako wyzwanie, jako próba, której muszę sprostać. Której wszyscy winniśmy sprostać. Mój Ojciec i Stwórca patrzy na mnie w tej chwili, Eksceleńco. Nie potrafię spojrzeć ku Niemu i powiedzieć: „Panie, od dzisiaj nic mnie już Twa próba nie obchodzi i odwracam się do tego plecami”. Nie zdarzyło się przecież nic, co zmusiłoby mnie do zajęcia nowego stanowiska i wytyczenia nowej granicy, o której przed chwilą mówiłem.

Atheves spoglądała z głębokim namysłem na młodego mężczyznę, tak bez reszty oddanego idei, w którą wierzył. Wbrew jego krzywdzącym podejrzaniom potrafiła taką postawę zrozumieć. Także miała swoje święte cele i niczego nie robiła dla siebie, a może raczej: nie dla przyziemnych korzyści i nie dla zemsty. Jeśli osiągała jedno albo drugie, to tylko po drodze, niejako przy okazji. Toczyła długotrwałą, niemal beznadziejną wojnę - własną wojnę, prywatną - o uczucie jednego mężczyzny. I gotowa była spalić na stosie tej sprawy całe swoje

A jednak - podobnie jak Sa Tuel i Dostojna - bała się świętych, nie ufała męczennikom i unikała ich. Miłość, ambicja, nawet tylko pieniądze - o, tak, to były zwykłe ludzkie sprawy i ktoś, kto o nie walczył, wydawał się... obliczalny. Lecz walka o wielkie idee, takie jak Bóg, sprawiedliwość? Czym jest miłość i jaka jest miłość, wiadomo; w zamian nikt nie wiedział, jaki naprawdę jest Bóg. Walka w imię czegoś, co nie wiadomo, jakie jest? Walka w imię nie wiadomo czego? W imię wyobrażeń, gołej wiary?... Tacy ludzie byli niebezpieczni.

Młody zakonnik sprzeniewierzył się swemu tajnemu stowarzyszeniu, bo miał swoją granicę oddzielającą zło od dobra; jutro gotów sprzeniewierzyć się komuś innemu, choćby pani Atheves. Wystarczyło, by doszedł do wniosku, że wytyczona przez nią linia niezupełnie pokrywa się z wytyczoną przez niego. Fanatyk idei.

- Mogę powiedzieć ojcu szczerze, co myślę.

Patrzył wyczekująco, więc uczciwie przedstawiła mu treść swych rozmyślań sprzed chwili. Pomięła tylko sprawy osobiste.

- Ojciec dba o swoje szczęście w Niebie, ja o swoje także tutaj, na ziemi - rzekła na sam koniec. - Nie możemy więc zawrzeć sojuszu, bo nie ufam ojcu; ojca nie obchodzi tu i teraz. Organizacja, która zdradziła ojca, wobec mnie postąpiła uczciwie, sam ojciec przyznał. Nie zapłaciłam za pomoc, nie zostałam więc oszukana i otwarcie mówię, że postawienie sprawy takie, jak w tym liście, jest dla mnie zrozumiałe. Decyzja ojca -nie. Albo raczej, jeśli nawet ją rozumiem, to nie mogę poprzeć. Jesteś skazany na wieczną samotność, wielebny, bo twój jedyny sojusznik, i to bardzo niepewny, mieszka w Niebie. A tutaj, na ziemi, prędzej czy później zostanie ojciec sam, niewygodny dla wszystkich. Także dla mnie. Nie pytam nawet, co ojciec może dla mnie zrobić, bo się boję sojuszu z kimś takim.

Drogi moje

i Towarzystwa po prostu się rozeszły. Z tobą, wielebny, to już nie taka prosta sprawa. Nie wiadomo, czy nasze drogi kiedyś się tylko rozejdą, bo możliwe, że po prostu nie pomieszczą się obok siebie na jakiejś wąskiej przelęczcy, gdzie z jednej strony zło, a z drugiej dobro... Teraz dziękuję ojcu za wszystko... i nie mówię

do widzenia. Nawet nie wiem, czy powinnam życzyć ojcu szczęścia. Mnich wstał z krzesła.

- Przykro mi, że odrzuca pani moją pomoc.

- To nieszczerłość, bezczelność czy tylko bezmyślność, młody zakonniku? - zapytała spokojnie, a nawet łagodnie. - Jaką pomoc? Przecież, wielbny, widzisz we mnie tylko narzędzie, które może posłużyć twojej wielkiej sprawie. Narzędzie, które porzucisz, tak jak porzuciłeś swój zakon. Nikomu nie będziesz wierny tu, na ziemi, tylko sobie i swoim przekonaniom. Ale są też inne przekonania i chcąc z kimś współdziałać, z kimkolwiek, trzeba czasem choć trochę ustąpić ze swoich pozycji. Czy stać cię na to, wielbny? Otóż nie. Dzisiaj sprawy splotły się w taki sposób, że walcząc o swoje, walczę zarazem ze sługami tego, co kryje się pod nazwą Egaheer, i dlatego gotów jesteś... No, nie tyle przecież służyć mi pomocą, bo w jakiej to sprawie, słucham? Gotów jesteś pozwolić, bym ci pomagała. Ale jutro?

Protazyta nic nie powiedział.

- Zatem żegnam, świętobliwy mężu. Poproszę jeszcze o dokument, dzięki któremu miałeś ułatwiony dostęp do mnie.

Zakonnik oddał kartkę, skłonił się i poszedł.

Atheves została sama. Nie myślała już o zakonniku. Myślała o znenawidzonej przeciwniczce, z którą zaraz miała się zmierzyć. A powoli stawało się jasne, że wciągnięto ją na niepewny grunt, bagna albo ruchome piaski. Gorzej, sama przecież parła do tej bitwy i sama wybrała teren.

Zerwanie przymierza z Towarzystwem zmartwiło ją, ale nie za bardzo. Dostała przechwycony list, przekazała o tym wiadomość Sa Tuel, zasięgnęła trochę różnych wieści. Więcej pomocy nie potrzebowała. Ale łatwość, z jaką wróg wytrącał jej oręż z ręki, niwelował sojusze - musiała budzić respekt. Schwytła u siebie szpiega, na którym zależało jej starej przeciwniczce, tylko tyle. Wyciągnęła ku niej rękę - i bezbronna łania przemieniła się w smoczycę, potwora z legend, którego krok wstrząsał gruntem, uderzenia skrzydeł obalały wieże, oddech palił miasta. Nic nieznacząca dama znikąd przedzierzgnęła się w jednej chwili w emisariuszkę najpotężniejszej jeszcze do niedawna władczyni cywilizowanego świata, osobę nietykalną, wyposażoną w szerokie uprawnienia, chowającą w zanadru jakąś groźną wiedzę. W mgnieniu oka rozpędzono tajne stowarzyszenie, które wszędzie miało swoich ludzi, i żeby tylko rozpędzono... Gorliwie i na czyjś rozkaz (czy Dostojnej?) ta potężna organizacja udzieliła, symbolicznego co prawda, wsparcia przeciwnikowi; przecież z pełnym rozmysłem kazano młodemu protazycie oddać list właśnie teraz, przez co jego wymowa była co najmniej podwójna. „Zważ Ekscelencjo - mówiono - jak z dziecinną łatwością pozbawiono cię sojuszników; zechciej to wziąć pod uwagę przy rozstrzygnięciu

Co dalej? Czy jutro albo pojutrze miała stawić się w Ammene sama księżna Se Potres ze słowami: „Dziękuję już pani, moja droga Atheves. Odpoczęłam, teraz zechciej mi przekazać z powrotem wszystkie sprawy i polecić kogoś na swoje stanowisko;

jest pani zmęczona, proszę wyjechać do wód"?

Myśląc o takiej możliwości, ministra uśmiechnęła się lekko i pokręciła głową... nawet nie podejrzewając, że niemal otarła się o prawdę albo o coś, co było bliskie prawdy. Świat, a szczególnie prowincja Valaquet - wszystko musiałoby stanąć na głowie, by mógł ziścić się podobny nonsens.

Przecież jednak właśnie się ziszczał, a raczej miał ziścić się za pół godziny.

Atheves przywołała pokojowca.

- Pójdiesz do pani Sa Tuel - powiedziała. - Najuprzejmiej przeprosisz ją za najście i zapytasz, czy zechce mi zaraz złożyć... roboczą, lecz nieuroczystą wizytę w mojej osobistej kancelarii. Jako powód podasz konieczność uzgodnienia kwestii związanych z podróżą pani baronowej do Pahr.

- Tak, Ekscelencjo.

Atheves poszła do swojej kancelarii, tej samej, na której ścianach wciąż jeszcze widniały bryzgi atramentu. Nie kazała dotąd zmienić obić. Po drodze zamieniła dwa słowa ze strażą w przedpokoju, by upewnić się, czy wojskowe zakute pałki na pewno dobrze wiedzą, po co stoją przy drzwiach. Pan Del Wares, jakkolwiek nikczemny, podpowiedział jej jednak to i

Wkroczywszy do pokoju, Atheves rozejrzała się dokoła, po czym usiadła na krześle za stołem. Byłoby zabawnie, gdyby pokojowiec wrócił z odpowiedzią: „Pani baronowa, niestety, już się dziś położyła i prosi o przełożenie rozmowy na jutro”. Mogły się tak bawić bez końca. Ale obie wiedziały, że mogą, i dlatego podobne igraszki nie miały żadnego sensu.

Ministra była zupełnie pewna, że Sa Tuel zaraz przyjdzie.

I Sa Tuel rzeczywiście przyszła.

Zostawione same, bez świadków, obie kobiety - które w innych czasach i w innym miejscu rzuciłyby się na siebie jak wilczyce i nawzajem pozagryzały - teraz tylko w milczeniu przyglądały się sobie z uwagą i zwyczajną ciekawością. Pomimo zastarzałej nienawiści osobiście prawie się nie znały. Sa Tuel bywała kiedyś na dworze w Lazenne, lecz królewska metresa niewiele uwagi poświęciła co prawda świetnie urodzonej, ale jednak tylko prowincjuszcze. Ze swej strony Sa Tuel pamiętała wprawdzie, jak wygląda pani Atheves, ale to nie jej alkowa stanowiła wyzwanie... Wygnaną ze stolicy Sa Tuel przestała być na dworze; kilka lat później niekochana i niechciana Atheves została wysłana z tajną misją do dalekiej prowincji Valaquet... Teraz znajdowały się w jednej niedużej komnatce. I ktoś mógłby zapytać, co właściwie takiego uczyniły sobie te kobiety, które w innych okolicznościach mogłyby być serdecznymi przyjaciółkami, że każda chciała zgotować przeciwniczce jak najgorszy los?

Otóż popełniły zbrodnie najstraszliwsze: pierwsza próbowała zabrać sobie mężczyznę należącego do drugiej, w zamian druga skrzywdziła mężczyznę należącego do pierwszej. Po czymś takim nie mogło już być mowy o jakimkolwiek pojednaniu, przebaczeniu, pokoju albo choćby tylko zawieszeniu broni. Takie rzeczy zdarzały się czasem, ale by mogły się ziścić, potrzebne były inne kobiety. Nie te dwie.

- Usiądź - powiedziała Atheves, wskazując obszerny fotel, lecz w tym krótkim słówku nie było niczego protekcyjnego,

wręcz przeciwnie: obojętne jak podła i zdradliwa, pani Sa Tuel należała jednak do tego samego kręgu co Atheves i mogły rozmawiać na równi. - Spełniłaś mój warunek, a zarazem go nie spełniłaś. Przyjechałaś, ale nie do mojej dyspozycji, baronowo. Jesteś nietykalna; choćbym chciała, choćbyś ty sama tego chciała, nie śmie ci tutaj spaść włos z głowy. Jeśli jutro zechcesz zażyć truciznę, to we własnym interesie wyrwę ci ją z ręki, co obie wybornie rozumiemy. O czymkolwiek będziemy rozmawiać i cokolwiek postanowimy, musisz pani wrócić do Moeny. To oznacza, że znajdziemy się w punkcie wyjścia. Mam posłać drugą szkatułkę? Czy też raczej sama ją zabierzesz, a ja dzięki temu oszczędzę na opłacie pocztowej?

- O szkatułkach jeszcze pomówimy - odparła beznamiętnie baronowa. - Te szkatułki bardziej dotyczą Atheves niż Sa Tuel.

- Rzeczywiście?

- Tak, bo mogłaś osiągnąć wszystko, a nie osiągniesz nic. Byłam już w drodze tutaj, zawróciłam wskutek przypadku, a raczej za sprawą mylnej informacji. Pojechałabym znowu, wystarczyło ponowić... wezwanie. Tak, wezwanie, umiem nazwać rzeczy po imieniu. Pani jednak posunęła się o krok za daleko. Miałaś niewolnicę, którą mogłaś zabić. Zamiast tego udreńczyłaś ją tak, że doprowadzona do ostateczności rzuciła się do walki. Twoja wojna... i twoja przegrana.

- Jest pani wyjątkowo pewna siebie, baronowo.

- Raczej tak.

- Ale zdaje się, że ja ciągle mam coś (bo nie wiem, czy to jeszcze jest ktoś), na czym ci zależy. Jak rozumiem, masz dla

mnie ofertę wartą więcej niż to, czego zażądałam za wypuszczenie...

- Co z nim zrobiłaś?

- Co tylko chciałam.

Sa Tuel trochę mocniej zacisnęła dłoń na złożonym wachlarzu.

- To szlachcic i powinnaś go traktować jak szlachcica. Pojmać wroga, dobrze, ale tak z nim postąpić może tylko...

- Kto? - zapytała szybko Atheves, po raz pierwszy od początku rozmowy uśmiechnięta.

Sa Tuel odzyskała panowanie nad sobą i pożałowała chwili satysfakcji danej wiedźmie.

- Wnioskuje, że się nie porozumialiśmy - powiedziała.

- W sprawie pana Del Wares? Nie.

- Zatem jeśli Wasza Ekszelencja pozwoli, przedstawię jej posłanie od wicekrólowej. Potem wrócimy do rozmowy, ale już z innych pozycji. - To mówiąc, wstała, podeszła do stołu i skłoniła się nadzwyczaj powściągliwie. - Oto własnoręczne pismo dostojnej Weroniki Teresy Del Valaquet Se Alide Sar, przeznaczone dla księżny Se Potres i do wiadomości jej przedstawicielki w Ammene.

Atheves wzięła podany pakiet i z namysłem zważyła w dłoniach. Sa Tuel z bijącym mocno sercem wróciła na swoje krzesło. W ciągu najbliższej minuty miało się okazać, czy nie omyliła się w rachubach. Gotowa była przyjąć zakład, że nie. Ale nikt nie miał absolutnej pewności, jaką partię rozgrywa w Valaquet Atheves. Jeśli chodziło jej o coś, o czym nikt nie pomyślał... Poza tym mogła jeszcze niejedno kryć w zanadru.

Walczyć umiała na pewno.

O czymkolwiek myślała ministra, musiało być w pewien sposób podobne do rozważań baronowej. Miała w ręku prawdziwy powód przybycia Sa Tuel do Ammene. Jej tajną broń, straszliwy oręż, którego siły przeciwniczka najwyraźniej była pewna. Jeden ruch palców... rozdarła koperta... Rzadko tak wyraźnie dają znać o sobie chwile przełomowe. Jeszcze... czegoś nie ma. Zaraz będzie. Czas popłynie dalej, nie zawróci, bo nie wraca nigdy. Niczego nie da się cofnąć.

Atheves otworzyła pakiet. W miarę jak czytała, do serca baronowej jąła wlewać się błogość, odprężenie graniczące ze zmysłową rozkoszą. W kilkanaście sekund opadło z niej całe napięcie i niepewność. Pozostał już tylko dręczący niepokój o człowieka, którego właśnie uwolniła.

Ministra księżny Se Potres nie umiała zachować pozorów obojętności. Twarz miała wprawdzie bez wyrazu, ale pobladła tak, że zachodziła obawa, iż zemdleje. Sa Tuel dostrzegła bez mała, jak na głowie czarownicy zaczynają jeżyć się włosy.

- Co to jest, do diabła? - zapytała ochryple Atheves, niepotrafiąca opanować drżenia rąk. - Prowokacja? Kpina? Jakiś

Na dwie lub trzy sekundy urywane pytania ministry zawisły w stężonym powietrzu.

- Deklaracja - niemal cicho odparła Sa Tuel. - Projekt i zapowiedź aktu abdykacyjnego, bo jeszcze nie sam uroczysty akt. Pierwsza Dama Bractwa Rycerskiego, z powodów zdrowotnych niezdolna do sprawowania władzy, gotowa jest natychmiast

i bez żadnych warunków oddać tron pierworodnej swojej córce Wanesie księżnej Se Potres. Prosi, by pozostawić jej tytuł hrabiny Se Alide Sar i to, co pozostało z ziem hrabstwa. Lecz to też nie jest warunek. Tylko prośba.

Wciąż blada jak śmierć Atheves milczała, nie odrywając spojrzenia od pisma.

- Koniec wojny - jeszcze ciszej dodała Sa Tuel. - Dziś albo jutro. Dziękujemy ci, Ekscelencjo; zechce pani wrócić do Lazenne albo kontentować się stanowiskiem u boku młodej wicekrólowej. Przyznam jednak, że widzę tam siebie.

Atheves uniosła wzrok.

- Jakąkolwiek i dla kogokolwiek grę tu prowadzisz, właśnie się skończyła - powiedziała jeszcze Sa Tuel.

- Chyba jednak nie - odparła po długiej chwili ministra.

- A z czego to pani wnosi?

Skąpym gestem Atheves wskazała pismo.

- Jeśli to nawet nie jest mistyfikacja...

- Przecież wie pani, że nie.

- A skąd, proszę, mam wiedzieć?

- Stąd, że zechce mi pani to pismo zaraz oddać. Zresztą...

Może pani zachować ten dokument, ja zaś niezwłocznie wyruszę do Jej Wysokości w Pahr. Projekt, zamiar... O intencjach Dostojnej mogę powiadomić księżnę ustnie.

- Dobrze. Jeśli nawet, to przysłaś pani z tym do mnie. By zobaczyć, jaką zrobię minę? Zobaczyłaś. Czy to już wszystko?

- Rzeczywiście nie.

- No to słucham,

- Dwa miesiące - powiedziała Sa Tuel. - Dziś lub jutro albo za dwa miesiące... Co to za różnica? - powtórzyła niemal słowo w słowo to, co w środę powiedziała Dostojna. - Chcesz mieć dwa miesiące? Zapłać, a może dostaniesz. Zaproszenie dla księżnej nie zostanie anulowane, Dostojna wkrótce spotka się z panią Se Potres i powie jej o swojej decyzji. Z wprowadzeniem jej w życie można jednak poczekać. Zawieszenie broni może potrwać nawet kilkadziesiąt dni; nieformalne trwa zresztą stale. Dwa miesiące to dość, by znalazła pani jakieś wyjście z sytuacji, ustawiła się w dobrej pozycji do zdania raportu królowi. W przeciwnym razie będzie wręcz głoszone, że to pani knowania i intrygi legły u podstaw zawartego porozumienia; że to pani jesteś przyczyną ponownego zjednoczenia prowincji Valaquet pod berłem dam i kawalerów Zakonu Rycerskiego. Nie sądzę, by znalazła pani oparcie w księżnej Se Potres, która dotknie wicekrólewskiej korony przyniesionej na czerwonej poduszce... Przyniesionej przeze mnie, Ekszelencjo.

- Co mi pani właściwie proponuje? Przecież to tyle co nic.

- Czy możliwe, bym oceniała panią wyżej, niż sama się oceniasz?... Dwa miesiące, Atheves. Tylko pomyśl. Przez te dwa miesiące przygotujesz grunt w Lazenne, uprzedzisz Miłościwego Pana, że sprawy stoją źle, wykryjesz jakiś spisek, ułożysz intrygę, obarczysz kogoś całą winą. Na przykład panią Sa Tuel, która uzyskała przemożny wpływ na obie damy Bractwa Rycerskiego; chętnie przyznam, że istotnie uzyskałam. Osiągniesz

tylko tyle, a zarazem aż tyle. W przeciwnym razie zechcesz wziąć na siebie całą odpowiedzialność za nastanie pokoju w Valaquet, zjednoczenie armii pod wspólnym dowództwem, przekreślenie planów króla... za wszystko. Pani klęska, ministra, jest nieunikniona, ale przegrać można bardzo różnie. Przywiozłam ultimatum poparte propozycją honorowej kapitulacji. Czy tak to się nazywa w tym nieznośnym języku

Atheves doszła do siebie na tyle, że zaczęła się zastanawiać, bezwiednie mnąc w ręku dokument... a może raczej podpisany wyrok. Rozum podpowiadał, że złota żmija ma słuszość. Wszystko najstaranniej przemyślała i jej pewność siebie nie brała się znikąd. W jednej dłoni wyrok - druga dłoń wskazująca drogę ucieczki, ratunku. Lecz zraniona miłość własna i sponiewierana duma, a obie podsyczone nienawiścią, nie mogły tak w jednej chwili ulec podszeptom rozumu. Pani Atheves gorączkowo szukała luk, szczelin... dziury w całym. Czy Dostojna naprawdę gotowa była abdykować? Może to był tylko niebywale śmiały fortel obliczony na wyrwanie z jej rąk... Ale kogo? Czy ten mały szlachcic - ta nędzna podłota robiąca pod siebie w lochu - czy to był ktoś wart podobnych machinacji? Zresztą projekt aktu abdykacyjnego miał wagę dokumentu, była to wstępna, niemniej oficjalna deklaracja podpisana przez wicekrólową i pieczętowana jej pierścieniem. A Sa Tuel jednak nie żartowała, mówiąc, że gotowa jest natychmiast ruszać do Pahr. Jeśli nic tu nie uzyska, wyruszy. Ale znowu czy to wszystko - a więc koniec pięcioletniej wojny, abdykacja (litościwy Boże - właściwie tylko dymisja; nominalnie Weronika Teresa była przecież nie

monarchinią, a zaledwie królewską urzędniczką) wicekrólowej, sukcesja jej pierwszej i jedynej już córki - czy to wszystko z powodu małego intryganta osadzonego w Svern?

Oczywiście nie. Dostojna musiała powziąć swą decyzję już dawno, a w każdym razie niezależnie od losów kawalera Del Wares. Sa Tuel uzyskała taką tylko łaskę, że wicekrólowa pozwoliła jej zagrać swoją wielką kartą. Uroczyste przekazanie tronu mogło się odbyć za miesiąc, dwa miesiące, trzy... Te miesiące dostała Sa Tuel. Kilkadziesiąt dni, za które mogła coś kupić. Było jasne, że piękna baronowa nie ma już nic więcej. Dostojna, raz powziawszy taką decyzję, wręcz musiała wytrwać w swym postanowieniu. W piersi pięknej Atheves wezbrał nagle przewrotny śmiech, bo to ona w tej chwili na podeście szubienicy trzymała sznur wrywający zatyczkę zapadni. Mogły obie zawisnąć - ona i Sa Tuel - albo razem uciec spod stryczka.

- Proszę o szczegóły - powiedziała.

Batalia została rozstrzygnięta. Sa Tuel wyszła z ostatniej bitwy; pozostały jej już tylko pospolite targi, które mogłaby prowadzić i Melania.

- Za dwa tygodnie Dostojna wyprawia bal, na który zaprasza Jej Wysokość księżną Se Potres. Księżna zaproszenie przyjmie.

- Skąd pani to wie?

- Bo inaczej Dostojna by jej nie zapraszała - chłodno odparła Sa Tuel. - Jeśli umie pani czytać listy... a wiem, niestety, że pani umie... to w zaproszeniu do Jej Wysokości znajdzie pani potwierdzenie moich słów. Obie Damy Bractwa nie odgrodziły

się od siebie aż tak grubym murem, jaki wszyscy tutaj widzieli.

- Proszę dalej.

- To wszystko.

- A jakie są moje gwarancje?

- Nie dam pani żadnych.

- W takim razie myślę, że sama zatrzymam sobie jedną.

- To nie wchodzi w rachubę. Tym bardziej że... Atheves, niech pani nie będzie naiwna - rzekła baronowa, potwierdzając to, o czym Jej Ekscelencja myślała przed minutą. - Dostojna darzy mnie szczególnymi względami, a nawet przyjaźnią, pozwoliła mi więc zaszantażować panią, tym bardziej że pani nie kocha, bo weszłyście kiedyś w przykry spór. Zna ją pani jednak lepiej ode mnie, a na pewno dłużej. Tysiąc takich więźniów, jakich pani ma, to jeszcze będzie za mało, by odwieść wicekrólową od powziętego zamiaru. Dostałam od niej dwa miesiące i pod pewnym warunkiem mogę je oddać pani. Nie dostałam natomiast prawa do decydowania o tym, czy wicekrólową abdykuje i na czyją rzecz. To już postanowione. Gwarancja, której się pani domagasz, jest dla mnie nie do przyjęcia. Nie będziesz trzymać u siebie człowieka, któremu winna jestem całkowitą lojalność...

- Całkowitą lojalność - przerwała drwiąco Atheves.

- Nazywaj to, pani, jak chcesz. Nie pozwolę ci go trzymać po to, byś po dwóch miesiącach, gdy już dopniesz swego, po prostu kazała go stracić.

- Tego nie zrobię, bo ty wówczas podniesiesz moje „zasługi” dla sprawy pokoju w Valaquet.

- Za późno i poniewczasie. Nie, Atheves. Nie ustąpię. Odjadę stąd z panem Del Wares albo pojadę do Pahr.

Jeśli nawet Atheves nie mogła dłużej walczyć, to na pewno umiała się targować. I natychmiast tego dowiodła.

- Ależ, moja słodka Sa Tuel... Przecież ja jeszcze decyzji nie powzięłam. Cały czas rozważam, co mi się bardziej opłaca: byle jakie ratowanie skóry czy raczej prześwietna klęska, o której długo będą mówić w Zjednoczonych Królestwach... Nie kusi mnie pójście na dno, ale gdy pomyślę, że mogłabym zabrać ze sobą cały statek, jest mi lżej. Nie przeciągaj więc struny, baronowo.

Zabrzmiało to na tyle poważnie, że Sa Tuel musiała uwzględnić w swych rachubach ostrzeżenie. Będąc na miejscu Atheves, sama rozważałaby coś podobnego. Przywykła zdobywać wszystko albo nic. Gdy zaś nie brała nic, nie brał także nikt inny.

Atheves należało zagadać... Dać czas, by zdała sobie sprawę, że choć wyrzucona za burtę, nie musi jednak iść na dno. Oswoiwszy się z tą myślą, zacznie bezwiednie układać plany, a gdy raz zacznie, to już nie zrezygnuje. Sa Tuel musiała rozpoznać moment, w którym wolno jej będzie postawić sprawę na ostrzu noża. Ten moment jeszcze nie nadszedł.

- Nie zrywajmy pochopnie negocjacji... – rzekła ustępliwie.
- Gwarancje? Proszę wziąć do ręki mój list uwierzytelniający. Cokolwiek mówię, popiera swym autorytetem ktoś ważniejszy ode mnie. Wie pani, że Dostojna dotrzyma danego słowa. Nie domagam się, byś mi wierzyła. Uwierz jej.

- To bardzo niedobry argument, baronowo. Sprowadź mi pani psa, który szczeka na rynku, a prędeż mu uwierzę niż tej starej wywołce Ayhoe - powiedziała z całkowitym spokojem i swobodą Atheves. - Zapomniałaś, do kogo mówisz. Nazywała mnie kiedyś swoją młodszą siostrą, „małą siostrzyczką"... Tak mówiła.

- Ale to nie tobie składa obietnice, lecz swej córce.

- Tamte obietnice nic mnie nie obchodzą. Mówimy o gwarancjach dla mnie. Chcę mieć tylko pewność, że jeżeli przyjmę podsunięty przez panią plan, to nikt nie pomiesza mi

- Nie dam pani takiej pewności. Daję pani szansę: dwa miesiące! - rzekła z naciskiem Sa Tuel. - Całe dwa miesiące, słyszy pani?

I odetchnęła, gdy Atheves wpadła w zastawioną pułapkę.

- Po pierwsze, to trochę za mało.

- Co pani przez to rozumie?

- Potrzebuję więcej czasu.

To akurat Sa Tuel przewidziała i wygrała na swoją korzyść. Mogła dać Atheves aż dwa razy więcej, niż dawała.

- Ale to wykluczone - odpowiedziała stanowczo. - Nie dostanie go pani. Bal już za dwa tygodnie... Niepodobna odwlekać w nieskończoność...

- Powtarzam pani: muszę mieć więcej czasu. Przynajmniej miesiąc więcej. Do Lazenne jest bardzo daleko... a zresztą powody pani nie obchodzą.

- W żadnym razie nie dam ci więcej, niż mam - powtórzyła swoje Sa Tuel. - To nie ode mnie zależy. Dostałam dwa miesiące i ani chwili więcej.

Wygrała. Była po prostu lepsza. Teraz mogła złagodzić upokorzenie pokonanej, z rozmysłem dać jej jeszcze jedną chwilę satysfakcji... i odjechać, śmiejąc się w duchu, że ukradła Atheves okrągłutki miesiąc.

- Przed chwilą chwaliła się pani przyjaźnią Weroniki Teresy - powiedziała pani Atheves. - Choć skądinąd życzliwie uprzedzam, że niewiele jest warta ta przyjaźń. Coś wiem o tym... Niemniej wierzę, że owa piękna przyjaźń wytrzyma małą próbę. Skoro mogą być dwa miesiące, to możliwe są także trzy.

- Nie dam ci tego miesiąca, bo nie mogę, musiałabym... Nie mogę.

- Co by pani musiała, baronowo?

I biedna Atheves pozwoliła się wciągnąć do wyniszczającej i męczącej walki o nic. Dość wyniszczającej i męczącej, by brakło sił do zmagania o coś jeszcze. Sa Tuel już tylko bawiła się klęską przeciwniczki, gotowa dać jej ten miesiąc, gdy tylko uzna, że przyszała na to pora. Gotowa była malowniczo skapitulować, przełknąć upokorzenie, potem zaś postawić się tak twardo, by Atheves ujrzała, że bez uwolnienia więźnia całą rozmowę może uznać za niebyłą.

Lubując się stanem swej ofiary, Sa Tuel krążyła niczym kot wokół pólzywej myszy, uważając, by zdobycz przedwcześnie nie skonała.

XIX

Wwilgotnej i zimnej celi rana nie chciała się goić i Del Wares zaczął gorączkować. Nie aż tak, by zatracić poczucie miejsca i czasu, jednak w stopniu wystarczającym, by powątpiewać, czy naprawdę znowu ktoś przyszedł. Od odwiedzin kata minął tydzień i był to bodaj najgorszy tydzień w życiu kawalera Del Wares. Udręczony - bo sumienny kat nie odjął mu dłoni tak po prostu, pierwszej połamał wszystkie palce, pogruchotał każdy staw z osobna, aż ręka przestała przypominać rękę - przez dwa dni odczuwał dziwny ból w miejscach, z których na pewno nie mógł dobiegać, jako że tych miejsc już nie było. Przypalony rozżarzonym żelazem kikut wcale nie krwawił, ale dawał o sobie znać odrębnym szarpiącym bólem. Wisząc na łańcuchach - a raczej na jednym łańcuchu, bo żelazny kajdan nie mógł się utrzymać na ramieniu pozbawionym dłoni - Del Wares rozmyślał o wszystkim, co mógłby jeszcze w życiu zrobić, a czego już nie zrobi. Choćby nawet przeżył i wy dostał się z lochu, miał być odtąd tylko niestarym kaleką,

szukającym wymyślnych sposobów na sprostanie najzwyczajniejszym czynnościom. Filozofując, ujrzał całą marność istnienia, które mogło zostać tak łatwo porozbijane na kawałki przez brak małego fragmentu ciała. Tysiąc niemożności, sto na zawsze zamkniętych dróg... Cała wiedza, życiowe doświadczenie, nabyte umiejętności - wszystko to uleciało niczym porwany wiatrem puch. To nie ręka była strzępem ciała, wprost przeciwnie: to, co pozostało, było strzępem.

A jednak Del Wares chciał żyć. Przegrał swoją batalię, nie wykorzystał ostatniej danej przez Boga szansy, nic już więcej nie mógł uczynić. Ale bardzo na kogoś liczył. Gdzieś, blisko i daleko zarazem, w bajkowym mieście, gdzie domy stały na wodzie, przebywała silna kobieta potrafiąca dokonać rzeczy niemożliwych. Było zupełnie pewne, że wiedziała już o jego losie. Del Wares mógł zważyć w sobie, w Boga, w sens istnienia, w cokolwiek i w kogokolwiek. Lecz na tym niepewnym gruncie zawsze miał pod stopami granitowy obelisk, twardy i niewzruszony. Czymkolwiek była Egaheer, dobierała swe sługi podług wielce szczególnego klucza, potrafiła rozpoznać cechę, która bardziej niż inne kształtowała ich postawę, a mianowicie całkowitą lojalność. Absolutną lojalność aż do końca. Piękna baronowa kochała go albo nie, ceniła bądź nie ceniła, lecz był jej pewien bardziej niż samego siebie. Gdy stawali razem do walki, to razem tę walkę kończyli i dopiero wówczas znowu mogły rozejść się ich drogi. Każde miało sojusznika i przyjaciela gotowego poświęcić wszystko i zawsze o tym wiedziało. Na dnie beznadziei i rozpacz.

Egaheer - dziwny byt, może demon, niechby zjawisko - również taka była. Niewiele tłumaczyła i najbardziej na tym polegało jej podobieństwo do Boga. Żądała wiary i ślepego zaufania. Ale, inaczej niż Bóg, jeśli tylko mogła, przybywała na każde wezwanie. Nigdy nie zostawiała swych sług samym sobie. Jeśli mogła pomóc, pomagała. Del Wares wiedział, że gdyby dotarła do niej wieść o śmiertelnie groźnym położeniu, w jakim się właśnie znajdował, przybyłaby mu z pomocą. I rozniosła przekłętą twierdzą w drobny mak, jeśli nie byłoby innego wyjścia; rozniosłaby, nawet gdyby miała za to zapłacić bardzo wysoką cenę. Wymagała, by jej słudzy dawali z siebie wszystko, ale gdy widziała, że tak jest, gotowa była im pomóc w sytuacji zupełnie beznadziejnej. Tak jak przed pół rokiem, gdy porzuciła bezpieczną kryjówkę i rozpraszając znaczną część swego jestestwa, stanęła na krawędzi samozagłady, w ostatniej chwili przychodząc mu z odsieczą. W brudnym i zimnym lochu Del Wares odkrył coś bardzo niezwykłego, a mianowicie rodzaj przywiązania do Egaheer. Nie było przecież prawdą, że służył jej tylko do zaspokojenia swojej żądzy czynu, zadośćuczynienia awanturniczej naturze. Egaheer stanowiła dziwny, niesamowity, niemniej pewny i niewzruszony element w świecie, gdzie wszyscy wszystkich zdradzali, każde odstępstwo jawiło się kwestią ceny, Bóg był nieobecny bądź udawał głuchego, a Piekło pożerało swoje sługi.

Siedząc w swojej ciemnicy i walcząc z bólem, chory i ranny szlachcic liczył na pomoc kobiety, w którą wierzył, a zarazem martwił się o panią, której służył. Zniknęła, nie było jej. Tak długo, jak jeszcze nigdy. Del Wares nie chciał takiego podłego

świata, w którym nie było Egaheer. Mógł jej służyć albo nie służyć, ale życzył sobie wiedzieć, że gdzie jest.

Mając gorączkę, stale był spragniony, bo wody dawano mu mało. W pustej misce nie została nawet nędzna kropla. Nic dziwnego, że wyrwany ze snu, czując na wargach dotyk krawędzi naczynia i smak życiodajnego płynu, uznał najpierw, że majaczy lub śni. Lecz woda była prawdziwa, pił naprawdę i z każdym łykiem wracały mu siły. Miał bardzo silny organizm; sama gorączka, chyba zresztą niezbyt wysoka, nie pokonałaby go. Musiała współdziałać z odrętwieniem, bólem, chłodem, niewygodą i dokuczliwym pragnieniem. Po raz pierwszy od wielu dni zaspokoiwszy łaknienie do końca, Del Wares poczuł się tak, jakby dano mu spożyć eliksir młodości i siły.

- Zaraz świt, mamy mało czasu - powiedziała niewidoczna w ciemnościach kobieta. - Czy może panwstać?

Odetchnąwszy głęboko po ostatnim łyku, Del Wares jął się śmiać.

- Jest pani niepoprawna... Po co pani przyszła?

- O, i znów się pan ze mnie śmiejesz? Żeby pana uwolnić - odparła urażona, jako że zamiast śmiechu oczekiwała chyba łez wdzięczności. - Jeśli może pan wstać, niech pan wstanie.

- Musiałbym oderwać od ściany ten łańcuch. Śruby skręcono mocno, palcami ich pani nie otworzy.

Poczuł jej dłoń przy swojej, drugą chyba ujęła ogniwa, które rozgięte ze szczękiem zaraz zadzwoniły na kamiennej posadzce.

- Tej obręczy na nadgarstku pozbędzie się pan później - powiedziała, jakby rozerwanie gołymi rękami łańcucha było czymś całkiem zwyczajnym. - Znowu pytam: czy możesz pan wstać? Jeśli nie, to powiedz, a wtedy cię poniosę.

Nagłość i niezwykłość zachodzących zdarzeń po raz drugi skłoniły Del Waresa do śmiechu. Ból, którego doznawał od tak dawna, stał się niemal częścią jego ciała, nie przeszkadzał już w myśleniu, a nawet nie był przeszkodą dla objawów wisielczej wesołości. Wyobraziwszy sobie, jak spoczywa w ramionach ładnej panny Se Moyna, nie potrafił zachować powagi.

- Odwykłem od chodzenia, ale jeśli da mi pani rękę, to wystarczy. Nic zupełnie nie widzę...

- Zaraz będzie światło, wstań pan. Ale... coś panu przyniosłam, to są pludry, proszę - rzekła jeszcze i Del Wares mógłby przysiąc, iż usłyszał w jej głosie... rumieniec. - Poradzi pan sobie?

- Zobaczymy.

Poszło nieporadnie i niezbornie, ale poszło.

- Skoro już, to chodź pan.

Niepewnie stanąwszy na nogach, Del Wares uczynił kilka kroków prowadzony przez przewodniczkę. Domyślił się, a zaraz potem ujrzał - bo w korytarzu na zewnątrz były przebite okna, przez które zaglądały blade gwiazdy - że przekroczył próg swojej celi. Kobieta, której kontur sylwetki jął dostrzegać, powiedziała coś i pstryknęła palcami, który to dźwięk wzbudził w więźniu bardzo niemiłe wspomnienia. Mając pojęcie o magii, wiedział, że takie gesty bądź słowa są nazywane przez adeptki brudnej sztuki „wyzwoleniami”.

Wyzwolenia to nie były magiczne formuły potrzebne do warzenia różnych zup o piekielnym działaniu i jeszcze gorszym smaku, lecz czynności pomagające w krótkiej jak okamgnienie chwili wyzwolić wolę potrzebną do przeobrażenia rzeczywistości. Pytanie, czy w ogóle była to magia, czy też raczej jakaś słabo poznana siła drzemiąca w ludzkim umyśle. Pomagały uwolnić tę siłę słowo, okrzyk, gest albo klaśnięcie w

Pstryknąwszy palcami, panna Monesca Se Moyna rozjaśniła dwa kaganki ustawione w specjalnych wnękach ściennych. W świetle owych kaganków Del Wares ujrzał śpiącego smacznie dozorcę - człowiek ten, oparty o mur, nie przewracał się jakimś cudem, choć wyglądało na to, że powinien.

- Wszyscy śpią?...

- Nie sądzę, inni już się chyba pobudzili. Będę ich usypiać kolejno, chodź pan za mną. Do wyjścia nie jest daleko.

- Dobrze. Ale co pani robi i dlaczego? Wiesz przecież, komu się narażasz, wyprowadzając mnie stąd.

Poprowadziła.

- Dobrze wiem. Nic mi nie grozi.

- Nie wie pani, co mówi.

- To pan nie wie. Ani co, ani do kogo.

Del Wares odzyskał już część władzy w nogach, jednak za najbliższym zakrętem korytarza poprosił o krótki postój.

- Najwyżej dwie minuty - powiedział. - Może zaraz będzie trzeba biec. Rozprostowałem nogi, niech teraz trochę odpoczną. Potem już się zatrzymywać nie będziemy. Ma pani gdzieś blisko konie?

Skinęła głową i oparła się o ścianę.

Milcząc, Del Wares oglądał najpierw splecione w warkocz i wysoko upięte włosy, następnie czarną jedwabną koszulę, a niżej tak samo czarną spódnicę spiętą pasem, za który zatknięte były dwa ładne kawaleryjskie pistolety - bynajmniej nie zabaweczki. Wielce szczególny strój i ekwipunek jak na młodą damę trzepoczącą na co dzień wachlarzem.

Ale zwyczajne młode damy nie biegały nocą po posepnych twierdzach i nie wyciągały z cel skazańców.

- Przy koniach jest broń i szaty. Wino, trochę jedzenia... i pieniędzy.

- Kim pani jest, młoda wiedźmo? I dlaczego mi pani pomaga?

- Bo chcę kogoś ustrzec przed popełnieniem jeszcze jednej zbrodni - odrzekła cokolwiek niecierpliwie i chłodno. - Bo mam dosyć ohydy, której wszędzie pełno. Bo ci uwierzyłam i może zrobiłam błąd. Niczego nie mogłam sprawdzić; zaufałam pańskim słowom. Znalazłam wtedy tamten list... i przyszłam.

- Gdzie go pani znalazła?

- A co to pana obchodzi?

- Już nie pytam.

- Przyszłam raz, potem już nie mogłam i dzisiaj też nie powinnam. Ale jutro mogłoby być za późno.

- Dlaczego?

- Bo ktoś chce pana uwolnić, tak sędzę. Możliwe, że na pańską zgubę, a jeżeli nie, to tym gorzej. Ma... - urwała. - Ministra pana nie wypuści i nikt jej do tego nie zmusi, wiem na pewno.

- Skąd pani wie?
- Bo ją znam. Możesz pan już iść?
- Mogę.
- Chodźmy.

Lecz uszli najwyżej kilkanaście kroków i posłyszeli rozmowę. Słowa rozbrzmiewały coraz wyraźniej, coraz bliżej. Ktoś nadchodził: kobieta i mężczyzna albo kilku mężczyzn. Od niedalekich schodów biło coraz mocniejsze światło latarni. Zamieniono jeszcze kilka słów i Del Wares poznał głos

- To jedyna droga... Wracamy, szybko! - powiedziała panna Se Moyna. - No, chodź pan!

Pobiegli z powrotem korytarzem.

- Usiądziesz pan w celi jakby nigdy nic, złączę dla pozoru twój łańcuch, jest ciemno - tłumaczyła spiesźnie. - Schowam się, a jeśli będzie trzeba, wyjdę.

- Wiesz, kto tu idzie?
- Wiem.

Minęli śpiącego dozorcę i znaleźli się w celi. Wiedźma odwróciła się, zamknęła drzwi, schyliła głowę, wolno uniosła obie ręce i opuściła gwałtownie, a razem z tym gestem rozbrzmiał szcęk zamykanych od zewnątrz zasuw.

- Dozorca! - szepnął Del Wares.
- Już nie śpi... pamiętałam...

Była wyraźnie zmęczona, ale chyba nie od krótkiego biegu.

Siadłszy pod ścianą, Del Wares okrył nogi swoją wierną postrzępioną peleryną, żeby zakryć pludry, których wcześniej nie miał, po czym wyciągnął okute żelazem ramię i pozwolił,

by dziewczyna zaczepiła rozgięte ogniwo łańcucha, z czym łatwo sobie poradziła mimo mroku.

- Nie zobaczy mnie... bądź spokojny... – powiedziała jeszcze i umilkła, jakby rozplynęła się w ciemnościach.

Del Wares czekał pod swą ścianą.

Usłyszał kroki, krótki rozkaz i zgrzyt zasuw. Udając wyrwanego ze snu, mrużąc oczy od światła dwóch latarni, spoglądał na dostatnio, choć niedbale odzianego mężczyznę, który mógł być gubernatorem twierdzy Svern. Najbardziej wskazywała na to właśnie owa niedbałość ubioru; tak odziewa się ktoś wyrwany nagle ze snu. Gdyby człowiek ten przybył z ministrami, wyglądałby nieco porządniej.

Pani Atheves, w ciemnej sukni, z latarnią w dłoni, pewnym krokiem postąpiła w głąb celi.

- Dziękuję panu - rzekła do towarzyszącego jej mężczyzny.

- Zechciej pan zabrać stąd dozorcę i proszę na mnie poczekać przy schodach.

- Nalegam, by jednak...

- Powiedziałam, że chcę tu zostać sama. Ile razy mam panu powtarzać? Więzień jest skuty, nic mi nie grozi. A zresztą zabierz pan pistolet strażnikowi i zostaw mi tutaj. Nie zaszkodzi.

Odebrawszy podaną broń, pani Atheves odczekała, aż na korytarzu umilkną kroki odprawionych mężczyzn. Przymknęła ciężkie drzwi, odłożyła pistolet na zbutwiałą półkę przy drzwiach, uniosła latarnię i obejrzała wnętrze nędznej celi. To samo, choć dyskretnie, uczynił Del Wares, choć nie wątpił, że panna Monesca wie, co mówi... W każdym razie nie było jej.

Atheves odwiedziła twierdzę Svern tylko raz, ale w dzień, nie w nocy. Wydawała się zdziwiona chłodem i wilgocią, tak niepasującymi do majowych upałów; mrokiem, który zaległ w kątach i nie dawał się wypędzić nawet światłu latarni.

- Myślałam, że pomieszkas tu dłużej - powiedziała. - A tymczasem muszę cię wypuścić.

Del Wares nic nie powiedział. Popatrzyła prosto na niego.

- Co, nie cieszysz się, kawalerze? Powiedziałam, że cię wypuszczam.

Zajrzała w niezdrowo błyszczące oczy siedzącego i postuchała, jak oddycha z wysiłkiem. Wynędzniały i brudny Del Wares, półokryty podartym płaszczem, z owiniętym szmatami kikutem prawej ręki, bez trudu udawał bardziej chorego i słabego, niżli był. Gorączkę miał rzeczywiście, a sam szklisty błysk oczu nie zdradzał, jak bardzo była wysoka. Atheves pochyliła się i zaświeciła mu latarnią w twarz, patrząc, jak

- Ach, do diabła, czy ty jesteś w ogóle przytomny, mój złoty? Przecież musimy porozmawiać. Bardzo mi zależy na rozmowie.

- O czym chcesz... rozmawiać, Doroto?... - z wielkim trudem zapytał Del Wares.

- Doroto. Jak słodko to brzmi.

Lekko uśmiechnięta stała przed nim, kołysząc trzymaną za kółko latarnią.

- Przegrałam - powiedziała spokojnie. - Całkowita klęska, kawalerze. Twoja piękna pani przyjechała do mnie i postawiła sprawę w taki sposób, że nie mogłam odmówić.

Wsiadłam do karety i przyjechałam się pożegnać. Zaraz odjadę, a ty wyjdiesz.

Del Wares nie wierzył w ani jedno słowo, choć skądinąd Atheves potwierdziła to, co wcześniej mówiła młoda wiedźma. Powiedziała: „ktoś chce cię uwolnić”. Więc Sa Tuel rzeczywiście była w Ammene. Lecz Del Wares nie wierzył, by pani Atheves przyjechała doń w nocy tylko po to, by oznajmić dobrą nowinę. Cokolwiek sobie umyśliła, było groźne i na pewno podłe. Być może istotnie zamierzała go wypuścić, odjawszy wpierw drugą rękę, nogi, albo i ten najgroźniejszy oręż, jaki „jej złoty” w tej chwili miał przy sobie... Del Wares podjął więc grę obliczoną na pannę Monescę, bo tego, co mówiła Atheves, nie zamierzał brać sobie do serca.

- Chcesz mnie oddać... w jej ręce? - zapytał słabo. - Mało ci tego... co już mi zrobiłaś?...

- Co mówisz?

- Nie wydawaj mnie.

- Nic nie rozumiem - powiedziała szczerze zdziwiona. - Boisz się swojej kochanki albo co?

- Gdybyś choć raz chciała ze mną pomówić... zamiast od razu karać, dowiedziałybyś się wszystkiego.

- A czego takiego bym się dowiedziała?

- Uciekłem od niej i ukryłem się u ciebie. Przysięgła, że mnie dostanie...

- A cóż to za baśń, kawalerze? I jaka piękna!... Ale zdaje się, że naprawdę majaczysz. Hola, panie Del Wares! Oprzytomniej pan!

- Podsunęto ci ten list... nie rozumiesz? Nie wiem, kto ci go przyniósł, ale jeśli przypadkiem Towarzysze Ducha Świętego...

to przepięknie cię omotano. A ja płacę za twoją łatwowierność.

Strzelając w ciemno, Del Wares zarazem wiedział, co mówi. Jako kochanek Atheves mógł nie wzbudzać jej zaufania, ale przechwycenie przez nią listu nie wchodziło w rachubę. By przechwycić tajną wiadomość, trzeba na nią czekać, wykraść ją, odebrać bądź wyłudzić, tego nie da się zrobić przypadkiem; w każdym razie nie w takich warunkach. Towarzystwo Ducha Świętego mogło czekać i wiedziało na kogo. Na wiozącego list Ewangelistę. Zakonnicy mogli wskazać ministrze gońca bądź przejąć list własnymi siłami.

Niemal nieuchwytny cień na twarzy Atheves podpowiedział mu, że chyba trafił. Poprowadził więc szarżę dalej:

- Przecież ona jest jedną z nich... O czym napisała w liście? Może o Egaheer? Służyłem temu czemuś razem z nią... miałem dość... i uciekłem od obu...

Atheves przestała się uśmiechać. Bajka czy nie bajka, brzmiało to jednak... możliwe. Ministra nagle zadała sobie pytanie, jakim cudem intrygantka tej miary co baronowa Sa Tuel napisała tak kompromitujący list? Zaczęła pospiesznie szukać czegokolwiek, co kazałoby odrzucić posłyszana właśnie historię... i nie mogła niczego znaleźć. Wszystko, zupełnie wszystko pasowało. Tak być nie musiało i najpewniej nie było - lecz być mogło.

Jednakże teraz, wobec tak usilnych starań Sa Tuel o wypuszczenie więźnia, jego słowa brzmiały nieprawdopodobnie. Gdyby to istotnie była przewrotna gra obliczona na osobistą zemstę,

to Sa Tuel śmiałaby się w Moenie, odbierając kolejne kawałki kawalera Del Wares, radując się zemstą dokonaną cudzymi rękami. Po co miałaby zadawać sobie taki trud, by uwolnić skaźca?

Lecz i na to była odpowiedź: mogła się obawiać, że więzień prędzej czy później powie to, co właśnie powiedział. Że zdemaskuje jej grę, zdradzi przynależność do tajnego bractwa... Zaskoczona Atheves zobaczyła nagle, jak pięknie składa się historia Towarzystwa Ducha Świętego, które nagle ją odstąpiło. Z czyjego rozkazu, dociekała. Kto był tak silny, że rozpędził ich na cztery wiatry? Ależ... nikt! Jeśli Sa Tuel w samej rzeczy była jedną z nich... I mnich, niby to święty, pragnący nadal pomagać. A może raczej szpiegować?

Kilka niewyraźnych słów okaleczonego mężczyzny wywołało w głowie Atheves większy zamęt niż wcześniejsza rozmowa z baronową. Doświadczona w knowaniach i intrygach, nie umiała jednak wyplątać się z tych wszystkich sieci narzuconych jedna na drugą. Nie w ciągu godzin... minut! Tylko minut! Jakaś gra nakładała się na inną. Gdzie leżała prawda? Tu czy tam? A może jeszcze gdzie indziej? Co właściwie rozgrywała Sa Tuel? Kim był ten tutaj... okaleczony cień? Kolejnym kochankiem ukradzionym przez złotowłosą dziwkę? Która jej nienawidziła z całej duszy, ależ tak! Czy naprawdę zemściła się za starą klęskę z Lazenne, wzięła odwet za tamto wygnanie? Zniszczyła niełojalnego, a raczej byłego kochanka, odbierając go zarazem kobiecie, której była śmiertelnym wrogiem. Odebrała i zniszczyła jej

własnymi rękami! Lecz Dostojna?... Lecz abdykacja?... Lecz poselstwo, listy... Niemożliwe! Chyba żeby Weronika Teresa miała w tym swój udział, też chciała się zemścić... a mogła i miała powody. Atheves, ze wzrokiem utkwionym w ścianie, czuła, że zaraz pęknie jej głowa.

- Jeśli nawet jest to możliwe... to zupełnie nieprawdopodobne... - powiedziała na koniec z wysiłkiem tak wyraźnym, jakby to ją ogarniała gorączka. - Mam dość knowań, zrad i podstępów, jest mi już wszystko jedno. Przegrałam grę znacznie większą niż intryga kochanków... cudzych albo własnych, bez znaczenia. No właśnie, to już bez znaczenia. Wkrótce wyjadę z tego kraju, bo obojętne z jakich powodów, ale jednak zostałam wyrzucona. I tylko to się liczy. Muszę cię wypuścić, więc wypuszczam. Obojętne mi, czy wrócisz w ramiona kochanki, czy też pod topór kata. Ale na wypadek, gdyby to rzeczywiście była twoja kochanka... nie dostanie cię.

Sięgnąwszy do szyi, Atheves wyciągnęła spod sukni maleńką aksamitną sakiewkę zawieszoną na złotym łańcuszku. Wydobyła z niej flakonik o rozmiarach połowy palca.

- Karol! - powiedziała bardzo głośno i wyraźnie. - Imię króla, słyszysz? Mówię: Karol! KAROL! A teraz ci opowiem, kawalerze, jaki los cię czeka, bo chcę mieć swoją chwilę zemsty. Potem sprawię, że zapomnisz wszystko, co zostało powiedziane po słowie, które przed chwilą wbiłam ci do głowy. Otóż zaraz zechcesz wypić kilka kropel z tej buteleczki... ależ nie zaprzeczaj, bo mówię ci, że zechcesz. Wyjdiesz stąd i odjedziesz ze swoją ukochaną, wszystko jedno, czy naprawdę nią jest.

Ta trucizna już na zawsze zostaje we krwi, zabija bardzo powoli, ale nieuchronnie. Dwa miesiące, może trzy, a nawet cztery... Nie istnieje żadna odtrutka i nie ma żadnego ratunku. Uczni medycy orzekną bardzo zgodnie, że zabiło cię wycieńczenie, febra nabyta w ciemnicy ze zgniłą gorączką pospołu... Będziesz chudł, marniał, umierał. I męczył się jak potępieniec. Jeśli wziąć pod uwagę, że nie bardzo wierzę w historię, którą mi dopiero przedstawiłeś, to bezradność i rozpacz pięknej baronowej będą aż niewyobrażalne. Umrze ze zgryzoty, że spóźniła się; że gdyby działała szybciej, to pobyt w twierdzy nie dokonałby takich spustoszeń... W każdym razie Atheves słowa dotrzyma. Za kwadrans będziesz wolny, kawalerze. A teraz proszę przyjąć poczęstunek.

Siedząc pod ścianą, Del Wares jął obliczać, z jaką siłą winien szarpnąć łańcuch, by rozerwane i dla pozorów tylko szczipione ogniwa puściły. Wybornie już znał siłę czarownicy, która mogła nim grzmotnąć o ścianę, uczyniwszy tylko jeden drobny gest, musiał więc być od niej szybszy. Musiał jednym skokiem dopaść półki, na której położyła niepotrzebnie wzgardzony pistolet, odwieść kurek, używając chyba przedramienia okaleczonej ręki, i celnie wypalić, co akurat ze wszystkiego było najłatwiejsze, jako że każdy kawalerzysta i chyba każdy szlachcic ćwiczył się w strzelaniu z obu rąk. Jeden skok, jeden strzał, jeden trup. A potem... co Bóg da.

Atheves powiesiła latarnię na wbitym w ścianę haku.

- Proszę, kawalerze - powiedziała, odmykając flakonik i bawiąc się wyrazem oczu więźnia. - Wypijesz jak mężczyzna,

stawisz czoło przeznaczeniu z godnością, czy też każesz się sponiewierać, skomlać o litość? Zrobisz, co tylko zechcę, i nie każ mi dowodzić, że tak będzie. Zatem proszę, kawalerze. Zechciej pan otworzyć usta, a załatwimy rzecz szybko. No? Popróbuj, co wynika z połączenia zielarstwa, magii i alchemii, twoja ukochana takich delicji nie ma...

Lecz Sa Tuel, gdyby była w tej celi, rzekłaby może to, co jej samej powtarzał Del Wares: „Gdy masz zabić, zabij od razu. Nie ciesz się zwycięstwem, nie syć zemstą, nie poniżaj przeciwnika, nie tłumacz się przed sobą ani przed nim. Zabij, a dopiero potem mów”.

Jednakże Atheves minionego wieczoru musiała się ugiąć, została urażona w swej dumie i nieomal sponiewierana przez wroga, którego nie doceniła. I musiała mieć jakieś zadośćuczynienie.

- Ach, prawda, bo jeszcze najważniejsze - powiedziała. - Ona także tego popróbuje, zechce przecież jutro przed odjazdem spożyć jakiś posiłek... Nie mogę otruć posłanki Dostojnej, lecz posłanka Dostojnej może przecież zaniemóc za miesiąc albo dwa? Więcej czasu mi nie potrzeba. Pij, mój złoty, już tego nie wyplujesz, maleńka kropelka wystarczy... a nawet im mniej, tym lepiej, bo oznacza dłużej. Dłużej, choć tak samo nieuchronnie.

I Atheves wyciągnęła rękę, jakby chciała nią przesunąć przed twarzą Del Waresa, który już był gotów rzucić się do rozpaczliwej walki, czego nie dostrzegła. Lecz w tej samej chwili rozbrzmiało:

- Zostaw go.

Atheves znieruchomiła. Monesca Se Moyna wyszła z cienia, choć należałoby raczej rzec: pojawiła się w cieniu i zebrała w sobie wszystkie inne cienie, których naraz w kątach ubyło. Stała nieruchomo obok więźnia i patrzyła na groźną twarz czarnowłosej wiedźmy, w której oczach migotał gniew pomieszany z niedowierzaniem.

- O... - szepnęła Atheves. - Co widzę?...

- Niszczysz wszystko, czego tylko dotkniesz - z goryczą i niemal bólem powiedziała Monesca. - Zawsze tak musi być? Przeklęty ten, kto cię kocha, bo prędzej albo później strącisz go w nicość. Opamiętaj się chociaż raz.

- Chcesz mnie czegoś nauczyć, panienko?

- Chcę cię przed czymś powstrzymać.

- A jakim to prawem? Co ty sobie w ogóle wyobrażasz? Do czego ty się mieszasz? I zechcesz mi powiedzieć, co tu robisz?

- Próbuję nie dopuścić, byś skrzywdziła kogoś, kogo jedyną winą było cię pokochać.

- O mój Boże!... Więc ten tutaj pan Del Wares naprawdę jest niewinny!

- Nie ma pani żadnych dowodów, że jest winny.

- Wierzysz w te bzdury, Se Moyna?

- Wierzę. Ale jeśli nawet to są bzdury... W takim razie pozwól się oszukać. To lepsze, niż dopuścić się kolejnej niegodziwości.

- O, tego już za wiele... Nie będziesz mnie uczyła, jak mam żyć. Miałaś tutaj do niczego się nie mieszać, a co robisz?

- Zabieram stąd pana Del Wares.

- Pan Del Wares, kochana, to trup.
- Nie pozwolę ci go zabić.
- Rzeczywiście?

To rzekłszy, pani Atheves nieoczekiwanie wykonała okrągły ruch dłonią, jakby coś chwytła... i nie osiągnęła niczego, bo młoda czarownica odpowiedziała równie szybko, albo nawet szybciej, wykonując gest odwrotny, choć tak samo kreślony. Jednocześnie poderwała drugą rękę, rzucając coś w powietrze - był to drobnutki, zielono migoczący pył, a może raczej kurz. Atheves odskoczyła do tyłu i krzyknęła coś, jedno słowo. Świecący kurz zgasł.

- Tania sztuczka, ale jaka szybka... Jesteś młoda i dlatego taka silna. Ale głupia i niewiele jeszcze umiesz.
- Wystarczająco dużo.
- A tak, widzę. Usypiające proszki... I na kogo to?
- Nie pozwolę ci.
- Nie łudź się. Idź stąd, dziecko. Mówię ostatni raz.
- A ja mówię: nie.
- Pozwól więc ze mną na słówko.
- Dobrze. Jutro.
- Natychmiast, Se Moyna.
- Nie, bo wezwiesz strażę.

Atheves raz jeszcze spróbowała obezwładnić młodą wiedźmę, rzucając krótkie jak strzał z muszkietu słowo, lecz tamta, niebywale szybka i czujna, obroniła się jednym krótkim gestem. Rozgniewana czarownica przestała przebierać w środkach. Pstryknąwszy palcami, posłała dziewczynę na kamienną ścianę, odbierając taką samą odpowiedź, lecz silniejszą. Se Moyna krzyknęła, uderzając plecami w mur; Atheves uderzyła znacznie

mocniej, lecz nie wydała głosu. Młoda wiedźma rzeczywiście mniej wiedziała, ale była właśnie młoda... Za stara już na wiedźmę-zabójczynię, ale jednak młoda. Młoda, młoda!... Nie męczyła się tak szybko jak czterdziestolatka, a jej ataki miały straszną siłę. Jednakże Atheves lepiej umiała nad sobą panować; uderzywszy plecami o ścianę, mimo przeszywającego całe ciało bólu natychmiast podjęła walkę, czego tamta nie potrafiła, choć wstrząśnięto nią dużo słabiej. Uczyniwszy ręką gest, jakby coś od siebie odpychała, półprzytomna Atheves osuwała się po ścianie, lecz tamta stała nieruchomo, przygnieciona do kamieni siłą, która niemal miażdżyła jej ciało, odbierała oddech, nie pozwalała wykonać najmniejszego ruchu. Czując, że umiera, widząc, że rozwścieczona starsza czarownica zapamiętała się w gniewie, może zresztą półprzytomna nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi, nic nie widzi i walczy instynktownie, Monesca próbowała krzyczeć, lecz mogła tylko krztusić urywane słowa.

- Nnie... już... nn...

Atheves traciła przytomność, coraz mocniej, nieomal konwulsyjnie przygniatając przeciwniczkę do ściany. Se Moyna płakała, czując, jak zaczynają pękać żebra i wnętrzości.

- Mamo... nie... - powiedziała, krztusząc się bólem i łzami.

Ani łańcuch nie puścił dość szybko, ani skok nie był taki, jak trzeba... Słaby więzień wyobrażał sobie Bóg wie co, a tymczasem wątle nogi zaledwie uniosły go z ziemi, zaś sławetny skok przypominał raczej upadek. Del Wares całym ciałem wyrznął w siedzącą pod ścianą Atheves, dwie głowy jednocześnie

rozbijając o mur: swoją i jej, w którą uderzył barkiem. Na moment stracił świadomość; zaraz potem ujrzał się leżącym na bezwładnym ciele kobiety, spod której głowy sączyła się strużka krwi, czarna w świetle latarni. Naprzeciwko dygotała, oddychając ochryple, zwinięta w kłębek... Właśnie, kto?

Del Wares miał uszy i słyszał. Sytuacje zaś takie jak ta oto, gdy ledwie, ledwie wywijał się śmierci, znał lepiej, niż można wyrazić. Jeszcze potrząsał obolałą głową, na której rósł ogromny siny guz; jeszcze zgrzytał zębami, nie wiedząc, jak uśmierzyć ból w urażonym kikucie, ból wyciskający mu z oczu niemęskie zgoła łzy - a już szukał drobnego przedmiotu zgubionego przez lubą kochankę. Łatwo znalazł, choć niewiele pozostało w środku. Licząc lata (bo znał wiek Atheves, umiał oszacować wiek panny Vel Raesa Se Moyna, a nawet, choć tylko w przybliżeniu, obrachować wiek zmarłego przedwcześnie drugiego małżonka późniejszej królewskiej metresy, mającego piękne dobra w gościnnym królestwie Arelay), dodał dwa do dwóch i racząc nieprzytomną Atheves przyniesionym przez nią specjałem, wiedział już, jak się sprawy mają. Wyrzuciwszy flakonik do diabła, stanął na słabych nogach, uzbroił się w położony na półeczce pistolet i opadł na kolana przy swej dzielnej obrończyni, wciąż walczącej o każdy oddech.

- Jesteś cała?

- Tak... - powiedziała ze szlochem. - Ale... ona?

Brakowało jej odwagi bądź siły, by przetoczyć się i spojrzeć za siebie.

- Będzie żyła, chociaż z bólem głowy... Opatrzmy ją szybko, odpocznij, jeśli musisz, i wyprowadź mnie stąd, Monesco. Im szybciej pani to zrobisz, tym prędzej wrócisz tutaj. Ja zaś muszę dać znać do Pałacu Driad, i to jeszcze zanim... Jej Ekscelencja tam wróci.

- Chce pan ratować... tamtą?

- Tak, bo kochałem ją kiedyś. Nie pozwolę, by została otruta.

- A ja... mam tu wrócić?

- Nie chce pani?

Wciąż dygocząc, zwróciła twarz ku niemu.

- Pan usłyszał - powiedziała bezradnie.

- Jeśli nawet, to nie ma dla mnie znaczenia. Chociaż w ogóle nie wiem, co to wszystko znaczy.

- Chciałam wreszcie być przy niej - powiedziała z nowymi łzami. - Zawsze mnie trzymała z daleka od wszystkiego... Od siebie. Przyjechałam, chociaż mi zabroniła. Przysięgam, że nie zdradzę się, kim jestem. Bała się, że ktoś zechce mnie użyć w jakiejś intrydze przeciw niej... Martwiąc się o kogoś, była słaba... uważała, że jest słaba. Miałam się nie mieszać do niczego, pod żadnym pozorem nie ujawnić, kim naprawdę jestem i... złamałam słowo...

- To nieładnie - powiedział Del Wares.

- Nieładnie - zaczęła śmiać się przez łzy.

- Obejrzyj ją, owiń głowę... i wyprowadź mnie stąd. Przeżyłem dość.

- Ona... ale ona nie chciała mnie skrzywdzić... pan to wie.

- Wiem. Opatrzmy ją, Monesco.

- Pan mi pomoże?

- Tak.

- Ale czy to, co pan mi mówił... i jej też... Czy to były bzdury, tak jak powiedziała? Pan kłamał? Ja... zrozumieć, jeżeli

- Nie - powiedział Del Wares, bo bardzo chciał opuścić mury Svern, a zrozumienia u kobiet wolał już nie szukać. - Kochałem pani matkę, Monesco. I być może nadal ją Kocham... ale już do niej nie wrócę.

- Jaka ona nieszczęsna i głupia - powiedziała ze łzami, których miała chyba nieprzebrany zapas. - Stracić kogoś takiego jak pan.

Było już całkiem widno, gdy znaleźli się na małej polance nad rzeką, w zagajniku, ze skraju którego widać było krępe wieże twierdzy. Wskazawszy towarzyszowi miejsce, gdzie stały konie, panna Se Moyna chciała wracać, ale Del Wares nie pozwolił.

- Wiem, co pani czuje - powiedział - ale jest już dzień i nie wpuszczą pani do twierdzy bez odpowiedniego dokumentu. Musiałabyś zrezygnować ze swego incognito, a to nie wchodzi w rachubę. Zresztą dano by ci wiarę tylko wówczas, gdybyś powołała się na... wiadomą osobę. A rozumiałem, że ona tego nie chce.

- Ale ona mnie potrzebuje. I ja też potrzebuję czegoś... Przebaczenia. Boże, podniosłam rękę na własną matkę, czy pan wie, jaki to grzech?!

- Pani, czarownica, mówi o grzechu?

- Daruj mi, kawalerze, ale nie rozumiem tych pokpiwań.

Del Wares odział się już jako tako, choć dostarczony przez wybawicielkę przyodziewek wydawał się trochę za duży; panna Se Moyna nie takiego szlachcica pamiętała, jakim wyszedł z ciemnicy. Trzymany przez dwa tygodnie, Del Wares na więziennym wikcie schudł ładne parę funtów.

Lecz i panna Vel Raesa Se Moyna wyglądała wcale nie najlepiej: z podkrążonymi oczami, blada, zdawała się walczyć z nudnościami i zawrotami głowy. Były to skutki odebranych obrażeń, ale bardziej jeszcze - czego Del Wares tylko się domyślał - samego użycia uśpionych zwykle sił. Musiało być to ogromnie kosztowne.

Wziąwszy do ręki szpadę owiniętą pendentem, szlachcic uśmiechnął się tylko - lecz nie był to uśmiech wesoły - pokręcił głową i przewiesił pendent tak, by broń wisiała wzdłuż prawego, nie lewego uda. Gotów był iść o zakład, że miną tygodnie, albo i miesiące, nim przestanie się potykać o swój oręż...

Młoda czarownica siedziała na pniu drzewa, które padło chyba pod ciosem burzy. Pomimo tego, co mówiła, wydawało się oczywiste, że donikąd nie pójdzie ani nie pojedzie, bo musi najpierw odzyskać nieco sił. Ze zwieszoną głową i położonymi na kolanach rękami zdawała się zasypiać. Kończąc pracowity i zmudny proces odziewania się, Del Wares szukał sposobu zapobieżenia nieuniknionemu, co czynił już wcześniej i czynić mógł jeszcze przez pięć lub dziesięć minut... Do Ammene, a raczej Re Selei, bo od tej strony dwumiasta miał nadjechać, dzieliły go dwie godziny galopady co koń wyskoczy. Poczta, list, goniec pocztowy... To jeszcze godzina. Jak szybko Sa Tuel mogła być gotowa do wyjazdu? Jak szybko mogła dotrzeć

do Ammene Atheves? Możliwe, że niezbyt szybko, albowiem wbrew temu, co dla uspokojenia mówił panie Se Moyna, głowę Jej Ekscelencja rozbitą miała bardzo poważnie i mogło długo potrwać, nim stanie się zdolna do podróży. A gdyby nawet ruszyła w drogę bądź wysłała gońca, to co z tego? Wypytawszy młodą towarzyszkę w trakcie marszu do kryjówki z końmi, Del Wares wiedział dokładnie, w jakim charakterze baronowa przybyła do Ammene. Była więc nietykalna.

Ale czy dla kogoś w takim stanie ducha jak pani Atheves?

Krótko mówiąc, czas naglił. Jeśli rysowały się dwie możliwości, to zawsze należało brać pod uwagę tę gorszą. Nie było minuty do stracenia.

Był za to ktoś, kto nic o niczym nie wiedział, ale wkrótce miał się dowiedzieć. Miał przejrzeć wszystkie kłamstwa, odkryć okropną prawdę o wyroku śmierci wydanym na matkę, oglądać jej konanie... Ten ktoś miał odziedziczyć tajemnice, kim był i komu służył kawaler Del Wares, wspierany przez piękną baronową Sa Tuel... I ten ktoś mógł to wszystko rozgłosić, a co gorsza, przytoczyć różne fakty na poparcie swych słów, czyniąc owego szlachcica podejrzaną osobą, której nikt nigdzie nie zaufa, a tym samym sprowadzić go do roli jednego z Ewangelistów - kryjącego się przed ludźmi zabójcy wartego tyle, ile wart będzie jego pistolet trzymany w ocalałej lewej

Umowa z Atheves już nie obowiązywała; ministra nie dotrzymała słowa, przysłała go zabić, nie uwolnić. Ale czego ta umowa dotyczyła? Del Wares stapał po bardzo niepewnym

gruncie. Z czym przyjechała do Ammene Sa Tuel? Jaką grę prowadziła? Jaki był zastaw udzielony Atheves w zamian za wolność kawalera Del Wares? Jakie gwarancje zatrzymała sobie ministra? Co mogło pomóc baronowej, a co pomieszać szyki? Nie wiedząc nic o niczym, a tylko domyślając się tego i owego na podstawie półśłówek i znanych sobie zdarzeń, pozostający w służbie Egaheer szlachcic bał się uczynić cokolwiek, bo każda decyzja mogła być błędną. Winien właściwie pod lufą pistoletu zabrać ze sobą - czyli mówiąc krócej, porwać, uprowadzić - towarzyszącą mu dziewczynę i dopiero potem zdecydować o jej losie. Lecz był wynędzniałym kaleką, mającym mało czasu, a wiele, bardzo wiele do zrobienia, panna Se Moyna zaś była wiedźmą. Kimś, kogo dało się zastrzelić, lecz na pewno nie upilnować.

W ciągu minut Del Wares musiał podjąć jedną z najtrudniejszych decyzji swego życia. Działał zupełnie po omacku; bardziej domyślał się, niżli naprawdę wiedział, co należy czynić. Czy powinien zaufać rozumowi, sercu... czy też tylko instynktowi, który tak rzadko wodził go na manowce?

Młoda wiedźma uniosła ręce, dotknęła skroni i masowała je lekko z zamkniętymi oczami.

Del Wares nie znalazł odpowiedzi. Niczego nie mógł być pewien, wiedział tylko tyle, że ma jedną służbę, jedną panią, której winien jest lojalność, i jeden kodeks najemnika. Stojąc w odległości najwyżej sześciu kroków od siedzącej na zwalonym pniu dziewczyny uniósł pistolet i wymierzył w sam środek czoła. Nie bał się spojrzeć jej w oczy, ale nie chciał, by w tych wielkich, dobrych oczach zdążyły zamigotać strach, rozpacz

i żal do podłego świata, który tak a nie inaczej urządzono...
Wolał, by Monesca Vel Raesa Se Moyna umarła, nie wiedząc o
tym, że umiera, z zamkniętymi oczyma, uśmierzając delikatnym
dotykem smukłych palców ból skołatanej głowy.

epilog

Bal u wicekrólowej

Można wątpić, czy kiedykolwiek wydano aż tak nieudany bal.

Nie dopisała pogoda. Przewidziano taką możliwość i stoły zamiast pod gołym niebem zastawiono w pałacowych komnatach. stety, światło tysięcy świec nie mogło się równać ze światłem zniczy, które miały płonąć w pałacowych ogrodach, a migotanie kryształowych żyrandoli miało się nijak do migotania gwiazd. Jednak to nie pogoda unicestwiła pierwsze od lat święto w Valaquet; ostatecznie bawiono by się dobrze i w pałacowych komnatach. Bal zatruto już wcześniej najgorszą z możliwych trucizn, a mianowicie polityką. Najpierw tylko krążyły niesprawdzone plotki, potem stało się wiadomym wszem wobec, że oczekiwane jest przybycie Jej Wysokości Wanesy księżny Se Potres. Uszczęśliwione nowymi strojami kobiety, drżące ze wzruszenia na myśl o wrazeniu, jakie na innych zrobią ich kreacje; rozochoceni mężczyźni, obiecujący sobie rozkosze dobrej rozmowy i jeszcze lepszego stołu, a w osobach dam ucztę dla oczu – wszy-

scy ci ludzie pojęli, że ich oszukano. W szarej rzeczywistości długiej wojny barwna i pyszna zabawa miała naprawdę być świętem. Miało być beztrosko; miały być tańce, biesiady, występy i pokazy, maskarada w pałacowych ogrodach bądź salach, puszczane nad jeziorem fajerwerki - zamiast tego proponowano rozpoczęcie negocjacji z wrogiem, protokoły, etykietę dyplomatyczną, wyciąganie uraz i niechęci. Czy księżna - zuchwała uzurpatorka, która wyciągnęła rękę po koronę spoczywającą na skroniach matki, wiarołomna córka, buntowniczką - mogła zatańczyć na balu?... Czy Dostojna - średnia w latach dama, która przed pięcioma laty ukradła męża własnej córce -mogła wziąć udział w maskaradzie?... Czy towarzyszące księżnej osoby mogły niezawistnie bawić się z moeńczykami? Czy gospodarze, poznający w orszaku pani Se Potres własnych dawnych przyjaciół - przyjaciół, którzy nierzadko jedynie dla korzyści albo z innych niskich pobudek przeszli na stronę rebeliantki - mogli szczerze spełniać toasty za

A przecież miało być wreszcie normalnie. Tylko przez dwa dni; czy to dużo? Dwa dni poświęcone nie zgrzebnej codzienności, lecz nowym strojom, klejnotom, uśmiechom, flirtom i niemęczącym dysputom na odległe od wojny tematy. Plotkom, zalotom, komplementom. Byli tacy, co wierzyli, że ujrzą wicekrólową w nowej, kolorowej sukni, włożonej zamiast czarnej, do której to barwy nawykła. Obiecywano sobie cuda po fantowej loterii, którą miała rzekomo ufundować jako niespodziankę pierwszej nocy. Zamiast tego przyjeżdżała pani Se Potres. Groźna księżna, którą wszyscy już przywykli darzyć co najmniej

niechęcią. I żadną pociechą nie było maleńkie światełko nadziei zapalone dzięki wszczęciu układów. Czy nie można z tym było poczekać jeszcze dwa dni? Skoro czekano przez pięć lat?

Przybyły w orszaku księżnej kawaler Del Wares czytał wszystkie te pytania i uczucia w oczach moeńskiej szlachty. Najpierw dziwiły go ów chłód i kwaśne humory, potem zrozumiał. Na wszystko powinna być pora. Gdyby w dobie wojny nieustannie wydawano bale, ludzie jęliby sarkać na rozrzutność, lekkomyślność, wreszcie niestosowność hucznych zabaw, gdy tysiącom ludzi na bitewnych polach przygrywały armaty i muszkiety, a fantowe loterie były tylko takie, jakie on sam widział w boju pod Ammene. Pytano by o układy, polityczne idee... Lecz tu i teraz, w kraju, gdzie do wiecznej wojny wszyscy już przywykli, pierwsze od wielu lat święto winno być tylko świętem, a układy - ależ tak, swoją drogą...

Nikt nie podziwiał strojów kobiet, bo wszyscy mówili o przybyciu księżnej.

Nie flirtowano, bo toczono dysputy i spierano się o cel jej przyjazdu.

Nie plotkowano, bo w świetle zamierzonych rokowań błaha plotka albo pogłoska wydawała się zdradą tajemnicy stanu.

Wisielczy wiatr i lejący od czterech dni deszcz dopełniały miary nieszczęścia. Znow zaczęto martwić się o domy w „wodnych” i przyległych kwartałach, już od dawna stęchłe i w złym stanie.

Ten sam deszcz, który do reszty zwarzył humory, opóźnił księżnę i jej orszak tak bardzo, że grzęznące

na rozmiękłych drogach karety przybyły nie dwa dni przed balem, a dopiero drugiego dnia balu. Nikt tego nie mógł przewidzieć i nikt nic nie mógł poradzić. Przez całą pierwszą dobę wyglądane od tygodni święto upłynęło na oczekiwaniu. Przykrym, jak każde czekanie na spóźniających się gości, bo któż nie zna owego uczucia, gdy wszystko gotowe, nic nie warto już robić, bo lada chwila... już zaraz... ale, ale, czy właśnie nie idą?...

Tuż przed balem dano znać, że księżna i jej orszak są tuż.

Pod wieczór przysłała wiadomość, że karety wyrwały się z bagna, którym stał się główny gościniec, i ruszyły szukać objazdu.

Po zaiste piekielnej podróży (bo Bóg wyraźnie nie chciał żadnych zabaw ani rokowań w Valaquet i opiekę nad nimi zlecił diabłu) wymęczona do granic księżna, choćby nawet chciała się bawić, choćby gotowa była ująć wszystkich taktem, łaskawością i uśmiechem - jakże mogła tego dokazać? Przecież winna raczej iść do łóżka, okryć się kołdrami i grzanym winem poskromić rodzące się przeziębienie... A jak bliskie było to prawdy, wiedział najlepiej pan Del Wares, na własne oczy oglądający oficerów gwardii wynoszących Jej Wysokość z beznadziejnie ugrzęzłej karety, deszcz moczący jej podróżną suknię, mokre włosy przylepione do szyi i zmęczoną, szarą od trudów i bezsenności twarz. Wiedział, dlaczego pani Se Potres tak usilnie, niemal bohatersko, przedziera się przez błota i ulewy, zamiast przeczekać je w jakimś mieście po drodze, ale widząc tę determinację, prawie nie wierzył oczom, bo ujrzawszy księżnę po raz pierwszy przed dziesięcioma dniami, gotów był iść o zakład, że ta biedna,

wynędziała mniszka omdleje z wycieńczenia już pierwszego dnia podróży. Wyszedłszy dopiero z więzienia, wygłodzony i schorowany, na tle tej kobiety, która chciała być władczynią mocarstwa, wyglądał wcale czerstwo, niczym okaz siły i zdrowia.

Del Wares, nikomu nieznany szlachcic, któremu dzięki protekcji pozwolono przyłączyć się do orszaku księżnej, przybył do Moeny z niewielkim oddziałem dragonów idącym na czele kawalkady. Chłostane deszczem ulice były puste i mieszany oddział, w którym połowę stanowili gwardziści pani Se Potres, drugą połowę zaś żołnierze Dostojnej, dotarł niemal pod sam pałac nienagabywany przez nikogo. Wkrótce jednak gruchnęła wieść: „Są już! Jada!”. Przez następną godzinę Del Wares, w schnącym na ciele podróżnym odzieniu, mającym się nijak do toalet dam i strojów napotykanym mężczyźni, niezauważany i bez mała potrącany snuł się po zatłoczonych korytarzach pałacu, oglądając stypę nazywaną balem. Sale, w których grano, ale nie tańczono; stoły, przy których mało kto siedział; niezadowolonych ludzi dyskutujących w grupkach pod ścianami. To wtedy właśnie jął się dziwić kwaśnym humorom gospodarzy. Jął się dziwić - i po namyśle przestał. To i owo posłyszał, drugie tyle zobaczył.

Za oknami było już ciemno; pod grubymi chmurami, które wciąż roniły strugi dżdżu, zmierzch zapadał wcześniej niż zwykle. Zaczynała się druga i ostatnia noc zabawy.

Na dziedzińcu przed pałacem turkotały koła przybyłych wreszcie karet. Służba, dworzanie i goście pospołu pobiegli oglądać przyjazd księżnej.

Del Wares nie poszedł z innymi. Mając dokładne wieści od baronowej, wiedział, że ogląda koniec wojny. Była to chwila historyczna, pociągnięta jednak pędzlem prześmiewcy. Tkwiąc skromnie pod ścianą, w niszy, którą sobie wynalazł przy oknie, pólśiedząc na parapecie, oglądał spieszących dokądś i wracających ludzi, lecz pochłonięty był własnymi myślami. Nie otrząsnął się z nich nawet wówczas, gdy mijał go tłum gospodarzy i gości, w którym to tłumie mignęła blada twarz pani Se Potres, prowadzonej dokądś, a może raczej wleczonej, jako że ledwie, ledwie trzymała się na nogach.

Ułożony w najdrobniejszych szczegółach ceremoniał powitania legł w gruzach, gdy stało się jasne, że księżna nie zdąży przed balem. Pospiesznie przedstawiono Dostojnej nowy projekt, ale nie wiadomo, czy go zaakceptowała. Wicekrólowej na wydanym przez nią balu prawie nie widywano. Co gorsza, nie widywano też pani Sa Tuel, która przecież była duszą całego święta, a zawsze miała najświeższe i pewne informacje o zamierzeniach i decyzjach Weroniki Teresy. Słowem, nikt nie wiedział, co robić. Wreszcie, choćby nawet wiedziano, to i tak cały porządek musiał zostać obrócony wniwecz wobec postawy księżnej Wanesy, która gdy nareszcie przybyła, nie zgodziła się pójść do przeznaczonych dla niej komnat, nie życzyła sobie zmienić szat podróżnych, nie słuchała nikogo i pytała tylko, czy może bez żadnej zwłoki zobaczyć się z Dostojną. Blisko trzydniowe spóźnienie tłumaczyło pośpiech - ale czy aż taki?...

Posłano do wicekrólowej.

Wkrótce przyszła odpowiedź, że Dostojna oczekuje księżnej w Wielkiej Sali Bractwa.

Lecz wciąż nie było wiadomo, jaki charakter ma mieć to spotkanie. Czy prywatny? Uroczysty? Może półoficjalny? W zaplanowanej pierwotnie ceremonii powitania miało brać udział całe mnóstwo osób - lecz czy było to aktualne? Rezolutniej si o nic nie pytali, tylko zaraz podążyli zajmując miejsca w wyznaczonej komnacie; inni wahali się. Wkrótce jednak przez sale i korytarze ruszył cały pochód - ten sam, którego przemarsz oglądał stojący w swojej wnęce przy oknie jednoreki szlachcic.

Wielka Sala Bractwa była najokazalszą komnatą pałacu, salą tronową w najściślejszym znaczeniu. Na obszernym, lecz niewysokim podwyższeniu - prowadziły nań tylko dwa płaskie stopnie - pysniło się krzesło godne każdego monarchy na świecie, choć może należałoby powiedzieć: nie mające sobie równych pośród tronów świata. W dziwnym kraju, który nie był suwerennym królestwem, rządili dziedziczni władcy niebędący królami; mieli własnych ministrów, własną armię, skarb, politykę zagraniczną i wewnętrzną, a nawet własną monetę, będącą w obiegu razem z pieniądzem bitym w mennicach królewskich... Zjednoczone Królestwa Nolandii, Werwalu i Henestii, najpotężniejsze państwo świata byłoby takim i bez największej swej prowincji, ale tylko wówczas, gdyby ta prowincja zapadła się pod ziemię albo w morzu, jak przed wiekami Stara Ziemia Heastseg, w przeciwnym razie kontentować by się musiało rangą mocarstwa drugiego w kolejności.

Od pięciu lat przecież nadaremnie czekano, by armie prowincji skrwawiły się i stały słabsze od królewskich wojsk; daremnie sondowano możliwość wejścia w sojusz z jednym lub drugim stronnictwem. Matka i córka, nienawidzące się, skłócone, nieodmiennie były gotowe złączyć siły i wspólnie stawić czoła każdemu wrogowi z zewnątrz, a szczególnie armiom królewskim, bo już prędzej puściłyby w granice Arelów lub Nordyjczyków. Wobec takiego stanu rzeczy trudno się dziwić doprawdy, że przywileje dane przed dwoma wiekami Świeckiemu Zakonowi Rycerskiemu ciążyły Zjednoczonym Królestwom. Wprawdzie król wciąż zachowywał prawo mianowania gubernatora Valaquet, będącego zaledwie wicekrólem, namiestnikiem, lecz w istocie był to obowiązek, nie przywilej. Na pozółkłych stronicach traktatu zapisano przecież tylko tyle, że Jego Królewska Mość powołuje na tron Valaquet Pierwszego Kawalera lub Pierwszą Damę Bractwa Rycerskiego, a była to godność tylko zwyczajowo dożywotnia. W istocie prowincjał zakonu ustąpić mógł w każdej chwili; zakon mógł wyłonić nowego prowincjała albo prowincjałkę (a w rzeczywistości generała; zakon nie istniał już nigdzie poza Valaquet, prowincjał zaś nie tytułował się generałem jedynie z przyczyn formalnych, otóż musiałby powołać go papież). Świetne krzesło stojące w Wielkiej Sali mogło więc przyspaść każdemu i daleki król nie miał nic do powiedzenia, bo wzbraniając się przed położeniem podpisu i królewskiej

Lecz o tym, jak bliski jest moment przekazania tego krzesła osobie, która zwykłą rzeczą koleją miała na nim zasiąść dopiero

kiedyś, w przyszłości, nie wiedział jeszcze nikt. Prawie nikt.

Rezydencja w Moenie była rezydencją, którą zwano czasem „wojenną”, i nie z powodu najświeższych zmagania. Lewą ścianę Wielkiej Sali Bractwa pokrywał gigantyczny fresk przedstawiający bitwę bitew - bo uwieczniano tu kolejne odnoszone na przestrzeni wieków zwycięstwa wojsk zakonu. Powstało dzieło sztuki jedyne w swoim rodzaju: w panoramę zamierzchłej bitwy sprzed ćwierci tysiąclecia wkomponowano obrazy zmagania nowszych; powstał chaos, stale powiększany; krzyżowały się tu zarówno rozmaite bitwy, jak i różne malarskie szkoły. Szarżujące rycerskie hufce miały za plecami okryte dymami armaty; w środku wrogiego szyku formowała się tercja ognistej piechoty otoczona mrowiem łuczników, a trochę dalej nieliczni muszkietrzy stali za wielkimi pawężami, tak jak towarzyszący im kusznicy... Była to wszechbitwa wszechczasów, wymieszane oddziały z różnych epok, setki ludzi dzierżących najrozmaitszy oręż, rozmaite szyki, zarówno zarzucone, jak i te najnowsze - dziwnie groźny i ponury obraz historii, która sprowadzała się przecież do łańcuchów kolejno dokonywanych rzezi. Z przeciwległej ściany oglądały ów bój oczy wszystkich władców prowincji Valaquet - każdego przedstawiono na tym samym krześle, które od stuleci trwało na podwyższeniu. Mężczyźni i kobiety, w szatach odpowiednich do swych epok, zamyśleni bądź zapatrzeni w dal, groźni, surowi albo dobrodusznicy. Na ostatnim z malowanych krzeseł siedziała wysoka i poważna, władcza, bardzo piękna kobieta, mająca w oczach jakąś zimną kpinę, rodzaj spokojnego

a wyzywającego szyderstwa. Kimkolwiek był artysta malujący ów portret, potrafił bezbłędnie uchwycić szczegóły najbardziej znamienne dla dostojnej Weroniki Teresy Ayhoe.

Obecni w sali szlachcice wciąż szukali najlepszych miejsc, przepychano się pod ścianami, ktoś chciał wyjść, a może uciec z sali, lecz inny właśnie wchodził. Zupełnie nieoczekiwanie od drzwi zabrzmiał donośny głos:

- Jej Wysokość Wanesa księżna Se Potres, Dama Bractwa Rycerskiego!

Poprzedzana przez dwóch żołnierzy, którzy zaraz odeszli na boki, wsparta na ramieniu bladego szlachcica (kto to był?) weszła do sali wysoka i bardzo szczupła - jeśli nie wychudzona - kobieta, której całą postać oczy zgromadzonych dopiero teraz mogły należycie ogarnąć. Prawie wszyscy tutaj znali księżnę, pierworodną córkę Dostojnej; mówiono o niej czasem, że prędzej jest młodszą siostrą niżli córką swojej matki, tak bardzo były do siebie podobne zarówno z wyglądu, jak i charakterów, tak blisko przestawały ze sobą i tak bardzo się przyjaźniły. Dostojna przez całe życie dopuściła do poufałości kilka zaledwie osób, do których oprócz pani Wanesy zaliczała się jeszcze pierwsza dama dworu Atheves, ponadto mąż (prawdziwie go kochała), a później syn, któremu pozwalała na wszystko, bo zgodziła się nawet na małżeństwo z kobietą, której nie życzyła sobie za synową. Mówiło się jeszcze, że bawiąca w Valaquet od tak niedługiego czasu piękna pani Sa Tuel cieszy się względami Dostojnej między innymi dlatego, że w jakiejś mierze zastąpiła

jej córke; zdaje się, że były dokładnie w tym samym wieku.

Patrząc na bladą, źle ubraną - nawet jeśli wziąć pod uwagę, że tylko w podrózną suknię - chyba chorą księżną Se Potres, aż trudno było uwierzyć, że ta oto kobieta wyciągnęła rękę po koronę matki, rozpętała wojnę kierowana wybujaną ambicją i chęcią zemsty za wstrętne cudzołóstwo swego męża. Chociaż... gdzie właściwie była przyczyna? Przecież Bernard księżę Se Potres wypędzony został przez małżonkę z własnych dóbr, jeszcze zanim związał się z jej matką...

Księżna postąpiła kilka kroków i zatrzymała się, patrząc na puste krzesło stojące na podwyższeniu. W głuchej ciszy oglądana przez setkę par oczu uzurpatorka nie umiała ukryć swoich uczuć. Przybiegła na pierwsze skinienie, przedzierając się przez błoto i deszcz, by zobaczyć, że wezwano ją, bo chciano upokorzyć, poniżyć, udowodnić wszem wobec jej małość. Potężna matka nie życzyła sobie wyjść jej na powitanie, kazała stanąć przed pustym tronem i znosić niezdrową ciekawość tej oto najświetniejszej szlachty, której miejsce w zwyczajnych czasach byłoby nie w królewskim pałacu, ale w zapomnianych przez Boga wiejskich zameczkach i dworach. Samotnie stojąca pośrodku sali nieszczęśnica poróżowiła lekko na policzkach i nie było jasne, czy odwróci się i wyjdzie bez słowa, czy też wybuchnie gniewem... a może tylko płaczem. Kiedyś byłoby to nie do pomyślenia, ale teraz władcza i surowa księżna spoglądała przed się smutnymi, podkrążonymi oczami, jakby stworzonymi do wylewania łez.

Lecz Dostojna tylko się spóźniła. Szukano potem powodów tego spóźnienia, dzielono się domysłami, a tylko jedna pani Sa Tuel znała prawdę, której jednak nigdy nikomu nie zdradziła.

Dostojna spóźniła się ze strachu. Dowiedziawszy się, że księżna przybyła i już, zaraz, natychmiast, prosi o posłuchanie, wicekrólowa gorączkowo poprawiła toaletę, przerwała tę czynność w połowie, ruszyła do Sali Bractwa i natychmiast musiała wrócić do swych prywatnych komnat... albowiem nie tylko, że drżały jej ręce, ale jeszcze miała biegunkę i nieomal bez przerwy odczuwała nieznośne parcie na pęcherz. Kobieta, która z ironią w chłodnym spojrzeniu wyśmiewała ambasadatorów potężnych monarchów grożących jej państwu strasznymi konsekwencjami, nie umiała sprostać spotkaniu z niewidzianą od pięciu lat córką.

Drzwi w ścianie, na której wyobrażone były postacie kolejnych władców Valaquet, otwarły się i Weronika Teresa niemal wbiegła do sali, kierując się w stronę swego krzesła. Zatrzymała ją głucha cisza. Wszyscy czekali, co będzie, lecz istniała jeszcze druga przyczyna owego powszechnego milczenia - najpierw nikt Dostojnej nie poznał.

Od pewnego czasu nosiło się w Moenie suknie jednobarwne, więc czerwona, skąpo przybrana czarnymi koronkami szata Weroniki Teresy była jak najbardziej odpowiednia. Lecz krój nawiązywał do tego, co miała na sobie towarzysząca wicekrólowej baronowa Sa Tuel: odwoływał się do mody dworskiej sprzed trzydziestu lat. Z diademem w czarnych włosach posypanych złotym pudrem, z wielkim medalionem na szyi i cudownej

urody rubinami w uszach i na palcach, ze zwiniętym czarno-złotym wachlarzem zawieszonym na temblaczkę u nadgarstka, po raz pierwszy od długiego czasu zadbana, umalowana i strojna wicekrólowa nie odzyskała urody sprzed lat, lecz wydobyła na wierzch jej minioną świetność, stając się żywym dowodem, że piękna za młodu kobieta, jeśli tylko zechce, pozostanie do śmierci niebrzydka. Rozłożysta suknia przydawała jej władczości; złoty puder, precjoza i wachlarz kobiecości; obcasiki wzrostu i pewności kroku.

Ujrawszy matkę, księżna Se Potres cofnęła się mimowolnie, a uczyniła to tak chwiejnie, że aż kilku szlachciców jednocześnie rzuciło się z różnych stron, gotowi podtrzymać padającą. W tej samej chwili Dostojna zobaczyła córkę, krzyknęła cicho i tak samo się cofnęła, nieomal wpadając na panią Sa Tuel i towarzyszących jej dworzan. Przyciskając ręce do piersi, przez dwie albo trzy sekundy przyglądała się młodej księżnej, która wyglądała na jej rówieśnicę, co wybornie dało się ocenić, gdy były razem w tej samej sali, oddzielone niewielką przestrzenią. Nagle zakryła oczy dłonią, ale tylko na chwilę, bo zaraz opuściła ją niżej i przygryzła kostkę palca, wciąż patrząc na córkę, albo raczej cień córki, którą pamiętała - bladą, chorą, półżywą nieszczęśnicę, która stała bodaj tylko dlatego, że ją podtrzymywano. Z przerażeniem, rozpaczą i bólem na twarzy, nie dbając o etykietę, protokół, uroczyste ceremoniał powitania i wszelkie powzięte ustalenia, w ogóle nie pamiętając o zamartym tłumie, powiedziała zdławionym

- O Boże, Waneso!... Waneso, Waneso, przebacz mi. Boże, co myśmy zrobiły?...

Słyszając to, księżna nie zdołała opanować łez. Zachwiała się raz jeszcze, postąpiła naprzód i rzuciła się matce do nóg. Dostojna schyliła się i pochwyciła ją. W narastającym gwarze pani Sa Tuel z niekobiecą zupełnie siłą pociągnęła obie damy, zmuszając je do wstania z posadzki, i niemal wypchnęła z sali przez boczne drzwi. Zamknęła je, oparła się o skrzydła, powiodła wzrokiem po zgromadzonych i, jakby w ogóle nic nie zaszło, rzekła swym wysokim, dobrze słyszalnym głosem:

- O północy maskarada, proszę nie zapomnieć! Gotowalnie i kostiumy już czekają!

Zdumieni, zaskoczeni, to znów wzruszeni goście potrzebowali czasu, by zrozumieć, co właściwie dano im zobaczyć. Nim jednak wybiła północ, do najgłupszego z zaproszonych na bal dotarła oczywista prawda, że wojna jest już skończona, że nie będzie żadnych układów. Będzie co najwyżej rozmowa matki z córką, przez nikogo niesłyszana, prowadzona tylko w cztery oczy.

Rozmowa kończąca - no przecież! - rodzinną sprzeczkę Ayhoe.

W dwóch wielkich salach balowych, oddalonych od siebie tak, że muzyka grana w jednej nie docierała do drugiej, bawiono się bardzo różnie. W Sali Różowej tańczono arelską ayamę, taniec o trójdzielnym metrum, trudny, obfitujący w figury i złożone kroki, którego pełne wykonanie mogło zajmować i godzinę. Lecz ayama była tańcem zaiste królewskim, któremu nie mogły

sprostac nogi byle szlachciury z zabitej dechami wsi, a takich person na obu dworach spotykało się przecież najwięcej; nie dla nich był także dostojny chodzony lechet, korowodowy taniec cudzoziemski. Ściągano więc tłumnie do Sali Zielonej, gdzie królowały swobodne, szybkie tańce zagranicznego i gminnego pochodzenia, takie choćby jak skoczna galarda. Między obiema salami krążyły grupy i grupki ciekawskich, nie tyle pragnących tańczyć, co oglądać tańczących. Podobnie czynił pan Del Wares; zajrzał tu, zajrzał tam, pozwolił sobie na łyk wina i kęs stawy w jednej z sal biesiadnych. Rozfiglowana młodzież, której wreszcie dozwolono się bawić - było już po układach, po wojnie i po wszystkim! - znakomicie sprostała wyzwaniu, jakim jawiła się pierwsza od lat maskarada, dla wielu młodych ludzi w ogóle pierwsza w życiu. Mijając apetyczne panny przebrane za kawalerów, a nawet - co było aktem dużej odwagi - kawalera przebranego za pannę; krążąc wśród dzikusów z paciorkami i piórami we włosach, wśród rusalek, nimf, driad i syren, wśród łuczniczek, króliczków, pastuszków i starożytnych mędrców w togach, Del Wares nie wyróżniał się zbytnio, bo po pierwsze, nie wszyscy gotowi byli się bawić i wielu średnich albo starszych wiekiem panów zrezygnowało z przebieranek, kontentując się wąskimi maseczkami (Del Wares także otrzymał taką maseczkę z podłużnymi wycięciami na oczy; z ukłonem podał mu ją pokojowiec), po wtóre zaś, w prostym podróznym odzieniu mógł uchodzić od biedy za kogoś, kto niepomyślowo udaje dość schludnego herszta rzezimieszków z gościńca bądź jakiegoś obieżyświata - solidny żołnierski rapier, za pasem zamkowe

rękawice, wysokie buty z ostrogami, przewieszona przez ramię peleryna, w dłoni niedrogi kapelusz z takimż piórem, przypiętym prostej roboty agrafą. Mogło to uchodzić za przebranie, bo na pewno przecież nie było uroczystym strojem, właściwym na okazję balu u wicekrólowej - wszak ci wszyscy, co się nie przebrali, odziani byli jednak odświętnie.

W jednej z mniejszych sal ustawiono tylko krzesła, fotele i szezlongi - był to pokój służący do odpoczynku, pełen rozplotkowanych dam, wiatru wzbudzonego poruszeniami stu wachlarzy, nadskakujących kawalerów, a wreszcie wiszącej w powietrzu gęstej woni perfum i kwiatowych wód. Tylko tam zajrzawszy przez otwarte drzwi, Del Wares oddalił się zaraz, albowiem w podobnym gwarze i powietrzu mógł nabawić się najwyżej bólu głowy, co tu mówić o odpoczynku. Lecz przystanął, jako że ku owej sali zmierzała właśnie bardzo piękna kobieta, prowadząca żywą rozmowę z jakimś starszym mężczyzną w czarnej masce. Owej damie nie zbywało na odwadze, jako że - wierna regułom zabawy - przebrana była za prostą wiejską dziewczynę, z drewnianymi chodaczkami na bosych stopach (najpowszechniej takich chodaczków, czy też może sabotów, używano w Henestii, Kraju Tulipanów, ale i w północnych departamentach Nolandii), w bardzo prostej spódnicy i szarej koszulinie, miała rozpuszczone i cokolwiek potargane złote włosy, w których dałoby się znaleźć paręnaście długich źdźbeł siana. Para zatrzymała się pod ścianą, zaś idący korytarzem oficer - może przebieraniec, ale raczej nie - z uśmiechem skłonił się damie i odebrał

daną palcami dłoni odpowiedź. Del Wares grzecznie zatrzymał oficera, gdy ten zamierzał go minąć.

- Daruj pan natręctwo, poruczniku... Jeśli pan pozwoli, jestem kawaler Del Wares, osoba tu całkiem obca. Przyjechałem z orszakiem Jej Wysokości pani Se Potres.

Oficer najwyraźniej popróbował już wina, choć bynajmniej nie był pijany, a tylko w dobrym humorze.

- Rzeczywiście, nie znam pana, kawalerze, a pochlebiam sobie, że na dworze Dostojnej znam wszystkich. Nie przepraszaj mię pan jednak, mamy święto i najwyższa już pora spuścić nieco z tonu i przepędzić minorowe nastroje. Jestem porucznik Gorszt z regimentu muszkietarów-halabardników gwardii. Jeśli nie przeszkadza panu moje towarzystwo, to chodź pan upić się ze mną; właśnie zdałem służbę, a za tańcem coś nie przepadam.

- Służysz pan w znamienitym regimencie... Nie odrzucam zaproszenia; jeśli tylko powiesz, gdzie cię szukać, może znajdę. Teraz jednak chciałem poprosić o grzeczność.

- Grzeczność, mówisz pan?

- Małą grzeczność.

- No to proś pan. Jaką?

- Piękna dama, której się kłaniałeś... Wnoszę, że zna pan tę damę? Czy nie zechciałbyś mię przedstawić?

- Ba! - powiedział oficer. - To nie grzeczność, lecz obowiązek mężczyzny względem drugiego... Chodź pan, zanim wkroczy do piekła, który tu nazywają pokojem do wypoczynku... Chodź pan szybko, bo właśnie jest sama, unikniemy więc

niezręcznego wtrącenia się do rozmowy.

W samej rzeczy, piękna blondynka pożegnała uśmiechem i skinieniem towarzysza, po czym skierowała się ku drzwiom.

- Moja droga dziewczyno... o, przepraszam, pani baronowo - spostrzegł swą omyłkę pan porucznik Gorszt, zdzierając z głowy kapelusz i stając w pięknej wojskowej postawie. - Jedną chwileczkę, jeśli pani pozwoli.

- Oczywiście. Czego pan sobie życzy, poruczniku? Wie pan, że dla niego zawsze mam czas i wyjątkowe względy.

- Zechce pani powtórzyć to Dostojnej, a natychmiast będę mógł się przebrać co najmniej za kapitana.

Roześmiała się.

- Ten oto kawaler - rzekł porucznik - pan Del Wares, przybyły z dostojną księżną Se Potres, pragnie złożyć pani swoje uszanowanie. Kawalerze, stoisz przed panią Sa Tuel, która komenderowała mną niedawno stokroć bardziej surowo niżli ja swoimi żołnierzami; masz pan zaszczyt rozmawiać z Matką Przełożoną Zakonu Forsownych Przemarszów, takich, jakich nie powstydziliby się pułk dragonów.

- Jesteś pan nieznośny poruczniku! Cofam wszystko, co dobrego o panu powiedziałam! - zawołała oburzona piękność, zamierzając się wachlarzem, którego jednak nie miała, co wprawilo ją w niejaki pomieszanie; zaraz zwróciła się do przedstawionego jej szlachcica: - Zechciej mi pan towarzyszyć, kawalerze. Pan porucznik wymusztrował mię tak, że gotowa jestem przyjąć tu postawę stojącego na warcie muszkietera; gdybym tylko

wiedziała, że go tutaj spotkam, miałabym na sobie opończę halabardnika, a i samą halabardę, nie inaczej... Idź pan sobie, oficerze, już, a psik!

Rozbawiony i niezrażony bynajmniej tak surową połajanką żołnierz skłonił się baronowej, skinął poznanemu przed chwilą szlachcicowi i pomaszzerował korytarzem.

- Wielki Boże - powiedziała z taką miną, jakby rozmawiali o deszczu, który podobno przed godziną przestał padać. - Gdzie mieszkasz?

Pomimo wysiłku nie zdołała powstrzymać spojrzenia ku mankietowi prawego rękawa; można by sądzić, że ujrzawszy za pasem rozmówcy parę zamszowych rękawic, uwierzyła na sekundę w rzecz niemożliwą... Lecz zaraz zagryzła wargi, nie potrafiąc się opanować.

- Gdzie mieszkam? Jeszcze nie wiem. Host pojechał szukać jakiegoś lokum w mieście. Ale pora jest późna, nie zdziwię się więc, jeżeli nie znajdzie. Wówczas wezmę pokój w gospodzie.

- Znajdzie bez trudu, to wyludnione miasto, chociaż udaje stolicę, a twój służący już poznałam; znajdzie ci mieszkanie, choćby miał je zaraz wybudować... Kiedy znajdzie bądź wybuduje, natychmiast daj mi znać, pytaj o dom Sa Tuel, każdy ci tutaj powie... Przyjdę do ciebie. Chcę rozmawiać i chcę wreszcie trochę z tobą побыć. Ale teraz... ale teraz idź już. Pełno tutaj ludzi, wszyscy patrzą... a ja zaraz się rozpłaczę.

- Dalibóg, ja także mam ochotę.

- No to idź już! Idź!

Odwróciła się i uciekła, znikając w pokoju z szezlongami.

Del Wares odetchnął głęboko, bo widok najwierniejszej przyjaciółki sprawił, że ścisnęło mu się serce, postać chwilę, a następnie podjął swą wędrówkę po pałacowych korytarzach i salach. Nie miał tu już nic do roboty, powinien wyjść na schody przed pałacem i rozejrzeć się, czy nie czeka nań służący gotów prowadzić do kwatery w mieście. Lecz chciał jeszcze przez chwilę uczestniczyć w święcie stanowiącym tło i oprawę końca wojny w prowincji Valaquet.

Jednakże tańce, biesiady, rozmowy, setki ludzi w najwymyślniejszych strojach, świetne wnętrza, płótna na ścianach, kobierce, gobeliny, obicia, marmury, sprzęty, służba i żołnierze pod ścianami... wszystko to jęło zlewać się w stubarwny, chaotyczny sen. I Del Wares zatęsknił za domem, w którym tak bardzo się nudził, a którego jednak nie chciał opuścić, gdy niespełna przed rokiem zjawiała się w nim Renata Sa Tuel, żądająca w imieniu Egaheer, by powrócił na niechcianą służbę. Otruła go wtedy, przypisując winę komuś innemu; Egaheer go uratowała i zobligowała do wdzięczności... Odrażająca intryga, dzięki której wrócił do służby... i poczuł, że tak miało być. Że dobrze się stało, bo z powrotem zajął miejsce wyznaczone mu chyba przez Boga. Został kaleką w tej służbie, bolał nad tym... lecz niczego nie żałował. Bał się tylko, że gdy wreszcie Egaheer wróci, powie mu: „Mój Del Wares... A czegoż to spodziewasz się po mnie? Że przyjmę posadę niańki albo mamki u kogoś, kto każdego ranka zmaga się z pończochami, to znów hajdawerami i niesporo mu idzie ta walka bez pomocy sługi? Bywaj pan, kawalerze! A nie omieszkaj wrócić do mnie, jak tylko odrośnie ci ręka”.

I, niestety, mogło tak być... Egaheer miewała swoje sentymenty, lecz od najemników żądała skuteczności. Czy Del Wares mógł jeszcze być skuteczny?

Znał odpowiedź. I powoli szukał sobie nowego miejsca w życiu. Bo uczciwość kazała mu powiedzieć, że na miejscu Egaheer wzięłby pana Del Waresa na stronę, wynagrodził hojnie, nawet bardzo hojnie, a następnie odprawił do diabła.

W Sali Zielonej nie tańczono. Zmęczeni muzykanci posilali się spiesznie na stojąco i zwilżali gardła, widać dano im odpocząć parę minut. Del Wares zajrzał do sali i od razu uciekł, albowiem na czele istnego orszaku młodych wielbicieli zobaczył Melanię, co go niemało zdziwiło, bo choć dostał trochę wieści od Sa Tuel, to nie aż tak dokładnych, by wiedzieć o panie Sa Veres. Rozzuchwalona maskarada śliczność miała na sobie podartą sukienkę, rozszarpaną i podziurawioną tak przemysłnie, że biedactwo było w owej szatce prawie nagie - Del Wares dostrzegł gołe uda panny, w rytm kroków migające spod strzępów spódnicy... dalej nie patrzył, albowiem rudowłosa żebraczka gotowa była dostrzec i jego, co groziło nie wiadomo czym; mogła nie mieć tyle zimnej krwi co jej pani. Idąc korytarzem, uciekający od Zielonej Sali Del Wares spostrzegł jednak, iż jest ścigany - pospieszał za nim postawny sokolnik ze szpakowatymi wąsami i bródką, w dość szerokiej masce, ze skórzaną rękawicą na dłoni, którą to dłoń obejmował szponami wspaniałej urody ptak łowny. Człowiek ów jał dawać znaki, Del Wares zatrzymał się więc. Sokolnik podszedł krokiem energicznym i wcale sprężystym, co zdawało się dowodzić, że przetykane siwizną wąsy i broda są tylko częścią przebrania - albo może był to człowiek

posiwały przedwcześnie; w każdym razie młody. Poczyniona z bliska obserwacja potwierdziła słusność spostrzeżenia, widoczna spod maski część twarzy nie należała do starca, ani nawet człowieka w średnim wieku.

- Już straciłem nadzieję - rzekł sokolnik, uchylając lekko kapelusza. - Szukam pana, kawalerze, od chwili, gdy to się stało możliwe, więc od rozpoczęcia maskarady. Lecz znalazłem tylko służącego, który nudzi się na dziedzińcu przed domem... Upewniło mię to przynajmniej, że znajdę pana gdzieś w środku. Jest zimno, ale deszcz przestał padać; zechcesz pan wyjść ze mną

do ogrodu? Nikt tam za nami nie pójdzie, znajdziemy sobie jakąś altanę i spokojnie pomówimy. Może być, że zejdzie nam do Del Wares spoglądał pytająco.

- Skoro pan uważa, że mamy wspólny temat...

- Otóż mamy, i to niejeden; mamy wiele wspólnych tematów i zaraz przyzna mi pan rację - rzekł sokolnik, rozglądając się dokoła, a widząc, że chwilowo są sami, dotknął kapelusza jeszcze raz. - Pan mnie nie zna, ale ja znam pana... Przywróćmy równowagę, kawalerze: jestem hrabia Se Rhame Sar i rad będę, jeśli pan mnie nie wydasz.

Del Wares nie uczynił żadnego zbędnego gestu. Ale przez bardzo długą chwilę nic nie mówił.

- Skoro tak, to rzeczywiście chodźmy do ogrodu - rzekł nareszcie. - Zechce mnie pan poprowadzić... w końcu to pański dom.

- Już nie, kawalerze. Ale rzeczywiście znam go dobrze. Na piętrze jest pokój dziecienny; jeden taki pokój mały Robert miał

w każdej rezydencji dostojnej swojej matki... potem zamiast dziecinnych pokoi dano mu ministerialne gabinety. Mniejsza o to; wspomnienia, widzisz pan. Tędy, kawalerze.

Pewnie prowadzony przez labirynt korytarzy i sal Del Wares dotrzymał kroku swemu towarzyszowi. Przy małych drzwiach prowadzących do ogrodu stały strażę, ale tylko dla fasonu i pomocy, gdyby komuś pomoc była potrzebna. Zagłębiwszy się w mroczne alejki - jednak trochę mżyło, choć nie dało się tego nazwać aż deszczem - hrabia zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią wskazał majaczącą w ciemnościach altanę. Po niedługim czasie oczy nawykły do skąpego światła, tym bardziej że owo światło nie było wcale takie słabe, jako że niedaleka budowla jaśniała setką wielkich okien. Rozsiadłszy się wygodnie na stojących w altanie ławkach, szlachcice przez chwilę milczeli, być może wbrew rozumowi próbując wy badać swe twarze, nie dość, że ledwie majaczące w ciemnościach, to

- Poznałem pana dość dawno, kawalerze, a mianowicie wówczas, gdy patrzyłem na cię oczami pewnego bladego szlachcica wysadzonego w powietrze wraz z ruiną starego domu... Nie pytam, czy pamiętasz to zdarzenie.

Del Wares oczywiście pamiętał, bo omal nie przypłacił go życiem. Była to pierwsza i jedyna jak na razie walka stoczona przez służbę tajemniczej królowej śniegu, siostry hrabiego Se Rhame Sar, ze sługami Egaheer.

- Potem zobaczyłem cię raz jeszcze, w Pahr, szczęśliwie razem z twym służącym, co dzisiaj wyszło mi na korzyść. Wiem, kim jesteś, kawalerze, komu służysz, kto cię wspiera, a nawet to,

jaki jest prawdziwy cel twojego pobytu w Valaquet. Doniesiono mi także o twoich poczynaniach na dworze pani Atheves i choć nie opowiem panu o każdym jego kroku, to z grubsza jest dla mnie jasne, co próbowałaś osiągnąć i jaki cię spotkał los. Straciłaś pan dłoń, tocząc swoje zmagania; zniknąłeś, pojawiłeś się znowu, a nieszczęsna Atheves jest chyba konająca... co wszelako dowodzi tylko tego, że istnieje jakaś sprawiedliwość na tym świecie. Skuteczność pańskich działań, kawalerze, a bardziej jeszcze skuteczność działań pańskiej towarzyszkii, wywiera ogromne wrażenie. Kiedyś nie mógłbym tego docenić, dziś już mogę.

- Wie pan naprawdę dużo, panie hrabio, ale jednak muszę poprosić, byś wymienił mi kilka imion albo nazw... Jeśli mamy rozmawiać otwarcie, to życzę sobie mieć niezachwianą pewność, iż nie zdradzam żadnych tajemnic.

- Oto te imiona: pani Sa Tuel i nie wiem, czy nie jej dworka, w rzeczywistości wierna służka; ponadto Egaheer. Niszczyciele bądź Ewangeliści, lecz to tylko narzędzia. Może powiem jeszcze: pani Anna Jasena, młodsza moja siostra, a specjalnie klejnot, który nosi na szyi, klejnot nie tylko przechowujący pamięć i wiedzę o jednej z najstarszych magii świata, ale jeszcze... o ile nie przede wszystkim... będący kryjówką demona podobnego nieco do twej pani. Oto osoby, istoty i powody mające znaczenie bądź biorące udział w naszej historii. Pana i siebie nie wymieniam. Zaufaj mi, waszmość; nie mam względem pana żadnych złych zamiarów, ty wobec mnie także nie masz, bo twoim celem nie ja jestem, lecz diamentowa kolia, więc od razu mówię,

że dostaniesz ją. Najbardziej przyszedłem tu po to, by powiedzieć panu, kawalerze, gdzie i kiedy będziesz mógł ją wziąć. Porozmawiajmy najszczerzej. Jestem bardzo zmęczonym człowiekiem, wierz mi pan. Człowiekiem, który dotarł właśnie do końca swojej drogi i któremu już nie chce się intrygować, mataczyć, kręcić... Dość tego było w moim życiu. I za wiele. Czy przekonałem pana, że znam jego tajemnice, a tym samym można ze mną rozmawiać bez ogródek?

- Wybacz, hrabio... Tak.

- Skoro tak, to co mam wybaczyć?

- Niezręczność, fałszywą nutę, jaką może jeszcze znajdziesz w niektórych moich wypowiedziach bądź pytaniach. Prawie nigdy z nikim nie rozmawiam całkowicie szczerze, taki los. Przekonał mię pan, panie hrabio, jeśli więc znajdziesz w moich słowach jakiś nieszczerzy ton, zechciej złożyć to na karb nawyku wiecznego łgarza, kłamcy i krętacza. Jest pan w moich oczach człowiekiem bardzo niezwykłym, którego jednak miałem za zmarłego... Chcę rozmawiać z panem otwarcie; pytanie, czy jeszcze umiem.

- Chyba wiem, o czym pan mówi, bo od pewnego czasu sam żyję życiem zakłamanym; zresztą niewiele wie, że w ogóle żyję. Lecz przejdźmy do rzeczy, kawalerze. Najpierw krótko opowiem panu właśnie o swoim życiu w ciągu minionego roku. Znasz pan z grubsza moje losy do chwili, gdym zaszczyty przez panią Atheves zawiesił lodowy klejnot na szyi nieszczęsnej swej siostry. Nie palnąłem sobie wtedy w łeb; zamiast tego pojechałem do drugiej mojej siostry i uczyniłem to, co wobec pana

czynię dzisiaj: rozmówiłem się z nią szczerze, tak szczerze, jak tylko umiałem, lecz nie czyniąc żadnych wyrzutów. Grzeszyłem przez całe życie i wówczas odkryłem jeszcze jeden popełniony grzech. Otóż przywykłem się uważać za jedyną istotę ludzką spośród całej Rodziny; wszystkich miałem za grzeszników, zbrodniarzy i zbrodniarki bez skrpułów, bez wyrzutów sumienia, zresztą w ogóle bez sumienia. A myliłem się, kawalerze. Księżna, moja siostra, ukryła mnie, głosząc, że nie żyję. Wszystko, cały pogrzeb, wcześniej domniemane samobójstwo... to tylko wybieg, intryga.

- Widzę, panie hrabio.

- Daruj mi pan. Masz rację, szkoda czasu na głoszenie rzeczy oczywistych. Krótko mówiąc, pracowałem ciężko, krążąc między swymi zamrożonymi dobrami a ponurym zamczyskiem w Pahr, bo do wicekrólowej, mojej matki, udać się nie odważyłem; ma mnie za zmarłego i niech już tak zostanie. Krążąc między Rhame Sar a Pahr, młodszą siostrę uczyłem życia z przeklętą kolia na szyi, pomagałem zapanować nad żywiołem, podtrzymywałem na duchu jak umiałem i kochałem jak potrafiłem... a o tym zaraz coś jeszcze powiem. Starszą siostrę wspierałem w rozterkach, przekonywałem, błagałem. Pierwsza męczy się teraz, zachowując bezczynność, okupując niewyobrażalnym bólem i cierpieniem każdy dzień, gdy zmusza lodowe potęgi do pozostawiania w uśpieniu - nie od razu to potrafiła i wiesz o tym waszmość najlepiej, bo walczyłeś z jej wysłannikiem, choć może lepiej powiedzieć: wysłannikiem tego, co kryje się głęboko w diamentowej kolii, jeszcze pod mocami mroźnej magii. Druga moja siostra aż do dzisiaj męczyła się tak samo,

bo powściągnąwszy dumę, odłożywszy na bok miłość własną, poskromiwszy wszystkie ambicje i urazy, niektóre przecież słuszne, zdobyła się na największą ofiarę swego życia i posłała list do matki, nie otrzymując w zamian żadnej odpowiedzi, nawet jednego słowa, choćby to było tylko słowo: „Precz!”. Czy mam mówić dalej, kawalerze? W najważniejszej sprawie mego życia, w wojnie, którą prowadzę, a której celem jest ponowne zwrócenie ku sobie dwóch najbliższych mi istot, otrzymałem wsparcie. Przyjechałem tu po to, by na własne oczy obejrzeć cud, o który modliłem się przez tyle lat, ale bardziej jeszcze po to, by dziękować. Obojętne, komu albo czemu i w imię jakich celów służysz, błogosławię cię, kawalerze, bo oddałeś pokój wielkiemu krajowi, gdzie codziennie wracają do domu kaleki, codziennie ktoś opłakuje syna albo ojca, zabitych w bitwie bądź na niebezpiecznym gościńcu, a opłakując, przeklina zarazem jedną z najbliższych mi osób, matkę albo siostrę. Od jutra już nie będzie nowych przekleństw. Błogosławię pana, kawalerze Del Wares, bo wyświadczyłeś mi największe dobro, jakie człowiek może wyświadczyć drugiemu: ocaliłeś sens mego istnienia i pomogłeś w osiągnięciu najważniejszego, najświętszego celu. Te same słowa winien jestem pańskiej towarzyszce, a może nawet bardziej jej niż panu; siedzę tutaj z tobą, nie z panią Sa Tuel, bo niepodobieństwem jest, by baronowa zniknęła dziś na całą noc z pałacu, a także i dlatego, że łatwiej mi, przyznaję, rozmówić się z mężczyzną. To pan zresztą przypłaciłeś kalectwem czyn, za który dziękuję. W każdym razie, panie kawalerze, moja misja została wypełniona, odebrałem swoją nagrodę,

po części niezasłużoną, i nic już mnie tutaj nie trzyma. Jedyne dług wobec pana. Hrabia zamilkł.

- Nic mi pan nie jesteś winien, panie hrabio. Nie zrobiłem niczego dla pana. Powiem więcej: w imię swoich celów gotów byłem sięgnąć zarówno po twe życie, jak i życie twoich bliskich. Nadal jestem gotów.

- Dobrze, kawalerze. Ale jakie to ma znaczenie? Chcesz posłuchać filozofii życiowej i prawd nowej wiary człowieka, który zwątpił już w boskie miłosierdzie? Więc posłuchaj, bo to pozwoli ci zrozumieć zamierzenia i czyny tego tutaj twojego rozmówcy. Oto, kawalerze, doświadczany wciąż i wciąż od nowa, nie umiałem już wierzyć w Boga, w Jego mądrość i sprawiedliwość, ale nie umiałem także Go odrzucić. I od pewnego czasu wydaje mi się, że już wiem, czego Bóg tak ode mnie, jak i od nas wszystkich oczekuje. Otóż, kawalerze, w pierwszym rzędzie oczekuje, byśmy w imię dobra czynili użytek z rozumu, i poddaje ten rozum próbie, dając zgrubne wytyczne, powiadając: „Czyńcie to, a tamtego nie czyńcie”. Są to prawdy dla głupców, kawalerze; w ten właśnie sposób Bóg oddziela ich od ludzi mądrych. Głupiec, jeśli zakażą mu miłości, nie zapyta, ile dobra, a ile zła wyniknie z tego zakazu. Człowiek mądry sprostą próbie i będzie świadczył swoim bliźnim dobro, śmiało łamiąc każdy zakaz, każde przykazanie, każde prawo naturalne albo stanowione. Rozum ludzki, dany nam przez Boga, kawalerze, winien być ponad wszystkie prawa i nakazy, bo dany został nam wcześniej niż one i jest wobec nich potęgą zwierzchnią; powinnością każdego z nas nie jest przestrzeganie praw dla nich samych,

lecz czynienie dobra innym ludziom. Mówiąc jaśniej, postępować należy w zgodzie z duchem praw, zamiast niewolniczo stosować się do ich litery. Nie jest to moje odkrycie, kawalerze, mówię tylko, że dotyczy tak praw ludzkich, jak i praw boskich. Do mechanicznego przestrzegania nakazów i zakazów rozum jest niepotrzebny; przydaje się tylko do przebiegania pośród nich, omijania albo łamania wtedy, gdy jest to pożyteczne i słusze.

- Powiem, hrabio, że poniekąd bliski jest mi ten punkt widzenia, choć nie twierdę, że całkowicie pokrywa się z moim. Ciągle jednak nie wiem, dlaczego pan mi to mówi?

- Dlatego, kawalerze, iż przez całe życie byłem głupcem. Kochałem jedną z młodszych moich sióstr, kawalerze, kochałem jak mężczyzna kobietę, i gdybym kierował się rozumem, gdyby inni także to czynili, wiódłbym z nią do dziś szczęśliwe życie, wychowywał dzieci, łamiąc niedorzeczne tabu kazirodztwa, dobre w świecie zwierząt, lecz nie w świecie istot rozumnych. Rzadko zdarza się, kawalerze, by zakwitła wzajemna miłość między dwojgiem rodzeństwa - znacznie rzadziej niż skłonność mężczyzny ku drugiemu. Lecz gdy tak się dzieje, trzeba pozwolić ludziom, pozwolić samemu sobie uczynić to, co dobre i właściwe. Ja wolałem tylko stosować się do praw, albo raczej próbowałem je omijać, ale bałem się, cofałem, nie potrafiłem złamać. Teraz Anna Luiza nie żyje; żona moja Helena, dla której nie miałem dość ciepła, bo przecież kochałem tamtą, jest tak samo martwa. Doprowadziwszy do obłądzenia i samobójstwa trzecią kobietę, przecknąłem się. Jestem dzisiaj z kimś, kogo kocham,

i mówię ci prosto w oczy: Jasena jest mi siostrą, ale także żoną, mam dla niej wszystko, czego nie miałem dla tamtych. Po raz pierwszy sprostałem wyzwaniu, kawalerze, pokierowałem się uczuciem i rozumem, a Bóg natychmiast zdjął ze mnie klątwę, którą ma dla głupców. Przez miniony rok zapobiegłem przemienieniu Valaquet w lodową pustynię, ratując miliony istnień, a teraz dodatkowo odbieram swoją nagrodę, widząc matkę i siostrę razem, do czego też się przecież trochę przyczyniłem, bom zasiał ziarno, przygotował grunt dla poczynań pani Sa Tuel. Z tych oto powodów mówię panu: działaj po swojemu, miej swoje powody, ale nie bądź nigdy głupcem, bo obrazisz Boga, lekceważąc sobie Jego największe dary, mianowicie rozum, sumienie i prawo do samostanowienia o sobie.

- Błogosławisz mnie, hrabio, lecz wielu mnie przeklina i jeszcze przeklinać będzie. Kieruję się rozumem, lecz używam go do swoich celów. Nie do czynienia dobra, o czym dobrze wiesz.

- To już twoja sprawa, kawalerze, do czego użyjesz darów, które wymieniłem. Czy pogwałcisz swoje sumienie, to sprawa między tobą a nim; zresztą także między tobą a Bogiem. Ja ci przedstawiłem punkt widzenia kogoś, kto przez całe życie bał się Boga, chciał być człowiekiem dobrym, a był przez to złym. Stał się dobry dopiero wówczas, gdy przestał być niewolnikiem swego Stwórcy, a w zamian zaczął wyżej cenić Jego dary. Wtedy został nagrodzony, wyzwolony z niewolnictwa i usynowiony. Dopiero teraz Bóg jest moim Ojcem, a nie tylko Panem. Mówię ci też, że sprzymierzając się z demonami, kłamiąc i zdradzając, cudzołożąc, intrygując, kradnąc i zabijając, łamiąc wszystkie

możliwe przykazania, ty i twoja towarzyska wyświadczyliście milionom ludzi w tym kraju więcej dobra, niż wyświadczył bliźnim którykolwiek z uznanych przez Kościół świętych i błogosławionych. Jeśli nie spotka cię za to nagroda, to będzie oznaczało, że nie ma sprawiedliwości ani na tym, ani na tamtym świecie. Dobro jest dobrem, kawalerze, a zło złem. Gdzieś przebiega granica, a pan jesteś teraz po właściwej stronie. Setki tysięcy ludzi, którzy jutro będą składać dzięki Bogu za koniec wojny, w istocie złożą te dziękczynienia na twoje ręce.

Del Wares milczał zagłębiony w sensie słów towarzysza. Ze słów tych przebijała szczerą wiara... ale chyba aż nazbyt szczerą.

- Znów poproszę, byś mi zechciał wybaczyć, panie hrabio.

- Proszę mówić, kawalerze. Nalegałem, byś był ze mną szczerzy.

- Jest pan młody, hrabio, bardzo jeszcze młody, ma pan lat dwadzieścia i dziewięć, o ile dobrze liczę. Wiem, że przeżył pan wiele, ale ja także niejedno widziałem, choć może unikałem wielkich osobistych nieszczęść... W zamian jestem o kilka lat starszy. To, co pan mi mówi, owszem, ma pewien sens, ale jest pan człowiekiem zgorzkniałym i tym samym gorzka jest pańska filozofia. Nie sądzę, by istniał tylko taki wybór, jak bycie Jego niewolnikiem albo dzieckiem.

- Słucham pana.

- Ale co mam panu powiedzieć? Nie potrzebuję Boga, panie hrabio, wolałbym, żeby Go nie było, bo o życie nikogo nie prosiłem, a skoro już żyję, to wystarczy mi jedno życie, drugie zaś,

lepsze bądź gorsze, wolałbym odstąpić za uczciwą cenę, albo nawet zupełnie darmo... Nie pożądam żadnych nagród po śmierci, lecz tym bardziej nie życzę sobie kar, chciałbym tylko mieć wreszcie spokój. Lecz Bóg, niestety, istnieje, więc rad nierad, choć czasem się z Nim kłócę, to przyjmuję takiego, jakim jest, i obdarzam niejakim szacunkiem, bo, powiedzmy sobie otwarcie, mógłby być ten Bóg znacznie gorszy. Pan dorobił sobie bardzo piękną ideę, ale zbyt jest akuratna, żeby mogła mi się podobać. Nic nie wiem o Bogu; pan przeciwnie, uważa, że coś wie, że już się czegoś dowiedział. A ja panu mówię: to, co się zdarzyło, to przypadek, splot okoliczności. Wyszło panu dobro, mogło wyjść i zło. Ja, jeżeli czegoś jestem pewien, to tego, że świat wokół pana i mnie żadnymi regułami się nie rządzi, albo może lepiej powiem: owszem, pewnie rządzi się jakimś, ale ani pan, ani ja, z osobna czy pospołu, tych reguł nie poznamy. Chciał pan szczerości, więc powiem jeszcze jedno, a pan, panie hrabio, obrazi się albo nie... Otóż szukanie tych reguł, poszukiwanie wyjaśnień, pytanie o cel, sens istnienia, zamiar i co tam jeszcze to neodparta potrzeba ludzi słabych, którzy nie potrafią i boją się zmierzyć z taką możliwością, że są po nic, dla nikogo, bez wszelkiego sensu i dla żadnego celu. Że mogą robić, co tylko chcą, a Bóg na koniec rozliczy się z nimi po swojemu, przy czym wyjdzie na jaw, że faktycznie nic nie zrozumieli i dalej nic nie pojmują. Ja się takiej możliwości nie boję, choć nie twierdzę, że mi się podoba.

- Jeśli słabym jest człowiek, który musi widzieć jakiś sens we wszystkim, co go otacza, to masz pan słuszność i nie

gniewam się. Rzeczywiście, w takim rozumieniu jestem słaby.

- Odłóżmy więc na bok wszelkie filozofie, bo w rzeczy samej jest mi wszystko jedno, panie hrabio, w imię czego coś robisz. Porozmawialiśmy o Bogu, który, moim zdaniem, nic tu do rzeczy nie ma, tak samo więc mogliśmy porozmawiać o koniuszym wicekrólowej... Pan wysnuł jakiś morał; ja morału w tej historii nie widzę i nie odczuwam potrzeby znalezienia go. Obchodzi mię tylko, co z tego wszystkiego będę miał: ładny trzosik czy guza na głowie.

- Ładny trzosik, kawalerze, bo zasłużyłeś nań. Ostatecznie jesteśmy tu zgodni, bom ci przecież rzekł niedawno to samo: wszystko jedno, w imię czego zrobiłeś to, co zrobiłeś.

- Skoro tak, to poproszę o trzosik.

- Oto on: wyjeżdżam już jutro, bo ktoś gotów mnie tutaj rozpoznać, a dla Dostojnej jestem martwy od roku i okrucieństwem byłoby wstać z grobu tylko po to, by natychmiast położyć się znowu... Jedź pan za mną, kiedy będziesz chciał... albo nie, umówmy się lepiej za tydzień. Czy może być taki termin? Przyjedź do Rhame Sar, każdy wskaże ci drogę, choć tak samo każdy popuka się przy tym w czoło. Lecz niesłusznie. Mrozu nie będzie. Jadąc, zobaczysz odwilż, spływające śniegi i ociekające wodą sople. Jeśli dobrze rozpytasz się o drogę, to mój dom odnajdziesz bez trudu, jadąc resztkami gościńca od ruin Re Alide, zresztą weź jakiegoś przewodnika i obiecaj mu, że zawróci bez przeszkód, gdy tylko poc- Co pan zamierza zrobić, hrabio?

- Pozostawić trzosik, nic więcej. W moim domu znajdziesz to, czego szukasz. Na stole w Sali Rycerskiej; bez trudu poznasz, która to.

- To jest i nie jest odpowiedź.

- Bom obiecał odpowiedź, nie spowiedź.

- A jednak, panie hrabio, jeśli słusznie się domyślam, co pan chce uczynić, to być może jestem ostatnim człowiekiem, z którym w ogóle rozmawiasz.

Hrabia Se Rhame Sar milczał.

- No dobrze, kawalerze... Prawdą jest, że odłoniłem panu całą duszę i byłoby śmiesznym teraz mieć jakieś tajemnice. Ktoś, kogo kocham, a kto nie ma już nikogo poza mną, jest skazany na jedną z dwóch rzeczy: rozpętanie lodowych huraganów w Valaquet, a tym samym zniszczenie tysięcy ludzkich istnień, między nimi zaś siostry i matki, albo zdjęcie z szyi klejnotu wiążącego zimową magię. Ta osoba już wie, co uczyni, i zrobiłaby to dawno, ale dawała oparcie przyjacielowi, zarazem zaś mężowi i bratu, próbującemu urzeczywistnić swoje i jej marzenia. Te marzenia właśnie się spełniły, co oznacza, że potępieńcze zaiste męki, które cierpi ta osoba, mogą wreszcie dobiec kresu. Ja jednak tracę trzecią i ostatnią kobietę, którą kocham, kawalerze. Trzecią... i ostatnią. Pierwszą mi zamordowano; drugą zabiłem sam; teraz umrze ta trzecia, i to umrze po raz drugi, teraz jednak nieodwracalnie. Nie odstąpię jej. Nie mam już tutaj żadnych spraw do załatwienia. W ogóle nie mam spraw. Patrz pan, oto tam, gdzie te oświetlone okna, trwa bal pokoju i pojednania... Skoro wysłuchałeś pan spowiedzi, to zechciej mnie zrozumieć i rozgrzeszyć.

- Nie znalazł pan żadnego sposobu?...

- Nie znalazłem. I wiem, że go nie ma. Coś, co żywi się mrozem, kawalerze, zbudowało sobie schronienie, którego zniszczyć ani naruszyć niepodobna. Wszystkie moce tej kolii są nierozdzielnie ze sobą związane. Ktoś o nadludzkiej sile woli może przez jakiś czas nie odpowiadać na wezwanie tych diamentów, lecz niczego więcej dokonać nie zdoła. Prędzej czy później rozpęta się zima dająca pożywienie temu... czemuś. Czemuś, co tak jak twoja pani nie jest dobre ani złe i chyba nawet nie chce krzywdzić ludzi, a tylko potrzebuje niesłuchanego zimna. Powiedziano mi, choć nie wiem, czy to prawda, że gdyby istniała możliwość wyrzucenia tego czegoś daleko, a raczej wysoko, bardzo wysoko, w otchłań międzygwiazdną, to tam panuje chłód odpowiedni dla tej istoty, o ile w ogóle mówimy o istocie. Lecz żadne działo nie wystrzeli tej kolii tak wysoko, żaden ptak nie zanieś jej w dość odległe przestworza. Pozostawiona tutaj owa istota będzie zabijała, a nie ma takiej pustyni, na której prędzej lub później ktoś przeklętej kolii nie odr - Ale pan chce ją oddać komuś, kogo nie zna.

- Przeciwnie, znam pana, kawalerze. Z jednej tylko strony, to prawda, ale jest to strona odpowiednia. Oddasz pan tę kolie swojej pani, jestem pewien. Ona zaś ją zniszczy.

- Może tak. Ale rzecz w tym, panie hrabio, że ta, o której mówisz, zniknęła i nie wiem, gdzie jest.

- Pan nie wiesz, ale ja wiem.

- Wiesz pan?...

- I to bardzo dobrze. Brama, którą znalazłeś w Domach Reus, kawalerze, jest zamknięta dla lodowej magii, lecz otwarta

dla istoty, której ta magia służy. Porwano twoją panią, kawalerze, a ja widziałem ją i rozmawiałem z nią. Przemawiała ustami mojej siostry. Del Wares milczał.

- Dodam tylko... doprawdy, kawalerze, zobacz, jak to się dziwnie składa... dodam tylko, że kolia nie bez powodu jest mała, ciasna, przeznaczona na szyję kobiety, a i to nie każdej. W każdym razie raczej kobiety niż mężczyzny. Jest zresztą właśnie kolia, więc kobiecym klejnotem... Ktoś, kto nosi tę kolia, jest odporny na każdy chłód, ale jeśli w ciele tego kogoś uwięziona jest ponadto Egaheer, to mamy istotę nieomal niezniszczalną. Twoja pani miała zostać niewolnicą czegoś, co tkwi w artefakcie noszonym przez Jasenę. Jednakże Jasena to buntownicza, kawalerze. Ktoś, kto nie chce służyć swojej kolii i nie czyni tego. Jeszcze nie. Egaheer jest wolna, lecz uśpiona, bo inaczej nie mogłaby ukryć się przed tym CZYMŚ, CO chciało z niej uczynić niewolnicę. Zbudzi się lada dzień, wiem to od niej.

- Gdzie jest teraz?

- Czy powiedzieliśmy sobie wszystko, kawalerze?

- Słowo panu daję, panie hrabio... nie wiem. To najdziwniejsza rozmowa, jaką odbyłem kiedykolwiek.

- W Sali Rycerskiej w Rhame Sar znajdziesz pan klejnot, a także list ode mnie, być może podpisany przez kogoś jeszcze, kto błogosławi cię tak samo jak ja. Mówię o pani Annie Jasenie, mojej siostrze. Nie znasz pan tej kobiety, ale pomyśl o niej czasem jak o siostrze własnej, o mnie zaś jak o bratu. Oddałeś nam matkę, kawalerze, oddałeś ją także Wanesie i niech cię za to Bóg błogosławi, co chętnie powtarzam jeszcze raz. Zechciej też

wyrazić mi wdzięczność pięknej, a przy tym odważnej i mądrej baronowej. Teraz już pójdę, więc żegnaj i pamiętaj: równo za tydzień. Twoja podróż do Rhame Sar jest zbyt ważna, by jej termin pozostawić przypadkowi, ktoś gotów cię ubiec i zabrać co nie jego. Najpierw jednak zechciej nałożyć rękawicę, widziałem, że masz zacny zamsz za pasem... Nałóż, mówię. To potężne szpony, więc uważaj... Twoja piękna orlica łatwo się do ciebie przyzwyczai, a zresztą nie na długo. Jako zwierzę jest zupełnie odporna na zimno, uzyskała od kogoś taki dar... lecz kryje w sobie bardzo niezwykłą duszę i ta dusza musiała spać, by nie drażnić czegoś potężnego, co było naprawdę bardzo, bardzo blisko.

*P*anie Kawalerze!
Mniemam, że już wszystko zostało powiedziane, a tym samym list, który trzymasz, to tylko pożegnanie. Lecz zarazem glejt, bo zechciej okazać go komuś, kto coś przyrzekł przyjaciołom w lodowym pałacu. Mam życzenie, które nowa właścicielka tej oto kolistki zechce spełnić tak, jak mi obiecała. Proszę o jedną modlitwę w intencji pewnego cudu, a Pan zechciej udać się do sanktuarium w Loern, gdzie - jak powiadają - przed cudowną figurą Zbawiciela ociemniałi odzyskują wzrok, trędowaci odchodzą uleczeni, a sparaliżowani o własnych siłach wstają. Winienem dodać, że choć przekazuję tę prośbę, to nie pochodzi ona ode mnie, lecz od kogoś, kogo nie znasz, lecz kto mieni się być Twoją sio: Zostań z Bogiem, Kawalerze.

*Twój brat Robert hrabia Se
Rhame Sar*

*Aroldzie Del Wares,
dziękuję. Obok listu znajdziesz klejnot i wachlarz. Ten drugi
przedmiot zechciej oddać komuś, komu winna jestem tyle co i
Tobie. Bądźcie zdrowi.*

Anna Jasena

Za oknami powoli zmierzchało.

Del Wares nie ruszył klejnotu, lecz wziął wachlarz i schował do kieszeni, list zaś podał stojącej obok wychudzonej czarnowłosej kobiecie, na której twarzy widoczne były ślady odbierającej wszystkie siły choroby. Z wielkim trudem dałoby się poznać wszechwładną do niedawna ministkę Wanesy księżnej Se Potres. Zapatrzona w okno, nie od razu zauważyła, że mężczyzna coś jej podaje.

- Egaheer - rzekł sucho. - To do ciebie. Są tu uwagi, których sensu nie znam. Zechcesz wyłożyć mi ów sens.

Wzięła list i rzuciła okiem.

- Bardzo to łzawe, pobożne i głupie – powiedziała z niezadowolaniem. - „Przyjaciele z lodowego pałacu"... Ale co ty na to, Atheves?

Del Wares bardzo nieswojo czuł się wobec istoty złożonej po równo z człowieka i demona. Był przez kogoś obserwowany, może o coś bezgłośnie błagany, bo uwięziona w skradzionym ciele dusza ciągle żyła.

Dorota Atheves widziała i słyszała to, co Egaheer, ponadto myślała, czuła... I miała tak cierpieć aż do granic obłądzenia. Aż do chwili, gdy myślące zjawisko, które ukradło jej życie i weszło na jego miejsce, znudzi się upiorną zabawą, porzuci ciało, oddając je śmierci, bądź rozedrze na strzępy bezbronną, mieszkającą,

w nim jaźń. Egaheer w każdej chwili mogła cofnąć się nieco głębiej, oddać tamtej władzę nad ciałem i cieszyć się widokiem oszalałej kobiety uciekającej na oślep przed tym, przed czym uciec nie mogła, bo unosiła to ze sobą. I bywało, że bawiła się w ten sposób, choć nie w obecności Del Waresa.

Egaheer niedbale rzuciła list na stół, po czym rzekła, wzruszając ramionami:

- Sa Tuel powiedziała, że prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw. I ma słuszność, co niechętnie przyznaję. Zbyt wiele osób poznało cię tutaj, mój kawalerze. A jeszcze ciągle nie mogę się dowiedzieć, co się stało z pewną młodą wiedźmą. Mówisz, żeś ją zastrzelił, ja ci wierzę, lecz ze wspomnień tej oto damy wynika, że zastrzelona do niej przysłała. Jednak to nie tyle są wspomnienia, co urojenia i majaki, bo król Karol też do niej przychodził i kto jeszcze?... Niemniej to była wiedźma. Znając twoją niezawodność, kawalerze, wierzę, że zrobiłeś, co należało. W przeciwnym razie zostawiłbyś sobie śmiertelnego wroga.

- Zrobiłem, co należało - rzekł Del Wares z lekkim naciskiem, który zaraz dostrzegłaby Sa Tuel, ale nie Egaheer.

- To dobrze, jednak nawet bez panny Se Moyna szybko wyjdzie na jaw, że podjąłeś się roli anioła pokoju w Valaquet. Lecz to przecież nie byłeś ty? Ktoś przywłaszczył sobie twoje nazwisko, ktoś bardzo podobny z twarzy, ale przecież nie ty, mój kawalerze. Tamten człowiek stracił prawą rękę, na co jest wielu świadków, a prawdziwy pan Del Wares ma obie.

- Egaheer - rzekł z niezmaconym spokojem Del Wares. - Czy bliskość tego klejnotu wpływa jakoś?...

- Kiedy nikt go nie nosi, jest niegroźny. Wszystko jedno, ja już poprosiłam, co nie było przyjemne. Nigdy nie jest - powiedziała, podnosząc diamenty ze stołu. - Bóg uważa mnie za parszywego psa, któremu trzeba czasem rzucić jakiś ochłap... co zresztą z grubsza oddaje proporcje między Nim a mną - skonstatowała z właściwą sobie obojętnością. - Niemniej, podobnie jak ty, zrobiłam, co należało. Teraz zechcesz pan dyskretnie odebrać swój cud w loerneńskim sanktuarium, po czym z wielkim hałasem wrócić do domu z Nordii, Hostenne bądź Arelay... wszystko jedno, byle z daleka. Atheves osiadzie sobie gdzieś, wycofując się ze wszystkich spraw publicznych, ale zapytana powie, że nie ciebie miała za kochanka, tylko kogoś bardzo podobnego. Zresztą kogoś, kto stracił rękę.

- Mam jechać do Loern?

- Nie wierzysz w cuda?

- Nie.

- Mimo to jesteś dobrym chrześcijaninem i podobasz się Bogu, mój kawalerze. Prawda, mógłbyś pan przestrzegać nakazanych postów; popraw się. A co do cudów...

Urwała bez widocznego powodu. Widać była już znudzona rozmową na ten temat.

- I mam jechać do Loern? - jeszcze raz zapytał Del Wares.

- Tak, masz jechać do Loern. Jak ci się nie chce, to nie jedź, ale bez ręki jesteś mi pan zbędny.

Zapięła kolbę na szyi i zerknęła w okno, za którym tajały resztki śniegu, lecz w Sali Rycerskiej było ciemniej niż na zewnątrz, więc nie ujrzała odbicia. Na mgnienie oka półmrok w komnacie jeszcze się pogłębił, ale może było to złudzenie.

- Żegnam, sestro - powiedziała, po czym odpięła kolbę. - To już tylko diamentowa błyskotka - oznajmiła, wyciągając rękę. - Proszę. Sprzedaj komu, przegraj w kości, każ pociąć na pierścionki lub kolczyki... Albo zechciej oddać swojej pięknej Sa Tuel razem z tym białym wachlarzem. Chodźmy, Atheves.

To powiedziawszy, ruszyła prosto do drzwi.

Koniec

Spis treści

Wstęp	7
Czerwona kareta	
I	19
II	38
III	63
IV	87
V	123
VI	166
VII	197
VIII	227
Rapier i wachlarz	
IX	263
X	299
XI	314
XII	331
XIII	353
XIV	384
XV	400
XVI	412
XVII	441
XVIII	476
XIX	525
Bal u wicekrólowej	
XX	555
XXI	593

Redakcja serii *Eryk Górski Robert Łakuta*

Grafika na okładce *Grzegorz Krysiński*

Ilustracje *Jarosław Musiał*

Projekt okładki *Piotr Cieśliński*

Redakcja *Joanna Figlewska*

Korekta

Urszula Okrzeja Magdalena Putek

Skład i łamanie oraz opracowanie graficzne okładki *Dariusz Nowakowski*

Sprzedaż internetowa



Zamówienia

firma /
48-32



cech *Olesiejuk 01-217 Warszawa, ul. Kolejowa 15/17 tel./faks: (22) 631-
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl*

Wydawca

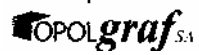


*Fabryka Słów sp. z o.o.
20-777 Lublin, Rynek 2*

www.fabryka.pl

e-mail: fabryka@fabryka.pl

Druk i oprawa



www.opolgraf.com.pl